

**R O B E R T   G R A V E S**

**BELIZARIUSZ**

## PRZEDMOWA

Większości z nas trudno znaleźć logiczny związek między bohaterami trzeźwego wieku antyku a bohaterami romantycznej epoki średniowiecznych legend. Na przykład wydaje się, że król Artur należy do czasów bardziej zamierzchłych niż Juliusz Cezar — a jednak jego chrystianizm datuje go o parę stuleci później.

Jak można te dwie epoki połączyć, zobaczymy w następujących dalej dziejach komesa Belizariusza. Otóż mamy generała, którego zwycięstwa nie są mniej rzymskie, a zasady wojenne mniej klasyczne niż Juliusza Cezara. A jednak armia zmieniła się teraz nie do poznania, stary legion piechoty zniknął wreszcie, a Belizariusz (jeden z ostatnich Rzymian, którym udzielono godności konsula, a ostatni, któremu przyznano triumf) jest wodzem chrześcijańskich, odzianych w kolczugi rycerzy przybocznego pułku. Prawie wszyscy z nich są z pochodzenia barbarzyńcami, a pod względem rysów indywidualnych mogą rywalizować z bohaterami króla Artura. W epoce Belizariusza zdarzają się typowe romantyczne sytuacje: na przykład, nieszczęśliwi łotrzykowie uprowadzają porwane dziewice do posępnych zamków wśród wzgórz (podczas mauryjskich najazdów na rzymską Afrykę), a jego wojownicy pod sztandarem i z włóczniami w dłoni wyruszają na pomoc.

Element nadprzyrodzony w historii króla Artura stanowi częściowo prymitywna saga i klechda ludowa, częściowo zakonny mistycyzm o wiele późniejszej daty. Ale w dziejach Belizariusza głównym autorytetem dla jego życia prywatnego i kampanii nie jest żaden huński czy gocki wojownik z pułku przybocznego (bez wątplenia stworzyłby chaotyczny epos, który mogliby haftować mnisi w następnych stuleciach), lecz wykształcony syrogrecki sekre-

tarz osobisty, Prokopiusz<sup>1</sup> z Cezarei. Prokopiusz jest na ogół klasycznie dobrze poinformowanym, krytycznym pisarzem, podobnie jak Agatias, który dostarczył ostatniego rozdziału wojskowego; tak więc nie ma tu romantycznych przeinaczeń jak w dziejach króla Artura. Zdaje się, że historyczny król Artur był królikiem brytyjskim, dowódcą sojuszniczej kawalerii, którego Rzymianie pozostawili jego losowi, kiedy na początku piątego stulecia wycofano ich regularną piechotę z garnizonowych miast Brytanii. Gdyby Prokopiusz był jego kronikarzem, olbrzymi i baśniowe statki, czarodzieje i mówiące zwierzęta nie występowałyby w opowieści, chyba tylko jako marginesowe streszczenie ówczesnej brytyjskiej legendy. Zamiast tego mielibyśmy jeden czy dwa jasno napisane rozdziały późnej rzymskiej historii wojskowej — opis bohaterskich wysiłków Artura, by zachować resztki chrześcijańskiej cywilizacji w zachodnim kraju przeciwko pogańskiej inwazji. A koniem Artura byłby ciężki biegun kawaleryjski, a nie baśniowy rumak niosący go w szalonym pędzie ku tysiącleciu chrześcijańskiej cywilizacji.

Belizariusz urodził się w ostatnim roku nieszczęsnego piątego stulecia (stulecia króla Artura), kiedy to Anglosasi najechali południową Brytanię, Wizygoci Hiszpanię, Wandalowie Afrykę, Frankowie Galię, Ostrogoci Italię. Umarł w roku 565, pięć lat przed urodzeniem proroka Mahometa.

<sup>1</sup> Imiona greckie autor podaje w formie zlatynizowanej, germańskie — wedle współczesnej pisowni niemieckiej (Wittich, Ge-illimer). Tłumacz na ogół trzymał się tych zasad, czyniąc odstępstwo na rzecz form tradycyjnie już spolszczonych, jak np. Teode-ryk. Szczególne trudności nasuwały się przy imionach perskich, które w polskich dziełach historycznych i encyklopediach występują w wersjach najróżnorodniejszych. Tak np. król Khosrou znany jest u nas również pod imionami Chozroes, Hozroes, Chozrau, Kosrou, Khosrau itp. I w tym przypadku wydawało się rzeczą właściwą wybrać formę przyjętą przez autora. (Przyp. tłum.)

Ponieważ zachowane źródła historyczne są szczupłe, musiałem wypełniać luki historii fantazją, ale zazwyczaj miałem na oku historyczny ekwiwalent: tak że jeśli dokładnie to czy owo się nie zdarzyło, prawdopodobnie zdarzyło się coś zbliżonego. Trójkąt miłosny — Belizariusz—Antonina—Teodozjusz — choć wygląda tak literacko, został wzięty z małymi dodatkami z *Tajnej historii*. Także przedstawiony tu opis polityki kościelnej i hipodromowej w szóstym stuleciu nie jest bynajmniej przesadzony. Jedy- nym zmyślonym bohaterem jest wuj Belizariusza, Modest, znany typ błyskotliwego rzymskiego literata. Dwa italo- gockie dokumenty, cytowane w tekście, są autentyczne.

Sztuka złota w okresie panowania Justyniana odpowiada z grubsza wartości angielskiego banknotu jednofuntowego, czyli pięciu dolarów amerykańskich.

Odległości podano w milach rzymskich, będących praktycznie ekwiwalentem mil angielskich. Nazwy miejscowości zmodernizowano, o ile w ten sposób stawały się bardziej rozpoznawalne.

R.G. 1938

## Rozdział I

### CHŁOPIĘCE LATA

Kiedy Belizariusz miał siedem lat, jego owdowiała matka oświadczyła mu, że trzeba, aby na pewien czas opuścił ją i domowników folwarku Tracki Czermen i udał się do szkoły w odległym o kilka mil Adriano-polu, gdzie znajdzie opiekę jej brata, dostojnego Modesta. Związała syna przysięgą na Pismo święte - była bowiem prawowierną chrześcijanką - że wypełni zobowiązania złożone w jego imieniu wobec Boga przez chrestnych rodziców, którzy oboje niedawno pomarli. Belizariusz złożył przysięgę wyrzekając się światowych ambicji, rozpusty i szatana.

Ja, autor niniejszego dzieła greckiego, jestem zwykłym niewolnikiem domowym, a więc człowiekiem o małym znaczeniu, ale spędziłem prawie całe życie w służbie Antoniny, żony wspomnianego Belizariu-sza, i musicie dać wiarę temu, co piszę. Najpierw zacytuję więc zdanie mojej pani o tej przysiędze złożonej w Czernieniu: pani Antonina uznała, że związywanie małych dzieci tego rodzaju przyrzeczeniami, zwłaszcza zanim zaczęły chodzić do szkoły i nie mają najmniejszego pojęcia o świecie mężczyzn, kobiet i duchownych, jest jak najbardziej bezprawne. Jest tak sprzeczne z naturą, jak by ktoś obarczył dziecko jakimś fizycznym brzemieniem, na przykład żeby zawsze, gdzie się tylko ruszy, nosiło na sobie małą dREW-

nianą belkę; albo żeby nigdy nie wolno mu było obracać głowy na ramionach, lecz by mogło jedynie skręcać cały tułów lub nawet tylko poruszać oczyma niezależnie od głowy; niewątpliwie stanowiłoby to wielką niedogodność, ale nawet w przybliżeniu nie tak wielką jak związanie uroczystą przysięgą młodego szlachcica - przeznaczonego do służby jego świątobliwej wysokości cesarza wschodnich Rzymian, który panuje w Konstantynopolu - ażeby wyrzekł się światowych ambicji, rozpusty i szatana. Kiedy bowiem chłopiec osiąga wiek młodzieńczy, albo ogarniają go pokusy i łamie taką przysięgę, po czym serce jego wypełnia zgryzota i wtedy traci ufność w swą moc moralną, albo też łamie przysięgę w ten sam sposób, lecz nie odczuwa żadnego strapienia, bo światowe ambicje, rozpusta i szatan wydają mu się wysmientymi rzeczami - a w takim przypadku zaczyna lekceważyć wszelkie przysięgi.

Jednak Belizariusz był tak wyjątkowym dzieckiem i wyrósł na tak wyjątkowego mężczyznę, iż żadne przeszkody rzucane na jego drodze nie mogły mu poważnie zaszkodzić. Aby posłużyć się absurdalnym przykładem, jakiego użyła moja pani: z łatwością przystosowałby swe ciało, gdyby mu zakazano obracać głowę na ramionach, i u niego wyglądałoby to szlachetnie, a nie sztywno, albo stałe nosiłby belkę i uczyniłby ją najbardziej użytecznym i wygodnym przedmiotem w świecie - bronią, stołkiem, poduszką - tak że może wprowadziłby nawet w stolicy modę na pięknie rzeźbione i inkrustowane belki. I z pewnością ta moda nie byłaby głupsza czy bardziej zabobonna niż współczesne mody młodych dandysów-rywalizujących z sobą stronnictw na hipodromie i mnóstwo innych, które zjawiają się i znikają w tym

nieznośnym kraju: moda na brody, płaszcze, prze-  
kleństwa, błyskotki, pachnidła, gry hazardowe, spo-  
sób noszenia się i czułe nazwania, środki pobudzają-  
ce, religijne spory i poglądy, relikwiarze, sztylety i  
słodycze.

W każdym razie Belizariusz złożył tę niebezpieczną  
przysięgę z taką samą nieświadomością skutków jak  
niegdyś młody Tezeusz ateński, który poprzysiągł  
swej owdowiałej matce, że pomści śmierć ojca na po-  
twornym Minotaurze z kreteńskiego labiryntu, poże-  
rającym ludzkie mięso.

Czy pozostał wierny przysiędze, powinniście osą-  
dzić po przeczytaniu mojej opowieści. Ale zapew-  
niam was, czytelnicy, jeśli przypadkowo jesteście  
chrześcijanami o zakonnym nastawieniu, że Beliza-  
riusz bynajmniej nie miał waszego pokroju myśli i  
mało troszczył się o dogmaty; kiedy zaś został panem  
wielkiej familii, w ogóle zabronił w swym domu  
wszelkich kościelnych dysput uznając, że są one bez  
korzyści dla duszy i burzą spokój rodzinny. Tę decyzję  
powzięła najpierw pani Antonina, ale po pewnym  
czasie zgodził się z nią i uznał za własną, i zobo-  
wiązywał do jej przestrzegania nawet biskupów i  
opatów, jeśli bywali niekiedy jego gośćmi.

Taka więc była pierwsza z trzech jego przysiąg;  
drugą złożył swemu cesarzowi - staremu cesarzowi  
Anastazjuszowi, za którego panowania się urodził, i z  
kolei dwóm następcom Anastazjusza; zaś trzecią  
złożył mojej pani Antoninie jako swojej żonie. Te  
uwagi niechaj posłużą za przedmowę do dzieła, które  
nastąpi. Piszę je w bardzo podeszłym wieku, w  
Konstantynopolu, roku pańskiego pięćset siedem-  
dziesiątego pierwszego, a jest to rok tysiąc trzysta  
szósty od założenia miasta Rzymu.

Belizariusz urodził się roku pańskiego pięćsetnego, co jego matka uważała za złą wróżbę. Wierzyła bowiem, że szatanowi dozwolono sprawować rządu na tej ziemi przez tysiąc lat, a po zakończeniu tego okresu ludzkość zostanie ostatecznie osądzona. Stąd też rok urodzin jej jedyne go syna, jak powiadała, wypadł w samym środku długiej czarnej nocy, dzielącej pierwszy dzień chwały od następnego. Lecz ja, eunuch Eugeniusz, muszę wyznać, że uważam tego rodzaju poglądy za przesądne i w ogóle niegodne myślących ludzi; także moja droga pani Antonina nie miała innego zdania w tym względzie.

Młody Belizariusz pożegnał posłusznie matkę i całą rodzinę, która (biorąc niewolników razem z wolnymi oraz dziećmi i starcami) liczyła jakieś dwieście dusz, i wsiadłszy na pięknego siwego kucyka ruszył ku Adrianopolowi. Towarzyszyli mu: jego rówieśnik, syn starosty, Jan Armeńczyk, który grał rolę porucznika w dziecięcej armii, jaką Belizariusz zorganizował w swym folwarku; Paleolog - grecki gubernator, który już uczył go zawłości czytania, pisania i liczenia, a ponadto dwóch trackich niewolników. Paleolog nie nosił żadnej broni, ale niewolnicy mieli miecze, a Belizariusz i Jan Armeńczyk - odpowiednie do ich wieku lekkie łuki z kilkoma dobrymi strzałami. Jak można by się spodziewać, bardzo zręcznie potrafili posługiwać się łukami, zarówno na piechotę, jak i z konia. Bowiem Armeńczycy są dzielnym narodem, a Belizariusz pochodził z plemienia słowiańskiego, jak wskazuje choćby jego imię Beli Car, co oznacza białego władcę. Pogańscy Słowianie żyjący za rzeką Dunajem są znakomitymi łucznicami i jeźdźcami. Jednak rodzina ojca Belizariusza, osiadła w Czernienie od stu lat, była całkowicie zromanizowana i wzniosła się do



drugiego stopnia spośród trzech stopni szlachectwa. Podróż z Czermenu odbywała się polną drogą, a nie pobliskim gościńcem, prowadzącym ze stolicy do Adrianopola. Za zezwoleniem nauczyciela Belizariusz i Jan kilkakrotnie zjeżdżali z drogi ścigając zwierzynę i Belizariuszowi udało się zastrzelić zająca. Mieli więc co jeść w karczmie, gdzie się zatrzymali. Karczma była mała i goście niezbyt często tu zaglądali, a stara gospodyni miała wielkie strapienie: jej mąż zabił się niedawno, powalony konarem wiązu, gdy umocowywał pędy winogrodu, zaś jej niewolnik uciekł potem kradnąc jedyne konia ze stajni i licho wie, gdzie się teraz podziewał. Pozostała tylko młoda dziewczyna - niewolnica, która niedołącznie próbowała się zajmować inwentarzem i winnicą, podczas gdy gospodyni pracowała w domu. Podróżni spostrzegli, że w tej karczmie muszą się ograniczyć do własnych zapasów i sami je ugotować. Z dwóch niewolników Belizariusza jeden był tragarzem, silnym, dzielnym mężczyzną bez żadnego wykształcenia i uzdolnień; drugi, bardzo młody, zwał się Andrzej i wyuczono go na łąziennego. Żaden nie potrafił oprawić zająca. Paleolog wysłał tragarza, by nazbierał drzewa do palenia i naciągnął wody, zaś Andrzejowi kazał wyszorować piaskiem brudny stół karczmy. Sam obdarł ze skóry i poćwiartował zająca, a następnie włożył go do garnka, żeby się z wolna gotował wraz z liśćmi wawrzynu, kapustą, jęczmieniem i odrobiną soli. Jan Armeńczyk mieszał w garnku rogową tyżką.

Belizariusz powiedział:

- Mam paczuszkę z ziarnkami czarnego cejlońskiego pieprzu, który moja matka posyła w upominku dla wuja Modesta. Lubię ten indyjski pieprz. Parzy

w ustach. Wuj nie będzie mi miał za złe, jeśli zetrę kilka ziarenek w małym młynku, który też należy do podarunku, i doprawię naszą zupę z zająca.

Otworzył juk przy siodle, wyciągnął paczuszkę z pieprzem, młynek i zaczął mleć. Jak to dziecko - zmełł za dużo na potrzeby pięciu osób, aż Paleolog widząc to zawołał:

- Dziecko, tyle pieprzu wystarczyłoby dla Cyklopa!

Gdy zając się gotował, Paleolog opowiedział legendę, której chłopcy nie znali dotychczas, jak Odyseusz w jaskini Cyklopa rozżarzył drąg w ogniu, spoił Cyklopa i wybił jego jedyne oko płonącym ostrzem. Chłopcy i niewolnicy słuchali i śmiali się, bowiem Paleolog cytując sztukę Eurypidesa bardzo zabawnie naśladował obezwładnionego Cyklopa. Potem nakryli stół dla trzech osób - niewolnicy mieli jeść później oddzielnie - i nalali wina z zakopconego dzbana, który znaleźli na szafie. Niewolnik Andrzej pokroił chleb myśliwskim kordelasem.

Wreszcie posiłek był już prawie gotowy, a zając miał się jeszcze dusić kilka minut. Paleolog dolał do garnka parę łyżek wina, dodał szczyptę pieprzu, małą gałązkę rozmarynu i trochę szczawiu, który staruszka przyniosła z ogródka. Od czasu do czasu ktoś kosztował zupę rogową łyżką. Zapalono cztery wysokie świece, a ich knoty w miarę potrzeby miał obowiązek obcinać Andrzej. Ale w tej szczęśliwej chwili rozległ się okropny hałas przy drzwiach i do wnętrza karczmy wpadło sześciu zbrojnych drabów - sądząc z wymowy, azjatyckich Greków - i zepsuło wszystko.

Przybysze wlekli z sobą przyzwoicie ubranego młodego mężczyznę o łagodnych rysach. Miał związane nogi i ręce, tak że nie mógł iść. Wyglądał na zamoznego rzemieślnika albo kupca. Przywódca gru-

py, bardzo krępy jegomość, niósł jeńca na jednym ramieniu jak worek zboża i rzucił go w rogu koło ogniska - prawdopodobnie dlatego, że gdyby jeniec miał zamiar próbować ucieczki, było to miejsce najodleglejsze od drzwi. Młody człowiek był wyraźnie gotów na wszystko i spodziewał się, że go zamordują każdej chwili. Jak się później okazało, był to Szymon, obywatel tamtejszego powiatu. Na niego to padł wybór, żeby poszedł w imieniu swych współobywateli do wielkiego właściciela ziemskiego, zwanego Janem z Kapadocji, z prośbą o uiszczenie należnych podatków, a przynajmniej ich części - obowiązek, od którego ten młody bogacz długo się uchylał. Powiat musiał wpłacać rocznie wiele funtów złota do skarbu cesarstwa, a choć ziemię Jana z Kapadocji sklasyfikowano według stawki oczywiście niższej niż jej prawdziwa wartość, niemniej należało się od niego około jednej trzeciej ogólnej kwoty podatków całego powiatu. Obywatele z powodu złych żniw, niedawnego łupieżczego najazdu bułgarskich Hunów, obłożeni wymiarem podatkowym od posiadłości oszacowanych o wiele wyżej, niż były warte - rząd dał im nędzne skrawki ziemi, same bagna i kamienie, jednak ocenił je jak dobrą ziemię orną - byli tak zadłużeni, że stali u progu ruiny, jeśliby Jan z Kapadocji nie zapłacił swej części. Ale on zawsze odmawiał. Miał gwardię osobistą składającą się z uzbrojonych pachotków, przeważnie Kapadoków, którzy obrażali i bili przedstawicieli powiatu, gdy ci przychodzili do zamku domagać się uiszczenia należności.

W moim opowiadaniu występować będzie prawdopodobnie wielu Janów poza Janem Armeńczykiem i Janem z Kapadocji, ponieważ Jan jest imieniem, które cudzoziemcy zazwyczaj przyjmują na

chrzcie (od Jana Baptisty albo Jana Ewangelisty), a chrześcijańscy panowie nadają je często swoim niewolnikom. Powszechnie spotyka się to imię również wśród Żydów, od których pochodzi. Tak więc będziemy rozróżniać tych Janów albo według kraju ich urodzenia, albo - jeśli się okaże to niedostateczne - według ich zwykłych przydomków: Jan Bękart, Jan Epikur i Krwawy Jan między innymi. Ale występuje tylko jeden Belizariusz, a jest on równie niezwykły jak jego imię.

Z przechwałek Kapadoków i ich narzekań na „tego przekłętą Szymona” wynikało, że Szymon z uzbrojonym oddziałem policji zuchwale udał się do pałacu Jana, zamierzając zmusić go strachem do zapłacenia przynajmniej części długu, ale przy bramie spotkał się z mieczami i kijami uzbrojonej gwardii. Policja od razu opuściła Szymona i uciekła, tak że wzięto go do niewoli. Potem sam Jan z Kapadocji, który spędzał jesień w swym majątku polując i łowiąc ptaki, nadszedł chwiejnym krokiem i zapytał sierżanta gwardii, kim może być ten natręt. Gwardziści złożyli niskie ukłony przed Janem, wymagał bowiem od nich takich honorów jak patriarcha czy gubernator diecezji, i odpowiedzieli:

-Jakby jakiś dziwny poborca podatkowy, jeśli to odpowiada waszej dostojeści.

-Zróbcie z nim jakby jakiś dziwny koniec, tak żeby żaden poborca podatkowy nie ośmielił się mnie niepokoić w moich trackich majątkach - wrzasnął Jan.

Wtedy sześciu pachołków pod wodzą sierżanta związało Szymonowi ręce i nogi, rzuciło go na konia i odjechało z nim natychmiast, mając nadzieję zadowolnić pośpiechem swego pana.

Jadąc sprzeczałi się, jaki los powinien spotkać jeńca. Sierżant zaprosił swych ludzi, by zgłaszali propozycje. Jeden powiedział:

- Przywiążmy mu kamień do szyi i wrzucmy go do stawu.

Ale Szymon zaprotestował głośno:

- Zatrucie wody jest zbrodnią wobec Boga. Moje ciało rozszerzyłoby zarazę. Poza tym to, co proponujecie, nie jest dziwną śmiercią: w ten sposób niewolnicy postępują zwykle ze szczeniakami. Pomyślcie jeszcze!

Sierżant przyznał, że Szymon ma rację, i pojechali dalej.

Potem inny z Kapadoków wpadł na pomysł, żeby przywiązać jeńca do drzewa i naszpikować go strzałami. Szymon przerwał znowu:

- Chcecie bluźnić, zadając zwyktemu poborcy po datkowemu taką śmierć, jaką poniósł święty męczennik Sebastian z Mediolanu?

To zastrzeżenie również wyglądało na uzasadnione, więc znowu pojechali dalej. Trzeci drab zaproponował wbicie na pal, czwarty obdarcie ze skóry, a piąty wypowiedział się za pogrzebaniem Szymona żywcem. Ale za każdym razem Szymon drwił z tych propozycji i powiadał pachołkom, że z pewnością zostaną ukarani, jeśli wrócą i zameldują, jak zwykłą czy banalną śmierć mu zadali. Sierżant brał jego stronę i rzekł w końcu:

- Jeśli możesz nam powiedzieć, jaki rodzaj śmierci jest wystarczająco dziwny, będę ci wdzięczny i przeprowadzę wszystko wedle twego życzenia.

Szymon odparł:

- Niech wasz pan zapłaci dług dobrowolnie. Wtedy, bądź pewny, umrę ze zdumienia, a o równie dziwnej śmierci nigdy nie słyszano w trackiej diecezji.

Za taką bezczelność sierżant uderzył go w twarz, ale nadal nie mógł się zdecydować co do rodzaju śmierci. Zaczął padać deszcz, a Kapadokowie ujrzeni światło w karczmie, uwiązali więc konie w stajni i weszli do środka, by napić się wina i naradzić dalej.

Paleolog słyszał, jak wspominali imię swego pana, a znając go ze słyszenia jako złośliwego i kłótliwego człowieka, uważał, by nie zrobić nic, co mogłoby urazić jego służących. Spytał, czy nie zechcieliby uczynić mu zaszczytu i napić się wina na jego koszt.

Źle wychowany sierżant nie odpowiedział w ogóle, ale znalazłszy się w pobliżu garnka, z którego dolatywał bardzo smakowity zapach, odwrócił się do swych towarzyszy i krzyknął:

- Mamy szczęście, chłopcy! Ten stary brodacz prze widział nasze przybycie i przygotował dla nas zająca,

Paleolog udał, że bierze to za żart. Powiedział do sierżanta:

- Najlepszy z Greków, tego zająca nie wystarczy dla dziesięciu dorosłych mężczyzn i dwóch chłopców, z których jeden jest ponadto szlachcicem. Lecz gdybyś ty sam, i może jeszcze jeden z twoich ludzi, zechciał się do nas przyłączyć...

Sierżant odparł:

- Bezczelny stary brodaczu, ty dobrze wiesz, że to nie jest twój zając. Bez wątpienia został skradziony i należy do mego pana, a ty nie dostaniesz w ogóle ani kawałka. Ponadto, kiedy skończymy jeść, zapłacisz mi na dobro mego pana grzywnę za kradzież. Dasz dziesięć sztuk złota albo o tyle więcej, ile znajdę w twoich kieszeniach. A jeśli chodzi o twojego szlachcica, to on na nas poczeka. Koledzy, pilnujcie drzwi! Rozbróćcie tych dwóch niewolników!

Paleolog widział, że wszelki opór byłby bezskuteczny. Kazał tragarzowi i Andrzejowi oddać broń bez oporu, a oni wykonali jego polecenie. Ale Jan Armeńczyk, a szczególnie Belizariusz, który zastrzelił zającą i nie mógł się doczekać, kiedy go skosztuje, byli wściekli. Nic jednak nie powiedzieli. Potem Belizariusz przypomniał sobie jaskinię Cyklopa i postanowił, jeśli się tylko uda, spoić tych gburów, żeby mieć nad nimi przewagę, gdyby doszło do walki.

Bardzo grzecznie zaczął grać rolę podczaszego. Nalewał wino nie mieszając go z wodą i zachęcał:

- Pijcie, szlachetni panowie, to dobre wino i nic was nie będzie kosztowało.

Ponieważ zupa była bardzo pieprzna, Kapadokowie pili więcej wina niż normalnie. Wznosili toasty na cześć Belizariusza jako ich Ganimeda i chcieli go całować, ale się im wymykał. Potem jeden z nich poszedł do kuchni, złapał niewolnicę i zaczął z niej ściągać koszulę, lecz uciekła i ukryła się w krzakach, gdzie nie mógł jej znaleźć. Wrócił więc do karczmy.

Podpici Kapadokowie zaczęli dyskutować o dogmatach religijnych. Była to choroba wieku. Ktoś mógłby się spodziewać, że chłopci, kiedy się zejdą razem, będą rozmawiali o bydło i siewach, żołnierze o bitwach i obowiązkach wojskowych, a prostytutki, być może, o sukniach, urodzie i swym powodzeniu. Lecz nie: gdzie tylko zebrały się dwie czy trzy osoby -w tawernie, koszarach, zamtuzie czy gdziekolwiek -natychmiast zaczynały, niezależnie od wykształcenia, dyskutować jakiś trudny punkt doktryny chrześcijańskiej. Tak więc, ponieważ najważniejsze dysputy różnych chrześcijańskich Kościołów obracały się wokół natury Boga - tego najbardziej kuszącego problemu filozoficznej debaty - więc naturalnie pijani

Kapadokowie zaczęli, nie bez bluźnierstw, roztrząsać zasadę natury Trójcy Świętej, a szczególnie drugiej osoby - Syna Bożego. Byli wszyscy prawowiernymi chrześcijanami i, zdaje się, mieli nadzieję, że Paleolog zabierze głos w dyskusji. Nie wtrącał się jednak, bo wyznawał te same poglądy co oni.

Jednak Szymon wkrótce zdemaskował się jako monofizyta. Monofizyci byli potężną sektą, zwłaszcza w Egipcie i Antiochii, a w ciągu kilku ostatnich pokoleń sprowadzili wielkie niebezpieczeństwa na cesarstwo, bo cesarze w Konstantynopolu musieli wybierać między obrażeniem papieża rzymskiego, który był uznanym spadkobiercą apostoła Piotra i potępił sektę jako heretycką, a obrażeniem ludu egipskiego, od którego dobrej woli zależały dostawy zboża dla Konstantynopola. Jedni cesarze skłaniali się ku temu pogładowi, inni ku tamtemu; niektórzy próbowali znaleźć podstawę do kompromisu. Z powodu tej dysputy wybuchały mordercze bunty, wojny i awantury w kościołach, a w czasie, kiedy piszę te słowa, nastąpił jawny rozdział między Kościołem Wschodnim i Zachodnim. Panujący cesarz, stary Anastazjusz, miał skłonności do faworyzowania monofizytów. Dlatego też obywatel Szymon, by rozdrażnić Kapadoków, postawił na jednej płaszczyźnie swą wierność dla cesarza i swój monofizytyzm.

Szymon okazał się dla nich zbyt wymowny, choć krzyczeli wszyscy na raz, a więc wezwali Paleologa, jako uczonego, by bronił ich na korzyść prawowiernego punktu widzenia, co też uczynił z radością. Jan Armeńczyk, szturchnięty przez Belizariusza, dołał jeszcze więcej wina, gdy Kapadokowie przysłuchiwali się dyskusji.

Paleolog zacytował słowa papieża Leona, których już zapomniałem, jeśli je nawet kiedykolwiek sły-



szał, które jednak, o ile dobrze rozumiem, miały mniej więcej taki sens: że Chrystus nie jest tylko Bogiem, jak twierdzą ci szaleńcy akuanici; nie jest również tylko człowiekiem wedle poglądów bezbożnych plotynianów; nie jest człowiekiem w tym sensie, że mu brakuje tej czy innej cechy boskiej, jak utrzymują ci głupcy apolinaryści, lecz ma dwie połączone natury, ludzką i boską, stosownie do tekstów: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy”, oraz: „Ojciec większy jest niżli Ja”, przy czym natura ludzka, przez którą syn jest niższy od ojca, nie umniejsza natury boskiej, przez którą Syn jest równy Ojcu.

Kapadokowie urządzili owację, kiedy Paleolog recytował ten werdykt, bręcząc kubkami i tłukąc w stół miskami z brzoźowego drzewa. Nie zauważyli, że Belizariusz pod stołem związuje im razem nogi długim mocnym sznurkiem - nie tak ciasno, żeby nie mogli nimi dla wygody poruszać, ale dość ciasno, by mocno im zaszkodzić, gdyby wszyscy na raz chcieli wstać, albowiem związywał ich w małe kółko.

Szymon wyśmiał Paleoioga i powiedział, że odrzucanie fałszywych doktryn akuanitów, apolinarystów czy plotynianów nie jest bynajmniej jednoznaczne z odkryciem prawdziwej doktryny; że jeśli ksiądz zostanie wybrany papieżem rzymskim, to nie daje mu to prawa ostatecznego ustanawiania zasad chrześcijańskich; że papież z politycznych względów może mówić i robić różne rzeczy, które obrażają zarówno Boga, jak cesarza. Szymon dodał również, że natury Syna Bożego nie można rozciąć na dwoje, jak się rozcina drewno siekierą. Działania i cierpienia Chrystusa nie były ani całkowicie ludzkie, ani całkowicie boskie, ale mieszane: bosko-ludzkie. A więc, na przykład, Chrystus spacerował po Jeziorze Galilejskim, co

było aktem dokonanym przez ciało, ale przekraczającym prawa natury ciała.

Do tego miejsca zebrane przeze mnie informacje zgadzają się co do porządku wydarzeń, lecz teraz występuje rozbieżność. Najpierw pozwólcie mi przytoczyć relację, jaką słyszałem wiele lat później od pewnego mieszkańca Adrianopola, a który podobno słyszał ją od najstarszego syna Szymona.

Według jego wersji Szymon zakończył swe wystąpienie następującymi słowami:

- Ale papież Leon powiedział coś jeszcze na ten temat. Mogę zacytować jego własne słowa: „*Ardeat in foco ferrum. Sunt vincula mea solvenda. Mox etiam pugionibus et pipere pugnandum est. Tace!*” Jak możecie słuchać takich bzdur, mężowie z Kapadocji?

Sierżant Kapadoków, udając, że rozumie po łacinie, wrzasnął z przekonaniem:

- Ojciec święty Leon powiedział bardzo mądrze. Miał rację co do joty. Sam się potępiłeś jego słowami! - Bowiem żaden z nich nie wiedział, że Szymon ukrył tą ną wiadomość dla Belizariusza, by rozgrzał rożen na węglach, rozciął jego więzy i był gotów do walki sztylę tam i pieprzem.

Ale, wedle wersji, jaką słyszałem od Andrzeja niewiele lat temu, to właśnie Belizariusz wypowiedział łacińskie słowa udając, że chce skonfundować Szymona, i wykrzyknął:

- *Ardeat in foco ferrum manibus tuis propinquum. Vincula solvam. Mox etiam pugionibus et pipere pugnabitur* - na co (powiadał Andrzej) ciemni Kapadokowie zrobili owację chłopcu, jako dumnemu wojownikowi o prawdziwą wiarę. Te słowa Belizariusza, jeśli istotnie je wypowiedział, kryły wiadomość dla Szymona, że rożen już rozgrzewa się w ogniu, niedaleko je-

go rąk, że jego więzy zostaną przecięte i niebawem rozpocznie się walka sztyletami i pieprzem.

Przeciwko przyjęciu informacji Andrzeja przemawia często spotykana u starców skłonność do przesady i przekręcania przeżyć swej młodości, szczególnie gdy opowiadają o człowieku, który później stał się sławny. Tak, na przykład, święty Mateusz dowiedział się od jakichś starych plotkarzy, że Jezus, jako dziecko, dla ich przyjemności przywrócił do życia martwą jaskółkę, kiedy się razem bawili. Tenże święty Mateusz oprócz innych przesadnych anegdot opowiada w swej drugiej ewangelii, iż Jezus mówił z łona swej matki i czynił wyrzuty swemu przybranemu ojcu, Józefowi. Ale na korzyść wersji Andrzeja mogę stwierdzić, że nie przyszła ona do mnie z trzeciej, lecz z pierwszej ręki, i że znam Andrzeja jako człowieka godnego zaufania. Nie można czynić zarzutu, że będąc tak małym dzieckiem Belizariusz nie mógł mówić dobrą łaciną, łaciną rzymską - albowiem dobra łacina stanowiła ojczysty język jego matki. Jego ojciec był rzymskim senatorem i wraz z rodziną opuścił Italię pięćdziesiąt lat przed najazdem barbarzyńskiego Wandalą, króla Geisericha, który splądrował świątynie i szlacheckie domy Rzymu. Ojciec Belizariusza przybył do wschodniej części imperium rzymskiego ze względu na bezpieczeństwo i rodzina dochowała wiary dobrej łacinie. Tak więc Belizariusz mówił już trzema językami-, trackim narzeczem swego rodzinnego folwarku, łaciną, w której matka i jej kapelan zawsze z nim rozmawiali, oraz językiem greckim - powszechnym językiem wschodniego imperium - przy czym po grecku, jak dotychczas, nie wystawiał się płynnie.

Zresztą ktokolwiek działał jako dowódca przy tej okazji, mogę przynajmniej opowiedzieć wam przebieg

bitwy. Najpierw Belizariusz potajemnie przeciął sztyltem powrozy Szymona. Kapadokowie, którzy teraz już zjedli kolację, ale nadał siedzieli przy stole i pili, nie dostrzegli tego. Następnie - dając znak Janowi Armeńczykowi, żeby był gotów - wziął dużą garść zmielonego pieprzu, podszedł do stołu i sychnął nim w twarze pachotków, oślepiając wszystkich sześciu. Szymon zerwał się z rykiem i chwycił rozpalony do czerwoności rożen, który Belizariusz wsadził do ogniska. Trakowie - Andrzej i tragarz - porwali za broń, jaka w pobliżu leżała.

Kapadokowie ryczeli jak byki z bólu i bezradnej wściekłości. Byli zamroczeni winem, spętani sznurkiem, oślepieni pieprzem i sparaliżowani od ustawicznego kichania. Szymon w pierwszym ataku zadał dwóm z nich straszliwe ciosy w głowę rozpalonym do czerwoności rożnem. Jeśli nawet Paleolog nie brał udziału w walce, Kapadokowie byli teraz w mniejszości, w stosunku czterech do pięciu. Wyrwano spod nich stołki, tak że runęli na podłogę. Chłopcy i niewolnicy stali teraz nad nimi z obnażonymi mieczami i wzniesionymi sztyletami.

Szymon szybko przyniósł różne części uprzęży ze stajni i po kolei skrępował Kapadoków - był siodlarzem z zawodu i potrafił biegle robić węzły. Ponadto wiązanie każdego supła kończył monofizycznym argumentem, dodając przy tym:

- Ucieknij od tej logicznej przesłanki, panie, jeśli możesz - albo: - Ta konkluzja jest najzupełniej właściwa dla twych przekonań, prawda?

Odpowiadali żałośnie:

- Na miłość Chrystusa, najlepszy z ludzi, przynieś gąbkę i wodę, bo oślepiemy od tego ognistego pyłu.

Lecz on zaczął potężnym głosem śpiewać *Hymn serafinów*, z tymi monofizyckimi wstawkami, które powodowały awantury, bunty i krwawe rzezie w wielu chrześcijańskich kościołach. Kiedy wszyscy byli już unieruchomieni, Szymon oświadczył, że Chrystus polecił mu przebaczyć nieprzyjaciołom, i delikatnie przemysł im gąbką zaognione oczy, mówiąc:

- W imieniu Chrystusa o jednej naturze. - Mimo to podziękowali mu.

Gdy Szymon dowiedział się, jak Belizariusz opracował plan bitwy, zwrócił się do Paleologa i powiedział:

- Myślałem, że to zwykły cud, i dlatego nie zdziwiłem się zbyt, podobnie, jak sądzę, prorok Balaam nie był szczególnie zdziwiony, gdy jego oślica nagle przemówiła w imię Boga. Albowiem dla Boga wszystko jest możliwe i człowiek nie powinien się dziwić tak oczywistym niekonsekwencjom, jak mówiące osły czy jedzenie dla dwunastu ludzi, pomnożone w cudowny sposób dla wykarmienia pięciu tysięcy (a nawet pozostawiające resztki), bardziej niż naturalnemu rykowi osłów i obywatelom zwyczajnie konającym z głodu, ponieważ w ich mieście nie ma żywności. W jednym mianowicie przypadku mamy Boga, którego funkcją jest przekraczanie niemożliwości, a w drugim - naturę, której funkcją jest posłuszeństwo prawom, jakie Bóg ustanowił dla zwierząt i ludzi.

Ale usprawiedliwione zdumienie budzi się w przypadkach takich jak ten, którego byliśmy świadkami, kiedy natura przewyższa samą siebie bez pomocy Boga czy demonów. Jeśli to dziecko doczeka wieku męskiego, zostanie doskonałym generałem, posiada bowiem sześć przymiotów, które czynią doskonałego dowódcę; cierpliwość, odwagę, pomysłowość, umiejętność oceny swoich sił i połączenia różnych broni w ata-

ku oraz wyboru właściwej chwili na decydujący cios. Byłem na polach bitew podczas wojen perskich i spotykałem się zarówno z dobrymi generałami, jak i złymi, więc wiem, co mówię.

Paleolog odpowiedział:

- Lecz jeśli do tych przymiotów nie doda cnoty skromności, będzie niczym. - Była to w swoim rodzaju mądra uwaga i siódmy przymiot uwieńczył poprzednie.

Kapadokowie zjedli już zająca i większą część świeżego chleba, lecz nasi podróżni mieli w jukach suchary i trochę wędlin, tak że nie musieli przymierać głodem. Doszli do wniosku, że nierozsądną rzeczą byłoby pozostawanie w karczmie na noc, gdyż ktoś mógłby zaalarmować zamek Jana. Przywiązali więc Kapadoków do koni, a Szymon i niewolnicy pilnowali każdy po dwóch jeńców, wiążąc razem głowy wierzchowców. Gdy zaczęła się bijatyka, stara kobieta uciekła z domu; kiedy wróciła i ujrziała, że dzikich drabów uspokojono, rozplątała się w podziękowaniach, jak by stało się to tylko ze względu na nią. Mimo wszystko zapłacili jej dobrze.

Belizariusz wraz z Paleologiem jechał na czele, a Jan Armeńczyk stanowił straż tylną. O szarówce odpoczęli w lesie, gdzie jeden z Kapadoków zmarł wskutek odniesionych ran w głowę. Pozostali kłęli bez przerwy, lecz nie czynili żadnej próby, żeby się uwolnić. Później, już za dnia, kawalkada dotarła bez żadnych dalszych przeszkód do Adrianopola, gdzie Szymon przekazał Kapadoków sędziemu. Współobywatele Szymona powitali go z radością i zdumieniem, gdyż policja doniosła już, że dostał się do niewoli.

Pachołków zamknięto w więzieniu, póki Jan ich nie wykupi. Nie można ich było oskarżyć o morderstwo ani w ogóle o nic poważniejszego niż kradzież gotowa-

nego zająca, gdyż brakło wyraźnych dowodów, że zamierzali wykonać mordercze rozkazy Jana. Jan przysłał pismo stwierdzające, że miał prawo zwięzać i wywieźć Szymona, który w sposób obraźliwy przekroczył granice jego posiadłości.

Sędzia nie mógł pozwolić na oskarżenie Jana o jakąkolwiek zbrodnię ze strachu, żeby się nie narazić innym potężnym właścicielom ziemskim. Wiedział również, że honor Jana nie pozwala mu się zgodzić na ukaranie jego sług i rodaków. Mimo wszystko istniały silne poszlaki przeciwko panu i służącym. Tak więc zawarto polubowne porozumienie, w myśl którego pachotków wypuszczono na wolność, ale Jan zapłacił w tajemnicy więcej niż połowę swego długu, wynoszącą prawie dwieście funtów, czyli ponad szesnaście tysięcy sztuk złota. W ten sposób honor Jana został ocalony, a mieszczanie uniknęli ruiny. Ten Jan z Kapadocji, którego skąpstwo, niechęć do sąsiadów i dewocja religijna zaznaczały się już w tak młodym człowieku, został potem dowódcą gwardii cesarskiej i kwatermistrzem generalnym i na tym stanowisku wyrządził Belizariuszowi wiele krzywd w późniejszym życiu.

Belizariusz, Jan Armeńczyk i Paleolog oraz niewolnicy udali się teraz do willi wuja Belizariusza - Modesta, prowadzeni przez Szymona, który go znał. Willa leżała poza miastem w pobliżu potoku pełnego pstrągów, w pięknie zadrzewionym parku. Belizariusz pozdrowił wuja, który był wysokim, chudym i łagodnym mężczyzną o zamiłowaniach literackich. Wuj powitał siostrzeńca, a wraz z nim Jana Armeńczyka i Paleoioga. Rozmawiali razem po łacinie. Modest wysłuchawszy historii bitwy wygłosił następujący komentarz:

- Doskonale, chłopcze, doskonale! Dokonałeś tego w jak najbardziej rzymski sposób, sposób Mariusza,

Metellusa i Mummiusza. Lecz twoja łacina zawiera wiele barbarzyńskich słów i fraz, które brzmią, jak by wyszły z chrapliwej paszczęki afrykańskiego nosorożca, i kłują mi uszy. Musimy je wyskrobać, krzewiąc na ich miejscu elegancki język Cycerona i Cezara. Mój przyjaciel Maltus, do którego szkoły będziesz uczęszczał, jest na szczęście człowiekiem o pewnym smaku i kulturze. On ci wytłumaczy różnicę między dobrą łaciną szlachetnych pogan a podłą łaciną ciemnych mnichów.

Taki mniej więcej sens miała jego wypowiedź, gdyby ją przełożono na zwykły język. Ale Modestus nigdy nie mógł pozwolić sobie na wygłoszenie najdrobniejszej uwagi bez owijania jej w stosowną literacką aluzję, paradoks czy kalambur albo wszystkie trzy na raz; toteż Belizariusz miał duże trudności ze zrozumieniem go. Ja sam wzdrzgam się przed powtarzaniem przesadnych zwrotów, które strzelały z ust Modesta, ponieważ żaden nonsens nie będzie brzmiał dość absurdalnie, by oddać im sprawiedliwość - jeśli istotnie zasługują na sprawiedliwość. Niewątpliwie greka jest giętkim językiem, odpowiednim do dwuznacznych i aluzyjnych metafor i dowcipnych komedii, łacina natomiast jest sztywna i niezbyt łatwo nagina się do tego użytku. Słusznie też mówiono o łacińskiej retoryce: „Falset męczyzny naśladowującego kobietę.”

Szkoła Maltusa, mieszcząca się w centrum Adrianopola, nie należała do tych zakonnych szkół, gdzie naukę ogranicza się tylko do chleba i wody Pisma świętego. Chleb jest dobry i woda dobra, ale obserwowano objawy cielesnego niedożywienia u więźniów i biednych chłopów, którzy musieli się stosować do tej diety, mającej swój odpowiednik w duchowym niedożywieniu pewnych duchownych. Potrafią oni bezbłędnie recytować genealogię żydowskiego króla Dawida aż do



czasów potopu i od potopu do Adama, umieją powtarzać z pamięci całe rozdziały listów świętego Pawła tak płynnie, jak by to były poematy pisane wierszem, ale w innych dziedzinach nie wiedzą nic, zupełnie jak ryby lub ptaki. Niedyś, przebywając z moją panią w Rawennie w Italii, spotkałem biskupa, który nie potrafił pojąć uczynionej w rozmowie aluzji do pobożnego Eneasza, bohatera trojańskiego, i jego zdrady wobec królowej kartagińskiej, Dydony. Niech Bóg broni, żebym się uważał za uczonego, jestem bowiem zwykłym niewolnikiem domowym, którego jedyna edukacja polegała na przysłuchiwaniu się rozmowom inteligentnych ludzi. Mimo to wstydziłbym się przyznać do ignorancji tego biskupa. Nie miał pojęcia, o czym mówi moja pani.

- Eneasze? - powtórzył jako echo - Eneasze? Znam dobrze tekst Dziejów Apostolskich, ale zapewniam cię, moja siostrze w Chrystusie, że nie znajdziesz tam twierdzenia ani nawet głosu dobrze poinformowanego komentatora, aby pobożny Eneasze z Liddy, którego apostoł Piotr wyleczył z paraliżu (aczkolwiek cierpiał nań od ośmiu lat), odwiedził później jakąkolwiek królową Dydonę w Kartaginie, a tym bardziej ją zdradził.

W szkole Maltusa, która była pod nadzorem cesarskim, dawano nieco wiadomości o Piśmie świętym, jako rzecz oczywistą, tak jak chleb i woda znajdują się na stole nawet podczas uczyty. Ale głównym pokarmem była łacińska i grecka literatura dobrych autorów. Takie książki zachęcają dzieci do właściwego wystawiania się, a w ten sposób - do jasnego myślenia. Przy tym dają im obszerną znajomość historii, geografii i obyczajów obcych ludów. Słyszałem poglądy, że żołnierzy nie powinno się kształcić, na tej podstawie, że wśród najdzielniejszych barbarzyńskich narodów, takich jak Go-

ci i Frankowie, których naczelnicy są żołnierzami z profesji, pogardza się wykształceniem. Jednak przysłowie: Jeden uczoney więcej, jeden żołnierz mniej", odnosi się, moim zdaniem, jedynie do szeregowych żołnierzy, a nie do oficerów jakiegokolwiek rodzaju. W każdym razie, według mojej wiedzy, nigdy, w żadnym narodzie świata nie było znacniejszego generała, który albo nie byłby w pewnym stopniu wykształcony, albo, gdy miał małe wykształcenie, nie żałował tego.

W późniejszym życiu Belizariusz mówił swoim przyjaciółom, że czytając relację Tucydidesa z długiej wojny między Atenami i Spartą czy sprawozdania Ksenofonta o walkach w Persji (obie książki czytano i komentowano w szkole Maltusa w Adrianopolu) dowiedział się więcej o zasadach wojen, niż się kiedykolwiek nauczył w akademii wojskowej w Konstantynopolu. W akademii wojskowej nauczanie ogranicza się głównie do musztry i prostej taktyki, użycia machin oblężniczych, obowiązków oficera sztabu, ceremoniału wojskowego - drobniejszych raczej zagadnień sztuki wojennej. Większymi sztukami są: strategia, podporządkowanie sił cywilnych i polityki celom militarnym, a szczególnie umiejętność, w której Belizariusz nauczył się cetować - umiejętność wzbudzania miłości, zaufania i posłuszeństwa w swych oddziałach i tworzenia w ten sposób dobrych żołnierzy z niesfornego tłumu. Belizariusz uważał strategię za rodzaj stosowanej geografii, a w późniejszych latach wydał dużo pieniędzy, aby zaopatrzyć się w dokładne mapy; miał zawodowego kartografa, Egipcjanina, stale przydzielonego do sztabu.

Belizariusz zwykł powiadać, że wykształcenie w rachunkach, retoryce i prawie, jakie otrzymał w szkole Maltusa, było dla niego jak najbardziej użyteczne; albo-

wiem urzędnicy państwowi, którzy celują w tych cywilnych szajkach i popierają się nawzajem, lubią robić durniów z barbarzyńskich przywódców wojskowych, których głównymi kwalifikacjami są odwaga, jazda konna i zręczność w użyciu włóczni czy łuku. Pokazał im, że nie jest barbarzyńcą mimo swego imienia i mimo swej umiejętności walki wręcz, do której szczupłość albo tchórzostwo dowodzonych przez niego oddziałów niekiedy mimo woli go zmuszały. Często kazał sobie przedstawiać do wglądu książeczki obrachunkowe dowodzonych przez niego ludzi i jeśli gdziekolwiek znalazł nieprawidłowość, wytykał ją surowo jak nauczyciel. Również w zwykłych sprawach prawnych, takich jak zasady postępowania cywilnego i prawa różnych klas obywateli i sprzymierzeńców, niełatwo było go oszukać zawodowym adwokatom. Z drugiej strony, wystarczająco znał retorykę, by umieć przedstawić sprawę prosto i dobitnie i nie dać się zbić z tropu wymyślnymi argumentami. Zawsze przyznawał się do poważnego długu wobec Maltusa, który mało się troszczył o skomplikowane aluzje i wymyślne przenośnie, ateńskie zasadzki i kategorie. Maltus powiadał, że niewiele dobrze uzbrojonych słów w zdyscyplinowanym szyku zawsze zwycięża słowa tłoczące się entuzjastycznie w niezorganizowanych masach.

Pierwszego dnia Belizariusz nie przybył do szkoły wczesnym rankiem o godzinie siódmej, kiedy zaczynały się lekcje, lecz zaraz po południu podczas rekreacji. Chłopcy jedli wtedy swe posiłki na podwórku szkolnym - przynajmniej ci z nich, którzy nie mieszkali dość blisko, by mogli iść szybko do domu, zjeść i wrócić. W Adrianopolu nie było takiego zwyczaju jak w Konstantynopolu, Rzymie, Atenach i wielkich miastach Azji Mniejszej, żeby chłopiec przychodził do szkoły w towa-

rzystwie preceptora oraz niewolnika niosącego wężętek z książkami. Nawet niewolników do noszenia książek rzadko się spotykało w tej szkole. Tak więc chłopcy omyłkowo pomyśleli, że Belizariusz musi być rozpieszczonym synem jakiegoś bogacza, skoro wszedł na podwórko szkolne z Paleologiem, Janem Armeńczykiem, idącym pół kroku z tyłu, oraz Andrzejem, który niósł torbę z książkami.

Pewien tęgi chłopak, imieniem Uliaris, wskazując na Paleologa wykrzyknął:

- Powiedzcie mi, koledzy, czy to dziadek prowadzi swe wnuczęta do naszej szkoły, żeby się uczyły jego *hic, haec, hoc*, czy też odwrotnie?

Gdy wszyscy tłoczyli się wokół, zajadając chleb, owoce i jaja na twardo, jakiś chłopiec, który stał z tyłu, cisnął figą w Uliarisa, by go rozdrażnić. Figa była miękka, skwaśniała od gorąca i w sam raz nadawała się do wyrzucenia. Chybiła Uliarisa o włos, lecz pękła na ramieniu Paleologa, plamiąc mu nowiutką togę ze szczególnie delikatnej wełny. Wtedy wybuchnął jeszcze głośniejszy śmiech, ale natychmiast Belizariusz skoczył gniewnie w tłum chłopców, podniósł jeden z dużych okrągłych kamieni, które uczniowie taczali zwykle po gładkich płytach podwórka, i zanim chłopiec, który rzucił figę, zrozumiał, co się dzieje, Belizariusz popędził ku ławce i uderzył go kamieniem w głowę, tak że tamten upadł ogłuszony. Belizariusz, nie mówiąc ani słowa, z kamieniem w ręku wrócił do boku swego nauczyciela.

Paleolog drżał, spodziewając się, że inni uczniowie zechcą pomścić swego kolegę, i istotnie niektórzy z nich napierali z groźnymi krzykami i gestami.

Belizariusz nie cofnął się jednak ani nie usprawiedliwił. Powiedział tylko:

- Jeśli którykolwiek z was ośmieli się obrażać tego starca, mojego preceptora, zrobię znowu to samo.

Ponieważ wykazał odwagę, część chłopców z Uliarisem na czele skupiła się wokół niego. Uliaris zapytał:

- Do jakiej barwy należysz, kolego? My jesteśmy błękitni. Chłopak, którego uderzyłeś, Rufinus, jest dowódcą zielonych.

Oczekiwali, że w obronie własnej również ogłosi się błękitnym i stanie się użyteczny dla ich stronnictwa w późniejszym czasie. Ale, choć może się to wydawać bardzo dziwne, Belizariusza wychowano w Czernienie w tak nieświecki sposób, że nigdy nawet nie słyszał o rywalizacji stronnictw błękitnych i zielonych na wyścigach rydwanów, co było równie niesamowite, jak by nigdy nie słyszał o apostołach Piotrze i Pawle. Bowiem w obu połowach imperium rzymskiego bez przerwy mówiono o stronnictwach, a przy tym nie były one nowym wynalazkiem, ale datowały się przynajmniej od czasów panowania cesarza Tyberiusza, który był współczesnym Jezusa Chrystusa.

Belizariusz odpowiedział Uliarisowi:

- Ja należę do białych, a oto mój porucznik - wskazał na Jana Armeńczyka. Belizariusz w swoim chłopięcym wojsku na folwarku używał białego sztandaru, do bierając tę barwę do swego imienia, oddział nazywał się więc „Białą Armią”.

Wytłumaczyli, zaskoczeni jego słowami, że każdy chłopiec musi być błękitny albo zielony, albo jest zdrajcą lub oportunistą. Istotnie, niegdyś istniały na hipodromie stronnictwa czerwonych i białych, kolory lata i zimy, tak jak zieleń przedstawia wiosnę, a błękit lato. Lecz teraz w wyścigach rydwanów występują po dwa rydwany z dwóch stronnictw, a nie po jednym z czterech stronnictw, jak było kiedyś. Tak więc czerwoni

i biali nie istnieli już dalej jako niezależne facje, od dawna już połączyli się z błękitnymi albo zielonymi i zniknęli.

Belizariusz uświadomił sobie, że to, co powiedział, brzmi głupio, jednak mimo wszystko zdecydował trwać przy swoich słowach. Odparł:

- Jeśli w szkole nie ma białych, Jan Armeńczyk i ja zrobimy początek.

Wtedy zarówno błękitni, jak i zieloni rozgniewali się i powiedzieli mu, że na szkolnym dziedzińcu obowiązuje surowa zasada, aby w bójkach nie używać noży, kamieni czy innych niebezpiecznych narzędzi, lecz tylko rąk i nóg i miękkich pocisków z błota czy śniegu.

Belizariusz wyśmiał ich i zawołał:

- I to wy przeżywaliście mnie dziewczyną!

Obrażeni uczniowie rzucili się z hałasem na Belizariusza i Jana Armeńczyka. Ale Andrzej postawił torbę z książkami i przybiegł na pomoc, a tymczasem Paleolog poszedł, żeby sprowadzić odsiecz. Szybko zjawił się zastępca nauczyciela i zapobiegł dalszej awanturze, każąc Rufinusowi pogodzić się z Belizariuszem.

Rufinus oprzytomniał po zadany mu ciosie, a będąc chłopcem o szlachetnym usposobieniu, powiedział, że podziwia Belizariusza za pomszczenie tego, co wydało mu się zniewagą wobec jego preceptora. Zaproponował Belizariuszowi:

- Gdybyś ze swoim kolegą chciał wstąpić do stronnictwa zielonych, przyjmimy cię bardzo chętnie.

Uliaris krzyknął:

- Nie, oni przyłączą się do nas. Myśmy pierwsi za proponowali!

Było rzeczą niesłychaną, by dwaj przywódcy stronnictw, tacy jak Uliaris i Rufinus, współzawodniczyli o zjednanie sobie nowego chłopca. Zazwyczaj jedynie

z wielkimi trudnościami i z pomocą łapówek można było otrzymać pełne członkostwo. Zwykle kandydat musiał czekać przez wiele miesięcy jako tak zwany sympatyk stronnictwa, które wybrał.

Belizariusz podziękował Rufinusowi za zaproszenie, ale wytłumaczył, że jest biały. Jan Armeńczyk uczynił to samo. Rufinus roześmiał się. Nie wyglądał na obrażonego, lecz powiedział:

- Jeśli wasza ogromna biała armia potrzebuje pomocy przeciwko błękitnym, pamiętajcie, jacy sprzymierzeńcy mogą wam pomóc.

Awantura skończyła się bardziej pokojowo, niż się zaczęła, a gdy chłopcy usłyszeli, że Belizariusz i Jan Armeńczyk walczyli przeciwko Kapadokom, dorosłym mężczyznom, zaczęli traktować ich z szacunkiem. Belizariusz zaprzyjaźnił się zarówno z Uliaristem, jak i Rufinusem, a nawet udało mu się ich skłonić, by działali razem, gdy był przywódcą w jakiejś awanturze. Odegrali ważną rolę w słynnej bitwie na śnieżki rozegranej pod dowództwem Belizariusza przeciwko chłopcom z pobliskiej szkoły klasztornej.

Historia ta, chociaż dziecinna, wydaje się interesująca. Uczniowie zakonnej szkoły byli oblatami - to znaczy dziećmi przeznaczonymi przez rodziców do zakonnego życia. W murze klasztornym znajdował się wylot, z którego zwykle oblaci, uzbrojeni w kije jak egipscy zakonnicy z pustyni Synaj, wyskakiwali na chłopców cesarskiej szkoły wracających z domowych obiadów i bili ich złośliwie. Pewnego śnieżnego dnia Belizariusz, wysławszy Jana Armeńczyka i Uliarisa na przynętę, ściągnął znaczną ilość oblatów w zasadzkę do składu drzewa należącego do ojca Rufinusa. Tu zarówno błękitni, jak i zieloni, pojednawszy się na tę okazję, prawie zmiażdżyli wszystkich śniegiem i wzięli do

niewoli dwudziestu chłopców, zamykając ich w szopie zapaśniczej na dziedzińcu szkoły cesarskiej. Lecz nie-szczęśliwym trafem Uliarisa złapano w pobliżu wyłomu w murze.

Wśród uczniów, którzy owego dnia walczyli pod wodzą Belizariusza, znajdował się mały oddział „sprzymierzeńców”: mianowicie czterech czy pięciu niewolników (między nimi Andrzej) i kilku biednych chłopców zwanych „serwitorami”. Nie byli to pełnoprawni uczniowie, lecz pozwalano im siedzieć w głębi klasy i słuchać lekcji za darmo. W zamian za to wykonywali różne grubsze roboty takie, jak czyszczenie ustępów szkolnych, sprzątanie w klasie, kiedy lekcje się skończyły, i dolewanie atramentu w miarę potrzeby. Wygładzali również wosk na tabliczkach uczniów, a w zimie pilnowali paleniska, które ogrzewało rury z wodą pod podłogą szkoły. Na tych serwitorów normalni uczniowie patrzyli z góry i traktowali ich jak intruzów. Lecz Belizariusz obiecał im, że jeśli będą walczyli dzielnie i słuchali rozkazów, postara się o poprawę ich warunków.

Teraz stanął na czele „sprzymierzeńców” i poprowadził ich biegiem ku klasztorowi, do tylnej bramy za kuchnią. Było to o tej godzinie, kiedy małej gromadce biednych w różnym wieku pozwalano wchodzić do klasztoru na charytatywny posiłek, składający się z zupy, spleśniałego chleba i odpadków mięsa. Belizariusz i jego grupa weszli spokojnie, udając żebraków, ale potem otoczyli kuchnię, przeczesali klasztorny ogród warzywny, gdzie nie spotkali nikogo, i dotarli do budynku szkolnego po drugiej stronie. Tu znaleźli w szopie Uliarisa ze związanymi rękami i nogami i zakrwawioną głową. Nie pilnowano go, albowiem nieprzyjaciel trwożnie zgromadził się przy wyłomie w murze zastanawia-



jąc się, co robić, by odzyskać złapanych do niewoli kolegów. Uliaris domagał się natychmiastowego zaatakowania oblatów od tyłu. Ale Belizariusz uznał tę propozycję za niewłaściwą, ponieważ, mając odcięty odwrót, oblaci zawołaliby na pomoc mnichów i świeckich braci. Był za natychmiastowym wycofaniem się tą samą drogą, którą przybyli.

Tak więc uciekli zabierając ze sobą jako legalny łup jabłka, orzechy, pierniki i ciastka z tornistrów wiszących w szopie. Działo się to w zapusty, kiedy oblatom dawano porcje słodczy, by pogodzić ich z przyszłymi wyrzeczeniami wielkiego postu. Śpiewając hymn zwycięstwa wrócili do szkoły i tam dokonali sprawiedliwego podziału łupu wśród uczniów. Ale Belizariusz nie pozwolił, by dano cośkolwiek tym nielicznym chłopcom, którzy uchylali się od walki, wskutek czego jeden z nich, mały Apion, najbardziej pilny uczeń Maltusa, powziął trwałą niechęć do Belizariusza. Jeśli chodzi o dwudziestu wziętych do niewoli oblatów, wypuszczono ich na polecenie Maltusa, lecz zostali ekskomunikowani na cały miesiąc przez swego opata.

Belizariusz (którego matka w tym czasie umarła) wyrósł na wysokiego, silnego młodzieńca o szerokich barach. Rysy miał szlachetne i regularne, włosy czarne, gęste i kędzierzawe, uśmiechał się szczerze, a śmiał się serdecznie. Jedynie po nieco wystających kościach policzkowych można by odgadnąć jego barbarzyńskie pochodzenie. Nauczyciele chwalili go za żywą uwagę, z jaką poświęcał się nauce, a kolegom imponowała jego odwaga i zręczność w zapasach i piłce nożnej. Był również doskonałym pływakiem. Ze starszych uczniów uformował mały oddziałek kawalerii, wypożyczając im konie ze swego majątku, jeśli sami nie mogli sobie sprawić wierzchowców, i szkolił ich w parku swego

wuja. Ćwiczyli się głównie w strzelaniu z łuków i władaniu włócznią na wypchanych workach, zwisających z gałęzi dębu. Ale urządzali również turnieje i potyczki na tępą broń, a nawet miniaturowe bitwy morskie w łodziach na rzece Hebrus, która przepływa koło Adriano-pola. W ten sposób stali się doskonałymi żołnierzami, zanim jak jeden mąż wstąpili do szkoły kadetów w Konstantynopolu, pogardzając służbą urzędniczą. Niektórzy z nich - synowie kupców - pozbawieni prawnie możliwości opuszczenia dziedzicznego zawodu, musieli najpierw zdobyć sobie wyjątkowe zezwolenie, dając łapówki urzędnikom w pałacu cesarskim.

## Rozdział II

### UCZTA MODESTA

Pisałem już o wuju Belizariusza, Modeście, o jego rzymskich obyczajach i sztucznym, retorycznym sposobie wystawiania się, pełnym kalamburów i ukrytych aluzji. Spotkałem go tylko raz, prawie sześćdziesiąt lat temu, ale potem Belizariusz często odnawiał moje wspomnienia, gdyż jedną z jego ulubionych rozrywek było naśladowanie Modesta dla rozśmieszenia mojej pani Antoniny. Ponadto odziedziczyłem tom poematów Modesta oraz tom w pocie czoła skomponowanych listów w stylu Pliniusza, oba dedykowane Beliza-riuszowi. A kiedy byłem w Rzymie podczas oblężenia, spotykałem wielu szlachetnych Rzymian, którzy mówili i zachowywali się w bardzo podobny sposób, tak że dobrze znam ten typ ludzi.

Sceną opisywanych wydarzeń jest jadalnia w willi Modesta. Obecni: sam Modestus, obywatel Szymon, dyrektor szkoły Maltus, trzech innych miejscowych dygnitarzy, Bessasz (potężny, dzielny oficer gockiej jazdy zakwaterowanej w mieście), Symmachus (ateński profesor filozofii), Belizariusz, kończący teraz cztertnasty rok życia, wraz z Rufinusem, Janem Armeńczykiem, Uliarisem i preceptorem Paleologiem. Wszystko jest urządzone dokładnie w starym rzymskim stylu, albowiem Modestus, jako znawca starożytności, nie popełnia omyłek: potrafi usprawiedliwić wszystko, cytując te-

go czy innego łacińskiego autora ze złotego wieku. Goście czują się odrobinę niepewnie, szczególnie wierzący chrześcijanin Szymon: są nieco zgorszzeni lubieżnością fryzu wymalowanego między oknami a sufitem - jego tematem jest bóg Bachus i jego pijacki powrót z Indii. Stosownie do życzenia, które Modest wyraził w swoim zaproszeniu, większość gości ubrała się według rzymskiej mody w białe tuniki o krótkich rękawach. Lecz obywatel Szymon dochowuje wierności szarej wełnianej bluzie i luźnym spodniom, jakie nosi każdy zwykły świecki mieszkaniec Tracji, a Bessasz ma na sobie lnianą tunikę w szerokie poprzeczne pasy, żółte i zielone, oraz spodnie skórzane, albowiem jest Gotem. Bessasz ma również brązowożółty płaszcz wojskowy, spięty wielką ametystową broszką, która iskrzy wspaniale, gdy na nią padnie światło. Spoczywają na sofach wokół okrągłego stołu ze starożytnego sumaku, co Bessasz uważa za niewygodne, będąc przyzwyczajony do siedzenia na twardej ławce przy wojskowych posiłkach. Zazdrości chłopcom, których jako małoletnich umieszczono na krzesłach, a nie na sofach, przy bocznym stoliku. Mija właśnie godzina czwarta na wodnym zegarze Modesta, z którego jest tak bardzo dumny, a który bardzo kiepsko wskazuje czas, i greccy służący wnoszą przekąski; oliwki, siekane pory, młode cebule, tuńczyki w occie, krewetki, pokrajaną kiełbasę, pietruszkę, małże. Maltusa mianowano podczaszym, lecz Bessasz ze względu na wysoki stopień wojskowy zajmuje konsularne miejsce na samym rogu półksiężycy, w jaki ustawione są sofy. Symmachus, filozof, czuje się dotknięty, że tego rodzaju zaszczyt przypadł brązowożółtemu płaszczowi barbarzyńcy Bessasza, a nie szaremu płaszczowi profesorskiemu, lecz nie śmie otwarcie okazać swych uczuć.

Do obowiązków Maltusa należy pilnowanie, żeby czara każdego z ucztujących była pełna, oraz regulowanie proporcji wina i wody. Można mu zaufać, że szepnie służącemu z dzbanem wina i garnkiem wody „Więcej wina”, gdy rozmowa toczy się sztywno i chłodno, lub: „Więcej wody”, jeśli rozmowa staje się zbyt swobodna albo kłótliva i umysły potrzebują ochłody. Tancerka z konstantynopolitańskiego teatru w różanym wieńcu na głowie, z gołymi nogami i w bardzo krótkiej tunice, roznosi puchary, żartując przy tym dowcipnie.

Teraz obywatel Szymon mówi coś półgłosem do Paleoioga (który spoczywa po jego lewej stronie) i wskazuje fryz krytycznym ruchem głowy. Paleolog odpowiada ostrzegawczym grymasem, a Modestus wykrzykuje:

- Hej, panowie, czy tak się przejawia koleżeństwo na uczcie? Czyż Petroniusz, arbiter *elegantiarum*, nie stwierdził przed setkami lat w swej sławnej satyrycznej powieści, że przy wytwornym stole wszystkie obraźliwe komentarze należy wypowiadać głośno? A więc proszę, śmiało! Uważacie, że czegoś brak mojemu fryzowi? Jest to reprodukcja dokonana przez utalentowa

nego współczesnego kopistę z większego dzieła Gorgasa, malarza fresków. Oryginał znajdował się w Koryncie, lecz teraz uległ zniszczeniu, przez co ta kopia jest podwójnie cenna dla mnie i dla wszystkich znawców.

Kontynuuje śpiewnym głosem:

- Zwróćcie uwagę, jak Bachus spustoszywszy Indie, kraj, gdzie mędrcy zwani fakirami, nadzy z wyjątkiem przepaski na biodrach, śpią (modląc się do swych bogów) bez żadnego podparcia w powietrzu, trzy stopy nad spieczoną ziemią, po której pełzają węże... jak wielki Bachus, wiecznie młody, zaprzęga tygrysy do swego triumfalnego rydwanu, uwieńczony liśćmi wina, trzy-

mając w dłoniach lejce z winorośli! Z jego kędzierzawej głowy wyrastają złote rogi, symbol męstwa, w kształcie piorunu - tego samego piorunu, w postaci którego Jowisz posiadał zdumioną Semele, matkę Bachusa. Zwróćcie uwagę, że gładkie skronie boga uwieńczone są makiem...

- Przepraszam, że przerywam w sposób tak grubiański twe zachwycające i wymowne wyjaśnienia - wtrąca Maltus (widzi, że goście wypiwszy dotychczas niewiele, zaczynają się niecierpliwic wobec perspektywy straszliwie rozwlekłego klasycznego wykładu, i wie, jak uciszyć Modesta) - to nie mak, lecz asfodele artysta zamierzał przedstawić. Makówki są właściwe dla Morfeusza, Cerery i Persefony, lecz asfodel jest kwiatem Bachusa. Gorgasus był zbyt wykształconym artystą, by po pełnić taką omyłkę w atrybutach kwiatowych. - Po czym woła szybko do służącego: - Chłopcze, nalej je szcze, ale samego wina!

Modestus usprawiedliwia się: oczywiście myślał o asfodelu - po prostu język mu się zaplątał, cha, cha! Ale jego pewność siebie została podważona, nie ośmiela się skończyć swego przemówienia.

Szymon robi uwagę, że półnagie kobiety w orszaku Bachusa nie są właściwą ozdobą dla chrześcijańskiej jadalni. Człowiek patrząc na nie, może sobie wyobrazić, iż znajduje się w burdelu w Tyrze czy Sydonie, czy którejkolwiek innej pogańskiej miejscowości.

- Nigdy nie byłem klientem takich spelunek - mówi Modestus ostro - ale może ty znasz je lepiej. Jednocześnie pozwól mi powiedzieć, że stosunek do nagości uważam za jeden ze sprawdzianów cywilizacji. Barbarzyńcy nienawidzą widoku własnych nie ubranych ciał, zupełnie tak samo jak śpiewające, niepiśmienne, dzie bractwa mnichów.

Nikt nie podejmuje wyzwania w sprawie mnichów, nawet Szymon, lecz Bessasz odpowiada sztywno:

- My, Goci, uważamy widok nie ubranego człowieka za śmieszny, tak jak ty, Modeście, śmiejesz się z ludzi, którzy nie potrafią napisać własnego imienia... jak wielu szlachetnych Gotów, a ja między nimi.

Modestus mimo swych dziwactw jest człowiekiem dobrodusznym i nie chce zaczynać sporu z gościem. Zapewnia Bessasza, iż jest zaskoczony, że człowiek o tak szlachetnym imieniu nie potrafi skreślić go na papierze czy pergaminie.

- A po co zostali stworzeni greccy sekretarze? - śmieje się Bessasz, gotów do zgody.

Następnie Modestus mówi swoim trackim gościom, jak jest dumny z tego, że będąc wprawdzie Rzymianinem wysokiego stanu, mieszka jednak w Tracji - niegdyś ojczyźnie muzyka Orfeusza i kolebce szlachetnego kultu Bachusa.

-Te nagie kobiety, Szymonie, to twoje prababki, trackie kobiety, które nabożnie rozszarpały na kawałki króla Penteusza, ponieważ pogardził boskim darem wina.

-Moje prababki nosiły długie, grube, przyzwoite suknie! - wykrzykuje Szymon, a jego oburzenie wzbudza powszechny śmiech. Po sprzątnięciu zakąsek tancerka daje ciekawy pokaz akrobatycznego tańca. Po mnóstwie skoków i łamańców nagle staje i idzie na rękach, a następnie, wyginając ciało w łuk i przerzucając nogi nad głową, podnosi stopami jabłko z podłogi. Idąc dalej na rękach, a nawet stukając dłońmi do taktu pieśni o jabłku, którą śpiewa - udaje, że zastanawia się, komu ofiarować owoc. Ale w głębi serca dawno już się zdecydowała: kładzie jabłko na stole koło młodego Be-lizariusza, który czerwieni się i chowa jabłko za tunikę.

Szymon cytuje werset z *Genesis*, w którym Adam mówi: „Niewiasta dała mi z drzewa, i jabłkiem”, a Modestus wiersz Horacego: „Galatea, rozpustna dziewczyna, rzuca we mnie jabłkiem”, i wszyscy dziwią się tej zgodności świętej i świeckiej literatury. Ale tancerkę (jest nią moja pani Antonina) zdumiewa nagła sympatia, jaką czuje do tego wysokiego, przystojnego młodzieńca, który patrzy za nią z takim niewinnym podziwem, jak podobno Adam przyjrzał się pierwszy raz na Ewę.

A ta sympatia, myślę, jest bardzo bliska miłości -uczucia, przed którym zawsze ostrzegała matka mojej pani, uważając je za przeszkodę w jej zawodzie. Antonina miała wtedy prawie piętnaście lat, była o rok starsza od Belizariusza, a od trzech lat wiodła już bujne życie seksualne, czego nie mogą uniknąć tancerki. Będąc zdrową, żywą dziewczyną doskonale się bawiła i nie cierpiała na żadne złe skutki takiego trybu życia. Ale przyjemność z mężczyznami jest zupełnie inną sprawą niż miłość do mężczyzny, a po spojrzeniu, jakie jej rzucił Belizariusz, poczuła nie tyle żal z powodu życia, które dotychczas prowadziła - skrucha jest uznaniem winy, a Antonina nigdy nie doznawała czegoś podobnego - lecz nagłą nieśmiałość, jak gdyby odpowiadającą nieśmiałości Belizariusza, a jednocześnie dumę z samej siebie.

Przez cały czas siedziałem z dala na podłodze, by w razie potrzeby pomóc mej pani, podając jej, gdy klasnęła w ręce, stroje czy inne potrzebne przedmioty.

Modestus podsumował swój ogromnie nieścisty opis fryzu:

- ...A tam, zwróćcie uwagę, idzie jeniec wesołego boga wina, bóg rzeki Ganges o zielonych wodnistych oczach, jego policzki są zroszone łzami, które ogromnie wpływają na przybór wyschłej z gorąca rzeki. Za



nim orszak czarnych więźniów niosących tace wyładowane różnymi skarbami, jak kość słoniowa, mahoń, złoto i błyszczące klejnoty, szafiry, sardoniksy zdarte z czarnych jak kruki piersi...

Moja pani Antonina zdobyła sobie wdzięczność wszystkich obecnych, wołając, by jej podać flet.

Z powolnym, uroczystym akompaniamentem śpiewała pieśń miłosną, dzieło syryjskiego poety Meleagra. Pod koniec, nie obracając się do Belizariusza, rzuciła mu tylko wymowne spojrzenie, a on poczerwieniał na twarzy i karku, a potem zbladł. Sądzę, że nigdy w życiu nie śpiewała lepiej, i na jej cześć rozległo się wielkie po-brzękiwanie pucharami. Nawet Szymon zawołał: „Brawo!”, choć nie dbał zbyt o pogańską muzykę i próbował zachować obojętny wygląd, kiedy dziewczyna tańczyła. Filozof Symmachus gratulował Modestowi wołając:

- Zaprawdę, pokazałeś nam rzadkie zjawisko - śpiewaczkę, która potrafi utrzymać zarówno instrument, jak i głos we właściwej tonacji, prawidłowo akcentuje słowa, przekłada Meleagra nad nonsensowne ballady uliczne i jest piękna. Nie słyszałem ani nie widziałem lepszej nawet w Atenach. Chodź, dziewczyno, pozwól, by wdzięczny starzec cię uścisnął!

Gdyby to Belizariusz wystąpił z takim zaproszeniem, moja pani znalazłaby się jednym skokiem na jego kolanach i oplotłaby go ramionami. Ale nie miała łask dla chudego, zasapanego, pedantycznego starego Symmachusa; spuściła tylko oczy. Do końca uczy, chociaż śpiewała, tańczyła i żartowała jak nigdy dotychczas, nie pozwalając nikomu na żadne poufałości - nawet Bessaszowi, choć był mężczyzną światowym, przy-stojnym i silnym i bez wątpienia w innym przypadku chętnie spędziłaby z nim noc. Zachowywała się skro-

mnie i nie było to żadne udawanie, albowiem nie czuła swej zwykłej śmiałości.

Kiedy służący wnoszą na półmiskach ze starożytnego srebra główne dania - pieczoną baraninę, gęś, szynkę, kotlety z ryby - Modestus promienieje z zadowolenia. Zaczyna długą, zawikłaną mowę, polecając Bessa-szowi swego siostrzeńca Belizariusza jako młodego człowieka, który zamierza poświęcić się orężnym sprawom i który, jak jego wuj ma nadzieję, przywróci dawny blask wojskowej chwale Rzymian.

- Minęło wiele lat od czasu, jak żołnierz z krwi i kości dowodził armiami cesarza. Obecnie wszystkie wyższe stanowiska wojskowe jakimś sposobem dostały się w ręce wynajętych barbarzyńskich Gotów, Wandalów, Gepidów, Hunów, Arabów - a rezultat jest taki, że stary rzymski system wojskowy, dzięki któremu ongiś zbudowano największe imperium świata, ostatnio zdegenerował się nie do poznania.

Paleolog, który leży obok Bessasza, dochodzi do wniosku, że musi go pociągnąć za pasiąstą tunikę i szepnąć:

- Najszlachetniejszy z ludzi, nie zwracaj, proszę, uwagi na to, co mówi nasz gospodarz. Jest pijany, po myłony i tak staromodny w swym sposobie myślenia, że prawie można by go nazwać wariatem. Nie obraża cię świadomie.

Bessasz chichocze:

- Nie bój się, stary. Jestem jego gościem, wino jest dobre, a baranina świetna. My, barbarzyńcy, możemy pozwolić Rzymianom, by trochę ponarzekali na nasze sukcesy. Nie rozumiem jednej czwartej z jego żargonu, ale przynajmniej tyle rozumiem, że narzeka.

Modestus niekonsekwentnie przerzuca się na inny temat, wskazując na bliskie podobieństwo jego willi -

czy Maltus to zauważył? - do ulubionej willi słynnego pisarza Pliniusza.

-Sień wejściowa skromna, ale nie uboga, prowadzi do ukształtowanego w formie litery D portyku z takimi samymi oszklonymi oknami i wystającymi okapami jak u Pliniusza, skąd wchodzi się do wewnętrznego hallu i jadalni. W trzech ścianach znajdują się okna i dwuskrzydłowe drzwi. Ten sam zalesiony pagórek na południowym wschodzie; lecz na południowy zachód, zamiast widoku na morze jak u Pliniusza - podczas niepogody grzywacze podchodziły do samej jadalni, co musiało być zarówno niepokojące, jak i niedogodne - dolina rzeki Hebrus i żyzna tracka równina, ulubiona przez pijane wielbicielki Bachusa, które biegały z odkrytymi piersiami i rozwianym włosiem, niosąc w namiętnych dłoniach różdżki przybrane bluszczem i szyszkami. Zwróćcie uwagę, tak są przedstawione na fryzie tuż pod oknem; tę równinę ukochał również Orfeusz, opiewała ją jego lutnia, której dźwięki zmuszały do tańca nieruchome skały i zatrzymywały roztańczone wody... wody tego właśnie Hebrusa, co płynie w dole. Tego rodzaju uspokojenie wód nie udało się nikomu ani przedtem, ani potem...

-A kto rozdzielił Morze Czerwone? - wtrąca z oburzeniem Szymon. - A kto w późniejszych czasach przeszedł suchą nogą przez Jordan? A jeśli chodzi o tańczące skały, to czyż psalmista Dawid nie pisał: „Góry, wyskoczyłyście jako barani, a pagórki jako jagnięta”, zdumiony siłą swej świętej pieśni?

-Tracka równina - kontynuuje Modestus z grymasem pogardy - najpierw bezkrwawo anektowana dla Rzymu przez tego uczonego cezara, który zdobył mglistą Brytanię i przyłączył do imperium Maroko - nazywał się Klaudiusz - ach, wy, mówiący po grecku mie-

szkańcy wschodniej połowy naszego cesarstwa, wy, mieszały tłumie, nie zapominajcie, że to my, Rzymianie, a nie wy, półkwi Grecy, zdobyliśmy dla was posiadłości, którymi się teraz chlubicie. To nasi rodacy Mum-miusz, Paulus, Pompejusz, Agrypa, Tytus, Trajan...

-Najbardziej ofiarny zespół szlachetnych ludzi, jestem pewny - wtrąca bardzo sucho obywatel tracki, Milo. On również uważa za swój obowiązek ułagodzić Bessasa, do którego mruczy coś, zasłaniając usta dłonią.

-Pijmy, panowie - woła Maltus. - Musimy zacząć nową kolejkę. Na cześć Rzymu, naszej wspólnej matki!

Szymon zgadza się bezwzględnie:

- Jestem gotów, mistrzu. Wino, które płynęło pod czas ślubu w Kanie Galilejskiej, nie ustępowało co do ilości i jakości temu winu, a jeśli chodzi o te ryby, no, to cudowny połów ryb nie mógłby nigdy...

Tak więc jeszcze raz uniknięto nieprzyjemnego starcia, lecz Modestus nie mógł się powstrzymać od rozwijania dalej tematu niezwykłej rzymskiej armii.

- A teraz powiedzcie mi, moi uczeni przyjaciele z tego końca stołu i moi mężni przyjaciele z tamtego końca, na czym polegała tajemnica niespotykanych sukcesów rzymskich żołnierzy? Powiedzcie! Dlaczego wygrywali bitwę po bitwie w południowych piaskach i północnych śniegach przeciwko malowanym Brytyjczykom i kapiącym od złota Persom? Dlaczego Rzym, stolica świata, nie potrzebował murów obronnych, a prawie jedynymi twierdzami w całym cesarstwie były strażnice na odległych rubieżach? Dlaczego? Pozwólcie, że wam powiem, moi mężni i uczeni przyjaciele. Istniały trzy przyczyny. Przyczyna pierwsza: Rzymianie wierzyli swym widomym, opiekuńczym bogom, złotym orłom legionów, które ich chroniły

i których oni chronili, a nie żadnemu hipotetycznemu bóstwu w niebie nad chmurami. Przyczyna druga-, miotanie pocisków - ostrych oszczepów - porucali swym potężnym prawicom, nie zaś zawodnej cięciwie łuku. A w tych prawicach dzierżyli krótkie, przeznaczone do pchnięcia miecze, broń odważnego cywilizowanego mężczyzny, nie jakieś tchórzliwe włócznie czy tępy barbarzyński topór. Przyczyna trzecia: wierzyli swym własnym, pewnym nogom, a nie bojaźliwym nogom koni.

-Ho, ho, ho - śmieje się Bessasz. - Mój drogi gospodarzu, dostojny panie Modeście, czy przebaczysz mi mą szczerość, jeśli ci powiem, że gadasz głupstwa? Pozostawię bardziej nabożnym z towarzystwa rozważania nad tym twierdzeniem o potędze orłów jako bogów, które na pewno, choć nie uważam się za specjalistę w takich sprawach, jest nie tylko bluźniercze, lecz i przesadne. Jednak zupełnie nie zgadzam się z tobą w innych punktach. Po pierwsze, o ile zrozumiałem, pogardzasz łukiem jako bronią bez znaczenia...

-A czyż nie mam autorytetu Homera na poparcie tego mniemania? Homera, który przedstawia swych najszlachetniejszych bohaterów pod Troją, gdy zeskoczywszy z rydwanu walczą wręcz, oszczepem i mieczem? Łuk pod Troją był bronią zniewieściałego i zdradzieckiego Parysa i Salamińczyka Teucera, który krył się za tarczą swego brata Ajaksa i któremu później odmówiono pozwolenia na honorowy powrót do domu na pachnącej fiołkami wyspie, ponieważ nie pomścił śmierci Ajaksa, jak to uczyniłby każdy przywoity, walczący mieczem i tarczą wojownik. W jedynym na całe boskie dzieło Homera wierszu, gdzie występuje słowo „łucznik”, zostało ono użyte jako określenie szydercze. Diomedes nazwał Parysa w jedenastej księdze

„łuczniakiem, kuglarzem, fircykiem zwodzającym kobiety", przy czym „łuczniak" jest najgorszym wyzwiskiem z tego wszystkiego. Muszę powtórzyć, że łuczniak w poematach Homera chowa się za tarczą towarzysza, za wałem, kolumną czy kamieniem grobowym, a prawdziwy wojownik pogardza nim, jako maruderem uchylającym się od bitwy, jako czymś obcym sobie. Prawda, wy, uczeni? Maltusie, Symmachu, Paleologu, apeluję do was!

Wezwani przyznają, że Modestus zawsze prawidłowo cytuje i interpretuje Homera.

Ale Bessasz parska pogardliwie i domaga się dalszych uzupełnień:

- Powiedz nam o wojownikach rzymskich z wasze go złotego wieku. Wierzyli swoim nogom, prawda? Czy *to* przypadkiem nie dlatego, że byli takimi nie zręcznymi jeźdźcami?

Oko Modesta rozplómienia się.

- Piechur jest uznanym królem pola bitwy. Konie są użyteczne dla konnych zwiadowców albo do szybkiego przenoszenia generałów i ich sztabów z jednego punktu bitwy do drugiego, a także do ciągnięcia wozów i machin oblężniczych. Owszem - przyznaję - można przydzielić mały oddział kawalerii do każdej jednostki piechoty, aby rozpraszał harcowników nie przyjacielskich, którzy czasem niepokoją z flanków po suwające się niezłomnie naprzód szeregi naszych legionów. Ale starzy Rzymianie tak pogardzali służbą w kawalerii, że skoro tylko ich podboje pozwoliły na to, zmusili poddane narody, by wykonywały za nich te prymitywne zadania... podobnie, jak przestali sami orać czy uprawiać warzywa, powierzając takie zajęcia niewolnikom i ludziom niższej rasy. Czyż tak nie było, Maltusie, Symmachu, Paleologu?

Zgadzą się, że Rzymianie wcześniej zaczęli polegać na sojuszniczej kawalerii. Ale Malais, kierując się historyczną uczciwością i uprzejmością wobec Bessasza, dodaje:

- Jednak sądzę, że żaden naród nie pogardza tym, w czym celuje. Rzymska kawaleria nigdy nie była zbyt zręczna. W Hiszpanii, przy ostatniej okazji, kiedy występowwała w samodzielnej jednostce, uczyniła z siebie smutne widowisko - a przynajmniej tak czytaliśmy. Podobnie ani Grecy, ani Trojanie z czasów Homera nie byli chyba zbyt biegłymi łucznikami w myśl nowoczesnych wymogów. Naciągali cięciwę tylko do piersi (a nie do ucha jak Hunowie czy Persowie), a siła przebięcia ich strzał wydaje się niewielka. Przyszłaż, że Odyseusz spisywał się lepiej. Jednak strzelał do zalotników z bliskiej odległości, przy czym byli oni nie uzbrojeni i zaskoczeni.

Potem występuje Bessasz. Mówi wolno i z rozwagą, należąc do tego gatunku ludzi, których wino czyni ostrożnymi, a nie raptusami.

- Modeście, mój szlachetny gospodarzu, żyjesz w świecie od dawna umarłym, zamkniętym w tamtej szafie na książki. Nie masz pojęcia o istocie nowoczesnej walki. W każdym wieku pojawiają się ulepszenia. W obecnym wieku my, Goci, wynaleźliśmy udoskonaloną metodę walki. Nie chcę bynajmniej pomniejszać osiągnięć Rzymian, twoich przodków w dawnych czasach - są one niezaprzeczalne. Lecz bez wątplenia Rzymianie uczynili cnotę ze swej nieudolności w jeździe konnej, doskonaląc taktykę piechoty. Rzecz oczywista, że wygrywali bitwy po bitwach pomimo swej nieufności do koni, a nie dzięki niej. Gdyby byli dobrymi kawalerzystami i z właściwą sobie odwagą i rozsądkiem rozwijali kawalerię, może zdobyliby nie tylko cały świat za-

chodni, lecz prawdopodobnie Indie i Baktrię, a nawet Chiny, które leżą o rok podróży lądem. Lecz zamiast tego polegali na swej piechocie i w końcu ich armie natknęły się na dzielny naród, który jest również narodem kawalerzystów, ponadto naród posłuszny swym wodzom - gocki naród - mój naród. To był koniec rzymskich legionów. Te trackie równiny, szlachetny Modeście, widziały poważniejsze widoki niż pijane kobiety i tańczące skały. Szymonie, Milu, Teudasie (był to inny Trak, ziemianin), a także wy, chłopcy, jako przyszli żołnierze, mówię prawdę czy nie?

Przyznają, że mówi prawdę, a Teudas dodaje:

- Zaprawdę, Bessazu, masz rację: to musiała być okropna rzeź. Czterdzieści tysięcy rzymskiej piechoty wycięto w pień wraz ze wszystkimi oficerami i cesarzem Walensem na czele. Działo się to na polach należących teraz do mnie, jakieś osiem mil na północ od naszego miasta. Na trzydziestu morgach ornej ziemi pełno dotychczas kości, czaszek, ułamków zbroi, gro-tów, strzał i oszczepów, ułamków tarczy, a także złotych i srebrnych monet. Wyorujemy je co wiosnę.

Po tych słowach Modesta opuszcza nagle pewność siebie. Wielka bitwa pod Adrianopolem jest historyczną klęską, o której od czasu do czasu udawało mu się zapomnieć, lecz nigdy na długo. Tymczasem teraz odżyła znowu w pamięci przy jego własnym stole. Drży i spogląda błagalnie, szukając poparcia, i naraz mówi po prostu, bez żadnej przerośni:

- Zdradzono nas. To nasza lekka kawaleria tracka na lewym skrzydle uciekła pierwsza. Prawie wygraliśmy już bitwę. Nasi legioniści przebijali się przez barykadę nieprzyjacielskich wozów i za jakieś pół godziny spędziliby na pewno wrogów z pola - lecz nieoczekiwanie wrócili z wyprawy furazowej szwadrony ciężkiej



gockiej kawalerii i uderzyły jak burza na Traków, a oni rozbiegli się we wszystkich kierunkach. Tak więc Goci łatwo stratowali naszą sojuszniczą piechotę i zepchnęli niedobitki na dzielnych legionistów, pochłoniętych całkowicie walką przy wozach. Z kolei kawaleria, która miała ubezpieczać nasze prawe skrzydło (zdaje się, kawaleria z Azji Mniejszej), rzuciła się do haniebnej ucieczki i wreszcie cała barbarzyńska masa wyroiła się z za wozów. Zaatakowani z frontu, tyłu i flanków, zostaliśmy ściśnięci jak w gwałtownym uścisku rozwścieczonej górskiej niedźwiedzicy... Bessasz zgadza się:

- Większość legionistów nie mogła podnieść broni do ciosu, ponieważ była stłoczona ramię przy ramieniu jak tłum na hipodromie, a niektórych uniesiono nawet w powietrze. Oszczepy pękały, bo oszczepnicy nie mogli ich wyciągnąć ze stłoczonego, falującego tłumy, a niejeden nadział się przypadkowo na ostrze miecza swego kolegi z tylnego szeregu. Przez cały dzień, aż do zapadnięcia nocy, moi przodkowie - urodzeni jeźdźcy, odważni wojownicy, zręczni do włócznie i miecza - za bijali i zabijali. Nasza piechota sypała gradem strzał. Za kurzone pole stało się śliskie od krwi.

Modestus mruczy znowu, wielka łza spływa mu po policzku do pucharu z winem:

-Sojusznicza kawaleria zdradziła nas. To był koniec. Legiony walczyły aż do śmierci.

-Ależ, mój drogi Modeście - pyta Maltus - czyż to samo nie zdarzyło się już raz w przeszłości, podczas wojny z Kartaginą? Czyż ciężka kawaleria Hannibala nie rozbiła pod Kannami lekkiej kawalerii rzymskiej, wobec czego kawaleria naszych sprzymierzeńców na drugim skrzydle uciekła również? Czyż legionów nie stłoczono także w jedną masę i nie wyrżnięto? Rzymia-

nie powinni odnieść korzyści z tej lekcji. Gdyż choć nie byli urodzonymi jeźdźcami, jak się zgodziliśmy, nie byli również urodzonymi żeglarzami jak Kartagińczycy. Jednak, znalazłszy wyrzucony na brzeg kartagiński okręt wojenny, zbudowali inne na jego wzór i uczyli się walki morskiej w bezpiecznych portach, aż wreszcie wyszukali koło Sycylii nieprzyjacielską flotę i zniszczyli ją. Zamiast swych zgrabnych galickich kucyków powinni byli hodować grubokościste konie pociągowe, dosiąść ich szerokich grzbietów i wyszkolić ciężką kawalerię - w bezpiecznym miejscu, wśród murów Rzymu, jeśli potrzeba.

Bessaszowi robi się żal Modesta, który znowu płacze: - Odwagi, dostojny panie Modeście! To wy, Rzymianie, pierwsi nauczyliście nas, barbarzyńców, sztuki wojennej, z pomocą której pokonaliśmy was pod Adrianopolem. To wy nauczyliście nas koordynować ruchy wojsk i wykazaliście znaczenie zbroi ochronnej i walki w regularnych formacjach. My tylko zastosowaliśmy wasze nauki do walk kawalerii. A choć mieliśmy dość szczęścia, by pobić waszą główną armię, nie zniszczyliśmy waszego imperium. Dalecy byliśmy od tego! Zbyt podziwialiśmy waszą cywilizację, wasze bite drogi i wysokie budynki, wasze dobre jedzenie, pożyteczne rzemiosła i rozległy handel. Tak więc to wy w końcu nas podbiliście. Nasi wielmoże stali się zaprzysięgłymi giermkami waszego cesarza - następcy cesarza, którego zabiliśmy. W kilka lat później pomaszeroaliśmy z nim, by ocalić Italię przed zbuntowanymi Galami, i pobiliśmy ich w regularnych bitwach, znowu bitwach kawalerii przeciwko piechocie. Było to w czasach mojego pradziadka. Odtąd pozostajemy w imperium rzymskim, by chronić je przeciwko nowym narodom barbarzyńców, które naciskają na granicę, i prze-

ciwko starożytnym Persom, waszym sąsiadom. Ale Modestus nadal trwa w ponurym smutku. Przypomina sobie inne szczegóły bitwy. Legiony walczyły o pustym żołądku z powodu jakiegoś głupiego chrześcijańskiego postu...

Potem Belizariusz prosi Bessasza o głos, ponieważ jako niepełnoletni w zasadzie nie może odzywać się nie pytany. Bessasz kiwa głową na znak zgody, a Belizariusz wypowiada swą myśl, zająkując się nieco z zakłopotania:

- „Rzymianie” to nazwa przysługująca setkom tysięcy ludzi, którzy nigdy nie widzieli miasta Rzymu i nigdy go nie zobaczą. Tak było, jak sądzę, również w najświetniejszych dniach imperium. Być Rzymianinem, to nie znaczy być obywatelem Rzymu, miasta w Italii, lecz obywatelem świata. Rzymscy legionści, którzy zginęli z Walensem, byli Galami, Hiszpanami, Brytyjczykami, Dalmatyńczykami i tym podobnie. Rodowitych Rzymian na pewno znajdowało się wśród nich nie więcej niż kilkuset. I nie sądzę, że gocki lansjer osiągał doskonałość w ekwipunku i taktyce wojskowej. Gocki lansjer to dzielny wojownik, a jego szarża jest straszliwa ze względu na wagę konia i ciężkiej zbroi - kirysu, tarczy, hełmu, nagolenników. Ale Hun jest również doskonałym jeźdźcem i odważnym wojownikiem i potrafi sypać gradem strzał, pędząc w pełnym galopie, jedynie jego koń jest zbyt lekki dla rycerza w pełnej zbroi. Tak więc Hun również nie osiągnął doskonałości. Jednak, szlachetny Bessaszu, czyż to nie strach przed Hunami wypędził Gotów za Dunaj, do naszej Tracji? Wasi piesi łucznicy nie mogli im dorównać, a wasi lansjerzy ustać pod chmarami ich strzał. Tak więc, przypuśćmy, że gdyby ktoś połączył huńskiego łuczownika i gockiego lansjera w jednego żołnierza, ucywilizował go jak Rzymiani-

na i poddał właściwej dyscyplinie wojskowej, to, myślę, byłby gatunek żołnierza tak bliski doskonałości, jak tylko możliwe. I taki żołnierz byłby Rzymianinem zarówno z imienia, jak i ducha. Zamierzam któregoś dnia dowodzić takimi oddziałami.

Belizariusz mówił tak szczerze i z takim rozsądkiem, że wszyscy oklaskiwali go głośno, a serce mojej pani Antoniny zwróciło się nagle ku niemu w niewątpliwej miłości.

Kiedy -wniesiono deser, Antonina odtańczyła taniec miecza w starym spartańskim stylu. Dysputa dobiegała teraz końca, bo wszyscy uświadomili sobie, że Belizariusz wypowiedział ostatnie słowo, które należało wypowiedzieć, i że przyszłość sztuki wojennej zależy od niego i jego małoletnich kolegów. Modesais zawołał do siebie siostrzeńca i uściskał go po pijanemu.

- Kiedy umrę - powiedział - ta willa będzie twoja... ze stołami, posadzką, fryzem i wszystkim. Nie mógłbym oddać jej w lepsze ręce. - Istotnie, biedak umarł niebawem i dotrzymał słowa. Posiadłość ofiarowana Belizariuszowi była bardzo cenna.

Niewiele da się powiedzieć o dalszym przebiegu uczty, która trwała do późnej godziny. Wszyscy z wyjątkiem mojej drogiej pani i Belizariusza bardzo się upili - nawet Maltus - a młody Uliaris zaczął bardzo hałasować i wymachiwać nożem do krajania mięsa, tak że trzeba go było rozbroić. Modestus zaczął jeszcze raz swe mętne wywody i tak się w nich zaplątał, że zyskał prawie taki sam aplauz jak moja pani w ostatnim tańcu, kiedy powykrecała się w ten sposób, iż jej nogi wydawały się ramionami, a brzuch pośladkiem. Wypiwszy zbyt wiele wina Modestus zapomniał zupełnie, że jest chrześcijaninem, i pozwalał sobie na najbardziej skandaliczne obelgi i bluźnierstwa wobec Syna Bożego,

wszystko jedno czy o pojedynczej, podwójnej czy wielorakiej naturze - chociaż traktował z szacunkiem Boga Ojca, identyfikując go, oczywiście, z Jupiterem, najwyższym bóstwem swego narodu. Opowiadał, jak to wyparcie się starych bogów i przyjęcie galilejskiego uzurpatora spowodowało ruinę Rzymu, bowiem niemrawa filozofia chrześcijańska przeżarła i zniszczyła imperium, tak że dla obrony państwa trzeba było przyjmować niepiśmiennych barbarzyńców nie tylko na niższe stopnie wojskowe, ale także na stanowiska pułkowników i generałów, a nawet dowódców armii.

A teraz, skoro już jesteśmy przy tym temacie, pozwólcie mi przytoczyć z księgi poematów Modestusa przykład łacińskiego hendekametru - miary rytmicznej, którą najbardziej lubił. Zobrazuje on zarówno słabość, jak i niekiedy siłę wierszy Modesta. Słabość polega na częstych aliteracjach i grze słów: *cuneus* - kolumna wojska albo falanga i *cuniculus* - królik; *rupibus* - skały i *ruptis* - złamany; *late* - szeroko i *latet* - czatuje. Jego siła wychodzi na jaw wtedy, kiedy reaguje na antytetyczny kontrast (triumf królików, to znaczy chrześcijan, wskutek ich tchórzostwa niegodnego wojowników) z szlachetnym i szczerym obrzydzeniem. Chorazin (czyli Korozaim), o ile wiem, jest wsią w Galilei, którą Jezus przeklął, lecz autor używa tej nazwy w znaczeniu „Galilea” jako część zamiast całości, stosownie do konwencji poetyckiej:

DE CUNICULOPOLITANIS *Ruptis*  
*rupibus in Chorazinanis Servili*  
*cuneo cuniculorum Late qui latet,*  
*allocutus isto Adridens BASILEUS,*  
*inermis ipse...*

## O KRÓLIKOPOLITANACH

Wśród skał Korozaim do królików stada, Co tam króluje, „Bać się dzielność miejcie -Niemrawy KRÓL PAN z uśmiechem powiada -Jeśli wasz wróg nie uciekł, szybko wiejcie."

Więc do Wiecznego Miasta kłapią kłapouchy,  
Tam w katakumbach kryje się ich plemię, W  
pomroce pleni się, napełnia brzuchy, Wciąż w  
liczbę wzrasta, podkopuje ziemię.

Królicze nory, dzikich dysput osty Niszczą  
rolnictwo na naszej rubieży, Już pług nie  
orze, a rzymski miecz prosty Nie gromi  
zbrojnych zbirów jak należy.

Rychło króliki ze swych nor się roją,  
Konstantyn sobie wziął króliczą żonę, Omyk  
przyczepił na purpurę swoją, Na długie  
słuchy zamienił koronę.

Królikopolitanie, tchórze marni, Wciąż  
opłacacie łasicę i liska, Żeby wam waszych  
strzegły królikarni, Toteż krew często z  
waszych futer tryska.

Następnego ranka moja pani była bardzo zamyślona i milcząca, a ja spytałem, co ją trapi. Odpowiedziała:

-Zauważyłeś tego chłopca, Belizariusza? Wczoraj w nocy po uczcie wyznał mi swą miłość.

-To przecież nic złego, prawda, pani? - spytałem.

- Takie dziwne wyznanie! Eugeniuszu, wyobraź sobie, on mówił, że się ze mną ożeni, jeśli będę miała cierpliwość czekać na niego, a tymczasem nie spojrzysz na żadną inną kobietę. Czternastoletni chłopiec! Rze czywiście! Ale jakoś nie mogłam się śmiać.

-Co mu odpowiedziałaś?

-Spytałam go, czy sobie uświadamia, kim jestem -publiczną tancerką, córką woźnicy cyrkowego, mega-rejskim sfinksem, a on odpowiedział: „Tak -perłą z błotnistej muszli.” Najwidoczniej nie uświadamia sobie, że małżeństwo między mężczyzną tej rangi i kobietą mojego zawodu jest zabronione przez prawo. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć biedakowi. Nie mogłam go nawet pocałować. Głupia sytuacja.

-A teraz płaczesz, pani. To jest jeszcze głupsze.

-Och, Eugeniuszu, czasami chciałabym już umrzeć! -krzyknęła. Jednak ten atak melancholii minął szybko, gdy wróciliśmy do Konstantynopola.

A oto historia, jak stałem się niewolnikiem tancerki Antoniny, mojej pani:

Był syryjski kupiec z Akry, imieniem Barak, który handlował chrześcijańskimi relikwiami. Jeśli któraś z tych relikwii była prawdziwa, mogło się to zdarzyć tylko przypadkowo, albowiem nie pamiętam, by kiedykolwiek sprzedał jakiś przedmiot, za który by musiał przedtem drogo zapłacić. Główny jego talent polegał na nadawaniu bezwartościowym przedmiotom pozorów świętości. Na przykład udając się w podróż do Irlandii wiózł ze sobą relikwię, którą z całym zadufaniem przypisywał świętemu Sebastianowi, męczennikowi z czasów Dioklecjana. Był to zniszczony wojskowy but (bardzo stosowny, ponieważ Sebastian był kapitanem), znaleziony w rowie przydrożnym na przedmieściu Aleksandrii. Barak zadał sobie trud wyciągnięcia zardzewiałych gwoździ z obcasa i zastąpienia ich złotymi oraz zasznutowania wierzchu purpurową jedwabną tasiemką. Poza tym wynalazł szkatułkę z cedrowego drzewa z purpurowymi brzegami, w której umieścił tę wspa-

niałą relikwią. Wziął też ze sobą szorstką i ciężką przepaskę świętego Jana Chrzciciela, zamkniętą w koszyczku ze srebra i kryształu. Przepaska nie była z płótna, lecz z azbestu - substancji, którą można prząść i tkąć z niej grube ogniotrwałe płótno. Dla ciemnych Irlandczyków był to niezaprzeczalny cud, że przepaskę można wsadzić do wielkiego ognia, a ona ani nie zmienia koloru, ani się nie rozpada. Miał również ze sobą pokrytą klejnotami goleń umęczonego świętego Szczepana, a także kręgosłup rekina, o kręgach połączonych złotym drutem, i mówił, że jest to kręgosłup olbrzyma Goliata, zabitego przez Dawida. Posiadał zaokrąglony kawałek kamiennej soli, oprawny w srebro, który ogłosił za ramię żony Lota, a także wiele innych podobnych cudów. Kosztowność opraw wydawała się potwierdzać autentyzm, a Barak miał ze sobą wypisane na pergaminie świadectwa wschodnich biskupów, omawiające szeroko cudowne uzdrowienia, jakie już zdarzyły się za pomocą tych relikwii. Wszystkie te świadectwa były sfalszowane. Królikowie irlandzcy zapłacili olbrzymie sumy, by osiąść na własność takie skarby, i niebawem z kościołów, gdzie je umieszczono, nadchodziły wieści o wielu cudach.

Barak wracał przez Kornwalię, najbardziej wysunięty na zachód cypel Brytanii, i zawadził po drodze o wyspy na Kanale, gdzie kupił mnie od kapitana saskich piratów. Skończyłem wtedy sześć lat. Miałem na imię Goronwy, syn Gerainta, brytyjskiego szlachcica. Sasi porwali mnie wraz z moją młodą niańką, wylądowawszy niespodziewanie w ujściu Sewernu. Przypominam sobie szarą, porośłą żółtym lichenem wieżę zamku mojego ojca, a także samego ojca jako ponurego mężczyznę o czarnej brodzie, ubranego w pstry płaszcz i farbowane szafranem spodnie oraz złoto-bursztynowy łańcuch



na szyi. Pamiętam też harfiarzy w wysypanym sito-  
wem hallu, a nawet niektóre urywki z ballad, jakie  
śpiewali.

Mój pan Barak głodził mnie i traktował bardzo  
okrutnie. Zabrał mnie z sobą do Palestyny, gdzie zmie-  
nił moje imię na „Eugeniusz” i wykastrował mnie. Po-  
tem pieniędzmi, które zarobił w Irlandii, przekupił bi-  
skupów opiekujących się świętymi miejscami, tak że  
mianowali go generalnym inspektorem zabytków i  
przewodnikiem pielgrzymów. Za ich zgodą ogromnie  
powiększył liczbę cudów przy świętych zabytkach i stał  
się bardzo bogaty. To on wstawił dwie kamienne butle  
do izby zaślubin w Kanie Galilejskiej. Były tak skonstru-  
owane, że jeśli ktoś wlał do nich wody, zwracały w za-  
mian za to wino, albowiem w każdej butli tuż pod szyj-  
ką umieszczono ciekłą ściankę, a woda lała się rurką  
do jednej części butli i nie mieszała z winem, już umie-  
szczonym w drugiej części. Barak również dostarczył  
na rolę garnarczową, zwaną Haceldama, oryginalny że-  
lazny łańcuch, na którym powiesił się apostoł Judasz,  
a ponieważ pielgrzymi w kościele Konstantyna na Gol-  
gocie często pytali o gąbkę, z której Jezus skosztował  
octu podczas ukrzyżowania, Barak odnalazł tę gąbkę  
i pielgrzymi mogli z niej pić wodę, jeśli odpowiednio  
zapłacili dozorcę. W synagodze w Nazarecie umieścił  
również tabliczkę rogową, z której Jezus uczył się alfa-  
betu, i ławkę, na której siedział z innymi dziećmi. Mój  
pan Barak mówił do pielgrzymów:

- Tę ławkę mogą łatwo poruszać i podnosić chrze-  
ścijanie, ale żaden Żyd nie ruszy jej z miejsca.

Miał zawsze pod ręką jednego albo dwóch Żydów,  
by udowodnili prawdziwość drugiej połowy tego  
twierdzenia; sami pielgrzymi mogli sprawdzić pierw-  
szą połowę, jeśli zapłacili za ten przywilej.

W kościele Grobu Pańskiego Barak nie potrzebował robić żadnych pobożnych dodatków, albowiem mosiężna lampa umieszczona ongiś nad głową Jezusa pozostała tam nadal i paliła się dzień i noc, a kamień, którym grób był przywalony, leżał u wejścia. Był wielki jak kamień młyński, pokryty złotem i klejnotami. Z żelaznych haków na ścianach zwisały naramienniki, bransolety, łańcuchy, naszyjniki, diademy, przepaski, pasy od mieczów, korony z czystego złota i indyjskich klejnotów ofiarowane przez cesarzy i wielka ilość bogatych ozdób głowy, ofiarowanych przez cesarzowe. Cała krypta (która przypominała słupek mety na hipodromie w dzień Nowego Roku, obwieszony nagrodami dla zwycięzców) była wykładana płytami srebra - ściany, podłoga i dach. Przed grobowcem, pod zwisającymi złotymi lampami w kształcie słońca, stał ołtarz.

Pewnego lata Barak odwiedził Konstantynopol (sezonem pielgrzymek jest wiosna i jesień), by sprzedawać relikwie tamtejszym zakonnikom. Sfałszował świadectwo patriarchy Aleksandrii, że pewna sofa jest tą samą, na której spoczywał Jezus podczas ostatniej wieczerzy. Żądał za nią dziesięciu tysięcy sztuk złota. Przypadkowo osobisty sekretarz patriarchy właśnie przybył do miasta. Usłyszawszy o całej sprawie, ogłosił, że świadectwo jest fałszywe. Lecz mój pan, Barak, nie chcąc być wychłostany i okaleczony w myśl przepisów prawa, uciekł od razu, wsiadł na statek i więcej go nie widziano we wschodniej części imperium przez wiele lat. Potem właściciel umeblowanego domu, który Barak wynajmował, zaprzysiął przeciwko niemu nakaz aresztowania. Właściciel był woźnicą hipodromu i ojcem dziewczynki Antoniny. Barak był mu winien znaczną sumę pieniędzy i sędzia pozwolił wziąć wszelkie ruchomości, jakie Barak pozostawił. Ale Barakowi udało

się *zabrać* wszystko ze sobą z wyjątkiem mnie, ponieważ wysłał mnie przedtem po zakupy, a ja zbłądziłem wśród ulic miasta. Kiedy wreszcie, bardzo późno, przybyłem do domu, oczekując okropnego bicia, okazało się, że mój pan Barak zniknął. W ten sposób przeszedłem na własność woźnicy, który ofiarował mnie swojej żonie do pomocy w kuchni, a żona dała mnie później swej córce, Antoninie, której służyłem wiernie przez przeszło pięćdziesiąt lat.

## Rozdział III

### SFINKS MEGAREJSKI

Może was zdziwi określenie „sfinks megarejski”. Tę nazwę jakiś satyryk nadał konstantynopolitańskiej prostytutce. Sfinks był pożerającym wszystko potworem, który potrafił dochowywać swych sekretów, a greckie miasto Megara pierwsze skolonizowało Konstantynopol. Istnieje podanie, że wyrocznia powiedziała kolonistom, by żeglowali na północny wschód, póki nie znajdą się w okolicy naprzeciwko „miasta ślepych ludzi”. Tu mają założyć własne miasto, które stanie się najświetniejszym miastem na świecie. Tak więc pożeglowali przez Morze Egejskie, a następnie Hellespontem, aż dotarli do Bosforu i tu - po stronie europejskiej - założyli miasto naprzeciwko Hieronu, który już był skolonizowany. Było jasne, że jest to przewidziana przez wyrocznię okolica, albowiem hierończycy zbudowali gród w bardzo niefortunnym miejscu, gdzie napotyka się na przykre prądy, ryby trafiają się rzadko, a grunt jest jałowy - podczas gdy łatwo mogliby wybrać przeciwny brzeg z jego doskonałym naturalnym portem Złotego Rogu - tacy byli ślepi. Teraz, po tylu stuleciach, Hieron pozostał nadal małym miasteczkiem, lecz osiedle megarejskie stało się milionowym miastem ze wspaniałymi budowlami, otoczonym potrójnym wałem. Miasto ma wiele nazw - dla Greków oficjalnie „Konstantynopol”, a potocznie „Bizancjum”. Wykształ-

ceni Italczycy zwał je „Nowym Rzymem”, Goci i inni germańscy barbarzyńcy nadali niu nazwę „Mickle-garth”, Bułgarzy - „Kesarorda”, a Słowianie - „Carogród”. Jest to cud świata, który uważam za swój dom.

Mój pan, ojciec Antoniny, był, jak powiedziałem, woźnicą faksji zielonych w Konstancyopolu. Nazywał się Damokles i traktował mnie bardzo życzliwie. Zwyciężył w wielu wyścigach, zanim umarł jako dość młody człowiek wśród okoliczności, które wymagają szczegółowego opisu. Damokles był Trakiem z Salonik, synem woźnicy tamtejszego hipodromu, gdzie poziom wyścigów jest bardzo wysoki - chociaż, przyznaję, nie tak wysoki jak w Konstancyopolu. Pewnego dnia zwrócił na niego uwagę bogaty stronnik zielonych, który przybył do Salonik w poszukiwaniu talentów, i za dużą sumę pieniędzy, wplaconą na miejscowy fundusz stronnictwa, zabrał go do stolicy. Tu Damokles jeździł na drugim wozie w ważnych wyścigach, mając zazwyczaj zadanie śrubować tempo i różnymi fortelami spychać z toru dwa błękitne rydwany, aby pierwszy zielony rydwan, który miał szybsze konie, mógł wysunąć się naprzód. Był bardzo zręczny w swym fachu i niekiedy w ostatniej chwili wygrywał wyścig udanym manewrem wyskakując do przodu. Miał wielki talent powodowania narowistymi czy leniwymi końmi. Był również największym mistrzem bata wśród wszystkich woźniców. Potrafił zabić batem pszczołę na kwiatku albo osę na ścianie z odległości sześciu kroków.

Ów Damokles przyjaźnił się z niejakim Akacjuszem z Cypru, którego bardzo cenił, i jako jeden z warunków przeniesienia się do Konstancyopola zastrzegł sobie, że Akacjusz otrzyma na hipodromie odpowiednie stanowisko, aby mógł zarobić na przyzwoite utrzymanie siebie i rodziny, był bowiem żonaty i miał troje małych

dzieci - wszystko dziewczynki. Ten warunek wiernie spełniono i Akacjusz został mianowany zastępcą niedźwiednika zielonych. Później otrzymał godność pierwszego niedźwiednika, co było odpowiedzialnym i dochodowym zajęciem. Tu muszę cofnąć się o wiele lat wstecz, żeby wszystko wyjaśnić.

A więc roku pańskiego 404, dokładnie sto lat przed opisywanymi wydarzeniami, wprowadzono dwie bardzo zasadnicze innowacje. Po pierwsze, prorocze księgi sybilijskie, których radził się senat we wszystkich trudnościach i nieszczęściach narodowych i które pieczołowicie przechowywano w pałatyńskiej bibliotece w Rzymie od czasów cesarza Augusta - te cenne i niezastąpione skarby zostały lekkomyślnie spalone z powodów religijnych przez niewykształconego chrześcijanina, germańskiego generała będącego w służbie Honoriusza, cesarza Zachodu. Ten głupi czyn został przewidziany w samych księgach, albowiem ostatnie wiersze ich heksametru brzmiały:

Gdy wśród dwóch młodych głupców podzielony  
Świat, wówczas starszy (ale z młodszej strony)  
Broniąc rozlewu krwi w swym hipodromie,  
Wzmoże krwi rozlew. Przy tym w starszej Romie  
Młodszy przez ludów barbarzyńskich imię Najlepszą  
radę swoją ujrzy w dymie.

Arkadiusz, cesarz wschodnich Rzymian („z młodszej strony”), spełnił drugą część proroctwa w tym samym roku. Pewnego dnia na hipodromie w Konstantynopolu szalony mnich rzucił się między uzbrojonych gladiatorów właśnie w najbardziej emocjonującym momencie walki. Donośnym głosem wezwał ich, by w imię Chrystusa wstrzymali się od morderstwa. Gla-

diatorzy nie śmieli zabić mnicha, gdyż mogłoby im to przynieść nieszczęście - gladiatorzy są bardzo zaborbonni. Przerwali walkę i na migi spytali cesarza, który działał jako arbiter, co mają robić dalej. Widzowie poczuli się obrażeni niesmaczną interwencją zakonnika, która pozbawiła ich przyjemności. Wyroiwszy się przez barierę, ukamienowali zakonnika na śmierć bryłami zaprawy murarskiej i cegłami wyrwanymi z siedzeń. Arkadiusz obraził się tym uzurpowaniem sobie jego praw przez publiczność. Zastosował bardzo surowe sankcje, zabraniając wszelkich walk gladiatorских na czas nieokreślony. Ten dekret wywołał burzliwe protesty i zamieszki, dla ukarania których cesarz w ogóle rozwiązał cech gladiatorów i pozwolił, by mnicha, który miał na imię Telmach, obwołano męczennikiem, a jego wizerunek umieszczono na ołtarzach. Skutki tego kroku nie były szczęśliwe.

Przede wszystkim, jak zdaje się przewidziały księgi Sybilli, lud, pozbawiony zwyczajowej przyjemności oglądania mężczyzn zabijających się publicznie i zawodowo, szukał zadośćuczynienia w nieoficjalnych pojedynkach między młodymi fircykami stronnictw błękitnych i zielonych na ulicach i placach. Po drugie, usunięcie walk gladiatorów z programu hipodromów wpłynęło na to, że szczucie niedźwiedzi wzniosło się z podrzędnej pozycji do bardzo wysokiej. Brytany, które walczyły z niedźwiedziami, muszą wspomnieć, nie były wspólną własnością facji jak niedźwiedzie i konie, lecz bogaci amatorzy tresowali je prywatnie. Urządzano również okazyjne walki między lwem i tygrysem (tygrys zawsze zwyciężał), między wilkami a bykiem (wilki, jeśli były zdrowe, zawsze zwyciężały atakując genitalia byka), bykiem i lwem (szanse były równe, jeśli wybrano silnego byka) czy dwoma dzikimi

odyńcami. Lecz szczucie niedźwiedzi było najlepszym widowiskiem i bardziej popularnym nawet niż pokazy nadal dopuszczane na niektórych hipodromach, gdzie uzbrojeni przestępcy próbowali mniej lub bardziej nieporadnie bronić się przed atakami różnych dzikich zwierząt.

Bardziej nabożni chrześcijanie albo opuszczali swe miejsca, albo zamykali oczy podczas takich walk. A niektóre encykliki zabraniały wyznawania wiary chrześcijańskiej niedźwiednikom, treserom lwów, woźnicom wyścigowym i innym funkcjonariuszom hipodromu albo raczej zabraniały im udziału w komunii, ponieważ ich zawód uważano za diabelski, skoro podnieca umysły ludzkie i odciąga je od spokojnego kontemplowania królestwa niebieskiego. Z tego powodu cyrkowcy odnosili się wrogo do wiary chrześcijańskiej, widząc, że pogardza ona ich tradycyjną profesją, której się bynajmniej nie wstydzili. Zabawiali się rozpuszczając anegdoty dyskredytujące chrześcijaństwo, a w szczególności hipokryzję nabożnych chrześcijan. Niejeden dostojnik Kościoła w tajemnicy wysyłał pieniężny upominek dla tancmistrza zielonych czy błękitnych prosząc go, by wybrał sprytną kobietę dla urozmaicenia uczt. A jednak ci sami ludzie, gdy na ulicy spotkali aktorkę, ze zgrozą ogarniali swe szaty, jak by bali się, że ich splami.

W tej kwestii zgadzałem się z cyrkowcami. Doświadczenia w służbie mojego poprzedniego pana, Baraka, zakorzeniły we mnie głęboką nieufność wobec Kościoła, nieufność, która do dziś pozostała. Jest to coś, co się we mnie zakorzeniło i nie da się niczym usunąć - zupełnie jak kolor zielony, który zakorzenił się w duszy mojego pana Damoklesa. Ale spotkałem kilku godnych szacunku ludzi wśród chrześcijan i dlatego też,



chcąc zachować sprawiedliwość, nie mogę pisać czegokolwiek przeciwko samemu chrześcijaństwu - a jedynie przeciwko tym, którzy używają go dla własnych korzyści i afiszują się ze swą świętością dla uzyskania awansu. W każdym bądź razie istniała wrogość do Kościoła wśród ludzi hipodromu (tym mianem określam również aktorów teatru, który był ściśle związany z hipodromem), a ich mieszkania i kancelarie stanowiły azyl dla nielicznych żyjących jeszcze kapłanów starych bogów, egipskich i syryjskich czarodziejów, jasnowidzów oraz perskich magów będących specjalistami od tłumaczenia snów. Jedynie tancmistrze jako nasi pośrednicy u władz stronnictw, a w ten sposób u dworu i Kościoła, byli zwyczajowo chrześcijanami i - muszę dodać - należeli do ludzi przewrotnych i nie lubianych.

Przyjaciół Damoklesa, wielki niedźwiedź Akacjusz, zginął podczas wykonywania swych obowiązków. Obecność niedźwiedzicy w sąsiedniej klatce bardzo podnieciła niedźwiedzie. Próbowały się wydostać na wolność. Jednemu z nich udało się zerwać łańcuch, a potem wyłamał drzwi klatki, wściekle dobijając się do niedźwiedzicy. Akacjusz podał mu plaster miodu na kiju i próbował go nakłonić, żeby wrócił spokojnie do klatki. Ale zdawało się, że niedźwiedź jest obrażony, iż ofiaruje mu się jeden gatunek słodczy, gdy jego serce wyrывa się ku innej, i uderzył gniewnie Akacjusza, a choć nie miał zamiaru zranić go poważnie, skaleczył mu ramię. Rana spowodowała zatrucie krwi i Akacjusz zmarł tego samego wieczora ku wielkiemu żalowi towarzyszy stronnictw zielonych, a szczególnie mego pana Damoklesa; a także, jak mi mówiono, ku żalowi niedźwiedzia, który rozpoczął po nim jak człowiek.

Zastępca wielkiego niedźwiednika, Piotr, był dalekim kuzynem Damoklesa - większość ludzi hipodromu była spokrewniona przez małżeństwa - i zdecydowano, że ożeni się z wdową po Akacjuszu i zwróci się do zarządu stronnictwa, by go mianowano wielkim niedźwiednikiem na miejsce zmarłego. Tak się też stało, a choć małżeństwo zawarte tak szybko po śmierci wielkiego niedźwiednika mogłoby się wydawać trochę nie na miejscu, było konieczne wskutek splotu okoliczności. Żaden z zielonych nie myślał nic złego o obojgu partnerach tego małżeństwa.

Atoli wielki niedźwiednik Akacjusz wykonywał swoje obowiązki tak dobrze - zwiększył bojowość niedźwiedzi trenując je regularnie i stosując staranną dietę, zamiast stale trzymać je pod zamknięciem w ciemności, co dotychczas było w zwyczaju, że zarząd postanowił niedawno podwoić jego wynagrodzenie. Wynosiło ono teraz pięćset sztuk złota rocznie, nie licząc innych pobocznych dochodów. Ta premia była usprawiedliwiona przez ogromny wzrost zakładów podczas szczucia niedźwiedzi, albowiem trzy procent wygranych szło na fundusz stronnictwa. Pięćset sztuk złota rocznie stanowiło kuszącą sumę, a tancmistrz, który był typowy dla swojej klasy, nie miał zamiaru oddać tego za darmo. Kiedy Jan z Kapa-docji, który przypadkowo odgrywał wybitną rolę w stronnictwie zielonych, zaofiarował tysiąc sztuk złota dla swego protegowanego, tancmistrz nie pozostał głuchy. Całą sprawę przeprowadzono łatwo, ponieważ Jan z Kapadocji był przewodniczącym komitetu zatrudnienia. Tancmistrz stwierdził na zebraniu, że jedynym kontrkandydatem jest Piotr, zastępca niedźwiednika, a jemu należy nie tylko odmówić awansu, ale nie zasługuje on nawet na swą dotychczasową

posadę. Tancmistrz insynuował, że Piotr mógł mieć coś wspólnego z ucieczką niedźwiedzia, który zabił Akacjusza, i naświetlił sprawę szybkiego ślubu Piotra z wdową po zmarłym szefie w ten sposób, że wyglądała podejrzanie.

Komitet nie tylko odrzucił podanie Piotra, ale i jego samego. Kiedy Damokles usłyszał o tej decyzji, słusznie poczuł oburzenie. Poszedł na skargę do swych kolegów-woźniców. Poprosił ich, by podpisali petycję do zarządu hipodromu, który stanowił wyższą władzę niż zarząd stronnictwa zielonych, ze skargą o podwójną niesprawiedliwość wyrządzoną wdowie po niedźwiedniku i jej trojgu dzieciom oraz zastępcy niedźwiednika.

Woźnice niezbyt mieli ochotę działać coś w tej sprawie, chociaż nowy niedźwiednik z Kapadocji przechwalał się publicznie, że kupiono mu stanowisko, i był człowiekiem obcym, nie mającym żadnych związków z hipodromem. Mówili, że jako woźnice w ogóle nie są zainteresowani szczuciem niedźwiedzi, że Jan z Kapadocji jest równie wpływowym człowiekiem na dworze cesarskim jak i w ich stronnictwie i że uważają za zdradę wywlekanie sprawy dotyczącej honoru zielonych przed zarządców hipodromu, wśród których znajdują się również błękitni.

Lecz Damokles nie chciał poniechać tej sprawy. Rozmawiał z innymi wybitnymi zielonymi usiłując ich przekonać, by zainteresowali się sprawą, lecz żaden z nich nie chciał go słuchać.

Cała historia rychło doszła do uszu błękitnych, którzy wysłali dwóch woźniców, by w tajemnicy wybadali Damoklesa. Spytała go, czy mogą mu w jakiś sposób pomóc w uzyskaniu sprawiedliwości. Damokles był tak nieostrożny, że odpowiedział gorzko:

- Tak, oczywiście! Przyjmę pomoc od każdego, nawet od błękitnych, nawet od tych przeklętych chrześcijańskich mnichów, jeśli mogą uczynić coś ku hańbie tego tanecmistrza i tego Kapadoka.

Woźnice rzekli:

- Zaproponuj tej kobiecie i jej dzieciom, by włożyły wieńce na głowy, wzięły bukiety do rąk i w asyście Piotra wyszły jako suplikantki przed niższy słup wyścigowy, nim zaczną się szczucie niedźwiedzi. Lepszy zieloni będą przemawiać za nimi, a my możemy obiecać, że błękitni poprą ich prośbę krzykiem.

Zgodził się na ten plan, który oczywiście miał na celu tylko zdyskredytowanie zarządu zielonych. Błękitni wcale nie pragnęli pomóc kobiecie i jej dzieciom. Lecz teraz zaczęły się dzieć dziwne rzeczy. Po pierwsze, dziwnym przypadkiem niedźwiedź błękitnych padł martwy na spacerze tego samego popołudnia. Po drugie, Tomasz - skarbnik błękitnych - miał tej nocy sen, że wielki czarny niedźwiedź z godłem zielonych, niosąc na grzbiecie małą dziewczynkę w wieńcu, wpadł wściekle do komitetu błękitnych, zerwał swe godło, podeptał je i zaczął rozdzielać korony i palmy zwycięstwa oraz garście nowo wybitych monet.

Następnego dnia, gdy tylko suplikanci stanęli przy słupie wyścigowym, jak proponowali błękitni woźnice, Jan z Kapadocji wysłał kilku zielonych, by ich usunąć. Błękitni podnieśli straszliwy wrzask, a większość zielonych wśród publiczności nie rozumiała, kto ma rację w tej sprawie. Tak więc, nie okazując najmniejszego współczucia syczeli na biedne ofiary, gdy je pędzono między ławkami zielonych. Damokles rozgniewał się jeszcze bardziej.

Ostatni bieg tego popołudnia miał ogromne znaczenie. Wypadała właśnie rocznica wstąpienia cesarza

na tron i monarcha obiecał, że ofiaruje rządowi zwycięskiego stronnictwa dzieło sztuki: rydwan w pełnym biegu (konie wykute w srebrze, a rydwan i woźnica w złocie). Sądząc z zakładów, bieg był bardzo wyrównany. Damokles zdecydował zdobyć powszechny aplauz jadąc tak jak nigdy dotychczas. Wiedział, że gdyby wygrał wyścig, przywódcy stronnictwa zaprowadzą go ubranego w wieniec na głowie i z krzyżem z kwiatów w rękę, by złożyć hołd cesarzowi i przyjąć nagrodę z jego rąk. Wtedy miałby możliwość przedstawienia swej prośby. Cesarz Anastazjusz był przystępnym człowiekiem, zawsze gotowym do wymierzenia sprawiedliwości w podobnych przypadkach.

Pełne sprawozdanie z tego wyścigu nie byłoby właściwe, lecz pozwólcie opisać mi siódmy i ostatni bieg. Najpierw prowadził jeden kolor, potem drugi, potem znowu pierwszy. Pod koniec piątego okrążenia, kiedy zawodnicy przebyli już pełną milę, sytuacja wyglądała w ten sposób, że pierwszy, zielony rydwan był na wewnętrznym torze, ocierając się prawie o główny próg. Drugi rydwan, błękitny, wspaniale dotrzymywał kroku i jechał tuż za nim na drugim torze. Następnym był drugi rydwan zielony - Damoklesa - na torze zewnętrznym, obok pierwszego błękitnego na torze trzecim. Wydawało się, że zieloni mają pewne zwycięstwo, a błękitni spoglądali smutno ze swych ław, gdy osiągnięto ostatni zakręt. Lecz wtedy Damokles zrozumiał nagle, że jego konie są wyczerpane. Ani zręczne użycie bata, ani zachęta głosem nie mogły zmusić koni do większej szybkości. Dystans między dwoma wewnętrznymi rydwanami - pierwszym błękitnym i drugim zielonym - zmniejszył się bardzo, choć ich pozycje się nie zmieniły. Pierwszy rydwan błękitny ciągnął teraz mocno naprzód i mógł

wyprzedzić nie tylko Damoklesa, lecz i obu czołowych woźniców. Tak więc na zakręcie Damokles zdecydował się szybko, lekko zjechał na tor pierwszego błękitnego, a potem niespodzianie ściągnął wodze. Oczywiście miał zamiar potrącić koło nieprzyjacielskiego rydwanu i w ten sposób wyłączyć go z biegu - zapewniając tą metodą pewne zwycięstwo swemu partnerowi z wewnętrznego toru. Była to legalna sztuczka, lecz rzadko ją stosowano, ponieważ zagrażała życiu człowieka, który jej użył: istniało niebezpieczeństwo, że rydwan się przewróci i woźnica złamie rękę lub nogę, zostanie stratowany przez konie czy też zduszony lejcami, które woźnice związywali mocno w pół ciała, zanim zdąży je przeciąć krzywym nożem. Damokles jednak zaryzykował niebezpieczeństwo i tak uważał, by nie chybić celu, i tyle było krzyku i kurzu, że nie zauważył, co się dzieje na obu wewnętrznych torach. Jego partner - pierwszy zielony - został zepchnięty przez drugiego błękitnego, potrącił słup i uległ katastrofie. Jednak najbliższy koń drugiego błękitnego podczas tego manewru nadwreżył ścięgno i zaprzęg musiał się zatrzymać. W rezultacie pierwszy błękitny zdołał uniknąć niebezpieczeństwa koła Damoklesa, co byłoby niemożliwe, gdyby jego kolega nadal jechał przed nim. Zrobił cudowny unik ku zewnętrznej stronie toru i popędził naprzód, zwyciężając pewnie przed Damoklesem, który stanął w miejscu.

Był to wyraźny pech, co przyznaliby najsurowsi sędziowie. Jednak zieloni byli tak rozczarowani, że musieli znaleźć kozła ofiarnego. Kozłem ofiarnym nie został pierwszy woźnica zielonych, który leżał ogłuszony wśród szczątków swego rydwanu, lecz mój pan Damokles. Bowiem Damokles, gdy jego

partner się rozbił, został na czołowej pozycji, mając do zwycięstwa zaledwie kilkaset kroków, tymczasem ściągnął cugle bez żadnego powodu. Można sobie wyobrazić, że Jan z Kapadocji znalazł jak najgorsze uzasadnienie jego zachowania i oskarżył go o sprzedanie biegu błękitnym. Na poparcie tego oskarżenia przytoczył fakt, iż poprzedniego ranka widziano dwóch błękitnych woźniców na rozmowie z Damoklesem w winiarni miejskiej i że Damokles ma urazę do zarządu stronnictwa z powodu niedźwiednika. Tak więc na zebraniu komitetu, natychmiast po wyścigu, Damoklesa zawieszono na okres jednego roku. Tej samej nocy popełnił samobójstwo po zamachu na tancmistrza zielonych, któremu wybił oko batem, celując przez całą długość szatni dla woźniców. Nasze losy przedstawiały się teraz bardzo smutno, ponieważ mój pan, Damokles, bardzo lekkomyślnie wydawał pieniądze i praktycznie nic nie zaoszczędził; ponadto jego żona i Antonina, jego córka, zostały odepchnięte przez stronnictwo jako rodzina woźnicy, który zhańbił swoje barwy. Jeśli chodzi o mnie, to istniało niebezpieczeństwo, że zostanę znowu sprzedany innemu panu. Ale wszystko skończyło się dobrze, bowiem na posiedzeniu zarządu błękitnych w dwa dni później skarbnik Tomasz opowiedział swój sen o niedźwiedziu. Zapewnił komitet, że dziewczynka, która w jego śnie siedziała na grzbiecie niedźwiedzia, była jedną z córek wielkiego niedźwiednika i miała taki sam wieniec jak suplikantki przy słupie wyścigów. Nalegał, by wakujące stanowisko niedźwiednika błękitnych ofiarowano Piotrowi, który teraz był ojczymem tych dziewczynek; albowiem jest rzeczą jasną, że szczęście przejdzie do błękitnych, jeśli tak uczynią.

Była pewna opozycja przeciwko temu wnioskowi, lecz Tomasz wykazał, iż Piotra tak dobrze wyszkolono w menażerii zielonych, że odniosą nie tylko korzyść, ale i zawstydzą zielonych, jeśli go wybiorą. Piotr został mianowany niedźwiedznikiem błękitnych i na tym stanowisku osiągnął duży sukces, a cała rodzina zmieniła swe barwy z zielonych na błękitne, co zdarzało się bardzo rzadko wśród rodzin hipodromu. Aby okazać swą wdzięczność rodzinie Damokle-sa, Piotr zapewnił nam mieszkanie i utrzymanie w swym domu, a jego żona, córki i on sam przysięgli na Posejdona (była to najmocniejsza przysięga wśród ludzi hipodromu), że uczynią wszystko, co w ich mocy, by nam pomóc. Tak więc zostaliśmy pocieszeni, a wdowa po Damoklesie nie potrzebowała mnie sprzedawać. Nie chcąc być jednak ciężarem dla Piotra, przekonała tancmistrza błękitnych, by zatrudnił ją jako aktorkę w teatrze - nie jako dramatyczną aktorkę na scenie, ponieważ do tego nie miała wykształcenia, lecz jako aktorkę kabaretową na prosce-nium. Potrafiła trochę tańczyć i grać na flecie i dość dobrze posługiwała się tambury-nem, tak że ją wykorzystano. Swą córkę Antoninę od najmłodszych lat szkoliła na śpiewaczkę, kuglar-kę, tancerkę i akrobat-kę i Antonina wzrosła tak błękitna w swoich uczu-ciach, jak jej ojciec był zielony. Rychło zaczęto się do-bijać o nią na przyjęcia wieczorne, jak to u Modesta w Adrianopolu, i publiczne obiady młodych fircy-ków ze stronnictwa zielonych, na które każdy z ucze-stników składał pewien udział w jedzeniu albo napo-jach.

Antonina żyła w najbardziej bliskiej przyjaźni z trzema córkami Akacjusza. Zwały się one Komito, Teodora i Anastazja. Jednak głównie pisał będę o Te-



odorze, średniej, jeśli chodzi o wiek. Była ona starsza o dwa lata od Antoniny i stała się jej najserdeczniejszą przyjaciółką. Gdy dziewczęta podrosły, po kolei oddano je na scenę. Komito, szczupła, wspaniale zbudowana dziewczyna, odnosiła ogromne sukcesy wśród mężczyzn, mimo że była marną aktorką. Zaczęła traktować pogardliwie Teodorę i Anastazję, ponieważ żadna z nich nie miała jej urody. Jednak zmarła niebawem na chorobę zawodową. Anastazja również się zaraziła i straciła większą część zębów w bijatyce na publicznym obiedzie. Lecz Teodorze nic nie mogło zaszkodzić. Zgadzano się powszechnie, że ma w sobie diabła, którego nigdy nie można uspokoić i nasycić. Ileż razy w późniejszym życiu Antonina miała okazję dziękować bogom, że Teodora jest jej sprzymierzeńcem, a nie wrogiem!

Pamiętam Teodorę, gdy była jeszcze sześciolatkiem, ubraną w krótką sukienkę bez rękawów, tego samego kroju jak u dzieci niewolników. Nosiała wtedy składane krzeselko dla matki, które przed przedstawieniem ustawiała na proscenium. Warczała i parskwała na spotykane dzieci. Jej matka powiadała, że należałoby Teodorze zawiesić na szyi tabliczkę ostrzegawczą, taką jak na klatkach niedźwiedzi, z napisem: „Uwaga! Złośliwe zwierzę”. Teodora była rozgoryczona, że jej dawne małe przyjaciółki spośród zielonych szydziły z niej z powodu nieszczęśliwej śmierci ojca i powtórnego zamążpójścia matki. Antoninę również lżono jako córkę woźnicy, co sprzedał wyścig błękitnym. Ale nie gustowała ona w fizycznej walce jak Teodora, która z paznokciami i zębami rzucała się na swych dręczycieli. Mściła się w inny sposób: zazwyczaj, gdy nieco podrosła, straszyla swych wrogów, iż stali się ofiarami jej magicznych sił, Stop-

niowo zaczęła sama wierzyć w magię. Z pewnością odniosła jeden czy dwa sukcesy z jej pomocą. Pewnego dnia Asteriusz, tancmistrz zielonych, którego machinacje stały się głównym powodem całego nieszczęścia, brutalnie kopnął ją z tyłu. Zrobiła z łoju jego wizerunek - brzuchaty, o wielkim nosie, z jednym okiem - i wypowiedziała pewne modlitwy do Heka-ty, dawnej bogini rządzącej podobnymi sprawami, a następnie wydtubowała szpiłką jedyne oko tancmi-strza. Zanim miesiąc wszedł w trzecią kwadrę, ten łajdak został oślepiiony: wrzeczono, którym jakaś rozgniewana kobieta rzuciła w pijanego małżonka, w jakiś sposób trafiło tancmistrza, gdy mijał drzwi domu przechodząc ulicą. Teodora bardzo podziwiała Antoninę za ten czyn i wspólnie postanowiły zniszczyć również Jana z Kapadocji. Jednak przypuszczam, że jego częste modlitwy w kościele przeszkodziły Hekacie, albowiem nadal powodziło mu się doskonale. Następnie zaprzysięgły na rżężenie przedśmiertne - jest to najstraszliwsza przysięga - że nie spoczną nigdy, póki jedna z nich nie wtrąci Jana w nędzę i ubóstwo, które mu się słusznie należą. O następstwach tej przysięgi opowiem w dalszym ciągu tej książki.

Pewien syro-fenicki czarodziej, od którego moja pani Antonina nauczyła się magii - mój pan Damo-kles był jego przyjacielem - ułożył pewnego dnia horoskopy obu dziewcząt. Zdumiały go one i zatrwożyły swoją świetnością. Powiedział Teodorze, że zaślubi króla demonów i będzie panowała z większą chwałą niż jakakolwiek kobieta od czasu Semiramidy i że nigdy nie zabraknie jej złota. Jeśli chodzi o Antoninę, to wyjdzie za mąż za patrycjusza, jedyne go dobrego człowieka w całkowicie złym świecie; i jeśli wszystkie nieszczęścia Teodory zdarzą się we wcześniejszej

części jej życia, złe losy będą oszczędzały Antoninę aż do bardzo podeszłego wieku, kiedy szybko przeminą.

Teodora ściągnęła brwi i powiedziała:

- Starcze, znowu zaczynasz swe zwykłe pochlebstwa? Czy nie wiesz przede wszystkim, że mężczyznom szlacheckiego pochodzenia stare prawo zabrania się żenić z kobietami naszego zawodu? Przyznaj się, że kłamiesz!

Zadrzał, lecz nie chciał cofnąć słowa, proponując jej, by pokazała figury horoskopów jakimkolwiek innemu biegłemu astrologowi. Zrobiła tak, i drugi astrolog, Grek z Aleksandrii, powiedział to samo co pierwszy.

Wtedy śmiejąc się zawołała do mojej pani Antoniny:

- Kochana, czego twój mąż nie osiągnie dla nas dobrocią, ja każę swemu załatwić diabelstwem.

Przypominam sobie również, jak Teodora chodziła do teatru, nie mając na sobie nic poza obowiązkową przepaską na biodrach i wielkim kapeluszem. Działo się to wtedy, kiedy była prawie całkowicie rozwinięta fizycznie. Jej gra polegała na tym, że przepaska zawsze się rozwiązywała. Trzymając ją w ręku szła do funkcjonariusza stronnictwa, który wskazywał widzom ich miejsca, i skarżyła się, że „jacyś synowie Beliala” grubiańsko zdarli z niej przepaskę. Żądała, by poszedł z nią w jakieś ustronne miejsce i pomógł ją założyć znowu. Jednocześnie zakrywała skromnie biodra kapeluszem. Jej powaga, udane zakłopotanie, jej nalegania zazwyczaj doprowadzały urzędnika do rozpaczki ku zachwytowi i radości widzów.

Teodora była małego wzrostu i miała szarawą cerę. Nie wyróżniała się szczególnie jako tancerka, mu-

zykantka czy akrobatka: w tych sztukach stała raczej poniżej doskonałości. Ale była ogromnie dowcipna i całkowicie wolna od seksualnego wstydu. Wykazywała, jak się zdaje, pewną wynalazczość w sprawach seksualnych, tak że powiedzonko: „Nauczyłam się tego od Teodory”, było obiegowym żartem pod statuą Wenus w dzielnicy domów rozpusty. I przez cały czas, kiedy pozornie wydawało się, że Teodorę pochłania tylko zarabianie pieniędzy i rozrywki, pilnie studiowała mężczyznę. A nie ma lepszej drogi do studiowania go niż w roli megarajskiego sfinksa, wobec którego młodzi i starzy mężczyźni odkrywają swe prawdziwe dusze bardziej szczerze niż wobec swych matek, sióstr czy żon. Moja pani Antonina również studiowała mężczyznę i obie z Teodorą rychło nauczyły się pogardzać najpoważniejszymi ze swych klientów za ich ciężki dowcip, łatwowierność, nieuczciwość i samolubstwo i potrafiły obracać te wady na swoją korzyść. Przez czary i środki zapobiegawcze udało im się unikać ciąży, Teodora wszakże dwukrotnie musiała wywołać sztuczne poronienie, ale bez złych skutków.

Miały dwie serdeczne przyjaciółki - Indaro i Chrysomallo - dziewczęta z tej samej paczki. 2 nimi to, w jakieś sześć miesięcy po odwiedzinach Antoniny w Adrianopolu, postanowiły opuścić scenę, jeśli się uda uzyskać zezwolenie, i zacząć działalność na własną rękę. Uzyskać zezwolenie było bardzo trudno. Lecz Chrysomallo i Teodora miały szczęście zjednać sobie demokrata błękitnych, który nadzorował polityczne problemy stronnictwa, podczas gdy Indaro i Antonina rozpoczęły skuteczne oblężenie demarcha, który miał w swym ręku sprawy wojskowe. Było zwykłą zasadą, że mąż aktorki opuszczającej scenę musiał •

płacić ciężki haracz na fundusz stronnictwa. Innych wymówek nie przyjmowano z wyjątkiem skruchy, ale żadna skruszona grzesznica nie mogła wrócić do swego dawnego zawodu pod grozą zamknięcia w domu poprawy do końca życia. Mimo to wszystkie cztery zdobyły zezwolenie pod tym warunkiem, że nadal pozostaną stronniczkami błękitnych. Za swe oszczędności i pieniądze wypożyczone od opiekunów wynajęły sobie pięknie umeblowane apartamenty w eleganckim domu w pobliżu statuy Wenus i otworzyły tu coś w rodzaju domu rozrywek. Ponieważ miały oficjalne poparcie stronnictwa, ich zakład stał się niebawem najmodniejszym lokalem Konstantynopola. W tym czasie umarła matka mojej pani Antoniny. Antonina odziedziczyła po niej mnie i powierzono mi zaopatrywanie klubu. Jako niezależne przedsiębiorczynie panie nie musiały już oddawać tan mistrzowi dużej części swych prywatnych zarobków; przeciwnie: stały się pełnoprawnymi członkami stronnictwa i płaciły regularne składki. Indaro i Chrysomallo były bardzo wykształcone, pierwsza jako tancerka akrobatyczna i kuglarka, druga jako śpiewaczka i muzykantka. Natomiast Antonina dorównywała im obu w tych umiejętnościach. Teodora była ich dyrektorem i ich błaznem. Cała czwórka przeżyła z sobą wiele szczęśliwych, przyjemnych, zupełnie bezwstydných chwil i z zadowoleniem mogę stwierdzić, że zostały dobrymi przyjaciółkami, zarówno wtedy, jak i przez całe późniejsze życie. A ja, który je wszystkie przeżyłem, wspominam ich śmierć z wielkim żalem.

Pewnego dnia Teodora powiedziała nam - mówię „nam”, gdyż byłem traktowany bardziej jak przyjaciel niż jak niewolnik i miały do mnie zaufanie - że patrycjusz imieniem Hecebolus zaprosił ją, by wyjechała

z nim razem do miasta Pentapolis, którego został mianowany gubernatorem, i w ten sposób zyskuje tak korzystną możliwość rozejrzenia się po świecie, że nie może z niej zrezygnować. Wszyscy błagaliśmy Teodorę, by nas nie opuszczała, a Chrysomallo ostrzegała ją, iż Hecebolusowi nie można wierzyć -czyż nie jest z pochodzenia tyryjczykiem, a więc urodzonym oszustem? Teodora powiedziała, że wie, jak się troszczyć o siebie, i boi się jedynie, jak sobie bez niej damy radę. Wyjechała. Po kilku zabawnych listach z miast po drodze do Pentapolis nie mieliśmy przez dłuższy czas żadnej wiadomości od niej ani o niej. Potem pewien oficer sztabowy przyjechał z Pentapolis na urlop i powiedział nam, że pewnego wieczora Teodora wpadła we wściekłość, ponieważ Hecebolus usiłował trzymać ją jakby w klatce, wyłącznie dla siebie. Wylała na niego wiadro pomoy, niszcząc mu brokatową tunikę i całą szatę, gdy przebieirał się do obiadu. Natychmiast wyrzucił ją ze swej rezydencji i nie pozwolił jej nawet zabrać nielicznych sukien i klejnotów. Sztabowy oficer przypuszczał, że namówiła kapitana statku handlowego, by zabrał ją do Aleksandrii w Egipcie, lecz nie mógł nam nic powiedzieć o jej dalszych losach.

Była to zupełnie inna Teodora, która przywlokła się do Konstantynopola parę miesięcy później. Nieszczęścia wyprorokowane jej przez Syro-Fenicjanina połączyły się w jednym roku i były bardzo gorzkie. Nasza wesoła, pewna siebie Teodora, która nigdy nie omieszkała opowiadać nam swych najbardziej śmiesznych i najbardziej bolesnych przygód, zachowała całkowite milczenie o swych przeżyciach w Egipcie i o poniżającym powrocie przez Cezareję, Antiochię i wnętrze Azji Mniejszej. Odkarmiliśmy ją stopniowo,

lecz kiedy nabrała dość siły, nie czuła się w możliwości podjęcia pracy w domu klubowym. „Wolę raczej prząść wełnę przez cały dzień niż zacząć na nowo to życie!” - krzyczała. Ku naszemu zdziwieniu istotnie pożyczyła prząśnicę i zaczęła uczyć się posługiwania tym melancholijnym, choć użytecznym przyrządem w samotności swego pokoju. Inne panie nie śmiały się z niej, ponieważ była ich przyjaciółką i najwidoczniej cierpiała ponad wytrzymałość ludzką. Słyszano odtąd brzęczenie prząśnicy w klubie, o każdej porze dnia i nocy, a kiedy klienci pytali: „Czy to przekłete brzęczenie nigdy się nie skończy?”, panie odpowiadały: „To tylko biedna Teodora, która uczciwie zarabia na życie.” Ale klienci uważali to za żart. Nigdy nie widzieli Teodory na oczy.

Jednym z naszych klientów był dziwny, okrągłolity, uśmiechnięty, lubieżny jegomość imieniem Justynian, siostrzeniec niepiśmiennego, starego, barbarzyńskiego dowódcy gwardii cesarskiej, Justyna. Kiedy Justynian był jeszcze młodzieńcem, Justyn ściągnął go z górskiej wsi w Ilirii, gdzie był ongiś pastierzem, i zapewnił mu wykształcenie, którego ku swemu żalowi sam nie mógł zdobyć. Justynian - jego chrzestne imię brzmiało Uprawda, czyli „Prawy” - nadal mówił po grecku z silnym obcym akcentem i wolał wystawiać się po łacinie, oficjalnym językiem swej ojczystej prowincji. Żadna z pań nie wiedziała, co robić z Justynianem, a chociaż był bardzo grzeczny i zabawny i wydawało się, że zajmie kiedyś wybitne stanowisko, w jego obecności czuły się jakoś niewyraźnie, jak by nie był normalnym człowiekiem. Żadna z nich nie lubiła zapraszać go do swego pokoju. Na przykład moja pani Antonina wymigiwała się skutecznie od tego przy każdej okazji, nie wzbudza-

jąc jednak wrogości Justyniana. Indaro opowiadała bardzo dziwną historię: pewnego wieczora zasnęła leżąc w łóżku z Justynianem, obudziła się niespodziewanie, zobaczyła, że jest sama, a potem ujrzała wielkiego szczura, który wylazł spod kołdry i wyskoczył przez okno. Własnymi oczami widziałem coś jeszcze dziwniejszego. Pewnej nocy Justynian powiedział podczas rozmowy z paniami: „Słyszę jakiś hałas u wejścia.” Ale nikomu nie chciało się sprawdzać, co to jest, a ja byłem czymś zajęty przy półkach z winem. Nagle zauważyłem jakąś mgłę dobywającą się z baraków Justyniana - zjawiskową głowę, która przepłynęła przez drzwi, a potem wróciła. Justynian rzekł: „Ten hałas to nic ważnego. Rozmawiajmy dalej.” Panie nie widziały tego co ja. Lecz jest rzeczą charakterystyczną dla takich zjawisk, że nie może ich widzieć więcej niż jedna osoba jednocześnie, tak że człowiek nie wierzy swoim zmysłom i niemożliwe jest udowodnienie prawdziwości poszczególnych wizji.

Justynian był chrześcijaninem i lubował się w teologicznych dyskusjach tak samo, a może nawet więcej, jak w plotkach fakcyjnych, słonych kawałach i anegdotach. Miał zwyczaj regularnie pościć. Zawsze pod koniec postu przychodził do lokalu i pił, i jadł w ogromnych ilościach. Czasami powiadał, że pościł przez trzy dni, a jego apetyt stanowiłby wystarczający dowód tych przechwałek, gdyby nawet Justynian powiedział, że pościł trzy tygodnie. Lecz nigdy nie tracił swej różowej cery aż do dnia śmierci w bardzo późnej starości. Moja pani nazywała go Fagonem według imienia słynnego starożytnego żarłoka, który raz, na pokazie przed cesarzem Aurelianem, pożarł na jedno posiedzenie świnię, owcę, dziką i sto bochenków chleba pełnej wagi.



Justynian również skarżył się na brzęczenie motowidła i szydził z naszych wyjaśnień. Lecz pewnego wieczora, kiedy przypadkowo nas odwiedził, Teodora zeszła do sali klubowej, by ogrzać ręce przy ogniu, nie spodziewając się spotkać gości o tej godzinie. Kiedy spostrzegła Justyniana na sofie za drzwiami, cofnęła się. Lecz on chwycił ją za suknię i prosił, żeby nie odchodziła. Została więc i ogrzała ręce. Justynian zaczął religijną dyskusję z Chrysohallo, która lubiła te rzeczy, i jak zwykle doprowadzał ją do rozpacz, kiedy nagle Teodora wtrąciła spokojną uwagę, dając dowód, iż jest doskonale obeznana z doktryną o wcieleniu Chrystusa, która była przedmiotem dyskusji. Justynian wykrzyknął z podziwem: „To najgłówniejsze i najbardziej nieprawowierne twierdzenie, jakie słyszałem!”, i skierował swój atak na nią.

Dyskutowali bez końca, zapomniawszy nawet o obiedzie, aż Justynian zerwał się i wyszedł pośpiesznie, gdy dał się słyszeć suchy trzask młotka po desce, co było zwykłym znakiem wezwania do modlitwy w mieście. Ortodoksja Justyniana wiązała się również z jego zagranicznym wyjazdem - żył przez wiele lat w centrum ortodoksji, w Rzymie, jako zakładnik Teoderyka, króla Gotów. Teodora bawiła się Justynianem, co nas zaskoczyło. Lecz wydaje się, że skorzystała ze swego pobytu w Aleksandrii, by nauczyć się różnych subtelnych punktów doktryny od tamtejszych uczonych. W ten sposób zaczęła się zażyłość między nimi. Teodora fascynowała Justyniana jako skruszona Magdalena - bo czyż święta Maria Magdalena nie była również prostytutką? Kiedykolwiek przybył do klubu, szedł teraz prosto do pokoju Teodory. Co się między nimi działo poza dyskusjami o naturze Trójcy Świętej i losie dusz nie ochrzczono-

nym niemowląt i tym podobnych problemach, tego nie wiem. W każdym bądź razie prężnica Teodory milczała podczas odwiedzin Justyniana. Inne panie były zadowolone, że uwolniono je od jego towarzysztwa i brzęczenia motowidła.

## Rozdział IV

### ULEPSZONA KAWALERIA

Pierwsze lata szóstego stulecia ery chrześcijańskiej były bardzo złe dla cesarstwa. Można wybaczyć matce Belizariusza zabobonną wiarę, że diabeł znalazł się wtedy u szczytu swej władzy. Panującym cesarzem był stary Anastazjusz, znany jako „Anastazjusz Śmieszne Oczko”, ponieważ jedno jego oko było piwne, a drugie niebieskie (osobliwość spotykana niekiedy u domowych kotów, lecz nigdy przedtem - według mojej wiedzy - u ludzi), albo jako „Anastazjusz Odźwierny”, ponieważ sprawował niegdyś funkcje komendanta szlacheckich odźwiernych na dworze swego poprzednika. Mimo podeszłego wieku był energicznym i zdolnym władcą i nie można ganić go osobiście za większość klęsk podczas jego panowania: trzęsienia ziemi, które poważnie zaszkodziły wielu najbogatszym miastom państwa, pierwsze pojawienie się wiewioryba Porfira w cieśninie Bosforu, dżuma szerząca się z Azji Mniejszej, powszechne nieurodzaje i wreszcie zaciętrzewienie w rywalizacji między błękitnymi i zielonymi, co doprowadziło do rozruchów i buntów. Wszystko to wydarzyło się mniej więcej w roku urodzenia Belizariusza, a doszły jeszcze przewlekłe wojny z Saracenami w okolicach Palestyny i dzikimi Bułgarami napadającymi na nasz kraj zza rzeki Dunaj. Prawowierni chrześcijanie przypisywali te wszystkie klęski

przyczynie religijnej, mianowicie jednoczesnemu pojawieniu się dwóch rywalizujących ze sobą papieży; istnienie dwóch namiestników Chrystusa na ziemi uważano za bluźnierstwo. Wybory jednego papieża w Konstantynopolu odbyły się tego samego dnia co wybory drugiego w Rzymie i powolność komunikacji między obiema stolicami spowodowała nieuniknione zamieszanie. Ale żaden z rywali, skoro już raz powierzono mu klucze Niebios, nie chciał ich przekazać drugiemu. Papież rzymski występował za surową prawowiernością w ogromnie dla mnie nierzeczowej dyspucie na temat pojedynczej czy podwójnej natury Syna Bożego, podczas gdy papież konstantynopolitański, mianowany przez Anastazjusza, skłaniał się ku łaskawemu kompromisowi. Każdy z nich wyklął drugiego jako antypapieża, a my, poganie z hipodromu, mieliśmy wielką uciechę z tego spektaklu i zaostrzyliśmy konflikt, bowiem zieloni wystąpili za jednym papieżem, a błękitni za drugim.

Jak by tych kłopotów nie było dość, Anastazjusza wplątano w wojnę z Kobadem, królem Persów, który całkowicie zniszczył jedną z naszych armii i w straszliwy sposób spustoszył rzymską Mezopotamię. Anastazjusz musiał kupić spokój za cenę ośmiuset tysięcy sztuk złota, i to w czasie, gdy o złoto było trudniej niż kiedykolwiek, ponieważ wyczerpały się najważniejsze kopalnie europejskie i azjatyckie. W roku wstąpienia Belizariusza do szkoły w Adrianopolu bułgarscy Hunowie znowu spustoszyli wschodnią Trację i paśli teraz konie w ogródkach i parkach przedmieść Konstantynopola. Anastazjusz wziął się do roboty i zbudował wielki mur obronny w odległości trzydziestu dwóch mil od miasta, w poprzek przemyku. Ten mur zawsze stanowił dla nas pewną po-

cieche, chociaż niszczał nie naprawiany i łatwo było go obejść na obydwóch krańcach.

Jeśli chodzi o dysputy religijne, Anastazjusz, jakkolwiek skłaniał się ku teorii o pojedynczej naturze, musiał, jak już wspomniałem, ze względów politycznych mianować papieża, który występował za kompromisem między tym poglądem a prawowierną nauką o podwójnej naturze. Błękitni z politycznych powodów byli prawowierni, a zieloni występowali albo za kompromisem z monofizytyzmem, albo za całkowitym monofizytyzmem. Pewnego dnia na hipodromie wybuchły takie zamieszki wskutek tych religijnych różnic, że stary cesarz musiał stanąć jako suplikant przy słupie wyścigowym (podobnie jak matka Teodory i jej dzieci jakieś dziesięć lat wcześniej) i zaproponować zrzeczenie się tronu. Błękitni rzucali weń kamieniami, a zieloni wsparli go, ponieważ im, jako silniejszemu stronnictwu, ofiarował najlepsze miejsca na hipodromie. Z wdzięczności udzielił wszelkiego możliwego poparcia monofizytomowi. Jednak niedługo potem błękitni zmasakrowali grupę zuchwałych mnichów monofizyckich, a ponieważ Anastazjuszowi nie udało się pomścić ich śmierci, błękitni zyskali przewagę w mieście i senacie. Lecz Witalian, Grek piastujący patrycjuszowską godność, zebrał czterdziestotysięczną armię z trackich monofizytów i poprowadził ich przeciwko błękitnym, oblegając miasto. W obawie o swe życie Anastazjusz ogłosił wtedy, że zbierze Generalną Radę Kościoła, by rozwiązała wszystkie trudności religijne. Na to oświadczenie Witalian rozwiązał swą armię, zanim doszło do jakiegokolwiek walki.

Opisywane wydarzenia łączą się z moją opowieścią bardziej, niżby się na pierwszy rzut oka mogło

wydawać, ponieważ ten dziwny jegomość Justynian grał czołową rolę w negocjacjach między cesarzem, błękitnymi i Witalianem w sprawie zielonych. Justynian reprezentował stronnictwo błękitnych i zapewniał Witaliana, że sprawy można załatwić honorowo ku zadowoleniu obu barw i obu dogmatów, a także samego cesarza. Nawet przyjął Eucharystię u boku Witaliana, co miało stanowić dodatkowy dowód intencji stronnictwa błękitnych, złożył przysięgę braterstwa na Chleb i Wino. Justynianowi ofiarowano rangę patrycjusza za jego usługi, ale nie chciał przyjąć tego zaszczytu, póki nie ożeni się z Teodorą, w której nadal był zadurzony. Jednak jego ciotka, żona Justyna, cnotliwa stara kobieta ze wsi, która prawie wcale nie umiała po grecku, przeciwstawiała się małżeństwu, ogarnięta zgrozą, że jej siostrzeniec ma zostać małżonkiem byłej prostytutki. W ten sposób Justynian znalazł się w trudnej sytuacji: gdyby zdecydował się na godność patrycjusza, nie mógłby zaślubić Teodory, natomiast odmowa przyjęcia zaszczytu wyglądałaby na nielojalność, a przy tym bał się swej ciotki. Zapytał Teodorę o radę, a ona uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- Przyjmij tę godność, bowiem nie mogę stać ci na drodze do awansu. - Teodora udała się następnie do ciotki i powtórzyła jej to samo, co tak ucieszyło starą damę, że cofnęła swój sprzeciw wobec przyjaźni Justyniana z Teodorą, jeśli tylko Teodora opuści swe mieszkanie w domu klubowym, jak szczerze skruszona Maria Magdalena już dawno by uczyniła. Tak więc Teodora opuściła nas i przeniosiła się do pięknie urządzonego i umeblowanego domu, który ofiarował jej Justynian. Odtąd jeździła wozem zaprzężonym w parę białych mułów, Justynian natomiast uży-

wał rydwanu ze srebrnymi kołami i ramą oraz czwórki karych koni zaprzężonych w jeden rząd.

Niedługo potem Belizariusz przybył do Konstantynopola na studia w szkole kadetów, lecz moja pani nie spotkała go. Ona i inne panie porzuciły klub, który okazał się bardzo zyskowny. Chrysomallo wyszła za mąż za bogatego kupca win, zaś Indaro zamieszkała wraz z Teodorą jako jej towarzyszką. Moja pani pomyślała, że również powinna wyjść za mąż. Znalazła solidnego syryjskiego kupca w średnim wieku, na którym mogła polegać, że będzie ją traktował pobłażliwie, nie będzie żył zbyt długo i zostawi jej znaczny spadek, jeśli umrze. Poznała go przypadkowo: przybył za interesem do Konstantynopola i wynajął umeblowany dom w pobliżu doków na tej zasadzie, że właściciel zostawia najemcy swoją żonę, gospodarstwo i wszystko w komplecie, a sam przez ten czas pędzi wesołe życie w winiarni. W tym przypadku wynajęta żona umarła nagle i kupiec został bez towarzyszką do łoża i gospodyni. Moja pani zgodziła się zastąpić ją czasowo i zadowolona go tak bardzo, że w ciągu kilku dni wzięli legalny ślub. Ten kupiec nie odgrywa większego znaczenia w moim opowiadaniu, ponieważ (mówiąc szczerze) nie był nawet ojcem dwojga dzieci mojej pani, które pozostały przy życiu - jej syna Focjusza i córki Marty - a tylko jednego z dwojga dzieci, które zginęły. Ale uczynił akurat tyle, ile od niego oczekiwano, a moja pani zadowolona go jak najlepsza żona i tak ją przedstawił w testamencie.

Ich dom znajdował się w Antiochii, gdzie kupiec był skarbnikiem błękitnych miejscowego hipodromu i przewodniczącym gildii kupców jedwabi. Okazało się, że jest o wiele bogatszy, niż przypuszczaliśmy.

Cześć jego pamięci! To dla jego przyjemności moja pani ochrzciła się wraz z trzema innymi kobietami. Nigdy nie zapomnę ceremonii chrztu, która odbyła się w wesoły syryjski sposób. Brał w niej udział młody ksiądz i młody diakon. Kobiety zanurzano nago, ale ze względu na przyzwoitość nie mógł być przy tym obecny żaden mężczyzna poza księżmi. Mnie nie wyłączono, ponieważ jestem eunuchem. Tak więc obrządki przy tym chrzcie zawierały wiele żartów, picia wina i pocałunków, a mało chrześcijańskiego rytuału. Wszyscy szczęśliwie skończyliśmy w wodzie.

W drugim roku naszego życia w Antiochii, które to miasto bardzo lubiłem (zwłaszcza że mogliśmy zeń uciec w gorące lato i schronić się w majątku ziemskim w Libanie wśród kwiatów i cedrów), usłyszeliśmy wiadomość o śmierci starego cesarza Anastazjusza. Wkrótce potem nadeszła niespodziewana wiadomość, że jego następcą nie został żaden z jego trzech bezwartościowych siostrzeńców, piastujących pomniejsze stanowiska w stronnictwie zielonych, lecz Justyn, długoletni dowódca gwardii cesarskiej. Szambelan dworu Anastazjusza dał Justynowi dużo pieniędzy na przekupienie gwardii, by popierała szambelańskiego kandydata do tronu. Justyn uczciwie oddał te pieniądze gwardzistom, lecz spletał figła szambelanowi: sam włożył purpurowe szaty bramowane złotem, purpurowe pończochy, wysadzone perłami i szkarłatem pantofle, białą jedwabną tunikę, szkarłatną szarfę i perłowy diadem, z którego zwisały cztery wielkie perły. Gwardziści przyjęli go entuzjastycznie. Chrzestne imię Justyna brzmiało właściwie Istok i nie miał nazwiska, ale postarał się, by go adoptował starożytny i szlachetny ród Anicjanów. Jednak jego stara żona oświadczyła, że ca-



łą pompę uważa za śmieszna: nie chciała ubrać się w cesarskie wspaniałości ani też przeprowadzić się do świętego cesarskiego przybytku, póki Justyn nie nadał jej innego imienia na miejsce starego. Tak więc z Lubczyn (co oznacza „luba”, „kochana”) stała się Eufemią, a jej wiejskie obyczaje wywoływały mnóstwo wesołości w mieście. Warto było popatrzeć, jak z eleganckim orszakiem kobiet i eunuchów rozdziela niedzielną jałmużnę wśród biednych w katedrze Świętej Zofii. Lubczyn doskonale rozumiała potęgę pieniędzy, ale nie mogła przyzwyczać się do myśli, że ma teraz setki tysięcy złotych monet na każde żądanie. Tak więc uroczyście wręczała poszczególne sztuki srebra długiej kolejce zatwierdzonych urzędowo żebraków, a jeśli czasem jakaś stara kobieta otrzymawszy już monetę zajmowała znowu miejsce na końcu kolejki, Lubczyn zawsze ją poznawała i wymierzała jej siarczasty policzek - tak samo zresztą nadal postępowała z Justynianem, jeśli odezwał się nie pytany albo zrobił coś, co jej się nie podobało.

Justyn był prawowiernym chrześcijaninem i skłaniał się ku błękitnym. Uznał za potrzebne pozbyć się kilku niebezpiecznych zielonych, między innymi Witaliana. Justynian kazał zamordować Witaliana na uczcie, na której obaj byli obecni wraz ze swym cesarskim wujem. To złamanie przysięgi na Eucharystię usprawiedliwił jakimś teologicznym wykrętem, w tym sensie, że przysięga wobec heretyka nie ma znaczenia. Justynian okazał się niezastąpiony jako minister Justyna, który nie potrafił czytać ani pisać i musiał pieczętować wszystkie dokumenty złotą pieczętką z napisem *LEGI*, co znaczy, „przeczytałem i aprobowane”. Justyn adoptował go, nadał mu godność konsula i mianował dowódcą Armii Wschodu.

Jednak Justynian nie był żołnierzem i wolał siedzieć z Teodora w Konstantynopolu. Zieloni chwycili za broń chcąc pomścić śmierć Witaliana, lecz Justynian był poinformowany o ich sekretach przez Jana z Kapadocji i bezlitośnie stłumił powstanie - a możecie być pewni, że Teodora zachęcała go do tego. Jan z Kapadocji, chociaż zielony, przypadkowo wyznawał prawowierne poglądy i uznał to za odpowiednią wymówkę dla swej zdrady, albowiem widział, skąd teraz wiatr wieje. Justynian wynagrodził go dużą sumą pieniędzy i ważnym stanowiskiem na dworze cesarskim. Teodora musiała więc poczekać, aż znajdzie możliwość zemsty na nim.

Tymczasem rozłam z papieżem zlikwidowano, bowiem Justyn był bardziej prawowierny niż sam papież, czym się w dość dziecinny sposób lubił przechwalać. Wszyscy monofizyccy biskupi i księża zostali usunięci ze swych stanowisk. Ciekawą okolicznością stanowiło to, że choć Teodora dochowywała wierności błękitnym lub raczej była żądną zemsty nieprzyjaciółką zielonych, pod względem przekonań należała do monofizytów tak jak Jan z Kapadocji, który, chociaż zielony, był prawowierny. Przyjęła pogląd, który wydaje się sensowny, że gdyby Chrystusa cechowało coś tak szczególnego jak podwójna natura, ktoś, przynajmniej spośród ewangelistów czy ojców apostoelskich, jeśli już nie sam, Jezus, wspomniałby o tym, a jednak nikt tego nie zrobił. Natomiast, zdaniem Justyniana, podwójną naturę spotyka się dość często, chociaż u zwykłych ludzi znacznie częściej bywa ona częściowo ludzka, a częściowo diabelska. (Myślał z pewnością o sobie.) Teodora odpowiedziała na to:

- Przyszaj, że diabli są bardzo liczni i czasami nawet siedmiu z nich może jednocześnie przebywać

w człowieku. Jednak Bóg jest zawsze jeden, co stanowi pewnik teologiczny, i stąd, jeśli Jezus istotnie był Bogiem, był tylko i jedynie Bogiem.

Belizariusz, który był prawowierny, chociaż daleki od fanatyzmu, zaszczytnie ukończył szkołę kadetów i okazał się doskonałym oficerem gwardii. Nosił uniform brązowy z czerwienią, złoty kołnierz i czerwoną tarczę z błękitnymi brzegami. Nie mieszał się do polityki stronnictw ani nie spędzał czasu beczynnie, tak że Justyn zwrócił na niego uwagę jako na człowieka godnego szybkiego awansu i zachęcił go do opracowania nowego systemu szkolenia kawalerii na wzór oddziału znajdującego się pod jego komendą. Belizariusz opracował plan, który stanowił kontynuację tego, co powiedział na uczcie w Adrianopolu - plan uzbrojenia ciężkiej kawalerii zarówno w łuki, jak i lance i stworzenia w ten sposób oddziałów nadających się jednocześnie do podjazdów i do frontального, przełamującego ataku. Justyn był doświadczonym żołnierzem i projekty Belizariusza podobały mu się. Podziwiał również jednomyślność, jaką dostrzegał między Belizariuszem i jego oficerami - Rufinusem, Janem Armeńczykiem i Uliarusem. Kiedy został cesarzem, pozwolił im wyszkolić kompanię w nowym stylu i wyruszyć na wyprawę za Dunaj.

Belizariusz uzbroił swych ludzi w lance i sztywne łuki, które, choć strzelają wolno, mogą przebić każdy lekki pancerz. Dał każdemu małą poręczną tarczę, przytwierdzaną do ramienia, która służyła jednocześnie za kołczan na sześć ostrych dzirytów - bardzo skuteczna broń na bliską odległość. Ich drzewce były u końca zaopatrzone w pióra, trzymało się je prostopadle do góry jak pochodnię i wyrzucało ruchem ręki skierowanym w przód i ku dołowi. Groty były cięż-

kie, a opierzenie zapewniało stabilność lotu. Jako ostateczną broń, kiedy nawet lanca zawiedzie, kawalerzyści posiadali ciężki miecz w pochwie u lewego boku.

Opanowanie tych wszystkich broni i jednocześnie konia wymagało wielu miesięcy praktyki, bo na przykład do użycia łuku potrzeba obu rąk. Tak więc Belizariusz wyuczył swych żołnierzy powodowania koniem bez cugli, a jedynie kolaniem i piętami. Ale wprowadził nowy wynalazek - stalowe strzemiona, które wisały na rzemieniach umocowanych do siodła i stanowiły pomoc przy wsiadaniu i jeździe na bardzo ciężkich koniach, które przekładał nad inne. Strzemiona są teraz w powszechnym użyciu w armii, chociaż najpierw pogardzano nimi jako „babskim przyrządem”. Wreszcie zaopatrzył swych ludzi w szerokie, dobrze wypchane siodła, na których z przodu przypinano, jeśli nie były potrzebne, wełniane płaszcze na chłodną czy deszczową pogodę. Żołnierze nosili kolczugi do bioder i wysokie buty z niewyprawionej skóry. Łuk, kiedy nie był w użyciu, wisił za plecami, strzały znajdowały się w kołczanie koło miecza, lanca tkwiła w skórzanej tulejce po prawej stronie.

Rekruta ćwiczący, by wszystko robił automatycznie, tak że każda czynność wchodziła w nawyk: na przykład napinanie łuku odbywa się najpierw w stępie, potem w kłusie, a wreszcie w pełnym galopie. Prawa ręka sięga za plecy po łuk, wyciąga go naprzód, opiera koniec łuku na prawej stopie i zgina łuk naciskając go w dół. Lewa ręka, która tymczasem wyciągnęła strzałę z kołczana, podciąga pętelkę ścięwy i zakłada ją na uchwyt. Następnie lewa ręka przesuwa się ku środkowi łuku, przenosząc strzałę do

prawej dłoni - i w jednej chwili łuk jest w akcji. Belizariusz nauczył się tej metody od Hunów. Od Gotów nauczył się właściwego użycia lancy i tarczy i kazał swym ludziom, by walczyli z sobą lekkimi, pozbawionymi grotów oszczepami. Ostatnie ćwiczenie dla wprawnego kirasjera polegało na tym, że galopował on przez pole, z którego końca zbliżał się „wisielec”. Był to wypchany manekin, zawieszony na szubienicy stojącej na wózku o małych kółkach. Wózek toczył się po łagodnej pochyłości. Jeździec musiał w galopie napiąć łuk, wystrzelić trzy strzały w chwiejący się manekin, a następnie być gotów do ataku lancą czy dziirytami. Od osiągnięć w tych i innych ćwiczeniach zależały awanse, żołd i racje żywnościowe. Belizariusz wymagał od swych oficerów umiejętności zręcznego wykorzystania terenu w manewrze, pośpiechu i dokładności w składaniu meldunków do dowództwa, szybkiej oceny trudności czy korzyści taktycznej, lecz przede wszystkim żądał, by potrafili dowodzić ludźmi zarówno w szyku zwartym, jak i rozproszonym. Tę sztukę jedni posiadają w większym, drudzy w mniejszym stopniu, lecz nie zyska jej nikt, kto nie potrafi zdobyć szacunku swoich ludzi przez swą fizyczną sprawność. Stąd też Belizariusz wymagał, by każdy oficer był przynajmniej równie biegły w użyciu łuku, włóczni, dziirytu i miecza i był równie dobrym jeźdźcem jak najlepsi szeregowcy pod jego komendą. Justyn zapytał Belizariusza:

- Jakich chcesz rekrutów? Czy przekładasz nad innych jakąś klasę, naród czy rasę?

Belizariusz odpowiedział:

- Daj mi ludzi, którzy potrafią pić zgniłą wodę i jeść padlinę. Niech to będą górale, żeglarze i ludzie z szerokich stepów. Nie dawaj mi rekrutów z mająt-

ków ziemskich, chyba że będę miał prawo wyboru spośród nich. Nie chcę też członków stronnictw ani żołnierzy, którzy służyli w innych korpusach.

Justynowi podobała się ta odpowiedź. Choroba podczas wielu kampanii powodowała więcej strat niż rany, a jej ofiarą po większej części padali ci, co nie byli przyzwyczajeni do złego jedzenia i wody. Górale są zazwyczaj odważni, wytrwali i samodzielni, mają dobrze rozwinięty wzrok i słuch; są niezastąpieni jako zwiadowcy i przewodnicy w bezludnych krajach. Mieszkańcy stepów umieją obchodzić się z końmi i prowadzić walkę w otwartym polu. Żeglarze mają zręczne ręce, potrafią zadomowić się w obcych krajach i porozumiewać z cudzoziemcami. Każdy gatunek tych ludzi może uczyć się od innych. Im bardziej różne są składniki mieszanki, tym lepsza będzie dyscyplina w każdym szwadronie i tym lepsze stosunki między szwadronami. Bowiem bliskie szczepowe i religijne więzy, jednoczące ludzi pod jednym sztandarem, często prowadzą do buntu, niezadowolenia i sporów z innymi oddziałami. Wstąpić do wojska to znaczy stać się jakby obywatelem całkowicie nowego świata, to nie jest jakaś przeprowadzka z centrum rodzinnego miasta na przedmieścia. Pod tym względem Justyn miał takie same poglądy jak Belizariusz.

Belizariusz nie chciał rekrutów z majątków ziemskich, to znaczy niewolników, których właściciele oddawali do armii zamiast podatków - ponieważ właściciele ziemscy oddawali zasadniczo swoich najłabszych i najbardziej nieużytecznych ludzi. Jednak dodał: „Chyba że będę miał prawo wyboru”, wiedząc, że niekiedy wśród tych rekrutów znajdują się ludzie, których oddano jedynie dlatego, że byli zbyt aktywni i samodzielni w myśleniu, by zadowolić właściciela.

Ci ludzie, właściwie traktowani, mogą stać się doskonałymi żołnierzami. Wreszcie nie chciał członków stronnictw, stanowiących wszędzie czynnik zamętu, a także żołnierzy, którzy służyli w innych korpusach, bowiem ci uważają, iż wszystko wiedzą lepiej od oficerów i sierżantów ich obecnego szwadronu czy kompanii, i uczą rekrutów tradycyjnych sztuczek: markieractwa, kradzieży i poprawiania sobie warunków na cudzy koszt.

Justyn pozwolił Belizariuszowi wybierać spośród rekrutów zaciągniętych tego roku w Tracji, Ilirii i Azji Mniejszej. Dokonał wyboru według zasad, jakie ustanowił. Z dobrze wyszkolonym szwadronem Belizariusz przeprowił się przez górny Dunaj latem roku pańskiego 520. Wyprawa była skierowana przeciwko Gepidom, niespokojnemu szczepowi germańskiemu, który osiedlił się w tym rejonie mniej więcej przed stu laty. Gepidzi walczyli konno długimi berdy-szami, mówili hulaśliwie i smarowali swe żółte włosy zjełczalym masłem. Podobnie jak u większości germańskich szczepów, podstawą ich organizacji były gminy zwane *gau*, składające się z pięciu tysięcy lub więcej dusz. Każda *gau* pod wodzą jednego szlachcica dostarczała około tysiąca uzbrojonych wojowników do armii narodowej. Tysiące dzieliły się na „setki” - oddziały kawalerii składające się z wolnych wojowników, którzy złożyli przysięgę osobistej wierności drobniejszemu włodyce i należeli do jednego klanu czy grupy rodzin, spokrewnionych z sobą przez małżeństwa.

Zadaniem Belizariusza było zaangażowanie matych sił Gepidów, wzięcie jeńca bez strat własnych i nauczenie Gepidów nowego szacunku dla cesarstwa. Wszystkie te zadania wykonał. Nawet najznacz-

niejsi Gepidzi byli słabo uzbrojeni, mieli tylko skórzane kaftany i hełmy oraz pokryte niewyprawną skórą trzciniowe tarcze. Jedynie ich piechota, składająca się ze służących i niewolników, używała łuków. Taktyka Belizariusza polegała na odciągnięciu gepidzkiej kawalerii od piechoty, utrzymaniu jej na odległość strzelenia z łuku i uniemożliwieniu podejścia na bliższą odległość z berdyszami i krótkimi oszczepami, póki nie zostanie zdemoralizowana przez straty. A przede wszystkim należało wystrzelać konie jak największej ilości kawalerzystów, a potem dopiero szarżować. Jednak nie kontynuował pościgu zbyt daleko, biorąc jedynie do niewoli kawalerzystów pozbawionych koni i innych, którzy zostali na miejscu. W tej letniej kampanii, której geograficznych szczegółów podać nie mogę, ponieważ w tym rejonie nie ma stałych miast ani znanych osobliwości geograficznych, by mogły wskazać zasięg wyprawy, Belizariusz dotarł na około czterysta mil w głąb kraju nieprzyjacielskiego. Jego ludzie zawsze mieli przy sobie racje żywnościowe na dziesięć dni, składające się z jęczmiennej mąki i suszonego koziego mięsa. Bazą zaopatrzeniową był statek na Dunaju, naładowany zapasami strzał i wyposażony w warsztat reperacyjny. Pod koniec kampanii trzech żołnierzy odniosło rany, a jeden utopił się w bagnie, lecz Belizariusz wziął do niewoli nie mniej niż czterdziestu Gepidów. Wszyscy jeńcy woleli zaciągnąć się jako kawalerzyści do jego oddziału, niż żeby ich sprzedano jako niewolników do fizycznych robót. Byli to pierwsi barbarzyńscy rekruci przybocznego pułku Belizariusza, albowiem Justyn z wdzięczności nadał takie miano oddziałowi, pozwalając ludziom złożyć przysięgę na osobistą wierność jego dowódcy.



Ci Gepidzi używają bardzo niewiele metalu, zarówno żelaza, jak i złota, a ich klejnoty są niewielkiej wartości.

Wielu oficerów, którzy wyróżnili się później pod wodzą Belizariusza w jego czterech najważniejszych wojnach, odbyło swój chrzest bojowy w tej kampanii albo podczas ekspedycji karnej, jaką przeprowadził następnego lata przeciwko bułgarskim Hunom nad dolnym Dunajem, co znowu zaczęli napadać na nasz brzeg. Na tę wyprawę wyruszył już w sześćset koni, a nie dwieście jak poprzednio. W walkach z Bułgarami, którzy potrafili strzelać z łuków pędząc galopem, powstał problem, jak podejść do nich na bliską odległość, a nie jak ich powstrzymać. Metoda Belizariusza polegała na użyciu żywej przynęty - niewielkiego oddziału na szybkich koniach - wciąganiu w ten sposób chytrych Bułgarów w niekorzystną pozycję i odcinaniu im odwrotu. Bułgarzy, podobnie jak Gepidzi, bronili się na postojach zza barykady wozów: Belizariusz zajeżdżał tym taborom od strony wiatru i podpalał je ognistymi strzałami. Zadał Bułgarom ciężkie straty i wziął wielu jeńców, lecz łup w zdobytych obozowiskach był niewielki.

Za swe bohaterskie czyny Belizariusz otrzymał awans z „dostojnego patrycjusza” na „prześwietnego patrycjusza”. Justynian był teraz komendantem gwardii swego adoptowanego ojca, cesarza Justyna. Nie znał się jednak na żołnierce i w praktyce sprawy wojskowe nadal prowadził Justyn. Z drugiej strony, Justyn nie miał rozeznania w sprawach administracyjnych i cywilnych i pozwalał urzędnikom robić w mniejszym lub większym stopniu, co im się podobało, pod kontrolą Justyniana.

Belizariusz otrzymał teraz funkcję generalnego inspektora szkolenia wojskowego i następnie cztery lata

spędził podróżując po całej wschodniej połowie cesarstwa od jednego garnizonu do drugiego, pisząc szczegółowe raporty o stanie oddziałów i wartości ich oficerów i układając zalecenia ulepszeń w szkoleniu i ekwipunku. Zyskał wielu przyjaciół wśród zawodowych starych oficerów, których pracę chwalił, i aktywnych młodych oficerów, których polecał do awansu; więcej jednak miał wrogów. Nigdy nie chciał patrzeć przez palce na niekompetencję czy braki w ekwipunku i znano go jako nieprzekupnego.

Pozostawał w wielkich łaskach na dworze cesarskim, lecz gdy go namawiano, by zaślubił tę czy inną szlachetnie urodzoną pannę, zawsze wymawiał się, że na razie zbyt wiele podróżuje. Powiadał, że kiedy już się osiedli na stałe, to wtedy pomyśli o ożenku. Ale nie miał przygód miłosnych z kobietami i unikał wielkiego domu publicznego, zbudowanego przez Konstantyna, gdzie zbierała się cała konstantynopolitańska śmietanka intelektu i mody. Nieprzyjaciele Belizariusza szerzyli pogłoski, że nie jest amatorem kobiet jedynie z tego powodu, iż woli własną płęć, lecz było to głupim kłamstwem. Jeśli się nie ożenił, to, wedle mojego stronniczego poglądu, z tego powodu, że pamiętał o mojej pani Antoninie. Unikał domów publicznych, ponieważ odwiedzanie ich było sprzeczne z moralnością chrześcijańską, do której poprzysiągł się stosować. Ponadto miał dość zajęcia, a jeśli pragnął rozrywki, wyjeżdżał ze swym sztabem na polowanie. Gdy brakło jeleni, zajęcy czy innego zwierza, nie sprawiało mu to kłopotu: równie chętnie jak szlachetną zwierzynę potrafił zastrzelić w powietrzu jastrzębia albo węża na żywopłocie i nie mniej celnie. Zachęcał swych oficerów do tych samych praktyk twierdząc, że łowy są rodzajem ćwiczeń wojskowych. Szczególnie zalecał polowanie z oszczepem na odyńce.

W sprawach służbowych dwukrotnie przyjeżdżał do Antiochii, lecz za pierwszym razem moja pani wraz z małżonkiem przebywała przypadkowo w willi w Libanie; za drugim razem również go nie spotkała, choć bardzo tego pragnęła. Jej mąż zaprosił go na obiad, lecz Belizariusz odmówił tłumacząc się obowiązkami służbowymi. Według moich stroniczych poglądów zrobił to z tego powodu, że czułby się zakłopotany spotykając panią jako żonę innego mężczyzny.

Może się to wydawać niezwykle, lecz później spotkałem się z podobną sytuacją w Italii: młody patrycjusz zakochał się w zamężnej kobiecie, kiedy miał zaledwie trzynaście lat. Nie tylko nie pokochał nigdy jakiegokolwiek innej kobiety, lecz udał się w dzikie okolice, żył w jaskini, a później założył stowarzyszenie pustelniczych zakonników, których teraz nazywają benedyktynami od owego zropaczzonego Benedykta. Jest to bardzo przyzwoite bractwo poświęcające się jedynie trzem zajęciom - mianowicie czci Boga, czytaniu i pracy fizycznej; zakonnicy powstrzymują się od jedzenia mięsa, od polityki i nałogów. Jednak wraz z Benedyktem głoszą pogląd, że mężczyzna i kobieta nie tylko powinni być względem siebie obcy, lecz są także naturalnymi, nigdy nie pojednanymi wrogami - co uważam za nonsensowne. Raz odwiedziłem ich otoczoną wysokimi murami pustelnię na Monte Cassino przy Drodze Łatyńskiej między Rzymem a Neapolem i odkryłem wśród nich najsurowszą i najbardziej drobiazgową dyscyplinę. Wrażenia opowiedziałem mojej pani, której wedle reguła zakonu nie pozwolono wejść. Zrobiłem taką uwagę o Benedykcie:

- Świat stracił w nim dobrego żołnierza. Belizariusz, który był przy tym obecny, odpowiedział mi w chrześcijańskim sensie:

- Nie, Eugeniuszu. Znalazł w nim dobrego żołnierza.

Pan Benedykt o mało nie poniósł klęski, albowiem kobieta, w której się kochał, w końcu zlitowała się nad nim, zorganizowała grupę aktorek i pewnego wieczora wszystkie poszły do klasztoru, przy czym jedna kobieta przypadała na każdego zakonnika. Zapukały do wielkich drzwi, a kiedy furtian - olbrzymi Got - otworzył, objęły go pieszczotliwie ramionami, okryły wonnymi pocałunkami i porwały jako jeńca. Atak przeprowadzono z wielkim rozmachem i wszyscy zakonnicy ulegli z wyjątkiem dwóch czy trzech, którzy zamknęli się w swoich celach i wyrzucili klucze przez okno, aby się pozbyć pokusy zupełnie jak Odyseusz w legendzie uodpornił się na pokusy syren, każąc swym żeglarzom przywiązać się za ręce i nogi do masztu. Tylko Benedykt wytrwał na stanowisku. Wziął przywódczynię nieprzyjacielskiego oddziału za rękę, przemówił do niej z serdeczną szczerością i sprawił, że zaczęła gorzko wstydzić się swego czynu. Jeśli ta historia jest prawdziwa, Benedykt miał równie twardy charakter jak Belizariusz. Albo może kobieta straciła tymczasem swą urodę: była bowiem o wiele starsza od niego, a rzymskie patrycjuszki są takome i leniwe i tyją szybko jak karpie w sztucznych stawach.

W każdym bądź razie Belizariusz prowadził moralne i uregulowane życie i w tych latach nie udało mu się tylko jedna wyprawa, mianowicie przeciwko Porfirowi, słynnemu wielorybowi, który przez dwadzieścia pięć lat przeszkadzał w żegludze po Bosforze i Morzu Czarnym i w żaden sposób nie udało się go zabić ani złapać. Ten Porfir był jedynym wielorybem, o jakim kiedykolwiek słyszano na Morzu Śródziemnym. O wiele większe wieloryby, zwane spermowcami, spo-

tyka się często na Atlantyku, a jeden, ogromnych rozmiarów, został kiedyś wyrzucony na brzeg koło Kadyksu. Jeszcze większe wieloryby widywali na Oceanie Indyjskim kupcy znad Morza Czarnego, którzy co roku wyprawiają się do Cejlonu, gdy dmie monsun - są to wieloryby dostarczające fiszbinu i często dochodzą do czterystu stóp długości. Porfir nie miał więcej niż jedną ósmą tego, jednak, inaczej niż indyjskie wieloryby, które są bojaźliwymi stworzeniami i unikają okrętów, prowadził niszczącą wojnę przeciwko cesarstwu. Wieloryby nie jedzą, jak by ktoś mógł przypuszczać, dużych ryb, delfinów, fok i rekinów, lecz tylko najdrobniejsze stworzenia; płyną w wodzie z otwartą paszczą i za każdym razem połykają miliony różnych żyjątek. Porfir pływał po Morzu Czarnym żywiąc się na dnie wśród tarłowisk rybnych i niekiedy znikał na całe miesiące. Lecz zawsze wracał, zajmował stanowisko w cieśninie Bosforu czy Hellespontu i czekał, aż prąd nanieśie mu do paszczy całe stada ryb. Kiedy Porfir zjawił się po raz pierwszy, jakiś odważny rybak, rozgniewany za porwane sieci, cisnął ciężkim ościeniem w bok potwora, gdy ten przepływał pędem koło jego łódki. Było to formalne wypowiedzenie wojny i Porfir, którego intencje dotychczas były dość pokojowe, zaatakował łódź i rozbił ją jednym uderzeniem ogona. Wtedy uprzytomniono sobie, iż Porfir nie jest młodym wielorybem spokojnego gatunku, lecz dorosłym wie-lorybem-zabójcą, jak je nazywają żeglarze indyjscy. Wojują one z dużymi wielorybami i rozszarpują je na kawałki.

Porfir czatował w głębinach morza, zjawił się nagle tryskając wodą z otworu w głowie, rzucił się na jakąś łódź czy mały statek, uderzał ją ogonem i rozbijał. Zato- pił również dwa statki o znacznym tonażu, wynurzając

się nagle pod nimi i przebijając ich dno ciosem głowy. To jednak był przypadek.

Szaleństwa Porfira wyjaśniano na wszelkie sposoby. Prawowierni utrzymywali, że został zesłany jako kara za heretycki grzech monofizytyzmu, lecz monofizyci powiadali, że to być nie może, bowiem Porfir atakował zarówno prawowiernych, jak i monofizytów. (W owym czasie znowu zlikwidowano rozłam z Rzymem.) Inni powiadali, iż szuka Jonasza - i rzucono mu na ofiarę różnych niepopularnych żeglarzy, obojętne, czy prawowiernych, czy monofizytów. Wysłano biskupów obu odłamów, by wygłaszali doń kazania z brzegu, a z prądem płynęły wypisane na skrawkach papieru teksty, zaklinające go, by w imię Trójcy Świętej wrócił do oceanu, skąd przybył. Ale Porfir był niepiśmienny, nie ochrzczony i nie zwracał na nic uwagi.

Belizariusz zgłosił się ochotniczo na polowanie na Porfira. Zajął stanowisko przy wejściu do Morza Czarnego, kiedy spodziewano się powrotu wieloryba na jego zwykłe tereny łowieckie. Belizariusz wyruszył na okręcie o wiele większych rozmiarów niż te, które zwykł był atakować Porfir. Okręt był uzbrojony w oblężniczą katapultę tego typu, która wyrzuca nie zwykłe krótkie strzały z drewnianymi statecznikami, lecz ciężkie długie oszczepy. Do obsługi katapulty Justynian wezwał oddział miejskiej milicji ze stronnictwa błękitnych - odpowiedzialność za obronę murów Konstantynopola dzielili między sobą demarchowie błękitnych i zielonych - która przez zgładzenie Porfira pragnęła zdobyć chwałę dla swej barwy. Załogę okrętu stanowili również błękitni. Pomalowali błękitną farbą pociiski katapulty, burty statku i pióra wiosła. Nadeszły wiadomości, że dostrzeżono Porfira koło północnego brzegu, że płynie z wolna ku miastu i jest w bardzo zło-

śliwym nastroju. Belizariusz rozkazał prowadzić baczną obserwację i wypróbować katapultę, ćwicząc milicjantów, by osiągnęli doskonałość w jej obsłudze. Polecił im celować do beczki, którą wyrzucono za burzę, aż potrafią dokładnie obliczyć siłę wyrzutu lin naciągniętych korbą. Nagle obserwator zauważył wodotrysk Porfira w półmilowej odległości. Porfir podpłynął bliżej i kierował się wprost ku statkowi, jak gdyby miał zamiar uderzyć weń taranem. Wieloryb był stworzeniem inteligentnym i dowcipnym i wiedział, jak straszliwą zyskał sławę: na jego widok statki zwykły rozpinać wszystkie żagle i pędzić z wiatrem, schodząc niekiedy pięćdziesiąt albo i więcej mil z kursu. Ale ten statek posuwał się dalej naprzód.

Coraz bliżej i bliżej podpływała bestia i wreszcie Belizariusz dał rozkaz strzelania. Oszczep śmignął w powietrzu - i przebił na wylot beczkę, do której ostrożni milicjanci, przerażeni wściekłością Porfira, woleli nadal celować. Porfir zadowolony się jednym machnięciem ogona - które złamało dwadzieścia cztery wiosła - a potem dał nurka i zniknął. Jednak zanim się zanurzył, Belizariusz posłał w jego kierunku ciężką strzałę ze stalowego łuku, typu używanego podczas oblężeń przeciwko nieprzyjacielowi usiłującemu sforsować wrota miejskie pod osłoną tarcz szczególnej grubości. Celował w to miejsce, gdzie, jak przypuszczał, znajduje się mózg wieloryba; jednak anatomia wieloryba jest szczególna i strzała zniknęła w ochronnej warstwie tłuszczu.

I tyle tylko łowcy widzieli Porfira; krążyli jeszcze przez kilka dni po morzu, po czym wrócili do domu. Załoga omówiła wydarzenia między sobą i wszyscy wreszcie zgodzili się na wersję, która zadowalała ich dumę. Wedle nich Belizariusz strzelił z łuku, lecz chybił, a potem milicjanci strzelili z katapulty. Oszczep trafił

prosto w otwartą paszczę wieloryba, atoli Porfir odgryzł drzewce i uszedł z grotem oszczepu wbitym głęboko w gardło. „Niebawem zdechnie z ran - chwalili się - i poznacie nasz grot po kolorze." Zieloni nie chcieli wierzyć w te przechwałki, zwłaszcza że Belizariusz ich nie podtrzymał. Powiedział tylko tyle:

- Milicjanci obsługiwali katapultę energicznie i okazali się dobrymi celowniczymi. Złożyłem urzędowy raport jego łaskawości cesarzowi. Bez wątpienia opublikuje go we właściwy sposób.

Jednak nie chcąc szkodzić honorowi błękitnych, Justyn zatrzymał raport.

Przez wiele lat po tym wydarzeniu Porfir w dalszym ciągu niszczył sieci i statki. Zieloni, chociaż uważali błękitnych za tchórzy, nie mieli wielkiej ochoty robić z siebie durniów i wyruszać ochotniczo na nową wyprawę przeciwko wielorybowi.



## Rozdział V

### WOJNA Z PERSJĄ

Cesarz Rzymian i Wielki Król Persów są odwiecznymi wrogami, jednak myślą o sobie jako o parze oczu świata i jako o połączonych morskich latarniach cywilizacji. Każdy z nich uważa istnienie drugiego za pociechę dla siebie w samotności swego świętego urzędu i można zauważyć pewien odcień koleżeństwa w listach królewskich, jakie między sobą wymieniają - zarówno podczas wojny, jak i w czasie pokoju. Witają się jak dwaj starzy gracze w kości, którzy codziennie grają w winiarni o to, kto zapłaci za wypite wino. Jedno oko, jedna latarnia, ogarnia znaczną część Europy, Azji Mniejszej i część Afryki; drugie - ogromne terytoria Azji Środkowej. Prawdą jest, że w obu przypadkach suwerenność na wielu obszarach jest jedynie tytułarna. Persowie nie mogą sprawować rządów w tak odległych satrapiach jak Baktria, Sogdiana i Arachozja; a Rzymianie w owym czasie, poza tytułem, całkowicie stracili Brytanię na rzecz Piktów i Sasów, Galię na rzecz Franków i Burgundów, Północną Afrykę zajęli Wandalowie i Maurowie, Hiszpanię - jeden szczep Gotów, a Italię z samym Rzymem - drugi szczep. Mimo to prawdziwa władza nad znaczną częścią świata pozostawała i pozostaje nadal w mocy cesarza Rzymian oraz króla Persów, a także nominalna władza nad dalszą znaczną częścią.

Na szczęście dla pokoju światowego między dwoma państwami, praktycznie na całej długości ich wspólnej granicy, rozciągają się piaszczyste pustynie i wielkie skaliste wyżyny. Granica ta biegnie od wschodniego krańca Morza Czarnego przez Armenię i - omijając Palestynę - dochodzi do północnego krańca Morza Czerwonego. Rzadko zdarzało się w historii świata, by zachodnim armiom udało się zdobyć terytoria azjatyckie za tymi granicami albo żeby wschodnie armie przedostały się do Europy czy Afryki. Nawet jeśli do tego dochodziło, podbój nie był trwały. Perskiemu Kserksesowi nie udało się zdobyć Grecji mimo ogromnych armii, jakie przerzucił do Europy po moście pontonowym na Hellesponcie, grecki Aleksander podbił Persję, lecz jego chorobliwie nabrzmiałe państwo nie przetrwało jego śmierci. O wiele częściej napastnicy jednej lub drugiej strony ponosili klęskę w pobliżu granicy albo, gdy udało im się odnieść sukces, nie próbowali utrzymać zajętych terytoriów, lecz wracali do domu po ściągnięciu daniny w tej czy innej formie. Takie konflikty prawie zawsze rozgrywały się w Mezopotamii - rejonie między Eufratem i Tygrysem w ich górnym biegu. Jest to najbardziej wygodny teren do walki, choć raczej korzystniejszy dla Persów ze względu na bliskość ich składów żywności i miast garnizonowych.

Przez kilka stuleci po śmierci Aleksandra imperium perskie występowało pod mianem partyjskiego, ponieważ Arsacydowie, dynastia panująca, byli z pochodzenia Partami. Jednak na jakieś sto lat przed chrztem Konstantyna i przeniesieniem stolicy cesarstwa z Rzymu do Konstantynopola potomek starożytnych perskich królów, imieniem Artakserkses, podniósł bunt i obalił Arsacydów. Jego nowa dynastia - Sassanidzi - przypominała cesarstwu perskie imię i tradycje i od te-

go czasu utrzymywała się przy władzy. W czasie, o którym piszę, królewski diadem nosił Kobad, dziewiętnasty z tej linii. Sassanidzi oczyścili i umocnili starożytną religię Persów, która polega na czci ognia wedle nauki proroka i maga Zoroastra. Ta religia była bardzo zepsuta przez grecką filozofię - jak zresztą dawna religia rzymska, żydowska, a także chrześcijańska. (Porównajcie ładną, prostą opowieść zawartą w czterech Ewangeliach, najwidoczniej zrodzoną wśród niewykształconych chłopów i rybaków, którzy nigdy nie studiowali gramatyki czy retoryki, z nużącym, filozoficznym chrześcijaństwem naszych czasów.) Ale król Artakserkses wypędził wszystkich filozofów ze swego państwa. Wrócili oni do nas z perskimi pojęciami i zarazili chrześcijaństwo nową herezją - manicheizmem. Manichejczycy wymyślili całkowicie oryginalną teorię o naturze Chrystusa. Utrzymywali oni, że była ona dwoista, i nie tylko dwoista, lecz także sprzeczna: Jezus, jako postać historyczna, był człowiekiem niedoskonałym i grzesznikiem, a Chrystus - jego duchowe przeciwieństwo - był Bogiem-Zbawicielem. Manichejczyków nienawidzono zarówno w Persji, jak i w krajach chrześcijańskich, a ja nie mogę powiedzieć ani słowa w ich obronie. Persowie popierali ich tylko w perskiej Armenii, chcąc osłabić więzy religijnej łączności między tym chrześcijańskim krajem a rzymską Armenią, która jest również chrześcijańska i surowo prawowierna.

Zabraniając niepotrzebnej gadaniny - albowiem tak praktycznemu człowiekowi jak ja filozofia nie wydaje się niczym innym - i rozkazując wrócić do prymitywnej prostoty działania, mowy i myśli, Artakserkses odbudował narodową siłę Persów zarówno w dziedzinach cywilnych, jak i wojskowych. Między jego następcami a kolejnymi cesarzami rzymskimi toczyły się wiel-

kie wojny, w których na ogół Persowie mieli przewagę. Jednak czternastym królem dynastii był Bahram Łowca, zwany tak, ponieważ namiętnie polował na dzikie osły w pustyni. Wplątał się w wojnę z nami, gdyż prześladował chrześcijan prawie tak samo fanatycznie, jak my prześladowujemy naszych współchrześcijan. Został wzięty do niewoli w bitwie i zmuszony do królewskiego słowa honoru, że utrzyma pokój przez sto lat. Jego synowie i wnukowie, bojąc się wzbudzić gniew jego ducha, ściśle dotrzymywali umowy i okres stuletni skończył się właśnie w czasach nowożytnych. Wtedy, jak już wspominałem, wojna wybuchła znowu, a haniebnie dowodzona armia Anastazjusza została haniebnie pobita. W tej to kampanii uczestniczył obywatel Szymon.

Spór miał kilka przyczyn, lecz najważniejszą z nich była hurtowa cena jedwabiu. Jedwab jest materiałem na ubrania, górującym nad wszystkimi innymi chłodem, lekkością i pięknym wyglądem. Wynalazła go ówczesna królowa chińska i przez stulecia importowano go z Chin morzem i lądem na użytek bogatych i dobrze wychowanych ludzi oraz tancerek, prostytutek i tym podobnych. Stopniowo z rzadkiego luksusu stał się powszechnym strojem ludzi próżnych. Jedwab łatwo przyjmuje farbę, szczególnie purpurowy barwnik skorupiaków. Bawełna jest innym użytecznym materiałem importowanym ze Wschodu, głównie z Indii. Jest to włóknisty kwiat bagiennego krzaka i można go tkać w lekkie, mocne płótna, chłodniejsze niż tkanina wełniana i łatwe do prania. Jednak bawełna nie ma połysku i delikatności jedwabiu. Nigdy nie było żadnej tajemnicy co do bawełny, lecz o naturze i pochodzeniu jedwabiu nie wiedział nikt poza Chińczykami, a ci nie chcieli odsłonić tajemnicy, pragnąc zachować swój naj-

bardziej cenny monopol. Surowy jedwab przybywał do nas zwinięty w żółtawe motki na łądogach trawy. Każdy motek zawierał pewną wagę nici. Naturaliści zgadywali, że jest to nić jakiegoś gigantycznego pająka, inni wierzyli, że to łyko kory jakiejś palmy, a jeszcze inni, że nić wyrabia się z meszku pokrywającego od dołu liście morwy. Jednak nikt nie potrafił udowodnić, iż jego pogląd jest właściwy, albowiem stosunki z Chinami utrzymywaliśmy zawsze przez pośredników - z wyjątkiem krótkiego okresu przed stu laty, kiedy nasze statki wpłynęły bezpośrednio do portów w południowych Chinach. Pertraktowaliśmy zawsze albo z kolonią perską na Cejlonie, albo z samą Persją. Karawany z jedwabiem chińskim potrzebowały stu pięćdziesięciu dni, żeby przez Bucharę i Samarkandę dotrzeć do perskiej granicy. Dalsze osiemdziesiąt dni trwała podróż do granicy rzymskiej drogą na Nisibis nad górnym Eufratem. Stąd po dalszych dwudziestu dniach jedwab przybywał do Konstantynopola. Podróż morską jest mniej ryzykowna, lecz jedwab musi przechodzić przez ręce abisyńskich kupców na Morzu Czerwonym i opłacać w ten sposób podwójne cło.

Gdy zapotrzebowanie wzrosło, chińscy kupcy podnieśli cenę surowego jedwabiu, a Persowie, nie chcąc, żeby tylko Chińczycy korzystali, podnieśli cenę sprzedaży przeszło dwukrotnie. Wtedy nasi kupcy, pozbawieni zupełnie zysku przy kupnie za taką cenę, postanowili, jeśli się uda, kupować bezpośrednio od Chińczyków, a w tym celu otworzyć drogę handlową, przechodzącą na północ od terytoriów perskich za Morzem Kaspijskim. Ta długa, lecz praktyczna droga wchodzi na nasze tereny przez wąską przełęcz w górach Kaukazu, na wschód od Morza Czarnego i granicy bogatego, przyjaznego nam kraju Kolchidy.

Jest to ta sama Kolchida, do której w dawnych czasach przybył po złote runo Jazon z Argonautami. Sądzę, że oznaczało ono w przenośni wschodnie skarby, prowadzane tą północną drogą. Decydując się otworzyć ją ponownie, nasi kupcy uświadamiali sobie, że muszą płacić cło dzikim Hunom, przez których tereny przechodziła, lecz mieli nadzieję, iż zadowolą się oni mniejszą ilością pieniędzy niż Persowie. Najbliższym i najbardziej potężnym z tych szczepów byli biali Hunowie, zwani tak, gdyż mają europejski wygląd i nie są podobni do innych Hunów, którzy wydają się nam czymś w rodzaju złych żółtych zwierząt. Żyją między Morzem Kaspijskim i Czarnym i są zaciętymi nieprzyjaciółmi Persów. Odpowiedni podarunek, składany białym Hunom dla zachęty do zaatakowania Persji od północy, nieraz uchronił nasze granice przed poważną inwazją.

Lecz plan kupców nie udał się. Persowie usłyszeli o nim i przekonali Chińczyków, żeby handlowali tylko z nimi. Potem król Kobad napisał sarkastycznie do cesarza Anastazjusza, iż biali Hunowie czynią go odpowiedzialnym za cło, które Rzymianie obiecali im płacić za użycie północnej drogi. Jeśli Anastazjusz nadal pragnie kupować jedwab, musi najpierw pożyczyć perskiemu rządowi pieniądze na uspokojenie rozczarowanych Hunów. Oczywiście Anastazjusz z oburzeniem odrzucił tę propozycję, więc Kobad najechał rzymską Armenię z małą, lecz dobrze wyszkoloną armią, oblegając ważne miasto Amidę nad górnym Tygrysem. Anastazjusz wysłał z odsieczą pięćdziesięciotysięczną armię, nie powierzając jednak dowództwa jednemu nieudolnemu generałowi, jak to jest w zwyczaju, lecz kilku nieudolnym generałom równej rangi - którzy nawzajem stale przeciwstawiali się planom swych kole-

gów i nie mogli się zgodzić nawet w najdrobniejszym szczególe. Z tego też powodu nasza olbrzymia armia została pobita, dywizja po dywizji, w kilku regularnych bitwach, a część uciekła nie ważąc się w ogóle przystąpić do walki. Nasze imię zyskało wtedy tak złą sławę na Wschodzie, że gdyby Kobadowi nie przeszkodził napad Hunów z północy - Anastazjusz kupił sobie względy białych Hunów, płacąc im obiecane cło w podwójnej wysokości - bez wątpienia spróbowałby najechać Syrię i Azję Mniejszą i z pewnością by mu się to udało. Po długim oblężeniu zajął Amidę z powodu niedbałości kilku armeńskich mnichów, którzy stali na posterunku na jednej z baszt, a po długim poście zjedli i wypili za dużo, i zapadli w głęboki sen. Persowie dostali się do tej baszty starym podziemnym przejściem i wymordowali mnichów co do jednego. Podczas ataku Kobad okazał wielką energię jak na sześćdziesięcioletniego mężczyznę. Wchodząc po drabinie z mieczem w rękę groził, że zabije każdego Persa, który by zawrócił. Opowiadano, że perscy magowie skłonili go do wytrwania przy nużącym oblężeniu, gdy chciał już zawrócić, ze względu na pewien wróżebny znak. Grupa prostytutek na murach szydziła z Persów podnosząc spódnice i wołając: „Chodźcie i zabawcie się!” Magowie wyjaśnili to jako znak, że miasto niebawem odkryje Persom swe tajemnice. Odnalezienie starego przejścia udowodniło, że mieli rację. Kobad, zawróciwszy, by wydać bitwę białym Hunom, zostawił w Amidzie garnizon składający się z tysiąca ludzi, któremu udało się utrzymać miasto przeciwko odsieczy rzymskiej, i ewakuował je dopiero w dwa lata później za okupem w wysokości siedemdziesięciu tysięcy sztuk złota.

Podpisano siedmioletni pokój między Anastazjuszem a Kobadem, lecz trwał o wiele dłużej, ponieważ

Anastazjusz był za słaby, a Kobad zbyt zajęty, żeby mogli kontynuować walkę. Lecz każda z obu stron popełniła po jednym wrogim akcie. Kobad zajął Bramę Kaspijską - przełęcz kaukaską, przez którą nasze karawany miały wyruszyć na poszukiwanie jedwabiu. Natomiast Anastazjusz ufortyfikował otwarte miasto Darà koło perskiej granicy, panujące nad głównym traktem łączącym oba kraje.

Należy wyjaśnić, co oznaczały te posunięcia. Brama Kaspijska ma ogromne znaczenie strategiczne. Jest ona jedynym dostępnym przejściem przez wyniosły i straszliwy łańcuch Kaukazu, który na przestrzeni setek mil stanowi barierę między rozległymi azjatyckimi stepami, gdzie włóczą się koczowniczy Hunowie, a naszym cywilizowanym światem. Aleksander Wielki pierwszy zrozumiał znaczenie tej przełęczy, długiej na siedem mil, zaczynającej się od strony naszej granicy naturalną bramą w przepaścistych urwiskach, którą można obronić bardzo małymi siłami. Zbudował w tym miejscu zamek, a przez ostatnie osiemset czy dziewięćset lat panowali tu różni książęta. Obecny burgrabia był pewien ochrzczony Hun. Zamek bronił jego pastwisk po jednej stronie góry przeciwko pogańskim Hunom z drugiej strony góry.

Burgrabia czując zbliżającą się śmierć, a nie mogąc zbyt polegać na zdrowym rozsądku i odwadze swych synów, napisał do Anastazjusza, który darzył go licznymi łaskami, i zaproponował, że sprzeda mu zamek i przełęcz za parę tysięcy sztuk złota. Anastazjusz zwołał swych najważniejszych senatorów i zapytał o ich opinię w tej sprawie. Wyrazili ją jak następuje: „Brama Kaspijska miałaby ogromne handlowe znaczenie dla waszej świątobliwej wysokości, jeśli można by użyć północnej drogi karawanowej do bezpośrednie-



go handlu z Chinami. Skoro to jednak udaremniła perska intryga, nie da się osiągnąć żadnych korzyści. Wasza wysokość zobaczy, że obecny naczelnik albo jego synowie będą nadal utrzymywali fortecę bez żadnych prezentów po to tylko, by chronić swój kraj przeciwko nastnikom ze stepów. Ponadto umieszczenie tam rzymskiego garnizonu byłoby zarówno niebezpieczne, jak i kosztowne; albowiem Brama Kaspijska leży dwieście mil od wschodniego krańca Morza Czarnego, a w jeszcze większej odległości od prowincji Pontu, która jest najbliższą z osobistych posiadłości waszej łaskawości na południowych brzegach tego morza. Między nimi znajduje się perska satrapia Hiberii. Dlatego radzimy waszej wielkości podziękować temu Hunowi bardzo grzecznie i posłać mu wartościowy upominek, ale nie wyrzucać dobrych pieniędzy na darmo. Wschodnia granica już i tak za dużo kosztuje cesarstwo."

Anastazjusz nierozsądnie przyjął tę radę. Burgrabia umarł niebawem, a jego synowie zaczęli się kłócić o testament. Potem najmłodszy z nich, któremu zrabowano dziedzictwo, napisał do Kobada proponując, żeby silny oddział Persów zajął Bramę. Za tę usługę chciał zostać burgrabia z dużą roczną pensją. Kobad wysłał odpowiednią armię, obsadził Bramę, zabił wszystkich synów nie wyłączając najmłodszego i pogratulował sobie, że jego zachodnie posiadłości będą teraz bezpieczne przed napadami Hunów. Gdyby Anastazjusz odważył się obsadzić Bramę swoją załogą, mógłby, ilekroć by mu przyszła ochota, wpuszczać luźne watahy najeźdźców do perskiej części Armenii tak łatwo, jak ogrodnik wyjmuje czop zbiornika, żeby napełnić kanały nawadniające.

Tyle o Bramie Kaspijskiej. Jeśli chodzi o ufortyfikowanie miasta Dara przez Anastazjusza, to starożytny

traktat zabraniał obu stronom budowania nowych twierdz na granicach. Persowie bardzo się przeciwstawiali temu działaniu, lecz Anastazjusz ufortyfikował jeszcze wieś Erceroum w rzymskiej Armenii i uczynił z niej silny gród. Persowie przyjęli to również bardzo źle, podobnie jak i jego intrygi z manichejskimi zakonnikami perskiej Armenii, pod pozorem, że jest potajemnym wyznawcą ich sekty. Kiedy Anastazjusz zmarł, a Justyn wstąpił na tron, Kobad zaczął się obawiać o przyszłość. Znał Justyna jako dzielnego żołnierza, a przy tym przeczuwał zbliżającą się śmierć. Jak wielu wschodnich królów, nienawidził naturalnego następcy tronu imieniem Khaous. Popierał swego najmłodszego syna, Khosrou, dziecko jego drugiej żony, która przez swe poświęcenie umożliwiła królowi ucieczkę z tak zwanego gmachu zapomnienia, gdzie przez dwa lata więził go pewien uzurpator. Zamieniła ubranie z Kobadem umożliwiając mu wyjście, a gdy to wykryto, została okrutnie zamęczona na torturach. Kobad przed ucieczką przysiągł jej, że jeśli uda mu się odzyskać tron, jej syn zostanie jego następcą. Oprócz Khaousa miał jeszcze jednego syna, Dżamaspesa, który uchodził za najzdolniejszego żołnierza w Persji i cieszył się zaufaniem całej szlachty, nie mógł jednak pretendować do tronu, bowiem stracił jedno oko w bitwie z Hunami. Żaden mężczyzna z jakimś kalectwem czy skazą fizyczną nie może rządzić w Persji - jest to osobliwość perskich praw, których nie wolno nigdy zmieniać ani ulepszać. Kobad rozmyślał od lat, jak mógłby odsunąć od tronu Khaousa, którego lojalnie popierał jego brat Dżamaspes, jednak nie potrafił znaleźć żadnego rozwiązania tego problemu. Dopiero gdy Anastazjusz zmarł, a Justyn został cesarzem, król perski zdecydował się na konkretną akcję. Napisał do Justyna dziwny list, dołą-

czając w upominku kilka bardzo pięknych klejnotów i dzieł sztuki. Cytuję ten list z kilkoma nieznacznymi skrótami:

„Kobad z rodu Sassanidów, Brat Słońca, Wielki Król Persów, Władca Medii, Iraku, Transjordanii, Bliższej Arabii, Persarmenii, Kirmanu, Khorasanu, Omanu, Sindu, Sogdiany i innych krajów zbyt licznych, by je wymienić w tak krótkim liście, Justynowi, Chrześcijańskiemu Władcy Rzymian, rezydującemu w Konstantynopolu, przesyła pozdrowienie.

Królewski kuzynie, z ręki ojca twego Anastazjusza cierpieliśmy wielkie niesprawiedliwości, co z pewnością w znanej szlachetności Twojej duszy jako jeden z pierwszych będziesz skłonny przyznać. Mimo to uznaliśmy, że istnieje możliwość zaniechania wszelkich ciężkich oskarżeń, jakie mogliśmy wysunąć przeciwko Rzymianom, ufni, iż za życia Twego królewskiego ojca żałowałaś równie jak my jego nierozsądnych działań, chociaż w synowskiej miłości uchylałeś się od pomniejszania ich skutków. Jesteśmy pewni, że prawdziwe zwycięstwo odnosi ten, kto wiedząc, iż został obrażony, jest jednak gotów do pojednania się ze swymi nieprzyjaciółmi, jeśli proszą go o przyjaźń. Taka jest wielkoduszność Kobada i jest on skłonny związać się z Justynem najbardziej ścisłymi więzami przyjaźni.

Nasz królewski kuzyn nie może być nieświadom znanej umowy między jego przodkiem, imperatorem Arkadiuszem, i moim praojcem, wielkim Jestidżerdem, zwanym przez samego siebie «Grzesznikiem» w jego wielkiej pokorze wobec Boga Słońca, którego czcimy.

Arkadiusz będąc poważnie chory, a nie mając dorosłego syna, lecz tylko dziecko imieniem Teodozjusz, obawiał się, że to dziecko może być odepchnięte z linii następstwa tronu przez jakiegoś potężnego generała

lub przez jednego ze swych ambitnych krewnych. Obawiał się również, że jego poddani skorzystają z politycznej niepewności, jaka często cechuje rządy małoletniego władcy. W związku z tym napisał odważnie do naszego przodka Jestidżerda i prosił go, by działał jako opiekun dziecka, póki nie dojdzie ono do pełnoletności, i obronił tron przeciwko jego rywalom. Nasz szlachetny przodek, grzesznik wedle imienia, lecz cnotliwy wedle swych czynów, przyjął propozycję i napisał do senatu w Konstantynopolu list grożący wojną każdemu uzurpatorowi tronu Teodozjusza. Następnie prowadził politykę głębokiego pokoju z Rzymem aż do swej śmierci.

W przypomnieniu tego szlachetnego wydarzenia, które sprawia zaszczyt Arkadiuszowi nie mniej niż naszemu przodkowi, i w nadziei następnego stulecia pokoju, takiego, jaki imperator Teodozjusz następnie zaprzysiągł z naszym przodkiem Bahramem łowcą i którego termin niedawno upłynął, wysuwamy następującą propozycję: żebyś Ty, Justynie, uczynił naszego ukochanego syna Khosrou, który jest naszym wybranym następcą tronu, Twoim adoptowanym synem. Uczyni tak, a będziemy Cię kochali i nasi poddani będą Ciebie kochali, a Wielki Król i Cesarz Rzymian nie będą już kuzynami, lecz braćmi. Żegnaj."

Możecie sobie wyobrazić, że Justyn i Justynian, jako jego domniemany następca, byli zachwyceni tym listem, który przynosił szczęśliwe rozwiązanie wszystkich trudności, włączając w to stary spór o cenę jedwabiu. I z pewnością mielibyście rację. Niemniej, uznali za wskazane zwołać najważniejszych senatorów i zapytać ich o radę, jak to uczynił Anastazjusz w sprawie Bramy Kaspjskiej. Wiadomo dobrze, co następuje przy takich okazjach. Najprostszy i najbardziej oczywisty wniosek

odrzuca się jako niegodny takich ekspertów mądrości jak ci przemysłni siwowłosi starcy i gorąco dyskutuje się mętną alternatywę, a następnie odrzuca. Wreszcie wynajduje się najbardziej zawikłaną i niewłaściwą konkluzję i akceptuje jednomyślnie. Znam popularną anegdotę, która szczególnie pasuje w tym kontekście. Dwóch mądrych ateńskich policjantów ściga tebań-skiego złodzieja ku granicom miasta, gdy nagle dostrzegają szyla: „Gospoda pod Kiścią Winogron. Tebań-czyicy mile widziani.” Jeden policjant mówi: „On mógł się tu schronić.” „Nie - krzyczy drugi - na pewno się spodziewał, że w tym miejscu będziemy go szukali.” „Właśnie - godzi się pierwszy - więc bez wątpienia chciał nas przechytrzyć i wszedł tutaj.” W związku z tym starannie przeszukali całą gospodę. Tymczasem tebański złodziej, który nie umiał czytać, uciekł spokojnie przez granicę. W ten sam sposób mądry senat dyskutował o Kobadzie. Czy on jest szczerzy, podstępny, czy złośliwy? Czy może jeszcze coś poza tym?

Wszelkiego rodzaju poglądy przebadano i ostatecznie pan kanclerz, jako biegły w prawie, wyraził swą przemysłaną opinię, iż Kobad pod niezwykłą prostotą ukrywa straszliwy podstęp: chce, by Justyn adoptował Khosrou jako syna, i na tej podstawie będzie mógł później legalnie domagać się dla niego cesarstwa, gdy Justyn umrze! Prosty człowiek - ale żadnego prostego człowieka przy tym nie było - uświadomiłby sobie od razu absurdalność tego twierdzenia. Przed wszystkim Persowie są miłującym prawdę narodem i Wielki Król nie byłby zdolny do poniżenia swej królewskiej godności przez taką oszukańczą sztuczkę. Po drugie, żaden Pers nie miałby najmniejszej szansy, byśmy go przyjęli jako kandydata na rzymski tron, nawet gdyby pozwolił się ochrzcić, co oczywiście wyłączyłoby go ze współ-

noty czcicieli ognia. Kobad naprawdę składał szczerą sąsiedzką ofertę (latarnia morska sygnalizująca do drugiej latarni morskiej) jak niegdyś Arkadiusz. Ale pogląd pana kanclerza przeraził Justyniana, który nie chciał mieć żadnych rywali do tronu, i nawet Teodora, choć oceniała list jak należy, nie mogła go przekonać, by wrócił do rozsądnego poglądu w tej sprawie. Tak więc Justyn dał Kobatowi wykrętną odpowiedź, proponując adoptowanie Khosrou przez ceremonię oręża, lecz nie przez edykt cesarski. Pierwsza ceremonia adoptacji była stosowana głównie u Gotów. Przyszły ojciec ofiaruje konia i kompletną zbroję swemu przyszłemu synowi i wypowiada prostą formułkę: Jesteś moim znamienitym synem. Dziś, według zwyczaju narodu i na sposób męski, począłem cię. Niech moi wrogowie będą twoimi wrogami, moi przyjaciele twoimi przyjaciółmi, moi krewni twoimi krewnymi." Różnica między tą formułką a cywilną adoptacją przez akt prawny polega na tym, że wedle prawa rzymskiego nie daje ona synowi jakiegokolwiek tytułu do dziedzictwa, lecz stanowi jedynie kontrakt legalnej protekcji z jednej strony, a synowskiego posłuszeństwa z drugiej.

Przed zwołaniem rady Justynian zapewnił prywatnie perskiego ambasadora, iż bez wątpienia cesarz przyjmie propozycję bardzo szybko, zaś ambasador wysłał natychmiast wiadomość do Khosrou, żeby był gotów na granicy, skąd mógłby przybyć szybko do Konstantynopola na ceremonię adoptacji. Lecz teraz, oczywiście, wszystko się zmieniło. Khosrou czuł się gorzko obrażony wykrętną odpowiedzią, którą rzymski ambasador przywiózł jego przedstawicielowi w Nisibis na granicy. Proste „nie” byłoby o wiele mniej oburzające niż „nie” zamaskowane jako „tak”. Czy Justyn istotnie oczekiwał, że władca najstarszego i najwięk-

go królestwa w cywilizowanym świecie pozwoli, by jego ulubionego syna, wybranego następcę, księcia z krwi Artakserksesa i Cyrusa, traktowano jak barbarzyńskiego germańskiego wojownika? Rychło potem wybuchła wojna, a Belizariuszowi powierzono jego pierwsze ważne dowództwo.

Zanim zdam sprawozdanie z jego działań, muszę wam opowiedzieć nieco więcej o mojej pani i o mnie w Antiochii. Pewnego dnia w południe - było to dwudziestego dziewiątego maja - w roku, kiedy wybuchła wojna perska, siedzieliśmy w wychodzącym na ogród portyku domu czekając na obiad. Panował tu chłód, portyk był wykładany niebieskimi płytami, znajdowała się w nim wiecznie szemrząca fontanna i sadzawka z białego marmuru, pełna różnokolorowych ryb, otoczona doniczkami kwiatów, niekiedy bardzo rzadkich, sprowadzanych z Dalekiego Wschodu. Moja pani sennie trzymała w ręku robótkę, nie mogąc szyć z powodu duchoty dnia. Ja również czułem się jakoś dziwnie osłabiony na ciele i duchu. Nagle zrozumiałem, że jestem chory. Cała ziemia zdawała się wznosić i chwiać dokoła. Ogarnęło mnie przerażenie: czy to cholera? Czy umrę w ciągu najbliższych godzin? Cholera szalała w biedniejszych dzielnicach miasta, zabijając po pięć tysięcy ludzi dziennie. Niedaleko stała wspaniała świątynia w stylu korynckim, ongiś poświęcona bogini Dianie (która jest również syryjską boginią Astarte), lecz teraz, od stu lat, używana jako kwatera główna stronnictwa błękitnych. Spoglądając przez kolumnadę usiłowałem utrzymać wzrok na szerokim perystylu tego potężnego budynku i rzędach wysokich kolumn a żółtego numidyjskiego marmuru. Lecz te również chwiały się jak pijane i po jednym szczególnie gwałtownym zamachu poleciały w bok - a perystyl runął w dół z trza-

skiem i straszliwym hukiem! Wtedy uświadomiłem sobie, że to nie ja jestem chory, lecz nasza matka ziemia! To, co przeżywałem, było trzęsieniem ziemi o ogromnej i straszliwej sile. Porwałem chłopca mojej pani, Focjusza, i jej małą Martę, bawiących się na podłodze koło mnie, i wyskoczyłem do ogrodu, zaś moja pani potykając się pobiegła za mną. Uczyniliśmy to w ostatniej chwili: jeszcze gwałtowniejszy wstrząs ziemi obalił nas z nóg, a nasz piękny, kosztowny i wygodny dom z trzaskiem runął w jedną skłębioną masę rumowisk i połamanych belek. Coś uderzyło mnie w głowę i zacząłem automatycznie wykonywać ruchy rękami, jak bym płynął, jak bym wyleciał do morza z rozbitego statku i zalewały mnie olbrzymie fale. Istotnie, nie wiedziałem w owej chwili, iż wiele tysięcy moich współobywateli płynie również, i to rozpaczliwie na serio. Bowiem wielka rzeka Orontes, wezbrana wiosennym przybojem, została wypchnięta ze swego łóżyska przez wstrząsy ziemi i teraz pędziła przez dolne miasto strumieniem głębokości dwudziestu stóp, niszcząc wszystko przed sobą.

Gdy mi się nieco przejaśniło w głowie, chwyciłem moją panią za rękę i popędziliśmy na miejsce, gdzie stał dom, desperacko wykrzykując imiona dwojga starszych dzieci, ich nauczyciela i innych domowników. Ale wszyscy zostali pogrzebani pod dymiącą ruiną z wyjątkiem dwóch ogrodników i posłańca, którzy wyskoczyli przez tylne drzwi po pierwszym wstrząsie, oraz jednej ciężko rannej służącej. Próbowaliśmy wyswobodzić kogoś, kto jęczał w gruzach koło nas - sądzę, że była to szwagierka mojej pani - lecz nagle podniósł się wiatr i ogień ogarnął skłębioną masę, uniemożliwiając wszelki ratunek. Raz zdawało mi się, że słyszę krzyk starszego syna mojej pani, jednak gdy pod-



szedłem do tego miejsca, panowała tam już zupełna cisza. Potem wstrząsy stopniowo traciły na gwałtowności. Parę godzin później mogliśmy już się zorientować w okropnościach dnia.

Antiochia, drugie miasto w Cesarstwie Wschodnim (choć Aleksandria, Korynt i Jerozolima zacięcie spierają się o ten tytuł), leżała w ruinach. 2 siedmuset pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców ci, co przeżyli, pozostali z wyjątkiem kilku tysięcy bez dachu nad głową, gdyż szalejący pożar zniszczył drewniane domy, które oszczędziło trzęsienie ziemi. Ani jeden kościół czy budynek publiczny nie został cały. Niewiarygodnie głębokie i długie szczeliny pojawiły się w ziemi pochłaniając całe ulice domów. Najbardziej fantastyczne straty powstały w dzielnicy ostracyńskiej i nimfeañskiej, lecz najwięcej ludzi zginęło w łaźniach publicznych (Hadriana i Trajana), które były zatłoczone podczas pierwszego wstrząsu. Zwykłe nieszczęścia, towarzyszące trzęsieniom ziemi o takim zasięgu, nie dały na siebie czekać: grabież, rozruchy, zakażenie wody, epidemie wśród mieszkańców (cholera wybuchła ze wzmożoną siłą) i zapalczywy spór religijny co do przyczyny katastrofy. Na szczęście mieliśmy zdolnego gubernatora, który potrafił zyskać zaufanie lepszych elementów spośród ludności. Zorganizował brygady do odkopywania ofiar zasypanych w ruinach, tłumienia ognia, grzebania zmarłych, budowy tymczasowych schronisk oraz zbierania i rozdziału żywności. Gdyby go nie było, nasza sytuacja wyglądałaby naprawdę rozpaczliwie.

Trzęsienie ziemi zaskoczyło męża mojej pani w świątyni Diany, która runęła, i jego ciała nigdy nie zidentyfikowano. Jednak udało się nam odkopać znaczną sumę w złocie w piwnicach domu, testament znajdował się w krypcie kościoła w Seleucji pod opieką księży,

a skład, w którym trzymał bele jedwabiu, nie runął ani się nie spalił. Willi w Libanie nie tknęła katastrofa. Stwierdziliśmy, że mogło być o wiele gorzej. Z czworga dzieci mojej pani pozostało jej jeszcze dwoje. Cierpiała, jak to zwykle matka, na myśl o tych, które straciła, wma- wiając w siebie, że były jej ulubieńcami, najbardziej utalentowanymi i najpiękniejszymi z całej czwórki. Nie mogę powiedzieć, o ile było to zgodne z prawdą. Istotnie Focjusz nie okazał się dla niej dobrym synem, lecz wolałem go niż jego brata, który zginął.

Kiedy Justyn dowiedział się o nieszczęściu, jakie do- tknęło nie tylko Antiochię, lecz wielkie miasto Edesę na drodze do Persji, a także Anazarbę i Pompeiopolis, a na zachodzie Durazzo i Korynt, ogarnęła go rozpacz. Zdjął diadem z głowy, wdział szarą pokutniczą szatę, złożył ofiary w kościele za murami miasta i nie mył się ani nie golił przez cały miesiąc. Specjalnym dekretem zamknął również hipodrom i teatry na ten sam przeciąg czasu. Ofiarował dwa miliony sztuk złota na odbudowę Antiochii i proporcjonalne do tego sumy na odbudowę innych miast, a także zwolnił je od podatków na kilka lat. Dochody cesarskie bardzo się zmniejszyły.

Jeśli chodzi o moją panią Antoninę, czekała przez dwa lata w Antiochii, aż warunki poprawiły się wystar- czająco, by ceny ziemi znowu osiągnęły rozsądny po- ziom. Następnie sprzedała całą posiadłość odziedziczo- ną po mężu i wróciła do Konstantynopola wraz z oboj- giem dzieci i ze mną. Kupiła mały domek na przedmie- ściu Blachernae nad wodami Złotego Rogu, lecz nie da- ła znać o swej obecności Teodorze czy też którejkol- wiek z dawnych koleżanek, wołąc żyć w odosobnieniu.

Krótko po naszym przybyciu Justynian w nastę- pstwie Justyna został cesarzem. Teodora była już jego żoną, albowiem stara ciotka umarła, a Justynian prze-

kołał Justyna, by unieważnił stare prawo zabraniające patrycjuszom ożenku z kobietami, które występowały na scenie.

Tak więc dawna koleżanka mojej pani z domu klubowego włożyła na głowę koronę ozdobioną klejnotami i sznurami pereł opadającymi na ramiona, purpurowy płaszcz, bramowaną złotem spódnicę, złote pantofle i zielone pończochy. Moja pani wołała, żeby Teodora sama ją odnalazła, jeśli ma ochotę, niż iść do niej. Z tego, co widzieliśmy, raczej pragnęła zapomnieć lub zniszczyć wszelkie dowody jej dawniejszego życia.

Moja pani z zaciekawieniem śledziła wiadomości z wojny perskiej i w tajemnicy pyszniła się zwycięstwami Belizariusza. On i drugi młody oficer, imieniem Sit-tas, wtargnęli do perskiej Armenii i uprowadzili dużą liczbę jeńców. Był to jedyny sukces, jakim Rzymianie mogli się poszczycić w tej wojnie, która, jak dotychczas, miała przebieg niekorzystny. Hibernijscy poddani Persów, będący chrześcijanami, zbuntowali się przeciwko Kobadowi, ponieważ próbował ich zmusić do praktykowania perskich obyczajów pogrzebowych. Chrześcijanie kopią groby, a poganie palą zmarłych, lecz Persowie kładą swych zmarłych na wieżach na pożarcie drapieżnym ptakom, uważając ogień i ziemię za żywioły zbyt święte, by je zatruci ciałami nieboszczyków. Hiberom przysłano posiłki z Konstantynopola w postaci wysłużonego generała, pieniędzy i małego oddziału życzliwych Hunów znad granicy Kolchidy. Jednak to nie wystarczyło, by uniemożliwić Persom podbicie Hiberów.

W łańcuchu górskim między Hiberią i Kolchidą znajdują się dwie przełęcz strzeżone przez starożytne forty. Kolchowic, którzy stanowili załogę tych fortów, korzystając z wojny wysłali posła do Konstantynopola

prosząc, by im płacono za ich trudną i nieprzyjemną służbę. Oświadczyli jednak, że jeśli cesarz woli obsadzić fortecę własnymi ludźmi, nie mają nic przeciwko temu. Było to akurat wtedy, gdy Justyn jeszcze żył, ale już całkowicie dziecięciem. Justynian, który teraz sam decydował w najważniejszych sprawach, nie chciał popełnić omyłki, jaką zrobił kiedyś Anastazjusz w sprawie Bramy Kaspijskiej. Nie zwołując posiedzenia senatu oświadczył posłowi, że Justyn przyjmuje drugą ewentualność. Kolchowie w związku z tym wycofali swe załogi, a na ich miejsce wysłano oddziały cesarskie. Lecz w przeciwieństwie do zamku przy Bramie Kaspijskiej, który był łatwo dostępny i położony w dość żyznej okolicy, te fortece wzniesiono w dzikim, jałowym kraju, a żywności nie można było dostarczać na mułach -tylko tragarze mogli wspiąć się na te skały. Na przestrzeni całych mil nie rośło nic nadającego się do jedzenia z wyjątkiem pewnej odmiany prosa, które Kolchowie jadali, lecz nasi ludzie uważają za pokarm nadający się jedynie dla ptaków. Kolchidzcy tragarze domagali się teraz tak dużej opłaty za dostarczanie chleba, oliwy i wina wojskom cesarskim, że dwaj komendanci szybko wyczerpali przyznane im fundusze na zaopatrzenie, a ich żołnierze, nie chcąc nawet tknąć chleba z prosa, wycofali się na równiny. Kiedy Persowie w Hiberii usłyszeli o tym, zajęli fortecę i uważali, że opłaci się karmić ich załogi jak najlepszym jedzeniem. Justynian powinien był zostawić garnizony w rękach mieszkańców Kolchidy, płacąc im dobrze za ich usługi.

Drugą pomyłką z naszej strony była wyprawa na terytorium nieprzyjacielskie w pobliżu Nisibis, prowadzona przez trackiego generała dowodzącego załogą w Dara. Celem takiego wypadu, jak powiadał zwykle Belizariusz, jest wedrzeć się możliwie daleko na teryto-

rium nieprzyjaciela bez narażania się jednak na odcięcie. Na terenach nieprzyjacielskich należy wyrządzić jak najwięcej szkód wojskowych, lecz należy unikać zbędnego okrucieństwa. Skuteczny zagon przeraża rząd napadniętego kraju i dyskredytuje go w oczach mieszkańców; strach i poderwanie zaufania do rządu są miarą powodzenia. Tak więc podjazdy Belizariusza i Sittasa w poprzednim sezonie wdarty się na sto mil doliną rzeki Arsanias, przeszły przez rzekę po moście, który następnie zniszczono, i wycofały się z wolna drugim brzegiem rzeki - plądrując systematycznie podczas marszu - przed postępującą naprzód liczną kolumną Persów. W wyprawie brało udział zaledwie kilkuset dobrze wyszkolonych żołnierzy. Ale tamten Trak poprowadził na wyprawę wielki, źle dobrany oddział kawalerii i piechoty i zmuszał jazdę, by dotrzymywała kroku maszerującej piechocie. Nie dotarł do żadnego ważniejszego miasta, popełnił kilka aktów bezsensownego okrucieństwa, a następnie, na nie potwierdzoną i nieścistą wieść, że perskie posiłki maszerują drogą do Nisibis, zawrócił i popędził z próżnymi rękoma do Darà, skąd wyruszył.

Takie tchórzostwo i głupota zniszczyły cały efekt poprzedniej wyprawy. Stąd też Belizariuszowi i Sittasowi polecono znowu pustoszyć dolinę Arsanias, co też uczynili. Jednak Persowie byli tym razem czujni i niebawem zaskoczyli szwadron ludzi Sittasa, którzy nie tylko byli obładowani ciężkimi łupami, ale i pijani. Belizariusz musiał prowadzić ciężki bój w ariergardzie, by ubezpieczać ich odwrót, i był szczęśliwy, że wyprowadził większą część ludzi, zadając Persom poważne straty. Ale zostawił wielkie stado zdobytych koni i część schwytych perskich dostojników w rękach nieprzyjaciela. Po tej właśnie wyprawie, w której bardzo

odznaczyli się jego dawni koledzy szkolni, Belizariusz ogłosił surowy rozkaz przeciwko pijaństwu w czynnej służbie: karą miała być śmierć bez możliwości ułaskawienia, i to śmierć najhaniebniejszego rodzaju wedle poglądów przyjętych w narodzie pijaka, a wyrok mieli wykonać jego własni koledzy.

Jedną z pierwszych czynności po wstąpieniu na tron Justyniana było usunięcie Traka z dowództwa i mianowanie Belizariusza komendantem Darà na jego miejsce. Słyszeliśmy pogłoskę, która bardzo zaniepokoiła moją panią, że Belizariusz otrzymał awans zaręczysz się z Anastazją, siostrą Teodory, mimo że była bezzębna i chora. Okazało się to jednak nieprawdą. To szczęście przypadło w udziale Sittasowi.

Pewnego dnia, kiedy jeszcze toczyła się wojna, losy mojej pani zmieniły się znowu. Miało to związek z przybyciem do naszego domu dwóch wychudłych i zdrożonych mnichów, z których starszy niósł mały koszyczek. Odszukali ją z wielkim trudem, idąc piechotą przez całą drogę z Antiochii, gdzie spodziewali się ją znaleźć. Po wielu daremnych wypytywaniach od jednego końca miasta do drugiego i wielu modlitwach trafili wreszcie do jej domu. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że w koszyku znajduje się tylko parę świeżo zerwanych liści morwy. Jednak w liściach tych znajdował się majątek kolosalnej wartości. Moja pani natychmiast wzięła je do pałacu i poprosiła o posłuchanie u jej wysokości cesarzowej Teodory. Włożyła na siebie skromne suknie i przedstawiła się jako pobożna wdowa po takim to a takim zmarłym skarbniku błękitnych w Antiochii. Nie chciała opisać bliżej swej sprawy, lecz powiedziała, że jest to ważna sprawa państwowa, a gdyby ją zdradziła pierwiej, nikt by jej nie uwierzył. Znała zbyt dobrze Teodorę, by wiedzieć, że nie oprze się tak wielkiej pokusie.

## Rozdział VI

### TAJEMNICA JEDWABIU

Część pałacu, do której przybyła moja pani Antonina, była westybulem, znanym pod nazwą Spiżowego Domu. Jego dach jest z mosiężnych płyt, a nad bramą znajduje się wizerunek Chrystusa. Tu mieści się kwatery czterech batalionów gwardii cesarskiej, a także sale tronowe, sale bankietowe i więzienie dla mężczyzn i kobiet oskarżonych o zdradę. Innymi głównymi budynkami pałacu są Dafne, gdzie załatwia się większość spraw cesarskich, i Sigma, gdzie znajdują się sypialnie cesarza i cesarzowej oraz rezydencja eunuchów. Stoi tu mały kwadratowy pałac z piramidalnym dachem, zbudowany z purpurowo nakrapianego marmuru - inne są z białego, żółtego, czerwonego czy zielonego marmuru - gdzie wszystkie cesarzowe według starożytnej zasady musiały odbywać połów, aby ich dzieci można było nazwać „urodzonymi w purpurze”. Teodora urodziła Justynianowi córeczkę, lecz ta umarła w niemowlęctwie. Pałac z przybudówkami i ogrodami zajmuje jedną dziesiątą ogólnej powierzchni miasta i leży w trójkącie między Bosforem a wodami morza Marmara.

Moja pani oczekiwała kilka godzin w poczekalni Spiżowego Domu, małym zatłoczonym pokoiku, a wielu ważnych i nieważnych urzędników, przeważnie eunuchów, wypytywało ją po kolei, usiłując złamać jej wytrwałe milczenie. Zapewniano ją wciąż, iż cesarzowa

nie przyjmuje interesantów, o ile szczegółowo nie określą istoty swej sprawy. Moja pani odparła, że gdyby cesarzowa wiedziała, iż przetrzymują tak ważną petentkę, z pewnością by ich ukarała. Czyż nie mogą ocenić z wyglądu jej osoby, iż nie jest kobietą, która by zawracała cesarzowej głowę głupstwami?

Wreszcie się udało. Wpuszczono ją do obitego jedwabiem pokoju audiencyjnego Teodory na popołudniową audiencję, która zaczynała się o godzinie drugiej. Oprócz koszyka miała z sobą dzieci - Focjusza i Martę. Dzieci były rozkapryszone i splekane, ponieważ nie jadły obiadu i trzymano je na nogach w poczekalni od godziny ósmej. Moja pani rozpoznała kilku oficerów i urzędników gwardii ze swych dawniejszych czasów w domu klubowym, lecz postarała się, by oni jej nie poznali. Piękny złoty krzyż na jej piersi i wdowie welony stanowiły wystarczające przebranie. Ponadto mocno przytyła od czasu swych akrobatycznych tańców i nie była w tej części świata przez dziesięć lat.

Moja pani obserwowała przygotowania do audiencji, którą Teodora odbywała w innych godzinach niż Justynian, tak że główni mężowie stanu mogli jej asystować. Jakiś ksiądz otworzył urządowanie krótką modlitwą, odśpiewano mu kilka odpowiedzi, zaś Teodora przez cały czas obcinała paznokcie małym nożykiem, przybierając pogardliwy wyraz twarzy. Następnie dymisjonowani urzędnicy i znaczniejsze damy po kolei podchodzili z wielkim szacunkiem do tronu, by pocałować rąbek sukni cesarzowej czy podeszwy jej stóp. Pozdrowiała ich chłodno. Z kolei zapowiedziano pierwszych petentów. Teodora niektórych słuchała poważnie, innych niecierpliwie, ze ściągniętymi brwiami. Jej decyzje były krótkie i ostre. „Upominek w złocie dla tej kobiety.” „Tę prośbę należy przedstawić jego łaska-



wości cesarzowi." „Wyprowadzić tego bezwstydnego draba i wychłostać go." Wyglądało na to, że wszyscy boją się Teodory.

Jednak moja pani pomyślała, iż Teodora wcale się nie zmieniła. Wreszcie Narses, szambelan i eunuch, oznajmił pokornie-

- Antonina, wdowa po takim to a takim kupcu je dwabi, zmarłym skarbniku stronnictwa błękitnych w Antiochii, z osobistą prośbą. Uparcie odmawia bliższego określenia swej sprawy, twierdzi jednak, iż jest to sprawa o dużym znaczeniu dla państwa i dla waszej wysokości.

Moja pani wystąpiła naprzód i złożyła głęboki ukłon.

Teodora słuchała kpiąco, pochylając nieco głowę w znanej pozie. Moja paniomal się nie zapomniała, o mało nie skoczyła naprzód, by uściskać swą starą przyjaciółkę; łzy napłynęły jej do oczu. Bardzo lubiła Teodorę i była z niej bardzo dumna, że siedzi na złotym tronie z taką gracją i pewnością siebie.

Teodora zwróciła się do mej pani:

-Bardzo ładna dziewczynka. Tó twoja?

-Tak, najjaśniejsza pani.

-Imię?

-Marta, najjaśniejsza pani.

-Dlaczego Marta?

- Chrześcijańskie imię, wasza wysokość. Dziecko jest ochrzczone.

- Lecz dlaczego nie Maria czy Elżbieta? Czy Dora? Albo Anna? Albo Zoja?

Moja pani nabrała odwagi:

- Nazwałam ją Martą według siostry Łazarza, który został wskrzeszony. Mówiono mi, że Marta wolała zajmować się praktycznymi sprawami gospodarstwa do-

mowego niż brać udział w prawdopodobnie heretyckiej religijnej dyskusji.

Księża byli zgorszeni, lecz Teodora zaśmiała się cicho i powiedziała do majordomusa:

- Opróżnić salę, i to szybko. Chcę porozmawiać prywatnie z tą inteligentną i pobożną wdową.

Zanim ostatni petenci i gwardziści całkowicie się oddalili, cesarzowa zeszła z tronu, pobiegła ku Antoninie i objęła ją czule, płacząc z radości.

- O moja Antonino, myślałam, że już nie żyjesz. Po wiedzieli mi, że zostałaś zabita podczas trzęsienia ziemi w Antiochii! Nie poznałam cię, póki nie zaczęłaś mówić. Dlaczego nie odszukałaś mnie wcześniej? Byłaś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam, najdroższa Antonino!

Moja pani poprosiła o przebaczenie, wyjaśniając, że nie była pewna, czy Teodora chce widzieć swe stare towarzyszki zajmując tak wysoką godność.

- To nie było właściwe z twojej strony - powiedziała Teodora, obejmując ją znowu. Dotknęła krzyża na piersi mojej pani. - Więc także się ochrzciłaś? Nigdy bym nie pomyślała! Ty poganko, ty czarownico!

Mojej pani całkowicie wróciła pewność siebie.

- Nauczyłam się tego od Teodory - zażartowała. Teodora dała jej lekkiego klapsa i udała, że czuje się obrażona. Moja pani wspomniwała teraz bez najmniejszej obawy czy zakłopotania, że dzieci nie jadły od rana. Teodora znowu wezwała majordomusa i kazała mu ukarać osobę odpowiedzialną za głodzenie jej gości. Po wiedziała również, że przerywa na dziś audiencję i że pozostali petenci muszą wrócić następnego dnia. Wzięła moją panią i jej dzieci do swego pokoju przy sali bankietowej, gdzie podano wspaniały obiad na złotej tacy wysadzanej ametystami. Następnie potoczyła się

łatwa, przyjemna rozmowa o starych czasach. Moja pani dowiedziała się, że Indaro korzystnie wyszła za mąż i wyjechała do Smyrny, lecz Chrysomallo jest tu nadal i zostanie niebawem wezwana. A co by moja pani powiedziała, gdyby została damą alkowy z tytułem patrycjuszowskim, jak Chrysomallo, i zamieszkała w pałacu? Moja pani nie ośmieliła się spytać Teodory o jej pozycje z Justynianem, lecz cesarzowa sama sporo powiedziała.

-To mądry człek, ale tchórzliwy, chwiejny, dający sobą kierować. Mam z nim jedną trudność, że jest religijny, przesadnie religijny, i specjalnie czuły dla wszystkiego, co chroni jego duszę od najmniejszego cienia herezji. On i ja zawarliśmy porozumienie, że nie będziemy się nawzajem zgadzać w kwestiach teologicznych, tak żeby wszyscy o tym wiedzieli. Oczywiście, nie występujemy przeciwko sobie zbyt ostro. To utrzymuje powszechny spokój i sprowadza do nas intrygantów z obu stron, zarówno prawowiernej, jak i heretyckiej, tak że możemy łączyć nasze informacje,

-A Jan z Kapadocji? - spytała moja pani.

-Nasza przysięga nadal obowiązuje.

-Żeby go uczynić żebrakiem?

-Z czasem, z czasem, Antonino, moja droga przyjaciółko. Oczywiście, chcesz znowu wyjść za mąż?

-Czemu nie.

-Mam dla ciebie męża.

-O Teodoro, przypuszczam, że odpowiedniego?

-Mężczyznę, który w ogóle jest za pobożny i za prawy, człowieka, który wszelkimi sposobami wykręca się od małżeństwa. Zdaje się, czyni to w obawie, że wpadnie w grzech, dokonawszy złego wyboru. Chcę zrobić przysługę zarówno jemu, jak i tobie.

-Patrycjusz?

- Patrycjusz. Młody, przystojny, doskonały żołnierz, najlepszy dowódca kawalerii, jakiego mamy.

Moja pani zaczęła się śmiać.

-O Teodoro, najwidoczniej obie obrałyśmy tego samego męża dla mnie. Lecz co będzie, jeśli Belizariusz odmówi?

-Nie odmówi. Zwrócę się do niego w formie rozkazu w imieniu cesarza.

W swej radości moja pani przypomniała sobie koszyk. Powiedziała:

- Teodoro, to najszczęśliwszy dzień w moim życiu. Jednak mam możliwość zrobić prezent cesarzowi i to bie, który, jak sądzę, wynagrodzi stokrotnie twoją uprzejmość wobec mnie.

Wyjęła gałązkę morwy i pokazała obgryzające ją trzy gąsienice.

- Tajemnica jedwabiu - rzekła.

Cesarzowa spoglądała z niedowierzaniem, ale moja pani pokazała jej jedwabne oprędy, w jakie spowijają się gąsienice, gdy mają zostać motylami. I powiedziała jej, jak doszła do tego cennego nabytku.

- Mój zmarły mążek przypadkowo był nestoriańczykiem, ponieważ urodził się w Antiochii, gdzie ta heretżja powstała.

Nie potrzebowała tłumaczyć Teodorze, czym jest nestorianizm, ale moim czytelnikom muszę wyjaśnić, że był to tylko jeden z tych różnych poglądów dotyczących natury Syna Bożego, i to raczej kierunek logiczny niż mistyczny. Nestorianie utrzymywali, że Syn Boży ma dwie natury, ludzką i boską, i że każda z nich jest całkowita, a stąd każda osobista, ponieważ osobistość jest zasadniczą częścią całkowitej natury. Więc w konsekwencji nikt nie może uważać tych dwóch natur za zjednoczone (co było prawowiernym punktem widzę-

nia), lecz jedynie za połączone. Jeśli chodzi o boską naturę Jezusa, polegała ona na tym, że Ojciec przebywał w nim podobnie jak w świętych - chociaż w świętych przebywa w znacznie mniejszym stopniu. Ten pogląd został wyklęty jako umniejszający godność Syna Bożego i zbliżający się niebezpiecznie do herezji plotynianów, która brutalnie odmawia Chrystusowi jakiegokolwiek boskości.

- Pewnego dnia dwóch nestoriańskich zakonników przybyło do mego męża i skarżyło się, iż ich klasztor w Libanie zamknięto na polecenie patriarchy Antiochii i że teraz zamierzają wyruszyć w świat. Chcieli udać się do jakiegoś odległego kraju - Indii, Abisynii czy Chin - i głosić tam słowo boże. Lecz brakło im pieniędzy, ich sandały były już podarte, habity w strzępach, a jałmużna napływała skąpo. Więc mój mąż pocieszył mnichów, umożliwił im przyłączenie się do jednej z jego karawan idących do Persji i dał im pieniądze, by kontynuowali podróż, jeśli mają ochotę, aż do samych Chin, gdzie pole misyjne jest bardzo szerokie i gdzie powstała już gmina nestoriańska. Tak więc pochwalili Boga, podziękowali mojemu mężowi i spytali go, czy mogliby mu się czymś odwdziaczyć. Odpowiedział półzartem: „Módlcie się za mnie rano i wieczorem, a gdy wróćcie, przywieźcie z sobą sekret jedwabiu, albowiem zapewni to wam swobodę religijną do końca życia.”

Ci prości ludzie po wielu trudach dotarli do Chin i przebywali tam przez cały rok, głosząc ewangelię. Wierzyli, że, tak jak na pierwszych apostołów, spłynie na nich dar języków i dzięki temu będą się mogli porozumieć z tubylcami. Tak się jednak nie stało, a język chiński jest najbardziej trudny do wyuczenia się go ludzkimi środkami, bowiem składa się podobno z bardzo niewielu słów, które stale zmieniają sens stosownie

do akcenai, z jakim są wymawiane. Stąd też nasi zakonnicy mogli jedynie wzdychać, marszczyć czoła, pokazywać na niebo i mówić poważnym głosem w swym syryjskim dialekcie, kiedy szli od wsi do wsi. Niektórzy z mieszkańców śmieli się, inni współczuli im, a jeszcze inni uważali ich za świętych mężów i dawali jałmużnę.

Pewnego dnia, w szopie koło nie strzeżonej plantacji drzew morwowych, ujrzeli kobiety zajęte rozwijaniem jedwabnych kokonów i nawijaniem jedwabiu na motki. Ukradli jeden kokon, rozerwali go i znaleźli w środku gąsienicę, bardzo podobną do tych, które roją się na liściach morwy. Zakonnicy zgadli, że cykl przemian musi być następujący: gąsienica, kokon, po-czwarka, motyl, jajko i znowu gąsienica.

Czekali w sąsiedztwie, aż nastał sezon na motyle. Następnie wrócili na plantację i zebrali to, co uważali za jajka jedwabnika, i ukryli je w pustej bambusowej laskie - jak legendarny Prometeusz ukrył kradziony z nieba ogień w pustej łądze kopru. Zalepiwszy laskę z obu stron grubą warstwą wosku, ruszyli w długą podróż do domu drogą przez Persję. Przybyli do Antiochii w rok i dwa miesiące po zebraniu jajek, lecz jedwabniki wylęgły się, kiedy położono je w ciepłym miejscu. Gąsienice żywiły się liśćmi morwy, które zakonnicy dla nich przygotowali. Widzisz, że niektóre kokony już się sformowały.

Możecie sobie wyobrazić, z jakim zachwytem Teodora powitała opowiadanie mojej pani. Zakonnicy uważnie obserwowali sposób hodowli jedwabników i było jasne, że od tych skromnych początków można rozpocząć, przemysł jedwabniczy, który uniezależniłby nas nie tylko od Persji, ale i od Chin. Tkalnie i farbiarnie surowego jedwabiu istniały już w wielu naszych miastach. Teodora mianowała mnichów opatami dwóch prawo-

wiernych klasztorów i napisała list do patriarchy Antiochii informując go, że znajdują się oni pod jej opieką. Oba klasztory stały się farmami jedwabniczymi, otoczył je las młodych drzew morwowych, a opaci, choć nie zmienili swych nestoriańskich poglądów, byli zbyt zajęci, żeby dyskutować o subtelnych punktach dogmatów z zakonnikami. Skandale herezji są wytworem lenistwa. Niebawem Justynian zrobił królowi Persów prezent z kosztownego, farbowanego tyryjską purpurą jedwabnego płaszcza. Jednocześnie zawiadomił Kobada listownie, że płaszcz sporządzono z syryjskiego jedwabiu; wysłał także kokony jedwabników jako dowód rzeczowy. Król Kobad zmartwił się bardzo. On także poznał niedawno sekret jedwabiu; podał mu go jeden z jego wasali, który ożenił się niedawno z chińską księżniczką. Opuszczając kraj młoda kobieta ukryła garść jajek w turbanie. Lecz król nie uczynił żadnej próby, aby wykorzystać jej informacje. Bezpieczniej było pozostawić sprawę tak jak dotychczas, pośrednicząc w zyskowej sprzedaży jedwabiu na Zachód, niż tworzyć nowy przemysł i ryzykować, że my go podpatrzemy i skopiujemy u siebie. Teraz stało się najgorsze: monopol Persów został złamany i im większej ceny zażądaliby za jedwab, tym większą stanowiłoby to zachętę dla naszych hodowców jedwabników. W związku z tym Kobad poinformował Chińczyków, że zarówno Persja, jak i Konstantynopol znają tajemnicę jedwabiu i nie chcą płacić tak wysokich cen za granicą za to, co mogą zrobić tanio u siebie w domu. Cena spadła cokolwiek, lecz nawet nasze farmy jedwabnicze nie mogły nas ubrać bez pomocy Chin i Persji, bowiem hodowla jedwabników nie jest bynajmniej sprawą prostą. Sprzedaż i produkcję jedwabiu Justynian uczynił monopolem państwowym.

W dwa dni po przybyciu na dwór moja pani Antonina została mianowana patrycjuszką, prześwietną Antoniną, damą alkowy. Przedstawiono ją Justynianowi, który zszedł do niej z tronu, lecz udawał, że jej nie zna. Tymczasem została wplątana w przerażającą przygodę. Wieczorem tego dnia, kiedy miała audiencję u Teodory, opuściła pałac i poszła pieszo nad Bosfor, gdzie miała wynająć łódź i przepłynąć się do domu za dokami Złotego Rogu. Lecz grubiańsko wyglądający czarnobrody mężczyzna w kupieckiej czapce zatrzymał ją na ulicy. Odciągnął ją na bok i spytał, czy ma na imię Antonina, bo jeśli tak, to musi z nią porozmawiać.

- Jestem urzędnikiem z pałacu - powiedział.

Moja pani nie chciała iść z nim razem do najbliższego domu, jak proponował, ponieważ mężczyzna mógł być oszustem, który w rzeczywistości zamierzał ją ogłuszyć i porwać wraz z dziećmi, a następnie sprzedać jako niewolników jakiemuś naczelnikowi z Kolchidy, Krymu czy innej dzikiej okolicy. Bardzo często zdarzały się przypadki, że sprzedawano porwane kobiety i dzieci do najdalszych okolic na wybrzeżu Morza Czarnego. Odpowiedziała:

- Nie, chodź ze mną do kościoła. Tam możemy po rozmawiać.

Zgodził się i weszli do środka. Moja pani rzekła:

- Teraz pokaż mi dowody. Skąd mogę wiedzieć, że jesteś z pałacu?

Wyciągnął świadectwo wypisane purpurowym atramentem, którego używa jedynie cesarz. Miało ono tę treść, że wierny i umiłowany dostojny patrycjusz taki to a taki (ale zakrył palcem imię) jest zatrudniony jako inspektor tajnej policji w mieście Konstantynopolu z łaski jego najświętobliwszej wysokości cesarza Justyniana. Moja pani przeczytała to wprawdzie w migotliwym



światle długich pachnących świec, które płonęły przed grobowcem jakiegoś umęczonego zakonnika, jednak dokument wyglądał na prawdziwy.

-Dobrze, czego ode mnie chcesz? - zapytała.

-Sprawozdania ze wszystkiego, co zaszło między tobą a cesarzową dzisiejszego popołudnia.

Roześmiała się, zdecydowana nie okazać najmniejszej obawy.

-Byłoby lepiej spytać o to cesarzową. Mam złą pamięć do monarszych rozmów.

-Więzienie i trochę tortur niewątpliwie ją poprawią - groził. - Ponadto jego łaskawość pragnie się dowiedzieć innej ważnej sprawy, którą ty, jako była towarzyszka cesarzowej...

Moja pani przerwała:

-Jeśli cesarzowa była na tyle łaskawa, że przypomniała sobie pewne drobne usługi, jakie jej oddałam w latach, kiedy jeszcze nie nosiła purpury, to jej sprawa. Ja sama nie pamiętam.

-Tylko proszę bez żartów. Czy to prawda, że cesarzowa, kiedy jeszcze była aktorką, miała nielegalnego syna z pewnym kupcem znad Morza Czerwonego, który często gościł w waszym klubie?

Moja pani podniosła krzyk i dwaj zakonnicy, którzy siedzieli w cieniu, wyskoczyli ku niej.

- Ten człowiek bluźni przeciw Chrystusowi! - zawołała. - To bałwochwalca, manichejczyk, podły sodomita i sama nie wiem co jeszcze! Brońcie mnie przed nim, pobożni bracia!

Inspektor machnął papierem przed ich oczyma.

- Ta kobieta kłamie - powiedział. - Pytam ją w imieniu cesarza. Widzicie, że jestem inspektorem policji. Odejdźcie, święci bracia, i pozwólcie mi prowadzić dochodzenie samemu. Mam żołnierzy, którzy czekają na zewnątrz.

Moja pani spytała zakonników:

- Komu ten kościół Świętej Marii Magdaleny za wdzięcza swą świetność? Jego świątobliwej łaskawości cesarzowi czy jej świątobliwej jasności cesarzowej?

Złożyli głęboki ukłon, przyznając swój dług wobec Teodory.

- Jestem w służbie cesarzowej - ostrzegła ich, a po tem spytała inspektora, wyciągając palec wskazujący: - Poznajesz ten pierścień?

Był to złoty pierścionek z błękitnym ludzkim okiem wymalowanym na emalii. Tęczówkę oka stanowił ma-lutki złoty inicjał - litera theta. Teodora właśnie dała go mojej pani na znak, że przyjmuje ją do grona zaufa-nych.

Mężczyzna próbował zerwać jej pierścionek z palca. Moja pani zaczęła się z nim szamotać, kopnęła go w podbrzusze i uciekła. Schroniła się wraz z dziećmi do prezbiterium, gdzie nie ośmielił się jej ściagać. Potem powiedziała do młodszego z zakonników:

- Biegnij do pałacu, bracie w Chrystusie, i zawiadom natychmiast cesarzową, że kobieta z liśćmi morwy znajduje się w niebezpieczeństwie w waszym kościele.

Zatrwożony mnich tłumaczył się:

- Nie wolno mi opuścić kościoła bez polecenia mojego przełożonego, a on w tej chwili jest na mszy w ka tedrze.

Moja pani spytała:

- Czy bardziej się boisz cesarzowej, czy twojego przełożonego? Biegnij teraz, a im prędzej stąd wyruszysz, tym prędzej będziesz z powrotem.

Zakasał habit i pobiegł. Inspektor nagle opuścił kościół. Przed wyjściem rzekł:

- Spotka cię ciężka niełaska jego łaskawości.

Moja pani odpowiedziała:

- Albo może łaska jej jasności.

Niebawem przybyła pełna kompania gwardii, by eskortować moją panią z powrotem do pałacu, gdzie opowiedziała Teodorze, co się zdarzyło, lecz nie wszystko: dyskretnie pominęła kwestię nielegalnego syna. Mimo to Teodora przyjęła całą sprawę bardzo poważnie. Spytała o rysopis mężczyzny, lecz jego gburowatość, czarna czupryna i lekki prowincjonalny akcent były jedynymi wyróżniającymi go cechami.

- To nie jest żaden ze zwykłych agentów cesarza - powiedziała. - To albo ktoś z tajnym zleceniem, mnie nie znany, albo oszust. Niebawem się o tym dowiem.

Nie mogła jednak go wyśledzić, chociaż przesłuchała zakonników i otrzymała od nich rysopis. Jeden zakonnik przypuszczał, iż napastnik był Cylicyjczykiem. lecz moja pani nie zgadzała się z nim w tym względzie.

Moja pani nie spotkała już tego rzekomego agenta policji, ale przekonała się, iż znajduje się pod stałą obserwacją. Włamano się do jej domu na przedmieściu, zanim go opuściła, i skradziono papiery ze szkatułki. Na szczęście żaden z nich nie był w najmniejszym stopniu kompromitujący ani moralnie, ani politycznie. Przyznaję, że ostatnio moja pani nie prowadziła szczególnie czystego życia, a mając zatarg z prawem o część spadku po mężu, musiała kupić sobie sprawiedliwość u funkcjonariusza stronnictwa zielonych, który miał wpływy w sądzie pierwszej instancji. Poza tym sumienie jej było czyste i żaden dowód jej grzeszków nie istniał na piśmie. Należała do kobiet, które nigdy nie piszą ani nie przechowują listów miłosnych, a przeprowadzając niezupełnie legalną transakcję nigdy nie żądała ani nie dawała pokwitowań na pieniądze. Lecz wkrótce uświadomiła sobie, iż musi postępować z jeszcze większą niż zwykle ostrożnością, jeśli

nie chce, by zaszkodzili jej tajemniczy wrogowie, którzy przez nią najwidoczniej próbowali uderzyć w Teodorę.

Moja pani odczuła całą siłę ich knowań pewnego świątecznego dnia. Asystowała najpierw Teodorze przy porannej audiencji, a następnie poszła z nią w zwykłej dworskiej procesji do katedry Mądrości Bożej, czyli Hagii Sofii (stary kościół był wspaniałą budowlą, choć nie można go porównać z obecnym, wzniesionym na tym samym miejscu - uchodzi on za najwspanialszą świątynię świata). Była ubrana w swe najlepsze jedwabne szaty ze wszystkimi szkarłatnymi i purpurowymi ozdobami, do których tytuł prześwietnej Antoniny ją upoważniał, i miała na sobie najcięższe i najbardziej kosztowne klejnoty - część z nich otrzymała w prezencie od szczodrej Teodory. Oczywiście głowę jej zdobiła ondulowana i trefiona kasztanowata peruka z wielką ilością loczków opadających na kark, uzupełniająca jej własne, niezłe, choć niezbyt gęste brązowe włosy. Moja pani bardzo lubiła te procesje - oczywiście jeśli nie padał deszcz - nawet do odległych kościołów w dniu świątecznych, którym były one poświęcone. Na takie okazje inspektor ulic miejskich zawsze każe zamiatać drogi i bruki, a cała ludność ma świąteczne szaty, czyste twarze, ręce i stopy i rzuca się na ziemię na znak czci, gdy cesarz i cesarzowa przechodzą. Haftowane zasłony zwisają z okien i wszędzie widać wspaniałe dekoracje z mirtu, bluszczu i rozmarynu, kwiaty doniczkowe i polne, tworzące monogramy cesarza i świętego. Zakonnicy w procesji śpiewają wesole hymny do marszu, a w całym mieście rozlega się rytmiczne dudnienie młotków na pudłach rezonansowych jako sygnał do modlitwy. Każdy kościół ma inny, charakterystyczny rytm.

Moja pani była w swym zwykłym dobrym humorze, gdy weszła do Hagii Sofii. Wyminałszy w przed-ionku rząd penitentów, którym nie wolno przystępować do Eucharystii i wchodzić dalej, wstąpiła po schodach i usiadła obok pani Chrysomallo w pierwszym rzędzie krzeseł na galerii zarezerwowanej dla kobiet. Wychyliła się przez rzeźbioną barierę i zaczęła dawać wesołe znaki swym przyjaciołom stojącym poniżej w nawie, albowiem wiele poufnych informacji można w ten sposób przekazać z pomocą ręki i chusteczki. U Hagii Sofii, jak i w wielu modnych kościołach, świętych obrzędów nie traktuje się zbyt poważnie. Szaty i plotki wzbudzają największe zainteresowanie na galerii, a szmer politycznych i religijnych sporów z nawy stale zagłusza księdza czytającego Ewangelię. Jednak chóru eunuchów słucha się zazwyczaj z pewnym zainteresowaniem, a prawie wszyscy przyłączają się do śpiewu spowiedzi powszechnej i innych modlitw. Jeśli kazanie wygłasza energiczny ksiądz, często przyjmuje się je oklaskami i śmiechem aplauzu albo poważnym syczeniem. Wreszcie rozdziela się Eucharystię, kapłan wypowiada błogosławieństwo i wszyscy wychodzą.

- Byłoby głupstwem żywić jakąkolwiek niechęć wobec takich cywilizowanych i towarzyskich funkcji chrześcijańskich - zwykła mawiać moja pani - albowiem są one jedynie spokojną odmianą przedstawień teatralnych.

Owego dnia koznodzieją był biskup, którego dotychczas nie słyszeliśmy, a którego Justynian bardzo podziwiał jako teologa. Miał jakąś diecezję w Italii i był przystojny, lecz raczej o fircykowatej urodzie. Temat kazania zaczerpnął z pierwszego listu apostoła Pawła do Koryntian, gdzie mówi się, że mężczyźni po-

winni strzyc włosy krótko i nie modlić się z zakrytymi głowami; kobieta jednak powinna nosić włosy długie i nie modlić się z głową nie zakrytą. Szczególnie kładł nacisk na werset: „Albowiem niewiasta, jeśli się nie nakrywa, niechże się strzyże”, co miało oznaczać, że jeśli kobieta jest obecna na nabożeństwie w kościele bez nakrycia głowy, należy ją ukarać ostrzyżeniem włosów przy samej skórze. Publiczność przygotowała się na zabawne kazanie, choć na wielu twarzach męskich i kobiecych pojawił się nerwowy wyraz. Albowiem wiele było tu kobiet, których jedynym nakryciem głowy była przepaska z klejnotów, a niejeden mężczyzna nosił fryzurę według ówczesnej mody na wzór Hunów - obcinając włosy z przodu do skroni, a pozwalając im rosnąć z tyłu aż do ramion. Co będzie, jeśli biskup przekona cesarza czy cesarzową, aby podjęli surowe kroki przeciwko tym przestępcom? Jednak to nie tych ludzi biskup miał zamiar oskarżać: albowiem kazanie, w zupełnej sprzeczności z logiką, zwracało się przeciwko kobietom noszącym peruki. Jak gdyby peruka nie była nakryciem głowy najbardziej skomplikowanego i efekownego rodzaju!

Zaczął łagodnie, melodyjnym głosem, od ogólnych myśli na temat kobiecych włosów, cytując z aprobatą pogańskich poetów w obu językach -abyśmy wszyscy zrozumieli, iż jest człowiekiem wykształconym, a nie ignoranckim, o ciasnym umyśle, wychowanym w klasztorze kaznodzieją. Cytował, że Owidiusz powiedział to, a Meleager tamto na chwałę pięknych włosów. Wykazał, iż te pochwały nie są sprzeczne z Ewangelią, gdyż sam apostoł Paweł w tym samym ustępie, z którego wybrano tekst, napisał: „Lecz niewiasta, jeśli zapuści włosy, jest jej ku

chwale, przeto, iż włosy są jej za przykrycie głowy dane." A wychwalając długie włosy apostoł bez wątpienia myślał o ich gęstości i połysku, gdyż żaden włos, jeśli nie jest długi, mocny i błyszczący, nie może wyrosnąć do znacznej długości.

- Ale - dodał kładąc straszliwy nacisk na to słowo - ale podczas każdej ceremonii religijnej i przy każdej, poza najbardziej intymnymi, okazji prywatnej te długie, gęste, błyszczące piękne włosy należy przystojnie zakrywać z respektu dla aniołów.

Albowiem chrześcijańscy aniołowie - tłumaczył dalej, jak gdyby od dawna znał ich osobiście i miewał z nimi różne kłopoty - są wszyscy eunuchami. Patrzą oni z nieba na modlących się ludzi, a z góry nie widzą wiele więcej niż głowy i ramiona.

Każda uczciwa osoba, która choćby cokolwiek zna eunuchów - kontynuował z ukradkowym spojrzaniem na chór i nawet zarezerwowaną dla eunuchów służbę cywilnej i osobistych eunuchów wybitnych dworzan - każda taka uczciwa osoba przyzna mi rację, jeśli powiem, iż brak zwykłych męskich organów rozrodczych nie uwalnia serca od cielesnych pożądań, jak by można było przypuszczać. Zaprawdę, rzadko spotykałem trzebieńca, który mógłby przyznać szczerze, iż nie ma żadnych delikatniejszych uczuć dla kobiecych rąk, oczu, stóp i włosów, och, ale szczególnie dla ich włosów. Znam niejednego wykształconego eunucha, który spędza swój wolny czas rozpustnie i sromotnie czesząc włosy jakiejś wszetecznej kobiety! Możecie się śmiać, moje siostry, lecz wiecie, że tak jest, i popełniacie wielki grzech, jeśli dajecie powód do tak nieefektywnych pożądań kastratów. Aniołowie nie są w mniejszym stopniu przedmiotem pokus niż trzebieńcy; szatan sam jest

aniołem, który stracił łaskę - czy nie stało się to przypadkiem z zachwytu dla włosów jakiejś córy ziemi? A więc z szacunku dla tych błogosławionych, lecz kochających piękno aniołów, których nie można odrywać od ich religijnego obowiązku wiecznego śpiewania *Hosanna* i *Alleluja* - pierwszym przykazaniem wszystkich chrześcijańskich kobiet o pięknych włosach jest staranne ich zakrycie. 2 pewnością jest już aż nadto źle, gdy kobiety niewłaściwie demonstrując swą piękność przeszkadzają w modlitwie mężczyznom - nie potrzeba jeszcze prób ściągania aniołów na ziemię i zwiększania w ten sposób rodu demonów, który, Bóg świadkiem, i tak aż nadto się rozmnożył.

Lecz nawet pogańscy poeci - zacytował Martialisa, Propercjusza i Juwenala - pisali z najstraszliwszą grozą o kobietach, które noszą cudze włosy, jest więc rzeczą udowodnioną, że peruki stanowią występki nie tylko przeciwko prawom Kościoła, lecz przeciwko świeckim kanonom piękności i dobrego smaku. Jeśli chodzi o prawowierny pogląd świętych Ojców, nie mógłby być jaśniejszy i można go streścić, jak następuje: męskie peruki są zasadniczo przeznaczone dla przykrycia łysiny - stąd też są czymś w rodzaju czapki, są przykryciem głowy i dlatego są wyklęte. Jednakowoż kobiece peruki (gdyż łysa kobieta jest rzadkością) przeznacza się do zagęszczenia już istniejących na głowach włosów, do wzmożenia i ulepszenia ich efektu - a więc nie są nakryciem głowy i są wyklęte. Sprawiedliwe gromy Kościoła, sobór po soborze, kierowały się zawsze przeciwko perukom obu płci; zarówno przeciwko tchórzliwej peruce męskiej, jak i przeciwko nieprzyzwoitej peruce kobiecej. Tertulian powiedział - lecz czegoż Tertulian nie



powiedział przeciwko tym nastroszonym i poskręcany potwornością peruk? Między innymi wykazał, że wszelkiego rodzaju osobiste przebranie jest cudzołóstwem, wobec Boga. Wszystkie peruki, szminki, puder, maski, fałszywe piersi są przebraniem i wynalazkiem szatana.

Ponadto, moje błędzące siostry - mówił dalej biskup wskazując nagle bardzo grubiańsko na Chryso-mallo i moją panią, których peruki, poza peruką Teodory, były najbardziej eleganckimi potwornościami w katedrze Świętej Zofii owego dnia - Tertulian apeluje potężnie również i do waszego rozsądku, nie tylko do waszych religijnych skrupułów. Píše on: Jeśli nie chcecie odrzucić waszych bezbożnych fałszywych włosów jako znienawidzonych niebu, czyż nie znienawidzicie ich same jako kobiety światowego rozsądku, przypominając sobie, że te rozpustne kupne kędziory mogą być odrażającego pochodzenia? Mogły zostać ścięte z głowy jakiejś kobiety zmarłej na dżumę i zachowywać jeszcze żywe zarazki albo, co gorzej, mogły rosnać na głowie bluźnierczyni, nieodwołalnie przeklętej przez niebiosy, i noszenie ich jest ciężką obrazą boską, nie dającą się niczym powetować."

Co mówi mędrzec, święty Antoni, o perukach? „Nie mówcie mi o trefionych perukach; są one rajfurkami namiętności, a nie nauczycielkami cnoty." Co mówi prostoduszny święty Cyprian? „Słuchajcie mnie, o kobiety! Cudzołóstwo jest ohydny grzechem, lecz ta, która nosi fałszywe włosy, winna jest o wiele większego." Co mówi święty Hieronim? Opowiada pouczającą opowieść, której prawdziwość gwarantuje swoją reputacją chrześcijańskiego nauczyciela - gdyby bowiem ta opowieść okazała się

zmyśleniem, wielkie imię Hieronima należałoby usunąć ze świętych ksiąg, jak by był fałszerzem czy herezykiem! Opowiada o swojej znajomej, godnej szacunku matronie, imieniem Praetexta, która miała nieść szczęście być żoną poganina. Jest rzeczą dobrze znaną, iż żona winna jest posłuszeństwo mężowi we wszystkich sprawach, i istotnie wspomniany list do Koryntian wyjaśnia to tymi słowami: „Albowiem mąż jest głową żony, jako Chrystus jest głową Kościoła.” Jednak święty Paweł czyni wyraźne zastrzeżenie w poprzednim zdaniu, mianowicie, jeśli mąż nie jest chrześcijaninem, Chrystus, a nie on, staje się głową w sprawach duchowych, tak jak dla wdów Chrystus pozostaje jedyną głową, póki znowu nie wyjdą za mąż, czyniąc w ten sposób afront Synowi Bożemu. Ten mąż więc, którego imię brzmiało Hymecjusz, powiedział pewnego dnia do Praetexty: „Ta sierota, twoja siostrzenica Eustochia, którą wychowaliśmy troskliwie w naszym domu, jest niebrydką dziewczyną. Może łatwo znaleźć bogatego męża i w ten sposób ulżyć nam kosztów utrzymania, ale ma jeden brak - cienkie i matowe włosy. Więc, moja dobra żono, napraw ten defekt natury, idź po cichu do fryzjera i zamów dla niej ładną trefioną fryzurę.” Praetexta uczyniła tak, mając nadzieję kosztem pięciu sztuk złota oszczędzić tysiąc czy więcej, i zapomniała całkowicie zarówno o swym obowiązku wobec Boga, jak i o szacunku wobec aniołów. Tej samej nocy, kiedy leżała obok męża rozmyślając z zadowoleniem o wyraźnej przemianie Eustochii, do tego grzesznego łóżka wstąpił wysoki anioł piszcząc gniewnym falsetem: „Praetexto - krzyknął anioł - byłaś posłuszną niewiernemu mężowi bardziej niż naszemu ukrzyżowanemu Panu. Zakryłaś włosy dziewicy zbędnymi kędziorami

i nadałaś jej wygląd sprzedajnej dziewczki. Za to uschną teraz twe ręce i rozkazuję im, aby odczuli potworność twej zbrodni stopniem swego cierpienia. Tylko przez pięć miesięcy będziesz żyła, a potem piekło stanie się twym udziałem. A jeśli jesteś dość zuchwała, by dotknąć znowu głowy Eustochii, twój mąż i dzieci umrą jeszcze przed tobą." O, moje błędzące siostry, jakież to był grzech i jak słusznie zasługiwał na tę udrękę cielesnej kary!

Naturalnie pani Antonina zaczęła troszkę chichotać z tej opowieści. Nie zainteresowało jej zbytnio, czy imię świętego Hieronima ma pozostać w świętych księgach, i uważała, że z pewnością zasłużył, by je stamtąd usunięto za tak oburzającą historię. Jeśli dłonie Praetexty istotnie uschły, jaką możliwość miała dotknięcia nimi znowu głowy swojej siostrzenicy? Powiedziała to pani Chrysomallo, która zachichotała również i, dając znaki swemu mężowi znajdującemu się niżej w nawie, rozłożyła dramatycznie dłonie, jak gdyby również uschły. Ta wesołość rozniewała biskupa. Zaczął atakować moją panią i panią Chrysomallo, wymieniając je po imieniu, choć był obcy w mieście; co było wyraźnym dowodem, iż sugestia, by wygłosił przeciwko nim kazanie, wyszła od jakiegoś ich nieprzyjaciela na dworze. Groził im wyłączeniem od Stołu Pańskiego i piętnował moją panią jako bezwstydną, rozpustną wdowę, która maluje swą twarz i żyje jak wielka nierządnicą Babilonu zamiast ubrać się w ciemne szaty, żałować za grzechy i wspomagać ubogich, jak przystoi wdowie. Powiedział, że moja pani sprowadziła hańbę na pobożną i cudownie piękną władczynię, która ją zatrudniła, i na cały Konstantynopol. A jeśli z odrażającej peruki mojej

pani i brudnych czerwonych kędziorów z niej zwisających wybuchnie gwałtowna zaraza, wierni w mieście będą wiedzieli, komu to zawdzięczać. Teodora siedząca na tronie obok Justyniana nie mogła już dłużej znieść nietaktu. Wstała, przeprosiła z respektem Justyniana i zaczęła schodzić w dół nawy, a jej paziowie za nią, nie czekając ani na Eucharystię, ani na błogosławieństwo. Etykieta wymagała, by damy z galerii wstały i towarzyszyły jej. Biskup domagał się teraz, by głowę mojej pani i pani Chrysolallo ostrzyżono na gładko jak strusie jajo. Teodora odpowiedziała mu pośrednio, bowiem gdyby odezwała się wprost do niego, byłoby to obrazą dla Justyniana, który siedział w milczeniu. Zatrzymała się i zawołała do Jana z Kapadocji:

- Proszę, powiedzcie waszemu wymownemu, gładkolicemu przyjacielowi, że brzytwie nie wypada wykliąć grzebienia i że nie jest to wcale mądre.

Panie hałaśliwie zeszyły z galerii i jedynie mężczyźni i eunuchowie zostali w kościele, by wysłuchać kazania. Ale gwar niezadowolenia i podnieconych rozmów, który podnieśli, spowodował, iż biskup uznał za stosowne zakończyć swój atak nikczemną apologią wobec jego łaskawości, jeśli może mówić ze zbyt wielką szczerością, co mogło dotknąć najczystszą, najłaskawszą i najukochańszą cesarzową, której nie zdołaliby wystawić w najbardziej melodyjnych wierszach najlepsi poeci zarówno chrześcijańscy, jak i pogańscy. Biskup był istotnie w niebezpiecznej sytuacji i nigdy by się nie ośmielił na takie kazanie, gdyby go prywatnie ktoś nie zapewnił, że pani Chrysolallo i moja pani są w niełasce u dworu. Jeśli chodzi o brzytwę i grzebień, Teodora dała do zrozumienia, że biskup sam narusza prawa Kościoła występując

z ogoloną brodą. Tylko nożyce były dopuszczalne na twarz księdza. Włosy miał również niereligijnie wy-  
pomadowane, bowiem był typowym dandysem z Ra-  
wenny. Zanim upłynął dzień, został wsadzony na ma-  
ły statek handlowy i odpłynął z powrotem do Italii.  
Teodora wystarczająco jasno oświadczyła Justynia-  
nowi, że stoi po stronie swych starych towarzyszek,  
póki pozostają lojalne wobec tronu, równie mocno  
jak przy swoim przekonaniu o pojedynczej naturze  
Chrystusa.

Te wydarzenia zrobiły duże wrażenie w Konstan-  
tynopolu i moja pani stała się bohaterką wielu nie-  
prawdziwych, ale nie przynoszących jej ujmy opo-  
wiadań na bazarze. Teraz jej biografia była dobrze  
znana, a to, że Teodora uznała ją za swą przyjaciółkę,  
ganiąc publicznie biskupa, bardzo umocniło jej po-  
zycję. Niemniej, by ochronić ją przed napadem, przy-  
dzielono jej na stałe asystę dwóch woźnych, ilekroć  
wyruszała na spacer czy przejażdżkę - a cały oddział  
gwardii, kiedy została wysłana na perską granicę jako  
emisariuszka Teodory do Belizariusza, w okoliczno-  
ściach, które wyjaśni następny rozdział.

## Rozdział VII

### BITWA POD DARA

Muszę w tym miejscu dać krótkie sprawozdanie z wydarzeń w Persji, od chwili gdy Belizariusza mianowano dowódcą oddziałów w Dara. Nie zdobyte miasto Nisibis, piętnaście mil na wschód, było niegdyś główną rzymską stacją graniczną. Z powodzeniem wytrzymało trzy długie oblężenia Sapora, dwunastego Sassanidy, po czym zostało mu pokojowo oddane w haniebnym traktacie cesarza Jowiana, ustępującym Persji pięć okręgów granicznych. Dla zastąpienia Nisibis Anastazjusz ufortyfikował Dara, które pozostało na rzymskim terytorium; lecz potrzebna była placówka ubezpieczająca to miasto przed nagłym atakiem. Na prośbę Belizariusza Justynian pozwolił mu zbudować zamek w Mygdonie odległym o trzy mile od Dara i zaledwie kilkaset kroków od granicy.

Belizariusz studiował sztukę fortyfikacji. Wybrał dla zamku obronną pozycję i zaczął budować z wielkim pośpiechem, zamierzając go przygotować na przyjęcie garnizonu, zanim Persowie przeszkodzą w pracy. Murarze w wielkiej liczbie pracowali z mieczami u boku, zupełnie jak ongiś Żydzi pod Nehe-miaszem, którzy podobno odbudowywali mury Jerozolimy śledzeni przez zazdrosnych sąsiadów - Samarytan. Przed przystąpieniem do dzieła Belizariusz ze-

brał w Dara wielką ilość drzewa, ciosanych kamieni i wapna, a ściany twierdzy, otaczające dwie morgi gruntu, szybko wzniosły się na wysokość dwóch ludzi i rosły stale.

Perski komendant Nisibis natychmiast wręczył Belizariuszowi notę protestacyjną, a kopię wysłał również do dowódcy armii rzymskich na Wschodzie z listem tej treści, iż Persowie traktują bardzo poważnie to nowe złamanie klauzuli traktatu, dotyczącej fortyfikacji granicznych. Jeśli budowa nie zostanie natychmiast przerwana, będą zmuszeni do podjęcia kroków zapobiegawczych.

Protest przekazano Justynianowi, który odpowiedział, iż nie należy zwracać na niego uwagi i że trzeba dać posiłki Belizariuszowi. Przesłane posiłki składały się z połączonych dywizji kawalerii i piechoty pod dowództwem dwóch młodych trackich szlachciców, braci imieniem Kouces i Bouces. Dowodzili oni oddziałami stacjonowanymi w Libanie. Bardzo nieszczęśliwym trafem potyczka z Persami w okolicach zamku mygdońskiego odbyła się w dniu, kiedy Belizariusz leżał chory w najgorszym stadium febry malarycznej i niezdolny do niczego. Nie więcej niż osiem tysięcy ludzi po obu stronach brało udział w tej bitwie. W jej trakcie Bouces z połową kawalerii pozwolił wciągnąć się w pościg za małym oddziałem nieprzyjaciela i odstąpił flankę głównych sił, które składały się z piechoty. Persowie przeprowadzili skoncentrowany atak na kawalerię Koucesa na drugiej flance i rozbili ją, biorąc pewną ilość jeńców z Koucesem na czele. Piechota, osłaniana w ucieczce przez przyboczną kawalerię Belizariusza pod komendą Jana Armeńczyka, popędziła z powrotem do zamku. W nocy Bouces, wracając z nietkniętym oddziałem i dumnie pokazując łupy,

dowiedział się o losie swego brata i wpadł w wielki gniew. Rozkazał ewakuować fortecę jako miejsce złej wróżby. Całe wojsko rzymskie, piechota i jazda, wycofało się do Dara niosąc chorego Belizariusza na noszach. Dwa dni później Belizariusz oprzytomniał z gorączki, lecz nadal był tak słaby, że ledwie mógł siedzieć na koniu. Mimo to przeprowadził kontratak przeciwko Persom, którzy zajęli twierdzę i już ją rozbięli. Na czele swej kawalerii, liczącej tysiąc ludzi, spędził Persów z muru. Jednak Bouces, który miał znowu wprowadzić piechotę do środka, nie mógł jej namówić, by za nim poszła. Tak więc zamek mygdoński został ponownie opuszczony z powodu braku załogi. Persowie zrównali go z ziemią i zwycięsko wrócili do Nisibis.

Justynian czytając raporty, które mu wysłano, zdecydował, iż dowódca Armii Wschodu popełnił omyłkę wysyłając Belizariuszowi nieodpowiednie i źle dowodzone oddziały i że Belizariusz jest jedynym żołnierzem, który nie zaszargał swej reputacji. W związku z tym zwolnił dowódcę Armii Wschodu i na jego miejsce mianował dwudziestoczteroletniego wówczas Belizariusza. Justynian posłał również na granicę szefa gabinetu cesarskiego, jednego ze swych głównych ministrów, którego obowiązki obejmowały kontrolę poczt, komunikacji i arsenałów w całym Cesarstwie Wschodnim oraz poselstw za granicą. Szefowi gabinetu polecono prowadzić pokojowe rokowania z Persami, lecz przeciągać je jak najdłużej, by dać Belizariuszowi czas na zorganizowanie obrony Dara i całej granicy. Belizariusz wykorzystał ten rozejm na inspekcję terenów nadgranicznych. Umacniał fortyfikacje, uzupełniał i ćwiczył oddziały, przygotowywał zapasy wojskowe. Istniała nadzieja, iż uniknie się kro-



ków nieprzyjacielskich, ponieważ Kobad mając lat siedemdziesiąt pięć powinien przekładać spokojną starość nad niepewne losy wojny. Tak się jednak nie stało.

Belizariusz zgromadził armię składającą się z dwudziestu pięciu tysięcy ludzi (choć nie mógł liczyć, że więcej niż trzy tysiące z nich okaże jakieś umiejętności czy to w ataku, czy w obronie). Usłyszał niebawem, iż maszeruje przeciwko niemu dobrze wyszkolona armia czterdziestotysięczna pod dowództwem perskiego generalissimusa Firouza. Potem przybył perski goniec z aroganckim listem do Belizariusza:

„Firouz, kawaler Złotego Runa, spędzi jutrzejszą noc w mieście Dara. Przygotujcie dla niego kąpiel.”

Na to Belizariusz odpowiedział z właściwym mu dowcipem:

„Belizariusz, kawaler Stalowego Hełmu, zapewnia perskiego generalissimusa, że zostanie przygotowana dla niego zarówno łaźnia parowa, jak i zimne natryski.”

Człowiekiem, który poczuł się najbardziej znieważony zapowiedzią Firouza, był, rzecz dziwna, nie sam Belizariusz, lecz jego łaźnienny. Był to ten sam Andrzej, który niegdyś nosił książki za Belizariuszem. Andrzej otrzymał wolność parę lat wcześniej w Konstantynopolu i pracował jako instruktor w szkole pięściarskiej w pobliżu uniwersytetu, póki nie przybył na Wschód i nie przyłączył się do Belizariusza w Dara.

Taktyczny problem Belizariusza był teraz podobny do kłopotu biednego wiejskiego karczmarza, który w krótkim terminie musi przygotować bankiet dla wielu głodnych gości: mianowicie, co zrobić, żeby mu starczyło skromnych zapasów. Karczmarz rozwiązał ten problem starannie ubierając stół, robiąc dobrą

minę i podając najlepsze potrawy i najlepsze wina najpierw, a gorsze zachowując w rezerwie; dla Belizariusza gorszą potrawą i gorszym winem była jego piechota - połowa z niej składała się ze świeżych rekrutów. Mając mało czasu zrezygnował z prób wyszkolenia rekrutów w kilku sztukach, poprzestając na jednej: postanowił zrobić z nich wyłącznie łuczników. Dał im duże sztywne łuki i regulował żołąd stosownie do ich stopniowo wzrastającej zręczności w użyciu tej broni. Osiągnął jednak tylko to, co nazywał „strzelaniem koło celu”. Wymagał jedynie, żeby każdy żołnierz potrafił wystrzelić czterdzieści strzał, jakie ma w kołczanie, przynajmniej na odległość stu dwudziestu kroków z odchyleniem nie większym niż dziesięć stopni. Przeciwno zmasowanemu nieprzyjacielowi taka umiejętność celowania była wystarczająca. Już przygotował ogromną ilość strzał i zatrudnił swych rzemieślników produkcją grotów oraz przycinaniem i zaopatrywaniem w pióra coraz większej ilości brzechw. Doskonalił również piechotę w prostej sztuce, mianowicie w obronie wąskiego mostu przeciwko atakom kawalerii czy piechoty. Znalazł dla wszystkich kolczugi i włócznie różnej długości i ćwiczył żołnierzy w falandze, szyku stosowanym przez Aleksandra. Front takiej falangi połykiwał grotami jak indyjski jeżozwierz. Połowicznie wyćwiczonej piechocie kazał również wprawiać się w miotaniu dzirytów.

Lepszą potrawą i winem w tej historii o biednym karczmarzu była kawaleria Belizariusza. Tymczasem podzielił swój pułk kirasjerów na sześć oddziałów, które posłał jako wzór wyszkolenia do sześciu regularnych szwadronów ciężkiej jazdy. Nie przedstawił swych ludzi jako instruktorów, tylko jako współzawo-

dników w sztuce strzelania, szarży, szybkiego manewru - lecz właściwie stali się instruktorami. Miał również z sobą dwa szwadrony lekkiej kawalerii, składającej się z Massagetów zza Buchar i Samarkandy - odwiecznych wrogów Persji, i pół szwadronu Hunów heruliańskich, których letnie siedliska znajdowały się na Krymie. Byli oni łucznikami, mistrzami w szybkim strzelaniu, a do walki na bliską odległość mieli lance i pałasze. Nosili skórzane ubrania z wszytymi w nie lekkimi metalowymi płytkami, lecz żadnej innej zbroi.

Belizariusz uważał, iż lekka kawaleria jest najważniejsza przy utarczkach na granicy, lecz musi ją wspomagać duża jednostka ciężkiej kawalerii, stacjonowanej niezbyt daleko. (Cesarstwu brakło lekkiej kawalerii, jak można by wnioskować z faktu, że zarówno Herulowie, jak i Massageci żyją o setki mil od rzymskiej granicy.)

Belizariusz wyszedł za mury Dara, tuż za placem defilad, który przylega do fosy. Kazał wykopać skomplikowany system rowów głębokich na sześć stóp, a szerokich na dwanaście, z wąskim mostkiem co każde sto kroków. Gdy patrzyło się z blanków fortecy, wyglądało to jak rysunek kapelusza o szerokim rondzie i kwadratowej główce, przy czym czubek główki dotykał granicy placu defilad. Ponieważ miejsce bitwy narzucali Persowie i ponieważ jej celem miało być zdobycie i zburzenie murów Dara, Belizariusz mógł się tylko ograniczyć do obrony. Istotnie, rozpoczęcie ofensywy z wojskami, które miał do dyspozycji, byłoby jak najbardziej nierozsądne. Wokół trzech boków otwartej centralnej przestrzeni albo esplanady systemu rowów Belizariusz ustawił piechotę. Falangi pikinierów broniły mostów, wspierali

je dziurytncy, a szeregi łuczniczków stały wzdłuż rowu między mostkami. Wykop na całej swej długości umocniono zaostrozonymi palami. Był on zbyt szeroki, by konie mogły go przeskoczyć. Z przodu, na skrzydłach za wysuniętymi rowami (roncio kapelusza), ustawił ciężką kawalerię. Mosty nad rowami były tu cokolwiek szersze dla umożliwienia szybszego manewru. Łączące ogniwo między centrum i skrzydłami stanowiło sześciuset Massagetów zajmujących stanowiska w rogach esplanady. Mieli oni prowadzić krzyżowe ostrzeliwanie nieprzyjaciela, gdyby atakował piechotę, lub pomagać konnicy na skrzydłach, gdyby znalazła się w trudnościach. W rezerwie Belizariusz zatrzymał swą przyboczną kawalerię, teraz znowu połączoną w jeden oddział, oraz heruliańskich Hunów.

Takie były jego dyspozycje, a kiedy je ogłoszono na radzie wojennej, spotkały się z powszechną aprobatą. Żołnierze cieszyli się doskonałym zdrowiem mimo lipcowych upałów; spodziewany wybuch dysenterii i innych wynikających z gorąca chorób nie nastąpił. Faktem jest, że Belizariusz wydał najsurowsze rozkazy mieszania wszelkiej wody do picia z kwaśnym winem, by ją oczyścić, a także utrzymywania w czystości latryn i kuchni polowych oraz niszczenia wylęgarni much - albowiem powiadał, że Belzebub, król much, jest głównym diabłem zniszczenia, a gdzie muchy, tam i choroba. Ponadto wszelkie ćwiczenia wojskowe przeprowadzano wczesnym rankiem, zanim słońce zaczęło przypiekać, po czym ludzie spali do południa. Wieczorami wysyłał żołnierzy na marsze nocne, by utrzymać ich w dobrej kondycji fizycznej, albo zatrudniał przy kopaniu. Belizariusz nigdy nie pozwalał swoim ludziom siedzieć beczyn-

nie. Teraz mieli właściwego ducha do walki i największe zaufanie do młodego dowódcy.

O wschodzie słońca, w dzień po poselstwie Firouza, obserwator na blankach zameldował, że widzi chmury kurzu na drodze z Harmodius, wsi w pobliżu Mygdonu, z kierunku Nisibis. Niebawem ujrzano kolumny perskie, które zaczęły się ustawiać w szyku zwartym poza zasięgiem rzymskich łuków; piechota, kryjąc się za olbrzymimi owalnymi tarczami, stanęła w centrum, a kawaleria na obu flankach. Armię perską oszacowano na czterdzieści tysięcy ludzi. Ale Belizariusz uczynił następującą uwagę:

- Mało jest generałów zdolnych dowodzić czterdziestoma tysiącami ludzi w bitwie. Firouz bez wątpienia czułby się o wiele lepiej, gdyby siły obu armii były bardziej wyrównane.

Persowie spróbowali sprowokować Rzymian do ataku przez wyzywające i obelżywe krzyki, lecz ci stali w miejscu i zachowywali milczenie. Rzymianie nie cofnęli się nawet na obiad, jak to było w ich zwyczaj, lecz dostarczono im na stanowiska suchy prowiant - soloną wieprzowinę, pszeniczne suchary i wino. Firouz był przekonany, iż widok jego olbrzymieli wojsk przerazi śmiertelnie naszych ludzi i że godzina obiadu będzie wystarczająco dobrą wymówką dla bardziej tchórzliwych dowódców do wycofania swych oddziałów. Nadal nie zamierzał rozpocząć poważnej walki.

- Czekajcie - powiedział - to są tylko Rzymianie. Zaraz zmiękną.

Ale nic się nie działo.

Późnym wieczorem prywatne oddziały Persa imieniem Pituazes, który dowodził na prawym skrzydle nieprzyjaciela, ruszyły na tracką kawalerię Boucesa.

Bouces przysięgł Belizariuszowi, że będzie lojalnie współdziałał w walce i nie da się wciągnąć do żadnych prywatnych awantur. Jak uzgodniono, cofnął się nieco od rowu, gdy tylko ludzie Pituazesa, wszyscy na siwych koniach, ruszyli na niego. Ten manewr miał na celu zwabienie Persów za rów, a następnie zaatakowanie ich, gdy będą jeszcze stłoczeni na mostkach nie mogąc przyjąć szyku rozwiniętego. Persowie jednak w ogóle nie próbowali przekroczyć rowu, tak że Bouces i jego ludzie wrócili na stanowiska strzelając z siodła podczas jazdy. Persowie cofnęli się. Ci perscy kawalerzyści mają bardzo ozdobną broń i tarcze, szczególnie piękne kołczany, i noszą rękawiczki (z czego wyśmiewają się nasi ludzie), ale nie noszą hełmów. Zaopatrzeni są również w baty na konie. Dla batów nasi ludzie nie znajdują zastosowania w bitwie.

Siedmiu Persów padło w potyczce, a Bouces wysłał za rów mały oddział, który zebrał ciała. Potem przez kilka minut obie armie stały jeszcze w milczeniu obserwując się wzajemnie. Firouz podobno powiedział do swego sztabu, że Rzymianie utrzymują wyraźnie dobry szyk, lecz że pośle po garnizon z Nisibis liczący dziesięć tysięcy ludzi i że jego przybycie następnego dnia złamie niewątpliwie odwagę i upór Rzymian. Nagle młody Pers, którego imienia nie znam, na pewno arystokrata, sądząc po jego stroju i broni, pogalopował na pięknym kasztanie ku rzymskiemu centrum. Umiał kilka słów po grecku i ściągnąwszy gwałtownie cugle, wygłosił donośne wyzwanie do pojedynczej walki, zapowiadając, że posieka na drobne kawałki każdego Rzymianina, który ośmieli się mu przeciwstawić.

Nikt nie przyjął wyzwania, gdyż poprzednio wydano rozkaz, że pod żadnym pozorem nie można ta-

mać szeregów. Młody człowiek krzychał dalej, wymachiwał włócznią i śmiał się obraźliwie. Nagle dał się słyszeć pomruk z bocznego rowu na lewej rzymskiej flance. Jakiś jeździec, pochylony nisko nad końskim karkiem, przejechał przez most koło Massagetów i ruszył prosto na Persa. Pers zbyt późno spostrzegł atak. Próbował go uniknąć, gwałtownie podciąwszy konia, lecz włócznia uderzyła go prosto w pierś po prawej stronie, tak że zwałił się na ziemię. Leżał tam ogłuszony. Rzymianin zeskoczył szybko z konia i przeciął gardło Persowi jak ofiarnemu zwierzęciu. Potężny krzyk wzniósł się z pola zajętego przez rzymską armię i murów Dara zatłoczonych ludźmi z miasta. Początkowo myślano, iż bohaterem jest Bouces, mszczący się za porwanie swego brata Koucesa. Lecz gdy zwycięzca wolno przejechał przez rów, prowadząc za sobą zdobycznego konia z zabitym Persem przerzuconym przez siodło, zobaczono, że to nikt inny, tylko dzielny Andrzej, łazienny!

Andrzej, którego obowiązki były lekkie i który miał energiczny charakter, zaczął bez wiedzy Belizariusza brać udział w porannych ćwiczeniach kawalerii pod kierunkiem Boucesa, obecnego dowódcy kawalerii Belizariusza. Biegłość w zapasach czyniła go doskonałym żołnierzem. Belizariusz posłał doń oficera sztabowego z gratulacjami i ofiarował mu stalowy hełm z białym pióropuszem, lancę z białym porporczykiem i złoty łańcuch na szyję, jako znak, że chce mu dać stopień sierżanta w oddziale swych kirasjerów. Lecz szef gabinetu cesarskiego, który działał teraz jako zastępca Belizariusza, narzekał na złamanie dyscypliny, choć był zadowolony z sukcesu Andrzeja. Posłał wiadomość do wszystkich dowódców szwadronów, że nikt nie może przyjmować wezwania

do harców pod karą surowej chłosty. Belizariusz zga-  
nił za to szefa gabinetu, ponieważ była to groźba nie-  
możliwa do wykonania. Człowiek, który przyjmie  
wyzwanie do walki, albo powróci zwycięsko, a w ta-  
kim przypadku podniesie się powszechny krzyk  
przeciwko ukaraniu go, albo zostanie pokonany, a  
wtedy Persowie uniosą jego martwe ciało spoza za-  
sięgu rzymskich batów.

Niebawem nastąpiło drugie wyzwanie. Wygłosił je  
inny Pers, którego dręczył fakt, iż pierwszy har-  
cownik wystąpił przeciwko zasadom grzeczności. Al-  
bowiem w tych sprawach istnieją w armii perskiej ści-  
śle konwenanse: wyzywający musi zawsze pochodzić  
z najszlachetniejszego rodu biorącego udział w bi-  
twie. A więc drugi harcownik wyjechał raczej dla za-  
dośćuczynienia swej dumie rodowej niż dlatego, że  
pragnął walki. Nie był to młodzieniec, lecz mężczyzna  
w wiośnie życia. Posługiwał się bronią i kierował ko-  
niem w sposób zdecydowany, jak ktoś mający długie  
doświadczenie. Nie krzyczał nerwowo jak młody  
człowiek, którego Andrzej zabił, lecz tylko strzelał z  
bata i surowo pokrzykiwał: „Ho! ho!”, jadąc z wolna  
ku rzymskim liniom. W pewnym miejscu stanął i za-  
wołał coś po persku, co, jak przypuszczano, było wy-  
zywaniem Belizariusza, by zmierzył się z nim osobiście.  
Lecz gdy ktoś ze sztabu powtórzył Belizariuszo-  
wi i namawiał go, by przyjął wyzwanie ze względu na  
moralny efekt, jaki by jego zwycięstwo miało dla ar-  
mii, odpowiedział z pogardą:

- Jeśli on szuka śmierci, dlaczego sam nie wsadzi  
głowy w stryczek zamiast wciągać mnie na współnika?

Tak więc przez dłuższy czas nikt nie wyjeżdżał  
przeciwko drugiemu wyzywającemu. Wracał już do  
perskich linii, być może zadowolony, iż spełnił nono-



rowe zobowiązanie wobec swej rodziny bez żadnych poważnych konsekwencji, gdy znów, jak poprzednio, rozległ się nagły pomruk: znowu jakiś jeździec, tym razem w hełmie z białym pióropuszem i lancą z białym proporczykiem popędził przez most. Pers zawrócił, nastawił włócznie, dał ostrogę koniowi i spotkał przeciwnika w pełnym galopie. Obie włócznie ześliznęły się z polerowanych pancerzy, w które były wymierzone; lecz jakoś konie zamiast się wyminąć, jak to zwykle bywa przy podobnych spotkaniach, z wielkim brzękiem naczółków i wędzideł zderzyły się łbami i przysiadły na zadach. Jeźdźcy wyrzuceni do przodu wpadli na siebie i runęli na ziemię. W owej chwili każdy z widzów zatrzymał dech w piersiach. Rzymianin oprzytomniał wcześniej niż Pers, podniósł się na kolano, uderzył wroga pięścią w twarz i chwyciwszy go za nogi przerzucił przez głowę w znanym stylu szkół zapaśniczych, a następnie zabił jednym ciosem sztyletu. Wielki krzyk podniósł się znad rzymskich linii za rowami i z murów twierdzy, nawet głośniejszy niż poprzednio, i wszyscy ujrzeli, iż jest to znowu Andrzej w uniformie sierżanta kirasjerów Belizariusza. Wziął na siebie obronę honoru Rzymu. Persowie cofnęli się do obozu uznając, że dzień zaczął się pod złą wróżbą, zaś Rzymianie wzniesli pieśń zwycięstwa i pomaszerowali z powrotem za mury Dara.

Lecz Andrzej zrezygnował ze stopnia sierżanta pułku Belizariusza. Rozegrał wielką walkę owego dnia na oczach siedemdziesięciu tysięcy ludzi i udowodnił, iż odniósł zwycięstwo nie przypadkiem, lecz dzięki umiejętności. Jakkolwiek żył długo, nigdy nie zyskał już takiej sławy jak za to podwójne zwycięstwo, które zawsze wspomniano przy ogniskach obozowych, w winiar-

niach i pisanych historiach wojny. Wrócił do swych ręczników, gąbek i palenisk, znowu jako zwykły łazienny, i nigdy więcej nie widziano go w zbroi - z wyjątkiem jednego, bardzo nagłego przypadku, o którym opowiem we właściwym czasie.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, przybył garnizon z Nisibis, zwiększając siłę Persów do pięćdziesięciu tysięcy ludzi wszelkich rodzajów broni, czyli liczby dwukrotnie wyższej od armii Belizariusza. Gdy Belizariusz usłyszał tę wiadomość, wypowiedział następującą uwagę:

- Jeśli istnieje niewielu generałów zdolnych do dowodzenia czterdziestotysięczną armią w bitwie, je szcze mniej jest takich, którzy potrafią dowodzić pięćdziesięcioma tysiącami.

Jego przypuszczenie, iż Firouz jest nieco zakłopotany nieporęcznymi rozmiarami swej armii, wydawało się usprawiedliwione. Albowiem Persowie ustawili się teraz w dwie równe linie bojowe, wspierające jedna drugą. Belizariusz powiedział:

- Rozwiązanie sierżanta z placu musztry. Mógłby przecież użyć frontowych oddziałów do trzymania w szachu twierdzy, a resztą przeciąć mi linie komunikacyjne.

Tymczasem Belizariusz i szef gabinetu wysłali razem list do Firouza proponując, by wycofał perską armię do Nisibis zamiast zmuszać Rzymian do zacieklej i niepotrzebnej bitwy. Większą część listu układał Belizariusz i spotykamy w nim jedno charakterystyczne zdanie: „Nikt roszcący sobie choćby najmniejsze pretensje do zdrowego rozsądku nie lubi walczyć, nawet jeśli walka jest potrzebna; a generała, który rozpoczyna kroki nieprzyjacielskie, obciąża wielka odpowiedzialność nie tylko wobec ludzi pod jego

komendą, lecz wobec całego narodu, za nieszczęście i grozę, nieodłączne od wojny." Szef gabinetu dopisał jeden ustęp tej treści, że Justynian kończy już negocjacje pokojowe i jego poseł wyruszył z Antiochii, lecz że zamach na Dara położy natychmiastowy koniec wszelkim nadziejom na pokojowe rozwiązanie.

Firouz odpowiedział, iż Persja tak często była oszukiwana przez pokojowe zapewnienia rzymskich ambasadorów, że jej cierpliwość się wyczerpała. Wojna jest teraz jedynym lekarstwem na zło. Nie można dłużej brać poważnie żadnego traktatu pokojowego, szczególnie jeśli kończą go rzymskie przysięgi. Belizariusz i szef gabinetu odpowiedzieli, iż w swym dążeniu do pokoju posunęli się na tyle, na ile honor pozwala, i że wierne kopie ich listów oraz perskiej odpowiedzi zostaną następnego dnia przytwierdzone do cesarskiego sztandaru jako świadectwo wobec Boga chrześcijan, iż Rzymianie uczynili wszelkie wysiłki, by uniknąć niepotrzebnej bitwy.

Firouz odparł: „Persowie również mają Boga, starożytniejszego niż wasz i silniejszego, i jutro wprowadzi on nas bezpiecznie do Dara."

Belizariusz zwrócił się teraz do swych żołnierzy stojących w kolumnach za centralnym rowem. Podniósł głos, mówił powoli i wymawiał starannie słowa, tak że każdy słyszał go równie wyraźnie, jak by to była rozmowa w gabinecie. Mówił potocznym językiem, najpierw obozową łaciną, a potem po grecku, żeby wszyscy mogli zrozumieć. Wytłumaczył, że jeśli rzymskie armie w przeszłości nie zawsze biły Persów, nad którymi górowały odwagą, uzbrojeniem i siłą, to tylko z tego powodu, iż szwankowała rzymska dyscyplina, co łatwo można naprawić. Gdyby każdy żołnierz był posłuszny swym oficerom zarówno w na-

tarcu, jak i odwrotnie, porażka stałaby się niemożliwa. Szeregowy żołnierz powinien walczyć w bitwie jak na musztrze, a czyż na musztrze nie jest łatwiej stosować się do komendy niż łamać szeregi i działać według własnego widzimisię? Taktyczny nadzór nad bitwą musi pozostawać w ręku odpowiedzialnego za wszystko generała, mianowicie Belizariusza, a on wydał jasne rozkazy swym podwładnym oficerom, jak postępować we wszelkich możliwych okolicznościach. Szeregowy żołnierz powinien być tak zajęty swą bronią i utrzymywaniem miejsca w szyku, aby nie mieć czasu na niewłaściwe rozmyślenia o ogólnym rozwoju walki. Należy zaufać całkowicie wypróbowanej inteligencji i lojalności oficerów.

Belizariusz zrobił również żartobliwą uwagę o piechocie nieprzyjacielskiej, która zaledwie w połowie składała się z wyćwiczonych żołnierzy.

- Wy, rzymscy rekruci, w krótkim czasie nauczyliście się robić jedną rzecz, mianowicie strzelać daleko i prosto. Ich rekruci również nauczyli się jedynej sztuki wojskowej, a mianowicie chowania się za tarczami. To tylko tłumy chłopów, spędzonymi jak armia statystów na scenie, które sprawią wiele kłopotu ich generalissimusiowi, zanim dzień minie. W rękach mają piki, to prawda, ale ten fakt nie zrobił z nich pikinierów w większym stopniu, niż gdyby uzbrojono ich w flety i nazwano zaklinaczami węży!

Posterunek na wieży dał ostrzeżenie, iż Persowie zaczynają manewrować swymi oddziałami, toteż po wzniesieniu głośnych okrzyków na cześć Belizariusza armia ruszyła na stanowiska. Ciężka kawaleria zajęła flanki, lekka kawaleria ustawiła się w dwóch kątach esplanady, łucznicy sformowali szeregi wzdłuż rowu, falangi pikinierów wraz z żołnierzami uzbrojo-

nymi w dziury stanęły przy mostach. Wtedy Faras, mały, krzywonogi dowódca heruliańskich Hunów, wystąpił przed Belizariusza i powiedział w prawie niezrozumiałej handlowej greczyźnie, której te dzikusy z Krymu używają:

- Ja szkodzić Persy nie dużo, tu pod wysoki wał. Wysłać ja za ta góra, na lewo precz. Ja kryć za ta góra. Kiedy Persy iść, ja szybko na ich tył, szarża, ciach, ciach.

Belizariusz popatrzył uważnie na Farasa, który spuścił oczy. Faras najwidoczniej wątpił w wynik walki i pragnął znaleźć się w neutralnej pozycji; wydawało się, że skieruje atak przeciwko tym, którzy będą zwyciężać w bitwie. Belizariusz spostrzegł, iż palec Farasa krwawi z małego zadrapania. Chwycił go szybko i wkładając sobie do ust, wysssał krew. Potem powiedział:

- Piłem twoją krew, Faras. Jesteś teraz moim *anda*, moim pobratymcem. Idź teraz, drogi Farasie, mój *anda*, i zrób, jak powiedziałeś. Ukryj się za tamtym pa górkiem i szarżuj na Persów ani nie za wcześniej, ani nie za późno.

Faras zaczął się skarżyć jękliwie:

-Ty jadł moja krew, teraz daj mi swoja, *andai* Według przesądu huńskiego przez taką jednostronną czynność Faras dostał się pod wpływ magicznej siły Belizariusza. Lecz Belizariusz odpowiedział:

-Po szarży będziesz mógł skosztować mojej krwi, ile zechcesz. A teraz nie mam krwi na zbyciu, *arida*.

W ten sposób całkowicie zobowiązał Farasa do wierności.

Persowie stali na stanowiskach przez cały ranek, aż usłyszeli rogi dające sygnał roznosiciela żywności, żeby odebrali obiad dla ludzi na szańcach. Gdy tylko

Firouz skalkulował, że rozpoczyna się obiad, ruszył do ataku. Perscy żołnierze są przyzwyczajeni do obiadu późnym popołudniem, a więc nie czują głodu, póki słońce nie skłania się ku zachodowi, podczas gdy apetyt Rzymian zjawia się, gdy zabrzmią rogi w południe. Jednakże Belizariusz przewidział południowy atak i poradził swoim ludziom, by ciobrze napełnili brzuchy przy śniadaniu; nie walczyli więc gorzej. Perska kawaleria zbliżyła się na strzelenie z łuku do rzymskiej, stojącej na skrzydłach, i zaczęła strzelać. Również masa pieszych łuczników ruszyła ku esplanadzie, miotając chmary strzał na rzymską piechotę i rzymską lekką kawalerię. Ci piesi łucznicy szli naprzód w równoległych rzędach, utrzymując jeden krok odstępu między rzędami; dzięki temu mogli bez przerwy ślać ku naszym liniom potok strzał. Ogromnie przewyższali naszych łuczników, lecz trzy rzeczy mocno im się dały we znaki. Po pierwsze, twarde łuki, jakiego używali rekruci Belizariusza, miał większy zasięg niż ich lekkie łuki. Po drugie, wiatr dął z zachodu, tak że strzały perskie traciły impet i padały za blisko. Wreszcie - strzelano do nich z frontu i obu skrzydeł, a byli tak ciasno stłoczeni, że nawet najbardziej niedokładne strzały Rzymian odnosiły skutek. Nacisk świeżych oddziałów z tyłu zmuszał Persów do posuwania się naprzód, dalej, niżby chcieli, a im mniejsza odległość dzieliła ich od nieprzyjaciela, tym cięższe ponosili straty. Połowiczna próba zajęcia dwóch mostków przez część ich oszczepników nie udała się zupełnie: nasi dzirytnicy spędzili ich. Lecz w godzinę czy dwie później, gdy obie strony wyczerpały zapas strzał, na całej linii rozpoczęły się przy mostkach zaciekle walki na włócznie i oszczepy i ponawiano próby przejścia rowu po

przerzuconych deskach. Belizariusz odparł jeden niebezpieczny atak przy pomocy spieszonoego prawego szwadronu Massagetów, teraz odwołanego na tę stronę rowów.

Wreszcie atakujący odnieśli niewielką przewagę nad Trakami Boucesa na lewym skrzydle. Sforsowali jeden most i udało im się rozwinąć w szyk po drugiej stronie. Atakujące oddziały nieprzyjacielskie składały się z posiłkowych Saracenów, bardzo dobrych i dzikich jeźdźców. Bouces walczył dzielnie, lecz wynik był wątpliwy, póki lewy szwadron Massagetów, który, podobnie jak prawy szwadron, odwołano teraz za rów, nie pogalopował mu na pomoc. Massageci mieli teraz zapas perskich strzał, które gromada chłopców z miasta zbierała szybko na polu i związywała w pęczki po czterdzieści sztuk. Saracenów spędzono za rów zadając im ciężkie straty. Nie zdążyli się jeszcze ustawić w szyku, gdy Faras i jego Herulowie zaatakowali ich nagle zza pagórka. Podobno ludzie Fa-rasa zadali nieprzyjacielowi, proporcjonalnie do swej liczby, więcej strat niż którykolwiek inny oddział owego dnia. Rąbali pałaszami i otoczona przez nich oraz przez Traków Boucesa i Massagetów kawaleria perska straciła na tym skrzydle trzy tysiące ludzi. Niedobitkom udało się przedrzeć do głównych sił, lecz Bouces nie miał dyspozycji co do pościgu i karnie powrócił do swego rowu.

Belizariusz natychmiast odwołał Massagetów i jeźdźców Farasa. Uściskał Farasa i dopełnił ceremonii pobratymstwa, pozwalając Farasowi wysać zadraśnięcie od strzały na wierzchu swej dłoni. Tych świętnych wojowników potrzebowano teraz pilnie na drugim skrzydle, gdzie Firouz powstał „nieśmiertelnych” - królewski korpus ciężkiej kawalerii w sile

dziesięciu tysięcy ludzi - by za wszelką cenę przerwali linię obrony. Nasza kawaleria na tym odcinku, po większej części Armeńczycy, cofała się z wolna, lecz stosownie do rozkazu - ukośnie w prawo. Zostawiło to wolne pole dla silnego rzymskiego kontrataku z centrum. Prawy szwadron Massagetów, teraz znowu na koniach, wraz z innymi Hunami, którzy tylko co odnieśli zwycięstwo na lewym skrzydle, oraz Herulowie Farasa i niezrównany pułk Belizariusza - wszyscy ruszyli kłusem, a potem galopem. Taka była potęga tej szarży, która uderzyła na Persów z boku, że przebiła na wylot kolumnę, rozcinając ją na dwie równe części.

Perskim dowódcą na tym skrzydle był jednooki Baresmanas, kuzyn króla Kobada. Wraz ze swym sztabem jechał wygodnie w tyle, biorąc, jak myślał, udział w zwycięskim pościgu rozbitego rzymskiego skrzydła, gdy nagle od swej ślepej strony usłyszał dzikie krzyki i wycia i rzucili się nań Massageci wymachując dzidami i pałaszami. Ci Hunowie mieli powody, by nienawidzić Baresmanasa, ponieważ to on pozbawił ich pastwisk na odległym Wschodzie. Z zemsty odbyli kilkuset milową podróż i wstąpili na służbę do rzymskiej armii. Ich przywódca, Sunikas, zadał cios dzidą chorążemu wielkiego sztandaru, który jechał parę kroków przed Baresmanasem, i trafił go pod pachę wzniesionego ramienia. Szkarłatny sztandar z wyhaftowanym na nim lwem i słońcem zachwiał się nagle i upadł. Krzyk wściekłości i trwogi z tyłu powstrzymał czołowych „nieśmiertelnych”. Ujrawszy, że ich wielki sztandar upadł, rzucili się z powrotem na ratunek. Lecz było już za późno. Sunikas, pijany zwycięstwem, odnalazł samego Baresmanasa i zabił go ciosem dzidy w bok, a na ten widok tylne szeregi Persów rzuciły się do



ucieczki. Główny korpus „nieśmiertelnych” był teraz otoczony, bowiem Armeńczycy odpoczęli i znów walczyli zacięte, tak że pięć tysięcy owych szlachetnych Persów padło przed końcem dnia.

Niebawem nie chronione perskie centrum załamało się i popłynęło z powrotem ku Nisibis. Rekruci perskiej piechoty potwierdzili kiepską o nich opinię Belizariusza rzucając tarcze i włócznie, gdy główna siła rzymska pędziła za nimi. Rzymscy rekruci, choć tylko z grubsza wyćwiczeni w strzelaniu, podnosili rzucone oszczepy i zaczęli się bawić w oszczepników. Perskie szeregi były w takim zamieszaniu, iż nawet te niedołążnie rzucone oszczepy zmieniły ich odwrót w ucieczkę. Lecz Belizariusz nie pozwolił kontynuować pościgu dłużej niż jedną milę, albowiem miał zasadę nie doprowadzać pobitego nieprzyjaciela do rozpacz - co zresztą było również maksymą Juliusza Cezara. W ten sposób zachował nie zagrożone zwycięstwo. Po raz pierwszy od przeszło stu lat Rzymianie zdecydowanie pobili perską armię, a przecież walczyli przeciwko wielkiej przewadze liczebnej. Wielki sztandar Baresmanasa, poplamiony krwią, podniesiono z pola walki, a Belizariusz posłał go Justynianowi wraz z ozdobionymi laurem depepszami głoszącymi zwycięstwo.

Armia perska przez długi czas nie mogła ochłonąć ze wstydu po tej niespodziance. Na tym odcinku granicy przez pozostałą część roku toczyły się zaledwie drobne potyczki, ponieważ Belizariusz nie mógł ryzykować ataku na Nisibis ani nawet próbować po raz drugi odbudowy zamku w Mygdonie. Jeśli chodzi o Firouza, to Kobad oskarżył go o tchórzostwo i pozbawił Złotego Runa, które wódz nosił we włosach na znak wysokiej rangi.

Chciałem szerzej opowiedzieć o Hunach. Dzielią się oni na wiele szczepów i zajmują dziki kraj na północ od granic cesarstwa rzymskiego i Persji, od Gór Karpackich aż do samych Chin. Są biali Hunowie, Massageci, Herulowie, Hunowie bułgarscy, Tatarzy i wielu innych. Wszyscy mają te same zasadniczo zwyczaje, z tym wyjątkiem, że Herulowie ostatnio przyjęli chrześcijaństwo. Hunowie mają skórę koloru pszenicy, skośne, głęboko osadzone oczy (zawsze czerwone od wiatru i kurzu), małe nosy, tłuste policzki, proste czarne włosy, które z przodu obcinają krótko, plotą za uszami i odrzucają do tyłu, wyschłe łydki, potężne ramiona, małe stopy zwrócone do środka. Nawigują po pustyni jak żeglarze po morzu w długich karawanach wozów przykrytych czarnymi płachtami. Ich konie potrafią galopować dwadzieścia mil bez odpoczynku i przebyć sto mil w ciągu jednego dnia. Na niektórych wozach przywiązują wielkie wiklinowe kosze pokryte czarnym filcem, gdzie składają wszystkie swe skarby domowe, a na innych umieszczają namioty w kształcie dzwonów, które są ich jedynymi domami. Jeżdżą z pastwiska na pastwisko, gdy zmieniają się pory roku, przebywając w ciągu dwunastu miesięcy odległość równą odległości z Konstantynopola do Babilonu i z powrotem. Każdy szczep i każdy klan ma swe dziedziczne pastwiska. Większość ich wojen wynika z zatargów o prawo wypasu. W lecie zwracają twarze ku północy, towarzysząc zimorodkowi, zimą wracają na południe. Nie uprawiają roli, lecz otrzymują ziarno albo drogą handlu wymiennego, albo jako daninę od swych osiadłych sąsiadów. Ich głównym napojem orzeźwiającym jest kobyle mleko, które nazywają *kosmos* i piją albo w stanie nie przerobionym, albo jako maślankę,

serwatkę czy alkoholowy napój zwany *kawasse*. Czysta woda napętnia ich obrzydzeniem. Jedzą wszelkiego rodzaju mięso, lecz tylko dziczyzna i końskie mięso pochodzą z ich własnych zapasów, albowiem wieprz czy wół zdechły w okrutnych wiatrach stepów, po których podróżują. Konserwują mięso susząc je na słońcu i wietrze bez soli. To, że jedzą końskie mięso, czyni ich odrażającymi dla cywilizowanych narodów.

Hunowie noszą lisie czapki, a dla ciepła w zimie wkładają dwa futra: jedno wywrócone włosem do środka, a drugie na zewnątrz. Stan człowieka można poznać po futrze, jakie nosi. Zwykły Hun wkłada na siebie skórę psia albo wilczą, natomiast szlachcic odziewa się w sobole. Noszą spodnie z koziej skóry. Trzymają sokoły do polowania, przez co zdobywają wielką ilość dzikich gęsi i innego ptactwa. Drugim ich sportem jest walka na pięści z konia. Są bardzo kłótlivi, lecz gdy dwóch się bije, trzeci nie próbuje ich rozdzielić, nawet jeśli to brat czy ojciec jednego z walczących. Morderstwo karzą śmiercią (chyba że zostało popełnione po pijanemu), także oszustwo, cudzołóstwo i kradzież, a również oddawanie moczu na obozowe ognisko i pomniejsze występki, chyba że zostały dokonane poza klanem, szczepem czy związkiem szczepów, w takim bowiem przypadku wszystko jest dopuszczalne. Są bardzo brudni, ponieważ nie myją się, lecz smarują twarz końskim łojem. Często błękitne niebo, mają czarodziejów, a ze strachu przed złymi duchami żadnemu Hunowi poza służącymi nie wolno odwiedzać chorego. Boją się pioruna i błyskawicy i kryją się w namiotach podczas burzy. Małżeństwo zawierają przez porwanie albo pozorne porwanie, a syn dziedziczy wszystkie żony swego oj-

ca poza własną matką i żeni się z nimi. Ich bronią, jak już powiedziałem, są lekkie łuki i strzały, dzidy i krzywe pałasze. W bitwie wojownicy wyższych rodów noszą skórzane kaftany, wzmocnione z przodu metalowymi płytkami - jednak nie z tyłu, gdyż uważają to za tchórzostwo. Mówią zupełnie niemożliwym do zrozumienia językiem, ćwierkając jak ptaki.

Na ogół prowadzą życie pełne swarów, szczep ze szczepem i ród z rodem, lecz czasami jakiś szlachcic wybija się na stanowisko księcia i wtedy nazywają go chanem. Gdy pojawi się taki chan, oba nasze państwa muszą spodziewać się najazdów na granicę.

Tyle o Hunach.

## Rozdział VIII

### NIEPOTRZEBNA BITWA

Korzystając z tego zwycięstwa moja pani Antonina udała się w podróż do Dara. Cesarzowa Teodora wysłała ją do Belizariusza z listem gratulacyjnym i darami. Oczywiście cesarz Justynian również wysłał list i upominki, jednak nie wiedział, że Teodora robi to samo, ponieważ nie zwierzyła mu się ze swych zamiarów. Oba poselstwa odpłynęły niezależnie od siebie. Do prezentów Justyniana należały: ceremonialna szata, suto szamerowana złotymi niciami i perłami, iluminowany mszał, oprawny w rzeźbioną kość słoniową, oraz cenna relikwia - autentyczna miseczka żebracza świętego Bartymeusza, któremu, wedle ewangelisty Marka, Zbawiciel przywrócił wzrok. Tę miseczkę Justynian zyskał ze skarbów pewnego klasztoru rozwiązanego za rozpustę. Była ona z oliwnego drzewa, srebrnego ze starości. Nie miała, jak zwykle podobne relikwie, ozdób ze szlachetnych metali i złota, lecz była zwykłą żebraczą miseczką, jakich nasi żebracy dotychczas używają przed portalami kościołów i na placach miejskich. Przy brzegu miseczki wyrzeźbiono niegdyś greckie słowa: „Ubóstwo i cierpliwość”. W pisany własnoręcznie liście Justynian bardzo wychwalał Belizariusza za jego zręczność w bitwie i oddanie sprawie cesarstwa oraz zachęcał do powtórzenia chwalebnych czynów z błogostawieństwem bożym, gdyby kiedykol-

wiek pogańscy Persowie ośmielili się znowu pogwałcić nasze granice. Lecz jednocześnie Justynian zalecał jak najdalej idące oszczędzanie żołnierzy: skoro cesarstwo jest bardzo ubogie w wojska, należy ściśle przestrzegać wezwania do cierpliwości, wyrzeźbionego na świętej relikwii.

Posłem Justyniana był Narses, szambelan dworu. Gdy tylko jego okręt oddalwszy się od Lesbos doścignął nasz, zaprosił nas grzecznie, żebyśmy połączyli swe siły. Narses był karłowaty i odrażająco brzydki. Urodzony w perskiej Armenii cieszył się sławą najmądrzejszego człowieka w Konstantynopolu i był, oczywiście, eunuchem. Moja wesoła pani, żeby urozmaicić nudę trzytygodniowej podróży, zaczęła żartować z Narsesa jako „zdrajcy swej płci”. Bowiem, jak szepotała pewnego wieczora do swej pokojówki, Macedonii: „Nie widać w nim żadnej ze zwykłych cech eunucha - skłonności do przepychu i sentymentalizmu, tchórzostwa i swarliwej religijności. Nie zdradza najmniejszej ochoty do czesania mych pięknych kasztanowatych włosów i pieszczenia moich pięknych stóp i wydaje się, że nie zazdrości mi urody, co jest najbardziej typowe dla wszystkich eunuchów.” (Nie wspominałem, że nie tylko dzięki kosztownym upiększeniom, dokonywanym przez fryzjera, chiropodystę, manikiurzystę i innych, lecz na mocy swego przyrodzonego prawa moja pani uchodziła za jedną z trzech najpiękniejszych kobiet w Konstantynopolu, przy czym pierwsze miejsce, jako zarezerwowane przez cesarzową, było praktycznie nieosiągalne.) Narses mówił bardzo rozsądnie o problemach obrony granic, rekrutacji i intendentury. A gdy zwracał się do eskorty, wydawał jasne, krótkie rozkazy, bardzo dobrze naśladowując ton wojskowy, co nieco pobudzało

do śmiechu moją panią. Jej wesołość go obrażała i przyznał to otwarcie.

Warto wspomnieć, że my, eunuchowie, stanowimy wybitny rys wschodniorzymskiej cywilizacji oraz spełniamy w niej bardzo pożyteczną rolę. Mój życiorys jest wyjątkowy - większość trzebieńców importuje się za młodu z wybrzeży Morza Czarnego, z okolic Kolchidy, i kształci w specjalnej szkole pałacowej w zagadnieniach cesarskiej służby cywilnej, która prawie całkowicie znajduje się w rękach eunuchów. Istnieje zasada, której nasi cesarze nauczyli się na dworze perskim, iż eunuchów, skoro nie mogą być wybierani na cesarzy i nie są zdolni do tworzenia niebezpiecznych potężnych rodów, można bezpiecznie darzyć królewskim zaufaniem i używać ich jako szańca przeciwko możliwej uzurpacji tronu przez spisek możnych arystokratów. Eunuchowie są na ogół łagodniejszymi, bardziej lojalnymi i pilnymi urzędnikami niż ich nie kastrowani koledzy, a drobnostkowość w urzędowaniu - nie zaprzeczam tej pedantyczności - stanowi siłę wybitnie konserwatywną. W związku z tym bogate rodziny klas średnich, mające wystarczającą ilość potomków do podtrzymania rodu, praktykowały od dawna świadomą kastrację jednego z młodszych synów i poświęcanie go zyskowej karierze w służbie cywilnej. Nielegalni synowie cesarzy czy też synowie ich synów i córek bywają regularnie kastrowani w tym celu, by uczynić ich użytecznymi obywatelami i uniemożliwić im pretendowanie do tronu. Eunuchów nie wyłącza się również od kapłaństwa, jak to było w pogańskich czasach we wszystkich związkach kapłańskich z wyjątkiem attyckich kapłanów matki Cybeli. Obecnie patriarcha miejski bywa często jednym z nas.

Tak więc, przynajmniej w światowym sensie, kastracja jest raczej korzystna niż niekorzystna, co można choćby stwierdzić przez porównanie cen na targach niewolników. Niewolnik domowy, eunuch, osiąga często trzykrotnie wyższą cenę niż niewolnik nie kastrowany. Wart jest niewiele mniej niż wykształcony lekarz lub zręczny rzemieślnik. Lecz eunuch rzadko bywa szczęśliwym człowiekiem, ponieważ zwykle operację przeprowadza się na nim przed dojściem do wieku dojrzałości płciowej, i potajemnie wyobraża sobie, że męskość jest czymś bardzo wspaniałym - choćby z tego powodu, że normalni mężczyźni zwykli szydzić z eunuchów i przysięgać, że woleliby być ślepi, niemi czy głusi albo cierpieć nawet wszystkie te trzy kalectwa na raz niż być pozbawieni słodkiego i pełnego aktu miłości. Oczywiście eunuch ma gotową odpowiedź na tego rodzaju przechwałki: mówi, że płęć jest szaleństwem i jeszcze nikomu nie przyniosła wiele szczęścia. Ale w tajemnicy, muszę przyznać, czasem zazdrości mężczyźnie, który może kobietę wziąć do łóżka i czynić coś więcej niż obejmować ją jak siostrę i niewinnie całować jej oczy.

Pani Antonina powiedziała mi raz:

- Jeśli chodzi o mnie, mój drogi Eugeniuszu, gdybym nie była kobietą, wolałabym raczej być eunuchem niż mężczyzną, ponieważ dla mężczyzn sprawą najbardziej trudną jest znalezienie w życiu płciowym jakiegoś środka między rozpustą a ascetyzmem. Podejrzliwość Kościoła wobec kobiet, zjadliwe kazania przeciwko kobietom jako kusicielkom i burzycielkom, uważałam zawsze za jawne wyznanie, że mężczyźni zazdroszczą kobietom równowagi duchowej. A tą równowagą duchową w pewnym stopniu cieszą się również eunuchowie, cieszyliby się nią zaś całko-



wicie, gdyby nie szyderstwa szczęśliwych nie kastrowanych nieszczęśliwców. W związku z tym, Eugeniuszu, powinieneś rozważyć bajkę Ezopa o lisie, który stracił ogon w pułapce i usiłował przekonać inne lisy, jak wygodne jest to kalectwo. Szydliły zeń mówiąc, iż przyjął ten pogląd jedynie dlatego, że sam został okaleczony. Podobno Ezop był również eunuchem i niewolnikiem domowym jak ty. Morałem tej bajki nie jest, jak się zazwyczaj przyjmuje, że nieszczęście lubi towarzystwo - na przykład zakonnicy straciwszy swą wolność przez przyjęcie surowych ślubów usiłują przekonać swych starych przyjaciół, by uczynili to samo. Nie - morałem jest raczej niemożliwość osiągnięcia jakiegoś logicznego poglądu w sprawie, czy mężczyźni są szczęśliwsi w pełni sił seksualnych, czy też bez nich. Jeśli chodzi o mnie, to czuję się szczęśliwa, że jestem kobietą i nie potrzebuję brać osobistego udziału w tym sporze.

Mniej więcęj to samo moja pani powiedziała Narsesowi. Odpowiedział trzeźwo na jej paplaninę i streścił jej dzieje swego życia, wyjaśniając, czemu nie jest zadowolony ze swego stanu seksualnego. Został porwany w bitwie, gdy miał jedenaście lat, i już w tym dziecięcym wieku zabił małym mieczykiem człowieka - pochodził bowiem ze sławnej rycerskiej rodziny w Armenii. Mówił, że pogardza pracą biurową i ma nadzieję, iż pewnego dnia uda mu się przekonać cesarza, by mu powierzył dowództwo wojskowe. Przez całe życie z zamiłowaniem studiował strategię i taktykę, a gdyby mu dano okazję, jest pewny, że takie podarki, jakie teraz wiezie Belizariuszowi, a może nawet większe, wysłannicy cesarscy przywiozą któregoś dnia Narsesowi!

Powszechnie wiadomo, że prawie każdy na świecie jest niezadowolony ze swej pracy czy zawodu.

Rolnik chciałby zostać cesarzem, a cesarz wolałby sadzić warzywa; chudy kapitan statku handlowego za zdrości brzuchatemu właścicielowi winiarni - który odplaca mu pięknym za nadobne, niezadowolony ze swego nudnego życia w domu. Lecz nie jest rzeczą rozsądną śmiać się z takich ludzi, gdy w zaufaniu wyznają nam swe niezadowolenie; moja pani nauczyła się tej podstawowej zasady taktu jeszcze w tych czasach, gdy pracowała w klubie. Tak więc udała, że teraz dopiero zdaje sobie sprawę z omyłki, jaką popełniła rozmawiając z Narsesem jak ze zwykłym spokojnym eunuchem z Kolchidy, i wyraziła mu współczucie. Oświadczyła, że gdyby za swe wielkie zasługi dla państwa otrzymał wybitną godność wojskową, pierwsza złożyłaby mu gratulacje i życzyła powodzenia. Zawarli więc pokój na resztę drogi, a Narses stał się życzliwym przyjacielem mojej pani. Spór, przeprosiny, pojednanie są równie dobrym wprowadzeniem do przyjaźni jak i inne rzeczy. Lecz możecie sobie wyobrazić, że moja pani nie mogła brać tych wojskowych ambicji zbyt poważnie, nawet gdy Narses w rozmowie z dwoma kapitanami gwardii dowodzącymi eskortą udowodnił, iż teoretycznie więcej wie o wojnie niż oni. Bo choć może w jedenastym roku swego życia zabił mieczykiem człowieka, lecz działa się to czterdzieści dziewięć lat temu, a od tego czasu rzadko wychodził za próg pałacu, gdzie przez długi czas, zanim zakończył swą edukację, pracował przy warsztacie tkackim wraz z pałacowymi kobietami.

Pierwszy etap podróży odbyliśmy morzem na okręcie wojennym z trzema ławami wioślarzy. Była to przyjemna, lecz uboga w wydarzenia podróż ze zwykłym widokiem na zielone wzgórza i białe miasta. A kiedy wreszcie wysiedliśmy w Seleucji i przybyli-

śmy łądem do Antiochii, byłem zachwycony widząc, jak szybko odbudowano miasto po trzęsieniu ziemi: to była znowu nasza kochana, szumna, rozrzućna stara Antiochia. Miejscowy senat i funkcjonariusze stronnictwa błękitnych byli bardzo uprzejmi wobec mojej pani, a ona wobec nich. Potem jechaliśmy sto dwadzieścia mil szosą do Zeugmy, słynnej z mostu pontonowego, a stamtąd dalsze dwieście mil przez na ogół żyzny kraj, nawadniany głównymi dopływami Eufratu, do Dara i perskiej granicy. Podróżowaliśmy w pocztowych kolaskach i bardzo nam dokuczało gorąco mimo zasłon i szybko biegnących kucyków. Z Edessy, gdzie zatrzymaliśmy się dwa dni, wysłano dwóch gońców na szybkich koniach, by zapowiedzieli nasze przybycie.

Gdy zjawiliśmy się w Dara, etykieta wymagała, aby listy doręczono nie Belizariuszowi bezpośrednio (a także szefowi gabinetu, który również został zaszczycony listem cesarskim), lecz jego domownikom. Moja pani bardzo żałowała, że musi tak postąpić, albowiem znała treść listu Teodory, pisanego w jej obecności. Dałaby wiele, by widzieć twarz Belizariusza, gdy będzie czytał list. Brzmiał on, jak następuje:

„Teodora Augusta, małżonka Justyniana, Namiestnika Boga i Cesarza Rzymian, prześwietnemu patrycjuszowi Belizariuszowi, dowódcy zwycięskich armii Wschodu, pozdrowienie!

Doszły wieści do mego cesarskiego małżonka i do mnie o Twym dobrze zasłużonym zwycięstwie nad Persami. Jesteś wymieniany teraz z bohaterami przeszłości i wielbimy Cię, ponieważ oddałeś nam wielką usługę, i życzymy Ci wszystkiego najlepszego. Dwa z darów Cesarza, miseczka i mszał, oddają sprawiedliwość twojej pobożności, a trzeci - płaszcz - stanowi

przedsmak uznania, jakie znajdziesz na naszym dworze po Twym powrocie ze służby i zwycięstw. Wydaje mi się więc rzeczą właściwą - albowiem dary damy dla starego sługi powinny stanowić uzupełnienie darów jej pana - przysłać Ci trzy dalsze prezenty za pośrednictwem mej zaufanej damy alkowy, od której możesz otrzymać jeszcze inny rodzaj przyjemności. Pierwszy podarunek wybrałam dla Ciebie, ponieważ nosi Twe rodowe godło, a ponadto jest najświetniejszy ze swej rasy w naszych posiadłościach. Drugi посыłam Ci dlatego, że Twój łup może spowodować jego potrzebę. Jeśli chodzi o trzeci, jest to dar wart więcej niż klejnoty i wywołałbyś moje wielkie niezadowolenie, gdybyś arogancko go odrzucił. Albowiem leży w charakterze Teodory, że jeśli jest wdzięczna, zawsze daje to, co ma najlepszego. Żegnaj."

Belizariusz dał nam znać, że wita przedstawicieli ich cesarskich mości, i zaraz przyjął Narsesa i moją panią w chłodnym sklepionym hallu trybunału, gdzie rozstrzygał sprawy i dawał codziennie audiencje swym podwładnym i sojusznikom. Narsesa wpuszczono pierwszego jako wysłannika cesarza. Belizariusz, jak się zdaje, przywitał go uprzejmie, pytając o zdrowie cesarskiej pary i najprzedniejszych senatorów, a na końcu o nowiny ze stolicy i kraju. Wypili razem puchar wina, a Narses zaczął zadawać wnikliwe pytania o szczegóły bitwy. Belizariusz odpowiadał nie powierzchownie jak zwykłemu eunuchowi pałacowemu, lecz z rozwagą i wszystkimi szczegółami, ważąc każde słowo. Narses chciał wiedzieć, dlaczego Belizariusz spieszył czasowo Massagetów do obrony centralnego rowu. Belizariusz odpowiedział:

- Ponieważ atak był dość poważny i dlatego że nic tak bardzo nie podnosi odwagi przyciśniętej mocno

piechoty („latrynowców” - jak ich się niekiedy pogardliwie nazywa ze względu na liczne niewdzięczne zadania, jakie muszą wykonywać), jak gdy ich kole-dzy z kawalerii wyrzekają się swej uprzywilejowanej pozycji, odsyłając konie pod opieką konowodów, i walczą, tną i kłują na własnych nogach.

Potem przyjął prezenty cesarza, podziwił je i podziękował.

Niebawem Narses skłonił się i oddalił.

Tymczasem moja pani Antonina siedziała w przed-sionku, a Rufinus, który był teraz chorążym Belizariusza, przyjmował ją z największą atencją. Ale na jego grzeczne uwagi odpowiadała ogólnikowo i z roztargnieniem, gdyż po raz pierwszy w życiu czuła się onieśmielona. Sprawa wyglądała prosto i pewnie, gdy Teodora i moja pani dyskutowały ją w pałacu; lecz teraz, gdy wstała na wezwanie, kolana jej drżały, a w ustach zasychało.

Stała w pół drogi i dała znak gwardii, by przed-stawiono pierwszy z prezentów Teodory: był to dziki, trzyletni kasztanowaty ogier z białą strzałką na czole i białymi pęcunami. Te znaki miała na myśli Teodora, gdy pisała, że jej pierwszy upominek nosi domowe barwy Belizariusza. Pomruk uznania rozległ się wśród kirasjerów, którzy stali na baczność wzdłuż ścian hallu z lancami pionowo u boku, i wśród oficerów kawalerii stojących wokół trybunału. Moja pani dosłyszała, jak Rufinus mruczy do siebie:

- Ten jeden dar cesarzowej jest wart więcej niż wszystkie trzy dary cesarza.

Koń był istotnie wspaniałym zwierzęciem ze słynnej trackiej rasy, o której wspomina poeta Wergiliusz w piątej księdze *Eneidy*.

Ogiera odprowadzono do stajni i pani Antonina wezwała, by wniesiono z kolei drugi dar. Moja pani

obawiała się, że transport może nie przybyć na czas, chociaż wysłaliśmy go przed nami z Antiochii, gdy tylko wysiedliśmy z okrętu i wyminęliśmy go o dzień drogi od Edessy. Ale przybył na czas - transport pięciuset kompletnych zbroi kawaleryjskich z wytwórni uzbrojenia w Adrianopolu. Teodora wiedziała, że wśród zdobyczy Belizariusza znajdowało się wiele perskich koni, i wniosowała słusznie, że wcieli do swych oddziałów najdzielniejszych z trzech tysięcy wziętych do niewoli Persów i zrobi z nich kirasje-rów. Ale perskie broje kawaleryjskie, które wpadły w nasze ręce, nie nadawały się jako zbyt cienkie i zbyt skomplikowane do użycia w polu, tak więc tych pięćset zbroi było jak najbardziej pożądanym podarunkiem. Znowu podniósł się pomruk uznania, gdy zobaczono, że wszystkie stalowe hełmy są ozdobione białymi kitami. Cesarzowa doskonale rozumiała się na sztuce ofiarowywania właściwych darów. Wreszcie wtedy moja pani odzyskała głos i powiedziała:

- Trzeci podarunek, prześwietny Belizariuszu, na rozkaz jej jasności, mojej cesarskiej pani, mam ci doręczyć prywatnie.

Była pewna, że Belizariusz jej nie poznał, ponieważ jego głos pozostał chłodny i naturalny, gdy odpowiadał:

-Jak sobie życzy moja dobrodziejka. Lecz wy, szlachetni panowie, proszę, nie wychodźcie. Znakomita dama cesarskiej alkowy będzie, mam nadzieję, tak łaskawa, by przyjąć mnie w przedpokoju, z którego tylko co się wynurzyła, i doręczy tam trzeci prezent, jak jej miłościwa pani od nas wymaga.

Pani Antonina skłoniła się i cofnęła do przedpokoju, a on natychmiast wszedł i zamknął drzwi. Stali

twarzą w twarz, bez słowa, aż wreszcie ona odezwała się cichym głosem:

- To ja, Antonina. Czy mnie pamiętasz... tancerkę z uczy, którą twój wuj Modestus wydał w Adriano-polu?

Albo nigdy nie zapomniał, albo wspomnienie sta-  
nęło mu teraz żywo przed oczyma. Odpowiedział:

- A to nadal ja, Belizariusz.

Zamknął jej dłonie w swoich i trzeci podarunek  
został przyjęty. Potem Belizariusz rzekł:

-Powiedz swej monarszej pani, że chyba nigdy  
dotąd cesarzowa nie ofiarowała swemu  
podwładnemu tak pożądanego daru. I że  
przyjmuję go w pełnym uwielbienia zdumieniu  
nad jej cudownym odgadnięciem moich potrzeb i  
pragnień. Ale, o słodka Antonino, powiedz jej, iż  
radość z trzeciego daru, nieskończenie  
wspanialszego od tamtych dwóch, musimy  
odłożyć do mego odwołania z wojny, albowiem  
muszę dotrzymać ślubu.

-Cóż to za ślub, drogi Belizariuszu? - spytała. Od-  
parł:

-Moi oficerowie i żołnierze złożyli ślub na Ewan-  
gelię, w którym się do nich przyłączyłem, że nie  
będą ani golili bród, ani popadali w grzech  
pijaństwa, ani nie pojmą żony czy konkubiny, póki  
pozostają tu w czynnej służbie przeciwko Persom.

-Nie możesz się zwrócić do patriarchy o dyspensę  
od tego ślubu? - spytała.

-Mógłbym tak postąpić, ale tego nie zrobię przez  
względ na innych, którzy nadal pozostaną  
związani tym ślubem. Moja ukochana Antonino,  
której obraz wryty był w moim sercu przez  
piętnaście lat, bądź cierpliwa i czekaj! Pewność, że  
gdy wrócę do miasta, będzie czekała na mnie  
największa nagroda w świe-

cie, z pewnością przyśpieszy zwycięski powrót, którego *życzył* mi cesarz.

Choć moja pani nie mogła nań naciskać w sprawie, która dotyczyła jego honoru, nie mogła ukryć swego rozczarowania. Spytała:

- Och, Belizariuszu, czy aby na pewno nie wynajdujesz wymówek, by zyskać na czasie?

Było to jednak pytanie czysto retoryczne, gdyż nigdy na twarzy jakiegokolwiek mężczyzny zachwyty nie malował się tak wyraźnie jak na jego twarzy.

Belizariusz i moja pani wrócili do hallu trybunału i oboje przyjęli oficjalny wygląd i ton. Belizariusz zaprosił na ucztę Narsesa, a także moją panią, oficerów eskorty i swego sztabu. Moja pani nie miała już więcej okazji do rozmowy w cztery oczy z Belizariuszem i oboje uważali, by nie zdradzić słowem czy spojrzeniem wzajemnej wielkiej miłości. Bankiet odbył się bardzo trzeźwo ze względu na ślub przeciwko pijaństwu, który złożyła większość obecnych, a także z tego powodu, że niełatwo było dostać smakołyki w Dara. Następnego ranka Narses i moja pani wracali do domu opatrzeni w listy pokornej wdzięczności dla cesarza i cesarzowej. Lecz Narses odgadł sekret mojej pani i szepnął do niej, gdy tylko usiedli razem w kolasce:

- Obyś darzyła go równą miłością, najszlachetniej szą pani, jak on ciebie!

Moja pani odpowiedziała mu słowami, które go tak zadowolily jak ją jego słowa:

- A ty, dostojny szambelanie, obyś odnosił tak wielkie sukcesy, gdy będziesz miał na ramionach purpurowy płaszcz generalski, jakie odnosiłeś przez tyle lat, ubrany w sztywne szkarłatne jedwabie twego pałacowego urzędu.



Gdy znowu znaleźliśmy się w Konstantynopolu, na moją panią czekały już dwa listy Belizariusza, przybyłe tu krótszą drogą. Były napisane tak prostym i eleganckim językiem i pełne tak szczerzej radości, że, skoro ta miłość była nie tylko sankcjonowana, lecz wyraźnie popierana przez rozkazy cesarskie, moja pani złamała swą życiową zasadę i wyraziła swe uczucia na piśmie. Wiele dziesiątków długich listów wymienili między sobą do jego powrotu w jakieś półtora roku później.

Następną fazę wojny stanowiła perska inwazja na rzymską Armenię, lecz została energicznie odparta przez Sitasa, dawnego kolegę Belizariusza, będącego teraz szwagrem Teodory Skoro obecnie rzymskie imię miało większy respekt niż poprzednio, pewna ilość chrześcijańskich Armeńczyków zdezerterowała z perskiej strony do armii cesarskiej. Kobad stracił również dochody z kopalni złota w Farangium, mieście położonym w żyznym, lecz prawie niedostępnym wąwozie na granicy między dwiema Armeniami, gdyż tamtejszy główny inżynier wołał oddać miasto i kopalnię pod rzymską opiekę. Kobad ze starczym uporem odmawiał wycofania wojsk z sąsiedztwa Dara, chociaż Justynian wysłał posła dla wznowienia rokowań pokojowych. Każda ze stron próbowała zrzucić z siebie odpowiedzialność moralną za konflikt. Kobad powiedział rzymskiemu ambasadorowi, że Persowie postąpili słusznie zajmując i obsadzając Bramę Kaspijską, której cesarz Anastazjusz nie chciał kupić od właściciela nawet za nominalną cenę - albowiem król uczyniwszy tak uchronił zarówno państwo rzymskie, jak i perskie przed inwazją barbarzyńców. Utrzymanie garnizonu jest rzeczą kosztowną i Justynian po sprawiedliwości powinien albo za-

płacić połowę wydatków, albo, jeśli woli, wysłać odpowiedni rzymski oddział, by umożliwić zredukowanie perskiej załogi do połowy obecnego stanu.

Potem król i ambasador spierali się o złamanie klauzuli starożytnego traktatu o fortyfikacjach granicznych. Kobad wykazał, iż ufortyfikowanie miasta Dara przez Rzymian postawiło Persów w strategicznej konieczności utrzymywania dużej siły wojskowej na granicy w Nisibis - co jest również nieuczciwym krokiem w stosunku do finansów Persji i niesprawiedliwością wobec zbyt wielu ludzi, by mógł ją przyjąć. Ofiarował teraz Justynianowi trzy możliwości do wyboru: współudział w obronie Bramy Kaspijskiej, zburzenie fortyfikacji Dara, wznowienie wojny. Ambasador rozumiał, iż król ma na myśli daninę pieniężną, specjalnie zamaskowaną jako wpłata na wspólną obronę przeciwko groźbie barbarzyńców, i że wpłacenie pewnej sumy zakończyłoby konflikt.

Justynian nie mógł się zdecydować, czy ofiarować daninę pieniężną, czy nie. Gdy nad tym deliberował, Kobada odwiedził sprzymierzony z nim król Saracenów, przedstawiając plan zadania druzgocącego ciosu Rzymianom. Saracen był wysokim, szczupłym, energicznym staruszkiem. Jego dwór znajdował się w Hirze, na pustyni, a on od pięćdziesięciu lat robił napady na rzymskie terytorium między granicą Egiptu i Mezopotamii. Zjawiał się nagle z pustkowi z bandą w sile kilkuset jeźdźców, płądrował, palił, masakrował, brał jeńców - niekiedy tysiącami - a potem znikał znowu równie nagle, jak się pojawił. Zorganizowano przeciw niemu kilka ekspedycji karnych, lecz nie dały one rezultatu, gdyż sztukę prowadzenia wojny na pustyni posiadają tylko ci, co się na pustyni urodzili. Okrążył dwie silne rzymskie kolumny ma-

szerujące przeciwko niemu, wziął je do niewoli i zatrzymał oficerów do wykupu.

Ten stary król zaproponował Kobadowi, żeby zamiast toczyć bitwy jak zwykle między wodami Eufratu i Tygrysu, gdzie Rzymianie posiadają dużo ufortyfikowanych miast i mogą się w nich schronić w razie ataku, wybrać drogę południową, którą nie maszerowała dotychczas żadna perska armia, prowadzącą nad brzegiem Eufratu. W tym punkcie, gdzie rzeka skręca z zachodu na północ, powinien przeciąć Pustynię Syryjską. Bowiem tu, za pustynią, Rzymianie wierząc naturalnym przeszkodom, takim jak pozbawiony wody piasek i skały, zbudowali tylko nieliczne fortyfikacje, nie obsadzone nawet wojskiem godnym tej nazwy. Jeśli przeprowadzić energiczny atak, Antiochia wpadnie w ręce Persów, ponieważ - miał rację w tym względzie - Antiochia jest najbardziej niepoważnym miastem na całym Wschodzie, a jej obywatele interesują się jedynie czterema rzeczami, mianowicie winem, miłością, polityką faksji i sporami religijnymi. (Handel nie jest zainteresowaniem, lecz nieprzyjemną koniecznością, do której się zniżają po to, by mieć pieniądze na czynne uprawianie wspomnianych czterech pasji.) Cóż za wspaniałe miasto do splądrowania! A plądrujący mogą powrócić bezpiecznie z łupami na długo przedtem, zanim jakkolwiek odsiecz zdoła przybyć z rzymskiej Mezopotamii.

Kobada zainteresował ten plan, lecz przyjął go sceptycznie. Jeśli żadna z perskich armii w przeszłości nie uważała tej drogi za odpowiednią, to o ile warunki się zmieniły, by ją teraz wybrać? W jaki sposób armia nie przyzwyczajona do okresowego głodu i pragnienia wytrzyma w spalonej słońcem pozbawionej pastwisk pustyni?

Król Saracenów odpowiedział na pierwsze pytanie, że dotychczas żaden wielki król nie pytał o radę doświadczonego Saracena. A jeśli chodzi o drugie pytanie: jednostki perskie powinny składać się wyłącznie z lekkiej kawalerii - piechota i ciężka kawaleria nie wchodzi w rachubę - a ekspedycję należy przeprowadzić wiosną, kiedy nawet w najdzikszej pustyni znajdzie się dość pastwisk dla tych, co umieją ich szukać. Persowie powinni podróżować lekko, a Saraceni będą ich oczekiwać w pewnym miejscu nad rzeką, w głębi rzymskich terytoriów, z odpowiednim zapasem żywności i wody na ostatni i najtrudniejszy etap podróży.

Kobad dał się przekonać królowi Saracenów, choć uchodzą oni za wiarołomny naród. Wniósł, że Saracen nie może mieć w tych propozycjach żadnego innego motywu, jak uzyskanie perskiej pomocy w korzystnej wyprawie na zbyt wielką skalę, by mógł się na nią odważyć sam. Kobad musiał jedynie zabezpieczyć się przed zdradą w powrotnej drodze i w związku z tym nalegał, żeby król Saracenów zostawił jako zakładników do końca kampanii swych dwóch synów i dwóch wnuków na perskim dworze w Suzie. Saracen zgodził się i w marcu następnego roku - roku, który nastąpił po bitwie pod Dara - zakończono wszystkie przygotowania. Wojska perskie skoncentrowały się w mieście Ktesifon w Asyrii. Liczyły one piętnaście tysięcy ludzi pod dowództwem zdolnego generała imieniem Azareth.

Persowie przeprawili się przez Eufrat tuż za Babilonem i pomaszerowali południowym brzegiem przez nie zamieszkały kraj, aż dotarli do rzymskiego posterunku granicznego w Circesium, gdzie zastali tylko kilku celników. Stamtąd forsownym marszem

posuwali się rzymską drogą, która, biegnąc sto mil wzdłuż brzegu rzeki, skręca potem na południe do Palmyry i Damaszku. Tu połączyli się z dużą jednostką Saracenów pod dowództwem ich króla, który powiedział, że szlak prowadzi prosto przez pustynię do Chalcis. To miasto stanowi jedyną przeszkodę na drodze do Antiochii, a właściwie nie jest to żadna przeszkoda, skoro garnizon miejscowy liczy zaledwie dwustu ludzi. Azareth w ogóle nie wierzył Saracenom, chociaż przywieźli ze sobą znaczny zapas żywności. Stąd też czekał, aż zwiadowcy, wysłani przodem z eskortą Saracenów, zameldowali, iż pastwisk w pustyni jest dosyć i że nie natknęli się na żadną zasadzkę. Ale pozwalać sobie na tego rodzaju zwłokę to znaczyło nie doceniać energii Belizariusza, który właśnie wprowadził na granicy system połączonych punktów obserwacyjnych, nadających sygnały dymne celem ochrony przeciwko niespodziewanym napadom. W godzinę po zjawieniu się Persów w Circesium, mieście leżącym w południowej pustyni, dwieście mil od Dara, Belizariusz znał już liczebność i skład ich sił i podjął decyzję. Zostawiając jedynie niewielkie załogi w Dara i innych pogranicznych miastach, forsownymi marszami ruszył na odsiecz Antiochii na czele wszystkich wyszkolonych oddziałów, jakie mógł zebrać w tak krótkim czasie. Liczyły one jedynie około ośmiu tysięcy ludzi. Ale po drodze zbierał posiłki i wzmocnił swą armię o drugie osiem tysięcy. Wybrał drogę południową przez Carrhae (słynne z pogromu Persów przez Krassusa, kolegę Juliusza Cezara) i zdołał w ciągu siedmiu dni osiągnąć swą główną siłą odległe o trzysta mil miasto Chalcis, właśnie w samą porę, by obsadzić fortyfikacje. Lecz był to bardzo wyrównany wyścig, albowiem Azareth

też przebył już pustynię i znajdował się w odległości pół dnia marszu od Chalcis - wśród tych samych skał, gdzie święty Hieronim i jego zwariowani towarzysze--asceci żyli ongiś jak rozwścieczone skorpiony, czcząc wprawdzie Boga, lecz niewdzięcznie odrzucając spośród dzieł boskich wszystko przyjemne i piękne. Tegoż samego ranka do Belizariusza przyłączyło się pięć tysięcy arabskich wojowników z północnej Pustyni Syryjskiej, gdzie wypasali konie. Byli to poddani króla Haritha ibn Gabala z Bostry w Transjordanii, któremu Justynian płacił roczne wynagrodzenie w złocie, pod warunkiem, że będzie zwalczał zagony Saracenów na Syrię. Ci Arabowie nie byli ludźmi, którym można zaufać, a króla Haritha podejrzewano o porozumienie z Saracenami, gdyż ilekroć zdarzył się napad Saracenów, jego ludzie zawsze przybywali dwa albo trzy dni za późno. Lecz Belizariusz cieszył się, że ma ich z sobą, albowiem wobec braku piechoty, która była jeszcze w drodze, zwiększali jego korpus do dwunastu tysięcy ludzi.

Azareth był bardzo niezadowolony z siebie, gdy jego przednia straż maszerująca na Chalcis została nagle odrzucona przez szarżę rzymskiej kawalerii. Uznał, że okazja minęła i że nie może teraz osiągnąć Antiochii bez ryzykowania bitwy z tym samym generałem, którego wojska walczyły tak dobrze pod Dara. Gdyby został pobity w takiej odległości od granicy, po drugiej stronie Pustyni Syryjskiej, byłoby mało prawdopodobne, żeby chociaż jeden Pers przeżył odwrót. Tylko Saraceni ocaliliby własne skóry, rozpraszając się po pustyni, którą znali tak dobrze. Gdyby nawet zwyciężył, prawdopodobnie nie mógłby zapobiec, by Belizariusz z resztą swych sił schronił się za murami Chalcis. Kontynuowanie zagonu na Antio-

chę, z Chalcis leżącym na tyłach i rzymskimi posiłkami w drodze, byłoby niebezpieczne. Tak więc przyjął mądrą decyzję odwrotu tą samą drogą, bez strat i zysków, póki ma jeszcze żywność i póki pogoda jest znośna.

Pocieszał się refleksją, że nawet gdyby zajął Chalcis przed Belizariuszem, ruszył ku Antiochii i splądrował ją, wtedy jego wojska - a szczególnie Saraceni - byłyby zciezorganizowane przez zwycięstwo, a Belizariusz zatrzymałby go w powrotnej drodze, mając możliwość wyboru najkorzystniejszej dla siebie pozycji i zorganizowania obrony jak pod Dara. Król Saracenów zgodził się, że odwrot pozostaje teraz jedynym możliwym wyjściem. Nie ośmielił się podzielić swej armii na małe bandy i ruszyć na splądrowanie południa kraju ze strachu, że Azareth zamelduje Kobadowi, iż został opuszczony, a Kobad skaże na śmierć saraceńskich zakładników. Tak więc Persowie i Saraceni zrobili w tył zwrot i pomaszerowali do domu, a Belizariusz szedł za nimi w niewielkiej odległości, aby zyskać pewność, że nie skręcą i nie wrócą do Syrii jakąś inną drogą. Obie armie nie śpieszyły się ani nie próbowały wrogich kroków. Belizariusz trzymał się w odległości jednego dnia cirogi za Azarethem i co noc obozował w tym samym miejscu, które Azareth rano opuścił. Prowadził wzmoczoną obserwację na flankach i tyłach na wypadek niespodziewanego ataku Saracenów. Nadszedł siedemnasty kwiecień, Wielki Piątek, rocznica ukrzyżowania Jezusa. Święto Wielkanocy, kiedy On podobno wstał z martwych, miało nastąpić dzień później. Persowie osiągnęli teraz brzeg Eufratu i przeszli nim pięćdziesiąt mil, do punktu, gdzie droga z Damaszku i Palmyry skręca ku rzece. Było jasne, iż nie wymyślili innego planu, lecz

kontynuują powrotny marsz wzdłuż rzeki. Belizariusz pod Chalcis zganiał surowo dowódcę swej straży przedniej za wdanie się bez rozkazu w walkę z nieprzyjacielem i zniszczenie w ten sposób taktycznego planu wciągnięcia w zasadzkę całej perskiej armii. Byłby mu nawet odebrał dowództwo, gdyby nie wstawiennictwo szefa gabinetu. Fakt, że Belizariusz zdawał się hamować ofensywnego ducha żołnierzy i nie próbował zaczepiać ustępującej armii, ośmielił różnych wrzaskliwych gadułów do oskarżenia go o tchórzostwo, ale na razie tylko za jego plecami.

Potem chrześcijański fanatyzm Wielkanocy, którą obchodzi się zawsze jako wielkie święto po czterdziestu dniach wstrzemięźliwego życia i kilku ścisłych postach, ogarnął ludzi. Krzyczeli, by prowadzono ich przeciwko Persom, żeby zyskali wielkie zwycięstwo dla uczczenia Wielkanocnej Niedzieli, najszczęśliwszego dnia w roku. Belizariusz w nocy z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę wszedł do małego miasteczka Sura, lecz Persowie posuwali się tak wolno, nie chcąc, by zaobserwowano u nich oznaki jakiegokolwiek pośpiechu, że część rzymskiej piechoty zrównała się teraz z kawalerią. Te bataliony nie maszerowały przez całą drogę do Chalcis, lecz przeszły przez Eufrat, skręcając na południe z traktu do Carrhae. Ich przybycie stało się sygnałem do nowego podniecenia bitewnego: mówiono, że z dwudziestu tysiącami ludzi Belizariusz nie ma prawa puszczać wolno pozbawionego ducha i zmęczonego nieprzyjaciela.

Rano przybyła do Belizariusza grupa oficerów i poinformowała go, że ich podwładni kwestionują jego odwagę i lojalność, i nie można ich dłużej powstrzymać od wyzwania nieprzyjaciela. Jeśli nadal



zamierza ich hamować, prawdopodobnie wybuchnie bunt.

Belizariusz był zdumiony. Tłumaczył, że musi słuchać jak najwyraźniej szych rozkazów Justyniana, aby unikano wszelkiego niepotrzebnego marnowania wojsk. Szef gabinetu podtrzymał go w tym poglądzie, lecz obu zakrzyczano.

Wtedy Belizariusz rozkazał zadać w rogi na ogólną zbiórkę i zwrócił się do żołnierzy, jak następuje:

- Żołnierze wojsk cesarskich i sprzymierzonych! Co za pies was ukąsił, że wystaliście do mnie waszych oficerów z tak głupim żądaniem? Czy nie wiecie, co dla was dobre? Oto macie Persów, którzy weszli na nasze terytorium z zamiarem spustoszenia wielkiego miasta Antiochii, a teraz zostali zmuszeni przez waszą bezpośrednią akcją do odwrotu z pustymi rękoma i wściekłością w sercach. „Nie kłuj ostrogą biegnącego konia” - to przysłowie nieraz dobrze się przysłużyło, o czym wiedzą kawalerzyści, i bardzo tu pasuje, szczególnie jeśli połączymy je z powiedzonkiem: „Koniec wieńczy dzieło.” Tyle, jeśli chodzi o mądrość świecką, lecz pozwólcie mi upomnieć was w waszej chrześcijańskiej gorliwości, iż Pismo święte mówi nam surowo: „Nie zabijaj!” Tłumaczy się to, jak muszę spieszenie uzupełnić, jedynie jako wezwanie do unikania zbędnej rzezi, gdyż inaczej nie wolno by nam było służyć w wojsku nawet w obronie naszego kraju. Ale muszę się odwołać do waszej decyzji, czy bitwa, na którą macie ochotę, nie należy właśnie do zbędnej rzezi, albowiem nie widzę do niej rozsądnego powodu. Najbardziej pełnym i szczęśliwym zwycięstwem jest udaremnienie planów nieprzyjaciela bez własnych strat moralnych czy materialnych. A takie zwycięstwo już odnieśliśmy. Jeśli zmusimy Persów do walki, nie przyspieszymy ich

odwrotu nawet o jeden dzień, chociaż byśmy odnieśli zwycięstwo. Natomiast jeśli zostaniemy pokonani... muszę wam przypomnieć, iż Opatrzność jest łaskawsza dla tych, którzy narażają się na niebezpieczeństwo nie z własnego wyboru, niż dla tych, co umyślnie go szukają. Pamiętajcie, że nie możemy sobie pozwolić na porażkę! Jeszcze jedno ostatnie słowo: wiecie, że nawet szczur będzie walczył rozpaczliwie, gdy się go zapędzi do kąta, a Persów w żadnym wypadku nie można uważać za szczurów. Ponadto jest dziś Wielka Sobota i wszyscy z wyjątkiem Arabów, którzy czczą demonów, i Massagetów, którzy czczą błękitne niebo, pościliście od wczorajszej nocy i musicie jeszcze pościć przez dwadzieścia cztery godziny. Poszczący ludzie walczą nienajlepiej, szczególnie na piechotę. Nie chcę przypominać wam, piechurzy, iż przemaszerowaliście trzysta mil w dwadzieścia dni - wspaniale, lecz wyczerpujące osiągnięcie - i że pewna ilość powolniejszych batalionów jeszcze znajduje się w drodze.

Ale nie chcieli go słuchać, wyli: „Tchórz!” i „Zdrajca!” - a w tych okrzykach wzięła udział nawet część jego oficerów.

Zmienił ton i powiedział, że jest zachwycony ich zaufaniem i odwagą, a jeśli może jakiś dobry anioł zachęca ich do bitwy, byłoby rzeczą bezbożną ze strony wodza ich powstrzymywać. Mogą na niego liczyć, że poprowadzi ich zdecydowanie przeciwko odwiecznym wrogom.

Pospiesznym marszem ruszył z Sury i w południe doścignął Persów. Ostrzeliwanie tylnej straży zmusiło Azaretha do zawrócenia z drogi i wystąpienia do walki. Na lewym skrzydle Rzymian znajdowała się rzeka, a na przeciwległym brzegu, nieco w dół, leżało rzymskie miasto Callinicum. Między rzeką, w której stan

wody był niski, a wysokim brzegiem, wstrzymującym ją w czasie przyboru, leżała przestrzeń szeroka na kilkaset kroków. Tu rozegrano bitwę.

Była to bardzo krwawa bitwa i rozpoczęła się zwykłą wymianą strzał. Belizariusz ustawił piechotę na lewym skrzydle, gdzie chroniła ją rzeka, a króla Haritha z Arabami na skrajnej prawicy, na wznoszącym się brzegu. Centrum zajął sam ze swą kawalerią. Azareth przeciwstawił Arabom Saracenów, którzy pochodzą z tej samej rasy, a centrum i prawe skrzydło zajęły oddziały perskie. Na każdą rzymską strzałę wypadały dwie perskie, lecz ponieważ rzymskie łuki były o wiele twardsze i mocniej napięte, a perskie zbroje służyły raczej do ozdoby niż ku ochronie, w wymianie strzał zginęło dwa razy więcej Persów niż Rzymian.

Mijało popołudnie i żadna ze stron nie odnosiła sukcesu, gdy nagle Azareth poprowadził dwa szwadrony swej najlepszej kawalerii przeciwko królowi Harithowi. Arabowie rzucili się do ucieczki, co jest zwykłą taktyką tych pustynnych wojowników, gdy szarżuje na nich kawaleria, i w ten sposób odsłonił centrum rzymskie. Azareth zamiast ścigać Arabów skręcił na tył rzymskiego centrum i złamał je. Niektóre szwadrony kawalerii, szczególnie Massageci i kirasjerzy Belizariusza dotrzymali pola i zadali ciężkie straty nieprzyjacielowi, lecz reszta ratując się popędziła ku rzece i popłynęła do piaszczystych wysepek opodal brzegu. Arabowie nie učinili żadnej próby powrotu, lecz odjechali szybko do swych namiotów w pustyni.

Rzymska piechota składała się częściowo z tych surowych rekrutów z południowej części Azji Mniejszej, których Belizariusz wyszkolił w łucznictwie, a częściowo w sztuce posługiwania się oszczepem.

Łucznicy pozwolili się posiekać na kawałki nie próbując nawet użyć mieczy, które mieli u boku, nie umieli także pływać. Byli to ci sami ludzie, którzy w Surze najgłośniej krzyczeli o bitwę. Lecz Belizariusz zwołał oszczepników i uformował z nich półkole plecami do rzeki, a spieszywszy niedobitków swego szwadronu odpierał perskie ataki aż do nocy. Miał zaledwie trzy tysiące ludzi przeciwko całej perskiej armii, i to osłabłych z głodu. Jednak pierwszy szereg przyklękawszy na jedno kolano stworzył z tarcz silną, nieustępliwą zaporę, zza której żołnierze z dalszych szeregów walczyli włóczniami i oszczepami. Perska kawaleria stale ponawiała ataki, lecz Belizariusz kazał swym ludziom szczękać tarczami i krzyć unisono, tak że konie stawały dęba i w szereg perskie wkradł się straszliwy zamęt.

Po zapadnięciu nocy Persowie wycofali się do obozu, a statek frachtowy z Callinicum przewiózł Belizariusza i jego towarzyszy na wyspy, gdzie spędzili noc. Następnego dnia przybyło więcej statków i niedobitki rzymskiej armii przetransportowano do Callinicum. Konie płynęły wplaw. Wielkanoc obchodzono w mieście, ale z niewielką radością. Bardziej ciemni i głupi chrześcijanie tłumaczyli sobie porażkę mówiąc, iż Bóg umiera w każdy dzień ukrzyżowania i pozostaje martwy aż do zmartwychwstania w Wielkanoc. Stąd też bitwę należało odłożyć na jeden dzień, gdyż Bóg, będąc martwy, nie mógł im pomóc. Belizariusz opisał to w liście do mojej pani, szydząc z domorosłych teologów.

Persowie obdarli rzymskich i swych własnych poległych kolegów, którzy byli niemniej liczni. Z naszej strony najbardziej ucierpiał oddział Massagetów. Z tysiąca dwustu zostało ich tylko czterystu, a i z tych

większość odniosła rany. Belizariusz stracił połowę ze swego przybocznego pułku, który składał się z trzech tysięcy ludzi. Poczekał, aż przybędzie reszta piechoty, i wrócił z nią do Dara. Ogólna liczba strat wynosiła sześć tysięcy ludzi.

Azareth wrócił do Persji głosząc swe zwycięstwo, lecz Kobad, zanim go pochwalił, rozkazał „policzyć strzały”. Jest zwyczaj perski, że kiedy wyrusza wyprawa wojskowa, każdy żołnierz odkłada jedną strzałę. Te strzały wiąże się następnie w pęczki i pod pieczęcią deponuje w skarbcu. Po zakończeniu kampanii powracający odbierają po jednej strzale, a z pozostałej liczby można obliczyć wielkość strat. Siedem tysięcy strzał pozostało w skarbcu, więc Kobad zwolnił Azaretha z dowództwa w niełasce. Król Saracenów również został skarcony za głupią radę i cofnięto mu roczne subsydium, jakie od dawna pobierał.

Belizariusz napisał depeszę do Justyniana, tłumacząc się ze swych strat, a szef gabinetu wysłał depeszę potwierdzającą, wyjaśniając dokładnie, co się stało, i chwalać odwagę Belizariusza, tak że Justynian ufał mu nadal. Lecz moja pani pragnęła, by ta bezsensowna wojna już się skończyła, co można byłoby osiągnąć przez wypłatę niewielu tysięcy sztuk złota i wymianę grzecznych frazesów między władcami walczących państw. Obawę o Belizariusza musiała okazywać w większym stopniu, niż zamierzała, albowiem Teodora namówiła Justyniana, by ociwołał Belizariusza na tej podstawie, że zdolny żołnierz jest potrzebny w mieście dla ochrony przeciwko awantom motłochu ze stronnictw błękitnych i zielonych. Sittasa mianowano jego zastępcą na granicy.

Tak więc Belizariusz wrócił, prowadząc ze sobą przyboczną kawalerię, i wziął ślub z moją panią

w dzień świętego Jana Chrzciciela w kościele Świętego Jana. Była to okazja do wielkiego przepychu i radości. Justynian sam brał udział w obrzędach w zastępstwie ojca mojej pani, gdyż nie miała żyjących męskich krewnych. Teodora ofiarowała jej kosztowną posiadłość w mieście z ogromnym rocznym dochodem; uważała, że kobieta, która musi prosić męża o każdego miedziaka na swe wydatki, niewiele się różni od niewolnicy. Moja pani ostrzegła Belizariusza, że w przyszłości będzie mu towarzyszyć na wojnach, jak niegdyś Antonina starsza towarzyszyła sławnemu Germanikowi w jego wyprawach za Ren, ku ich wygodzie i wielkiej korzyści Rzymu. Pozostawać spokojnie w Konstantynopolu, w nieświadomości, co mogło mu się zdarzyć nad jakąś odległą granicą, i być zdaną na chaotyczne plotki o jego porażce i śmierci - było dla niej torturą, której nie chciała więcej znosić.

Zajęli obszerne apartamenty w pałacu, gdzie jest dość miejsca dla wszystkich.

## Rozdział IX

### BUNTY ZWYCIĘSTWA

Minęło dziesięć lat, zanim Belizariusz powrócił znowu na perską granicę. O tym, co działo się na Wschodzie podczas jego nieobecności, a szczególnie o dalszych nieszczęściach, jakie dotknęły naszą drogą Antiochię, obiecuję dać wam pełne sprawozdanie, gdy tylko moja opowieść dobiegnie do tego okresu. Tymczasem wystarczy kilka słów. Niebawem po odwołaniu Belizariusza zmarł król Kobad mając lat osiemdziesiąt trzy, ale zdążył jeszcze wydać rozkaz dalszej inwazji na nasze terytoria. Wojska perskie były tak silne, że w rzymskiej Armenii nasi żołnierze musieli schronić się za mury miast, podczas gdy Persowie pustoszyli kraj. Do tronu Kobada było trzech rywali. Byli to: Khaous, prawowity spadkobierca; jednooki Dżamaspes, drugi pod względem wieku, jako regent na rzecz swego małoletniego syna (sam nie wchodził w rachubę ze względu na kalectwo); wreszcie Khosrou, najmłodszy, którego Kobad wyznaczył w swym testamencie. Khosrou został przyjęty w głosowaniu Wielkiej Rady i oficjalnie ukoronowany. Niebawem wymordował swych braci, którzy zbuntowali się przeciwko niemu, i wszystkich ich męskich potomków. Ale nie czuł się pewny na tronie nawet po tej masakrze i postanowił pogodzić się z Justynianem.

Tak więc bliźniacze oczy świata zawarły pokój -zwany „wieczystym”, na mocy którego wszelkie zdobycze terytorialne obu stron, zyskane w ostatnich wojnach, należało zwrócić poprzedniemu właścicielowi, a Justynian miał wypłacić Khosrou dużą sumę na wieczyste utrzymanie perskiego garnizonu Bramy Kaspijskiej - jakieś osiemset tysięcy sztuk złota - i nie niszcząc fortyfikacji Dara zgodzić się na wycofanie dowództwa wojsk granicznych do Konstantyny, która leży w bezpiecznej odległości od granicy. W traktacie był jeszcze jeden ciekawy warunek: że pogańscy filozofowie, którzy uciekli z Aten na dwór perski, gdy Justynian zamknął ateński uniwersytet cztery lata temu - biedny Symmachus znajdował się w ich liczbie - otrzymają zezwolenie na czasowy powrót do państwa rzymskiego, bez obawy prześladowań, w celu uporządkowania swych spraw i skompletowania biblioteki pogańskich klasyków dla samego Khosrou. Justynian zgodził się na to, zadowolony, że zadał śmiertelny cios starym bogom nie tylko w Atenach, lecz we wszystkich swych posiadłościach; wszędzie pozamieniał ich czcigodne świątynie na chrześcijańskie kościoły i skonfiskował skarby.

Tyle o Persji. Lecz Teodora miała rację przewidując kłopoty ze stronnictwami, a Justynian - zgadzając się na odwołanie Belizariusza. Bo gdyby nie Belizariusz, cesarz z pewnością straciłby tron, a niewątpliwie i życie.

Czy muszę powtarzać, co już powiedziałem o zacieklej nienawiści między błękitnymi i zielonymi? Zajęci teraz coraz bardziej burzliwą dysputą o naturze Chrystusa, robili wszystko, by sprawdziło się ewangeliczne prorocтво. Albowiem, wedle ewangelisty Mateusza, Jezus powiedział do dwunastu apostołów, kiedy rozsyłał ich po raz pierwszy:



„Nie mniemajcie, żebym przyszedł puszczać pokój na ziemię, nie przyszedłem puszczać pokoju, ale miecz. Bom przyszedł rozłączyć człowieka przeciw ojcowi jego, i córkę przeciw matce jej, i niewiastę przeciw świerze jej. I będą nieprzyjaciele człowieka domownicy jego.”

Tak też się i działo w wielu domach stolicy. Syn i córka nosili niekiedy barwę błękitnych i byli prawowiernymi wyznawcami podwójnej natury, podczas gdy ojciec, matka i synowa zakładali kolor zielony i wyznawali pojedynczą naturę. Rzucali w siebie garnkami z wrzącą wodą lub zatrawali wino i bluźnili w sposób bardzouczony. Jeśli zieloni wzniesli posąg zwycięskiego woźnicy i napisali: „Ku chwale takiego to a takiego zwycięzcy wyścigów i większej chwale Chrystusa o pojedynczej naturze”, błękitni zbierali się nocą, wyskrobywali napis, odrąbywali głowę posągowi i malowali go błękitną farbą, chociaż było prawdopodobne, że zieloni zemszczą się próbując podłożyć ogień pod jakąś winiarnię, gdzie mieściły się kwatery główne błękitnych. Przebywanie na ulicy po zapadnięciu ciemności wiązało się z dużym niebezpieczeństwem; nawet lekarze spieszący do chorych czy kapłani idący bardziej powolnym krokiem, by udzielić ostatniego namaszczenia umierającym, nawet nocni rozpustnicy i najnędrniejsze wyrzutki byli narażeni na napad. Bandy młodych fircyków grasowały po ulicach, mordując i rabując bezkarne, a policja była albo przekupiona, albo zastraszona i nie zwracała na nic uwagi. Prowadzono tę wojnę nawet przeciwko umarłym: nocami wiercono dziury w grobowcach zmarłych falcjonistów i wrzucano tam ołowiane tabliczki z wyzwiskami: „Spoczywaj w niepokoju, ty podły błękitny (albo: zielony) aż do

dnia sądu ostatecznego, śniąc o zwycięstwach zielonych (albo: błękitnych) i zbudź się tylko, żeby zostać wyklętym na wieki na zagładę!"

Za czasów Anastazjusza zieloni byli silniejszym stronnictwem, cieszyli się cesarską łaską i mieli najlepsze miejsca na hipodromie. Justynian zmienił ten stan rzeczy. Błękitni otrzymali teraz najlepsze miejsca i byli faworyzowani na wszelkie możliwe sposoby - dawano im stanowiska polityczne i dworskie, dary pieniężne, a szczególnie ochronę prawną, gdy monopol zielonych w niższych sądach został ostatecznie złamany. Można było sobie wyobrazić, że zieloni nie ulegną błękitnym bez walki, i to bardzo zacieklej. Kiedy oni byli na górze, błękitni śpiewali bardzo cienko. Teraz mogli się mścić, zachowując się, muszą to przyznać, poniekąd bardziej gwałtownie i arbitralnie niż przedtem zieloni. Napady rabunkowe w jasny dzień na drogach stały się częstsze, a jeśli przypadkiem zielony został zabity, a morderca aresztowany przez policję, wystarczyło przysiąc funkcjonariuszowi błękitnych, że zielony był napastnikiem, a oskarżonego natychmiast zwalniano za kaucją. Zwykłym obywatelom prawo zakazywało nosić broń, ale to zarządzenie okazało się przestarzałe. Ówczesną modą nosiło się krótkie kordelasy, ukryte za dnia pod tuniką, natomiast nocami wszyscy jawnie chodzili z bronią. Jednym z rezultatów tych nieporządków ulicznych stała się moda na sztuczną biżuterię: zamożni obywatele nie ukazywali się już w wysadzanych klejnotami pozłocistych pasach i z cennymi pierścieniami, lecz w ich miejsce nosili mosiądz i szkło.

Justynian naprawdę uważał prześladowanie zielonych tylko za środek przejściowy. Okiełznawszy ich najpierw, miał zamiar zezwolić im na równość z błę-

kitnymi i przywrócić w ten sposób równowagę sił między obiema frakcjami. Ale na razie bardzo gnębił zielonych. Odbywała się masowa dezercja do błękitnych i wielu kryminalistów wstępowało do nich również, uważając, że noszenie błękitnej barwy zapewni im bezkarność. Widywano teraz nadzwyczajne sceny. Młode kobiety przyłączały się do frakcyjnych band morderców, zabijały i były zabijane wraz z mężczyznami. (Należy zauważyć, że kobiety mogły mieć tylko jeden jedyny interes w frakcjach: od czasów pogańskich nie pozwalano im oglądać wyścigów na hipodromie, jeśli, jak Teodora i moja pani Antonina, nie grały kobiecych ról w sztukach.) Zdarzało się, że potrzebujący pieniędzy czy chciwi synowie szantażowali swych bogatych ojców: "Jeśli mi nie dasz stu sztuk złota, przyjdę dziś w nocy z moją bandą i spalę ci sklep." Było rzeczą oczywistą, że gdy ktoś miał pretensję do swego sąsiada, a nie wiedział na pewno, że jest on błękitny, oskarżał go jako zielonego. Godzina morderców zaczynała się teraz już nie o zmierzchu, a wczesnym popołudniem. Młodzi chuligani chwalili się, że jak zawodowi oprawcy potrafią zabić spokojnego przechodnia jednym ciosem miecza. Był to szczególnie zły rok dla wypożyczających pieniądze: bandy zwykły odwiedzać ich w kantorach z ramienia dłużników należących do frakcji i pod grozą ostrza sztyletu zmuszać do oddania kontraktów pożyczkowych. Kobiety i chłopców nawet z wyższych klas zmuszano do podporządkowywania się seksualnym zachciankom przywódców band. Zdarzało się, że grupy frakcjonistów publicznie gwałciły na ulicach jak w zdobytym barbarzyńskim mieście. Doszło to wszystko do szczytu, gdy Justynian zaczął prześladować zielonych jako heretyków, tak że księża i zakonnicy

zaczęli nosić błękitne barwy i brać udział w polityce faksji. To ściganie herezji służyło za wymówkę do rozwiązania bogatych klasztorów i skonfiskowania ich skarbów.

Wielu wybitnych zielonych uciekło ze stolicy do odległych krajów cesarstwa, z dała od bezpośredniego zasięgu Justyniana, a nawet za granicę do Persów czy barbarzyńców. Nie czuję dla nich litości, ponieważ twarde serca zielonych spowodowały nędną śmierć mojego pana Damoklesa. Sympatyzowałem także z cesarżową za pomszczenie się na zielonych za niesprawiedliwe traktowanie jej rodziny, gdy była jedynie małą Teodorą, córką niedźwiednika. Lecz Jan z Kapadocji, który od dawna zdezerterował od zielonych, był teraz przywódcą błękitnych i został głównym narzędziem Justyniana w prześladowaniach religijnych, a chociaż nie był żołnierzem, otrzymał stanowisko dowódcy gwardii. Wypełnił skarbiec łupami z klasztorów, stał się bogatszy niż kiedykolwiek, przywłaszczając sobie część zdobyczy, i lubił asystować przy torturowaniu biednych heretyków. Jan udawał wielki szacunek dla Teodory, lecz ona traktowała go z grzeczną pogardą, a moja pani Antonina nie potrzebowała zachęty do naśladowania jej. Teodora wiedziała oczywiście, że Jan z Kapadocji oczernia ją przed Justynianem.

- Poczekam cierpliwie, jeśli trzeba, nawet dwadzieścia lat - zapewniała moją panią. - Tak jak słoń Sewerusa.

Słoń Sewerusa upamiętniono statua w pobliżu królewskiego portyku, prawie naprzeciwko głównego wejścia do hipodromu. Czekał on przez dwadzieścia lat na odnalezienie pewnego bankiera, na którego oskarżenie właściciel słońa został wtrącony do

więzienia za długi, gdzie zmarł. Wreszcie podczas jakiejś procesji słoń poznał bankiera w tłumie stojącym na ulicy, chwycił go trąbą i zatratował na śmierć. Dochodzenia wykazały jasno, że bankier był złodziejem i krzywoprzysięcą, tak że słońia uczczono posągiem przedstawiającym go z jego panem na karku. Motto brzmi: „Wreszcie nadejdzie dzień zemsty.” Wielu ludzi cierpiących prywatną czy publiczną niesprawiedliwość pociesza się hasłem słońia.

Możliwe, że pragniecie usłyszeć więcej o Justynianie jako cesarzu i jak postępował na tym stanowisku. Ten człowiek był pełen sprzeczności: większość z nich można jednak wyjaśnić jako rezultat wielkich ambicji walczących z tchórzostwem i podłością. Wydaje się, że Justynian pragnął się upamiętnić jako Justynian Wielki”. Zaprawdę, jego talenty wystarczyłyby do tego celu, gdyby tylko miał nieco mniej podły charakter. Był doskonale poinformowany o wszystkim, pilny, energiczny i przystępny, a przy tym ani nie pijak, ani nie rozpustnik. Z drugiej strony, popełniał głupstwa jak każdy inny człowiek i był zabobonny jak stara dewotka. Tkwiło w nim coś nie dającego się wyrazić, coś, co napełniało ludzi drżeniem - co jednak nie było bynajmniej wielkością, raczej czymś w rodzaju demonizmi!. Po studiach nad książkami historycznymi doszedł do wniosku, że władcom nadawano przydomek „Wielki” z czterech głównych powodów: za pomyślną obronę kraju i podboje za granicą; za narzucenie prawnego i religijnego konformizmu swoim poddanym; za wznoszenie wielkich budowli publicznych; za osobistą pobożność i surowe reformy moralne. Wziął się do dzieła w tych kierunkach.

Zaczął od zagadnień prawnych, przeprowadzając kodyfikację praw, a muszę przyznać, że była ona bar-

dzo potrzebna. Nie istniał jeden kodeks, lecz mnóstwo kodeksów zupełnie sprzecznych z sobą, przestających i mętnych, tak że sędzia nie mógł wydać uczciwej decyzji w najprostszej sprawie, jeśli nawet chciał. Pilni prawnicy Justyniana ostatecznie uporządkowali wielką, chaotyczną masę w jeden łatwo zrozumiały i dość jednolity system - lecz żeby tego dokazać, musieli napisać nie mniej niż trzy miliony wierszy. Gdyby tylko Justynian, jego sędziowie i prawnicy oraz ludność dorównywali moralnie temu wspaniałemu dziełu!

Jedność religijną usiłował wprowadzić przez tępienie herezji, lecz nie był w tym konsekwentny ze strachu przed Teodorą. Głównie prześladował Żydów, Samarytanów i pogan, oraz mniejsze sekty manichejczyków, sabelianów i tym podobne, dopuszczając herezję ariańską i nestoriańską, ponieważ nie miały udowodnionego związku z polityką faksji zielonych. Herezje te nie tylko były rozpowszechnione w prowincjach, lecz Justynian pozwalał misjom zagranicznym eksportować je do Etiopii i Arabii.

Jego wielkie budowle publiczne polegały głównie na wznoszeniu i restaurowaniu klasztorów i kościołów. Z tego oczywiście cesarstwo nie miało żadnych korzyści (z wyjątkiem nieznacznych korzyści duchowych) i nie można tego porównać z budową i odnawianiem akweduktów, dróg, portów i spichlerzy, do czego przywiązywał o wiele mniej wagi.

Jego plany zagranicznych zdobyczy, których głównym wykonawcą uczynił Belizariusza, będą miał niebawem okazję omówić dokładniej.

Moralne reformy, przeprowadzane w większej części pod wpływem Teodory, były ogromnie surowe. Pierwszy raz od bardzo długiego czasu napraw-

dę zdolna kobieta znalazła się w tak potężnej pozycji jak Teodora. Była to wina Kościoła, który narodowi wschodniemu, gdzie kobiety nie są czymś wiele lepszym niż zabawki, niewolnice czy juczne zwierzęta - usiłował wyłączyć kobiety z życia publicznego i nie dać im wykształcenia godnego tej nazwy. W czasach pogańskich cesarzowa była często drugim władcą państwa i oddziaływała jako potężny hamulec wobec kaprysów cesarza. Było to możliwe, ponieważ wychowywano ją w wolnej i światłej atmosferze zamiast surowo zamykać w haremie, póki nie zostanie wezwana do ślubu z mężczyzną, którego nigdy przedtem nie widziała - tak jak się teraz postępuje zazwyczaj z kobietami wyższych klas. Teodora nie była wielbicielką księży. Widziała świat i rozumiała mężczyzn i politykę, zarówno świecką, jak i kościelną. Rządziła Justynianem tak absolutnie, jak podobno wielka Liwia rządziła ongiś Augustem, pierwszym cesarzem Rzymian.

Teodora postanowiła stopniowo przywrócić kobietom potężną pozycję, którą utraciły. Ta jej tendencja wyjaśnia ustawy Justyniana, cenzurowane przez nią, przeciwko prostytutkom i sodomitom. Przedtem, gdy mężczyźni mieli swobodę zabawiać się w domach publicznych albo z kochankami, żony nie mogły nimi łatwo kierować. Stowarzyszenie stręczycieli, znajdujące się dawniej pod opieką cesarską, zostało rozwiązane, a stręczycielstwo uznano za występki kryminalny. Za sodomie groziła teraz kastracja. Zaczęło się również ściganie zwykłych prostytutek, które biorą zaledwie po parę miedziaków i są znane jako „piechota”. Teodora nazwała te nieszczęśliwe „stałą obrazą godności kobiet”. Dała im trzy miesiące na odzyskanie reputacji przez małżeństwo, a potem,

jeśli nadal uporczywie pozostawały w stanie niezamężnym, aresztowano je i zamykano w tak zwanym „Zamku Skruchy” na azjatyckim brzegu Bosforu. (Znaczna część z pięciuset kobiet tam zamkniętych rzuciła się w przepaść z murów zamku, popełniając samobójstwo z udręki i nudy.) Lecz tym, które wybrały małżeństwo, Teodora, ofiarowała posag i wiele z nich skorzystało z jej szczodrości. A jednak nie tknęła „kawalerii”, jak nazywano wykształcone nierządnice, które zarabkowały na własną rękę, posiadały wartościową biżuterię i były zorganizowane w cech. Zatrudniała je jako swe tajne agentki i zapewniała im dobrą opiekę lekarską, jeśli zachorowały.

Nadeszły złe czasy na mężów. Teodora dała jasno do zrozumienia, że żony nie potrzebują prowadzić czystszejszego życia niż oni. Jeśli jakiś mąż chodził do prostytutek - jak to praktycznie każdy mąż czynił w tym czy innym czasie - żona miała całkowitą swobodę zabawiania się z kochankami. Jeśli się wtedy na nią rozgniewał, mogła natychmiast odwołać się do Teodory i wnieść przeciw niemu skargę o okrucieństwo lub zaniedbywanie rodziny czy coś w tym rodzaju, a Teodora nigdy nie omieszkała przyjąć takiej skargi, bez żadnej kwestii dając wiarę twierdzeniom kobiety. Często zazdrosny mąż musiał płacić grzywnę przewyższającą posag żony. Te grzywny sąd następnie oddawał żonom, potrącając jedynie niewielkie koszty postępowania sądowego. Mąż mógł także zostać skazany na chłostę, a już zwykle dostawał kilka dni więzienia. Mężowie po pewnym czasie stali się bardzo ostrożni w swych postępках i bardzo pobłażliwi wobec postępowania swych żon. Chłostę wykonywano za pomocą pięciorzemiennej dyscypliny, z żelaznym haczykiem na końcu każdego rzemie-



nia, a niewolnicy publiczni bili szczególnie mocno. Dobrym przykładem postępowania Teodory z mężami jest sprawa syna szefa gabinetu, którą pozwole sobie opisać. Chciał ożenić się ze swoją kuzynką, lecz Teodora postanowiła połączyć go z córką pani Chrysomallo i powiedziała mu, że tamto wcale nie wchodzi w rachubę; że w ogóle potępia małżeństwa między kuzynami. Musiał oczywiście ustąpić, ponieważ Teodora spełniała taką rolę na dworze jak stara babcia w licznej chłopskiej rodzinie. Był dość zadowolony zaślubiając młodą, piękną i inteligentną córkę pani Chrysomallo, lecz po ślubie mruknął do przyjaciela, że z dziewczyną „ktoś już zbyt kował”. Faktem było, że pani Chrysomallo, choć formalnie chrześcijanka, trzymała się obyczajów swej rodziny - która, ze względu na swe związki z hipodromem, była pogańska. Tak więc dziewczyna, zamiast ofiarować swemu małżonkowi nie tknięte dziewictwo, została poddana tradycyjnej pogańskiej ceremonii defloracji - mianowicie jeździe na kamiennym fallusie posągu bożka Priapa dla sprowadzenia płociności. Skarga młodego małżonka doszła do uszu Teodory i rozgniewała ją bardzo.

- Cóż to za tony nadają sobie ci młodzi panowie! - krzyknęła. - On sam to pewnie nigdy w życiu nie zbyt kował z dziewczyną! „Zbyt kował!” Ładne słowo, rzeczywiście!

Potem wydała rozkaz służącym, by zawinęli go w koc, tak jak uczniowie zawijają w koc swych próżnych i niepopularnych kolegów, po czym oczywiście dostał baty.

Teodora, jak w przypowieści o słoniu Sewerusa, nigdy nie traciła okazji spłacenia starych długów. Patrycjusz Hecebolus jeden z pierwszych musiał odpo-

kutować za dawne złe traktowanie Teodory: sprowadzono go z Pentapolis pod zarzutem sodomii. Teodora, rozsądzając sprawę sama, uznała go winnym (nie bez uzasadnienia) i skazała na kastrację. Zmarł wskutek zakażenia krwi po operacji.

Teraz z kolei opowiem śmieszną historię Hippobatesa, starego senatora, który przybył na audiencję do Teodory, prosząc o sprawiedliwość przeciwko małżonkowi Chrysomallo, który był mu winien pieniądze, a należał do dworu cesarzowej. Przyjaciel tego Hippobatesa - sam de march błękitnych - przyprowadził go w dawnych czasach na wieczór do domu klubowego. Spodziewano się, że wybierze sobie do pary jedną z pań, a demarch drugą, lecz z jakiegoś powodu Hippobates nie gustował w damskim towarzystwie. Zamiast przyznać otwarcie - jak uczyniłby honorowy mężczyzna - że jest chrześcijaninem, impotentem, czy woli inną płć, czy też cokolwiek innego, co go dręczyło, zaczął wynajdywać wady we wdziękach mu ofiarowanych. Powiedział, że Indaro jest za wysoka i ma kwadratowe ramiona, że Teodora jest za chuda i ma za duże usta, a moja pani ma rude włosy, jakich on nie znosi, i twarz jak motyka. Zapomniałem, co mu się nie podobało u Chrysomallo - prawdopodobnie jej zakrzywiony nos. Ponieważ był obrzydliwym starym satyrem, wszystkie były zadowolone, że nie muszą go bawić. Jednak nie miał prawa krytykować pań w ten sposób i jego uwagi wywołały wielkie oburzenie. Niestety, wprowadził go demarch, co było okolicznością niepomysłną, ponieważ panie musiały utrzymywać najlepsze stosunki z władzami fakkji. W innym wypadku potrafiłyby ukarać gościa w sposób upokarzający, w czym były biegłe. Teodora wiedziała z góry, że Hippobates przychodzi

z prośbą o pieniądze, tak że wszystko przygotowała na jego przyjęcie. Wszedł z bardzo nieszczęśliwą miną, jęczał jak żebrak, całując podeszwy jej butów, i udawał, że płacze. Nie sądził, by uświadamiał sobie, że Teodora cesarzowa jest Teodorą z klubu, którą niegdyś obraził. Spytała go uprzejmie, jakie ma kłopoty. Zaczął najbardziej nieprzyjemnym błagalnym tonem:

- Och, najświetniejsza, straszną jest rzeczą dla patrycjusza, gdy pozostaje bez grosza. Wierzyście śle dążą moje kroki, natręci dobijają się do moich drzwi, nie mam skórki chleba w domu. Błagam cię, najtąskawsza i najpiękniejsza cesarzowo, abys przekonała swego sługę, żeby oddał pieniądze, które jest mi winien.

Teodora zaczęła:

- Ach, dostojny i prześwietny Hippobatesie... Tymczasem zza kotar rozległy się ukryte chóry eunuchów, śpiewając miękko tajemniczą pieśń:

Pierwszy chór:           Prześwietny Hippobatesie, masz  
  tysy łeb!

Drugi chór:               Prześwietny Hippobatesie,  
  śmierdzi ci z gęby.

Oba chóry razem:               Masz duży brzuch, prześwietny  
  Hippobatesie - tysy łeb, z gęby  
  smród, duży brzuch!

Teodora zwróciła się do mojej pani:

-Moja droga pani Antonino, czy nie słyszysz jakiegoś dziwnego hałasu?

-Nie, wasza jasność.

-A ty, pani Chrysomallo?

-Nic w ogóle, wasza cesarska wysokość.

- To musiało coś śpiewać w mojej głowie. Mów dalej, Hippobatesie!

Hippobates nie śmiał przyznać się, że coś słyszał, nerwowo kontynuował prośbę:

-Jeśli patrycjusz, taki jak ja, nie ma pieniędzy, aczkolwiek nie z własnej winy, wstydzi się wyznać ten niegodny fakt swym wierzycielom. Początkowo wcale by nie uwierzyli. A gdyby ostatecznie zrozumieli, iż jest żebrakiem, musiałyby cierpieć towarzyski ostracyzm równie jak bankructwo. Zaś ostracyzm towarzyski, jak wiesz, wasza piękność...

Teodora zaczęła znowu:

- Och, prześwietny i znakomity Hippobatesie... - i znowu ukryte chóry rozpoczęły pieśń, nieco głęśniej tym razem:

Pierwszy chór: Prześwietny Hippobatesie, na  
plecach masz garb!

Drugi chór: Prześwietny Hippobatesie, masz  
przepuklinę! Oba chóry razem:

Masz hemoroidy, przepuklinę  
i garb, Prześwietny Hippobatesie,  
och, hemoroidy też!

-Pani Chrysomallo, czy teraz coś słyszysz?

-Nie, wasza jasność.

-A ty, pani Antonino?

-Ani szmeru, majestacie.

-Mogłabym przysiąc, że słyszałam jakiś hałas. Ale mów dalej, Hippobatesie!

Hippobates musiał nadal udawać, że nic nie słyszał. Jednak za każdym razem, gdy zaczynał swą prośbę, chór mu przerywał, a wiersze stawały się coraz bardziej ordynarne. W końcu musiał zrezygno-

wać cofając się z wściekłością, lecz z obowiązkowym pogodnym uśmiechem.

Następstwem tego było, że wierzycciele Hippobatesa, którzy przedtem przynaglali go, by poszedł z prośbą do Teodory, stali się teraz natrętniejsi niż kiedykolwiek, aż musiał wezwać na pomoc swego starego przyjaciela, demarcha błękitnych, który mu przysłał grupę ludzi do ochrony domu. Doszło do bójki i dwóch wierzyccieli, należących do zielonych, zostało zabitych, a kilku błękitnych odniosło rany. Wiadomość o zamieszkach dotarła do pałacu. Jan z Kapadocji wiedząc, że Hippobates jest w niełasce u Teodory, lecz nie uświadamiając sobie, iż niektórzy z uczestników bójki zostali wysłani z głównej kwatery wojskowej błękitnych, myślał, iż interwencja w imię porządku publicznego spodoba się Justynianowi. Na miejsce awantury wysłał silny oddział gwardii, który aresztował błękitnych i zielonych bez różnicy, po kilku z każdego koloru. Odbyto pośpieszny proces. Czterech oskarżonych skazano na ścięcie za nielegalne posiadanie broni, a trzech na szubienicę za znowę w intencji zabójstwa. Wszystkich odprowadzono na miejsce egzekucji.

Zdarzyło się, że sznur szubienicy nie był wystarczająco gruby. Zerwał się dwa razy - raz pod ciężarem zielonego, a raz - błękitnego. Nieszczęśliwcy spadli na ziemię. Zostawiono ich tam uważając, że mają przerwany stos pacierzowy i nie żyją. Jednocześnie tego wieczora kilku zakonników zobaczyło ciała i znalazło w nich życie. Zakonnicy zabrali skazańców do szpitala Świętego Wawrzyńca, gdzie doszli do siebie. Szpital był uważany za święty przybytek i miał prawo azylu. Lecz Jan z Kapadocji aresztował nieszczęśnych znowu, gwałcąc prawo azylu, i wtrącił ich

do więzienia państwowego (które wraz z policyjnymi barakami było dobudowane do Spizowego Domu od strony hipodromu).

Demarch błękitnych podjął wtedy godną uwagi decyzję. Pod flagą rozejmu udał się do głównej kwatery zielonych i w rozmowie z ich demarchem zaproponował połączoną akcję przeciwko policji, która ośmieliła się wmieszać do tradycyjnego sporu między dwiema barwami. Demarch zielonych z największą ochotą zadeklarował tymczasowy rozejm. Zbliżał się trzynasty stycznia, data wyścigów noworocznych. Zgodzili się, że po zwykłym lojalnym pozdrowieniu Justyniana, gdy zjawi się na hipodromie, wszyscy, zarówno błękitni, jak i zieloni, będą apelowali o zwolnienie więźniów, których życie Bóg cudem ocalił, oraz o usunięcie Jana z Kapadocji - którego błękitni nienawidzili jako oportunistę i zazdrościli mu bogactwa, a zieloni nienawidzili jako zdrajcę i ciemężyciela. Tak też postąpiono, a sądzę, że Teodora przyłożyła rękę do tego spisku. Lecz Justynian odniósł się do całej sprawy bardzo chłodno i nie odpowiedział na apele powtarzane przez cały dzień po każdym z dwudziestu biegów, jakie rozgrywano.

Obaj demarchowie zgodzili się wtedy na energiczniejszą akcję i na wspólne hasło: „Zwyciężaj”, dla obu stronnictw. Tego wieczora po wyścigach tłum otoczył więzienie państwowe i zażądał wydania więźniów, których porwano z azylu. Nie otrzymując odpowiedzi podpalił pochodniami portyk. Ogień rozszerzył się i zniszczył całe skrzydło, baraki policyjne i wszystko. Większość więźniów została ocalona, lecz pewna ilość strażników i policjantów spaliła się żywcem. Gwardia sympatyzowała z buntownikami i nie interweniowała wcale. Kwater gwardzistów, mieszczących

się w centrum Spiżowego Domu, nie atakowano, a ogień im nie groził.

Następnego rana Justynian postanowił kontynuować wyścigi, jak zwykle, nie zwracając uwagi na popełnione przestępstwa. Lecz fakcjoniści otoczyli pałac, żądając usunięcia Jana z Kapadocji, głównego sędziego Tryboniana i gubernatora miasta. Kiedy nadal nie było odpowiedzi, a nie zjawiała się gwardia ani policja, by rozproszyć zebranych, fakcjoniści doszli do wniosku, że mogą się buntować, ile dusza zapragnie. Najpierw zebrali na kupę ławki ściągnięte z hipodromu, ułożyli je pod ścianami kilku gmachów publicznych i podpálili. Następnie pod osłoną dymu i zamieszania zaczęli wesoło mordować, rabować, gwałcić i plądrować. Bardziej uświadomieni błękitni woleli na ogół szkodzić majątkowi zielonych, a uświadomieni zieloni - szkodzić majątkowi błękitnych, lecz większość buntowników nie dobierała szczególnie ofiar ze względu na rozejm. Jak już powiedziałem, hasło brzmiało: „Zwycięzaj”, i połączone barwy istotnie odniosły wielkie zwycięstwo nad stolicą. Niebawem śródmieście płonęło w kilku miejscach. Brygady strażackie nie próbowały gasić pożaru, gdyż większość strażaków zajęta była rabunkiem. Ogień szerzył się bez żadnych przeszkód. Na szczęście dzień był bezwietrzny, bo poszłoby z dymem całe miasto. Uciekano powszechnie do doków, gdzie ludzie ofiarowywali przewoźnikom monstrualne sumy za przewiezienie w bezpieczne miejsce na azjatyckim brzegu.

Byłem w naszym apartamentach w pałacu przy mojej pani Antoninie i muszę przyznać, że cały dom był zatrwożony mimo spokojnego, żeby nie powiedzieć - pogardliwego, zachowania się Belizariusza. Przyszły rozkazy cesarskie, że nikt z nas nie może

opuszczać pałacu pod żadnym pretekstem. Już dawno trzeba było przeprowadzić jakąś energiczną akcję, lecz Teodora nie mogła nic zrobić z Justynianem, który modlił się w swej prywatnej kaplicy. Jan z Kapadocji zniknął, a gwardia w nie spalonej części Spiżowego Domu nadal nie otrzymywała rozkazów. Niewątpliwie motłoch wymordowałby gwardzistów, gdyby próbowali interweniować. Belizariusz był nadal nominalnym dowódcą Armii Wschodu, lecz nie miał żadnej władzy w mieście. Gdy moja pani nalegała, by ofiarował Justynianowi służby swoje i swych kirasjerów - kirasjerzy kwaterowali niedaleko - Belizariusz odmówił. Powiedział, że jako sługa cesarza nie potrzebuje gadać, lecz powinien czekać na rozkazy. Rozkazy nie nadchodziły; Justynian był uparty jak muł: modlił się gorączkowo i zapewniał Teodorę, że niebo weźmie go w opiekę.

Wreszcie piętnastego stycznia Justynian uczynił przynajmniej jakiś krok dla zakończenia nieporządków. Postanowił zaapelować do chrześcijańskiego sumienia buntowników. Wysłał deputację biskupów i księży z chorągwiami i świętymi relikwiami. Wśród relikwii znajdowały się: kawałek drzewa z Krzyża Świętego, autentyczny róg (barana patriarchy Abrahama), na którym będzie trąbił anioł w dniu sądu ostatecznego, laska w kształcie węża, którą Mojżesz czynił ongiś cuda w Egipcie i Synaju, a poza tym kości Zoi, dziewicy męczenniczki, oraz kilku innych męczenników mniejszego znaczenia. Lecz nie nastąpił żaden cud, a duchowieństwo musiało uciekać do pałacu Dafne, ścigane obfitym gradem kamieni i cegieł. Justynian patrzył na to z balkonu i wykrzyknął:

- Och, brońcie ich szybko! Niech ktoś nareszcie wyjdzie i ich obroni!



Wyszedł Belizariusz, zadowolony z okazji do działania, z grupą czterdziestu tracko-gockich żołnierzy, którzy pełnili stałą służbę w kolumnadach pałacu Dafne. Odpędzili buntowników zabijając kilku, tak że duchowieństwo wróciło z relikwiami bez strat.

Ta akcja Belizariusza rozwścieczyła stronnictwa, nad którymi nikt teraz w ogóle nie sprawował kontroli. Następnego dnia Justynian wysłał herolda na plac Augusta, by oznajmił, iż Jan z Kapadocji zrezygnował z dowództwa gwardii i że gubernator miasta oraz Trybonian - najwyższy sędzia - również złożyli swe urzędy. (Trybonian był tak zajęty kodyfikacją praw, że nie miał czasu na kontrolowanie wymiaru sprawiedliwości.) Lecz to ustępstwo nie wystarczało już do przywrócenia pokoju, szczególnie że rozejm między fakcjonistami załamał się w kłótniach o podział łupu, a sprawa zielonych odżyła z nieoczekiwaną siłą. Siedemnastego stycznia ograbiono i spalono kościół Mądrości Bożej i świętej Ireny, portyk cesarski, gdzie mieściła się słynna biblioteka, zawierająca między innymi ciekawostkami wszystkie dzieła Homera pisane na wnętrznościach węża sześćdziesięciotokciowej długości; łaźnie Zeuxipusa, leżące między Spizowym Domem i hipodromem, ulicę Jubilerów oraz ulicę Wysoką aż do pałacu Konstantyna. Zniszczono w ten sposób ogromną ilość skarbów. My, niewolnicy domowi, obserwowaliśmy pożary z górnego okna i nie śmieliśmy spać w nocy z obawy, że się spalimy.

Dopiero piątego dnia rozruchów, to jest osiemnastego stycznia, Teodorze udało się przekonać Justyniana, by wyszedł na hipodrom i wygłosił publiczne wezwanie do spokoju. Hipodrom biegnie równoległe do pałacu, na zboczu opadającym w dół ku mo-

rze Marinara. Na północnym jego krańcu są dwie wieże, stajnie, wozownie oraz biura przedsiębiorców, a wysoko po drugiej stronie, w punkcie umożliwiającym najlepszy widok na start, znajduje się łoża cesarska oparta na złożonych koniach z Chios. Do łoży wchodziło się przez specjalną kolumnadę spod pałacu Dafne, przylegającą do kościoła Świętego Stefana, tak że Justynian nie musiał ryzykować jazdy ulicami. Trzymając w ręku tom Ewangelii, ukazał się w łoży cesarskiej nad zatłoczonym hipodromem i zaczął te mętne, ojcowskie napomnienia i wezwania do pokoju i zgody, połączone z niewyraźnymi obietnicami, jakie są zazwyczaj skuteczne po buncie, gdy rozgrzany lud zdążył już nieco ochłonąć, a poważniejszy gatunek ludzi zaczyna obliczać straty. Lecz teraz okazało się to całkowicie nieskuteczne, zwłaszcza że nie było poparte żadnym dowodem siły. Wątle okrzyki podniosły się z ław błękitnych, pomieszane z syczeniem - lecz od strony zielonych, którzy teraz wzrastali w siły, gdy wielu dezertarów powróciło do ich organizacji - dobiegło wycie i przekleństwa. Zaczęto ciskać kamieniami i innymi pociskami w łożę cesarską, jak niegdyś za czasów Anastazjusza, i Justynian cofnął się pospiesznie, a tłum wysypał się z hipodromu ścigając go. Potem gwardia gocko-tracka opuściła pałac i połączyła się ze swymi towarzyszami w Spiżowym Domu. Motłoch splądrował i spalił cenny blok budynków pałacowych, przylegających do kościoła Świętego Stefana, gdzie mieściła się rezydencja eunuchów służby cywilnej.

Trzeba tu nadmienić, że najmniej chyba wartościowym z bezwartościowych siostrzeńców Anastazjusza, których uważano za kandydatów do tronu, zanim Justynian go pochwycił, był Hypacjusz. Służył pod wo-

dzą Belizariusza pod Dara, co prawda niezbyt chwalebnie - to jego szwadron został spędzony za rów na prawym skrzydle przez szarżę „nieśmiertelnych”. Jednak przynajmniej można było powiedzieć o Hypacjuszu, że jego ambicje nie przekraczają jego uzdolnień. Gdy tylko wybuchły zamieszki, przyszedł skromnie do Justyniana ze swym bratem Pompejuszem i powiedział, że zieloni skomunikowali się z nim proponując mu tron, że z oburzeniem odmówił poparcia jakiegokolwiek ruchowi na jego korzyść i żeby udowodnić swą lojalność, oddaje się teraz do dyspozycji Justyniana. Justynian pochwalił Hypacjusza i podziękował mu, choć nie był zdolny zrozumieć jego szczerości. Nie pojmował, że ktoś przyznaje się, iż mu ofiarowano tron - chyba tylko w celu uspienia podejrzeń i uchwylenia w swe ręce najwyższej władzy, gdy tylko nastaną korzystne po temu okoliczności. Lecz po ataku na pałac Justynian zawiadomił Hypacjusza i Pompejusza, że muszą natychmiast opuścić dwór cesarski, o ile nie chcą, by wykonano na nich wyrok jako na zdrajcach. Gdy nastął zmierzch, wysliznęli się z pałacu bardzo niechętnie i wrócili do swoich domów nie zauważeni przez nikogo. Nieszczęśliwym trafem do zielonych dotarła wieść, że Hypacjusz jest osiągalny. Otoczyli dom, zmusili służbę do otwarcia drzwi i wynieśli Hypacjusza w triumfie na plac Konstantyna. Tu, w centrum ciasno stłoczonego, wrzeszczącego tłumu, został obwołany cesarzem i ukoronowany złotym naszyjnikiem z powodu braku diademu, chociaż reszta insygniów, zrabowana w pałacu, była na miejscu. Hypacjusz naprawdę nie chciał przyjąć tronu. Jego żona, Maria, pobożna chrześcijanka, załamywała ręce i jęczała, że porwano go od niej na drogę ku śmierci. Lecz nie mógł przeciwstawić się zielonym. Przedsta-

wiciele zielonych poszli do senatu i zażądali, by senatorzy złożyli Hypacjuszowi przysięgę wierności. Ci dostojnicy (jak to zawsze bywa w podobnych wypadkach) nie chcieli się angażować. W swych przekonaniach dzielili się na dwie prawie równe części. Choć większość z nich oficjalnie należała do błękitnych, wielu było w tajemnicy zielonymi, którzy żalowali „dobrych czasów Anastazjusza” i nienawidzili przybłądy Justyniana. Szukali ucieczki w retorycznej gadaninie, nie podejmując żadnej decyzji. W pałacu zebrała się pewna ilość senatorów, wszyscy błękitni i wszyscy bardzo wystraszeni. Sam Justynian trząś się ze strachu i pytał każdego, kto mwi się tylko nawinął na oczy - mężczyznę, kobietę czy eunucha, patrycjusza, szeregowca czy niewolnika - co powinien robić dalej. Zwołano szybko zwykłą radę. Większość z tych obrzydłych tchórzów opowiadała się za natychmiastową uciezką na tej podstawie, że na gwardii pałacowej nie można teraz polegać i że zieloni opanowali miasto. Tylko Belizariusz z Mundusem domagali się energicznych działań przeciwko buntownikom (Mundus był dowódcą armii w Ilirii i przypadkowo zjawił się w stolicy dwa dni przedtem, by dopilnować remontów dla swojej kawalerii).

Teodora weszła do pokoju rady bez zaproszenia. Była tak przerażająca w swym szyderstwie i wściekłości, że nie tylko Justynian, lecz każdy z obecnych wołałby raczej umrzeć sto razy niż spojrzeć w jej płonące oczy. Powiedziała:

- To jest tylko gadanie, gadanie, gadanie, a jako kobieta ze zdrowym rozsądkiem protestuję przeciwko temu i żądam, by wreszcie rozpoczęto energiczną akcję. Dziś mija już szósty dzień zamieszek i każdego dnia zapewniano mnie, że „sprawa znajduje się w na-

szych rękach", że „Opatrzność czuwa nad nami" i że „podejmuje się wszelkie możliwe kroki", i tak dalej, i tak wciąż. Lecz nie zrobiono nic... tylko gadanie, gadanie, gadanie. Wysłaliście biskupów z błahymi relikwiami. Pokazywano Ewangelię bandzie bezbożnych świań - a potem uciekaliśmy, gdy zaczęły chrzą-kać i kwiczeć! Zdaje się, że już prawie zdecydowałeś się na ucieczkę, Justynianie Wielki. Bardzo dobrze, uciekaj! Ale zaraz, póki jeszcze masz własny port, łodzie, wioślarzy i pieniądze! Jeśli jednak naprawdę uciekasz, pamiętaj: nigdy już nie będziesz mógł wrócić do tego pałacu, będą cię ścigać na krańce świata i zadadzą ci nędzną i zasłużoną śmierć. Nie ma dla ciebie bezpiecznego miejsca do ucieczki. Nie możesz znaleźć nawet schronienia na perskim dworze, bo kiedyś, wbrew mojej radzie, śmiertelnie obraziłeś Khosrou, nie chcąc go adoptować. Lecz uciekaj, mówię ci, uciekaj, szukaj szczęścia w Hiszpanii, Brytanii czy Etiopii, a moja pogarda będzie ci towarzyszyła. A jeśli o mnie chodzi, nigdy nie rozstanę się z purpurą ani nie przeżyję dnia, w którym moi podwładni nie zwrócą się do mnie według wszystkich przynależnych mi pełnych tytułów. Zgadzam się ze starym powiedzeniem: „Władza monarsza jest pięknym całunem pogrzebowym." Na co czekasz? Na cud z nieba? Nie, podwiń szaty i uciekaj, bowiem niebo cię nienawidzi! Ja tu zostanę i przyjmę wszelki los, do którego zobowiązuje mnie moja godność.

Wtedy Mundus i Belizariusz oddali się pod rozkazy Teodory - albowiem wydawało się, że nikt poza nią nie jest skłonny do jakiegokolwiek działania. Justynian nosił mnisi habit, niby ze względu na pokorę, lecz raczej jako przebranie na wypadek, gdyby pałac znowu zaatakowano. Modlił się wciąż w cesarskiej

kaplicy, zakrywając twarz czarnym kapturem. W tym stanie rzeczy przybyła nieoczekiwana wiadomość od Hypacjusza do Teodory: „Najszlachetniejsza z kobiet, ponieważ cesarz mnie podejrzewa i nic nie zechce dla mnie zrobić, proszę Cię, uwierz mej wierności i przyślij żołnierzy, by mnie wyzwolili z tak przykrew sytuacji.” Teodora powiedziała więc Belizariuszowi, by stanął na czele gwardii, wyswobodził Hypacjusza i sprowadził go do pałacu. Belizariusz zebrał żołnierzy swego pułku, którzy obozowali na terenach pałacu, a Mundus - swą eskortę złożoną z heruliańskich Hunów. Oba oddziały połączone razem nie liczyły więcej niż czterystu ludzi, bowiem większa część żołnierzy Belizariusza została wypożyczona wojskom cesarskim i znajdowała się w Tracji, pod dowództwem Jana Armeńczyka, wymuszając spłatę podatków. Belizariusz pragnął, by Mundus poprowadził swych Hunów ślimakiem idącym do Bramy Śmierci na południowym wschodzie hipodromu, przez którą niegdyś wynoszono ciała poległych gladiatorów. Tam miał zaczekać na dalsze rozkazy. Następnie Belizariusz ze swymi ludźmi przejechał przez tereny pałacu do końca ulicy Wysokiej, gdzie znajduje się siedziba senatu, i zwrócił się na lewo ku Spizowemu Domowi. Widząc, że nie ma posterunków przed bramą, a brama jest nadal zamknięta, zastukał ręką miecza i zawołał:

- Tu Belizariusz, dowódca Armii Wschodu. Otwórzcie w imię jego świątobliwego majestatu, cesarza Justyniana!

Lecz nie było odpowiedzi. Żołnierze, podobnie jak senat, woleli czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Brama była z masywnego mosiądzu i niełatwa do wyłamania, toteż po drugim wezwaniu wrócił do pałacu

i zawiadomił Teodorę, że na gwardię nie ma co liczyć. Powiedziała mu, że musi robić, co się da, z ludźmi, którymi dysponuje.

Zdecydował przejść koło kościoła Świętego Stefana, teraz również spalonego, prosto do łoża cesarskiej. By tak uczynić, musiał przebyć ruiny rezydencji eunuchów, które jeszcze dymity. Coraz to waliła się jakaś ściana albo wzbijał się na nowo gwałtowny płomień. Konie, wystraszone dymem, nie chciały iść naprzód, tak że wydał rozkaz zejścia z koni i odesłania ich. Zmoczywszy płaszcze i owinąwszy je dokoła twarzy, ludzie ruszyli przez gruzy dwójkami i trójkami i dotarli do błękitnej kolumnady hipodromu (jest ozdobiona wyłącznie lapis-lazuli), lecz przekonali się, że drzwi są zabarykadowane i strzeżone. Niebezpiecznie byłoby je forsować: oznaczałoby to wyrąbanie sobie drogi w ciemności po wąskiej klatce schodowej, gdy tymczasem tłum zielonych mógł zaatakować z tyłu. Belizariusz dał rozkaz do odwrotu. Tym razem poprowadził swych ludzi do głównego wejścia, po północnej stronie hipodromu, między dwiema wieżami.

Nie potrafię powiedzieć, co zieloni robili na hipodromie przez cały czas, lecz wiem, że demarch i demokrat zielonych wygłosili pełne przechwałek mowy, podczas gdy błękitni siedzieli w ponurym milczeniu. Było teraz jasne, że zielonym udało się mianować cesarza swych własnych barw, a demarch błękitnych gorzko żałował, że zawarł z nimi rozejm. Wtem podniósł się krzyk i zobaczono Belizariusza wmaszerowującego na hipodrom z obnażonym mieczem w dłoni, na czele żołnierzy w kolczugach. Odwrócił się i zawołał do Hypacjusza, który siedział nad nim w łoży:

- Prześwietny Hypacjusz, siedzisz na miejscu cesarza, a nie masz prawa go zajmować. Cesarz rozkazuje, żebyś zaraz wrócił do pałacu i oddał się do jego dyspozycji.

Ku powszechnemu zaskoczeniu (albowiem tylko przywódcy stronnictw wiedzieli, jak niechętnym był monarchą), Hypacjusz podniósł się posłusznie i ruszył ku drzwiom łoża; lecz demarch zielonych, który siedział koło niego, grubiańsko popchnął go z powrotem na krzesło. Potem tłum zielonych zaczął grozić ludziom Belizariusza. Belizariusz zaatakował ich wzdłuż ławek. Podniósł się wrzask i zieloni zaczęli uciekać w popłochu jeden przez drugiego. Był to tylko tłum miejskich próżniaków, a ich broń była przystosowana do morderstw, lecz nie do walki, ponadto nie mieli zbroi. Tak więc dwustu całkowicie uzbrojonych żołnierzy całkowicie równoważyło ich tysiące. Tymczasem Mundus, czekający przy Bramie Śmierci, usłyszał hałas i zrozumiał, że ludzie Belizariusza przystąpili do akcji. Ze swymi Hunami poprowadził szarżę przeciwko zielonym, którzy zeskakiwali na arenę, i rozpoczął straszliwą rzeź. Nieliczni próbowali znaleźć schronienie na piedestałach posągów ustawionych przy środkowej barierze - posągu cesarza Teodozjusza z chusteczką w ręku, trzech wielkich splecionych wężów sprowadzonych z Delf, gdzie niegdyś podtrzymywały trójnog kaptłański, i posągi słynnych woźniców, włączając w to posąg mojego dawnego pana Damoklesa, który Teodora niedawno tu wzniosła - lecz tych uciekinierów szybko ściągnięto w dół i pozabijano. Potem błękitni, którzy siedzieli wszyscy razem jak zwykle, przyłączyli się do walki. Prowadzeni przez dwóch siostrzeńców Justyniana rzucili się ku łożu cesarskiej i po zaciętej walce zabili demarcha



zielonych i jego ludzi, porwali Hypacjusza i Pompejusza, oddając ich Rufinusowi, który asystował Belizariuszowi. Rufinus odprowadził ich do pałacu przez wąską klatkę schodową i błękitną kolumnadę.

Zieloni odetchnęli teraz z pierwszego zaskoczenia i zaczęli walczyć rozpaczliwie. Belizariusz i Mundus musieli dalej zabijać systematycznie, aż jeszcze raz ci ubrani w jedwabie głupcy z fałdzistymi rękawami i wypomadowanymi czuprynami rzucili się do panicznej ucieczki. Wreszcie Belizariusz mógł spokojnie wycofać swych ludzi do Północnej Bramy, a innych postać, by strzegli pozostałych wejść. Mundus też odwołał Hunów. Ale nie można było powstrzymać błękitnych, których zaspokoiliby teraz jedynie całkowite wytępienie zielonych, Belizariusz i Mundus nie uważali za stosowne mieszać się do tego i obserwowali ponuro bratobójczą rzeź, jak ktoś patrzyłby na bitwę między żurawiami i Pigmejami - skłaniając swą sympatię może bardziej ku Pigmejom, którzy są prawie równie niepodobni do ludzi jak żurawie, ale mniej groteskowi w wyglądzie. Gdy stało się jasne, że błękitni odnieśli piękne zwycięstwo (w imię Chrystusa o podwójnej naturze i Jego namiestnika-cesarza o podwójnym obliczu), Belizariusz wrócił do pałacu po dalsze rozkazy, a Mundus wraz z nim. Niebawem już moja pani ścisnęła swego drogiego małżonka, tak jak przybył, całego spryskanego krwią. Lecz horda błękitnych z przedmieść przybiegła z wszelkiego rodzaju bronią i runęła na hipodrom, by wziąć udział w masakrze. W broń z arsenału uzbroił ich Narses, który przekupił demokrata błękitnych, by zwołał ochotników przeciwko uzurpatorowi Hypacjuszowi. Za nimi ruszyła gwardia ze Spiżowego Domu, równie gwałtownie pragnąca przez rzeź

zielonych udowodnić swą lojalność wobec Justyniana.

Trzydzieści pięć tysięcy zielonych i kilkuset błękitnych zginęło przed nadejściem nocy, a o wiele większa ilość odniosła ciężkie rany. Tłum zaatakował również stajnie zielonych - zabijając stajennych, przeciwną ścięgna koniom i paląc rydwany. Potem po całym mieście zaczęła się wściekła nagonka na zatwardziały zielonych, a następnego rana w stolicy nie został ani jeden mężczyzna czy kobieta, którzy by jeszcze nosili nienawistną barwę.

Gdy Hypacjusz i Pompejusz postawiono przed Justynianem, ten powiedział do Belizariusza:

- Ekszelencjo, powinieneś być schwytać tych zdrajców wcześniej, zanim spalono pół miasta.

Po czym skazał ich na śmierć - postępek fajdaka, co Teodora powiedziała mu w twarz. Lecz, jak zwykle, odpowiedział jej bardzo delikatnie. Co to był za człowiek, nawet w owych dniach!

Tak się skończyły tak zwane bunty zwycięstwa, a wraz z nimi, przynajmniej na długi czas, waśń między obu stronnictwami. Zielonych złamano całkowicie, a Justynian ustabilizował ten szczęśliwy stan rzeczy zabraniając specjalnym edyktem wszelkich wyścigów w mieście. Jednak w parę lat później wznowiono je, w związku z czym trzeba było również wskrzesić stronnictwo zielonych. Mimo wszystko błękitni nie mogli rywalizować sami z sobą. W kilka lat zieloni stali się takimi samymi zawadiakami jak zawsze, jednocząc pod ochroną swych barw wszelkie elementy stolicy wrogie cesarzowi i ortodoksyjnej wierze; znowu bandy morderców pojawiły się o zmierzchu na drogach.

Belizariusz był zawsze neutralny - biały, jak w swych dniach szkolnych, lecz moja pani Antonina była błękitna ze względu na krzywdę wyrządzoną jej ojcu, ze względu na dom klubu i ze względu na Teodorę, która była jej zaprzysiężoną przyjaciółką.

## Rozdział X

### WYPRAWA PRZECIWKO KARTAGINIE

Justynian planował teraz wielką wyprawę przeciwko Wandalom, wędrownemu ludowi, którego stolicą była Kartagina w Afryce. Na nalegania Teodory powierzył wyłączne dowództwo Belizariuszowi. Kim byli Wandalowie i co robili w Afryce, można opowiedzieć w niewielu słowach. Byli oni pochodzenia germańskiego i najpierw podobno zamieszkiwali zamknięte brzegi Morza Bałtyckiego w tym czasie, kiedy Jezus, żył na świecie wśród Żydów. Stopniowo zaczęli posuwać się na południe, na żyzne równiny między Górami Karpackimi, gdzie zwiększyli swą liczebność przez sojusz i małżeństwa ze szczepami Hunów, które już zajmowały to terytorium. W tym czasie kiedy cesarz Konstantyn uznał chrześcijaństwo za religię państwową, granice nowego królestwa okazały się zbyt szczupłe ze względu na płodność germańskich kobiet i nie wystarczającą ilość żywności. Znaczna ilość Wandalów musiała przez górny Dunaj wkroczyć do cesarstwa rzymskiego, gdzie nadano im ziemię i miano sprzymierzeńców. Tu nauczyli się rzymskich metod walki. Dwa pokolenia później znów przekroczyli Dunaj i najechali Germanię plądrując i paląc po drodze, a potem ruszyli ku północy. Debatowali nad inwazją na Wyspy Brytyjskie, które były teraz pozbawione rzymskich załóg. We francu-

skich portach Wandalowie mieli dość środków transportowych, lecz nie byli doświadczonymi żeglarzami, a Kanał Angielski wydawał się zbyt burzliwy jako droga morska. Tak więc, zostawiając Brytanię na pastwę saskich piratów, najechali na Francję przekroczywszy zamrznięty Ren w wigilię Nowego Roku. Przez dwa lata grasowali i plądrowali we Francji, a potem pociągnęli do Hiszpanii, gdzie osiedlili się w jej najbardziej południowej części i nazwali swe królestwo Andaluzją. Lecz w kilka lat później hrabia Bonifacy, rzymski gubernator północnej Afryki, zaprosił ich do Kartaginy. Hrabia Bonifacy został niesłusznie oskarżony o spisek przeciwko cesarzowi i potrzebował sojuszników, by ocalili go przed haniebną śmiercią. Ofiarował na własność Wandalom jedną trzecią część ziemi wokół Kartaginy, jeśli przybędą mu z pomocą.

Wandalowie przebywając w Hiszpanii nauczyli się żeglugi, choć specjalna ustawa rzymska groziła śmiercią każdemu, kto nauczy jakiegokolwiek germańskiego barbarzyńcę sztuki budowania okrętu i kierowania nim. Tak więc przepłynęli morze od jednego z dwóch kamiennych Słupów Herkulesa, mianowicie Gibraltaru w Hiszpanii, do drugiego, mianowicie Ceuty w Maroku, a potem pomaszerowali na wschód brzegiem morza. Było ich wszystkich dwieście tysięcy, lecz tylko pięćdziesiąt tysięcy wojowników, gdyż resztę stanowiły kobiety, dzieci i starcy, albowiem wyjechali wszyscy razem i tylko bardzo nielicznych pozostawiono w Hiszpanii. Ci Wandalowie byli chrześcijanami, lecz jak większość germańskich szczepów wyznawali herezję ariańską. Niestety, muszę tu wyłożyć jeszcze jedną teorię o naturze Chrystusa.

W tym czasie kiedy Germanie zostali nawróceni na chrześcijaństwo przez niejakiego Ulfilasa - był to

współczesny cesarza Konstantyna i przetłumaczył na język gocki Pismo święte z wyjątkiem Księgi Królów, gdyż obawiał się, że może ona rozpalić namiętności wojenne Gotów - ariańska herezja była szeroko rozpowszechniona i niemal stała się prawowiernym poglądem całego Kościoła. Germanie przyjęli ją z ochotą, ponieważ zawierała proste, barbarzyńskie wyznanie wiary, odpowiadające ich własnym pojęciom o bóstwie. Arianie utrzymywali, że Bóg Ojciec jest nieskończenie wyższy od człowieka i że nie ma właściwie pośrednika między Bogiem Ojcem i człowiekiem; nie był nim nawet Syn Boży, który nigdy doskonale nie znał Ojca, i kiedy żył na ziemi, podlegał wszystkim uczuciom ludzkim, takim jak gniew, żal, rozpacz, upokorzenie - co istotnie opisywali ewangelicści. Niemniej, Syn (według arianów) jest czymś w rodzaju półboga: nie Bogiem, lecz pośrednią istotą z innej substancji i zupełnie niepodobną do Ojca; istniał on jeszcze przed powstaniem świata, został stworzony z niczego i stał się człowiekiem. Ponieważ Germanie wierzyli w Boga o niezmiernie sile, a także półboga i przodka gatunku zwanego Mann (co oznacza „człowiek” po germańsku), który właściwie powstał z niczego, ich zmiana religii polegała raczej na zmianie imion, a nie przekonań. Zgodzili się teraz powstrzymać od ofiar z ludzi, ponieważ te (wedle ich nowej wiary) zostały zakazane przez Boga od czasu patriarchy Abrahama. Jednak brali udział w krwawych wojnach i rzeziach. Albowiem, chociaż dobry Ufilas opuścił w tłumaczeniu Księgę Królów, przetłumaczył jednak Księgę Jozuego, która opowiada, jak Żydzi bezlitośnie masakrowali te pogańskie szczepy, które spotkali w ich „Ziemii Obiecanej”.

Dla Wandalów rzymska Afryka była również ziemią obiecaną i przypominała Kanaan swymi winnicami, polami zbóż, plantacjami fig i miastami. Lecz gdy cały tłum znalazł się już w pobliżu Kartaginy, hrabia Bonifacy chłodno poinformował przybyszów, że popełnił omyłkę-, cesarz, czy raczej regent cesarzowej, teraz wierzy mu znowu, tak że wandalscy sojusznicy nie są potrzebni - czy mogliby łaskawie wrócić do Andaluzji, a on zapłaci im za fatygę. Naturalnie, Wandalowie uznali to za grubiańską obelgę i odmówili powrotu. Z sojuszników stali się wrogami i pobili Bonifacego w bitwie. Po czym zajęli nie tylko jedną trzecią ziemi wokół Kartaginy, lecz całą diecezję Afryki, ujarzmiając mieszkańców.

Sama Kartagina, będąca drugim co do wielkości po Rzymie miastem w Cesarstwie Zachodnim, utrzymała się przez parę lat. Fakt ten należy zawdzięczać raczej dostawom żywności od strony morza i bardzo silnym fortyfikacjom, których Wandalowie nie mogli zburzyć nie mając doświadczenia inżynieryjnego, niż bohaterstwu obrońców. W wyniku stuleci pokoju, żyznej gleby i wyczerpującego siły upału rzymscy Afrykanie stali się pokojowym narodem. Ponadto byli podzieleni przez schizmę donatystów. Tym razem chodzi nie o heretycki pogląd na naturę Chrystusa, lecz spór o dyscyplinę kościelną: donatyści utrzymywali, że błogosławieństwo kapłana, który prowadził złe życie albo popełnił tak bezbożny akt jak spalenie religijnej książki na rozkaz władz świeckich, nie jest błogosławieństwem i że żadna czynność kapłańska, dokonana przez taką osobę, nie jest ważna. Lecz teoria prawowierna głosiła, że woda życia może płynąć przez pysk zdechłego psa (jak to się mówiło), a jednak uzdrawiać duszę. Donatyści wprowadzili osobną

komunię, oddzielając się od ortodoksów, by ich nie splugawili. Wandalowie dla doraźnej korzyści zawarli czasowy sojusz z donatystami, powiedzieli, że również są donatystami na swój arianowski sposób.

Król Wandalów, Geiserich Chromy, który jakimś sposobem urodził się w ortodoksyjnej wierze, nawrócił się potem na arianizm i niebawem zaczął prześladować wszystkich niearian w Afryce, obojętne: do-natystów, prawowiernych czy heretyków jakiegokolwiek rodzaju, z całą gwałtownością konwertyty. Cała diecezja afrykańska znalazła się pod jego władzą, a obawiając się buntu, zburzył fortyfikacje wszystkich miast z wyjątkiem Hippo Regius i Kartaginy, gdzie umieścił silne załogi. Następnie rozbudował flotę i zaczął zdobywać wyspy, wśród nich Sycylię i Wyspy Balearskie, i napadał na brzegi Hiszpanii, Italii, a nawet Grecji. Głównym jego wyczynem było ograbienie Rzymu, skąd po dwóch tygodniach pobytu przywiózł ogromne skarby, publiczne i prywatne - włączając w to złote skarby z pustyni Salomona, które Tytus przed kilkoma stuleciami przywiózł do Rzymu, i pół dachu ze świątyni Jowisza Kapitońskiego, z doskonałego połączanego brązu. Jak już wspominałem, z powodu napadów Geisericha dziadek Belizariusza z linii matki opuścił Rzym i przeniósł się do Cesarstwa Wschodniego.

Cesarz Zachodu - bowiem cesarze wschodni mieli w owych dniach jeszcze kolegów w Rzymie - nie potrafił się przeciwstawić tylu pirackim napadom, lecz z Konstantynopola wysłano karną ekspedycję do Kartaginy. Składała się ona ze stu tysięcy ludzi na najpotężniejszej flocie, jaką kiedykolwiek widziało Morze Śródziemne. Tego rodzaju ekspedycja nie powinna była mieć trudności w pokonaniu Wandalów. Gei-



serich udawał jak największą uległość wobec dowódcy tej armii i uzyskał od niego pięciodniowy rozejm, ażeby, jak to ujął, „przygotować miasto do poddania”. Potajemnie zebrał wojska i czwartej nocy wysłał na rzymską flotę statki ogniowe i uzbrojone galery. Zakoczeni Rzymianie zostali całkowicie zniszczeni przez szalejący ogień i dzikich Wandalów. Tylko kilka potrzaskanych statków i kilkuset żołnierzy powróciło do Konstantynopola. Ta klęska zdarzyła się dwa pokolenia przed wstąpieniem na tron Justyniana.

Od tego czasu panowali różni następcy Geisericha, który wydał dekret, że władza królewska powinna zawsze przechodzić na najstarszego mężczyznę z królewskiego rodu. Miało to zapobiec podziałowi królestwa i osłabieniu władzy centralnej, a również kłopotom, jakie często wynikały, gdy ogłaszano regencję na rzecz małoletniego władcy. Tak więc najstarszy syn króla nie dziedziczył władzy po śmierci swego ojca, jeśli miał żyjącego stryja czy stryjecznego dziadka, lecz musiał mu ustąpić tronu. Geiserich chyba nie zastanowił się, że to prawo następstwa wyraźnie faworyzowało książąt odznaczających się raczej długowiecznością niż zdrowym rozsądkiem.

Gdy Justynian wstąpił na tron, królem Wandalów był Hilderich. Podpisał on sojusz obronny z królem Gotów panującym w Italii. (W tym czasie cała zachodnia część imperium - choć nominalnie pod władzą cesarza wschodniego w Konstantynopolu, skoro nie było cesarza w Rzymie - znajdowała się pod władzą różnych germańskich sprzymierzeńców, którzy występowali jako jego garnizon. Na swe siedziby wybraли najbardziej urodzajne okolice i wszyscy wyznawali herezję ariańską.) Hilderich żył również w dobrych stosunkach z cesarzem wschodnim i wysłał do

Konstantynopola roczną daninę, do której zobowiązał się Geiserich w traktacie pokojowym zatwierdzającym jego zdobycze, Hilderich był starcem nie nadającym się do spraw publicznych i prawie równie podejrzliwym jak sam Justynian. Wdowa po jego poprzedniku żyła nadal, była ona siostrą Teoderyka, słynnego króla Gotów. Jako posag wniosła swemu mężowi gwardię składającą się z sześciu tysięcy gockiej kawalerii i władzę nad Lilybaeum, półwyspem Sycylii, odległym zaledwie sto mil od brzegów Kartaginy. Ktoś nastraszył Hildericha, że była królowa zamierza go zamordować i wydać Kartaginę Gotom. Wtrącił ją do więzienia, następnie zadusił, i zmasakrował sześć tysięcy Gotów. To ogromnie obraziło Teoderyka. Zerwał sojusz z Wandalami, lecz nie mógł zaryzykować przeciwko nim wyprawy wojennej.

Justynian był osobistym przyjacielem Hildericha i często wymieniali między sobą listy i podarunki. Zaprzyjaźnili się w Rzymie, kiedy Hilderich był nieznanym zakładnikiem na dworze Teoderyka. Justynian cenił również Hildericha za jego pobłażliwość dla prawowiernych katolików - poprzedni królowie wandalscy prześladowali ich okrutnie. Kiedy nadeszły wieści z Konstantynopola, że Hilderich został złożony z tronu i wtrącony do więzienia przez swego siostrzeńca Geilimera, Justynian uznał to za osobistą obrazę. Uważał, że trzeba dać lekcję Geilimerowi, albowiem on sam był niegdyś w sytuacji Geilimera, kiedy jego stryj Justyn zupełnie zdzieciniał i przez dwa ostatnie lata był cesarzem jedynie z nazwy. Uważał, że postąpił bardzo cnotliwie, zadowolając się tytułem regenta zamiast zagarnąć tytuł cesarski, i że daje mu to szczególne prawo do protestu wobec Geilimera. Napisał według wszelkich dyplomatycznych zasad ła-

godny list tej treści, że jeśli staruszek zostanie wypuszczony i otrzyma z powrotem godność królewską, Bóg obdarzy swą łaską Geilimera, a Justynian będzie go darzył przyjaźnią.

Geilimer uzasadniał uwięzienie Hildericha oskarżając go oszczerczo, że w tajemnicy nawrócił się na ortodoksję i chce odstąpić swój tron Justynianowi. Toteż nie odpowiedział na list, który mu wręczyli posłowie, tylko parsknął nieznacznie. Hildericha wsadzono do jeszcze ciemniejszego i przykrzejszego więzienia.

Justynian napisał znowu, tym razem ostrzej, w tym sensie, że Geilimer zagarnął władzę królewską gwałtem i musi się spodziewać zemsty niebios, którą uzurpacja zwykle wywołuje. Zażądał, by Hildericha odesłano przynajmniej do Konstantynopola, gdzie mógłby zakończyć życie w wygodnych warunkach, i groził wojną Wandalom, jeśli tak nie postąpią.

Geilimer odpowiedział, że Justynian nie ma prawa mieszać się do wewnętrznej polityki królestwa afrykańskiego; że Hilderich został złożony z tronu jako zdrajca - co aprobowała rada królewska w Kartaginie; że przed rozpoczęciem wojny Justynian powinien sobie przypomnieć, co zdarzyło się ostatniej flocie, która odwiedziła Kartaginę od wschodu.

Justynian nie zaproponowałby królowi Khosrou tak łagodnych warunków traktatu pokojowego, gdyby już nie rozważał możliwości wycofania swych wojsk z granicy perskiej i użycia ich do wyprawy przeciwko Wandalom. Lecz gdy wspomniał o tym projekcie swym głównym ministrom, wszyscy mu go odradzali jako szczególnie niebezpieczny. Ich zastrzeżenia, które przedstawił Jan z Kapadocji jako komendant gwardii i kwatermistrz generalny wojsk cesarskich, były dość uzasadnione. Kartagina leży przynajmniej o sto czter-

dzieści dni drogi łądem od Konstantynopola. Do przetransportowania odpowiedniej ilości wojsk morzem należałoby zarekwirować olbrzymią ilość statków, co bardzo utrudniłoby handel cesarstwa. I tak jest już trudno gromadzić wojska dla obrony granic na północnym wschodzie, po co je jeszcze niszczyć w niepotrzebnych wojnach na drugim końcu świata. Nawet gdyby się udało pokonać Wandalów, strategicznie nierozsądne jest okupowanie północnej Afryki, jeśli ktoś nie ma w rękę również Sycylii i Włoch - na co Justynian nie może liczyć. Ponadto koszt takiej ekspedycji wynosiłby miliony. Jan z Kapadocji, choć o tym nie mówił, bał się również, że Justynian w swych wysiłkach, by zebrać odpowiednią ilość pieniędzy, zacznie starannie sprawdzać rachunki kwatermistrza generalnego i ministerstwa wojny i znajdzie tam dowody defraudacji na wielką skalę.

Jednak jego argumenty przekonały Justyniana. Wszyscy odetchnęli, szczególnie urzędnicy skarbu, którzy byliby odpowiedzialni za ściąganie nowych olbrzymich podatków. Generałowie również poczuli się swobodniej: każdy z nich bał się, że za swe usługi zostanie mianowany dowódcą ekspedycji przeciwko Wandalom.

Wtedy przybył z Egiptu pewien biskup domagając się natychmiastowej audiencji na dworze, ponieważ miał sen ogromnej wagi. Justynian przyjął go ze zwykłą uprzejmością, a biskup oświadczył, że sam Bóg ukazał mu się we śnie i kazał mu iść i zganić cesarza za jego nierozsądek: „Bowiem jeśli on tylko rozpocznie tę wojnę w obronie honoru mojego Syna, któremu ci ariańscy heretycy bezbożnie odmawiają równości ze mną, będę szedł przed armiami cesarskimi w bitwie i uczynię cesarza panem Afryki.” Jest mało prawdopodobne, że apel ten pochodził od bóstwa,

a nie od grupy afrykańskich duchownych, przyjaciół Hildericha, którzy uciekli z Kartaginy po objęciu władzy przez Geilimera. Lecz Justynian całkowicie weń uwierzył i zapewnił biskupa, że posłucha boskiego nakazu. W takich okolicznościach wezwał Belizariusza, którego lojalność i odwaga zostały udowodnione bez żadnych wątpliwości w buntach zwycięstwa. Oświadczył mu w obecności Teodory:

- Szczęśliwy patrycjuszu, tobie właśnie powierza my zdobycie Kartaginy!

Belizariusz, którego moja pani ostrzegła, co naprawdę zamysła Justynian, powiedział:

- Czy naprawdę myślisz o mnie jednym, wasza świątliwość, czy o dziesięciu dowódcach, z których każdy miałby równą władzę ze mną? W pierwszym wypadku jestem winien lojalną wdzięczność, w drugim - tylko lojalne posłuszeństwo.

Justynian zaczął coś kręcić, gdy wmieszała się Teodora:

- Nie zawracaj głowy cesarzowi niepotrzebnymi pytaniami. Oczywiście, że myślisz o tobie jako o jedynym dowódcy, prawda, mój drogi Justynianie? Narsesie, dopilnuj, by zaraz sporządzono odpowiedni akt i przyniesiono cesarzowi do podpisu. Należy tam zaznaczyć, że prześwietny Belizariusz jest namiestnikiem cesarza. Wielka odległość między Kartaginą i stolicą niestety uniemożliwia cesarzowi dawanie rad w pilnych sprawach czy ratyfikowanie ważnych politycznych umów i traktatów z odpowiednim pośpiechem. Napisz więc, dobry Narsesie: „Rozkazy prześwietnego Belizariusza, dowódcy naszych armii Wschodu, mają być uważane podczas trwania tej wyprawy za nasze własne rozkazy.”

Justynian zatrzepotał powiekami i parę razy przeknął ślinę, gdy w ten sposób załatwiono za niego

sprawę. Ale nie próbował wrócić do swego pierwotnego planu zbiorowego dowództwa. Ze względów politycznych wolałby, gdyby żaden generał nie miał nadziei na uzyskanie wyłącznej sławy i nie mógł w ten sposób stać się potencjalnym rywalem dla cesarza. Lecz mogłoby to być tragiczne z wojskowego punktu widzenia, jak mieliśmy przykład w Persji za czasów Anastazjusza. Justynian podpisał dokument. Było to jesienią roku pańskiego 532, w parę miesięcy po buntach, i zimę spędzono na niezbędnych przygotowaniach. Moja pani cieszyła się, że ekspedycja nie wyruszy przed wiosną, gdyż koło Nowego Roku spodziewała się dziecka, a postanowiła nie zostać w domu, gdy Belizariusz wyrusza na wojnę. Zamierzała znaleźć mamkę dla dziecka i zostawić je pod opieką Teodory. Tak też uczyniła, a dziecko okazało się córką, którą nazwano Janiną. Cesarz i cesarzowa zostali jej chrzestnymi rodzicami. Było to jedyne dziecko, jakie moja pani miała z Belizariuszem, i później przyniosło im duże rozczarowanie.

Kiedy w Konstantynopolu ogłoszono szczegóły wyprawy, nie wróżyono jej nic dobrego. Podobno gubernator miasta powiedział Janowi z Kapadocji pewnego wieczora w pałacu:

- Boję się, że możemy ponieść równie wielką klęskę jak nasi przodkowie z ręki Geisericha.

Jan z Kapadocji odparł wesoło:

- To niemożliwe. Bowiem w tamtej kampanii straciliśmy sto tysięcy ludzi, lecz teraz przekonałem cesarza, by wysłał jedynie piętnaście tysięcy, przy czym większość stanowi piechota.

Gubernator miasta:

- A jak oceniasz siłę bojową armii Wandalów?

Jan z Kapadocji:

- Na przeszło sto tysięcy ludzi, licząc w tym ich mauryjskich sojuszników.

Gubernator miejski ze zdumieniem:

- Najlepszy z ludzi, w takim razie jaką nadzieję zwycięstwa może mieć Belizariusz?

Jan z Kapadocji wzruszając ramionami:

- Biskup ma prawo do swoich snów.

To powiedzenie stało się potem przysłowiem.

Piechota była dobrej jakości, składała się przeważnie z górali izauryjskich. Belizariusz szkolił ich w marszach, okopywaniu się oraz użyciu broni. Kawaleria liczyła zaledwie pięć tysięcy z powodu trudności w transporcie koni na odległość tysiąca pięciuset mil. Lecz wśród jeźdźców znajdowały się resztki oddziału Massagetów, który tak dobrze walczył pod Dara i nad Eufratem. Było ich sześciuset (albowiem wielu ciężko rannych wyzdrowiało); następnie czterystu Herulów Farasa i doskonale wyszkolony przyboczny pułk Belizariusza, składający się z pięciuset kirasjerów. Resztę stanowili Trakowie, którzy służyli pod Boucesem, lecz sam Bouces pozostał na granicy perskiej. Dowództwo nad Trakami Belizariusz powierzył Rufinusowi oraz Massagetowi imieniem Aigan, synowi Sunikasa. (Sunikas oddał swego syna pod opiekę Belizariuszowi, gdy leżał śmiertelnie ranny na polu bitwy.) Szefem sztabu Belizariusza był armeński eunuch imieniem Salomon. Był on eunuchem nie w wyniku umyślnej kastracji, lecz przez wypadek, jaki miał jeszcze jako dziecko w powijakach, i całe życie spędził w wojsku.

By przewieźć tę armię do Kartaginy, trzeba było floty składającej się z pięciuset statków różnego typu o tonażu od trzydziestu do pięciuset ton. Obsługiwało je trzydzieści tysięcy żeglarzy, po większej części

Egipcjan i Greków z Azji Mniejszej pod dowództwem admirała z Aleksandrii. Oprócz transportowców zgromadzono również flotyllę z dziewięćdziesięciu dwu szybkich jednorzędowych galer, krytych dla ochrony wioślarzy na wypadek bitwy morskiej. Na każdej galerze było dwudziestu takich wioślarzy z Konstantynopola, których nazywają „piechotą morską”, a którym płaci się wyższy żołd, ponieważ w razie potrzeby można ich użyć jako piechoty. Jan z Kapadocji był odpowiedzialny za aprowizowanie tej armady. Dwóch oficerów wysłano na królewskie państwa w Tracji. Mieli wybrać tam trzy tysiące koni i zgromadzić je w Heraklei, na północnym brzegu morza Mannara, żeby tam czekały na przybycie floty.

Wyruszyliśmy w dzień wiosennego porównania dnia z nocą. Belizariusz i moja pani otrzymali serdeczne życzenia od Justyniana i Teodory oraz błogosławieństwo patriarchy Konstantynopola. Wsiedliśmy na okręty w porcie cesarskim, znajdującym się w pobliżu pałacu, w tym punkcie, gdzie morze Marinara zwięża się w cieśninę Bosforu. Były tu szerokie schody z białego marmuru, połączane galary państwowe i ozdobne drzewa ze Wschodu oraz ładna kaplica, w której pokazuje się autentyczne powijaki Jezusa i jego portret z późniejszego okresu, przypisywany ewangelista Łukaszowi. Na przystani stoi posąg byka w śmiertelnej walce ze lwem. Spoglądaliśmy nań z zabobonnym zainteresowaniem, ponieważ byk jest symbolem armii rzymskich, a lew - symbolem północnej Afryki. Moja pani Antonina powiedziała do gubernatora miasta, który stał obok:

- Postawiłabym pięć tysięcy przeciwko dwom, że byk da sobie radę. Lew ma słabe muskuły, a byk, chociaż mały, pochodzi z bojowej rasy.



Jako dobrą wróżbę Justynian umieścił na pokładzie naszego statku - flagowego okrętu floty - młodego Traka, który tylko co przechrzcił się na wiarę ortodoksyjną. Należał on do podupadłej sekty eunomianów, których osobliwością jest, iż zaprzeczają, że Syn może być Bogiem i wieczną istotą, ponieważ został raz poczęty. Mówią, że stwarzanie na wieczność jest nonsensownym pomysłem. To, co zostało poczęte, nie może być jednej substancji z nie poczętym oraz przeciwnie. Nie poczęte pozostaje wiecznie nie poczęte, a poczęte nie może zaprzeczyć faktowi poczynania. Stąd też... ale jakkolwiek by było, młodego człowieka nawrócono z jego herezji, został chrześnym synem Belizariusza i mojej pani Antoniny i przyjął nowe imię Teodozjusza.

Był to najpiękniejszy mężczyzna, jakiego widziałem, a widziałem ich wielu. Nie był tak wysoki i tak wspaniale umięśniony jak Belizariusz, lecz zbudowany silnie i wdzięcznie i miał nadzwyczajnie ruchliwą twarz. (Jedyny defekt, jaki mogłem w nim znaleźć, to cokolwiek za wąski kark z głęboką bruzdą pośrodku.) Lecz poza tym jako jedyny mężczyzna z tych, których znała moja pani, potrafił z nią rozmawiać tym szczególnym szczebiotliwym tonem, jaki sama stosowała. Belizariusz był dowcipny, wymowny i uczuciowy, miał wszystkie walory podziwiane w mężczyźnie i nie było kobiety szczęśliwszej ze swym mężem niż moja pani. Był jak słońce krążące po niebiosach, ogrzewające ludzi, stworzenia i gmachy, lecz jak u słońca jego obieg nie był kompletny - nie potrafił świecić z północy. Ten brak wynikał z jego stałości: wiara i ignorancja zajmowały czwartą część orbity. Lecz Teodozjusz świecił z północy roześmianym światłem, którego jakoś jest mi bardzo trudno wyrazić. Mogę tylko powiedzieć, że

Teodozjusz dawał chyba mojej pani to, czego brakowało Belizariuszowi. Były to rzeczy drobne, lecz dla niej nadzwyczaj cenne nawet ze względu na swoją małą wagę.

Sądzę, że dla mężczyzny jest prawie niemożliwością kochać dwie kobiety w tym samym czasie bez sekretnego zastrzeżenia w swym umyśle: „Tę właśnie wolę.” Lecz kobieta może łatwo znaleźć się w takiej sytuacji, jaką moja pani niebawem odkryła - jednocześnie najbardziej szczęśliwej i najbardziej godnej pożalowania. Może pogodzić obu w swoim sercu, ale we wzajemnych stosunkach każdy z nich ignoruje jej miłość do drugiego. Lepszy mężczyzna (a moja pani nigdy nie wątpiła, że jest nim Belizariusz) jest skłonny traktować ją niegrzecznie - nie mogąc zrozumieć zjawiska promieni z północy i ochoty zakreślenia całkowitej orbity miłości. Drugiemu tak brak zazdrości czy głębszych uczuć, że traktuje jej miłość dla kogoś innego równie niepoważnie jak jej miłość do niego. Wobec jego błyskotliwego humoru wszystkie głębsze uczucia wydają się absurdalne.

Wesoła lekkość Teodozjusza w przeciwieństwie do głębokiej moralnej powagi męża spowodowały, że najpierw pani Antonina zaczęła porównywać ich obu. Zdarzyła się sprawa Massagetów w Abydos, a potem ta sprawa butelek z wodą, gdy zbliżaliśmy się do Sycylii. Oba te zdarzenia należy opowiedzieć szczegółowo. Zabrawszy na pokład trackie konie koło Perintu, płynęliśmy dalej morzem Mannara, aż przybyliśmy do Hellespontu i zakotwiczyliśmy pewnego wieczora pod Abydos, zamierzając nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyć w dalszą drogę. Są tu bardzo trudne prądy i potrzeba mocnego wiatru z północnego wschodu, by płynąć przeciwko nim.

Lecz następnego ranka wiatr w ogóle ustał, tak że musieliśmy czekać cztery dni. Ludzie, którzy otrzymali pozwolenie zejścia na brzeg, znaleźli się w beznadziejnej sytuacji: niewiele jest do roboty czy do zobaczenia w tej części kraju, jeśli ktoś nie ma zamiaru do starożytności - bo jeśli ma, może pojechać konno wzdłuż brzegu do ruin Troi i zsiadłszy z konia obieć dokoła grób Achillesa na dobrą wróżbę.

Massageci mieli z sobą tak zwany „zaczyn”, rodzaj drożdży, które dodaje się do kobyłego mleka, by zaczęło fermentować, ubiwszy je wpród w pęcherzu wydrążoną laską, by oddzielił się tłuszcz. W Perincie kupili dużo kobyłego mleka i przyrządzili je w ten sposób, tak że mieli teraz bardzo mocny napój - nazywają go *kawassem* czy kumyse. Przez grzeczność dla Aigana spróbowałem niegdyś tego napoju i uznałem go za zbyt ostry na mój gust, choć ma się po nim później smak podobny do migdału, a ponadto jest coś nieprzyjemnego w tym, że otrzymuje się go z kobyłego mleka. Ale, jak powiadamy, kiedy obyczaje innych są różne od naszych - „Kaźda liszka swój ogon chwali”, albo: „Oset jest safatą dla oślego podniebienia.”

Belizariusz nie wiedział o zaczynie i zdawało mu się, że przyjął odpowiednie środki zapobiegawcze, aby żołnierze nie mogli się zaopatrywać w jakiegokolwiek trunku poza dzienną racją kwaśnego wina, służącego jako środek do oczyszczania wody. Hunowie urządzili sobie pijaństwo na brzegu. Podczas tej uczty pewien Hun zaczął wyśmiewać się z dwóch innych, że pomylili wątek w balladzie, i został przez nich natychmiast zabity. Belizariusz bezzwłocznie postawił morderców przed sądem wojennym. Jak się zdaje, bardzo lekko traktowali swą zbrodnię. Tłumaczyli się pijaństwem i powiedzieli, że gotowi są zapła-

cić zwykły okup krewnym zabitego. Lecz Belizariusz utrzymywał, że zabójstwo kolegi-żołnierza podczas wyprawy wojennej jest haniebnym czynem. Spytał Aigana, jaki rodzaj śmierci uznają Hunowie za najhaniebniejszy, a Aigan odpowiedział

- Śmierć na palu.

Obu Hunów wbito więc na pal na pagórku koło Abydos ku wielkiemu oburzeniu ich towarzyszy, którzy oświadczyli, iż są sojusznikami Rzymu, a nie Rzymianami, i że ich własne prawa nie przewidują kary za zabójstwo popełnione po pijanemu. Belizariusz kazał im się ustawić w szyku i oświadczył, nie usprawiedliwiając się bynajmniej, że najwyższy czas zrewidować ich barbarzyńskie prawa. Według jego poglądu pijaństwo jest czynnikiem obciążającym, a nie łagodzącym, i jeśli służą pod jego komendą, muszą się stosować do jego praw. Ostrzegł, że nie będzie patrzył przez palce na jakiegokolwiek nieuzasadnione próby przemocy, obojętne, czy wobec kolegów, jeńców, czy osób cywilnych, „Ta armia musi iść do boju z czystymi rękami.” Następnie skonfiskował zaczyn aż do tego czasu, póki Hunowie nie znajdą się w bezpiecznym garnizonie w zdobytej Kartaginie.

Owego wieczora panowało milczenie przy kolacji. Belizariusz wiedząc, co mają na myśli jego towarzysze, skinął w kierunku pagórka i spytał:

-A jakie jest wasze szczere zdanie? Jan Armeńczyk odpowiedział:

-Zasłużyli na to.

Rufinus powtórzył to samo, a Uliaris mruknął:

- Pijany nie powinien brać broni do ręki. Teodosjusz, gdy go wreszcie spytano o zdanie, oświadczył beztrasko:

- Tam jeszcze powinien być trzeci, prawda?

Moja pani była jedyną osobą, która zrozumiała tę szyderczą aluzję. Belizariusz odpowiedział poważnie:

- Nie, inni Hunowie, którzy byli przy ognisku, nie mieszały się do bójki. Są na to dowody.

Lecz moja pani spojrzała na Teodozjusza i rzekła:

- A gdyby tam był trzeci, twój ojciec chrzestny z pewnością nie podałyby mu wina.

Teodozjusz uśmiechnął się do niej z wdzięcznością i nic już więcej nie powiedziano. Jednak powstaje silna więź między dwiema obcymi osobami, jeśli rozumieją, wspólny żart, niezrozumiały nawet dla najbliższych, nie podejrzewających, że wypowiedziane słowa mogą zawierać więcej, niż się wydaje. Albowiem Teodozjusz miał na myśli coś w tym rodzaju: że pagórek przypominał Golgotę, miejsce ukrzyżowania, lecz że brakło przy tej odrażającej egzekucji trzeciej ofiary, jeszcze bardziej jaskrawo niewinnej niż tamte dwie. Uwaga mojej pani o winie odnosiła się do litościwego rzymskiego żołnierza, który dał Jezusowi umoczoną w winie gąbkę 'na ostrzu włóczni.

Teodozjusz nie był religijny. Przechrzcił się na ortodoksyjną wiarę tylko dla swej wygody, tak jak to zrobiła moja pani, i nigdy nie stracił praktycznego, lekko szyderczego spojrzenia na świat, co zdaje mi się dość charakterystyczne dla Traków. Potrafił wykryć niekonsekwencje i pretensjonalność nawet w najbardziej godnych podziwu bohaterach, chociaż nie podawał siebie za wzór moralny. Jego uczucia i myśli były jednak przynajmniej jego własne, nie pożyczone. Zewnętrznie poddawał się istniejącym konwencjom, lecz w głębi duszy nie uznawał żadnego autorytetu poza własnym rozsądkiem.

Jeśli chodzi o wydarzenie z butelkami wody, było to parę tygodni później, w drodze do Sycylii. Podróż trwała o wiele dłużej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać; chociaż od Abydos mieliśmy silny pomyślny wiatr, który zaniósł nas na Morze Egejskie aż do Lesbos, ustał on nagle w tym miejscu i przez trzy tygodnie okrążaliśmy południowe wybrzeże Grecji. Ponadto szybkość całej floty równała się szybkości najpowolniejszego statku, ponieważ Belizariusz bażył pilnie, by żadna jednostka nie wysunęła się naprzód i nie przybyła do Kartaginy przed resztą floty, udaremniając w ten sposób zaskoczenie. Główne żagle trzech prowadzących statków, naszego i dwu innych, kazał pomalować w szerokie czerwone pasy, jako znak rozpoznawczy we dnie, a w nocy używał latarni na rufie. Żadnemu statkowi nie pozwolono płynąć w odległości większej niż jeden kabel od swego sąsiada. Czasami bywało mnóstwo zderzeń, przekleństw i odpychania się bosakami, lecz żaden statek nie stracił łączności ani się nie rozbił.

Nastąpiła cisza morską i Belizariusz zarządził powszechne wyjście na ląd koło Metone, miasta na południowo-zachodnim cyplu Grecji. Przeprowadzono to jako ćwiczenie w pełnych zbrojach i mieszkańcy bardzo się przerazili. Żołnierze znajdowali się teraz w dość apatycznej kondycji, a konie także, przeto wydano rozkaz przeprowadzania marszów i manewrów, póki wiatr nie zerwie się znowu. W okolicach Metone było straszliwie gorąco. Suchary żołnierskie, które wieziono w workach z Konstantynopola, zaczęły pleśnieć i śmierdzieć. Belizariusz natychmiast skorzystał z cesarskich pełnomocnictw do rekwizycji świeżego chleba w okolicy, ale przedtem pięciuset ludzi zmarło na kolkę.

Przeprowadził dochodzenie w sprawie sucharów i złożył raport Justynianowi. Wykrył, że sucharów dostarczył Jan z Kapadocji jako kwatermistrz generalny sił zbrojnych. Ponieważ świeży chleb przerabiany na suchary traci na wadze, kwatermistrzowi generalnemu zapłacono o jedną czwartą więcej za ten kontrakt, niż gdyby opiewał on na tę samą ilość chleba, a przy tym otrzymał jeszcze specjalny dodatek opałowy na wypiek. Jednak chleba nie dopieczono i nie zmniejszono w ten sposób jego wagi o przepisową jedną czwartą, choć zapłacono jak za prawdziwe suchary. Ponadto Jan schował do kieszeni dodatek opałowy przeprowadziwszy pieczenie chleba za darmo w piecach ogrzewających łaźnie publiczne. Justynian pochwalił później Belizariusza za ten raport, uniewinniając jednak Jana z Kapadocji, który znalazł jakiegoś kozła ofiarnego wśród swoich podwładnych, od zarzutu świadomego oszustwa.

Lecz nikogo, nawet Jana z Kapadocji, nie można zganić za rozkładowy wpływ gorąca na beczki ze świeżą wodą, w którą zaopatrzyliśmy się w naszym następnym porcie na wyspie Zante. Nasza podróż z Zante przez Morze Adriatyckie do Sycylii z powodu okresów niespodziewanej ciszy przedłużyła się do szesnastu dni. Był to okropny czas, ponieważ mijała właśnie połowa czerwca i panowały straszliwe upały. Moja pani była tak przezorna, że w Metone wysłała mnie na rynek, bym kupił pewną ilość szklanych gąsiorów używanych do kwaszenia oliwek. Następnie napełniliśmy je świeżą wodą i zmagazynowaliśmy na dnie statku, zanurzone aż po szyjki w piasku. Moją funkcją było zwilżanie ich morską wodą. W rezultacie nasz okręt jako jedyny w całej flocie miał nie zepsuta wodę do picia, a to bardzo zakłopotano Beliza-

riusza, który pysznił się, że je tę samą strawę i pije tę samą wodę co jego żołnierze. Co gorsza, zapas kwaśnego wina wyczerpał się ze względu na nieoczekiwane długą podróż.

Belizariusz wyjaśnił swym oficerom tę sytuację i spytał ich o radę. Wskazał, że nie ma wystarczającej ilości czystej wody, by można ją podzielić z innymi statkami floty. Nie może jej podzielić również tylko z dwoma czy trzema statkami, z obawy, że wzbudzi to zazdrość. Może więc rzeczą najszlachetniejszą byłoby postąpić według przykładu wielkiego Katona - niegdyś podczas uciążliwego marszu w Afryce zganił on żołnierza, który przyniósł mu wody w hełmie, kiedy reszta armii była spragniona, i wylał wodę w piasek. Coś podobnego uczynił również król żydowski Dawid z wodą przyniesioną mu ze źródła pod Betlejem. Okazało się, że porucznicy Belizariusza byli wszyscy jednego chowu: wszyscy co do jednego byli bohaterami i ludźmi honoru w przesadnym, jak mi się zdało, stopniu. Wszyscy wyrazili przekonanie, że nie mogą korzystać z przezorności mojej pani, lecz muszą wylać wodę za burtę! Oczywiście moja pani bardzo się rozgniewała. Najpierw nikt nie popierał jej opinii, że byłoby nie tylko głupotą, lecz obrazą dla niej, by piła zepsutą wodę, gdy zadała sobie kłopot zaopatrzenia się w świeżą - jak to zresztą każdy mógł uczynić. Wtedy wystąpił Teodozjusz i z uśmiechem powiedział do niej:

- Matko chrzestna, Antonino, jeśli nikt nie chce pierwszy stracić honoru pijąc twą świętą wodę, ofiaruję się na tę miłą ofiarę. Oto mój kubek. Czy mogę sobie nalać? Nie ośmieliłbym się oskarżyć mego ojca chrzestnego o nielojalność wobec cesarza, kiedy ryzykuję zarażenie się dyzenterią, chociaż powodze-



nie ekspedycji zależy w tak wielkim stopniu od jego zdrowia. Ale w każdym razie przypomnę pięć mądrych dziewic z przypowieści ewangelicznej: nikt by ich nie chwalił, gdyby, widząc, że pięć głupich dziewic zapomniało napełnić lampy, wylały swą oliwę i uniemożliwiły sobie udział w uczcie oblubieńca o północy.

W śmiertelnej ciszy napełnił kubek i wypił pochylając głowę mocno do tyłu, a potem nalał znowu i podał go Belizariuszowi. Przez chwilę Belizariusz trzymał kubek w ręku, zastanawiając się, i wreszcie powiedział:

- Teodozjusz, masz rację. Obowiązek powinien mieć pierwszeństwo przed honorem.

Wychylił kubek i oddał go Janowi Armeńczykowi i Aiganowi, którzy wypili również. Tak więc powstała nowa więź między Teodozjuszem i moją panią, której honoru bronił ryzykując swój własny.

Rzuciliśmy kotwicę w pustynnej okolicy niedaleko wulkanu Etna. Była tu woda, pastwiska dla koni i mieliśmy jeszcze dość worków z sucharami z Meto-ne, by starczyły nam na kilka tygodni. Lecz Belizariusz potrzebował nowych dostaw, szczególnie wina, oliwy i jarzyn. Wysłał swego sekretarza, Prokopiusza z Cezarei, na szybkiej galerze, by postarał się o te rzeczy w Syrakuzach, mieście stołecznym, i sprowadził je do nas, do portu w Katanii, gdzie było bezpieczniejsze miejsce do zakotwiczenia. Belizariusz wiedział, iż ostatnio została zawarta umowa między Justynianem i gocką regentką w Italii, królową Amalasantą (córką Teoderyka, której młody syn, Atalrich, był teraz królem). Według tej umowy Amalasantą miała zapewnić w Sycylii wolny rynek cesarskiej armii, gdyby przypadkowo znalazła się w tej okolicy.

Amalasueta chętnie podpisała umowę, ponieważ jej pozycja polityczna była niepewna, a przyjaźń z Justynianem znaczyła wiele.

Gubernator Syrakuz przysłał w związku z tym pewną ilość staków napełnionych żądanymi prowiantami, a także parę transportów koni na miejsce tych, które zdechły podczas podróży. Że nie straciliśmy ich więcej, należało zawdzięczać genialnemu pomysłowi Belizariusza, który umożliwiał ćwiczenie koni na statkach: koniom w ich klatkach zakładano linę pod piersiami i unoszono do góry, aż stawały na tylnych nogach. W tej pozycji wierzgały i szarpały się gniewnie, chcąc wrócić do naturalnej postawy, i pozbywały się złych humorów. Prokopiusz wrócił z bardzo dobrymi wieściami z Syrakuz. Jego przyjaciel z lat dziecięcych, kupiec z Cezarei w Palestynie, tylko co otrzymał transport z Kartaginy. Jego agent donosił, że Wandalowie nie tylko nie wiedzą o zbliżającej się ekspedycji, lecz wysłali ostatnio najlepsze swe wojska pod dowództwem Zazo, brata króla Geilime-ra, by stłumiły zamieszki na Sardynii, która była ich posiadłością. Ponadto wybuchła skuteczna rewolta przeciwko Wandalom w Trypolisie, przybrzeżnym okręgu leżącym między Kartaginą i Egiptem, i tam również posłano flotę.

Belizariusz uznał, że nie ma czasu do stracenia. Wypłynęliśmy z Katanii i dotarliśmy do małych wysp Gozzo i Malty - tej Malty, gdzie niegdyś rozbił się statek apostoła Pawła. Tam zerwał się silny wschodni wiatr i następnego ranka dostrzegliśmy najbliższy punkt afrykańskiego brzegu, a mianowicie pustynny półwysep zwany Kapoudia, leżący sto pięćdziesiąt mil na wschód od Kartaginy. Gdy tylko znaleźliśmy się na płytkiej wodzie, zwinęliśmy się żagle i rzuciliśmy

kotwice. Belizariusz zwołał radę wojenną na okręcie flagowym. Postawił kwestię, czy mamy tu wysiąść na brzeg i maszerować wzdłuż wybrzeża pod ochroną floty, czy też kontynuować naszą podróż i wylądować w jakimś punkcie bliższym Kartaginy.

Pierwszy przemówił admirał egipski, ponieważ doskonale znał to wybrzeże. Wskazał, że Kartagina leży w odległości dziewięciu dni marszu, przy czym na brzegu nie ma żadnych portów. Jeśli flota będzie dostrzymywała kroku armii płynąc blisko brzegu, co się stanie, gdy wybuchnie gwałtowny sztorm? Są dwie możliwości, jednakowo niebezpieczne. Albo statki zostaną wpędzone na brzeg i rozbite, albo rozproszą się po morzu i stracą kontakt z armią. Wybrzeże jest właściwie bezwodne, słońce piecze, a wojska - w pełnym ekwipunku i obciążone racjami żywnościowymi - będą bardzo wyczerpane marszem. W związku z tym proponował, że powinniśmy żeglować prawie do samej Kartaginy; do miejsca gdzie znajduje się wielkie Jezioro Tunezyjskie, które stanowi doskonały naturalny port.

Rufinus, popierając admirała, przypomniał Belizariuszowi, że Wandalowie mogą łatwo zgromadzić armię pięciokrotnie liczniejszą od naszej i że nie będziemy mieli ochrony murów miejskich podczas naszych nocnych postojów, ponieważ Wandalowie od dawna rozebrali fortyfikacje wszystkich miast w diecezji z wyjątkiem Kartaginy i Hippo Regius.

Ogólna opinia rady wojskowej była taka, że plan admirała jest słuszny i że powolny marsz wzdłuż wybrzeża oznaczałby również utratę korzyści zaskoczenia. Belizariusz, jak dotychczas, nie wyraził swego zdania. Po kolei zaczął pytać oficerów, czy to prawda, że ich oddziały zdecydowanie odmówiłyby udziału

w bitwie morskiej, gdyby pojawiły się okręty Wandalów.

Oficerowie przyznali, że, owszem, mówiono coś w tym rodzaju, ponieważ syrakuscy żeglarze na statkach aprowizacyjnych opowiadali przerażające i niewiarygodne historie o flocie Wandalów - że składa się ona głównie z szybkich pięciorzędowych statków po tysiąc pięćset ton, które przejdą przez naszą flotę jak nóż przez ser śmietankowy. Lecz oficerowie przysięgali, iż sami się nie boją i potrafią zmusić ludzi do dzielnej walki zarówno na morzu, jak i na lądzie.

Wtedy Belizariusz powiedział:

- Koledzy, sądzę, że nie będziecie traktowali tego, co powiem, jako słów dowódcy ani wyobrażali sobie, iż odłożyłem je na koniec, by zamknąć dyskusję i wymusić na was zgodę. Teraz uświadamiamy sobie wszystkie główne składniki problemu i jeśli mi pozwolicie, podsumuję je jak sędzia i ogłoszę mój wyrok. Lecz niekoniecznie musi to być wyrok ostateczny. Jeśli moje rozumowanie będzie zawierało jakieś braki, jak najchętniej zastanowię się nad ich usunięciem.

Po pierwsze: wydaje mi się, że żołnierze wyraźnie nas ostrzegli, iż nie chcą walczyć z flotą Wandalów, gdy ta na nas uderzy, lecz wyrażają swą gotowość do wszelkich bitew, nawet najtrudniejszych, na stałym lądzie. Wiecie równie dobrze jak ja, że nie można zmusić ludzi do walki wbrew ich woli, a jeśli będą dzielnie walczyć przynajmniej na lądzie, to więcej nie możemy wymagać od wojska lądowego. Następnie: nie zgadzam się, że zmarnujemy czynnik zaskoczenia wysadzając tu naszą armię. Jeśli wyślemy naprzód kilka szybkich galer z załogą przebraną za egipskich piratów, by zatrzymywała wszystkie statki,

które spotka, możemy ochronić naszą flotę przed obserwacją. Podobnie nasi konni zwiadowcy mogą wyjechać spory kawałek drogi naprzód i udaremnić przedostanie się do Kartaginy jakiegokolwiek wiadomości drogą lądową. Argument, że burza może rozproszyc albo rozbić okręty, jest dość istotny, lecz z pewnością bezpieczniej jest na wypadek burzy, gdy ludzie i konie znajdują się na brzegu. Gorsza niż burza, z wojskowego punktu widzenia, byłaby cisza, która zapewniłaby Wandalom czas na przygotowanie. Mapa wskazuje mi ponadto, że aby osiągnąć Jezioro Tunezyjskie, musimy okrążyć przylądek Bon na końcu długiego, pełnego przepaścistych urwisk półwyspu, a potem zmienić nagle kurs z północno-wschodniego na południowo-zachodni. Gdybyśmy mieli, jak Odyseusz, słynny worek z wiatrami i mogli wypuszczać z niego kolejno potrzebne nam wiatry lub gdyby wszystkie nasze statki były galerami, sprawa wyglądałaby inaczej. Lecz sądzę, że nie możemy ryzykować zwłoki z powodu ciszy czy przeciwnego wiatru w tym zwrotnym punkcie.

Dlatego też radzę, żebyśmy wysiedli na ląd, a flota niech towarzyszy nam powoli aż do nasady półwyspu, skąd pozostaje do Kartaginy jedynie pięćdziesiąt mil drogi lądem, ale sto pięćdziesiąt mil morzem. Wtedy wyruszymy prosto do Kartaginy przez pagórki i przez jezioro i zdobędziemy ją. Flota powinna jak najszybciej okrążyć półwysep i przyłączyć się do nas, gdy tylko damy sygnał, że tego potrzebujemy. Co do umocnienia miast: wyszkoliłem piechotę w sztuce budowania umocnionych obozów, które w pewnym sensie są lepsze od warownych miast, ponieważ nie ma w nich kłopotu z ludnością cywilną. Wreszcie nasi ludzie i konie muszą trochę rozprostować kości

przed walką; do tego właśnie potrzeba im dziewięciodniowego marszu. Każdy plan ma swe wady i niebezpieczeństwa, lecz wielka przewaga liczebna Wandalów przemawia na korzyść planu tak niespodziewanego, jaki zaproponowałem. Pamiętajcie również, że rzymscy Afrykanie są prawowierni i uważają Wandalów Geilimera za ariańskich ciemężycieli. Jeśli będziemy zachowywali się odważnie i rozsądnie, cała ludność cywilna stanie po naszej stronie i nigdy nie zabraknie nam wody ani żywności.

Na te argumenty nie można było nic odpowiedzieć. Wszyscy wysiedliśmy, pozostawiając na okrętach jedynie załogi i ochronę wojskową - po pięciu łuczników na każdy statek. Mojej pani Antoniny nie udało się przekonać, żeby pozostała na statku flagowym, ponieważ była kobietą niezwyklej odwagi.

## Rozdział XI PORAŻKA

### WANDALÓW

W większości publikowanych obecnie książek historycznych każda bitwa wydaje się bardzo podobna do wszystkich innych. W związku z tym chciałbym wypróbować moje dziejopisarskie zdolności i opowiedzieć wam o bitwach Belizariusza, wykazując wzajemne ich różnice, a nie nużąc was jednocześnie zbyt wieloma heroiczno-wojskowymi szczegółami: tak jak gospodarz częstuje gościa słynnymi starymi winami, nie zamierzając go upić. Na przykład, muszę wykazać, że bitwa przy Dziesiątej Mili różniła się niezwykłym chaosem i trudnościami topograficznymi od bitwy pod Dara i nad brzegiem Eufratu. Wkrótce po wylądowaniu w Kapoudii w dniu świętego Jana Chrzciciela, najdłuższym dniu roku, po trzymiesięcznej podróży powitała nas wspiana wróżba: przy kopaniu rowów obozowych paru żołnierzy niespodziewanie natrafiło na obfite źródło świeżej wody. Skierowawszy strumień do koryt, mogliśmy napić wszystkie konie bez potrzeby kłopotliwego wylądowywania beczłek z wodą z okrętów. Belizariusz wysłał oddział swych kirasjerów na podjazd do najbliższego miasta Sullektum. Żołnierze dotarli do wąwozów w pobliżu bramy miejskiej i kryli się tam przez całą noc. O świcie na drodze zjawił się długi wąż wózków z jarzynami i chłopów na koniach, albowiem w Sul-

lektum był dzień targowy. Podzieliwszy się na małe grupy nasi kirasjerzy spokojnie przyłączyli się do tłumu i nie natrafiając na żaden opór zajęli miasto. Kiedy mieszczanie, rzymscy Afrykańczycy, obudzili się, powiedziano im, żeby się cieszyli, bowiem nadchodzi Belizariusz, aby ich wyswobodzić spod wandal-skiego jarzma. Ksiądz, burmistrz i inni dostojnicy oświadczyli, iż z wielką chęcią oddadzą klucze miasta, dostarczą nam koni pocztowych i zapewnią wszelkie możliwe udogodnienia. Następnego dnia kwaterowaliśmy w Sullektum, które składa się z prostokątnych, bielonych, kamiennych domów, każdy w doskonale utrzymanym ogrodzie. Ponieważ Belizariusz wpoił żołnierzom doniosłe znaczenie przyjaznego i uczciwego zachowania się wobec mieszkańców - każąc wychłostać paru ludzi, którzy kradli owoce z sadu - traktowano nas z niezwykle gościnną.

Zatrzymaliśmy królewskiego kuriera Wandalów i Belizariusz, który przed rozpoczęciem walki zawsze dawał wrogom okazję do kapitulacji, odesłał go do Kartaginy z listem do tamtejszych władz wandal-skich. Zapewniał, że nie chce prowadzić wojny z Wandalami, lecz tylko zdetronizować uzurpatora Geilimera i przywrócić władzę prawowitego króla Hildericha. Wysłanie tego listu można by uznać za czyn nierozsądny, będący w sprzeczności z zamierzonym zdobyciem miasta przez zaskoczenie, albowiem kurier, gdyby jechał szybko, przybyłby do Kartaginy sześć dni przed nami i wszczął alarm. Lecz Belizariusz miał zawsze skrupuły moralne co do staczania niepotrzebnych bitew. Ponadto tego rodzaju otwarte ogłoszenie jego zamiarów pozwalało na domysł, że ma z sobą ogromnie silną armię do ich wy-



konania, co mogło zastraszyć Wandalów i zmusić ich do uległości.

Król Geilimer nie był jednak obecny w Kartaginie, lecz z większością swych wojowników znajdował się w Bulli, odległej o kilka dni drogi. Jego brat, Animatas, któremu kurier doręczył pismo, natychmiast przekazał je królowi. System poczt w królestwie wandaliskim był doskonale zorganizowany i król mógł nadesłać odpowiedź już następnego dnia. W swym piśmie stwierdzał, że Hildericha trzeba natychmiast skazać na śmierć, a Ammatas powinien przygotować się do obrony drogi, po której się zbliżyliśmy, przy dziesiątym kamieniu milowym od Kartaginy, gdzie znajduje się ciasny wąwóz między wzgórzami. Oddziały Ammatasa mają się znaleźć na stanowiskach trzeciego lipca. Sam król przybędzie pospiesznie z posiłkami kawaleryjskimi i tego samego dnia zajmie nam tyły, o ile sytuacja się tymczasem nie zmieni. O tej wymianie listów Belizariusz wówczas nie wiedział.

Kontynuowaliśmy teraz marsz przez Leptis Minor i wielki port zbożowy Hadrumetum, przebywając dwanaście mil dziennie. Byliśmy doskonale zaopatrzeni w owoce i świeży chleb przez wieśniaków, którzy witali nas z ogromnym entuzjazmem, biedacy. Na każdą noc okopywaliśmy się. Dla wzniesienia koniecznej palisady każdy żołnierz niósł długi zastrzony kołek, który potem wbijano w wał. Flota dotrzymywała nam kroku z prawej strony, a wiatr był nadal korzystny. Jan Armeńczyk z trzema setkami pułku Belizariusza tworzył straż przednią, a Massageci chronili nasze lewe skrzydło. Belizariusz dowodził strażą tylną. Wreszcie dotarliśmy do nasady półwyspu i musieliśmy rozstać się z flotą, lecz nasz żal wynagradza-

ła piękność okolicy. Znajduje się tutaj pałac królewski, który Geiserich zbudował i otoczył wspaniałym parkiem. Były tu wielkie gaje drzew najróżnorodniejszych gatunków, właściwych dla klimatu, stawy rybne, fontanny, trawniki, cieniste ściany i altanki oraz klomby kwiatów, a także ogromny sad składający się z drzew rosnących w cynek, to znaczy w grupach po pięć sztuk, przy czym w każdym cynku zasadzono drzewa pięciu różnych odmian. Afrykański klimat jest cieplejszy od naszego, tak że w połowie lata były tu dojrzałe owoce, których spodziewaliśmy się dopiero w sierpniu - figi, brzoskwinie, winogrona i tym podobne. Żołnierze obozowali pod tymi drzewami i pozwolono im jeść, ile mają ochotę, byle tylko nie zabierali z sobą owoców. Wszyscy objadaliśmy się śliwkami różnych odmian, figami i morwami, a jednak gdy znów ruszyliśmy w drogę, drzewa wydawały się nie mniej obładowane owocami niż przedtem.

Tegoż dnia usłyszeliśmy o egzekucji Hildericha, a potem zwiadowcy króla Geilimera nawiązali pierwszy kontakt z naszą tylną strażą. Lecz Belizariusz kontynuował marsz naprzód, nie zwalniając ani nie przyspieszając kroku. Szóstego dnia przekroczyliśmy półwysep i posuwając się skrajem Jeziora Tunezyjskiego dotarliśmy w pobliże Dziesiątej Mili. Znajdowała się tu wioska i stacja pocztowa. Zatrzymaliśmy się w odległości pięciu mil od niej. Belizariusz wybrał dogodne do obrony miejsce na umocniony obóz, gdzie, jak zwykle, okopaliśmy się, a każdy żołnierz wbił swój pał w ostrokół. Tymczasem wojska Wandalów okrężyły nas. Ammatas wyprowadził załogę Kartaginy, siostrzeniec Geilimera, syn Zazo, nadciągnął przeciwko naszej flance, zaś sam Geilimer groził naszym tyłom. Wandale, podobnie jak Goci, byli świetnymi

jeźdźcami, zręcznymi we władaniu włócznią i pałaszem, lecz jedynie ich piechota była zbrojna w łuki. Nie mieli świeżego doświadczenia w walce przeciwko konnym łucznikom tak jak my, bowiem ich jedynymi wrogami byli dzicy jeźdźcy mauryjscy z pustyni, którzy używali dziryków. Było to dla nas bardzo korzystne. Jeśli chodzi o ich zdolności bojowe, to ci nordycy o jasnej skórze i jasnych włosach teraz, w trzecim pokoleniu, aklimatyzowali się w Afryce. Pożenili się z tubylkami, zmienili sposób odżywiania, poddali się afrykańskiemu słońcu (które wywołuje raczej rozdrażnienie, niż pobudza do wytrwałości) - i przyzwyczaili do takich luksusów, jak jedwabne szaty, częste kąpiele, korzenne przyprawy, muzyka orkiestralna i masaż zamiast ćwiczeń fizycznych. Jednak ich siły bojowe wzrosły liczebnie od czasów Geisericha z pięćdziesięciu do osiemdziesięciu tysięcy, nie licząc mauryjskich sprzymierzeńców.

Jan Armeńczyk parł naprzód na czele gwardii i trzeciego lipca, koło południa, wyjeżdżając z zaokrętu drogi koło Dziesiątej Mili, natknął się na oddział stu konnych Wandalów, którzy lekceważąco zatrzymali się koło stacji pocztowej. Jadący w kolumnie ludzie Jana nie mogli się rozwinąć z powodu ciasnoty wąwozu, przez który w tym punkcie przechodziła droga. Nie było możliwości użycia łuków, więc natychmiast, wprost z marszu, zaatakowali lancami. Wandale pośpiesznie ustawili się w szyku i dotrzymali pola. W rozpoczętej w ten sposób potyczce padło kilkunastu naszych ludzi, lecz Jan Armeńczyk, wyciągnąwszy z kołczana ciężki dziryk, z małej odległości trafił nim prosto w czoło ich dowódcę, pięknego młodzieńca w połacanej zbroi. Wandal zwałił się z konia martwy, a jego ludzie z krzykami rozpaczy

poszli w rozsypkę. Jan Armeńczyk zaczął ich ścigać. Dalsi Wandalowie, leniwo kłusujący drogą w oddziałkach po dwudziestu lub trzydziestu ludzi, zostali wciągnięci w bijatykę i jak śnieżna kula staczająca się z góry chwyta nowy śnieg i urasta do potwornych rozmiarów, tak stało się i z Wandalami w ucieczce. Kirasjerzy ścigali ich i zabijali metodycznie lancą, dziryttem, strzałami, nie dając nieprzyjacielowi możliwości zorganizowania się, pędząc go wąwozem.

Na równinie za jarem nasz oddział mógł się rozwinąć i rzeź stała się jeszcze większa. Jan Armeńczyk pędził Wandalów pod same mury Kartaginy, a ktoś patrząc na ciała leżące tu i tam na przestrzeni dziesięciu mil, mógłby przypuszczać, że działała tam dwu-dziesiąt tysięcy armia, a nie marne pół szwadronu.

Tymczasem oddziały króla Geilimera i jego siostrzeńca dążyły z dwóch stron ku Dziesiątej Mili. Na równinie, która niegdyś była słonym bagniskiem, siostrzeniec miał pecha napotkać niespodzianie Hunów-Massagetów. Przewyższał ich liczbą, miał bowiem trzy tysiące ludzi przeciwko sześciu setkom, lecz niesamowity wygląd tych skośnookich, długowłosych osobników (którzy żyli, proszę pamiętać, o rok podróży od Kartaginy i nigdy ich nie widziano na ziemi afrykańskiej) przeraził zabobonnych Wandalów, a nagły, zabójczy deszcz strzał był okropny. Jak jeden mąż rzucili się do ucieczki, nie próbując nawet stawiać oporu, i zostali wybici prawie co do jednego. Natomiast Geilimer, nieświadom losu swego siostrzeńca, stracił kontakt z tylną strażą Belizariusza z powodu falistego terenu. Belizariusz wiedział teraz, iż Jan Armeńczyk oczyścił wąwóz z nieprzyjaciela, lecz nie otrzymał odeń żadnych dalszych meldunków i bał się, że może wpadł w zasadzkę i potrze-

buje pomocy. Zostawiwszy piechotę za palisadą, rozkazał Herulom pod wodzą jego pobratymca Farasa i szwadronowi trackich Gotów ruszyć naprzód galopem i zbadać sytuację. Sam postępował za nimi wolniejszym krokiem z główną siłą kawalerii.

Król Geilimer z trzydziestoma tysiącami jezdnych był teraz bliski Dziesiątej Mili. W obozie objęła dowództwo moja pani i zorganizowała obronę w sposób bardzo fachowy, albowiem studiowała te zagadnienia z Belizariuszem, a jej odwaga i wesoły sposób zwracania się do podwładnych wzbudzały wielkie zaufanie. Jednak nie miała okazji poddania swych zdolności wojskowych poważniejszej próbie i Geilimer wyminał zastonietą pagórkami palisadę, nie widząc jej wcale. Rozminął się również z Belizariuszem, który podążał inną drogą.

Gdy Faras i tracy Goci dotarli do stacji pocztowej, gdzie odbyła się potyczka, znaleźli tamtejszych mieszkańców w stanie najwyższego podniecenia, ponieważ zabity Wandal w pozłacanej zbroi nie był nikim innym, jak samym Ammatasem, bratem Geilimera.

Faras i jego Herulowie popędzili dalej na poszukiwanie Jana Armeńczyka, gdy na południu ujrzano chmurę kurzu, a obserwator zasygnalizował ogromną siłę wandalckiej kawalerii - armię króla Geilimera. Tracy Goci ruszyli natychmiast, żeby obsadzić wzgórze panujące nad wejściem do wąwozu, lecz Wandale zepchnęli ich szybko samą wagą swej liczby, tak że Goci cofnęli się cwałem do głównego korpusu naszej armii. Geilimer z wojskiem pięciokrotnie liczniejszym od naszego obsadził doskonały do obrony wąwóz. Jan Armeńczyk i Faras byli po jednej stronie, Belizariusz po drugiej, nasza flota znajdowała się daleko - właściwie przegraliśmy już bitwę.

Tu muszę wspomnieć, że w Konstantynopolu znajduje się plac zwany „Placem Braterskiej Miłości”, z piękną rzeźbą na wysokim cokole, upamiętniającą braterskie uczucie synów cesarza Konstantyna - którzy następnie bezlitośnie pomordowali się nawzajem. Wśród Greków i innych mieszkańców krajów śródziemnomorskich prawdziwą braterską miłość ze względu na prawa dziedziczenia spotyka się tak rzadko, że jej naturalny przypadek, nawet u mniej arystokratycznych osób niż młodzi mężczyźni narodzeni w purpurze, istotnie godzien jest rzeźbiarskiego upamiętnienia. Przecież nawet najstarszy poemat w języku greckim (*Prace i dni* Hezjoda) wyrósł na podkładzie braterskich nieporozumień. Lecz wśród szczepów germańskich braterskie uczucie jest raczej regułą niż odosobnionym przypadkiem, a rozpustne życie, jakie Wandale prowadzili w Afryce, w żadnym przypadku nie osłabiło tej ich cechy. Kiedy więc król Geilimer koło godziny trzeciej po południu osiągnął dom pocztowy przy kamieniu miowym i podano mu ostrożnie wieść, iż jego brat Animatas został zabity, było to dla niego rzeczą straszną. Poddał się barbarzyńskiej rozpacz i nie był zdolny do wykorzystania pozycji taktycznej; potrafił myśleć jedynie kategoriami grobowców i elegii pogrzebowych.

Belizariusz połączył się z tracko-gockimi uciekinierami i zaczął naciskać na Dziesiątą Milę, gdzie oddziały Wandalów stały teraz stłoczone w zupełnym chaosie. Kawaleria zjechała z pagórka, aby zobaczyć, co się stało, i zatrzymała się w dole biorąc udział w powszechnych lamentach nad śmiercią Ammatasa. Geilimer, który teraz usłyszał również o porażce i śmierci swego siostrzeńca z rąk Massagetów, łkał cicho i nie można się było odeń spodziewać żadnej wojskowej myśli ani akcji.

Belizariusz, zaskoczony, lecz ucieszony tym widokiem, od razu podzielił swe siły na dwie zwarte grupy i posłał je przez pagórki na drugą stronę wąwozu, a gdy znalazły się na pozycjach wyjściowych, dał sygnał do powszechnego ataku na stłoczoną w dole masę nieprzyjaciół. Chmury strzał dały ostrze tej gwałtownej szarży, stok wzgórza nadał jej straszliwego pędu. Setki nieprzyjaciół padły przy pierwszym starciu. Potem nasze szwadrony przeszły na wskroś i, zakręciwszy na wzgórzu i wypuściwszy znowu chmurę strzał, szarżowały raz jeszcze. Powtórzono ten manewr kilkakrotnie. W ciągu pół godziny wszyscy pozostali przy życiu Wandalę z wyjątkiem dwóch czy trzech szwadronów uciekali gwałtownie ku stonemu bagnisku, gdzie wielką ich liczbę doścignęli i wybili Massageci. Jeśli chodzi o Jana Armeńczyka, to jego ludzie, grabiąc poległych na równinie, pod Kartaginą, tak się rozproszyli, że nie mógł ich łatwo pozbiierać. Przybycie Farasa wcale nie poprawiło tej sytuacji, gdyż mnóstwo łupu zostało i dla jego Herulów. Minął pewien czas, zanim połączone oddziały tuż przed zakończeniem bitwy wróciły do Belizariusza i dopełniły zwycięstwa szarżą wzdłuż wąwozu.

Była to bitwa, o której Belizariusz powiadał: - Jestem wdzięczny, lecz zawstydzony, zupełnie jak przycisnięty do muru szachista, gdy jego nerwowy przeciwnik pokpił grę poświęcając swe najlepsze figury. Może mimo wszystko powinienem był zastosować się do rady admirała i dopłynąć morzem do samej Kartaginy. Wąwóz przy Dziesiątej Mili stanowi niedostępną zaporę, gdyby go zdecydowanie broniono.

Następnego dnia pani przybyła z piechotą i razem ruszyliśmy na Kartaginę. Dotarliśmy tam późnym po-

południem i zastaliśmy otwarte na nasze powitanie bramy. Lecz Belizariusz zabronił komukolwiek wchodzić do miasta, nie tyle dlatego, że bał się zasadzki, lecz po prostu nie mógł ufać swoim oddziałom, że się powstrzymają od grabieży. Kartagina była wyzwolonym rzymskim miastem, nie zaś zdobytym miastem wandalskim, i dlatego należało powstrzymać się od gwałtu. Rozradowani obywatele zapalili świece i lampy prawie w każdym domu, tak że miasto było iluminowane jak na święto, a ponieważ zbudowano je na stopniowo wznoszącym się zboczu, widok przedstawiał się naprawdę piękny. Podnieceni obywatele biegli do naszego obozu z wieńcami i podarunkami dla żołnierzy. Co za przykrość, krzyczeli, że nie wolno wam brać udziału w tak cudownej uroczystości. Wszyscy podli Wandale, którzy nie zdążyli uciec, szukają azylu w kościołach, a na ulicach odbywają się potężne procesje rozśpiewanych, rozradowanych prawowiernych chrześcijan pod przywództwem biskupów!

Tego wieczora przybyła flota, bowiem wiatr się zmienił właśnie w tej chwili, gdy okrążała przylądek Bon, i zakotwiczyła na Jeziorze Tunezyjskim - z wyjątkiem małej eskadry okrętów wojennych, które odpłynęły na bezkrawą wyprawę do zewnętrznego portu, gdzie załogi zaczęły plądrować składy. Kiedy Belizariusza powiadomiono o przybyciu floty, powiedział:

- A jednak, gdybym zaryzykował niekorzystne wiatry i bitwę morską, przyjmując radę admirała, widzę, że też zrobiłbym zły wybór. Bowiem atak na Kartaginę od strony morza byłby szaleństwem. Port jest nie do zdobycia, gdyż mury od strony morza są wysokie i doskonale umocnione. A gdyby nie powstała



panika na wieść o klęsce króla Geilimera, wskutek której załoga portu usunęła olbrzymie belki z wjazdu do Jeziora Tunezyjskiego i zewnętrznego portu, by uciec na wszystkich znajdujących się pod ręką okrętach, nasza flota nie mogłaby wjechać. Jest to problem, który nie miał rozwiązania. Nigdy nie powinniśmy próbować wyprawy z tak małymi siłami. Lecz czy z większymi siłami mielibyśmy takie szczęście?

Następnego dnia Belizariusz wysadził na ląd piechotę morską. Wydawszy surowe rozkazy, podkreślające znaczenie dobrych stosunków z miejscową ludnością, wszedł z całą armią do Kartaginy. Następnie, ponieważ poprzedniej nocy powyznaczano kwatery, każdy oddział udał się na ulicę dlań przeznaczoną w takim porządku, jak by się to działo w Adrianopolu, Antiochii czy Konstantynopolu. Moja pani Antonina udała się z Belizariuszem do królewskiego pałacu, gdzie teraz zamieszkali, i wszyscy zasiedliśmy w sali bankietowej, by zjeść tę samą ucztę, którą Ammatas przygotował dla króla Geilimera, a usługiwała nam służba królewska. Następnie Belizariusz zasiadł na tronie Geilimera i zaczął wymierzać sprawiedliwość w imieniu cesarza. Zajęcie miasta przeprowadzono tak spokojnie, że nie zaszkodziło to wcale handlowi. Z wyjątkiem rabunku w składach, w związku z którym przeprowadził surowe śledztwo, nie było żadnych występków wymagających ukarania i tylko bardzo nieliczne skargi.

Tego dnia obchodzono uroczystość świętego Cypriana, patrona Kartaginy, chociaż brakowało dwóch miesięcy do prawdziwej daty, ponieważ sztorm św. Cypriana, gwałtowny wiatr północno-wschodni, który zrywa się zwykle w połowie września, również przyspieszył swe przybycie i bezpiecznie doprowa-

dził naszą flotę do portu. Katedra Świętego Cypriana, którą wzniesiono parę lat temu jako przybytek ariański, znalazła się teraz w rękach prawowiernych, a święto obchodzono z wielkimi uroczystościami kościelnymi.

Miasto było ogromne, pełne sklepów i pomników oraz kolumnad z miejscowego żółtego marmuru, łaźni i bazarów, na wzgórzu mieścił się ogromny hipodrom. Znajdowało się tam wszystko, co powinno być w mieście, chociaż place nie były tu tak obszerne jak w Konstantynopolu, a ulice znacznie węższe. Przez wiele tygodni twarze obywateli promieniały światłem wolności i każdy dzień wydawał się świętem. Nadzwyczajna łatwość, z jaką pokonano Wandalów, stanowiła prawie jedyny przedmiot rozmowy i w związku z tym każdy zaczynał sobie przypominać swe prorocze sny czy domowe wróżby.

Wróżbę znaleziono również w dzieciennym wierszyku, od dawna popularnym na ulicach:

Gamma wypędzi Betę precz, Ale  
to bardzo mała rzecz: Beta znów  
na Gammę skoczy, Wybije jej  
oba oczy.

Ten wierszyk pochodził z elementarza używanego w miejscowych szkołach klasztornych do nauki alfabetu greckiego; pierwsza litera alfa miała się utrwalić w umysłach dzieci jako pierwsza głoska słowa *anios* -kwiat; beta jako *Balearicos* - procarz balearski; gamma jako *Gallos* - galijski włóczęk. Zakonnicy rysowali te postacie w elementarzu. Lecz dzieci uważały, że Balearczyk i Gal na przeciwnych stronach są wrogami. A więc w zabawie „Gal i Balearczyk” jedno uzbro-

Jone w kij dziecko było Galem i goniło drugie, które było Balearczykiem. Ale doścignąwszy wroga Gal uciekał natychmiast, zaś Balearczyk go gonił i rzucał weń kamykami. Wierszyk odnosił się do tej gry. Jednak głos ludu wyjaśniał go teraz jako proroctwo -król Geiserich wypędził Bonifacego, rzymskiego generała, który zaprosił wodza Wandalów z Andaluzji, lecz teraz Belizariusz wygonił króla Geilimera i zabił jego brata i siostrzeńca. Początkowe litery imion zgadzały się doskonale.

Belizariusz nie miał czasu gratulować samemu sobie ani analizować proroctw. Zaraz zapędził do roboty pewną ilość wziętych do niewoli Wandalów, wszystkich nie zajętych murarzy i niewykwalifikowanych robotników miejskich, znaczną część załóg okrętowych i tych żołnierzy piechoty, których mógł zwolnić ze służby, żeby reperowali zrujnowane mury miejskie i kopali głęboką, najeżoną ostrokołem fosę. Było to ogromne przedsięwzięcie. Chociaż miasto leży na wyżynnym półwyspie i z trzech stron chroni go woda, jego fortyfikacje rozciągają się na niezwyklej przestrzeni. Potrójna linia murów wysokich na czterdzieści stóp, wzmocnionych silnymi basztami, przecina półwysep u nasady; za nią, tam gdzie ląd zaczyna się wznosić, znajduje się długi na piętnaście mil mur wewnętrzny, również bardzo silny. Do tego dochodzą jeszcze urządzenia obronne wybrzeża. Kartagina posiada dwa ufortyfikowane porty: wewnętrzny -dla statków handlowych, i zewnętrzny - dla okrętów wojennych, gdzie na raz może się zmieścić ponad sto okrętów. Port wewnętrzny był pusty, ponieważ większa część floty wandaliskiej znajdowała się z wojskami Zazo w Sardynii, inne okręty wysłano do Trypoli-su, a garnizon uciekł na ostatku.

Dzień czy dwa później zasygnalizowano zbliżający się okręt wandalski. Bez przeszkód wpłynął do portu, ponieważ było jasne, że załoga nie ma pojęcia, iż miasto znajduje się w naszych rękach. Kapitana wzięto do niewoli, gdy tylko wysiadł na ląd, i zupełnie osłupiał na tak nagłą zmianę władzy. Miał przy sobie list do króla Geilimera od jego brata Zazo. Zazo donosił o całkowitym zwycięstwie w Sardynii i wyrażał przekonanie, że flotę cesarską, która podobno płynęła ku Kartaginie, spotkało już zasłużone zniszczenie. Król Geilimer reorganizował teraz swe wojska w Bulli - mieście leżącym o cztery dni drogi na wschód, w głębi lądu - starożytnej stolicy królów numidyjskich. Już wysłał list do Zazo na jednej ze swych galer, stacjonowanych nieco dalej u wybrzeża, błagając go o natychmiastowy powrót.

W dwa tygodnie później Zazo wrócił do Afryki z całą armią - Sardynia leży zaledwie sto pięćdziesiąt mil na pomoc od Kartaginy - i ścisnął swego brata na równinie koło Bulli. Gdy tak stali, płacząc w milczeniu, obejmując się nawzajem ramionami, wyglądali jak pomnik braterskiej miłości, który przyniósłby majątek rzeźbiarzowi umięjącemu wykuć taką grupę. Idąc za królewskim przykładem każdy z żołnierzy Zazo jął bez słowa ścisnąć jednego z podkomendnych Geilimera, a potem wszyscy zaczęli płakać i załamywać dłonie. Musiał to być nadzwyczajny widok!

Połączone armie wandalskie ruszyły na Kartaginę. Geilimer stwierdził ze zdumieniem, że zewnętrzna linia obrony została teraz wzmocniona nowo wykopaną fosą i ostrokołem i że większość słabych miejsc w murze naprawiono. Wandale nie ośmielili się szturmować muru, którego broniła celnie strzelająca piechota, i zadowolili się przerwaniem długiego na

pięćdziesiąt mil akweduktu, zaopatrującego miasto w wodę. Lecz Belizariusz przedsięwziął już odpowiednie środki ostrożności, kierując tymczasem wodę z łaźni i dekoracyjnych basenów do głębokich podziemnych rezerwuarów. Wandalowie odcięli również dostawę jarzyn i owoców z głębi kraju, lecz nie zrobiło to wrażenia na mieście, które mogło się zaopatrywać drogą morską, a także korzystać z własnych ogrodów. Być Wandalem w Afryce to znaczyło żyć bez podatków i korzystać z feudalnych przywilejów, tak że wandaliskie przedmieście Kartaginy, leżące na prawo od starego miasta, jeśli ktoś patrzy od strony morza, składało się ze wspaniałych rezydencji wśród parków, przepięknych sadów i ogrodów. Te pałace Belizariusz wykorzystał do zakwaterowania wojsk, a ponieważ jesień obfitowała w owoce, żywności mieliśmy pod dostatkiem, zwłaszcza że spichlerze miejskie również były pełne.

Król Geilimer próbował potajemnie namówić do buntu niektóre z naszych oddziałów. Zwrócił się do trackich Gotów, którzy również byli arianami, i do Hunów-Massagetów, którzy mieli żal, że po podpisaniu pokoju z Persją nie odesłano ich do domów wedle danej im obietnicy, lecz przerzucono do Afryki. Goci jedynie śmieli się na propozycje Geilimera i od razu o nich zameldowali, lecz minął pewien czas, zanim Belizariusz, traktując Hunów ze szczególnym szacunkiem i zapraszając na wiele uczt, zyskał ich zaufanie i skłonił do wyznania, iż na serio zastanawiali się nad wandaliską ofertą - o czym już wiedział od swego porucznika Aigana. Wyjaśniali, że nie chcą pozostać jako garnizon w Afryce, aby żyć i umierać tak daleko od swej ojczyzny. Takie atrakcje, jak jedwabne szaty, kryształowe naczynia na *kawasse*, pel-

ne brzuchy i tłuste, namiętne kobiety, nie mogą przeważyć tęsknoty za szerokim, omiatanym przez wiatr stepem i wozami ich ludu. Wtedy Belizariusz zaprzysiął na honor, że pozwoli im wrócić do domu, gdy tylko Wandale zostaną ostatecznie pobici. Ze swej strony Hunowie ponowili przysięgę na wierność naczelnemu wodzowi.

Kiedy w początkach grudnia zakończono naprawę muru, był on teraz mocniejszy niż kiedykolwiek, jeśli nawet nie brać pod uwagę fosy. Belizariusz zdecydował się więc poprowadzić swą armię przeciwko Wandalom, gdyż jeśliby nawet został pobity, miał bezpieczne miejsce do wycofania się. Osobiście dowodził piechotą, która stanowiła zasadniczą część armii. Straż przednia, składająca się z całej kawalerii z wyjątkiem pięciuset kirasjerów przybocznego pułku Belizariusza, których zatrzymał przy sobie, spotkała nieprzyjaciela pod Trikamaron, w odległości dwudziestu mil drogi od Kartaginy, i w myśl instrukcji zaatakowała go od razu. Bitwa miała niezwykle przebieg. Wandale, choć znowu ogromnie górujący liczebnie, stali tępo w obronie, jak gdyby byli marnymi rekrutami piechoty. Jan Armeńczyk na czele tysiąca kirasjerów przybocznego pułku próbował nękającymi atakami zmusić ich do walki. Wreszcie, widząc, że się nie ruszają z miejsca i stracili całą odwagę, przeprowadził z kolei prawdziwą szarżę. Geilimer z jakichś zabobonnych powodów kazał swym wojownikom odrzucić włócznie i oszczepy i walczyć jedynie mieczami, co okazało się dla nich bardzo niekorzystne.

Niebawem Uliarisowi poszczyliło się: zabił Zazo ciosem włóczni. Gdy Wandale dowiedzieli się o tej śmierci, ich centrum załamało się i uciekło do obozu.

Skrzydła poszły za jego przykładem, nie próbując nawet walczyć. Jak na bitwę, która przesądziła o losach ogromnego królestwa, była to bitwa bardzo bezkrwawa i jednostronna i trwała zaledwie godzinę od początku do końca. Straciliśmy pięćdziesięciu ludzi, a oni ośmiuset. Nasza piechota znowu nie weszła w ogóle do akcji, ponieważ znajdowała się o pół dnia drogi w tyle. Przybyła późnym popołudniem i zaczęła się przygotowywać do szturm na obóz Wandalów, który wyglądał jak ogromne koło z wozów bronionych niezgrabną palisadą.

Kiedy król Geilimer ujrzał, że nadchodzą nasze główne siły, chwycił swego ulubionego bratanka, sześćdziesięcioletniego syna Ammatasa, posadził go na łąku siodła, powiedział, żeby się mocno trzymał, i odjechał z nim galopem wraz z całym orszakiem szwagrów, kuzynów i tym podobnych - bez słowa wyjaśnienia czy przeprosin do swych generałów. Mając tak przemożny przykład tchórzostwa władcy, generałowie nie myśleli zajmować się obroną obozu. Szwadron po szwadronie, cała armia rozproszyła się we wszystkich kierunkach - haniebny wstęp do haniebnej sceny.

Bez jednego ciosu zdobyliśmy obóz i wszystko, co zawierał. Żołnierze złamali szeregi i rozpoczęła się od razu powszechna grabież. Nigdy naprawdę zasłużeni żołnierze nie zyskali takiego łupu. Była tu nie tylko zdobycz w złocie i klejnotach zarówno kościelnych, jak i prywatnych, ale także zdobycz ludzka - kobiety i dzieci wandaliskie, które mężczyźni w tak podły sposób zostawili ich losowi. Co prawda, Beliza-riusz zapowiedział wyraźnie, że choć stary zwyczaj wojskowy daje zwycięzcom prawo do zrabowania obozu wroga, to jednak każe powiesić albo wbić na

pal każdego, kto by dopuścił się gwałtu - gwałt jest bowiem przeciwny prawom boskim. Jak wiecie, Belizariusz potrafił zmusić ludzi do respektowania tego rodzaju rozkazów - nie tak jak Justynian, jego pan, który często publikował kilkakrotnie ten sam edykt, gdyż, skoro brakło mu rezolucji do poparcia ustawy siłą, mógł przynajmniej w ten sposób przypominać poddanym o grożących karach.

Tak więc nie zdarzył się ani jeden przypadek gwałtu - w tym sensie, żeby kobiety zmuszano wbrew ich woli. Natomiast Wandalki, z których wiele było ogromnie przystojnych i prawie wszystkie starannie wychowane, same nader chętnie ofiarowały swą miłość. Nie miały podstaw, żeby dochowywać wierności swym mężom, którzy opuścili je w tak tchórzliwy sposób. Ponadto w obliczu niewoli przyjęły praktyczny pogląd, że nie będą mogły powrócić do przyjemnego życia w Kartaginie, tak brutalnie przerwane przez wojnę, jeśli nie zostaną żonami naszych żołnierzy - lepszych żołnierzy. Przypuszczały, jak zresztą większość naszych ludzi, że gdy wojna się skończy, armia inwazyjna stanie się wojskową arystokracją Afryki, wywłaszczając wszystkich Wandalów z ich osobistego majątku. Te poglądy umocniło jeszcze w naszych żołnierzach kazanie wygłoszone w katedrze przez biskupa Kartaginy według tekstu ewangelisty Łukasza:

„Gdy mocarz zbrojny strzeże domu swego, w pokoju jest to, co ma. Ale jeśli mocniejszy nadeń nadszedłszy, zwycięży go, obejmie wszystkę broń jego, w której ufał, i korzyści jego rozda.”

Perspektywa zostania szlachtą w tak zamożnym i przyjemnym kraju zachwycała wszystkich z wyjątkiem Massagetów.



Trudno mi powiedzieć, czy był to widok komiczny, czy tragiczny, gdy te kobiety z pośpiechem wybierały odpowiednich mężów i ofiarowywały się im, obiecując w posagu ziemię, bydło i pięknie umeblowane domy w Kartaginie. Żołnierze, poza trackimi Gotami, nie rozumieli ani słowa po wandalsku. I o ile kobieta nie była szczególnie piękna i nie ofiarowała się mężczyźnie z całym składem złota i klejnotów ukrytych w sukni, odtrącał ją i szedł dalej w poszukiwaniu lepszego interesu. Z porównania cyfr wynikało, że przynajmniej jedna wandalska kobieta przypadała na jednego żołnierza naszej armii. Niektóre z bardziej skromnych niewiast tłoczyły się koło mnie, ponieważ jestem eunuchem, mając nadzieję przez małżeństwo ze mną zachować swą cnotę, a także wolność. Moja pani otrzymała niezliczoną ilość ofert na służące. Jedna z pierwszych weszła do obozu i z pomocą swych domowników zabrała z wozów piękne skarby.

Wskutek tego plądrowania i wulgarnych seksualnych uciech armia została całkowicie zdeorganizowana. Gdyby pojedynczy oddziałek Wandalów próbował odzyskać obóz w dwie godziny później, odniósłby z pewnością łatwy triumf. Nasi żołnierze napełniali hełmy słodkim winem z beczek na wozach i włóczyli się dokoła, kłócili się, plądrowali, śpiewali na wyścigi, sprzedawali jeden drugiemu nieporęczne lub niepożądane przedmioty za niewielkie sumy w gotówce, przyjmowali czułości kobiet i wreszcie rozbiegli się poza obóz w poszukiwaniu dalszego łupu, jaki uciekinierzy mogli ukryć w pobliskich jaskiniach lub pod kamieniami. Tego rodzaju dziki handel trwał przez całą noc. Belizariusz szedł od jednego punktu do drugiego z sześcioma wiernymi ludźmi,

tłumiąc ciężką ręką awantury, gdziekolwiek je spotkał. Żołnierze byli tak upojeni nagłym szczęściem, stawszy się za jednym zamachem bogatymi ludźmi, że wszyscy byli przekonani, iż mogą teraz żyć ze swe-go łupu, rezygnując z zobowiązań wojskowych.

O brzasku Belizariusz z moją panią u boku wdrapał się na wał pośrodku obozu, głośno wzywając do dyscypliny i wskazując na niebezpieczeństwo kontrataku. Najpierw nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Następnie osobiście zagrał na trąbce sygnał: „Zbierajcie się, biali”, i kirasjerzy jego pułku stopniowo przypomnieli sobie, że za nieobecność na zbiórce grozi bezlitosna chłosta. Tak więc niechętnie jeden po drugim nadciągali na miejsce, taszcząc swe łupy z pomocą nowo zyskanych rodzin. Na propozycję mej pani Belizariusz odesłał łup pod konwojem do Kartaginy - zdobycz powiązano w węzélki i ułożono na zdobycznych wozach: jeden wóz na każde pół drużyny, a jeńcy tej drużyny szli obok wozu pod nadzorem odpowiedzialnego starszego żołnierza.

Potem Belizariusz wysłał Jana Armeńczyka z dwustu ludźmi w pościg za królem Geilimerem, rozkazując dostarczyć go żywym czy umarłym. Uliaris, który słusznie był dumny z zabicia Zazo, również przyłączył się na ochotnika. Belizariusz wydał teraz rozkaz powszechnej zbiórki do defilady i groził, że przeprowadzi szarżę na pijaną tłuszcę żołnierzy, jeśli nie wrócą do swych obowiązków, co też niebawem uczynili. Wysłał kawalerię, by przeszukała najbliższe okolice za Wandalami, z których tysiące korzystały z azylu w wiejskich kościołach. Oszczędzono ich życie i rozbrojeni pomaszerowali do Kartaginy pod strażą piechoty.

Jan Armeńczyk i Uliaris ścigali Geilimera w kierunku Hippo Regius, zamożnego portu leżącego

około dwustu mil na zachód od Kartaginy. Gonili go przez pięć dni i nocy i byłoby go dopędzili, gdyby nie bardzo nieszczęśliwy wypadek. Pewnego ranka o świtaniu Uliaris zmarł i wypił dużo wina, żeby się rozgrzać. Ponieważ pił na pusty żołądek, zaczął gadać od rzeczy i wyprawiać głupstwa. Stary sierżant zwrócił mu uwagę i rzekł:

-Gdyby twój pan, Belizariusz, zobaczył cię teraz, szlachetny Uliarisie, groziłoby ci wbiecie na pal.

-Gadanie! - odpowiedział Uliaris. - Nikt nie jest pijany, kto potrafi celnie strzelać.

Mówiąc tak, wymierzył do pierwszego celu, jaki mu się nasunął na oczy. Był to pstro upierzony dudek z żółtym czubem, siedzący na krzaku cierni na pobliskim pagórku. Strzała świsnęła, a Uliaris wykrzyknął:

- Czy tak strzela pijany? Jak już mówiłem naszemu panu pod Abydos, pijany nie powinien nigdy brać broni do ręki!

Wszyscy śmieli się, gdyż strzelił bardzo daleko od celu. Lecz śmiech zamarł nagle, gdyż zza pagórka rozległ się krzyk, że zraniono człowieka. Okazało się, że był to sam Jan Armeńczyk, któremu strzała wbiła się w kark całym grotem aż po drzewce.

Tak więc skończył się na razie pościg za królem Geilimerem. Jan Armeńczyk zmarł w parę minut później w ramionach Uliarisa, a Uliaris, ogarnięty wstydem i grozą, schronił się w pobliskim wiejskim kościółku, tak że żołnierze zostali bez dowódcy. Śmierć Jana była pierwszą wielką tragedią, jaką przeżył Belizariusz, lecz zniósł ją bez jednego krzyku boleści w wandalskim stylu. Kiedy żołnierze opowiedzieli o rozpaczach Uliarisa i o słowach umierającego Jana Armeńczyka: „Na twą miłość dla mnie, najdroższy panie, błagam cię, byś się nie mścił na naszym sta-

rym towarzyszu", przebaczył Uliarisowi. Jan Armeńczyk został pochowany na miejscu, a Belizariusz zapewnił znaczną sumę na wieczyste utrzymywanie grobowca. Do końca swego życia Uliaris nigdy nie skosztował wina, chyba tylko wtedy, gdy przyjmował Przenajświętszy Sakrament. Wiele lat później, kiedy już przestał służyć w wojsku, został zakonnikiem i służył Bogu w klasztorze świętego Bartymeusza w Blachernae.

Belizariusz sam wziął się do pościgu za królem Geilimerem, któremu o mało nie udało się uciec z Afryki w łodzi wypełnionej skarbami. Próbował zbiec do swego sprzymierzeńca, króla Wizygotów w Hiszpanii. Lecz przeciwny wiatr spędził go z powrotem do Hippo Eegius. Znalazł schronienie u przyjacielnego z nim szczepu mauretańskiego na przepaścistej górze zwanej Pappua, nad brzegiem morskim w pobliżu Hippo. Statek ze skarbami wpadł w ręce Belizariusza, który jednak nie mógł pozwolić sobie na czekanie w sąsiedztwie, aż łupy zostaną uzupełnione koroną i osobą Geilimera. Był potrzebny gdzie indziej. Toteż, przyjąwszy hołd od miejscowych władz Hippo Eegius, rozejrzał się za odpowiedzialnym żołnierzem, który by podjął oblężenie Pap-puy, i trafił na swego pobratymca Farasa. Jemu też powierzył to zadanie. Gdy Faras i jego Herulowie obozowali u podnóża góry i udaremniali Geilimero-wi ucieczkę, Belizariusz kontynuował w całej diecezji pościg za wandalskimi uciekinierami i rozbrajał ich. Jeńców zebrał w Kartaginie i używał ich do robót fortyfikacyjnych.

Wysłał również ekspedycję do różnych oddalonych części państwa wandalskiego, by zdobyć je dla ich dawnego władcy, zwiększając swą armię przez

pobór rzymskich Afrykańczyków. Skierował odpowiednie oddziały na Korsykę i Sycylię, z głową Za-za na dowód, że nie kłamie twierdząc, iż zdobył Kartaginę; inną ekspedycję do Maroka z głową Ammata-sa, który poprzednio zarządzał tym krajem; następną do Tripolisu, a jeszcze inną - na żyzne Wyspy Balearskie, obfitujące w oliwę, migdały i figi. Wszystkie te wyspy czy terytoria podporządkował od razu swej władzy.

Nie udało mu się jedynie na Sycylii, gdzie w imieniu Justyniana domagał się półwyspu Lilybaeum jako części państwa wandalskiego, na tej podstawie, że przeszła do korony gockiej w posagu, który król Teoderyk dał królowi Hilderichowi za swą siostrą. Goci sycylijscy odmówili oddania tego terytorium, choć było skaliste i pustynne, i pomogli tamtejszej nielicznej załodze wandalskiej przepędzić ludzi Belizariusza. Wtedy Belizariusz napisał surowy list do gubernatora Sycylii, przypominający niezaprzeczalne prawa Justyniana do tego obszaru i grożący wojną, gdyby odmówiono tym żądaniom, albowiem wiedział, że baza w Sycylii będzie stanowiła zabezpieczenie przed możliwą inwazją gocką na Afrykę. Wspominam tę sprawę, ponieważ nabrała ona później wielkiego znaczenia politycznego.

Teraz pozwólcie zakończyć mi rozdział opowieścią o losach króla Geilimera. Siedział ze swymi bratankami, kuzynami i szwagrami na górze Pappua, mieszkając z dzikimi Maurami, zwątpiwszy o wyzwoleniu - czy mógł być bardziej nieszczęśliwy człowiek w Afryce? Jeśli bowiem Wandalów można opisać jako prowadzący najbardziej wytworne życie naród świata, ich sąsiadów - Maurów - należy zaliczyć do największych nędzarzy. Żyją przez cały rok w drażo-

nych w ziemi norach, dusznych lub mokrych w zależności od pory roku. Śpią na klepisku podkładając jedynie owczą skórę i zarówno w zimie, jak i w lecie noszą tę samą grubą koszulę i burnus z kapturem. Nie mają zbroi godnej tej nazwy i posiadają bardzo niewiele przedmiotów codziennego użytku. Chleb, wino i oliwa nie figurują w ich jadłospisie, który składa się z wody, ziół i praśnego placka jęczmiennego, nie ze zmielonej mąki, lecz z ziaren utłuczonych w stępie i upieczonych na węglach.

Nie można nie doceniać cierpień Geilimera i jego rodziny. Musieli okazywać wdzięczność swym mauryjskim przyjaciołom za ich nędzną gościnę, a ponieważ Faras czuwał, nie mogli otrzymywać świeżego zapotrzenia. Niebawem jęczmień zaczął się wyczerpywać. Nie mieli żadnych rozrywek, łaźni, koni, czarujących kobiet, muzyki, a w dali poniżej widniały białe mury i wieże Hippo Regius, owalny hipodrom i statki wpływające do portu i wyruszające w drogę. A wśród ciemnych mas zieleni sadów połyskiwały srebrne plamki, które były chłodnymi stawami rybnymi.

Faras, znudzony się oblężeniem, próbował sforsować górskie urwisko, lecz jego Herulowie zostali odparci z wielkimi stratami przez Maurów, którzy stacali na nich skały. Postanowił wziąć Geilimera głodem. Pewnego dnia napisał doń następujący list:

„Drogi Panie i Królu, pozdrawiam Cię. Jestem tylko barbarzyńcą bez żadnego wykształcenia. Ale mówię te słowa skrybie, który na pewno wiernie zapisze, co chcę Ci powiedzieć. (Jeśli nie, to go spiorę, że popamięta.) Co, u licha, mój drogi Geilimerze, strzeliło do głowy Tobie i Twojej rodzinie, że siedzicie na tej pustej skale z bandą nagich, zawszonych Maurów? Czy

to dlatego, że nie chcesz zostać niewolnikiem? Czym jest niewola? Głupim słowem. Jaki człowiek nie jest niewolnikiem? Żaden. Moi ludzie są moimi niewolnikami we wszystkim z wyjątkiem nazwy. Ja jestem niewolnikiem mojego *andy* Belizariusza, on - cesarza Justyniana, a Justynian, jak mówią, swojej żony, pięknej Teodory. Ona znowu jest niewolnicą kogoś innego, nie wiem kogo, może swojego Boga albo jakiegoś biskupa. Zejdź, monarcho, z góry Pappua i wraz z wielkim Belizariuszem, moim panem i *andą*, zostań niewolnikiem cesarza Justyniana, niewolnika niewolnicy. Wiem, że Belizariusz chętnie oszczędzi Twe życie i pośle Cię do Kesarordy (Konstantynopola), gdzie zostaniesz mianowany patrycjuszem, dostaniesz bogate majątki i spędzisz resztę życia we wszelkich możliwych wygodach wśród koni, drzew owocowych i piersistych kobiet z czarującą małymi nosami. Na pewno zaręczy Ci słowem, a gdy będziesz miał to zapewnienie, będziesz miał wszystko.

podpisano:

X znak Farasa Herula,  
który Ci dobrze życzy."

Geilimer łkał przy czytaniu tego listu. Używszy atramentu i pergaminu, który Faras przezornie posłał mu przez gońca, odpowiedział krótko, iż honor broni mu się poddać, bowiem wojna była niesprawiedliwa. Modli się, by Bóg ukarał kiedyś Belizariusza za nędzę, w jaką wtrącił niewinnych Wandalów. Zakończył tymi słowami: „A jeśli chodzi o mnie, nie mogę pisać więcej, albowiem nieszczęście pozbawiło mnie dowcipu. Żegnaj więc, Farasie o dobrym sercu, i w swym miłosierdziu przyślij mi harfę, gąbkę i bochenek białego chleba."

Faras czytał kilkakrotnie ostatnie zdanie, lecz nie mógł znaleźć w nim żadnego sensu. Dopiero posłaniec mu wytłumaczył: Geilimer chciał jeszcze raz zakosztować zapachu i smaku dobrego chleba, którego nie jadł od długiego czasu; gąbka była potrzebna do kuracji chorego oka - gdyż zaraził się od Maurów zapaleniem oczu; zaś harfa miała mu umożliwić muzyczny akompaniament do elegii, którą ułożył na temat swych nieszczęść. Wtedy Faras, jako człowiek o szlachetnych uczuciach, postąpił dary, lecz nie zmniejszył czujności.

Pewnego dnia, gdy oblężenie trwało już trzy miesiące, król Geilimer siedział w chacie obserwując mauryjską gospodynię, przygotowującą malutki placek z jęczmienia. Kiedy utłukła jęczmień, zrobiła z niego papkę z wodą, nieco wygniotła i włożyła na węgle z cierni, by się upiekł. Dwoje dzieci, bratanek króla i syn jego gospodyni, przykucnęło przy ognisku, obaj bardzo głodni. Czekali cierpliwie, aż placek się upieczce. Młody Wandal cierpiał okropnie na robaki w kiszkiach, których dostał od mauryjskich dzieci. Robaki te wysysają żołądek z całej jego zawartości i wzmagają w ten sposób naturalny apetyt. Placek upiekł się zaledwie w połowie, lecz chłopak nie mógł czekać dłużej i porwał go z popiołu, nie odmuchując ani nie czekając, aż ostygnie, wepchnął sobie do ust i zaczął jeść. Mały Maur porwał go za włosy, uderzył pięścią w skroń, palnął między łopatki, tak że placek wypadł mu z ust, a potem zjadł go sam.

Tego było już za wiele dla wrażliwej duszy Geilimera. Natychmiast wziął zaostrzony patyk, kawałek owczej skóry, atrament ze sproszkowanego węgla drzewnego i koziego mleka, i znowu napisał do Farasa. Oświadczył, że skapituluje na proponowanych wa-



runkach, lecz musi najpierw otrzymać gwarancję Belizariusza na piśmie.

W ten sposób skończyło się oblężenie. Belizariusz udzielił żądanej gwarancji i przysłał eskortę, by sprowadziła Geilimera. Geilimer zstąpił z góry wraz z całą rodziną, a w parę dni później w Kartaginie po raz pierwszy spotkał się z Belizariuszem, który witał go na przedmieściu.

Byłem obecny przy tym spotkaniu, asystując mojej pani, i widziałem żałosne i dziwne zachowanie się króla Geilimera. Albowiem idąc ku Belizariuszowi uśmiechnął się, uśmiech zmienił się w histeryczny śmiech, a śmiech w płacz. Również w oczach Belizariusza pojawiły się łzy, gdy wziął byłego monarchę za rękę i zaprowadził go do sąsiedniego domu na łyk wody. Położył go do łóżka i pocieszał, jak kobieta pociesza chore dziecko.

## Rozdział XII

### KONSULAT BELIZARIUSZA

Choć Wandale zostali rozbici bez żadnych wątpliwości, dzicy Maurowie z głębi kraju nadal stanowili groźbę dla naszych wojsk i dla ośmiu milionów pokojowo nastrojonych rzymskich Afrykanów. Maurowie, których było około dwu milionów, znajdowali się w stałej wojnie z Wandalami i gdy ci później się zdegenerowali, stopniowo zajmowali ich terytoria. Kiedy Belizariusz wylądował, wszyscy z wyjątkiem nielicznych szczepów, takich jak ten na górze Pappua, sprzymierzili się z nim, obiecując mu pomoc przeciwko jego wrogom i wysyłając doń swe dzieci jako zakładników. Ci Maurowie żyją przeważnie w Maroku, które leży naprzeciw Hiszpanii, ale osiedlają się również w głębi kraju, na całym wybrzeżu od Trypolisu do Oceanu Atlantyckiego. Twierdzą, że są potomkami tych Kanaanitów, których Jozue, syn Nuna, wypędził z Palestyny. Zawsze, od czasu kiedy cesarz Klaudiusz niebawem po ukrzyżowaniu Jezusa zdobył i anektował Maroko, wasale wandalscy uważali, że nie warto dochowywać posłuszeństwa ich głównym naczelnikom, jeśli ci nie otrzymali insygniów władzy od samego cesarza. Te insygnia składały się ze srebrnej laski inkrustowanej złotem, czapki w kształcie korony ze srebrnej tkaniny i ze srebrną taśmą, z białego płaszcza ze złotą broszą na prawym ra-

mieniu, zawierającą medalion cesarza, przetykanej złotem tuniki i pary połączonych butów z cholewami. Przez ostatnie sto lat naczelnicy mauryjscy pomrukując niechętnie przyjmowali te przedmioty od wandal-skich królów, do których przeszła władza nad Afryką, lecz ich wasale uzasadniali często swe niesposłuszeństwo tym, że insygnia, szczególnie brosze, nie są autentyczne. Belizariusz zdobył więc łaskę naczelników ofiarując im laski, czapki, płaszcze, brosze, tuniki i buty z cholewami, wszystko prosto z Konstantynopola, a chociaż nie walczyli po jego stronie w dwóch bitwach, które zniszczyły potęgę Wandalów, nie walczyli także przeciwko niemu.

Gdyby Belizariuszowi pozwolono spokojnie rządzić w Afryce w imieniu Justyniana, z pewnością działałby cuda i uczyniłby ten kraj wiecznym przedmurzem i spichlerzem cesarstwa. Zyskałby przyjaźń Maurów i ulepszył ich sposób życia. Zamierzał rekrutować spośród nich oddziały kawalerii, by szkolić je w nowoczesnych metodach walki i zobowiązać do wierności przez nadanie ziemi i pieniędzy. Rzymscy Afrykanie dostarczyliby mu piechoty na załogi i już zresztą zaczęł szkolenie rekrutów. Lecz z tych projektów nic nie wyszło, ponieważ Belizariusz przez zadróć podkomendnych i podejrzliwość Justyniana nie mógł ich wykonać. Dwaj z jego oficerów, tajni agenci Jana z Kapadocji, wysłali poufny raport do Justyniana, że Belizariusz publicznie zasiada na tronie Geilimera i prawdopodobnie ma zamiar zachowania go dla siebie i swoich potomków; że po zdobyciu obozu Wandalów publicznie znieważał swych oficerów i żołnierzy w najbardziej brutalny i tyrański sposób; że zawarł tajny układ z dzikimi Maurami, których namówił, by popierali jego tyranie,

i że zachowuje się z podejrzaną łagodnością wobec jeńców wandaliskich. Ci oficerowie spodziewali się, że łatwowierny Justynian przyśle rozkaz aresztowania i stracenia Belizariusza. Mieli nadzieję, że za swą gorliwość zostaną odpowiednio wynagrodzeni - być może gubernatorstwami Kartaginy i Hippo. Ich imiona były: Jan, bratanek Witaliana, powszechnie znany jako „Krwawy Jan”, oraz Konstantyn. Na wypadek gdyby pismo zaginęło w drodze, posłali do Justyniana dwa odpisy w różnych pakietach, z których jeden dotarł do miejsca przeznaczenia. Lecz drugi - tuż przed odesłaniem - przejęła moja pani, która podejrzewała obu oficerów.

Ten list ogromnie zakłopotał Belizariusza. Nie mógł zaprzeczyć, że miał umowę z Maurami w sprawie zaciągu kawalerii, że zwolnił z niewoli wielu starszych Wandalów, wymierzał sprawiedliwość z tronu Geilimera, wymyślał swym oficerom i żołnierzom w interesie dyscypliny, stojąc owego wczesnego poranka na wale wśród obozu. Zdecydował nie podejmować żadnej akcji przeciwko Krwawemu Janowi i Konstantynowi ani nawet mówić im, iż widział ich donos. W parę miesięcy później przybył pochlebny list od Justyniana, nie wspominający oszczerstw i zapraszający Belizariusza, by czynił, jak uważa za stosowne - albo wrócił do Konstantynopola z łupami i wandaliskimi jeńcami, albo odesłał ich przez kogoś z podkomendnych i pozostał w Afryce. Moja pani Antonina obstawała przy tym, że powinien bez wahania wrócić, by oczyścić się z podejrzeń. Obawiała się zwłaszcza, że jej przyjaciółka Teodora może pomyśleć, iż jest nielojalna albo niewdzięczna. Wraz z listem Justyniana przybyły posiłki kawaleryjskie w sile czterech tysięcy ludzi pod dowództwem dobrych ofi-

cerów, włączając w to niejakiego Hildigera, który już był zaręczony z córką mojej pani, Martą. Tak więc Belizariusz mógł teraz swobodnie wycofać większość kirasjerów swego pułku oraz Massagetów i użyć ich do eskortowania jeńców.

Na gubernatora kraju wybrał eunucha Salomona, do którego miał największe zaufanie, i na wiosnę, przekazawszy Salomonowi szczegółowe instrukcje Justyniana w sprawie właściwego zarządzania krajem, mógł wsiąść na okręt wraz z moją panią Antoniną.

Wracając do Konstantynopola nie zazdrościliśmy Salomonowi jego pracy w Kartaginie, bowiem instrukcje Justyniana stwierdzały czarno na białym, że gubernator nowo zdobytego królestwa nie może żądać od Konstantynopola dalszych posiłków, lecz musi wybierać rekruta spośród miejscowej ludności i oszczędzać na wojskach garnizonowych naprawiając fortyfikacje i budując strażnice nadgraniczne. Osiemdziesiąt tysięcy wandalskiej kawalerii nie zdołało przeszkodzić mauryjskim napadom - lecz to zadanie mieli skutecznie wykonać nasi żołnierze siłami dziesięciokrotnie szczuplejszymi, a w dodatku odzyskać ziemie zagrabione przez Maurów. Następnie Justynian rozkazał wprowadzić nowy wymiar podatkowy i surowo stłumić ariańską herezję i schizmę donatystów. Nie wszyscy kirasjerzy Belizariusza wyruszyli z nami z powodu przybyłego w ostatniej chwili raportu o niewielkiej rebelii Maurów w głębi kraju. Belizariusz na prośbę Salomona odkomenderował na ekspedycję karną pięciuset wybranych ludzi pod wodzą Rufinusa i Aigana. Ta liczba wydała się wystarczająca.

Płynęliśmy do domu przez Trypolis i Kretę, a nasza podróż nie obfitowała w wydarzenia. W połowie lata roku pańskiego 534 wpłynęliśmy znowu do Bo-

sfora Powitano nas hataśliwie przy dokach, a po królewsku w pałacu. Moja pani i cesarzowa Teodora obejmowały się ze łzami. Justynian był tak zachwycony nadzwyczajną wartością skarbów wyładowanych z naszych okrętów, zaś widok piętnastu tysięcy rosytych jeńców tak go wzruszył, iż zapominając o swych podejrzeniach nazwał Belizariusza „naszym wiernym dobroczyńcą” i uścisnął mu rękę. Jednak jako naczelny wódz armii przyjmował całą urzędową chwałę za pobicie Wandalów, a we wstępie do swego nowego zbioru praw, opublikowanego w dniu bitwy pod Tricamaron, już się wystylizował na „zwycięzcę Wandalów i Afrykanów” - pobożny, zwycięski, szczęśliwy i sławny - i nie wspominając, że ktokolwiek jeszcze miał udział w zwycięstwie, pisał, że pomogły je osiągnąć jego wojenne trudy, nocne czuwania i posty. On też, a nie Belizariusz, miał obchodzić triumf, albowiem od czasu powstania cesarstwa żadnemu zwykłemu obywatelowi nie pozwolono na pełny triumf, żeby zwycięstwo nie uderzyło mu do głowy i żeby nie stał się rywalem do tronu. Jak powiadam: cesarz, nawet jeśli jego wojenne trudy ograniczały się do wysłania z portu ekspedycji ze swym błogostwieństwem i pogratulowania jej szczęśliwego powrotu w rok później - jest zawsze zwycięskim wodzem naczelnym.

Niemniej Teodora nastawała, by odgrywał tę samą siedzącą rolę w swym triumfie, jaką odegrał w zwycięstwie, i urządził uroczystą procesję na cześć Belizariusza. Zgodził się. W rocznicę zdobycia Kartaginy Belizariusz ze swej prywatnej rezydencji koło Złotej Bramy w murze Teodozjusza przebył w procesji całą dwumilową ulicę Wysoką. Szedł na piechotę poprzędzany przez księży i biskupów śpiewających uroczy-

ste *Te Deum* i kołyszających kadzielnicami, a nie jechał - jak starożytny zwyczaj wymaga - na rydwanie poprzedzany przez trębaczy. Ulica była udekorowana kwiatami, kolorowymi zasłonami z jedwabiu, wieńcami, transparentami gratulacyjnymi i zapchana wrzeszczącymi dziko tłumami. Przy każdym z wielkich placów, przez które przechodziliśmy - placu Arkadiusza, Wolim Rynku, placu Amastriana, placu Braterskiej Miłości i placu Byka (gdzie zebrali się profesorowie i studenci uniwersytetu), a wreszcie placu Konstantina, gdzie ustawiła się w szeregach milicja miejska - władze miejskie witały go darami i przemówieniami i grano fanfarę na trąbce. Za Belizariuszem, któremu towarzyszył Jan z Kapadocji i inni znaczni generałowie, jechali jego kirasjerzy, szła piechota morska i Massageci (którzy następnego dnia mieli wrócić do domów przez Morze Czarne), a za nimi wzięci do niewoli Wandalowie w łańcuchach, na czele z Geilimerem w purpurowym płaszczu, w otoczeniu swych kuzynów, szwagrów i bratanków. Po tem wieziono na wozach wszystkie łupy z Afryki.

Były to nadzwyczajne łupy; nigdy takich nie niesiono w jakimkolwiek triumfie na świecie. Choć bowiem pod Tricamaron żołnierze splądrowali obóz, te bogactwa były jedynie jedną dziesiątą tego, co zabrano ze skarbców miejskich, pałaców królewskich i siedzib szlachty w Kartaginie, Hippo, Bulli, Grasse i innych miastach. Składały się one z akumulowanych przez sto lat zysków z handlu morskiego i podatków z Afryki oraz łupów ciągłych pirackich wypraw Geisericha. Wandale byli małą liczebnie i uciskającą lud arystokracją w bogatym urodzajnym kraju i gromadzili wszystko, czego nie chciało im się wydawać na budowle publiczne. Tak więc na wozach piętrzyły się

miliony funtów srebra w sztabach i worki monet złotych i srebrnych, a także ze szczerego złota, złote czasze, półmiski i solniczki wysadzone klejnotami, złote trony i złote wozy używane do procesji, posągi ze złota i tomy Ewangelii oprawne w złoto i wysadzone perłami, stopy złotych naszyjników i wieńców i wykładane złotem zbroje - mówiąc pokrótce, każdy luksusowy i piękny przedmiot, jaki można sobie wyobrazić, włącznie z bezcennymi starożytnościami, zrabowanymi przez króla Geisericha w cesarskim pałacu w Rzymie i w świątyni Jowisza na Wzgórzu Kapitołińskim. Była tam również wielka ilość świętych relikwii: kości męczenników, cudowne wizerunki, autentyczne szaty apostołów, gwoździe z krzyża świętego Piotra, który był ukrzyżowany głową w dół.

Lecz najcudowniejszymi i najbardziej godnymi podziwu łupami były właściwie przedmioty religijnej czci Żydów, sporządzone przez Mojżesza na puszczy na wyraźny rozkaz Boga i umieszczone później w świątyni w Jerozolimie. Wylicza je dwudziesty piąty rozdział Księgi Exodus: święty stół chlebowy z drzewa setym, powleczony czystym złotem, oraz należące do niego złote łyżki, miski i czasze, i sied-mioramienny świecznik z kutego złota z nożyczkami i gaśnikami, a także złota ubłagalnia z jej dwoma złotymi cherubinami o rozwiniętych skrzydłach. Te rzeczy Geiserich ukradł z Rzymu, gdzie złożył je cesarz Tytus po zdobyciu Jerozolimy. Natomiast sama Arka Przymierza zniknęła. Niektórzy mówią, że wraz z innymi łupami ze świątyni znajduje się gdzieś we Francji w rękach króla Franków, a drudzy, że w Axum w Etiopii, inni, że została zatopiona na dnie Tybru w Rzymie, a jeszcze inni, że dawno już uniosła się do nieba poza zasięg świętokradczych rąk.



Senat spotkał procesję i przyłączył się do niej przy placu Amastriana i tak samo uczyniły roje mnichów i innych duchownych. Mnisi zachowywali się w najbardziej nieokrzęsany sposób, wytrzeszczając oczy na skarby, szczególnie na święte relikwie, które Justynian obiecał ich kościołom.

W dniach rzymskiej republiki zwycięski generał jechał ze swymi jeńcami przez ulice stolicy i na ten jeden dzień miał najwyższą władzę. Nieprzyjacielskiego króla czy wodza, jeśli dostał się do niewoli, zabijano na ofiarę pod koniec ceremonii. Jakże się zmieniły obyczaje od tych heroicznych czasów! Patrzcie na Geilimera, wolnego od łańcuchów: gdy procesja wreszcie dosięga hipodromu, gdzie oczekuje Justynian w łożu cesarskiej, były król wchodzi wraz z innymi. Zrzuca swój purpurowy płaszcz i wstępując ku tronowi składa ukłon przed Justynianem, po czym łaskawie zostaje podniesiony i uzyskuje przebaczenie. Otrzymuje monarsze pismo, które przyznaje mu obszerne majątki w Galacji, a w uzupełnieniu tytuł prześwieconego patrycjusza, jeśli się wyrzecze herezji ariańskiej. Patrzcie także na Belizariusza, zwycięzcę, który zbliża się do tronu, zrzuca swój purpurowy płaszcz i składa ukłon u stóp cesarza, a nie otrzymuje ani majątku, ani słowa wdzięczności, lecz udziela mu się tylko informacji, że dobrze wykonał rozkazy.

Moglibyście zapytać, jak się zachował Geilimer przy tej okazji. Nie śmiał się ani nie płakał, lecz tylko potrząsał smutnie głową jakby ze zdziwienia i powtarzał wciąż niby jakieś zaklęcie słowa proroka Eklezjasty: „Marność nad marnościami, wszystko marność.” Niedługo potem wyjechał ze swą rodziną do Galacji i żył tam do późnego wieku, dochowując wierności wierze ariańskiej. Jeśli chodzi o innych jeńców: z naj-

bardziej bojowych sformowano szwadrony kawalerii i wysłano do obrony perskich granic, lecz najpierw Belizariusz wybrał z nich ludzi do swojego pułku. Pozostałych używano jako robotników przy budowie kościołów lub jako wioślarzy na cesarskich galerach. Później Teodora powiedziała Justynianowi, że jeśli chce zyskać przydomek „Wielki”, musi być wielkoduszny i obdarzyć Belizariusza jakimś wartościowym znakiem łaski. W związku z tym mianował go konsulem na następny rok, a nawet wybił medal: swą własną głowę na czołowej stronie, a Belizariusza w pełnej zbroi na koniu na odwrocie z napisem: „Chwała Rzymian” - wyjątkowe odznaczenie w naszej stolicy. Wprowadzenie Belizariusza na godność konsula nastąpiło w dzień Nowego Roku. Siedząc na krześle z kości słoniowej, podtrzymywanym przez wandal-skich jeńców, i z laską z kości słoniowej w ręku, odbył znowu krótki pochód przez miasto od swych apartamentów w pałacu do senatu. Po drodze szczerze obdarowywał tłumy ze swych prywatnych zdobyczy wojennych, rzucając złote i srebrne monety, kubki, zapinki, brosze - do wartości stu tysięcy sztuk złota. Lecz moja pani Antonina, której przezorność w sprawie butelek z wodą warto przypomnieć, zatroszczyła się, by sam nie został żebrakiem. Gdy tłum domagał się więcej, powiedziała natrętom, że są bezwstydnikami i obdarliby Belizariusza nie tylko z tego, co zdobył w Afryce, lecz również z tego, co odziedziczył po rodzicach czy oszczędził z darów cesarza. By przedstawić przezorność mojej pani w sprawach ekonomii, muszę wam powiedzieć, że gdy byliśmy w Kartaginie, bez wiedzy Belizariusza wzięta ze skarbów Ge-ilimera dużą ilość pieniędzy, wybierając wszystkie niedawno wybite monety cesarskie, jakie znalazła,

tak że nie można było podejrzewać ich pochodzenia, i ukryła je na wszelki wypadek. Albowiem wydatki Belizariusza na utrzymanie jego dworu i wojska były ogromne i nigdy nie istniał człowiek bardziej szczerobliwy dla potrzebujących i nieszczęśliwych.

Święte relikwie rozdzielono między kościołami stosownie do w<sup>T</sup>ezwania każdego z nich i każdy znaczniejszy kościół coś otrzymał. Ale jedna mała, pozbawiona wezwania wspólnota bardzo biednych mnichów, którzy utrzymywali się z żebractwa i zajmowali zrujnowany dom na przedmieściach Blachernae, nie miała udziału w tych wszystkich dobrodziejstwach. Opat przyszedł do Belizariusza i poprosił go w imię Chrystusa, czy nie ma jakiejś drobnostki, którą mógłby im dać: albowiem gdy był w Afryce, całe noce i dnie modlili się za niego.

Belizariusz odpowiedział:

- Czcigodny ojcze, macie bractwo biednych, żebrzących braci, którzy mało sobie cenią srebro czy złoto, dlatego też nie dam wam żadnego przedmiotu, który mógłby odciągać was od religijnych rozmyślań. Lecz pożyczę wam słynną relikwię, żebraczą miseczkę świętego Bartymeusza, którą sam cesarz dał mi po bitwie pod Dara. Powinniście umieścić ją w waszym domu i trzymać jako pamiątkę waszych ślubów ubóstwa, cierpliwości i cnoty. Pamiętajcie, że jest to tylko pożyczka, ponieważ nie mogę okazać się niewdzięczny wobec jego świątobliwego majestatu. Może któregoś dnia sam jej będę potrzebował.

Od tego czasu zakonowi nie brakło nigdy pokarmu czy napoju, ponieważ stał się głównym celem pielgrzymek i był potem znany jako monastyr Świętego Bartymeusza.

Jeśli chodzi o złotą ubłagalnię, złoty siedmioramienny świecznik, stół i inne żydowskie skarby, to biskup Jerozolimy przekonał Justyniana, by zwrócił je do tego miasta. Biskup argumentował, że nie przyniosły one szczęścia Rzymianom, których państwo zdobyli barbarzyńcy, ani Wandalom, których Justynian sam pokonał. Niewątpliwie niosą z sobą przekleństwo. Justynian odesłał je do Jerozolimy do tego samego budynku, w którym przedtem przebywały przez tysiąc lat - świątyni Salomona, będącej obecnie chrześcijańskim kościołem. Co za wspaniałe źródło dochodu dla tamtejszego duchowieństwa; Żydzi lamentowali, że pozbawiono ich świętych przedmiotów czci, i prorokowali, że niebawem chrześcijanie zostaną wypędzeni z Jerozolimy, lecz nic takiego nie zdarzyło się za mego życia.

Gdy wiadomości o zdobyczach Belizariusza dotarły na dwór perski, król Khosrou był bardzo zaskoczony i poważnie się strapił. Wysłał poselstwo z gratulacjami do Justyniana i spytał pół żartem, pół serio o swój udział w zdobyczach kartagińskich. Twierdził, że gdyby nie pokój z Persją, Justynian nigdy nie mógłby wysłać wojsk do Kartaginy, Justynian udał, że bierze żart za dobrą monetę, i ofiarował królowi cenną złotą zastawę stołową. Tak więc wieczny pokój utrzymał się w mocy.

Nie potrzebuję dawać szczegółowego sprawozdania z życia mojej pani w Konstantynopolu po naszym powrocie z Kartaginy. Znowu była w orszaku Teodory i spędzała wolny czas na przyjęciach, wycieczkach i odwiedzinach w teatrze. Teodozjusz stale przebywał z nią razem i na dworze kursowało mnóstwo rozwiązłych plotek o ich przyjaźni, lecz Belizariusz, ponieważ Teodozjusz był jego chrzestnym sy-

nem, nie zwracał na to uwagi, traktując młodego człowieka z całkowitym zaufaniem.

W tym czasie nadeszły wiadomości, które ogromnie zmartwiły Belizariusza: Rufinus i Aigan oraz pięciuset kirasjerów, których zostawił Salomonowi, polegli z rąk Maurów. Salomon wysłał ich w głąb kraju, do miasta zwanego Królewskie Źródła w centrum okręgu zbożowego, sto mil od Hadrumetum. Mieli odbić dużą ilość afrykańskich chłopów, których uprowadził mauryjski zagon. Kirasjerom udało się wykonać to zadanie i eskortując chłopów wracali z wolna do domu, gdy wpadli w zasadzkę na wąskiej przełęczy górskiej, obsadzonej przez siedem tysięcy Maurów. W zaciętej walce naszych żołnierzy wycięto do nogi. Maurowie napadali również w zachodniej części diecezji i siły Salomona w ogóle nie wystarczały do obrony rzymskich Afrykanów. Salomon napisał do mauryjskich naczelników, protestując przeciwko tym gwałtom: przypomniał im, że są teraz sprzymierzeńcami Justyniana, że wysłali swe dzieci do Kartaginy na porękę swego zachowania i że powinni pamiętać o losie Wandalów. Maurowie tylko śmieli się z tego poselstwa. W odpowiedzi oświadczyli, że sojusz z Justynianem w najmniejszym stopniu nie poprawił ich położenia. Żyjąc w poligamii nie przywiązują większej wagi do dzieci, gdyż łatwo można je zastąpić innymi, ani też nie pozwalają sobie na zbyt czułe sentymenty rodzinne, przez które Geilimer przegrał dwie bitwy i stracił królestwo. Wskazali, że porażka Wandalów jest raczej smutną wróżbą dla rzymskich Afrykanów, a nie dla Maurów. Ich napady trwały dalej.

Salomon dał im pole ze wszystkimi wojskami, jakie mógł zgromadzić. Maurowie popełnili teraz

omyłkę, łącząc się w wielką armię, zamiast podzielić się na małe zagony i pustoszyć kraj. Wojska tak niedyscyplinowane jak ci Maurowie, nie posiadający zbroi, a jedynie niewielkie tarcze, tylko dwa dziryty na jednego wojownika i z rzadka jakiś miecz, tracą wartość bojową proporcjonalnie do ich liczby w skoncentrowanej masie. Zastosowali dziwny szyk obronny, którym pokrzyżowali niegdyś szyki Wandalom w Trypolisie. Wzniesli okrężną palisadę u stóp wzgórza. Wsadziwszy za nią sw<sup>ę</sup>e kobiety, i mężczyzn, nie biorących udziału w walce, otoczyli ją dwunastoma szeregami wielbłądów, powiązanych głową do ogona, bokiem do nieprzyjaciela. Kiedy zjawiła się armia rzymska, niektórzy Maurowie stali na grzbietach wielbłądów, gotowi do ciskania z góry dzirytami, podczas gdy inni przykucnęli pod brzuchami zwierząt, aby we właściwej chwili wyskoczyć naprzód do ataku. Ich kawaleria ustawiła się na wzgórzu zamierzając szarżować w dół, gdyby obóz został zaatakowany. Kawalerzyści byli zbrojni we włócznie i miecze.

Salomon rozpoczął atak. Lecz rzymskie konie kawalerskie, nie przyzwyczajone do woni wielbłądów, stawały dęba i nie można ich było zmusić do szarży, a Maurowie zadali duże straty dzirytami. Wtedy Salomon spieszył szwadron trackich Gotów - wysokich, silnych mężczyzn ubranych w kolczugi - i sam poprowadził ich z wzniesionymi tarczami i z dobytymi mieczami przeciwko pierścieniowi wielbłądów. W mgnieniu oka zabili dwieście wielbłądów i przerwali pierścień. Piechota Maurów uciekła w zamieszaniu, ich kawaleria w ogóle nie weszła do akcji. Salomon zdobył wszystkie kobiety i wszystkie wielbłądy, a dziesięć tysięcy Maurów zabito w pościgu.

W kilka tygodni później otrząsnęli się po porażce i wdarli się znowu na tereny zbożowe z największą armią, jaką kiedykolwiek udało im się zebrać - tak wielką, że była nie tylko bezużyteczna, lecz nawet groźna dla samej siebie. Salomon zaskoczył napastników pewnego dnia o brzasku, gdy obozowali na jakiejś górze, i zepchnął do wąwozu. W zamieszaniu walki te dzikusy deptały jeden po drugim i nikt nie myślał się bronić. Choć może się to wydać niewiarogodne, zginęło ich pięćdziesiąt tysięcy, zanim słońce podniosło się wysoko, a z rzymskich żołnierzy ani jeden nie został nawet draśnięty. Tak wielka była liczba wziętych do niewoli kobiet i dzieci, że zdrowy chłopak mauryjski, którego cena w Konstantynopolu wynosiła nie mniej niż dziesięć sztuk złota, kosztował teraz dwie sztuki srebra, tyle co tłusta owca. W ten sposób pomszczono Rufinusa i Aigana.

Niedobitki Maurów schroniły się ze swymi rodzinami na górze Aures, trzynaście mil drogi lądem od Kartaginy, na granicy Maroka. Ta góra, licząca sześćdziesiąt mil obwodu, jest bardzo łatwa do obrony i bardzo żyzna na wyższych stokach, gdzie spotyka się źródła czystej wody. Trzydzieści tysięcy wojowników miało tu teraz główną bazę wypadową.

Jeśli chodzi o pozostałą część rzymskiej Afryki, mieszkańcy pragnęli teraz z całego serca powrotu Wandalów - nie tylko ze względu na najazdy Maurów, lecz także z przyczyny poborców podatkowych Justyniana, którzy obsiedli kraj jak głodne pijawki. Wandalowie również byli pijawkami, lecz pijawkami sytymi: domagali się od chłopów zaledwie jednej dziesiątej części zbiorów i ściągali daninę dość niedbale. Natomiast Justynian żądał jednej trzeciej i pilnował, by ją dostarczono akuratnie. Ponadto znowu panowało niezado-

wolenie w armii z poduszczenia wandalskich żon żołnierzy. Wydawało się, iż zwykła sprawiedliwość wymaga, żeby zwycięscy żołnierze otrzymali w nagrodę żyzne pola i ładnie zbudowane domy tych, których wywłaszczyli. Lecz na rozkaz Justyniana posiadłości te zostały zasekwestrowane i sprzedane na rzecz skarbu cesarskiego. Żołnierze nie dostali nic, musieli natomiast budować odległe strażnice, pilnować ich i uprawiać jałowe, bezwodne ziemie w okolicy. Wandalskie kobiety podniosły wielki krzyk przeciwko tej niesprawiedliwości, buntując swych mężów, by domagali się właściwego wynagrodzenia. Lecz Salomon nie miał władzy, by zaspokoić ich pretensje.

Była jeszcze jedna przyczyna niezadowolenia w armii, i to słuszna w moim przekonaniu, spowodowana głupim fanatyzmem Justyniana dla wiary ortodoksyjnej. Wojska Salomona posiadały, jak wiecie, pięćuset trackich Gotów, trzystu Herulów Farasa i około dwustu innych barbarzyńców zza Dunaju: byli to wszystko ariańscy heretycy. Lecz Justynian wysłał rozkaz wytępienia herezji ariańskiej i prześladowania ariańskich kapłanów. Zabronił udzielania sakramentów jakimkolwiek arianinowi, jeśli się nie nawróci albo nie da ochrzcić swych dzieci. Ta zasada dotyczyła nie tylko pozostałych przy życiu Wandalów - starych mężczyzn i kobiet oraz żon i przyrodnych dzieci żołnierzy - i rzymskich konwertytów na tę herezję, ale także naszych dzielnych żołnierzy, których nikt dotychczas tak nie obraził.

Sprawozdania Salomona z sytuacji w Afryce stały się tak niepokojące, że Belizariusz błagał Justyniana, by ariańskim żołnierzom pozwolono przyjmować sakramenty z rąk ich własnych księży, jak to było w zwyczajach. Lecz Justynian nie zgodził się, twierdząc,



że byłoby to bezbożne postępowanie i zagroziłoby jego szansom zbawienia. Belizariusz nie mógł naciskać na tę sprawę. Poprosił następnie Justyniana, by znalazł posiłki dla Salomona (który między innymi musiał wysłać ekspedycję przeciwko bandytom na Sardynii). Proponował użyć te oddziały do obsadzenia strażnic, natomiast stare wojska powinny stanąć garnizonem w Kartaginie i otrzymać może nie pałace i parki, lecz przynajmniej przyzwoite domy i grunty, co uśmierzyłoby ich niezadowolenie. Justynian niby to się zgodził i ściągnął dwadzieścia tysięcy ludzi z Tracji i granicy perskiej, zastępując je nowymi załogami wandalskimi. Następnie powiedział Belizariuszowi na publicznej audyencji, że musi niebawem wrócić do Kartaginy i przejąć gubernatorstwo od Salomona. Jednak wszystko to było kłamstwem. Justynian myślał o nowej wojnie. Wojska nie były przeznaczone do Afryki, lecz do zdobycia Sycylii.

Wspominałem złożone w imieniu Justyniana roszczenie Belizariusza do półwyspu Lilybaeum. Gubernator Sycylii przekazał to żądanie królowej Amalasuncie, regentce Italii, Sycylii, Dalmacji i południowo-wschodniej Francji w imieniu jej młodego syna Atalricha; Justynian zawarł z nią układ umożliwiający Belizariuszowi aprowizowanie się w Syrakuzach po drodze do Kartaginy. Królowa Amalasunta oficjalnie ogłosiła pogląd, że z wygaśnięciem monarchii wandalskiej Lilybaeum wraca pod jej władzę jako ojcowizna. Lecz prywatnie nie chciała kłócić się z Justynianem, ponieważ znajdowała się w bardzo trudnej sytuacji jako królowa Gotów, którzy zawsze uważali za uwłaczające ich godności, by rządziła nimi kobieta.

Jej ojciec, wielki król Teoderyk, był cudem wśród barbarzyńców. Pochodził z narodu tych Ostrogotów,

którzy odnieśli wielkie zwycięstwo pod Adrianopolem, jak podawałem w jednym z poprzednich rozdziałów, a z kolei sprzymierzyli się z cesarzem Wschodu i bronili jego granic. W niewiele lat później, na propozycję cesarza Wschodu, prawie cały naród Ostrogotów pod dowództwem Teoderyka wyemigrował z Tracji do Italii, by toczyć wojnę przeciwko barbarzyńskiemu generałowi, który złożył z tronu cesarza Zachodu. Zaledwie kilka tysięcy Ostrogotów pozostało na miejscu. Król Teoderyk pobił i zabił uzurpatora, i zajął Italię dla siebie i swoich ludzi. Sprawując rządy sprawiedliwie, mądrze i długo, przywrócił dobrobyt w całej Italii, a choć formalnie był wasalem cesarza w Konstantynopolu, otrzymał całkowitą swobodę działania. Choć sam nieuczony, Teoderyk był przyjacielem nauki. Goci -którzy, jak wszyscy Germanie, przedkładają cnoty barbarzyńskie nad cywilizowane - nie mogli jednak oskarżać go o miękkość, bo był najlepszym jeźdźcem i najlepszym łuczniakiem w swoim państwie, a zbytku unikał jak dżumy. Najszlachetniejszą jego cechą była tolerancja religijna: jakkolwiek wyznawał herezję ariańską, zezwalał na całkowitą wolność religijną prawowiernym chrześcijanom i heretykom wszelkich godnych szacunku odmian.

Amalasueta odziedzyczyła odwagę i zdolności ojca, a poza tym była bardzo piękna, lecz miała niewielu przyjaciół wśród gockich wielmożów. Kiedy po śmierci Teoderyka korona przeszła na jej dziesięcioletniego syna, Atalricha, a ona była regentką, mieszała się do wszystkiego, nawet do wychowania Atalricha. Teoderyk pragnął, by chłopiec został kulturalnym człowiekiem, zdolnym do rozmowy na równych warunkach z cesarzem, papieżem czy rzymskim senatorem, i dał mu poważnych nauczycieli. Jednak

barbarzyńska szlachta chciała, by młodzieńcowi pozwolono szaleć z rówieśnikami i uczyć się pić, hulać, jeździć na kucyku i wymachiwać mieczem, tak jak czynią wszyscy gołcy magnaci, kiedy są młodzi.

W rezultacie Atalrich rósł na zupełnego prostaka. Nauczył się pogardzać swą matką i, podlegany przez towarzyszy, groził otwarcie, że odbierze jej władzę. Traktowała go z subtelnym szyderstwem, lecz potajemnie przygotowywała się do opuszczenia Italii statkiem wyładowanym skarbami - ćwierć miliona w złotych monetach - miała zamiar schronić się u Justyniana w Konstantynopolu. Wysłała nawet list informujący go o tych zamiarach, a on odpowiedział, że z radością ją powita. Jednak udało jej się zgładzić trzech młodych szlachciców, którzy przysparzali najwięcej kłopotów, i uznała, że nie potrzebuje teraz uciekać. Lecz z Rawenny, gdzie znajdował się dwór Amalasynty, jest daleka droga do Konstantynopola. Justynian z zaciekawieniem oczekiwał dalszych wieści. Wyprawił posła do Amalasynty pozornie, by omówił z nią sprawę Lilybaeum, lecz w rzeczywistości po to, by dowiedzieć się, dlaczego nie przybyła. Wysłał również dwóch biskupów, oficjalnie dla przedyskutowania z papieżem jakiegoś zawikłanego punktu doktryny chrześcijańskiej, lecz w rzeczywistości na sekretne rozmowy z niejakim Teudahadem, bratankiem Teoderyka, który odziedziczył wielkie posiadłości w Toskanii - okręgu nadbrzeżnym na północ od Rzymu. Amalasynta właśnie wezwała Teudahada do Rawenny, by udzielić mu nagany za bezprawne wywłaszczenie z ziemi paru obywateli rzymskich, jego sąsiadów, a także zagarnięcie posiadłości należącej do korony. Zobowiązała go do zwrotu zagrabionego mienia i do przeprosin.

Poseł i biskup wrócili z dobrymi wieściami, iż Teudahad, w zamian za stały dochód i posiadłość w Konstantynopolu, z nienawiści do Amalasynty, chętnie odda Toskanię żołnierzom Justyniana, kiedykolwiek ten zechce wysłać armię okupacyjną, i że Amalasynta potajemnie chciałaby odstąpić regencję w Italii Justynianowi na tych samych warunkach, ponieważ już dłużej nie da sobie rady ze swym synem. Lecz w sprawie Lilybaeum odpowiedziała oficjalnie, iż Justynian nie ma żadnych praw do tego obszaru.

Nagle niespodziewany wypadek zmienił całą sytuację. Młody Atalrich, którego zdrowie było nadszarpnięte przez pijaństwo i rozpustę, podupadł bardzo na siłach i umarł. Amalasynta, która panowała jedynie na tej podstawie, iż była jego matką, stała się w ten sposób w myśl gockich praw zwykłą obywatelką. Zdecydowała wybrać zaraz szlachetnego Gota, aby przez małżeństwo z nim pozostać królową. Pomyślała, że nie ma bardziej odpowiedniego męża dla niej niż tenże Teudahad, jej kuzyn (o którego konszachtach z Justynianem nie wiedziała, tak samo jak on o jej); starszy, spokojny mężczyzna, niepodobny do innych Gotów, ponieważ studiował filozofię i pisał łacińskie heksametry. Bez wątpienia poczułby się zaszczycony związkiem z nią i bez przeszkód pozwoliłby jej rządzić w jego imieniu. Dlatego też zaproponowała mu małżeństwo; wyolbrzymiając korzyść z takiego związku twierdziła, że małżeństwo będzie go chroniło zarówno przed wrogością gockich wielmożów, którzy nienawidzili go za jego wykształcenie, jak i Italczyków, którzy nienawidzili go za jego chciwość. Amalasynta powiedziała Teudahadowi, że nikt nie ma większych praw do tronu niż on. Lecz bez niej nie będzie miał nadziei ani na zdobycie, ani na utrzymanie korony. Zgodził się z pozornym zadowolę-

niem, został oficjalnie ukoronowany na króla i okrzyknięty władcą przez Gotów, bowiem nie zgłaszał się inny kandydat z królewskiej krwi. Lecz Amalasunta przechytrzyła sprawę. Cóż zrobił Teudahad, gdy tylko włożył koronę na głowę? Otóż złamał swą świętą przysięgę złożoną żonie, że nie będzie się mieszał do publicznych spraw. Natychmiast wykluczył Amalasantę ze swego radnego pokoju i deportował ją na małą wysepkę na jakimś jeziorze toskańskim, trzymając ją tam jak w więzieniu.

Kiedy Justynian usłyszał o postępkach Teudahada, był bardziej zadowolony, niż na to wyglądał. Skierował innego posła do Italii, by poinformować Amalasantę, że otrzyma wszelką pomoc przeciwko swym wrogom. Poseł dostał instrukcję, by nie skrywać tej wiadomości przed Teudahadem czy jego wielmożami. Justynian miał w ten sposób nadzieję, że wprawi całe królestwo w stan zamieszania. Lecz gdy poseł przybył do Italii, Amalasunta już nie żyła: krewni trzech młodzieńców, których kazała zamordować, namówili Teudahada, by pomścił ich śmierć. Kiedy pewnego popołudnia kąpała się ze swymi kobietami w jeziorze, zaskoczono ją i utopiono, trzymając jej głowę pod wodą, aż się udusiła.

Należy wspomnieć, że choć Justynian stałe demonstrował swą wielką miłość do Teodory, cesarzowa odetchnęła z ulgą po śmierci królowej, uważała ją bowiem za swą rywalkę. Prawdą jest, że Amalasunta, którą Justynian znał jeszcze dzieckiem, była lepiej urodzona niż Teodora, nieco młodsza i o wiele piękniejsza. Jan z Kapadocji napomykał, że Teodora sama przygotowała ten zamach.

Tak więc Justynian zyskał pretekst do wojny - zamordowanie niewinnej kobiety, jego sojuszniczki.

Wróżbę powodzenia widział w niepopularności i nieudolności króla Teudahada, o którego wierszach powiadano, że nie dają się skandować, i który jako filozof był również do niczego. Lecz Teudahad słyszał i wierzył plotce powstałej na tle zazdrości Teodory o Amalasantę, że perfidny Justynian zamierzał najechać na Italię ze swą armią i ożenić się z Amalasantą rozwiódłszy się wprzód z Teodorą, a ponadto prześladować Gotów jako heretyków. Tę opowiastkę podał swemu dworowi dla uzasadnienia morderstwa swej żony. Goci uznali słuszność tego czynu, albowiem wyszło na jaw, iż Amalasantą prowadziła zdradziecką korespondencję z Justynianem. Lecz Teudahad oficjalnie zapewnił posła Justyniana, iż morderstwo popełniono bez jego wiedzy i wbrew jego woli. Wyjaśniłem już, dlaczego Belizariuszowi rozkazano zająć Sycylię, która leżała na rubieżach posiadłości króla Teudahada, a której ludność ponadto była ogromnie niezadowolona. Sycylia, spichlerz Rzymu, od pewnego czasu cierpiała na kiepskie urodzaje w związku ze złą pogodą i wyjąłowieniem gruntu, tak że chłopom niełatwo przychodziło płacić dziesięcinę, jakiej wymagali Goci. Jesienią, roku swego konsulatu, Belizariusz wyruszył ku tej wyspie. Antonina udała się z nim razem (a ja z nią), a ponadto jej syn, Focjusz, i Teodozjusz także. Lecz armia pod dowództwem Belizariusza liczyła tylko dwanaście tysięcy ludzi, a nie dwadzieścia. W ostatniej chwili Justynian odłączył osiem tysięcy i posłał je do Mundusa (dowódcy armii w Ilirii, który pomagał Belizariuszowi w tłumieniu buntów zwycięstwa), rozkazując mu dokonać z ich pomocą dywersji przeciwko Gotom w Dalmacji. Dalmacja z całym północno-wschodnim wybrzeżem Morza Adriatyckiego znajdowała się

w tym czasie pod panowaniem Gotów. Justynian zamierzał także zadać cios Gotom w jeszcze innej okolicy. (Napisał do Franków, którzy od chrztu króla Kłodwiga są prawowiernymi chrześcijanami, że będą mieli teraz okazję najechnia na gockie terytoria między Alpami i Zorhone i że będzie to święta wojna przeciwko ariańskim heretykom, błogosławiona przez duchowego ojca chrześcijan, papieża.)

Pogoda była pomyślna, a podróż przyjemna. Wylądowaliśmy w Katanii w grudniu. Tamtejsi ludzie, pamiętając, jak uczciwie ich traktowaliśmy podczas naszej poprzedniej wizyty, powitali nas serdecznie. Bardzo narzekali na Gotów i pytali, czy nie zatrzymalibyśmy się u nich nieco dłużej tym razem; nikt bowiem oprócz Belizariusza nie wiedział, że nie zamierzamy kontynuować podróży do Kartaginy, jak zapowiedziano. Wreszcie Belizariusz otwarcie ogłosił swe zamiary, mianując się opiekunem miejscowej ludności i wyprawiając posłów do wszystkich głównych miast z wezwaniem do kapitulacji. W ciągu kilku dni cała Sycylia z wyjątkiem załogi Palermo bez dobycia miecza z pochwy poddała się Belizariuszowi. W Palermo skoncentrowały się gockie oddziały z całej wyspy, chroniąc się za doskonałymi fortyfikacjami. Lecz nawet Palermo ustąpiło nieoczekiwanie szybko. Belizariusz wpłynął do portu, który nie był zablokowany, i stwierdził, iż maszty przeważającej części jego statków znacznie przewyższają przyległe mury obronne. Cóż łatwiejszego niż podnieść na blokach łodzie między głównym a środkowym masztem i napętnić je wyćwiczonymi łucznikami? (Lecz tak prosty plan nigdy chyba nie przyszedł do głowy zwykłemu generałowi.) Łucznicy mogli strzelać wzdłuż ulic miasta i uniemożliwić komukolwiek wysunięcie głowy za

próg, chyba tylko na bocznych ulicach. Belizariusz groził, że jeśli Palermo szybko się nie podda, każe miotać ogniste strzały i spali domy. Toteż mieszcza- nie zmusili Gotów do kapitulacji.

Nietrudno wątpić, czy w tak krótkim ustępie jak ostatni można uczciwie opisać, jak żyzna wyspa, peł- na wspaniałych miast i mająca nie mniej niż siedem- dziesiąt tysięcy mil kwadratowych obszaru, została odebrana barbarzyńcom przez nasze cesarskie woj- ska. Jednak nie mogę przypomnieć sobie ani jednej ważnej okoliczności, którą bym pominął, a która mo- głaby powiększyć opis do dwóch ustępów. To imię Belizariusza raczej zdobyło Sycylię niż jego armia -z pomocą krótkowzrocznej gorliwości prawowiernych chrześcijan, którzy spodziewali się lepszego traktowania przez ich współwyznawcę Justyniana niż przez ariańskiego króla. W ostatni dzień roku, kiedy okres urzędowania Belizariusza jako konsula dobiegał końca, pomaszerował bez przeszkód do stolicy w Syrakuzach i złożył tam, jak to nazywają, swe różgi i topór. Gdy tam wszedł, rozdzielał szczerze obywatelom złoto i srebro z prywatnego skarbcza zdobytego na Gotach, którzy przeciwstawiali mu się w Palermo, a ludność okrzyknęła go radośnie wy- zwolicielem.

Poseł Justyniana pozostał we Włoszech i obserwo- wał zmieszanie króla Teudahada na wiadomość o wyładowaniu Belizariusza w Katanii i wieści jedno- cześnie napływające z Dalmacji o zdobyciu przez Mundusa Spalato. Teudahad przestraszył się, że grozi mu los króla Geilimera, jego kuzyna - gdyż obaj mieli wspólną ciotkę. W tajemnicy przed radą zapropono- wał postowi, że sceduje Sycylię na Justyniana i po- za tym będzie mu płacił trzysta funtów w złocie rocz-



nego trybutu, a także dostarczy trzech tysięcy gockich kawalerzystów wraz z końmi do służby w północnej Afryce czy na granicy perskiej, wedle uznania Justyniana, i będzie utrzymywał tę liczbę, przysyłając rokrocznie uzupełnienia ludzi i koni. Wyrzekł się również prawa skazywania na śmierć włoskich księży i patrycjuszy oraz nadawania komukolwiek patrycjuszowskiej godności bez zgody Justyniana czy jego następców. Zgodził się nawet, by stronnictwa na hipodromie w Rzymie, gdzie sprawował funkcję przewodniczącego, wymieniały w pozdrowieniu imię Justyniana obok imienia króla Gotów, i by obok każdego posągu wzniesionego dla Teudahada został umieszczony po prawej, bardziej honorowej stronie, posąg Justyniana. To wszystko było uznaniem suwerenności Wschodu nad Zachodem. Teudahad złożył te propozycje na piśmie. Był w wielkim strachu i pragnął zaskarbić sobie łaski w Konstantynopolu, na wypadek gdyby musiał uciekać z Italii.

Ale gdy nadeszły dalsze wieści o upadku Palermo i bezkrawawym zajęciu Sycylii, Teudahad jeszcze bardziej upadł na duchu. Zastanowił się, czy warunki, jakie ofiarował Justynianowi, by powstrzymać go od inwazji na Italię, są wystarczające: obiecanie Sycylii Justynianowi, kiedy już ją miał i bez tego, mogło wyglądać na bezczelność - i co są warte trzy tysiące żołnierzy i roczna danina, wynosząca zaledwie dwadzieścia tysięcy w złocie, oraz rezygnacja z prawa mianowania czy karania patrycjuszów? Wezwał znowu posła, który już znajdował się w powrotnej drodze, i związawszy go najpierw straszliwymi przysięgami, że dochowa tajemnicy, przypuścił go do jak najdalej idącego zaufania. Sekret polegał na tym, że gdyby Justynian odrzucił te warunki, Teudahad był go-

tów zaproponować lepsze. Zrezygnowałby z tytułu królewskiego i przekazał Justynianowi cały rząd Italii. W zamian za to prosił jedynie o wygodne prywatne życie, najlepiej w pobliżu jakiegoś ośrodka naukowego w Azji Mniejszej, w wolnym majątku z zapewnionym rocznym dochodem w wysokości przynajmniej dwudziestu tysięcy sztuk złota. Jego poseł towarzyszył naszemu z pisemną ofertą, którą miał przedstawić jedynie w tym przypadku, gdyby Justynian nie przyjął pierwszej.

Ambasadorów wybiera się pod kątem wierności i zdolności poświęceń dla spraw władcy: tak więc poseł Justyniana nie wahał się narazić na potępienie duszy, łamiąc przysięgę złożoną Teudahadowi. Poradził Justynianowi odrzucić pierwszą ofertę, bowiem poseł Teudahada ma w pogotowiu lepszą. Przedstawiono więc tę nową ofertę i Justynian przyjął ją pośpiesznie. Niemniej, targował się o roczną rentę, póki Teodora nie wyśmiała się z jego zmysłu do interesów: ryzykować całą Italię dla paru worków monet!

Jak dotychczas, wszystko układało się tak pomyślnie dla Justyniana, iż nie można by mu brać za złe wiary, że Bóg traktuje go szczególnie łaskawie - wiary, w której służalczość dworzan go umacniała. Ale zanim poseł zdążył powrócić do Italii, by ratyfikować układ z Teudahadem, sytuacja polityczna jeszcze raz nagle się zmieniła. Dwie nowe wieści przekonały Teudahada, iż mimo wszystko był głupcem i przeceenił siły Justyniana.

Pierwsze wieści dotyczyły Mundusa. Po zdobyciu Spalato Mundus nawiązał kontakt z wielką armią gocką i pobił ją po zaciętej bitwie. Obie strony poniosły ciężkie straty, lecz sam Mundus został zabity w pościgu za uciekającym nieprzyjacielem. Wojska cesarskie

tak podupadły na duchu i stopniały liczebnie przez to nieszczęsne zwycięstwo, iż wycofały się do Ilirii, nie zostawiając nawet załogi w Spalato. Inne wieści głosiły, że w północnej Afryce wybuchł poważny bunt i że Belizariusz zamierza wycofać swe wojska z Sycylii, by przywrócić porządek w Afryce. Jak prawdziwe były te afrykańskie wiadomości, zaraz opowiem; w każdym razie wywarły one tak wielkie wrażenie na Teudahadzie, że rozmawiał z posłem Justyniana w sposób ogromnie obraźliwy, a nawet groził, że skaże go na śmierć, na podstawie nieuzasadnionego oskarżenia o cudzołóstwo z jedną z dam dworu. Żałował bardzo swego listu do Justyniana i oświadczył teraz, iż poseł kłamie i że obie oferty zostały sfałszowane.

Goccy wielmoże z rady królewskiej wierzyli Teudahadowi. Nie mogli nawet pomyśleć, że ich wybrany król miałby być takim tchórzem i zdrajcą, jak wynikało z pisma Justyniana, który zgadzał się przyjąć Italię pod swoją władzę i ofiarować Teudahadowi posiadłość, jakiej żąda. Doszli do wniosku, iż poselstwo jest tylko chytrym manewrem Justyniana, by poróżnić ich z królem. Tak więc posła i jego orszak trzymano jak w więzieniu, a Teudahad przez zwykłego kupca wysłał obraźliwy list do Justyniana, oskarżając cesarza o intrygi i zdradę - Teudahad wiedział, że Goci zabiją go, jeśli natychmiast nie oczyści swego honoru przez jakieś energiczne działanie. Wysłał również armię celem ponownego zajęcia Spalato, które Rzymianie opuścili, zaczął prześladować prawowiernych księży w całej Italii i groził papieżowi śmiercią albo złożeniem z tronu, jeśli zostanie złapany na dalszych konszachtach z Konstantynopolem.

Mimo wszystko Goci mieli mało zaufania do Teudahada, ponieważ pisał wiersze po łacinie, dyskusjo-

wał z greckimi retorami i chlubił się swą głęboką wiedzą. Dla nich wystarczającą kulturą było kilka dzikich germańskich ballad wojennych, *Pater Noster* i ariańskie *Credo* w ojczystym języku. Nie zdegenerowali się jak Wandale pod wpływem zbytowego uroku cywilizacji, a z drugiej strony przez sześćdziesiąt lat pobytu w Italii nie skorzystali na tyle, ażeby pogłębić swój rozsądek przez literackie wykształcenie. Mieli mało respektu dla Teudahada, nie tylko dlatego, że jego wykształcenie było jałowe, lecz dlatego, że w ogóle był wykształcony. Tak więc nie chcieli podeprzeć swych barbarzyńskich kwalifikacji bojowych taką wiedzą wojskową, jaką można zaczerpnąć z książek. W szczególności nie studiowali sztuki fortyfikacji i oblężeń.

## Rozdział XIII

### KŁOPOTY W AFRYCE I NA SYCYLII

Rozważcie sprawę z gockiego punktu widzenia. Jakie niebezpieczeństwo mogło grozić Gotom ze strony zaledwie dwunastu tysięcy ludzi, z których znaczną część stanowiła piechota? Italia była ich własnością i od dwóch pokoleń żyli w najlepszych stosunkach z tutejszymi mieszkańcami. Mieli obfite zapasy żywności, flotę, pieniądze i magazyny wojskowe. Łatwo mogli wystawić w polu sto tysięcy jeźdźców i sto tysięcy pieszych łuczników. Posiadali wiele bardzo silnie ufortyfikowanych miast. Dodajcie do tego, że żołnierze cesarscy, którzy wylądowali na Sycylii, choć niby współwyznawcy w ortodoksyjnej wierze, w większej części byli chrześcijanami jedynie przez grzeczność i nie mogli się nawet porozumieć z miejscowymi Italczykami, którzy mówili po łacinie, nie po grecku: zrozumiecie więc, że gdy Goci usłyszeli o afrykańskim buncie i o śmierci Mundusa, nie uważali już więcej imienia Belizariusza za poważny czynnik w syaiacji.

By opowiedzieć o buncie: wybuchł on na Wielkanoc następnego roku, to jest roku pańskiego 536. W parę dni później Salomon wylądował w Syrakuzach na otwartej łodzi z paroma wyczerpanymi towarzyszami i powlókł się po nabrzeżu do kwatery głównej Belizariusza w pałacu gubernatora. Właśnie owego popołudnia, kiedy po obiedzie siedzieliśmy w małym

pokoju z moją panią, Belizariuszem i Teodozjuszem, zaczęło się coś w rodzaju sporu. Teodozjusz powiedział raczej zbyt ostry żart na temat pewnej zasady wiary ortodoksyjnej ku ucieście mojej pani Antoniny.

Belizariusz nie uśmiechnął się, tylko zapytał Teodozjusza ze zdziwieniem, czy stał się wyznawcą eunomianizmu.

—Nie — odpowiedział Teodozjusz — zaiste, nigdy na serio nie wyznawałem tego poglądu.

—No, dobrze. Ale skoro zostałeś nawrócony na prawdziwą wiarę, nie rozumiem, dlaczego z niej żartujesz.

Antonina broniła Teodozjusza — powiedziała, że śmiech z rzeczy, które są człowiekowi drogie, nie stoi w sprzeczności z naszą wiernością dla nich. Kiedy Belizariusz się z tym nie zgodził, przeszła z obrony do ataku i spytała go, dlaczego, jeśli prawowierność ma dla niego tak wielkie znaczenie, pozwala zaciągać się do swego pułku heretykom najróżnorodniejszych odmian.

Belizariusz odpowiedział:

—To jest w ogóle inna sprawa. Każdy człowiek ma prawo do takiego religijnego poglądu, jaki mu się podoba, i obowiązek nie dać się zmusić siłą do zmiany tego poglądu. Lecz nie ma prawa obrażać uczuć swego sąsiada, wyznając te poglądy agresywnie. Urodziłem się w wierze ortodoksyjnej i wcześniej zacząłem ją wyznawać. Obraża mnie, gdy ktoś szydzi z tych nauk, podczas gdy ja nie pozwoliłbym sobie szydzić z wiary jakiegokolwiek uczciwego człowieka.

—A gdybyś urodził się arianinem?

—Bez wątpienia pozostałbym arianinem.

— W takim razie wszystkie religijne poglądy są prawdziwe, jeśli się w nie szczerze wierzy? — naciskała moja pani.

— Nie mogę się z tym zgodzić. Lecz uważam, że do  
brze jest wierzyć i dobrze jest respektować uczucia in  
nych.

Teodozjusz nie przeprosił za żart, który obraził jego  
chrzestnego ojca. Powiedział tylko tyle:

— Nie mam skłonności do żadnej herezji.  
Zapew  
niam cię, że ortodoksyjnej doktryny można bronić lo  
gicznie przeciwko wszelkim herezjom — szczególnie  
jeśli się wychodzi z pewnych mistycznych przesłanek,  
na przykład takich, że rzymski papież posiada klucze  
do nieba w następstwie świętego Piotra.

Belizariusz odpowiedział sztywno:

— Nie sądzę, by logika miała coś wspólnego z  
praw  
dziwą religią.

Teodozjusz roześmiał się.

—To naprawdę sceptyczna uwaga, ojczu chrzestny.

Nie tracąc spokoju Belizariusz wyjaśnił:

—Religia jest wiarą, a nie filozofią. Jońscy Grecy wy  
naleźli filozofię na miejsce religii i to uczyniło z nich  
tchórzy i oszustów.

Wtedy moja pani Antonina spytała:

—Ale czyż nie potrzebna jest filozofia, jeśli chcemy  
się wzmocnić przeciwko możliwym ciosom? Czy  
dobrze jest wierzyć wraz z tymi, którzy nas  
krzywdzą?

—Dobrze jest wierzyć i przebaczać krzywdy. Zła  
mać czyjaś wiarę to znaczy skrzywdzić samego  
siebie.

Teodozjusz zauważył:

— Lecz im słabsza jest wiara człowieka, tym mniej  
cierpi łamiąc ją.

Belizariusz odpowiedział łagodnie:

— Nie zajmujmy się tym, chrzestny synu.  
Jesteśmy  
tu wszyscy ludźmi honoru.

Po tych słowach dostrzegłem szybką wymianę spoj-  
rzeń między moją panią i Teodozjuszem, jak gdyby



chcieli powiedzieć: „Drogi Belizariuszu, pochlebiasz nam. Może nasze poczucie honoru nie jest tak fanatyczne jak twoje.”

Nigdy nie zapomniałem tej rozmowy ani tego spojrzenia w świetle dalszych stosunków mojej pani z Teodozjuszem. Jedno przynajmniej jest pewne: że Teodozjusz ochrzcił się jedynie po to, by ułatwić sobie karierę, i nie był chrześcijaninem w większym stopniu niż ja lub moja pani. Raz wyznał jej: Jedynym pisarzem poruszającym sprawy chrześcijaństwa, którego czytałem z zadowoleniem, jest Celsus.” Ten Celsus jest wyklęty. Żył w pogańskich czasach i pisał o wczesnych chrześcijanach ze zjadliwą surowością. Wyjechał nawet do Palestyny, by zbadać pochodzenie Jezusa, i podobno znalazł w spisach wojskowych, że wpisano go jako syna niejakiego Panterusa, greckiego żołnierza z Samarii. „A warto zwrócić uwagę — powiedział Teodozjusz — że wedle ewangelisty Jana Jezus nie zaprzeczał swemu samarytańskiemu pochodzeniu, gdy kapłani go o to oskarżali.”

Każdemu wolno wyznawać swą wiarę czy poglądy, jak twierdził Belizariusz. Lecz Teodozjusz ukrywał swe myśli przed wszystkimi z wyjątkiem mojej pani Antoniny — jeśli nawet przed nią ich nie taił. Choć nie wierzę w głupie plotki służących o mojej pani i Teodozjuszu, na przykład, że widziano ich, jak się całowali za kotarą, i że przy innej okazji wychodzili razem z ciemnej piwnicy — niemniej, zawsze miałem wrażenie, że któregoś dnia moją panią ogarnie namiętność do młodego człowieka i sprowadzi nieszczęście zarówno na Belizariu-sza, jak i na nich. Albowiem będąc ateistą, a przynajmniej sceptykiem, jakież moralne skrupuły miał Teodozjusz? A jeśli chodzi o moją panią, to prowadziła ona bardzo rozwiązłe życie w dawnych dniach i bynajmniej

nie była wierna swemu poprzedniemu mężowi, uważając swe ciało za swoją własność, którą może dysponować, jak jej się podoba. Jej miłość do Belizariusza była niezaprzeczalna, ale nie mogłem przewidzieć, czy powstrzyma ją od pobłażania namiętności, którą mogła czuć dla Teodozjusza.

Kiedy Belizariusz powiedział: Jesteśmy tu wszyscy ludźmi honoru" — byłem smutny. Kochałem go jako szlachetnego bohatera, lecz moja lojalność wobec niego szła dopiero za wiernością dla mojej pani, byłem jej bowiem wdzięczny za wielką łaskawość, z jaką mnie zawsze traktowała.

W tej chwili oznajmiono przybycie Salomona. Wpadł zasapany do pokoju, niezdolny prawie wymówić słowa. Moja pani, by go orzeźwić, posłała mnie po kubek wina, który natychmiast wypił. Ponieważ moja dyskrecja była ponad wszelkie wątpliwości, pozwolono mi zostać i wysłuchać jego opowiadania.

Salomon powiedział, że wandalskie kobiety były główną przyczyną kłopotów. Przekonały one swych mężów, iż cesarz oszukał ich zabierając im ślubny posag, składający się z domów i ziemi, który prawnie im się należy. Te same kobiety podniecały również oburzenie przeciwko religijnym edyktom Justyniana wszyscy arianie byli pozbawieni sakramentów i odmawiano im nawet odrobiny wody święconej do skropienia swych dzieci przy chrzcie. Było teraz mnóstwo nowo urodzonych ariańskich dzieci, które, gdyby przypadkiem umarły bez chrztu, byłyby wiecznie potępione, a to bardzo interesowało ich ojców — trackich Gotów i herulskich Hunów. Wybuch buntu ustalono na Niedzielę Wielkanocną, która w owym roku wypadła na dwudziestego trzeciego marca. Spiskowcy zdecydowali się dokonać zamachu na Salomona

podczas rezurekcji w katedrze Świętego Cypriana. Salomon zupełnie nie podejrzewał niebezpieczeństwa, ponieważ sprawę utrzymano w najściślejszej tajemnicy. Lecz połowa żołnierzy z jego własnej gwardii przybocznej była w spisku, jako mężowie wandalskich kobiet, pragnący udziału w dystrybucji ziemi i domów.

Zamachu miano dokonać w chwili podniesienia (obrzęd, któremu według powszechnej wiary towarzyszą różne cudowne właściwości), albowiem wszyscy zebrani klęczeliby z pochylonymi głowami i wtedy można by zadać niespodziewany morderczy cios. Lecz gdy ariańscy żołnierze weszli trzymając dłonie na rękojęściach sztyletów, zachęcając się nawzajem minami i gestami, nagle zdjął ich niespodziewany strach. Ogrom i bogactwo katedry, subtelny, uroczysty śpiew chóru, świece i kadzidło, chorągwie i girlandy wiosennych kwiatów, czcigodni kapłani w haftowanych szatach, nie uzbrojeni, ubrani w świąteczne stroje wierni w modlitwie — wszystko to zrobiło głębokie wrażenie na arianach. Popęłniliby morderstwo, ale nie świętokradztwo. Gdy zaczęli się wahać, zakrystian i służba kościelna podbiegli do nich po cichu, rozkazując pociągając ich za rękawy i upominając, by ukłękli razem z innymi. Jeden po drugim posłuchali tego wezwania i wzięli udział w dalszych obrzędach jak prawowierni chrześcijanie. Lecz kiedy znowu wyszli z kościoła, zaczęli się nawzajem oskarżać o tchórzostwo i miękkość i każdy przysięgał, że sam odważyłby się, gdyby chociaż jeden ze spiskowców mu dopomógł.

Te kłótlive oświadczenia wygłaszali publicznie na rynku i Salomon niebawem usłyszał o całej sprawie, ale gdy kazał aresztować tych ludzi, żołnierze jego gwardii nie okazywali żadnej ochoty wykonania tego rozkazu. Potem konspiratorzy połączwszy się z wiel-

ką liczbą niezadowolonych żołnierzy opuścili Kartaginę i zaczęli plądrować na przedmieściach.

Salomon zorientował się, że jest bezsilny wobec tych malkontentów. Jego oddziały odmówiły wymarszu przeciwko buntownikom. Piętnastego dnia zwołał ogólne zebranie na hipodromie, gdzie przemówił do zebranych żołnierzy, żeglarzy i milicji próbując ich skłonić do złożenia ponownej przysięgi wierności. Lecz zagłuszyli go wyciem, rzucali kamieniami i zaczęli bić i mordować swych oficerów. Poderżnęli gardło szefowi sztabu Salomona, a potem Herul Faras, który zdecydowanie oświadczył, iż pozostanie wierny swemu pobratymcowi Belizariuszowi, padł śmiertelnie ranny strzałami własnych ludzi. Herulowie znów gotowali *kawasse*, albowiem zaczęli im zwrócono.

Niebawem bunt stał się powszechny, cała armia zaczęła grabić w dzielnicach handlowej w centrum Kartaginy i w składach portowych. Przypominało to zupełnie bunty zwycięstwa w Konstantynopolu z wyjątkiem palenia domów oraz demonstrowania barwy zielonej i błękitnej. Na pewien czas Salomon schronił się w kaplicy w pałacu Geilimera, lecz uciekł przy pierwszej sposobności i przekradł się do portu. Tam wziął łódź i po dziesięciu dniach dotarł wreszcie do nas.

Belizariusz zadał Salomonowi kilka pytań, a potem oznajmił Antoninie:

— Natychmiast wyruszam do Kartaginy. Tego z pewnością oczekiwałby ode mnie cesarz. Ty tu zostań i obejmiesz funkcję mojej zastępczyni.

—Jakie oddziały weźmiesz ze sobą?

—Stu kirasjerów.

—Zabiją cię, wariacie!

—Wrócę bezpiecznie, nim minie miesiąc.

—Muszę wyjechać wraz z tobą, Belizariuszu.

—Tylko tobie mogę powierzyć moje sprawy tutaj.

—Ale ja nie mogę ufać samej sobie. Pojadę z tobą. Muszę.

—Antonino, w tym musisz mi być posłuszna. Rozkazuję ci w imieniu cesarza.

Tak więc, wbrew swej woli, moja pani została w Syrakuzach z Teodozjuszem i nie spodziewała się, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy Belizariusza. Jeśli jest prawdą, iż kiedykolwiek złamała swe małżeńskie śluby wobec Belizariusza, wtedy miała okazję. Lecz zaprzeczała zawsze, by tak uczyniła, a nikt nie mógł jej dowieść czegoś przeciwnego, ponieważ zawsze była kobietą bardzo dyskretną. Moim zadaniem jako historyka jest powiedzieć prawdę, ale jako wierny sługa mam obowiązek nie oczerniać mojej pani. Na szczęście to zadanie i ten obowiązek nie są z sobą sprzeczne. Nie wiem nic na pewno: na to mogę przysięgać.

W Kartaginie buntownicy splądrowawszy do woli miasto i zagarnąwszy domy i ziemie, jakie im się podobały, wymaszerowali, by połączyć swe siły z drugą grupą buntowników armii, której Salomon powierzył nuzące oblężenie góry Aures. Ich połączone oddziały wkrótce wynosiły siedem tysięcy ludzi, a dodatkowo — tysiąc Wandalów. Czterystu Wandalów z tego tysiąca było zbiegłymi jeńcami. Albowiem niedawno wieziono ich z Konstantynopola do granicy perskiej, lecz za wyspą Lesbos rozbroili załogi transportowców i pożeglowali nie do Antiochii, lecz z powrotem do północnej Afryki, gdzie wysiedli na ląd w pobliżu góry Pappua i pomaszerowali ku górze Aures. Zamierzali połączyć się z mauryjskimi rebeliantami, lecz zamiast tego połączyli się z buntownikami armii cesarskiej i zostali ciepło przyjęci. Inni Wandalowie należeli do

uciekierów, którzy siedzieli w różnych kryjówkach od czasu zdobycia Kartaginy, a teraz wreszcie ośmielili się wyjść na światło dzienne. Znalezione dla nich konie na stacjach pocztowych.

Buntownicy wybrali na swego dowódcę prostego żołnierza, energicznego i zdolnego Traka imieniem Stocas, a potem pomaszerowali z powrotem do Kartaginy, ogłaszając całą diecezję republiką żołnierską. Nie spodziewali się żadnego oporu ze strony obywateli. Siedemnastego kwietnia o zmierzchu stanęli przed murami i rozłożyli biwak, zamierzając wejść do miasta następnego rana. Lecz tego samego wieczora Belizariusz przybył drogą morską ze swymi wybranymi kirasjerami i natychmiast zaczął szukać w splądrowanej Kartaginie wiernych żołnierzy. Do rana zebrał ich dwa tysiące. W tej liczbie było sześciuset afrykańskich rekrutów konnej policji i pięciuset Wandalów, ludzi starszych, którym Belizariusz pozwolił spokojnie żyć w ich domach, a którzy teraz z wdzięczności ochotniczo pośpieszyli mu na pomoc. Doszła do tego pewna ilość przyjaznych Maurów. Żołnierzy, którzy nie wzięli udziału w buncie, było nie więcej niż pięciuset. Lecz powiadano, iż imię Belizariusza warte jest więcej niż pięćdziesiąt tysięcy wojska. Gdy buntownicy usłyszeli o jego nagłym przybyciu, uznali, że stosunek liczebny wynosi pięćdziesiąt dwa tysiące do ośmiu tysięcy, natychmiast zwinęli obóz i uciekli w głąb kraju. Skierowali się ku górze Aures, zamierzając się sprzymierzyć z Maurami. Belizariusz ścigał ich i dognał pięćdziesiąt mil za miastem, koło Membresy — otwartego miasta nad rzeką Bagrades. Był to dla niego nowy rodzaj walki: przeciwko własnym żołnierzom.

Zaszczyt zwycięstwa powszechnie przyznaje się teraz świętemu Cyprianowi — wedle legendy również

zjawił się osobiście w katedrze owego wielkanocnego ranka, przebrany za zakrystiana (lecz wyróżniał się aureolą), by rozbroić zamachowców i zmusić ich do padnięcia na twarze. Bowiem pod Membresą zerwał się nagle wiatr świętego Cypriana, znowu w niewłaściwej porze roku, i dął ostro w twarze buntowników, właśnie gdy obie armie miały rozpocząć walkę. Stocas uświadomił sobie, że strzały jego ludzi będą traciły impet ze względu na wiatr, i dlatego rozkazał połowie swej kawalerii, by pokłusowała na ostionętą pozycję na prawym skrzydle i strzelała z łuków z tamtego miejsca. Ten manewr przeprowadzono wolno i z pewnym nieładem. Belizariusz na czele swej kawalerii natychmiast uderzył w punkt największego zamieszania, którym był szwadron Wandalów, ponieważ Wandalowie, nie będąc łucznikami, nie byli pewni, czy mają zmieniać pozycje, czy zostać na miejscu. Nagła szarża rozbiła ich i armia buntowników została rozcięta na dwie części, z których obie nie dotrzymały pola, gdy kolumna Belizariusza podzieliła się w pełnym galopie i zaatakowała tyły każdej z nich.

Tak więc zdarzyło się, że liczne kobiety wandaliskie po raz drugi zmieniły mężów. Zostawiono je w obozie, gdy buntownicy rozproszyli się po pustyni, każdy na własną rękę, i zostały zagarnięte przez ludzi Belizariusza z resztą łupów. Większość poległych stanowili Wandalowie, bowiem gdy tylko zwycięstwo wydawało się pewne, Belizariusz rozkazał swym podkomendnym powstrzymać się od katowania buntowników, którzy mogą wrócić do swej dawnej służby. Istotnie, tysiąc uciekinierów poddało się z radością i przebaczone im.

Belizariusz kontynuowałby pościg i wezwałby nadal lojalny garnizon Hippo i wojska stacjonowane

w Maroku do pomocy w całkowitym stłumieniu buntu, lecz mając tylko jedno ciało, i to nie boskie, nie mógł znajdować się jednocześnie na Sycylii i w Afryce, a właśnie przybył poseł od mojej pani Antoniny z wiadomością o wybuchu nowego buntu w Syrakuzach, Nie pozostawało nic innego, jak zostawić Hildigera, przyszłego zięcia, jako tymczasowego dowódcę armii w Afryce. Ze swoją setką ludzi Belizariusz powrócił do Kartaginy, a potem morzem do Syrakuz.

Okazało się jednak, że na Sycylii wybuchł bunt nie żołnierzy, lecz jedynie generał piechoty imieniem Konstantyn odmówił wykonywania rozkazów mojej pani Antoniny. Oświadczył, że do jego obowiązków nie należy posłuszeństwo żadnej kobiecie poza cesarzową w niektórych sprawach cywilnych, jakie cesarz jej powierzył, bo wedle starodawnego rzymskiego obyczaju kobiety nie mogą być mianowane dowódcami wojskowymi. Moja pani zamknęła Konstantyna w ścisłym areszcie, zaś inni generałowie, solidaryzujący się z nim, przestali składać dzienne raporty mojej pani, kierując je natomiast do najstarszego spośród nich oficera, którym był Krwawy Jan. Po powrocie Belizariusz wypuścił Konstantyna z aresztu, lecz przemówił bardzo surowo do niego i do innych generałów i powiedział, że uważa, iż postępowanie ich jest zarówno ignoranckie, jak i obraźliwe dla niego. Od ciawna dowiedziono, że kobieta rozsądna i odważna może nie tylko dowodzić wojskami (jak to czyniła jego żona, prześwietna pani Antonina, w czasie marszu na Kartaginę), ale i prowadzić je do zwycięstwa. Czyż Zenobia z Palmyry, jadąc w kolczudze na czele swych oddziałów nie obroniła Wschodniego Cesarstwa przed inwazją Persa Sapora? Pani Antonina była ponadto zastępczynią Belizariusza i posiadała jego pieczęć. Lecz ta



niewczesna niesubordynacja zmusiła go do powrotu z Afryki i udaremniła mu zakończenie akcji przeciwko buntownikom. Stocas ma jeszcze siłę i może spowodować więcej kłopotów.

Odpowiedź generałów ograniczyła się do kilku słów, tylko Konstancyń robił niewyraźne aluzje, że Belizariusz nie zna obu stron medalu. Nie miał zamiaru obrazić naczelnego wodza, lecz raczej uczić go nie słuchając rozkazów kobiety, która nie dba o istotne jego interesy. Konstancyń nie powiedział nic więcej i zostawił Belizariusza w zdumieniu.

Lecz tego samego wieczora służąca imieniem Macedonia przyszła sama do Belizariusza i ostrzegła go, że pani Antonina i Teodozjusz są kochankami i że sprawa ta stała się powszechnym skandalem. Powiedziała, że niewątpliwie z tego powodu Konstancyń i generałowie nie chcieli wykonywać rozkazów mojej pani. Ten donos Macedonia zrobiła z zemsty, ponieważ dwa dni przedtem moja pani przywiązała ją do nogi łóżka i wychłostała za jej złe prowadzenie się. Chodziło o niegodny romans z siedemnastoletnim Focjuszem, który przyłączył się do nas na Sycylii. Macedonia uważała za rzecz niesprawiedliwą, że moja pani, która jest zamężną kobietą, może popełniać cudzołóstwo, a jednocześnie bezlitośnie bić ją za zwykły stosunek miłosny. Lecz nie miała dowodów winy mojej pani i stąd musiała je zmyślić. Namówiła dwóch małych paziów, zakładników mauryjskich, by potwierdzili jej opowiadanie. Chcieli zemścić się na mojej pani, ponieważ uważali, że jako zakładnicy powinni otrzymywać książęce honory, lecz gdy ich rodzice podnieśli bunt, moja pani zagoniła ich do fizycznej pracy i biła, gdy się lenili lub zachowywali niewłaściwie. Byli tak przewrotnymi kłamcami czy też Macedonia tak ich wyuczyła, że

Belizariusz nie mógł nie uwierzyć w ich opowiadanie, które było jak najbardziej rzeczowe. Miał uczucie, jak gdyby znalazł się podczas burzy na statku, którego lin kotwiczna nagle pękła. Lecz Macedonia związała go przysięgą, że nie powie swej żonie, skąd otrzymał wiadomość, ani nie wezwie Macedonii i paziów na świadków jakiegokolwiek oskarżenia o cudzołóstwo. Belizariusz miał więc związane ręce. Nie wiedziałem absolutnie, co się stało, ale zauważyłem, że ni stąd, ni zowąd jest ogromnie przygnębiony i jednocześnie rozgniewany ponad wszelką miarę. Jednak musiał kryć właściwy powód przed żoną, tłumacząc się chorym żołądkiem, niepokojem o sprawy w Kartaginie i niesubordynacją generałów.

Jakie myśli chodziły mu po głowie, nie potrafię powiedzieć, ale mogę się domyślać. Sądzę, że najpierw chciał zabić Teodozjusza za jego niewdzięczność i zdradę, a naturalna zazdrość nie była obca jego sercu. Następnie pragnął zabić moją panią Antoninę za jej niewierność, szczególnie że wierzył jej absolutnie i prowadził czyste życie. Następnie chciał zabić siebie z samego wstydu: Teodozjusz był jego adoptowanym synem i stąd przestępstwo wyglądało szczególnie odrażająco. Z drugiej strony, jako chrześcijanin, miał obowiązek przebaczać swym wrogom. Ponadto moja pani była dla niego najlepszą żoną i nadal kochał ją namiętnie; pamiętał, że prosiła, by pozwolił jej towarzyszyć do Kartaginy, choć narażała się w ten sposób na śmierć. Przy tym powiedziała mu otwarcie, iż nie ufa samej sobie, jeśli zostanie w Syrakuzach. Tak więc wydawało się Belizariuszowi, że Teodozjusz posiadał ją wbrew jej skłonności przez jakąś diabelską sztuczkę.

Nie będę poniżał Belizariusza przypuszczeniami, że istniały jeszcze inne względy, które pojawiłyby się

najpierw w umyśle innego człowieka: że moja pani otrzyma poparcie Teodory, która nie omieszkła ukarać jego „fochów”, gdyby usiłował mścić się za zdradę małżeńską. Zawinięcie w koc byłoby najmniejszą karą, jakiej w tym wypadku mógłby się spodziewać. Strach przed Teodorą nie zepchnąłby go z żadnej drogi, którą uważał za słuszną. Jest jednak możliwe, że nawet w swym udręczeniu pamiętał o lojalności dla Justyniana, który rozkazał mu prowadzić wojnę przeciwko Gotom. Każda pośpieszna czy gwałtowna akcja podjęta przez Belizariusza w sprawie Antoniny mogłaby wywołać wrogość Teodory, a gdyby został odwołany, cesarstwo straciłoby rychło północną Afrykę i Sycylię. Uświadamiał sobie, że żaden z jego podwładnych, choć wielu z nich było dzielnymi ludźmi, nie miał najmniejszego rozeznania w strategicznej sytuacji czy zdolności dowodzenia całą armią.

Posłał po mnie tego samego wieczora i powiedział mi w cztery oczy:

— Eugeniuszu, byłeś więcej niż służącym, byłeś przyjacielem twojej pani i mnie. Czy mogę ci powie-  
rzyć pewną tajną misję? O ile nie zostanie ona szybko wypełniona przez jakąś dyskretną osobę, to chyba zwariuję.

Powiedziałem:

— Tak, panie. Jeśli ta sprawa dotyczy twego dobra  
czy dobra mojej pani.

Obsypał mnie straszliwymi groźbami, abym żywej duszy nie odsłonił mego zadania, wreszcie powiedział, co każe mi zrobić. Miałem iść do Teodozjusza i powiedzieć mu: „Masz tu zakonny habit i nożyczki do obcię-  
cia włosów na zakonną modłę, a jest sakiewka z pie-  
niędzmi, zaś w porcie stoi statek odpływający jutro ra-  
no do Efezu. Imię właściciela statku brzmi tak i tak. Jeśli

natychmiast nie wsiądziesz na pokład, umrzesz. W Efezie musisz wstąpić do klasztoru i złożyć śluby wieczystej czystości." Ale w żadnym wypadku nie wolno mi było wspomnieć imienia Belizariusza.

Przeraziłem się. Nigdy nie widziałem spokojnego Belizariusza w takim gniewie, nawet pamiętnego ranka w zdobytym obozie pod Tricamaron. Lecz bałem się również mojej pani. Jeśli Teodozjusz powiedziałby jej, od kogo otrzymał to ostrzeżenie, z pewnością podejrzewałaby mnie o intrygi przeciwko niej i może by mnie zabiła. Było rzeczą niebezpieczną przekazywać Teodozjuszowi taki rozkaz, nie zawiadomiwszy wprzód o tym mojej pani, jednak nie mogłem odmówić wykonania tego polecenia. Ponadto uważałem, że będzie korzystne dla mojej pani, gdy Teodozjusz zostanie usunięty z widowni bez dalszych awantur. Drżąc poszedłem do Teodozjusza i przekazałem mu polecenie, dodając, jak niechętnie to czynię. Po nieważ znał mój charakter, uwierzył mi i zrozumiał, że przestroga jest poważna.

Zgadł, od kogo pochodziła, i powiedział:

— Powiedz memu chrzestnemu ojcu, że naprawdę nie wiem, dlaczego się na mnie rozgniewał, gdy zostałem niewinnie oczerniony. Mam czyste sumienie, lecz za to wielu wrogów.

Kiedy błagałem go, by nie powiedział mojej pani Antoninie, że to ja przekazałem mu polecenie, przysiągł dochować tajemnicy. Muszę przyznać, że wiernie dotrzymał przysięgi. Wziął habit, nożyczki i pieniądze i poszedł prosto do doków nie przekazując żadnej wiadomości Antoninie. Wtedy wróciłem i powtórzyłem Belizariuszowi słowa Teodozjusza.

Możecie sobie wyobrazić, jak ogromnie zaniepokojona była moja pani Antonina, gdy jej drogi Teodo-

zjusz zniknął bez słowa. Naturalnie obawiała się, że został zamordowany, kto wie czy nie przez Konstantyna, i była niepokieszona. Nie podejrzewając Belizariusza, wezwała go do rozpoczęcia natychmiastowych poszukiwań, na co się zgodził. Mnie kazano ustalić, gdzie i kiedy ostatnio widziano Teodozjusza. Nie sprawiło mi żadnych trudności uspokojenie mojej pani, ponieważ wiedziałem, gdzie szukać. Szybko znalazłem dwóch żołnierzy w porcie, którzy mogli przysiąc, iż widzieli Teodozjusza, albowiem zdaje się, że nie włożył habitu, póki nie wszedł na pokład. W ten sposób wiedziała przynajmniej, że odjechał dobrowolnie. Lecz postanowiła dotrzeć do sedna sprawy. Pewien nowy odcień triumfu w zachowaniu się jej syna (a wiedziała, jak jest zazdrosny o Teodozjusza) wzbudził jej podejrzenia. Wydedukowała łatwo, że Macedonia musi mieć coś wspólnego ze sprawą zniknięcia Teodozjusza. W końcu wymogła strachem pełne wyznanie na obu paziach.

Tymczasem Focjusz nierozsądnie zwierzył się z sekretu Konstantynowi, a Konstantyn, nadal obrażony na moją panią za sposób, w jaki go potraktowała, z wielką uciechą śmiał się z niej i jej męża. Rankiem, drugiego dnia po zniknięciu Teodozjusza, spotkawszy Belizariusza na głównym placu, zasalutował i powiedział z szyderczym uśmiechem:

— Słusznie wygoniłeś tego trackiego Parysa, wielki Menelausie. Lecz wina leży raczej po stronie królowej Heleny.

Belizariusz, obawiając się, że wybuchnie, nie odpowiedział nic i odwrócił się tyłem do Konstantyna. Widziało to wielu żołnierzy, którzy nie słyszeli, co mówił Konstantyn, i ten gest zrobił złe wrażenie.

Moja pani Antonina przeprowadziła teraz szczerą rozmowę z Belizariuszem. Nie wiem, co zaszło między

nimi. Lecz przekonała go, że Macedonia kłamała, a Belizariusz najwidoczniej poczuł zarówno ogromną ulgę, jak i zawstydził się samego siebie. Wysłał szybki statek, by odwołać Teodozjusza, a Macedonię wychłostano, napiętnowano i skazano na zamknięcie w kłasztorze do końca życia. Paziowie zostali również wychłostani, napiętnowani i zesłani do pracy w kopalniach srebra. To, że pani Antonina z moją pomocą wyrwała język Macedonii, poćwiartowała ją na kawałki i wyrzuciła te kawałki do morza, jest zwykłym kłamstwem wymyślonym wiele lat później przez sekretarza Prokopiusza w celu zdyskredytowania mojej pani. Nie mówię, aby Macedonia nie zasłużyła na taką karę albo że moja pani nie groziła jej tym w gniewie.

Niebawem stosunki mojej pani i jej męża stały się znowu jak najlepsze. Lecz Teodozjusz nie wrócił jeszcze do nas, ponieważ wysłany za nim statek nie zdążył go doścignąć. Jednak Belizariusz napisał do Efezu, nagłąc Teodozjusza do powrotu, a także publicznie wyznał swój błąd w dniu procesu Macedonii. Wszystkie gadatliwe języki umilkły ze strachu.

Belizariusz oczekiwał teraz rozkazu ataku na Italię, lecz rozkaz długo nie przychodził, ponieważ śmierć Mundusa pomieszała szyki Justyniana. Belizariusz otrzymał polecenie, by tymczasem nic nie robił, lecz tylko stał w pogotowiu, aż usłyszy o ponownym zdobyciu Spalato, a wtedy pomaszerował na Rzym. Spalato zostało zdobyte ponownie w sierpniu przez wzmocnioną armię iliryjską, a wieść o tym doszła Belizariusza w październiku i wtedy zaczął marsz. W opracowaniu planów bardzo pomagała mu moja pani, która podczas jego pobytu w Afryce prowadziła tajne rokowania z zięciem króla Teudahada, który dowodził wojskami Gotów w południowej Italii. Przeko-

nała tego jegomościa, którego udało jej się poznać osobiście, by uciekł i zostawił swą armię w pierwszym dniu naszej inwazji na jego terytorium. Tak więc, gdy Belizariusz zostawiwszy załogi w Palermo i Syrakuzach, których fortyfikacje ogromnie umocnił, przekroczył Cieśninę Mesyńską i pomaszerował ku Regium (gdzie znajdują się kopalnie złota), ten wandalski tchórz uciekł do nas z kilkoma swymi towarzyszami i zostawił swą armię bez wodza. Potem odjechał do Konstantynopola, gdzie, wyrzekłszy się wiary ariańskiej, otrzymał godność patrycjusza i wielkie majątki. Na wieść o tym król Teudahad zazdrościł mu.

Tak więc kampania w południowej Italii nie była właściwie operacją bojową, lecz marszem, a Goci rozpraszali się we wszystkich kierunkach. Maszerując wzdłuż brzegów pod osłoną floty, nie natrafialiśmy na żaden opór aż do listopada, kiedy dotarliśmy do Neapolu. To szlachetne miasto było silnie ufortyfikowane i obsadzone przez gocką załogę, podobno prawie równą co do liczby naszym wojskom.

Istniały cztery sposoby zajęcia tej uchodzącej za niezdobytą fortecy. Pierwszy — zostawienie jej w spokoju i zaatakowanie nieprzyjaciela w jakimś słabszym punkcie. Drugi — wzięcie jej głodem. Trzeci — wymuszenie kapitulacji przez łapówkę, groźby czy oszustwo. Czwarty — zdobycie przez zaskoczenie, jeśli mimo wszystko udałoby się znaleźć jakiś słaby punkt, przeoczony przez pewnego siebie nieprzyjaciela. Belizariusz nie mógł ominąć Neapolu. Gdyby to zrobił, miasto stałoby się punktem zbornym dla wszystkich rozproszonych oddziałów gockich w promieniu stu mil. Zza osłony jego potężnych murów można było wysłać armie na ponowne zdobycie południowej Italii — małe załogi, jakie zostawił za sobą w głównych

miastach, łatwo mogły ulec przemocy. Nie mógł również wygłodzić Neapolu, ponieważ miasto było obficie zaopatrzone w ziarno, a najważniejsze składy handlu zbożowego z Afryką znajdowały się wśród murów miejskich. Ponadto zwłoka przy Neapolu umożliwiłaby Gotom zgromadzenie na północy olbrzymiej armii przeciwko Belizariuszowi. Lecz pozostawała możliwość, że miasto uda się zmusić do kapitulacji jakąś poważną groźbą.

Najpierw nasza flota stanęła na kotwicach w porcie, poza zasięgiem machin na murach miejskich, a armia rozłożyła się na przedmieściach, gdzie Belizariusz, przeprowadziwszy atak o szarówce, przez eskaladę łatwo zdobył przedmurze fortyfikacji. Następnie wysłał list do neapolitańskich ojców miasta, informując ich krótko, że spodziewa się kapitulacji bez dalszej zwłoki.

Burmistrz italski przybył do niego pod flagą rozejmu, lecz miał ze sobą dwóch Gotów jako świadków. Trzymał się dosyć twardo i wyraźnie zarzucił Belizariuszowi, że usiłuje stworzyć fałszywe pozory ogromnej przewagi wojskowej, gdy w istocie jego siły są nader szczupłe.

— Uważam za krok jak najbardziej nieprzyjazny zmuszanie nas, rodowitych Italczyków, do wykonania twych żądań — powiedział burmistrz. — Żołnierzami załogi są Goci i nie śmiemy się im przeciwstawiać, ponieważ nie jesteśmy uzbrojeni. Oni nie ustąpią także przed przekupstwem i groźbami, ponieważ król Teudahad przysłał ich tu dopiero wczoraj z rozkazem, by trzymali się do ostatniego człowieka — a przedtem wziętą na zakładników ich żony i dzieci i zagroził, że je zabije, gdyby miasto zostało stracone. Moim zdaniem, nie powinniście tu marnować czasu, lecz nacisnąć na



Rzym. Albowiem skoro padnie Rzym, Neapol z pewnością także się podda, a jeśli nie zdobędziecie Rzymu, z Neapolu będzie niewielka korzyść. Belizariusz odpowiedział krótko:

— Nie proszę was o lekcje strategii, ale powiem wam to: Jestem żołnierzem od wielu lat i widziałem wiele okropnych widoków po zdobyciu miast, które się nie poddały na wezwanie. Szczerze pragnąłbym oszczędzić takich przeżyć Neapolowi. Jeśli przekona cie gocką załogę, aby się poddała, wszystkie wasze stare przywileje zostaną potwierdzone i pomnożone, a załoga będzie mogła według własnej woli albo przyłączyć się do wojsk cesarskich, albo wyjść z miasta. Lecz (tu zwrócił się do gockich świadków) ostrzegam was, Goci, że jeśli wybieriecie walkę, spotka was taki los jak króla Geilimera i jego Wandalów.

Jeden z Gotów odparł:

— Czy to prawda, że Kartagina, która żyła szczęśliwie pod Wandalami i poddała się na żądanie waszej armii, została ostatnio splądrowana przez żołnierzy cesarza?

Belizariusz odpowiedział:

—To nie byli żołnierze cesarza, lecz szatana. Got rzekł:

—Dla nas to wszystko jedno.

Potem konferencja się urwała, lecz burmistrz w tajemnicy zapewnił Belizariusza, że będzie robił wszystko, by skłonić współobywateli do otwarcia bram mimo sprzeciwu Gotów, którzy w rzeczywistości liczyli zaledwie półtora tysiąca ludzi. Co prawda, trzystu dobrych żołnierzy wystarczyłoby do obrony tak mocnej twierdzy przeciwko trzydziestu tysiącom, a Belizariusz nie miał z sobą więcej niż dziesięć tysięcy ludzi, ponieważ musiał pozostawić dwa tysiące na służbie garnizonowej na Sycylii i w południowej Italii.

Neapol nie upadłby nigdy wskutek głodu czy pragnienia. Żydowscy kupcy, którzy kontrolowali handel zbożem, oddali swe składy do publicznej dyspozycji i zgłosili do obrony pewną ilość żydowskich marynarzy i strażników, których wyćwiczono w użyciu broni. Gdyby Belizariusz przeciął akwedukt miejski — co zresztą zaraz uczynił — w mieście znajdowało się dość studni, aby starczyło wody dla wszystkich. Ojcowie miasta posłali list do Teudahada zapewniając go o swej wierności, lecz prosząc o przysłanie odsieczy.

Pozostała jedyna nadzieja na zdobycie Neapolu przez zaskoczenie. Lecz gdzie znaleźć czułe miejsce w obronie?

## Rozdział XIV

### OBLĘŻENIE NEAPOLU

Belizariusz studiował ze wszystkich stron fortyfikacje Neapolu. Nigdzie nie mógł odkryć słabego miejsca, które umożliwiłoby użycie taranu czy podkopu, lecz spróbował nocnego ataku zaskakującego z rejonu portu. Wysłał grupę izauryjskich górali, którzy są urodzonymi wspinaczami, by wdrapali się na wysokie mury aż do miejsca, gdzie zniszczona okładzina zapewniała oparcie dla dłoni i stóp. Jeden z żołnierzy dotarł do blanków i spokojnie przywiązał linę do występu w murze, a potem jego koledzy całą gromadą zaczęli się wspinać w górę. Lecz odkrył ich żydowski wartownik, który zbudził innych Żydów na pobliskiej wartowni. Zanim czterech czy pięciu górali dotarło na stanowisko, Żydzi przecięli linę i wszyscy Izauryjczycy spadli w dół i zabili się. Tak samo nie powiódł się atak od strony lądu. Tutaj o brzasku Belizariuszowi udało się przerzucić długą grubą linę przez wystającą wieżyczkę: najpierw wystrzelono strzałę z długą jedwabną nicią, do której przywiązany był sznurek. Sznurek ten służył później do przeciągnięcia liny. Oba końce liny związano razem, a ludzie zaczęli się wspinać po obu stronach równoważąc się wzajemnie. Jednak posterunki na murze zauważyły to, przecięły linę i żołnierze spadli, i ponieśli śmierć. Belizariusz próbował także podpalić bramę podłączając do niej beczki z oliwą

i smołą, lecz brania była chroniona przez dwie mocne wieże i naszych ludzi odpędzono kamieniami i oszczepami, a wielu z nich zginęło.

Gdy oblężenie trwało już osiemnaście dni, pewien Izauryjczyk, służący dawniej w pułku przybocznym, a teraz oficer izauryjskiej piechoty, przyszedł do Belizariusza i zapytał:

—Panie, ile jest dla ciebie wart Neapol? Belizariusz odpowiedział z uśmiechem:

—Gdybym dostał go zaraz, żebym mógł wyruszyć na zdobycie Rzymu, nim zima się zacznie, wart jest dla mnie milion w złocie. Gdybym go dostał dopiero na wiosnę, nie będzie miał dla mnie większej wartości.

Izauryjczyk rzekł:

—Sto sztuk złota na każdego żołnierza w mojej kompanii, po pięćset dla moich oficerów, tysiąc dla mnie i dwa tysiące dla szeregowca, który znalazł słabe miejsce, jakiego kazałeś nam szukać.

—Dam dwa razy tyle! — krzyknął Belizariusz zrywając się. — Ale zapłacę dopiero wtedy, gdy będę miał w rękę klucze od miasta.

—Zgoda — odparł Izauryjczyk. A potem wprowadził szeregowca.

Ten żołnierz — gburowaty, nieokrzesany prostak — opowiedział Belizariuszowi, co znalazł. Przyszło mu do głowy wejść do suchego przewodu akweduktu od miejsca, gdzie został przerwany, aż do samego miasta, leżącego w odległości ponad jednej mili. Chciał zobaczyć, czy drugi koniec jest zamknięty kratą, czy w jakiś inny sposób. Droga była zupełnie łatwa. Mógł iść prawie wyprostowany, a w ścianach znajdują się liczne otwory wentylacyjne. Wreszcie dotarł do miejsca, gdzie tunel zwężał się do wielkości dziury w skale, wystarczającej, by przeszedł przez nią chłopiec, lecz nie-

dostępnej dla żołnierza w pełnej zbroi. Skąła nie była granitem, lecz jakimś miękkim wulkanicznym kamieniem. Człowiek zaopatrzony w oskard mógłby ją łatwo rąbać. Po drugiej stronie, parę kroków dalej, widział światło z góry, jak by akwedukt nie miał w tym miejscu dachu; i mógł rozróżnić również parę liści opadłych z oliwki, postrzępioną chustkę i jakieś potłuczone garnki. Wrócił następnego dnia, przeszedł drogą koło akweduktu, rozglądając się, czy nie zobaczy gdzie oliwki, lecz nic takiego nie ujrzał. Na tej podstawie doszedł do wniosku, że skąła znajduje się gdzieś w mieście.

Belizariusz dopuścił do tajemnicy dwudziestu żołnierzy kompanii izauryjskiej, ale nikogo więcej. Dał im owinięte w skórę młoty, dłuta i koszyki i posłał ich do powiększenia otworu, który sam najpierw obejrzał. Musieli pracować jak najciszej. W południe zameldowali, że otwór rozszerzono dostatecznie, aby mógł tamtędy przejść człowiek w pełnej zbroi, i że dalej tunel akweduktu jest wysoki na trzech mężczyzn, a część ceglanego dachu się zapadła. Korzenie oliwki przebiły dolną warstwę cegieł, czerpiąc w normalnych czasach wodę z akweduktu. Samo drzewo rośnie za akweduktem, lecz jedna z jego gałęzi przedostała się przez dziurę w dachu. Żołnierze przynieśli z sobą podartą chustkę i parę oliwek. Belizariusz obejrzał te rzeczy i powiedział:

— Ta bawelniana chustka była niedawno prana i prawdopodobnie wywieszona do suszenia, a wiatr ją porwał. Oliwki są szlachetne, a nie dzikie. Bądźcie pewni, że drzewo rośnie na podwórku jakiejś staruszki.

Potem wysłał następnę ostrzeżenie do ojców miasta: Jeśli dziś nie poddadcie Neapolu, jutro już go stracicie, gdyż wiem, jak go zdobyć. Przysięgam na mój honor, a nie zwykłem tracić słów na darmo. Jeśli mi

nie uwierzycie, będę się czuł obrażony. Jeśli sforsujemy mur, nie mogę obiecać, iż nie dojdzie do wypadków nadużycia siły."

Jednak nie uwierzyli mu.

Tej samej nocy sześciuset ubranych w kolczugi żołnierzy ruszyło akweduktem, choć z początku bardzo niechętnie, mówiąc, że są żołnierzami, a nie szczurami kanałowymi. Syn mojej pani, Focjusz, prosił o zaszczyt dowodzenia nimi, lecz Belizariusz nie chciał powierzyć tak trudnego zadania niedorośłemu chłopcu. Pozwolił mu jednak iść w tylnej straży i powierzył odpowiedzialność za utrzymanie łączności. Belizariuszowi przyszło na myśl, że sześciuset ludzi w zbroi, idąc choćby nawet ostrożnie przez ciemny akwedukt, z pewnością uczyni wiele hałasu. Zdecydował więc zagłuszyć ten hałas przez dywersję w innym miejscu.

Miał w swej armii starego znajomego — Bessasza, trackiego Gota, który niegdyś uczestniczył w uczcie Modesta. Był to teraz pięćdziesięcioletni weteran, lecz nadal silny i bojowy. Belizariusz polecił, aby Bessasz z kilkoma innymi Gotami podszedł do murów w pobliżu akweduktu i odwrócił uwagę wartowników, rozmawiając z nimi w gockim języku pod pozorem próby przekupienia ich do poddania miasta. Ludzie Bessasza mieli robić jak najwięcej hałasu, potykać się po ciemku wśród kamieni i udawać pijanych.

Podstęp udał się. Wymieniano obelgi, krzyki, pozdrowienia, żarty, śpiewano gockie ballady, Bessasz donośnie proklamował swą wierność dla cesarza Justyniana, zaś gocy strażnicy — dla króla Teudahacła, i sześciuset ludzi przeszło niepostrzeżenie akweduktem. Mieli z sobą latarnie dla dodania sobie odwagi.

Przewodnik, Izauryjczyk, który odkrył przejście, nie miał na sobie kolczugi i był zbrojny jedynie w szty-

let. Kiedy osiągnął miejsce, gdzie dach był zniszczony, wspiął się po ścianie alceduktu podsadzony przez kolegę. Znalazł oparcie na wystającej cegle, wdrapał się wyżej i z wysiłkiem wyszedł na górę. Rzucono mu długi sznur: przymocował go do gałęzi oliwki, a potem przełożył nogę przez ścianę i rozejrzał się. Jak przewidywał Belizariusz, znajdowało się tu podwórko domu. Nikogo nie było. Skinął ręką i czterech zbrojnych ludzi z oficerem na czele szybko przyłączyło się do niego na podwórku. Podkradli się do domu, który był zrujnowany, lecz zamieszkały. Minęła właśnie północ.

Gdy wlaźł przez okno, uderzył go kwaśny zaduch nędzy. Był w kuchni. W świetle księżycy zobaczył jeden kubek i jeden talerz na kulawym stole, gdzie ktoś musiał jeść kolację. Potem usłyszał słabe pokaszliwanie z następnej izby i jakieś mruczenie, jak by stara kobieta odmawiała modlitwę. Skoczył do niej z podniesionym sztyletem, zanim zdążyła krzyknąć. Lecz trwało to tylko sekundę. Wyjął zza pazuchy tę samą zniszczoną chustkę, którą pokazywał Belizariuszowi, i uśmiechając się przyjaźnie zwrócił ją staruszce. Dał jej również kawał sera, który powąchała, a potem ze smakiem zjadła. Następnie wszedł oficer. Zapytał po łacinie, jak jest usytuowany jej dom i kim są jej sąsiedzi. Opisała dom i powiedziała, iż tak samo jak ona jej sąsiedzi są biednymi ludźmi, których nie ma się co bać. Jeden po drugim żołnierze schodzili na obszerne podwórko i skoncentrowali się tutaj. Focjusz wrócił do Belizariusza, by mu powiedzieć, że jak dotychczas wszystko poszło dobrze.

W gaju cytrynowym niedaleko alceduktu Belizariusz miał przygotowaną grupę szturmową z drabinami do eskalady. Gdy tylko usłyszał z miasta dwa człwię-

ki trąbki i ujrzał sygnały latarni z miejsca po północnej stronie okrężnego wału, gdzie Izauryjczycy zdobyli stanowisko, szybko kazał podciągnąć drabiny i rozpocząć eskaladę. Konstantyn, któremu powierzono przygotowanie tych drabin, źle ocenił wysokość murów i drabiny były za krótkie o jakieś dwadzieścia stóp. Podłużył je związując razem powrozami, tak że stracono niewiele czasu. Izauryjczycy zdobyli dwie baszty i znaczną przestrzeń wałów, nie trwało więc długo, gdy dwa tysiące ludzi wspięło się na mury i połączyło z pierwszą grupą. Neapol był już właściwie zdobyty.

Jedynymi obrońcami, którzy walczyli z prawdziwą odwagą, byli Żydzi. Wiedzieli, że mają niewiele nadziei na wolność, gdy dostaną się do niewoli, bowiem Justynian prześladował ich religię. Potępiał wszystkich Żydów za winę ich przodków w ukrzyżowaniu Chrystusa. Ale w końcu i oni musieli ulec przewadze. Niektórzy obywatele otworzyli bramy i reszta armii runęła do środka.

Przez pozostałą część nocy plądrowano Neapol i popełniono wiele aktów dzikości, wobec których Belizariusz był bezsilny. Specjalnie gwałtowni byli pogańscy Hunowie-Massageci. Dwustu z nich wolało nie wrócić do swego kraju, lecz służyć nadal pod wodzą Belizariusza. Włamywali się do kościołów, rabowali skarby kościelne i zabijali księży przy ołtarzach — świętokradztwo, które bardzo oburzyło Belizariusza, szczególnie że były to kościoły prawowiernego wyznania. Rankiem ogłosił amnestię i zmusił wojsko do zakończenia grabieży. Żołnierze musieli się zadowolić swymi zdobyczami w pieniądzach, klejnotach i srebrnych zastawach stołowych. Odebrał im neapolitańskie kobiety i dzieci, które potępiali jako niewolników, i oddał je ich rodzinom. Następnie zasiadł jako sędzia, tak jak



w Kartaginie po jej zdobyciu. Powiedział ośmiuset gockim jeńcom, że zostaną wysłani do Konstantynopola i tam będą mieli do wyboru albo pracować bez żadnego wynagrodzenia jako robotnicy fizyczni, albo za wynagrodzeniem zostać żołnierzami cesarza na granicy perskiej. Zapewnili go, że wolą zostać żołnierzami, i pochwalił ich za to.

Gdy odbywał się sąd, dopuszczono przed oblicze Belizariusza urzędowego posłańca italskiej służby cywilnej — bladego jak nieboszczyk, wyczerpanego i ochlapanego błotem. Miał przy sobie list od króla Teudahada do Honoriusza, gubernatora miasta Rzymu. Nie złamał pieczęci, lecz uważał, że jest to list o ogromnym znaczeniu i jak najściślej tajny, bowiem posłańca wyrwano ze snu po północy i musiał czekać przez sześć godzin na zakończenie pisania. Jako lojalny Rzymianin nienawidził heretyckich Gotów i narażając się na ogromne niebezpieczeństwo zszedł z drogi i przyniósł list do rąk niezwykłego Belizariusza, zastępcy jego świątobliwego majestatu cesarza Justyniana, który jest zastępcą samego Boga. Kiedy o szarówce przechodził przez Terracynę, zatrzymał go i zaczął wypytywać gocki oficer. By uniknąć uwięzienia czy zwłoki w podróży, pchnął Gota sztyletem w brzuch i zostawił umierającego na drodze.

Belizariusz złamał pieczęcie, zaczął czytać i niebawem wybuchnął tak serdecznym śmiechem, iż baliśmy się, że stracił rozum. Wreszcie, odzyskawszy powagę, przeczytał uroczystym głosem następujący dokument:

„Król Teudahad prześwietnemu Honoriuszowi, gubernatorowi wiecznego miasta Rzymu, pozdrowienie!

Z żalem dowiedzieliśmy się z Twego raportu, że brązowe słonie przy Drodze Świętej (zwanej tak od

wielu zabobonów, którym była poświęcona z przeszłości) rozpadają się.

Jest godne pożałowania, że gdy te stworzenia żyją cieleśnie tysiąc i więcej lat, ich brązowe wizerunki tak szybko chylą się ku ruinie. Dopilnuj więc, by ich popękane członki zostały wzmocnione żelaznymi hakami i by ich obwisłe brzuchy odpowiednio podmurowano.

Żyjący słoń, kiedy upadnie na ziemię, jak to się często zdarza, gdy pomaga ludziom obalać drzewa, nie może się podnieść bez pomocy. Dzieje się to dlatego, że nie ma ścięgien w nogach, a w związku z tym w suchych krajach, w których zamieszkują słońce, można często zobaczyć wiele z nich leżących jak nieżywe, póki ludzie nie pomogą im się podnieść. A więc stworzenie tak straszliwe swą wielkością faktycznie nie zostało wyposażone przez naairę w tym stopniu co wątła mrówka.

Że jednak słoń przewyższa wszystkie inne stworzenia rozumem, świadczy o tym jego cześć dla Tego, którego uważa za Wszechpotężnego Władcę Świata. Ponadto składa dobrym władcom hołd, którego odmawia tyranom.

To zwierzę używa trąby, tej nosowej ręki, w którą zaopatrzyła je natura w rekompensacie za bardzo krótką szyję, dla dobra swego pana przyjmując prezenty najbardziej dla niego korzystne. Zawsze idzie ostrożnie, pamiętając o tym fatalnym upadku do dołu łowieckiego, który był pierwotną przyczyną schwywania zwierzęcia. Na wezwanie swego pana wypuszcza oddech, o którym powiadają, iż jest lekarstwem na ból brzucha u ludzi, szczególnie gdy słoń parska.

Kiedy słoń wchodzi do wody, wciąga trąbą ogromną jej ilość, a na słowo rozkazu potrafi wydmuchiwać

ją jak z natrysku. Jeśli człowiek traktował go obelżywie, potrafi wylać na niego taki strumień brudnej wody, że ktoś mógłby pomyśleć, iż cała rzeka wlała się do jego domu. Albowiem to stworzenie ma cudownie długą pamięć zarówno na krzywdy, jak i na życzliwość. Jego oczy są małe, lecz poruszają się dostojnie. Jego wygląd ma w sobie coś z królewskiej wyniosłości i o ile słon uznaje z przyjemnością wszystko, co godne szacunku, atoli najwidoczniej nie znosi karczemnych gestów. Jego skóra jest pomarszczona w głębokie bruzdy jak u ofiar zagranicznej choroby zwanej wedle tego *elephantiasis*. Ze względu na nieprzebijalność skóry perscy królowie używają słoni na wojnie.

Jest najbardziej pożądane, abyśmy zachowali wizerunki tych stworzeń i żeby nasi obywatele zapoznali się z widokiem tych mieszkańców obcych krain. Dlatego nie pozwalaj im zginąć, albowiem chwałę Rzymu zwiększa zbieranie wszelkich okazów działań, przez które sztuka rzemieślników naśladuje produkty bogatej natury w dalekich częściach świata.

Żegnaj!"

Postaniec był wstrząśnięty i wściekły, że niósł taki idiotyczny list, lecz Belizariusz ułagodził go pochwałą jego odwagi i wierności. Dał mu w nagrodę pięć funtów złota, to znaczy trzysta sześćdziesiąt sztuk złota, i mianował go kurierem swego sztabu. Belizariusz twierdził, że list ma o wiele większą wartość, niż by się wydawało przy pierwszym czytaniu: wskazuje on jasno, że król Teudahad poświęca się uczonym głupstwom zamiast zwracać uwagę na obronę swego królestwa.

— Teraz mogę maszerować do Rzymu bez obawy — powiedział nam.

Gdyby ten król pozostał nadal naczelnym wodzem gockich armii, zadanie Belizariusza byłoby istotnie bardzo łatwe. Albowiem Teudahad nie czynił w ogóle przygotowań wojennych zapewniając wielmożów, że wszystko jest w najlepszym porządku: pies szczekający na stado wilków zostałby szybko pożarty. Teudahad uważał, że wysłanie odsieczy do Neapolu jest zbędne, ponieważ powiadał, iż miasto może wytrzymać dwa razy dłuższe oblężenie niż Troja za starodawnych czasów. Nie chciał słuchać żadnych przypomnień. „Niech Belizariusz najpierw wyłamie zęby pod Neapolem, a później zapchamy mu gębę błotem” — mówił.

Kiedy nadeszła wieść o upadku Neapolu, cierpliwość wielmożów wyczerpała się. Oświadczyli, że bez wątpienia sprzedał miasto cesarzowi, że jedynym jego celem jest teraz życie wśród księżek w jakimkolwiek miejscu wśród bogactw zarobionych na zdradzie podwładnych. Zwołali więc koło jeziora Regillus niedaleko Terracyny, nie zapraszając Teudahada. Tam podnieśli na tarczach dzielnego generała imieniem Wittich i okrzyknęli go królem. Ten Wittich, wojownik niskiego urodzenia, niewiele lat przedtem wygrał dla Teoderyka wielką bitwę przeciwko dzikim Gepidom na brzegach Sawy. Miał tak małe wykształcenie, że ledwie potrafił podpisać swe imię.

Król Teudahad, który był właśnie w drodze z Tivoli do Rzymu, gdzie chciał przejrzeć kilka dzieł w bibliotece publicznej, nie zwlekał ani chwili, gdy usłyszał nowiny, i popędził do swego pałacu w Rawennie. Rawenna była najbezpieczniejszym schronieniem w Italii, ponieważ broniły ją bagna (przez które biegły dwie ławie do obrony groble) i jezioro zbyt płytkie, żeby statki mogły się zbliżyć do fortyfikacji. Lecz Wittich wysłał w pościg człowieka, który z zemsty jechał szybciej niż

Teudahad ze strachu, bowiem ostatnio rozkaz Teuda-hada pozbawił go pięknej dziedziczki, obiecanej mu za żonę. Ten człowiek galopował dzień i noc i wreszcie, przejechawszy dwieście mil, dopędził Teuda-ha-da pod samą bramą Rawenny. Tam chwycił go za kołnierz, ściągnął z konia i poderżnął mu gardło jak wieprzkowi czy baranowi.

Król Wittich pomaszerował do Rzymu przed Belizariuszem. Tu oznajmił, że został wybrany królem, i zwołał wielką radę Gotów. Stało się jasne, że sprawy Gotów znajdują się w stanie całkowitego zamieszania. Nie tylko siły obronne były rozproszone po całej Italii, lecz główna armia poszła przez Alpy na północny zachód, by chronić gockich posiadłości po tej stronie Rodanu przeciwko Frankom, których przekupił Justynian, by je zaatakowali. Druga armia została w Dalmacji pod Spalato. Kiedy Wittich porachował oddziały znajdujące się w jego dyspozycji, okazało się, że liczą one nie więcej niż dwadzieścia tysięcy wyćwiczonych wojowników. Dwukrotna przewaga liczebna nad Belizariuszem nie wydawała się Wittichowi właściwą gwarancją zwycięstwa.

Zdecydował się więc zostawić w Rzymie załogę wystarczającą do obrony, zawrzeć pokój z Frankami, uszykować swe wojska pod Rawenną i wrócić znowu w ciągu kilku tygodni z przemożną siłą, by spędzić nas do morza. Senat rzymski zapewnił króla Witticha o swej lojalności, którą ten umocnił zabierając znaczniejszych senatorów na zakładników, zaś sam papież Sylweryusz, podejrzewany przez Teudahada o ciche porozumienie z Konstantynopolem, złożył Wittichowi uroczystą przysięgę wierności. Potem Wittich pomaszerował do Rawenny, a w Rawennie zaślubił (choć wbrew jej woli) Matasontę, jedyną córkę Amalasynty,

i w ten sposób spowinowacił się z rodem Teoderyka. Z Rawenny wysłał poselstwa przyjaźni do Justyniana, prosząc go, by wycofał swe armie, skoro śmierć Amalasynty została pomszczona przez śmierć Teudahada.

Justynian zlekceważył to poselstwo, przekonany, że niebawem posiadzie całą Italię. Jeśli chodzi o Franków, Wittich zawarł z nimi pokój, płacąc sto pięćdziesiąt tysięcy w złocie — sumę już obiecaną przez Teudahada — i ustępując im gockie terytoria między Alpami i Rodanem pod warunkiem, że dostarczą mu oddziałów posiłkowych przeciwko Belizariuszowi. Lecz Frankowie, chcąc nadać pozostać z nami w formalnie dobrych stosunkach, nie obiecali własnych wojsk, powiedzieli tylko, że we właściwym czasie nadeślą armie podległych im sprzymierzeńców.

Maszerowaliśmy do Rzymu Drogą Łatyńską, która prowadzi przez Kapuę, równoległe do brzegu (w odległości około trzydziestu mil od niego), bowiem krótsza Droga Appijska była łatwa do obrony pod Terracyną i w wielu innych punktach, a Belizariusz nie mógł sobie pozwolić na zwłokę czy dalsze straty w ludziach. Miejscowa ludność, a szczególnie księża, wszędzie witała nas entuzjastycznie. Żołnierze otrzymali surowe rozkazy, by płacić za żywność, jakiej mogliby potrzebować, i zachowywać się grzecznie. Dla nas, domowników Belizariusza, widoki Italii starożytnej i nowoczesnej były ogromnie interesujące, lecz nasza pani nie miała dla nich oczu i jej smutek przeniósł się na nas. Wreszcie przybył list od Teodozjusza, który został zakonnikiem w Efezie, tak jak Belizariusz mu polecił. W liście tym wyrażał miłość i wdzięczność dla Belizariusza, lecz tłumaczył się, iż na razie nie może do nas wrócić. „Nie mogę przybyć, moi najdrożsi chrzestni rodzice, póki wasz syn Focjusz jest z wami: bowiem pi-

szecie mi, że Macedonia została ukarana, i obawiam się zemsty jej kochanka. Nie oskarżam go, że ją namówił, by mnie oczerniła, lecz musicie wiedzieć, że nienawidził mnie jeszcze przedtem. Albowiem dałaś mi wiele podarunków, droga matko chrzestna Antonio, a on uważał, iż ukradłaś je z jego dziedzictwa."

Belizariusz pragnął wyrwać moją panią z melancholii i jednocześnie dać Teodozjuszowi zadośćuczynienie za dawne podejrzenia. Stąd też odesłał Focjusza do Konstantynopola. Focjusz zabrał ze sobą klucze Neapolu dla Justyniana, gockich jeńców i list domagający się natychmiastowych posiłków. Następnie Belizariusz napisał do Teodozjusza, że może teraz wracać bez obawy. Lecz czas oczekiwania bardzo się dłużył mojej pani.

Garnizon Rzymu był bardzo zaskoczony naszym przybyciem. Gocka placówka przy Drodze Appijskiej myślała, że jeszcze jesteśmy w Neapolu. Jeszcze raz imię Belizariusza udowodniło swą wartość. Ludność miasta była przekonana, że miasto zostanie zdobyte, i chciała uniknąć losu neapolitańczyków. Papież Sylwesteriusz złamał swą przysięgę wobec Witticha pod pretekstem, że złożył ją heretykowi i pod presją. Posłał list do Belizariusza zapraszając go, by wkraczał bez obawy, bo niebawem namówi gocką załogę do wyjścia. Gdy zeszliliśmy z długiego łańcucha Albano i weszliśmy do miasta przez Bramę Asynaryjską, gocki garnizon wymaszerowywał na północ przez Bramę Flamińską. Tylko dowódca Gotów nie chciał opuścić swego stanowiska. Belizariusz wziął go żywcem i posłał do Konstantynopola z kluczami od miasta.

Przyznaję, że wygląd Rzymu mnie rozczarował. Rzym jest godzien szacunku, jest rzeczywiście ogromny i zawiera najświetniejsze budowle, z których naj-

większe usuwają w cień wszystko, co możemy pokazać w Konstantynopolu. Lecz pod trzema względami ustępuje, moim zdaniem, nawet Kartaginie: jest miastem, które znacznie podupadło zarówno pod względem bogactw, jak i liczby ludności, nie leży nad morzem, a klimat ma niezdrowy.

Rzymscy senatorowie i duchowieństwo powitali nas ciepło i nalegali, byśmy ruszyli pod Rawennę i zniszczyli uzurpatora Witticha, zanim zdąży zebrać swe siły. Lecz zaniepokoił się bardzo, gdy Belizariusz powiedział, że woli tymczasem pozostać w mieście i korzystać z ich gościnności, a szczególnie, gdy zaczął naprawiać obronne mury, które znajdowały się w stanie ruiny. Sam papież Sylweryusz przybył potajemnie do mojej pani i powiedział — byłem przy tym obecny — te słowa:

— Najcnotliwsza i prześwietna córko, może będziesz w stanie przekonać zwycięskiego Belizariusza, twego małżonka, by zaniechał swych nierozsądnych zamiarów. Wydaje się, że zamierza czekać na oblężenie w naszym świętym Rzymie, który (aczkolwiek szczerze błogosławiony przez Boga) jest najmniej obronnym miastem w świecie i w ciągu tysiąca dwustu lat swej historii nigdy nie oparł się skutecznie długiemu oblężeniu. Mury, które go otaczają, jak możesz stwierdzić, mają dwanaście mil długości i wznoszą się na równej płaszczyźnie. Nie posiada dość pożywienia dla swych wielu setek tysięcy dusz i niełatwo go zaopatrzyć z morza — jak na przykład Neapol. Jeśli wasze siły są niewystarczające, dlaczego nie wróćcie do Neapolu i nie zostawicie nas w spokoju?

Moja pani Antonina odpowiedziała:

— Umiłowany przez Chrystusa, najświetniejszy i najdostojniejszy Sylweryuszu, skieruj swe myśli ku króle-



stwu niebieskiemu, a mój mąż i ja będziemy się troszczyć o ziemskie. Pozwolę sobie ostrzec waszą świątobliwość, że niemieszanie się do naszych spraw będzie dla niej rzeczą korzystną.

Papież Sylwester odszedł obrażony, nie udzielając mojej pani zwykłego błogosławieństwa — co, jak możecie sobie wyobrazić, zbytnio jej nie zmartwiło. Powstała między nimi zawiść i papież żałował teraz, że witał naszą małą armię. Był przekonany, że zostaniemy pobici i że Wittich usunie go z tronu za złamanie przysięgi.

Belizariusz, wysławszy Konstantyna i Bessasza z niewielkim oddziałem, aby zajęli Toskanię, resztę swych wojsk zapędził do pracy nad umacnianiem starożytnych wałów miejskich. Oczyszczano i pogłębiało zapchaną fosę i łataną bramy. Od czasów Teoderyka nikt nie troszczył się o reperację wałów. Składały się one ze zwykłego nasypu ziemnego zamkniętego między dwoma murami, umocnionego basztami w pewnych odstępach. Belizariusz ulepszył teraz bastiony, dodając do każdego z nich obronne skrzydło, tak że dla ptaków czy aniołów spoglądających z nieba wyglądało to jak litera *gamma* napisana wielokrotnie. Zatrudnił wszystkich murarzy i robotników miejskich, tak jak to zrobił w Kartaginie. Wypełnił również spichlerze Rzymu zbożem, które sprowadził z Sycylii, i zarekwirował wszelkie zapasy w promieniu stu mil od miasta, płacąc za nie dobrą cenę.

Weszliśmy do Rzymu dziesiątego grudnia. Minęło trzy miesiące, zanim król Wittich nadciągnął ze swą armią. Lecz była to bardzo silna armia, ściągnięta z całej Italii i zza Alp — składała się głównie z ciężkiej kawalerii. Zajęliśmy Toskanię, lecz Belizariusz zabrał teraz stamtąd wszystkie załogi z wyjątkiem garnizonów Pe-

rugii, Nami i Spoleto, w ilości zaledwie tysiąca ludzi. Wraz z piechotą morską mieliśmy dziesięć tysięcy ludzi wszelkiej broni, by przeciwstawić się stu pięćdziesięciu tysiącom Gotów. W ten sposób zaczęło się oblężenie Rzymu. Wittich jechał na południe na czele armii, która rozciągała się za nim na Drodze Flamińskiej na przestrzeni setki mil, z małymi tylko odstępami między dywizjami. W pobliżu Rzymu spotkał księdza, którego wynoszono w lektyce z miasta, a który dążył, by objąć biskupstwo na północy. Wittich zapytał księdza:

- Cóż tam nowego, święty ojcze? Czy Belizariusz jest nadal w Rzymie? Sądzisz, że zdążymy go złapać, za nim ucieknie do Neapolu?

Duchowny, który był człowiekiem bystrym, odpowiedział:

- Nie trzeba się śpieszyć, królu. Pani Antonina, żona owego Belizariusza, szkliła okna w pałacu, w którym zamierzają mieszkać, wstawia nowe zawiasy w drzwiach, kupuje meble i obrazy, sadi róże w ogrodzie i buduje nowy portyk północny. Belizariusz robi to samo z fortyfikacjami miejskimi - gdy dojdiesz do Tybru, znajdziesz coś w rodzaju nowego północnego portyku, który zbudował przy moście Mulwijskim.

Na Tybrze jest wiele mostów. Most Mulwijski jako jedyny leży poza obrębem murów miejskich, o dwie mile na północ. Belizariusz zbudował tu dwie mocne kamienne wieże, obsadził je oddziałem stu pięćdziesięciu kawalerzystów i zaopatrzył ich w katapuły i w skorpiońce umożliwiające zniszczenie każdej łodzi, którą Goci próbowaliby przekroczyć Tybr, oraz ostrzeliwanie ich tyłów. Chciał, żeby umocnienia mostu opóźniły marsz Witticha zmuszając go albo do długiej drogi okrężnej, albo do wysłania swych ludzi przez rzekę dziesiątkami i dwudziestkami w małych pro-

mach - wszystkie większe łodzie i barki usunął. Na cokolwiek Wittich by się zdecydował, jego arnia była tak ogromna, że Belizariusz zyskałby około dwudziestu dni na ukończenie prac przy fortyfikacjach miejskich, a w tym czasie mogły przybyć również posiłki, których się spodziewał z Konstantynopola. Możliwe, że udałoby mu się również odwlec przeprawę nieprzyjaciela w innym punkcie.

Załoga mostu Mulwijskiego okazała się tchórzliwa. Kiedy obrońcy ujrzeli gockich wojowników nadciągających na pięknych koniach setkami, tysiącami i dziesiątkami tysięcy, gdy wiosenne słońce migotało na ich hełmach, zbroi, grotach lanc, napierśnikach i uzdach, powiedzieli do siebie:

- Dlaczego mamy tu stać i dać się zabić dla przyjemności Belizariusza? Nawet on nie ośmieliłby się walczyć w stosunku jeden do tysiąca.

Niektórzy członkowie załogi byli trackimi Gotami i uświadomili sobie nagle, że ta wspaniała armia składa się z ich rodaków i współwyznawców. Cóż mogli mieć przeciwko nim? O zmierzchu załoga uciekła: traccy Goci zdezerterowali do Witticha, a reszta udała się w kierunku Kampanii, wstydząc się albo bojąc wrócić do Rzymu.

Następnego ranka Belizariusz wyjechał ku mostowi Mulwijskiemu z tysiącem ludzi z przybocznego pułku, by się dowiedzieć, jakie są wieści o Gotach. Zwykły wieczorny raport od oficera dowodzącego załogą mostu nie dotarł do niego. Siedział na Balanie, kasztanowatym ogierze z białą łysiną, którego Teodora dała mu po bitwie pod Dara, i znajdował się zaledwie o milę od mostu, gdy nagle przy wyjeździe z lasu wraz ze swym sztabem ujrzął nieoczekiwany i niepożądany widok: cztery czy pięć gockich szwadronów, przebywszy już

rzekę, szło na niego klusem przez wielką łąkę. Nie wahając się ani chwili Belizariusz rzucił się prosto na nich, krzycząc do swego oddziału, żeby wszyscy ruszyli za nim. Gdy wyskoczyli z lasu strzelając w galopie z siodła, ujrzeni, że Belizariusz i jego sztab prowadzi krwawe dzieło zwykłych kawalerzystów. Nawet wtedy nie chciał się cofnąć, lecz coraz bardziej zapamiętywał się w walce.

Wśród nieprzyjaciół byli dezercerzy z załogi mostów, którzy poznali Belizariusza i zaczęli krzyczeć do swoich kolegów:

- Celujcie w kasztana i skończcie wojnę za jednym zamachem! - Ten okrzyk podjęli wszyscy Goci.

Zaczęła się jeszcze dziksza walka niż z Persami nad brzegiem Eufratu. Nie tylko szwadron Belizariusza walczył przeciwko wielkiej przewadze, lecz każdy z Gotów pragnął zyskać nieśmiertelną sławę przez zabicie „Greka na kasztanie z łysiną!”, jak go nazywali. Chyba nigdy od początku świata nie było tak zaciętej walki. Sztab Belizariusza walczył desperacko przy jego boku, odbijając ciosy sulic i włóczni. Sam Belizariusz, tnąc, kłując i parując ciosy mieczem, wdzierał się do samego serca nieprzyjaciela. Jego koń, Balan, walczył razem z nim, będąc wyuczony do przysiadania na zadzie i bicia przednimi kopytami. Nadal rozlegał się krzyk w gockim języku: „Celujcie w kasztana! Zabijcie Greka na kasztanie z łysiną!” Belizariusz krzyknął o nowy miecz, ponieważ jego miecz był już stępiony nie do użytku. Umierający koniuch, niejaki Maksencjusz, podał mu swój. Belizariusz niebawem złamał ten darowany miecz przy samej rękojeści i znaleziono dla niego trzeci miecz poległego gockiego wielmoży. Ta broń służyła mu w tej bitwie i jeszcze w wielu innych. Po przeszło trzech godzinach takiej walki Goci mieli

już dosyć i zawrócili w ucieczce, zostawiając na łące za sobą tysiąc zabitych (cztery razy tyle brało udział w walce). Powiadają, że Belizariusz własną ręką położył sześćdziesięciu czy więcej. Był cały schlapany krwią, która tryskała na niego z przeciętych rąk i przebijanych karków, lecz jakimś cudem nie został nawet draśnięty. Belizariusz podczas walki nie uśmiechał się ani nie żartował jak większość jego ludzi. Zabicie człowieka, a szczególnie chrześcijanina, uważał za sprawę bardzo poważną. Nigdy też nie chwalił się swymi zwycięstwami w walce.

Ranni wrócili do Rzymu małymi grupami. Ostatni z nich przynieśli wiadomość, że Belizariusz został zabity, ponieważ poległego koniucha Maksencjusza pomylono z jego panem. Wtedy wszyscy myśleliśmy, że miasto zostało stracone - wszyscy z wyjątkiem mojej pani Antoniny, która nie wierzyła w tę wiadomość i zachowywała się z największym męstwem. Przeprowadziwszy inspekcję posterunków na wałach i przy bramach, by dodać odwagi ludziom i uniemożliwić zdradę, zajęła stanowisko przy Bramie Flamińskiej. Moja pani była bardzo popularna wśród żołnierzy - odwaga jest właściwością, która zawsze zyskuje powszechne uznanie. Nigdy nie miała też nic przeciwko wymianie rubasznych żartów z żołnierzami, nie szczędziła swych pieniędzy, dobrze siedziała na koniu i nawet potrafiła postugiwać się łukiem.

Tymczasem Belizariusz, ścigając uciekającego nieprzyjaciela ku mostowi, miał nadzieję spędzić Gotów za rzekę i w ten sposób pomóc załodze, która, jak mu się zdawało, nadal desperacko broniła wież flankujących mostu. Lecz tymczasem duży oddział gockiej piechoty również przeszedł przez most. Goci na chwilę rozstąpili się, by przepuścić uciekającą kawalerię, a po-

tern znowu zamknęli szyk i dotrzymani pola witając naszych ludzi deszczem strzał. Belizariusz zawrócił szwadron, teraz bardzo uszczuplony w liczbie, i zajął pobliski pagórek, z którego mógł widzieć wyraźnie, czy cesarski sztandar nadal powiewa na wieżach. Sztandaru nie było. Potem dziesięć tysięcy gockiej kawalerii runęło na niego i spędziło go z tego stanowiska. Jego ludzie mieli nadal pełne kołczany strzał, ponieważ prowadzili dotychczas walkę wręcz. Przydały się one teraz do prowadzenia korzystnej akcji opóźniającej w powrotnej drodze do Rzymu, przy czym kawalerzyści starali się wybierać przywódców nieprzyjacielskich.

Belizariusz o zmroku znalazł się pod Bramą Salariańską, a wielkie siły wroga ścigały go w odległości strzelenia z łuku.

Jak już wspominałem, moja pani Antonina była przy Bramie Flamińskiej, odległej o całą milę na zachód od Bramy Salariańskiej, gdzie stała na straży piechota morska. Marynarze usłyszeli wiadomość o śmierci Belizariusza i nie mogli uwierzyć, że to on woła, by otworzyć bramę. Podejrzewali jakiś podstęp. Belizariusz przejechał przez most na fosie i stanął pod bramą krzyżąc:

- Nie znacie Belizariusza? Otwierajcie zaraz, marynarze, albo wejdę przez Bramę Flamińską i stłukę was kijem co do jednego.

Jego twarzy nie można było rozpoznać pod krwią i kurzem, lecz niektórzy z ludzi znali jego głos i chcieli go wpuścić. Inni bali się, że wpuszczą w ten sposób Gotów. Brama pozostała zamknięta, a Belizariusz i jego gwardia tłoczyła się pod nią, między dwiema flankującymi wieżami. Goci stanęli gromadą po drugiej stronie mostu i zaczęli wzajemnie zachęcać się do ataku. Wtedy Belizariusz, który nigdy nie tracił głowy,

wbił pięty w boki Balana, wydał okrzyk wojenny i ze swymi wyczerpanymi ludźmi rzucił się na Gotów. W zapadającej ciemności Goci przypuszczali, że nowe siły nieprzyjacielskie wyskoczyły z bramy. Rozbiegli się we wszystkich kierunkach.

Widząc to marynarze otworzyli wreszcie Belizariuszowi. Pokornie błagali o przebaczenie, którego im udzielił, i niebawem ścisnął już Antoninę i pytał ją o nowiny. Opowiedziała mu, jakie środki dla obrony miasta przyjęła na własną rękę. Gdy rozeszła się pogłoska o jego śmierci, wzmocniła strażę na wałach, następnie wybrała ludzi spośród zwykłych rzymskich robotników i przydzieliła ich po kilku na każdą bramę. Powiedziała:

- To proste zadanie. Trzymajcie oczy otwarte. Jeśli zobaczycie jakiegoś Gota wspinającego się na mur, krzyknijcie głośno: „Uwaga, straż!”, i w tej samej chwili walcie kilofem w łeb!

Powołała również do obrony nie zatrudnionych rzemieślników-murarzy i kowali z młotami, cieśli i rzeźników z siekierami oraz przewoźników z bosakami. Rzekła: „Nie potrzebuję was uczyć, jak się macie obchodzić z waszą bronią”, lecz dała im hełmy na znak, że są żołnierzami. Belizariusz bardzo chwalił jej dzieło.

Potem, choć był zmęczony i nic nie jadł od rana, obszedł fortyfikacje, by sprawdzić, czy wszystko w porządku i czy każdy człowiek jest na swoim miejscu. Rzym ma czternaście głównych bram i wiele mniejszych. Minęła północ, zanim Belizariusz skończył obchód. Szedł w prawą stronę, to znaczy tak, jak posuwa się słońce, lecz gdy dotarł do Bramy Tyburskiej w wschodniej części miasta, dogonił go postaniec od Bessasza biegnący od Bramy Prenestyjskiej, którą Belizariusz dopiero co opuścił. Przyniósł alarmujące wia-

domości. Bessasz usłyszał, że Goci włamali się po drugiej stronie miasta przez wzgórze Janikulum i są już w pobliżu Kapitolu.

Ta wieść spowodowała panikę wśród Izauryjczyków, którzy pełnili straż przy Bramie Tyburskiej, lecz Belizariusz wypytując gońca niebawem zaczął wątpić w całą tę historię, szczególnie że jedynym informatorem Bessasza był ksiądz z katedry Świętego Piotra. Pchnął zaraz zwiadowców, a oni wrócili meldując, że nigdzie nie widziano ani jednego Gota. Tak więc wystął obiegami rozkaz do wszystkich oficerów, by nie wierzyli w żadne pogłoski wymyślane przez nieprzyjaciół w mieście, mające na celu wystraszenie ich ze stanowisk. Jeśli nadejdzie niebezpieczeństwo, poinformuje ich sam; muszą jednak stać twardo na stanowiskach, wierząc, że ich dzielni koledzy na innych odcinkach wału czynią to samo. Rozkazał, by zapalono ogniska na całym kręgu wału, tak żeby Goci widzieli, iż Rzym jest dobrze strzeżony, a obywatele mogli spać spokojnie.

Kiedy przybył do Bramy Salaryjskiej, spotkał tłum żołnierzy, piechoty morskiej i obywateli Rzymu przysłuchujących się przemówieniu gockiego dostojnika. Got zwracał się do obywateli w dobrej łacinie (której marynarze nie rozumieli) wyrzucając im ich niewierność i wpuszczenie do miasta bandy Greków z Konstantynopola.

- Greków! - krzyczał z pogardą. - Jakiego wyzwolenia możecie oczekiwać od szajki Greków? Z pewnością wiecie, czym są Grecy, wedle tych, których widzieliście - wedle tych band rozwiązłych greckich aktorów i sprośnych mimów, i tych złodziejskich, tchórzliwych żeglarzy!

Belizariusz zwrócił się do marynarzy i powiedział im z uśmiechem:



-Chciałbym, żebyście rozumieli po łacinie. Spytali:

-Co on gada?

-Szczególnie obraża was, żeglarzy, a czasami nawet mówi prawdę.

Moja pani przekonała go, żeby zjadł trochę chleba i mięsa i wypił kubek wina. Kiedy jadł, pięciu czołowych senatorów przybyło do niego drżąc i zapytało:

- Jutro, generale, chyba się poddasz? Roześmiał się:

- Traktujcie tych Gotów pogardliwie, moi prześwieczeni przyjaciele, albowiem już zostali pobici.

Popatrzyli na niego z ukosa i wymienili między sobą zdumione spojrzenia. Powiedział im:

-Nie żartuję ani nie brawuruję, albowiem dziś dowiedziałem się, że zwycięstwo jest nasze, jeśli będziemy się zachowywali ze zwykłym rozsądkiem.

-Ależ, prześwieczeni Belizariuszu, strzały ich piechoty spędziły cię z mostu Mulwijskiego, a ich kawaleria w ogromnej sile ścigała cię aż do samego Rzymu.

Belizariusz wytarł usta chusteczką i powiedział:

- Znakomici koledzy patrycjusze, opisaliście dokłaennie, co się zdarzyło, i dlatego właśnie powiadam, że Goci zostali już pokonani.

Mruczełi do siebie z oburzeniem, że chyba oszalał. Lecz każdy, kto ma trochę zdrowego rozsądku, zrozumiałby od razu, o czym myślał. Piechota Gotów potrafiła tylko zademonstrować swe umiejętności obronne, a ich kawaleria nie mogła znieść oddziaływania Belizariusza mimo swej ogromnej przewagi liczebnej i świeżych koni, bowiem Goci nie będąc łucznikami musieli utrzymywać dystans. Przypomnieliśmy sobie uwagę Belizariusza wypowiedzianą pod Dara: „Rzadko trafia się generał, który umie dowodzić czterdziestu tysiącami żołnierzy, lecz jeszcze rzadziej trafia się taki, który umie dowodzić osiemdziesięciu tysiącami.”  
Więc cóż

powiedzieć o Wittichu, który wprowadził przeciwko nam prawie dwa razy tyle ludzi?

Minęła pierwsza noc oblężenia Rzymu, a nieprzyjaciel nie rozpoczął ataku o świcie.

## Rozdział XV

### OBRONA RZYMU

Pierwsza akcja Gotów przeciwko miastu polegała na wybudowaniu sześciu umocnionych obozów z fosami, wałem i palisadą. Były one usytuowane w części północnej, a ich odległość od wału wynosiła od trzystu kroków do jednej mili. Następnie przecięli wszystkie czternaście akweduktów, które od stuleci zaopatrywały miasto w czystą wodę, doprowadzaną z dalekiej odległości. Ponieważ w mieście były zbiorniki na deszczówkę, a mur zachodni zamykał część Tybru, brak wody nam nie groził. Jednak bogatsi obywatele byli bardzo niezadowoleni, że muszą pić deszczówkę, a jeśli chcą utrzymać czystość - kąpać się w rzece, nie mogąc skorzystać z własnych wygodnych łaźni. Belizariusz dopilnował, by każdy akwedukt zamurowano w odpowiednich miejscach. Zbudował również półkolisty, łukowaty mur zamykający niektóre z bram miejskich od wewnątrz. W każdej znajdowała się tylko jedna mała, dobrze strzeżona furta, by uniemożliwić nagły zdradziecki wypad i wpuszczenie wroga do miasta. Brama Flamińska była tak zagrożona przez pobliski obóz Gotów, że zamurował ją na stałe. Przeprowadził bardzo staranną inspekcję wszystkich linii obrony, zarówno zewnątrz, jak i od wewnątrz, szukając słabych miejsc, rozpytując szczególnie o wyloty ścieków miejskich. Stwierdził jednak, że znajdują się

one na brzegach Tybru pod powierzchnią wody, tak że nikt nie mógłby się przez nie przedostać.

Najgorszą niedogodnością, jaką cierpieliśmy od samego początku, było unieruchomienie młynów publicznych na wzgórzu Janikulum, które poruszała woda z akweduktu Trajana. Ponieważ nie mieliśmy w mieście koni ani wołów, które można by użyć do obracania kół, przez dłuższy czas musieliśmy używać niewolników. Lecz Belizariusz szybko uruchomił nowe młyny wodne. Tuż pod mostem Aureliana przerzucił przez rzekę dwie grube liny i naciągnął je kołowrotem. Utrzymywały one w miejscu dziobem do prądu dwie wielkie barki oddalone od siebie jedynie o dwie stopy. Na każdej barce umieścił młyńskie kamienie i połączył z zawieszonym między statkami kołem młyńskim, które strumień wody płynącej spod łuku mostu obracał z odpowiednią szybkością. Kiedy ujrział, że ta metoda daje dobre wyniki, umocnił liny i dalszych czterdzieści barek z młyńskimi kołami przyczepiono do pierwszej pary w długiej linii w dół rzeki. Odtąd nie mieliśmy trudności z mieleniem zboża, z tym wyjątkiem, że w parę dni później Goci usłyszawszy o młynach od dezertersów, puścili z prądem wiele pni drzew. Niektóre z nich wpadły na młyńskie koła i zdruzgotaly je. Belizariusz zawiesił więc pod mostem żelazną sieć, skonstruowaną jak płytki niewód. Płynące pnie drzew wpadały do tego niewodu, a potem ściągano je na brzeg i rąbano na opał dla piekarni publicznych.

Obywatele Rzymu nie znali dotychczas zupełnie osobliwości i niebezpieczeństw wojny, lecz Belizariusz niebawem oznajmił im, że nie mogą się spodziewać, aby pozostali biernymi widzami jak publiczność w teatrze: muszą cierpieć te same wyrzeczenia co żoł-

nierze. Chcąc stworzyć sobie rezerwę, którą mógłby rzucić na dowolny odcinek wałów zagrożony atakiem, zaciągnął do strażowania jeszcze więcej bezrobotnych. Z niektórymi z nich kazał codziennie przeprowadzać ćwiczenia w strzelaniu z łuków na Polu Marsowym, a innych szkolił na oszczepników. Lecz byli bardzo niechętnymi żołnierzami i pozostali nadal niezdiscyplinowaną bandą, jakkolwiek oficerowie i sierżanci ciężko nad nimi pracowali.

Ileokroć Belizariusz wychodził do miasta, Rzymianie obu płci i wszystkich klas społecznych spoglądali na niego ponuro. Oburzali się, że się ośmielił przeciwstawić Gotom, nie czekając na wystarczające posiłki od cesarza, i w ten sposób wplątał ich w oblężenie, które może się skończyć głodem i masakrą. Król Wittich wiedział od dezertarów, że szczególnie senat gniewa się na Belizariusza, i dlatego wysłał postów do miasta, by wykorzystali te niesnaski.

Gotów z zawiązanymi oczami przyprowadzono do senatu i pozwolono im przemawiać do senatorów w obecności Belizariusza i jego sztabu. Przy tej okazji zapomnieli o grzeczności i zwracali się grubiańsko do wytwornych patrycjuszy, oskarżając ich o złamanie wiary broniącej kraju armii gockiej i wpuszczenie greckich intruzów. W imieniu Witticha zaproponowali powszechną amnestię pod warunkiem, że Belizariusz natychmiast opuści miasto. Skłonni byli mu dać nawet dziesięć dni, zanim rozpoczną pościg, co, jak powiedzieli, było krokiem bardzo szlachetnym, wzięwszy pod uwagę, że wojska Belizariusza są zupełnie niewystarczające do obrony tak olbrzymiej długości murów.

Belizariusz odpowiedział krótko, że rzymscy patrycjusze nie postąpili zdradziecko: wpuścili jedynie

do miasta swych kolegów patrycjusza wraz z siłami cesarskimi, którymi ci szlachetni mężowie prawnie dowodzą.

- Moi panowie, jestem upoważniony do odpowiedzi w imieniu tego wiernego senatu, ponieważ zajmuję wśród niego wysokie stanowisko, podobnie zresztą

jak i u mojego władcy. Odpowiadam więc, że to nie Goci czy inni Germanie zbudowali pierwotnie to miasto i te mury - ależ wy nawet nie zatroszczyliście się, by je utrzymać w porządku! Więc wy jesteście intruzami i nie macie tu żadnego tytułu własności. Mój szlachetny władca nie uznał nawet Witticha, waszego króla, za swego wasala. A więc radzę wam, dostojni Goci, byście poszli stąd precz i użyli swej wymowy dla wyperswadowania waszym rodakom ich głupoty. W przeciwnym razie ostrzegam, że nadejdzie czas, kiedy z radością będziecie chować głowy w krzaki jeżyn i kępy ostów, by uniknąć naszych lanc. Tymczasem za stanowcie się, że Rzym jedynie my moglibyśmy zdołać być, i to używając machin oblężniczych i po ciężkiej walce. Użycie machin oblężniczych jest sztuką, w której wy, Goci, nigdy nie byliście biegli. Dlatego też nasze siły, choć tymczasem nieliczne, starczą aż nadto do obrony wałów, które zbudowali nasi przodkowie, a które wy opuściliście bez walki.

Król Wittich ciekawie wypytywał powracających posłów, jakim człowiekiem jest Belizariusz. Powiedzieli mu:

- Jest to brodaty lew, nie zna trwogi, używa niewiele lu niepotrzebnych słów, wyglądem i budową ciała przypomina nas samych, lecz jego włosy są ciemne, a oczy ma błękitne podobnie jak nasze, głęboko osadzone. Jego bystre spojrzenie i sposób bycia narzucają wszystkim respekt dla niego. Widzieliśmy również

Antoninę, lwicę z tego samego gatunku, rudowłosą. Królu Wittichu, musisz się przygotować do zacieklej walki.

Minęło dwa tygodnie, zanim Wittich ukończył przygotowania do szturm. Kiedy pewnego ranka o szarówce Belizariusz ujrzał z wału, co przygotowano, zaczął się śmiać. Wywołało to wielkie zgorszenie wśród obywateli. Pytali jeden drugiego z oburzeniem:

- Czyżego śmiesz, że nas zjedzą te ariańskie bestie?

Muszę przyznać, że również nie wiedziałem, co tam jest śmiesznego, ponieważ zobaczyłem w odległości ćwierci mili pewną ilość potężnych budowli na kołach, ciągniętych ku nam przez gromady wołów i eskortowanych przez roje gockich lansjerów. Wyglądały jak wieże, każda miała w środku schody prowadzące na szczyt zakończony platformą i zdawało się, że są równe z naszym wałem. Ich piechota niosła mnóstwo długich drabin, a na wozach piętrzyło się coś, co wyglądało jak wiązki faszyny. Na innych wozach leżały deski. Było jasne, że Goci zamierzają zasypać część naszej fosy faszyną, następnie przetoczyć beluardy po deskach ułożonych na faszynie i wspiać się na wały. Były również cztery mniejsze maszyny na kołach, za zastonami z końskiej skóry. Z każdej z nich wystawała okuta żelazem belka. Rozpoznałem w nich tarany. Belka waha się na linach wewnątrz konstrukcji i przez rytmiczne uderzenia wybija w końcu dziurę nawet w najgrubszym murze.

Jako główny punkt ataku wybrali Bramę Salaryjską i Belizariusz natychmiast skoncentrował na sąsiednich basztach wszystkie maszyny obronne, jakie mógł ściągnąć. Były tu skorpiony - niewielkie, miotające kamienie balisty, uruchamiane przez mocne skręcenie i nagie zwolnienie konopnej liny. Były onagery, czyli

większa odmiana skorpionów. Nie brakło katapult, które są mechanicznymi łukami, działającymi na tej samej zasadzie co poprzednio wspomniane maszyny, wyrzucają zaś grube strzały z drewnianymi statecznikami z siłą przewyższającą jakkolwiek zwykły łuk. Mieliśmy również kilka wilków. Są to maszyny służące do zahaczenia głowy tarana i szarpnięcia jej w bok, tak że cała konstrukcja się przewraca.

Belizariusz spokojnie zawołał swego giermka, Masagetę Chrosomantisa, i powiedział:

- Daj mi mój łuk do polowania i dwie strzały na je lenie, Chrosomantisie.

Była to precyzyjna broń Belizariusza. Gocki dostojnik, jak się okazało, kuzyn króla Witticha, kierował marszem nieprzyjacielskich machin oblężniczycli. Był ubrany w połćacaną zbroję i miał wysoki purpurowy pióropusz. Lecz kiedy myślał, że jest poza zasięgiem strzał, zaskoczyła go śmierć: Belizariusz wycelowawszy starannie, trafił go strzałą w samo gardło, tak że Got runął z konia nieżywy. Odległość wynosiła nie mniej niż dwieście kroków. Nie wiedząc o zwykłej celności Belizariusza, Goci uznali to wydarzenie za zły omen. Donośny okrzyk rozległ się z wałów, a Goci stanęli na chwilę, póki nie odniesiono zwłok. Inny dostojnik, brat zabitego, objął dowództwo. Lecz gdy dał sygnał, by kawalkada ruszyła dalej, Belizariusz wycelowował znowu i udowodnił tym, którzy mogli by wątpić, że pierwszy strzał nie był sprawą szczęścia. Tym razem strzała trafiła Gota w usta, gdy coś krzyczał, a ostry grot wyszedł mu karkiem. Również upadł nieżywy. Zaczętem tańczyć z radości i krzyczałem:

- Och, świetnie, panie! Pozwól teraz nam strzelać! - albowiem miałem łuk w ręku jak wszyscy domownicy. Powiedział:



- Poczekajcie, aż zagra trąbka. Wtedy wszyscy niech celują do wołów.

Zadźwięczała trąbka, wszyscy naciągnęliśmy łuki, strzały świsnęły. Padło więcej niż tysiąc Gotów i wszystkie woły, biedne stworzenia. Rozległ się straszliwy krzyk. Pamiętam, że celowałem do piechura, który biegł naprzód z wiązką faszyny, lecz chybiłem i strzała wbiła się w brzuch konia, który stanął dęba i zrzucił swego jeźdźca. Zacząłem celować do leżącego bez przytomności jeźdźca. Po trzech próbach moja strzała musnęła jego ramię i odskoczyła. Ponieważ leżał tam nadal jak nieżywy, rozejrzałem się za innym celem, lecz nie zobaczyłem już nic, gdyż Goci cofnęli się w zamieszaniu i zajęli stanowiska poza zasięgiem strzał.

Duża grupa Gotów wszystkich rodzajów broni wycofała się potem w ogóle z pola widzenia. Choć o tym nie wiedzieliśmy, rozkazano im zaatakować zwierzyniec koło Bramy Prenestyjskiej, dwie mile na prawo od nas, lecz gdy czterdzieści tysięcy ludzi zagrażało nadal Bramie Salaryjskiej, Belizariusz nie mógł pozbyć się ani jednego oddziału, aby udzielić pomocy gdzie indziej.

Tymczasem powstała bardzo niebezpieczna sytuacja przy Bramie Aelijskiej za rzeką, gdzie dowodził Konstantyn. Za ledwie o rzut kamienia od murów, tuż za mostem Aeliusza prowadzącym do katedry Świętego Piotra, znajduje się marmurowe mauzoleum cesarza Hadriana. Jest to czworokątny budynek otoczony czymś w rodzaju cylindrycznego bębna, wokół którego biegnie kryta kolumnada. Ten bęben przykryty jest zaokrągloną kopułą. Przy budowie tego cudownego budynku nie używano w ogóle zaprawy, lecz jedynie białych bloków marmuru łączonych metalowymi kłami. Wzdłuż kolumnady stoją w pewnych odstępach

pach konne posągi, również z białego marmuru. Przedstawiają one, jak mi się zdaje, generałów, którzy służyli pod dowództwem Hadriana w jego wojnach. Mauzoleum służyło za kasztel, zaś most stanowił przedłużenie muru miejskiego. Tu stało na straży trzystu ludzi Konstantyna z katapultami, wyborowymi łucznikami i małym oddziałem wojskowych kowali zbrojnych w ciężkie młoty.

Oficer gocki, któremu powierzono szturm na tę placówkę, był człowiekiem przezornym. Rozumując, że część głównego muru, chronionego po obu stronach przez wodę, będzie miała słabą załogę, przygotował w półmilowej odległości w górze rzeki pewną ilość łodzi. Pod murami znajdowała się mielizna wystarczająco mocna i szeroka do ustawiania na niej drabin. Zamierzał wysłać tu grupę szturmową z drabinami w łodziach, gdy tylko zacznie się szturm na mauzoleum.

Atak na mauzoleum prowadził bardzo biegle. Jego ludzie - ciężkozbrojna piechota z drabinami - podeszli krytymi krużgankami katedry Świętego Piotra tuż w pobliżu mauzoleum. Ludzie Konstantyna wśród kolumnady posągów, chociaż czujni, nie mogli zrobić nic, póki Goci nie wynurzyli się z krużganków. Następnie bronili się dzielnie, lecz tylko strzałami i oszczepami, bowiem katapult nie można było użyć pod tak stromym kątem. Następnie z czterech rogów mauzoleum duże oddziały gockich kuszników, chroniąc się ogromnymi tarczami, rozpoczęły bardzo uciążliwą krzyżową strzelaninę na kolumnadę, zadając obrońcom ciężkie straty. Sytuacja stała się bardzo niebezpieczna. Konstantyn, ostrzeżony o zagrażającym ataku z mielizny, musiał z dwudziestoma ludźmi biec szybko w tamto miejsce, by odeprzeć szturm. Poza nim nie było w mauzoleum żadnego biegłego oficera.

Niebawem przystawiono drabiny do murów i Goci w pełnych zbrojach zaczęli się po nich wspinać. Strzały i sulice obrońców robiły na nich niewielkie wrażenie. Rzym byłby stracony, gdyby nie szybka orientacja pewnego dzielnego sierżanta kowali. Uderzył młotem jeden z posągów i odłamał nogę. Jego sąsiad chwycił ogromną bryłę marmuru i cisnął ją na drabinę. Prowadzący Got runął ogłuszony, pociągając za sobą z wielkim brzękiem cały rząd wspinających się wojowników. Ten sam sierżant odbił drugą nogę i cały posąg runął. Frenetycznie rozbił go na potężne kawały, które jego sąsiad rozdzielił między wszystkich potrzebujących. Goci, zasypani tymi pociskami, walili się z drabin wraz z odłamanymi częściami ciała i tułowiami antycznych bohaterów i ich rumaków. Ścigani strzałami, uciekali wrzeszcząc na otwartą płaszczyznę, gdzie rychło znaleźli się w zasięgu katapult. Świsł ciężkich grotów, które potrafią przebić na wylot człowieka czy drzewo, skłonił ich do jeszcze szybszego biegu. Konstantyn łatwo odparł atak z mielizny, tak że po zachodniej stronie miasta nie ziściły się nadzieje Gotów, jak zresztą po wschodniej i północnej, gdzie mury wyrastają z urwistej skały, niekorzystnej dla szturmu.

Główna siła Gotów groziła nadal Bramie Salaryjskiej, lecz teraz trzymali się pilnie poza zasięgiem naszej broni, ostrzeżeni losem jednego ze swoich dowódców. Stał on na gałęzi sosny blisko pnia, strzelając do nas. Moja pani Antonina obsługiwała katapultę, teraz bowiem nauczyła się celować z tych machin. Dwóch ludzi naciągało korbę, póki celowniczy nie dał znaku: „Dosyć”. Kiedy on naprowadzał na cel, jego towarzysz kładł strzałę w rogowy rowek i na dany znak spuszczał nastawnik. Ja byłem przy nastawniku, dwóch rzymskich rzemieślników przy korbie, a moja

pani wycelowała do tego wyborowego gockiego strzelca i dała mi znak: „Spuść!” Nacisnąłem dźwignię i gwizdnął pocisk. Ujrzeliśmy okropny widok. Strzała przebiwszy Gota w samym środku pancerza przeszła na wylot i utkwiała do połowy w drzewie, tak że został tam przygwożdżony jak wrona na drzwiach stodoły dla odstraszenia innych wron.

Moja pani dowodziła tu jako zastępczyni Belizariusza, który pośpieszył teraz, by pomóc Bessaszowi przy zwierzyńcu w pobliżu Bramy Prenestyjskiej -gdzie nieprzyjaciel przypuścił silny atak. Zwierzyniec miał kształt trójkąta utworzonego przez dwa słabe zewnętrzne mury, z których każdy był przybudowany jednym końcem do głównego wału. Był on niegdyś używany jako pomieszczenie dla lwów przeznaczonych do Koloseum. Zewnętrznych murów nie mogliśmy utrzymać, ponieważ były za niskie i za cienkie, by wznieść na nich przedpiersia. Wittich wiedział ponadto, że główny mur, który osłaniały, jest zrujnowany i że szybko ulegnie uderzeniom tarana. Gocka piechota przelazła przez fosę z oskardami w rękę, by podciąć jeden z zewnętrznych murów, który tymczasem osłaniał ją przed naszymi strzałami. Gdyby tylko zwierzyniec został zdobyty, Wittich mógłby mieć nadzieję na zwycięstwo. Przygotowano faszynę, deski, wieże i drabiny zupełnie jak pod Bramą Salaryjską. Duża grupa gockich lansjerów stała w pogotowiu.

Goci pilnie pracowali oskardami za fosą i po niedługim czasie część muru runęła z trzaskiem. Goci wpadli do zwierzyńca. Belizariusz od razu posłał dwa silne oddziały Izauryjczyków, którzy po drabinach zeszli z głównego muru, a następnie wspięli się na wały zewnętrzne. Stąd skakali na stłoczonych Gotów i zamknęli wejście do zwierzyńca. Od tej chwili mogli ciąć

ich do woli. Bowiem Izauryjczycy byli zbrojni w krótkie kordelasy, doskonałą broń do walki w tłoku, zaś Goci mieli dwuręczne koncerze, które wymagają wiele miejsca do skutecznego użytku. Na pomoc swym kolegom nadbiegli dalsi piechurzy, lecz niespodziewanie otworzyła się z rozmachem Brama Prenestyjska i wypadła z niej kolumna kirasjerów przybocznego pułku Belizariusza wraz z niewielkim oddziałem traczkich Gotów. Zaatakowali barbarzyńskich lansjerów, którzy stali bezładną gromadą, i przez pół mili gnali ich zadając ciężkie straty. Następnie kirasjerzy zawrócili, podłożyli ogień pod wieże oblężnicze, tarany i drabiny, które rozgorzały ogromnym płomieniem. Potem wycofali się bezpiecznie. Niespodziewaną wycieczkę zrobiono również z Bramy Salaryjskiej na rozkaz mojej pani i z takim samym powodzeniem: tu również Goci uciekli, a maszyny popalono. Potem nasi ludzie wybiegli i obdarli zabitych. Za pozwoleniem mojej pani poszedłem z nimi i znalazłem Gota, którego zabiłem: ujrzałem, że ma złamany kark. Zabrałem mu jego złoty naszyjnik i nabijany złotem sztylet - niewolnik domowy bawiący się w bohatera!

Późnym popołudniem szturm załamał się na całej linii. Strzelając do tak zbitej masy jak Goci, najgorsi łucznicy świata nie mogliby nie zadać wielkich strat, a mieliśmy pewną ilość strzelających szybko wyborowych łuczników z wielkim zapasem strzał. Uznaliśmy, że straty nieprzyjaciela wyniosły owego dnia ponad dwadzieścia tysięcy zabitych i rannych. Goci cofnęli się nagle do swych obozów i przez całą noc mogliśmy słyszeć, jak śpiewają psalmy i lamentują grzebiąc swych umarłych. Następnego ranka byliśmy znowu gotowi, lecz nigdzie nie rozpoczęto ataku ani tego dnia, ani przez wiele dni później.

Belizariusz znowu napisał do Justyniana, tłumacząc, że potrzebuje co najmniej trzydzieści tysięcy ludzi, i nalegając, żeby przynajmniej dziesięć tysięcy nadeszło bez chwili zwłoki. Zanim list mógłby dotrzeć do Konstantynopola, nadeszły wiadomości, że posiłki znajdują się już w drodze. Lecz okazało się, że liczą one zaledwie dwa tysiące ludzi i że ze względu na złą pogodę musiały zimować w Grecji, ponieważ nie można było przepłynąć przez Morze Adriatyckie. Nic nie wskazywało na to, że jest to straż przednia armii pokaźnych rozmiarów. Belizariusz wiedział już teraz, że będzie zamknięty w murach Rzymu przynajmniej o trzy czy cztery miesiące dłużej. Przez bramy południowe nadal ściągano do miasta zapasy żywności, lecz nie wystarczały one do wyżywienia sześciuset tysięcy ludzi przez dowolny okres czasu. W związku z tym Belizariusz zarządził pośpieszną ewakuację do Neapolu wszystkich kobiet, starców i dzieci i wszystkich innych osób cywilnych z wyjątkiem księży, senatorów i ludzi zdolnych do noszenia broni.

Między zmierzchem i świtem Goci nie opuszczali nigdy swych otoczonych palisadą obozów: były to godziny walki dla Maurów, których zwalniano od zwykłych obowiązków, lecz noce spędzali za murami miasta. Wyjeżdżali grupkami po trzech lub czterech, w ubraniu koloru błota. Przywiązawszy konie gdzieś w kępie drzew ukrywali się w rowach przydrożnych lub za krzakami. Wyskakiwali na pojedynczych żołnierzach, przierzynali im gardła i galopowali z powrotem. Niekiedy grupki te łączyły się i niszczyły dość duże oddziały Gotów. Szczególnie często kładli się w zasadzce w pobliżu gockich latryn obozowych, zawsze umieszczonych poza fosą, by łąpać ludzi, których przyparło w nocy. Snuli się również po pastwiskach napadając

na koniuchów. Jak już powiedziałem, ze strachu przed Maurami Goci nauczyli się zamykać w obozach na całą noc. Tak więc długie procesje ewakuowanych osób cywilnych szły bez przeszkód noc po nocy i nikt ich nie ścigał.

Pierwszą grupę wysłano do portu rzymskiego, gdzie była nasza flota, i odwieziono statkami do Neapolu. Lecz reszta musiała iść piechotą przez całą drogę, niosąc na plecach toboły albo popychając taczki zapchane domowymi skarbami. Procesje po pięćdziesiąt tysięcy ludzi i więcej wychodziły nocą i wlokły się po Drodze Appijskiej. Był to tak żałosny widok i wiele łez wyleli ci biedni ludzie, a także ci, których zostawiono. Lecz przynajmniej mieli dobrą drogę do podróży. Drogę Appijską zbudowano z twardej lawy i jest nadal w tak dobrym stanie jak wtedy, gdy ją brukowano setki lat temu, jeszcze za czasów republiki. Ponadto Belizariusz dawał każdej grupie eskortę kawaleryjską na pierwszy etap podróży oraz taką ilość żywności, by starczyła przynajmniej do Neapolu.

W dzień po odjeździe pierwszej grupy z portu rzymskiego, który leży osiemnaście mil od Rzymu, król Wittich obsadził fortyfikacje w porcie. Nie mieliśmy na zbyciu oddziałów, które mogłyby ich pilnować, a żeglarze nie byli wojownikami. Do tego czasu transporty docierały do nas z portu barkami, które holowano w górę rzeki przy pomocy wołów. Teraz byliśmy odcięci od morza, a flota wróciła do Neapolu. To zdarzyło się w kwietniu. W maju otrzymywaliśmy już tylko po pół porcji zboża. W czerwcu przybyły posiłki z Grecji pod generałem Marcinem: tysiąc sześciuset pogańskich Słowian i bułgarskich Hunów.

Ci Słowianie mają dziwnie europejskie rysy jak na taki dziki naród. Niedawno zjawili się w ogromnej licz-

bie nad brzegami Dunaju, wyrzucając stamtąd Gepidów. Są doskonałymi jeźdźcami i łucznikami i świetnymi wojownikami, jeśli ich się dobrze nakarmi, dobrze zapłaci i dobrze nimi dowodzi; ich słowu można wierzyć, lecz są bardzo brudni w swoich obyczajach. Justynian dał im zbroje i hełmy, bo zazwyczaj noszą tylko skórzane kaftany i czapki. Zapłacił również wielką sumę pieniędzy kapłanom szczepowym, gdyż Słowianie mają wszystko wspólne, a kapłani, którzy sprawują obrzędy ku czci boga piorunu, są ich skarbnikami. Kiedy ci Słowianie dowiedzieli się, że Belizariusz pochodzi z ich rodu, a nawet zna trochę ich język, bardzo go polubili, a tak samo Hunowie (których już opisywałem) - kiedy znaleźli kilku swych rodaków w jego pułku cieszących się wielkim szacunkiem.

Belizariusz chciał teraz przejść do działań zaczepnych przeciwko Gotom, choć tysiąc sześciuset ludzi to nie dziesięć tysięcy. Nie chciał, by nowi przybysze odnieśli wrażenie, że są zamknięci w mieście jak więźniowie; gdy tylko wyznaczył im stanowiska i wyjaśnił obowiązki wartownicze, przygotował demonstrację ku ich zbudowaniu. W jasny dzień wysłał z Bramy Salariańskiej dwustu kirasjerów swego przybocznego pułku pod komendą znanego ze swej zimnej krwi dowódcy plutonu, Izauryjczyka Trajana. Stosownie do rozkazu grupa zajęła niewielki pagórek w pobliżu murów, a następnie ustawiła się kołem. Natychmiast z najbliższego obozu wyskoczyli oburzeni Goci. Chwyтали za broń i wskakiwali na konie ruszając z wielką ochotą do ataku. W czasie nie dłuższym niż chrześcijaninowi zajmuje odmówienie *Pater Noster* ludzie Trajana wypuścili cztery tysiące strzał w beładną kolumnę Gotów i zabili albo zranili ośmiuset jeźdźców. Jednak gdy tylko ruszyła gocka piechota, ludzie Trajana poga-



lopowali z powrotem, strzelając z siodła. Na swój rachunek zapisali jeszcze dwustu dalszych Gotów, zanim, nie straciwszy ani jednego człowieka, wrócili za osłonę muru, gdzie ubezpieczały ich zmasowane katalpuly. Weźcie pod uwagę: gocy kawalerzyści są uzbrojeni jedynie w lance i miecze, a ta część ich piechoty, która ma łuki, nie nosi zbroi i nie ruszy się nigdzie bez ubranych w kolczugi pikinierów, którzy maszerują bardzo powoli. Nic więc dziwnego, że ludzie Trajana robili z nimi, co chcieli. W kilka dni później wyruszył nowy oddział składający się z dwustu kirasjerów i stu Słowian przydzielonych do nich dla celów szkoleniowych. Również zajęli mały pagórek, wystrzelali paruset Gotów i cofnęli się. Znow w parę dni potem jeszcze inna grupa składająca się z kirasjerów i Bułgarów zrobiła to samo. W tych potyczkach Goci stracili cztery tysiące ludzi, lecz Wittich nie wyciągnął z tego oczywistego wniosku o niższości gockiego uzbrojenia, wierząc, że sukcesy naszych ludzi należało przypisać tylko ich odwadze. Wyznaczył pięciuset swych królewskich lansjerów, by dokonali podobnej demonstracji na wzgórzu koło Bramy Asynaryjskiej. Belizariusz wysłał tysiąc trackich kawalerzystów pod wodzą Bessasza. Gotów wystrzelano, może zaledwie stu uciekło z powrotem do obozu. Następnego dnia Wittich, zwymyślawszy niedobitków od tchórzy, wysłał inny szwadron lansjerów podobnej liczebności. Belizariusz puścił na nich Słowian i Bułgarów i wszyscy Goci zostali wybici albo wzięci do niewoli.

Z wolna nadchodziło lato. Pewnego dnia przybył z Terracyny konwój z workami pieniędzy na wypłatę żołdu armii oraz z innym skarbem dla mojej pani, mianowicie Teodozjuszem we własnej osobie. Muszę stwierdzić, że choć pozdrowiła go bardzo życzliwie,

była tak zajęta prowadzeniem spraw wojskowych, że młody człowiek nie wydawał jej się już połową życia. Miała teraz mało czasu na jego chytre dowcipuszki i wdzięki. Była dumniejsza niż kiedykolwiek, że jest żoną Belizariusza; stałe pochwały dla niego nie schodziły z ust każdego szeregowego żołnierza i prawie każdego oficera, a jej imię z szacunkiem łączono z jego imieniem. Natomiast Teodozjusz był osobą małego znaczenia. Nie potrafił nawet strzelać celnie z łuku, a tylko dobrze jeździł konno - moja pani sądziła teraz ludzi głównie według tych kryteriów, traktując swe obowiązki bardzo poważnie. Lecz znalazła dla niego zajęcie - mianowała go sekretarzem prawnym swego męża. Szybko doszło do moich uszu, że Konstantyn odnawia stare piotici między swymi kolegami oficerami i że duchowieństwo katolickie wykorzystuje tę plotkę, by nas zdyskredytować w oczach cywilnej ludności. Lecz nie mówiłem nic, bo i bez tego mieliśmy dosyć kłopotów.

W tym samym konwoju przybyła również pewna ilość wozów z ziarnem. Były to ostatnie, jakie do nas dotarły, bowiem Goci zaczęli teraz dokładniej blokować drogi. Siedem mil na południowy zachód od miasta przecinają się dwa wielkie akwedukty, zamykając znaczną przestrzeń swymi ogromnymi ceglanymi łukami. Wypełniwszy prześwity gliną i kamieniami Goci uzyskali silną fortecę, do której dobudowali przedmury. Tu umieścili siedem tysięcy ludzi załogi i panowali w ten sposób zarówno nad Drogą Latyńską, jak i Appijską. Jeszcze zanim zaczęła się zima, znaleźliśmy się w ciężkich kłopotach z powodu braku żywności w Rzymie. Pozostali obywatele, choć częste sukcesy Belizariusza robiły na nich wielkie wrażenie, nie chcieli na ochotnika brać udziału w czynnej służbie; coraz

bardziej ogarniało ich zniechęcenie, szczególnie po częściowej naszej porażce, którą niebawem opiszę.

To czujność mojej pani umożliwiła wykrycie zdrady papieża Sylweriusza. Belizariusz powierzył jej wydawanie osobom cywilnym przepustek z miasta. Bardzo szybko demaskowała wszelką zdradę. Zanim zaczęła swą działalność, wielu Rzymian potrzebnych do obrony uciekło pod różnymi pretekstami. Pewnego dnia jakiś bardzo wymowny ksiądz przyszedł do niej i poprosił o przepustkę na dwie czy trzy noce: zostawił książkę w zakrystii swego kościoła parafialnego przy moście Mulwijskim, a teraz chciał w niej coś sprawdzić. Moja pani zapytała: Jaką książkę?" Odparł, że listy świętego Hieronima. Wiedziała, że żaden ksiądz o zdrowych zmysłach nie ryzykowałby przejścia przez gockie linie jedynie po te przestarzałe i złośliwe listy - ich kopie można ponadto było dostać w każdej kościelnej bibliotece "w Rzymie. Ale ukryła swe podejrzenia i zezwoliła mu na wyjście. W nocy aresztowano księdza przy Bramie Pincjańskiej, przez którą chciał wyjść. W jego ubraniu znaleziono zaszyty list do króla Witticha, podpisany przez wszystkich czołowych senatorów i samego papieża, proponujący otwarcie Bramy Asynaryjskiej dla gockiej armii każdej nocy, jaką wyznaczą Wittich.

Powiniennem wyjaśnić, iż Belizariusz, chcąc być w miarę możności wolny od spraw sądowych, które mogłyby mu przeszkadzać w wojskowych obowiązkach, polecił Antoninie również załatwianie wszystkich sporów i karanie wszystkich przestępców cywilnych, choć spory i zbrodnie wojskowe nadal podlegały jego jurysdykcji. Moja pani codziennie sprawowała sądy w swej kwaterze w pałacu Pincjańskim. Kiedy podała mu imiona zdrajców i pokazała list, był bardzo rozgniewany, lecz wcale się nie zdziwił: wiedział, że

Wittich groził zabiciem rzymskich zakładników, których trzyma w Rawennie, jeśli ludność Italii nadal będzie występowała przeciwko Gotom. Jakkolwiek zdrajcy zajmowali tak wysokie stanowiska, Belizariusz nie uważał za właściwe sądzić ich osobiście. Był nawet zadowolony, iż sprawa znajduje się w jurysdykcji Antoniny: jako pobożny chrześcijanin wstydziłby się sądzić duchową głowę Kościoła. Moja pani oczywiście nie miała takich skrupułów będąc nadal poganką w sercu. Powiedziała:

- Zdrajca w tiarze czy zdrajca w hełmie, co za różnica.

Jednak Belizariusz asystował przy procesie nie chcąc, by uważano, iż uchyla się od odpowiedzialności. Moja pani czuła się źle owego dnia i spoczywała na sofie: on usiadł u jej stóp jako koadiutor.

Wezwany przed sąd papież Sylweryusz zjawił się w szatach liturgicznych ze złota, purpury i białego jedwabiu, jak by chciał onieśmielić moją panią. Na palcu miał pierścień rybaka, pastorał w ręku i wysoką, pokrytą klejnotami tiarę na głowie. Za nim postępował orszak biskupów i diakonów we wspaniałych ubiorach. Lecz pani kazała poczekać im w pierwszym i drugim przedpokoju stosownie do ich rangi.

Papież Sylweryusz zastukał pastorałem w podłogę i zapytał moją panią:

- Ależ, przeświećta Antonino, siostró w Chrystusie, dlaczego nas tu sprowadziłaś, brutalnie przerywając nasze modły gwałtownym wezwaniem? Cóż ci przez szkodziło, że nie przybyłaś do naszego pałacu, jak wy maga grzeczność?

Ściągnęła brwi w stylu Teodory i, pogardliwie pomijając jego pytanie, zapytała prosto z mostu:

- Papieżu Sylweryuszu, cóż ci uczyniliśmy, że zdradasz nas Gotom?

Udał oburzenie:

- Czyż oskarżasz namaszczonego następcę świętego apostoła Piotra o nędzne kłamstwo?

Na to moja pani:

-Myślisz, że jeśli tradycja powierza ci klucze do nieba, masz również władzę nad kluczami Bramy Asynaryjskiej?

-Kto oskarża nas o tę zdradę? - Twój własny podpis i pieczęć. Pokazała mu przejęty list.

-Cudzołożnico, to fałszerstwo! - wrzasnął na nią.

-Zachowuj się z szacunkiem wobec sądu, księżo, bo każę cię wychłostać - zagroziła. Skonfrontowała go z proboszczem, który złożył wyczerpujące zeznanie bez potrzeby użycia tortur.

Papież Sylwester trząsał się ze wstydu, lecz nadal zaprzeczał swej winie. Dziewięciu senatorów, którzy również podpisali list, było teraz świadkami przeciwko niemu. Zdali się już na miłosierdzie mojej pani i ze łzami wyrzucali papieżowi w oczy, że nakłonił ich do zdrady.

Moja pani ogłosiła wyrok po krótkiej konferencji z Belizariuszem:

- Za zdradę podczas oblężenia miasta karze się oka leczeniem twarzy, oprowadzeniem po ulicach na publiczną zniewagę i haniebną śmiercią na stosie. Mamy jednak więcej względów dla dobrego imienia Kościoła, by się trzymać litery prawa. Niemniej, pasterz, który sprzedaje swe stado ariańskiemu wilkowi, nie może zatrzymać swej godności. Eugeniuszu, zdejmij szaty z tego księdza i daj mu mnisi habit, który tam wisi na wieszaku. Sylwesterze, zostaje ci odebrana twoja biskupia godność i masz opuścić miasto dziś w nocy.

Chociaż duchowni z papieskiego orszaku gadali o świętokradztwie, kiedy ogłoszono wyrok, nie mogli

zaprzeczyć, że był sprawiedliwy. Podszedłem do papieża, odebrałem mu pastorał, pierścień i tiarę i położyłem to wszystko na stole. Potem zaprowadziłem go do pokoju, gdzie czekał wiejski subdiakon. Zdjął on z Sylweriusza całe ubranie duchowne, aż został tylko w koszuli, nie we włosienicy bynajmniej, lecz z pięknego jedwabiu, haftowanego w kwiaty jak damska koszula. Potem daliśmy mu zakonny habit, włożyliśmy go mu przez głowę i przepasaliśmy sznurem, wszystko bez słowa.

Kiedy go sprowadzaliśmy znowu przed sąd, moja pani powiedziała do niego:

- Spędź resztę dni swego życia w skrusze, bracie Sylweriuszu, tak jak uczynił to twój znakomity poprzednik, pierwszy biskup Rzymu, który podobnie złamał wiarę swemu panu. Wprawdzie rehabilitował się później przez męczeństwo na hipodromie Kaliguli w pobliżu miasta - tyle świętości nie oczekujemy jednak od ciebie.

Belizariusz przez cały czas nie odezwał się i wyglądało na to, że jest bardzo zmartwiony.

Dwóch Massagetów wyprowadziło Sylweriusza z pałacu i umieściło go na wartowni koło Bramy Pincjańskiej. Nocą wyruszył do Neapolu i dalej na wschód.

Jego podwładni zebrali się teraz, by wybrać nowego papieża. Diakon Wigiliusz został szczęśliwym następcą - przekupiwszy elektorów piętnastoma tysiącami sztuk złota. Złoto było u tych chciwych duchownych w większej cenie niż kiedykolwiek. Ludność cywilna otrzymywała tylko bardzo małą rację zboża, które mieszano z kapustą i różnym zielskiem, jak pokrzywa, mlecch i łopian, lecz dobre jedzenie można było kupić jedynie za złoto. Tego lata żołnierze przepro-

wadzali nocne wypadły na pola za liniami gockimi, obcinali kłosa i ładowali je do worków przerzuconych przez grzbiety końskie. Worek zboża kosztował sto razy tyle co za czasów pokoju.

Gdy nadciągnęła zima, zaopatrzenie tego typu skończyło się: kiełbasy z mięsa mułów były jedynym strawnym dodatkiem do nędznej racji zboża i tylko najbogatsi mogli sobie na nie pozwolić. Jedzono koty, szczury i smar do wozów. Tylko wina nie brakło, ponieważ Belizariusz zarekwirował wszelkie zapasy z prywatnych piwnic do dystrybucji publicznej. Miasto było bardzo bliskie głodu, lecz rzecz dziwna, nie widziałem nigdy ani jednego niedożywionego księdza.

- Ach - powiedziała moja pani sucho, kiedy jej o tym wspomniałem - karmią ich w cudowny sposób kruki, tak jak proroka Eliasza.

Jeśli chodzi o dziewięciu senatorów, którzy podpisali się pod przejętym listem, Antonina przez wzgląd na sprawiedliwość nie mogła ich ukarać surowiej niż papieża. Skazała ich na wygnanie, skonfiskowała ich majątki i wysłała z miasta wraz z Sylweryuszem. Belizariusz nadal był niespokojny: w spisku mogli również brać udział inni Rzymianie. Dlatego polecił ślusarzom zmieniać albo przerabiać zamki wszystkich bram dwa razy w miesiącu, tak że zdrajcom byłoby nieco trudniej znaleźć pasujący klucz. Oficerów na służbę przy bramach wyznaczał według nieregularnej kolejności, uniemożliwiając w ten sposób, by któregoś z góry przekupiono do otworzenia określonej bramy w oznaczonej noc. Chcąc uczynić wartowanie mniej nudnym, moja pani zorganizowała grupy muzyków z teatru, które często urządzały koncerty przy każdej bramie. Lecz Belizariusz wzmagał czujność przy

tych okazjach i wysyłał czujki za fosę, głównie Maurów, a każda czujka miała ze sobą wytresowanego psa, by warczał przy najłżejszym szmerze zbliżających się stóp.

Muszę tu wspomnieć, jak mądrze moja pani Antonina postępowała z tymi muzykantami. Jeśli któryś grał źle, moja pani brała mu instrument z ręki i pokazywała melodię mówiąc:

- Te nuty idą w ten sposób - i szydziła z artystów: - Och, wy nędzni Rzymianie, nie potraficie walczyć i nie potraficie grać. Jakież z was pożytek?

Raz jeden rozgniewany i zuchwały muzykant odpowiedział, chcąc ją skonsternować w sposób nieprzyzwoity:

-Za to potrafimy doskonale robić dzieci. Odpowiedziała mu chłodno:

-Przynajmniej pod tym jednym względem przewyższacie waszych ojców.

Żart powtarzano z ust do ust i stał się jednym z najśłynniejszych jej powiedzonek.

Niepowodzenie, o którym obiecałem opowiedzieć, wynikało z pychy naszych wojsk po sukcesach kawalerskich. Żołnierze zniecierpliwili się taktyką stopniowego osłabiania sił i odwagi nieprzyjaciela i żądali generalnego starcia. Belizariusz nigdy nie lubił osłabiać bojowego ducha w swoich ludziach, lecz sądził, że nie nadeszła jeszcze chwila odpowiednia do regularnej bitwy. Ogromna różnica w liczebności armii istniała nadal, a Goci, choć stracili nieco wigoru, jeszcze walczyli dzielnie. Usiłował zajmować ludzi częstymi wypadami. Ale parę razy przekonał się, że Goci byli przygotowani, ponieważ ostrzegli ich dezertery. Ludność Rzymu również zaczęła wołać o bitwę - lub przynajmniej szybkie zakończenie oblężenia w ten czy inny



sposób. Nie mógł dłużej odmawiać temu żądaniu: nie chciał stracić respektu swoich ludzi ani pozwolić na to, by ludność cywilna wypowiedziała posłuszeństwo.

Największy gocki obóz znajdował się o milę za mauzoleum Hadriana na tak zwanej równinie Nerona. Belizariusz chciał się zabezpieczyć, by jego główny atak z Bramy Pincjańskiej i Salaryjskiej nie został udaremniiony przez posiłki nieprzyjaciela z tego rejonu. Dlatego rozkazał kawalerii mauryjskiej zrobić wypad przeciwko Gotom w tym miejscu, gdy tylko on spotka się z nieprzyjacielem. Maurowie mieli wyjechać z Bramy Aelijskiej pod dowództwem oficera imieniem Walentyn. Po nim wyruszyła grupa miejskiej piechoty, ustawiając się w szyku obronnym w niewielkiej odległości od bramy. Powiedział tym Rzymianom, by starali się zachować jak najbardziej wojskowy wygląd, lecz nie spodziewał się po nich żadnej poważnej walki. Główny atak miała przeprowadzić kawaleria. Zwiększył liczbę swej kawalerii o tysiąc ludzi: w ostatnich walkach zdobyto wiele koni i część piechoty izauryjskiej przekształciła się - bardzo skutecznie - w kawalerię. Pozostali Izauryjczycy prosili, by także pozwolono im wziąć udział w bitwie. Nie mógł odmówić tej prośbie, lecz kazał, by pewna ich część pozostała na wałach i przy bramach, by wzmocnić rekrutów miejskich oraz obsługiwać katapulty, skorpiony i onagery. Wczesnym jesiennym rankiem Belizariusz wyprowadził kawalerię przez Bramę Pincjańską i Salaryjską; za nią wysłała piechota izauryjska. Wittich czekał na nich, ostrzeżony jak zwykle. Ściągnął wszystkich zbędnych ludzi ze swych czterech północnych obozów, rozwijając piechotę w centrum, a kawalerię na skrzydłach: stał w odległości pół mili od miasta, by mieć więcej miejsca do pościgu, gdyby nas zwyciężył.

O dziewiątej rozpoczęła się bitwa i Belizariusz początkowo robił, co mu się podobało, ponieważ Goci stali w obronie. Podzielił kawalerię na dwie kolumny, po jednej na każde skrzydło. Kawaleria wystrzelała tysiące strzał w zbitą masę Gotów, lecz by zająć ich piechotę, małe oddziały naszych izauryjskich oszczepników podsunęły się bardzo blisko centrum Gotów, wyzywając równe siły nieprzyjaciela do potyczki; nasi ludzie odnosili zwycięstwo w każdym takim spotkaniu. Po pewnej chwili nieprzyjacielska kawaleria zaczęła się cofać, a piechota dotrzymywała jej kroku. W południe nasze oddziały przycisnęły Gotów do icli najbardziej odległego obozu. Lecz tu weszli wreszcie do akcji ich łucznicy i kryjąc się za ogromnymi tarczami zaczęli strzelać z waju do naszych koni. Nie minęło wiele czasu, gdy znaczna część naszych kawalerzystów była albo ranna, albo pozbawiona koni, tak że nie więcej niż cztery pełne szwadrony pozostało, by przeciwstawić się pięćdziesięciu szwadronom Gotów. Jednak przerwanie walki w owej chwili oznaczałoby pozostawienie naszej piechoty na łaskę losu. Wreszcie gockie prawe skrzydło nabrało odwagi i przeprowadziło szarżę. Besasz, który dowodził kawalerią na lewym skrzydle, został zepchnięty na piechotę; piechota nie mogła się utrzymać i cała linia poczęła się cofać. Prowadzenie boju odwrotowego nie przedstawiało trudności dla kawalerii, lecz poruszająca się wolniej piechota ponosiła ciężkie straty. W sumie straciliśmy tysiąc ludzi, których nic nie zdołaliby uratować, póki strzały z machin na murach nie powstrzymały naporu nieprzyjaciela. Jacyś rzymscy żołnierze zatrzasnęli Bramę Pincjańską przed powracającymi, lecz moja pani i ja byliśmy tam z kilkoma wiernymi oszczepnikami. Udało nam się ich poskromić zabijając kilku i znowu otworzyć bramę.

Na równinie Nerona stały tymczasem dwie inne armie obserwując się przez długi czas - rekruci miejscy w sile kilku tysięcy ludzi ustawili się w imponującą linię, z osłoną mauryjskiej kawalerii na froncie. Goci czuli teraz zabobonny strach przed ciemnymi twarzami Maurów. Maurowie wiedzieli o tym i dręczyli ich nagłymi atakami, potrząsając dzirydami i cofając się z wybuchami śmiechu. W południe Maurowie przeprowadzili niespodziewanie zmasowaną szarżę. Goci, choć przewyższali ich liczbą w stosunku trzydziestu do jednego, zawrócili i uciekli na Wzgórze Watykańskie, pozostawiając obóz bez obrony. Walentyn pomaszerował całą armią przez równinę, zamierzając zająć gocki obóz i zostawić go pod ochroną rzymskiej piechoty, podczas gdy on z Maurami pojechałby na północ, żeby zniszczyć most Mulwijski. Gdyby się plan udał, Wittich musiałby porzucić obozy północne, albowiem cała żywność dla nich szła Drogą Flamińską i przez ten most. Lecz gdy banda rzymskiej piechoty zaczęła grabić gocki obóz, Maurowie oburzyli się, iż pozbawiono ich udziału w łupach, i wzięli się również za to wesołe zajęcie. Tymczasem kilku zwiadowców nieprzyjacielskich zjechało ze Wzgórza Watykańskiego i zobaczyło, co się dzieje. Krzyknęli na resztę, by odbić z powrotem obóz. Niebawem Goci zaatakowali znowu całymi tysiącami, a Walentyn nie zdążył przywrócić na czas porządku. Wypędzono go z obozu i zmuszono do cofnięcia się w mury miejskie z ciężkimi stratami.

Była to ostatnia regularna bitwa, na jaką zezwolił Belizariusz podczas długiej obrony Rzymu. Nadal nie przybywały posiłki z Konstantynopola. Wówczas nie wiedzieliśmy tego, ale to Jan z Kapadocji udaremnił ich wysłanie. Wmawiał w Justyniana, że nie ma ani jednego zbędnego żołnierza. Moja pani chciała napisać do

Teodory, lecz Belizariusz nie uważał za właściwe, by jego żona zwracała się do monarchini w sprawie wojskowej, która bezpośrednio nie dotyczyła żadnej z nich. Mimo to napisała potajemnie pod koniec listopada, w tym dniu, kiedy Sylweryusz został złożony z tronu, umieszczając prośbę w dopisku do barwnego sprawozdania z procesu. Pani wiedziała, że Teodora będzie zachwycona, gdy się dowie o poniżeniu Sylweryusza, albowiem naraził się jej ostatnio odmawiając nie popartej autorytetem Justyniana prośbie cesarzowej, by przywrócił na stanowisko pewnego patriarchę, który, choć był człowiekiem energicznym i wartościowym, został usunięty za skłonności do monofizytyzmu. „Nowy papież obiecuje, że będzie się więcej poczuwał do wdzięczności” - napisała moja pani do Teodory.

Powstały teraz ogromne kłopoty z utrzymaniem ducha w ludności cywilnej, ponieważ była skazana na dietę prawie wyłącznie składającą się z chwastów. Wybuchła zaraza i zabrała dwanaście tysięcy ludzi, lecz żołnierze nadal otrzymywali dzienną rację ziarna, wina i trochę solonego mięsa, tak że niewielu z nich zmarło. Robiono wypadki co kilka dni, kiedy stwierdziliśmy, że Goci bynajmniej nie mają już takiej ochoty jak niegdyś do spotkań z naszymi konnymi łucznikami. Nikt nie lubi, gdy się do niego strzela, a on nie może nawet odpowiedzieć. Lecz Wittichowi nawet nie przyszło do głowy stworzyć własne korpusy strzelców konnych.

O drobniejszych incydentach w czasie oblężenia mógłbym pisać bez końca. A oto kilka anegdot dotyczących ran: tego dnia, kiedy Teodozjusz wszedł do Rzymu z konwojem, Belizariusz odwracał uwagę nieprzyjaciela nagłymi potyczkami przy innych bramach. Pułk kirasjerów był poważnie zaangażowany, a po powrocie wieczorem dwaj kirasjerzy wyglądali szczęśli-

nie niesamowicie. Jeden z nich, Arces, Pers służący niegdyś w szeregach „nieśmiertelnych”, wrócił ze strzałą wbita w twarz tuż koło nosa; drugiemu - Trakowi imieniem Kutilas - tlcwił w głowie dziuryt i poruszał się jak pióro. Żaden z nich nie zwracał najmniejszej uwagi na te rany i walczył niezmordowanie ku grozie i przerażeniu Gotów, którzy krzyczeli:

- To nie ludzie, tylko demony.

Chirurg wyciągnął potem dziuryt z głowy Kutilasa, lecz rana zgangrenowała i biedak umarł w dwa dni potem. Arcesa badał ten sam chirurg. Nacisnął jego kark i spytał:

-Czy boli pod uciskiem?

-Tak - odpowiedział Arces.

Chirurg rozciął skórę na karku Arcesa, Zobaczył grot strzały, chwycił go szczypcami i przycisnąwszy najpierw brzechwę koło nosa, wyciągnął strzałę przez kark. Arces zemdlął z bólu, lecz miał zdrową krew: rana zgoiła się bez żadnych komplikacji. Niebawem poprowadził następną wycieczkę i przeżył wojnę.

Przy innej sposobności strzała wbiła się nad okiem, tuż koło nosa, dowódcy plutonu Trajanowi, którego czyny już wspominałem. Brzechwa była słabo przy-mocowana do grotu i odpadła w chwili uderzenia. Trajan walczył dalej. Przez wiele dni i miesięcy później jego koledzy oczekiwali, że padnie trupem w każdej chwili, lecz żył nadal i nie odczuwał żadnego bólu czy dolegliwości, choć grot tlcwił mu w ciele. W pięć lat później zaczął powoli wychodzić na wierzch. Po dwunastu latach Trajan wyciągnął go jak cierr.

Lecz najdziwniejsza historia wiąże się ze zranieniem Chorsomantisa, giermka Belizariusza. Nie była to ani głęboka, ani szczególnie godna uwagi rana, jedynie zadrażnienie golenia grotem oszczepu, lecz przez

kilka dni musiał leżeć w swej kwaterze z nogą owiniętą bandażami. W rezultacie nie był obecny podczas regularnej bitwy, w której wyróżniło się wielu jego kolegów. Kiedy wyzdrowiał, przysiągł zemścić się na Gotach za „zhańbienie jego golenia”, jak to nazywał. Jego biała klacz właśnie się ożrebiła, więc miała teraz dość mleka na *kawasse*. Pewnego dnia, wypiwszy sporo tego płynu po obiedzie, wziął broń, wsiadł na klacz i pojechał do Bramy Pincjańskiej. Powiedział strażnikowi, że prześwietny Belizariusz powierzył mu pewną misję w obozie nieprzyjaciela. Ponieważ wiadano, że Chorsomantis cieszy się najpełniejszym zaufaniem Belizariusza, posterunek nie wątpił w jego słowa. Otworzono dlań bramę.

Wartownik widział, że Chorsomantis jedzie spokojnie przez równinę, póki nie zobaczyła go placówka Gotów składająca się z dwunastu ludzi. Biorąc go za dezertera, skoczyli naprzód, bowiem każdy z nich miał nadzieję, że dostanie jego klacz na własność. Chorsomantis naciągnął łuk. Cięciwa szczęknęła trzy razy, padło trzech Gotów, a pozostali zawrócili pośpiesznie. Zabił jeszcze trzech podczas ucieczki, a potem spacerkiem wracał do miasta, powstrzymując swą ognistą kobyłę. Oddział z sześćdziesięciu Gotów zaatakował go teraz, ale Chorsomantis zawrócił i objeżdżał ich półkołem. Zabił jeszcze dwóch, zranił dwóch dalszych i zamknął koło ubiwszy jeszcze czterech. Przypadkowo byłem na wale, podbiegłem i zawołałem moją panią, która rozmawiała z oficerami na pobliskiej wartowni, prosząc, by nie straciła tak niezwykłego widoku.

-Jeden z naszych oszalał! - krzyknąłem. Poznała klacz:

-Nie, nie oszalał, mój drogi Eugeniuszu. To tylko Chorsomantis mści się za zhańbienie golenia.

Potem Chorsomantis dostał się między dwa oddziały nieprzyjaciela, lecz przedarł się przez bliższy z nich, używając lancy i miecza. Podnieśliśmy radosny okrzyk, gdyż wiedzieliśmy teraz, że byłby bezpieczny, gdyby miał ochotę. Moja pani nakazała strzelać z katapult, by osłonić jego odwrót, ale nasz okrzyk zachęcił go do dalszej walki. Zawrócił znowu i zniknął z naszych oczu, pędząc przed sobą kilku nieprzyjaciół, lecz ścigany przez innych. Słyszeliśmy odległe krzyki i wrzaski jeszcze przez długą chwilę, gdy walka przesuwała się ku obozowi.

Wreszcie radosny okrzyk Gotów z okolicy ich palisady dał nam do zrozumienia, że Chorsomantisa nie ma już na świecie. Gdy liczni chrześcijanie uczynili znak krzyża na piersi i odmawiali modlitwę za jego duszę, moja pani wykrzyknęła głośno pogańskie przekleństwo:

- Na ciało Bachusa i maczugę Herkulesa, ten człowiek musiał się naprawdę rozgniewać!

## Rozdział XVI ODWRÓT

### GOTÓW

Wieści, które nadeszły z Afryki jesienią tego roku, były naprawdę bardzo smutne. Salomon posłał właśnie kolumnę wojsk cesarskich z Numidii przeciwko Stocasowi, lecz Stocas namówił żołnierzy, by przyłączyli się do buntu, mimo że stracił prestiż przez porażkę z Belizariuszem. Z wyjątkiem Kartaginy, Hippo Regius i Hadrumetum Justynian znowu stracił całą diecezję. Ale inna sprawa być przywódcą zwycięskiego buntu, a inna rządzić diecezją.

Stocas miał mało autorytetu wśród swych ludzi, którzy narzekali, że nie dostarcza im regularnie racji żywnościowych ani żołdu, ani nie dba o ich wygodę, tak że teraz mają niewiele lepiej niż przedtem. Później usłyszeliśmy, że Justynian wysłał swego bratanka Germanusa, by ogłosił w jego imieniu amnestię dla wszystkich dezertarów, a buntownicy uznali propozycję za bardzo korzystną, ponieważ przewidywała wypłatę zaległego żołdu za miesiąc rewolty. Siły Stocasa topniały teraz stopniowo. Wreszcie usłyszeliśmy, że Germanus pobił w bitwie Stocasa i jego mauryjskich sprzymierzeńców, a sam Stocas uciekł w głąb Maroka w asyście kilku Wandalów i wreszcie zapanował spokój, choć cała diecezja bardzo zubożała. Belizariusz napisał do Germanusa proponując mu, by przysłał Herulów i trackich Gotów, którzy znajdowali się wśród bun-



towników: w Italii nie ma praw zabraniających arianom przyjmowania sakramentów i można tu dobrze wykorzystać tych dzielnych ludzi.

W Rzymie panował teraz zupełny głód. Udręczeni obywatele przybyli znowu do Belizariusza, prosząc go o rozegranie nowej regularnej bitwy i zakończenie w *ten* sposób oblężenia za jednym zamachem. Powie-dzieli mu nawet:

- Nasza nędza stała się tak okropna, że obecnie natchnęła nas czymś w rodzaju odwagi i jesteśmy gotowi, jeśli chcesz, wziąć broń i pomaszerować z tobą przeciwko Gotom. Wolimy umrzeć pod miłosiernym ciosem miecza czy włóczni niż wśród powolnych i rozdzierających mąk głodu.

Belizariusz był zawstydzony słysząc tak poniżające wyznanie z ust ludzi, którzy jeszcze nosili dumne mia-no Rzymian. Odprawiając ich oświadczył, że gdyby dwanaście miesięcy wcześniej próbowali serio nau-czyć się sztuki walki, miałyby z nich teraz pociechę, ale obecnie są dlań bezużyteczni. Belizariusz wiedział, że Goci sami znajdują się w bardzo trudnej sytuacji - za-razą rozszerzyła się na ich niehigieniczne obozy i zabiła wiele tysięcy ludzi. W wyniku powodzi i bałaganu utknęło także zaopatrzenie przybywające z północy. Lecz pozycja Belizariusza wyglądała o wiele gorzej i je-śli by odsiecz, która wedle pogłosek znajdowała się w drodze, nie nadeszła szybko, byłby stracony.

Zdecydował się na zuchwały krok, wysyłając z Rzy-mu dwie kolumny po pięciuset dobrych żołnierzy i ty-siąc rzymskich rekrutów każda, by zaatakowały i zajęły ufortyfikowane miasta Tivoli i Terracynę. Gdyby obie te akcje wypadły pomyślnie, mógłby zwiększyć nie tylko racje żywnościowe, lecz z oblężonego stałby się oblegającym: Tivoli i Terracyna panowały nad dro-

gami, którymi szły teraz transporty z żywnością dla Gotów. Nalegał na moją panią, by opuściła Rzym z oddziałem wysłanym przeciwko Terracynie, a stamtąd udała się dalej do Neapolu i dopilnowała, gdy tylko przybędą posiłki, żeby jak najprędzej wyruszyły do Rzymu. W istocie bał się o jej zdrowie, ponieważ wielkie wysiłki i złe pożywienie bardzo ją osłabiły; często teraz mdlała. Ponadto, być jedyną kobietą w oblężonym mieście nie jest wcale przyjemne. Po pewnych wahaniach zgodziła się, zdecydowana wszelkimi środkami dostarczyć żywności do miasta, zanim upłynie miesiąc.

Ostatniego dnia listopada wyśliznęliśmy się z miasta Drogą Appijską. Było nas półtora tysiąca. Ja jeden czułem się tak szczęśliwy, że zacząłem śpiewać pieśń z hipodromu *Lecą rydwany*, zapominając o rozkazie zachowania ciszy. Pewien oficer uderzył mnie brutalnie w ramię płazem miecza i urwałem śpiew w połowie wiersza. Bezpiecznie przeszliśmy koło przerobionej z akweduktu fortecy, ponieważ Goci porzucili ją z powodu zarazy. W parę dni później zajęliśmy Terracynę bez walki, gdyż mała gocka załoga uciekła na widok naszego sztandaru. Napelniliśmy sobie brzuchy w tym mieście, jedząc ser, masło i świeże morskie ryby po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Pani, ja i sekretarz Prokopiusz, który wyruszył wraz z nami, pod eskortą dwudziestu żołnierzy udaliśmy się do Neapolu, lecz zanim dotarliśmy do tego miasta, mieliśmy już ponad pięciuset! Nasza droga prowadziła koło obozowiska tych kawalerzystów, którzy dawno [emu zdezerterowali z mostu Mulwijskiego. Przyłączyło się do nich później wielu innych dezertorów. Kiedy moja pani ofiarowała im przebaczenie, wszyscy natchmiast zgłosili się do jej służby. W Baiae spotkali-

śmy pewną ilość naszych rannych, którzy zostali tu wysłani na kurację do wód, a teraz wyzdrowieli i byli zdolni do walki. Lecz Neapol - gdzie wulkan Wezuwiusz huczał złowrogo i rozsypywał popioły, które dają taką płodność winnicom - Neapol miał dla nas szczęśliwe wieści. Właśnie przybyła ze Wschodu flota z trzema tysiącami izauryjskiej piechoty na pokładzie i zakotwiczyła w zatoce. Poza tym dwa tysiące kawalerii pod dowództwem Krwawego Jana wylądowało w Otranto i szło ku nam szybkimi marszami.

Niebawem nasza armia składała się z pięciu i pół tysiąca ludzi i była gotowa do marszu na odsiecz Rzymu. Zebraliśmy dużą ilość ziarna, oliwy, kiełbas i wina. Krwawy Jan zgromadził wiele wozów chłopskich, zarekwirowanych wraz z zaprzęgiem w Kalabrii. Załadowaliśmy na nie zboże. Jan postanowił eskortować transport do Rzymu Drogą Appijską - gdyby Goci zaatakowali, wozy tworzyłyby użyteczną barykadę w barbarzyńskim stylu. Pani objęła dowództwo nad flotą izauryjską, ładując na nią pozostałe zapasy. Ponieważ pogoda była piękna, od razu pożeglowaliśmy do Ostii, umawiając się, że spotkamy tam Jana na cztery dni przed Bożym Narodzeniem.

Przy ujściu Tybru znajduje się wyspa dwie mile długa i dwie szeroka. Od strony północnej leży silnie ufortyfikowany Portus (czyli port rzymski), połączony z miastem doskonałą drogą, po której w czasach pokoju zaprzęgi wołów ciągną barki pod prąd. Po stronie południowej jest Ostia, która niegdyś miała większe znaczenie niż Portus, lecz od dawna cały ruch tu zmarł i miasto przekształciło się w zwykłą wieś. Stało się to dlatego, że droga prowadząca stąd do Rzymu nie nadaje się do holowania statków, a tymczasem przewóz towarów rzeką na krypach kalkuluje się taniej niż

transport wozami. Ponadto port w Ostii stał się zbyt płytki, ponieważ rzeka naniosiła ogromną ilość mułu, który osadził się przy sztucznej wyspie zbudowanej przy wyjściu z portu. Jednak, skoro Goci trzymali Portus w swych rękach, Ostia była jedyną przystanią w okolicy. Toteż skierowaliśmy się do Ostii i okazało się, że nikt jej nie broni.

Tymczasem Belizariusz, poinformowany o zbliżaniu się transportu, postanowił zadać Gotom potężny cios na północy, zamierzając odwrócić ich uwagę od tego, co się dzieje na rzece. Wczesnym rankiem rozkazał wyruszyć tysiącowi kawalerii pod dowództwem Trajana z Bramy Pincjańskiej przeciwko najbliższemu gockiemu obozowi i ostrzelać palisadę, wyzywając Gotów do utarczki. Niebawem przybyła gocka kawaleria z innych obozów. Gdy tylko zaatakowała, Trajan cofnął się stosownie do rozkazów. Ścigano go aż do murów miejskich. Lecz był to jedynie początek bitwy. Goci nie wiedzieli, że nasi ludzie przez całą noc usuwali wał, który blokował Bramę Flamińską od wewnątrz. Z tego nieoczekiwanego rejonu wypadł sam Belizariusz na czele swego przybocznego pułku i, zniósłszy placówkę ubezpieczającą nieprzyjaciela, uderzył z flanki na zmieszaną kolumnę Gotów. Wtedy ludzie Trajana zawrócili i Gotów wzięto w dwa ognie. Tylko nieliczni uszli cało.

Król Wittich ogromnie stracił ducha w wyniku tej bitwy oraz wskutek listu, jaki otrzymał od swych szpiegów w mieście. Albowiem przed wyjazdem moja pani zdołała wykryć całą siatkę wywiadu gockiego, a Teodozjusz, który przejął jej zadania, grożąc szpiegom torturami zmusił ich do wystania listów zawierających fałszywe wiadomości. Wedle tych listów od Neapolu miała się zbliżać straż przednia ogromnej armii - co

najmniej sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Przez walki i zarazy siły Witticha zmniejszyły się do pięćdziesięciu tysięcy. Dwa wielkie transporty ziarna, których pilnie potrzebował, zostały zdobyte przez załogę Tivoli; mnożyły się dezercje. Postanowił wystąpić o pokój.

W związku z tym przysłał do Rzymu trzech posłów. Belizariusz wpuścił ich jak poprzednio z zawiązanymi oczyma i przyjął w senacie. Mówcą poselstwa był Rzymianin przyjazny Gotom. Przedstawił on stanowisko króla Witticha rzeczowo i obszernie. Powiedział, że cały problem sprowadza się do tego, czy Goci mają jakieś prawa w Italii, czy nie. Jeśli je mają, jak zresztą może udowodnić, wtedy Justynian postąpił niesprawiedliwie, wysyłając przeciwko nim armie, skoro nie zrobili mu nic złego. Fakty są następujące: Teoderyk, dawny król Gotów, miał godność patrycjusza w Konstantynopolu. Cesarz Wschodu polecił mu najechać Italię i odebrać rządy z rąk pewnych barbarzyńskich generałów, którzy złożyli z tronu jego kolegę, cesarza Zachodu. To polecenie Teoderyk z powodzeniem wykonał i podczas długich lat swego panowania całkowicie zachował ustrój Italii. Nie wydawał nowych praw ani nie unieważniał starych, pozostawiając administrację cywilną całkowicie w rękach Italczyków i działając jedynie jako dowódca wojsk chroniących kraj przeciwko Frankom, Gepidom, Burgundom i podobnym barbarzyńcom. Ponadto, choć Teoderyk i jego spadkobiercy byli arianami, zachowywali się ze szlachetną tolerancją wobec prawowiernych chrześcijan i okazywali szacunek dla ich świątyń. Byłoby więc śmieszne twierdzić, że obecna niewytłumaczalna agresja jest wojną o wyzwolenie religijne.

Belizariusz powiedział:

- Teoderyka posłano do Italii, by odzyskał kraj dla cesarza Wschodu, a nie po to, by go zabrał sobie. Ce-

sarz nie miałyby żadnej korzyści, gdyby w Italii rządził jeden barbarzyński uzurpator zamiast drugiego. Poseł rzekł:

- Mniejsza o to. Rozsądni ludzie nie sprzeczą się o mętne wypadki historyczne. Lecz przybyłem tu, by powiedzieć, co następuje: Jeśli zgodzicie się wycofać waszą armię z Italii, mój królewski pan odstąpi łaskawie waszemu cesarzowi całą żyzną wyspę trój różnej Sycylii.

Belizariusz roześmiał się i odpowiedział szyderczo:

-Grzeczność za grzeczność. A my dobrowolnie oddamy wam całą żyzną wyspę trójrożnej Brytanii, która jest o wiele większa niż Sycylia i była dla nas źródłem wielkich bogactw, zanim ją straciliśmy.

-A przypuścmy, że nasz pan zgodzi się, żebyście zachowali Neapol i całą Katanię?

-Mam rozkazy zdobyć Italię dla jej prawowitego władcy i zamierzam je wykonać. Nie jestem upoważniony do żadnego porozumienia, które byłoby sprzeczne z roszczeniami cesarza do całego półwyspu i jego przynależności.

-A czy zgodzisz się na trzymiesięczny rozejm, podczas gdy król Wittich pošle swe pokojowe propozycje do Konstantynopola?

- Nigdy nie będę przeszkadzał nieprzyjacielowi, który szczerze pragnie zawrzeć pokój z jego jasnością, moim władcą.

Zgodzono się więc na zawieszenie broni i wymianę zakładników. Lecz zanim ratyfikowano rozejm, Belizariusz usłyszał o naszym przybyciu do Ostii. Nie mógł się powstrzymać i pewnej nocy o zmierzchu wyjechał z setką ludzi, by powitać swą Antoninę. Wyminał bezpiecznie linie gockie i zjadł z nami kolację tej samej nocy w naszym okopanym rowami i zabarykadowanym obozie. Obiecał, że gdy następnego dnia bę-

dziemy się posuwali drogą z naszymi wozami, jeśli gdzie potrzeba, zrobi wypad, aby nam pomóc. O północy wrócił do miasta wymijając jak poprzednio placówki nieprzyjacielskie.

Z radości, że się z nim zobaczyliśmy, i słysząc jego sprawozdanie z walki pod Bramą Flamińską, zapomnieliśmy mu powiedzieć o naszych kłopotach z transportem. Byłem z panią obecny na radzie wojennej następnego rana, kiedy dyskutowano nad tymi trudnościami. Z Ostii do Rzymu prowadził zaniedbany błotnisty trakt, a woły pociągowe były tak zmęczone długim forsownym marszem z Kalabrii, że nadal leżały półżywe w miejscu, gdzie się zatrzymały poprzedniej nocy. Nie miały nawet tyle siły, by zjeść trawę, którą woźnice przed nim położyli. Ani bicie, ani klucie nie mogły ich zmusić do dalszego ciągnięcia wozów.

To pani Antonina zaproponowała, żebyśmy przetładowali zboże na mniejsze galery, zaopatrzyli się w duże żagle i zasłonili deskami wiosłarzy przed strzałami czy dzirytami. Wiatr wiał od zachodu, tak że z pomocą wiosła na zakrętach rzeki z powodzeniem można by się posuwać pod prąd ku miastu. Kawaleria towarzyszyłaby statkom wzdłuż brzegu i od czasu do czasu holowała je na linach, gdyby żagle i wiosła okazały się niewystarczające.

Plan powiódł się: po całodziennej podróży statki bezpiecznie dotarły o zmierzchu do Rzymu. Goci nie przeszkadzali, nie chcąc dawać powodu do zerwania rozejmu. Wiatr utrzymał się i statki wróciły następnego dnia do Ostii po dalszy ładunek. W ciągu kilku dni cały zapas przetransportowano do Rzymu, głód się skończył, flota wróciła na zimę do Neapolu, a rozejm, który zobowiązywał obie strony do powstrzymania się od wszelkich aktów albo gróźb użycia siły, został pod-

pisany i przypieczętowany. Następnie Wittich wysłał swego ambasadora do Konstantynopola, lecz Belizariusz też posłał list do Justyniana nalegając, aby nie zwracał uwagi na proponowane mu warunki, o ile nie będą one przewidywały całkowitej kapitulacji.

W dniu Nowego Roku przybył z Kartaginy Hildiger, zięć mojej pani, z resztkami Herulów i trackich Gotów - z sześcioma setkami krzepkich, zawstydzonych mężczyzn. Belizariusz powitał ich bez żadnych kpiących uwag co do ich udziału w rewolcie. Tego samego dnia gocki garnizon porzucił Portus, ponieważ Wittich nie mógł dostarczyć żywności do tego miasta. Oddział izauryjski, który zajmował stanowiska w Ostii, obsadził więc także Portus. Toskańskie miasto Civitavecchia zostało również opuszczone z tego powodu i również je zajęliśmy. Wittich zaprotestował twierdząc, że jest to pogwałcenie rozejmu, lecz Belizariusz zignorował ten protest, albowiem nie użył ze swej strony ani broni, ani gróźb. Teraz posłał na leże zimowe dużą kolumnę jeźdźców pod dowództwem Krwawego Jana. Kwatery ich miały się znajdować koło Jeziora Fucyńskiego, około siedemdziesięciu mil na wschód od Rzymu. Jan miał tam stać spokojnie, czekając na dalsze rozkazy, ćwicząc wojska w łucznictwie i szybkich manewrach. Gdyby Goci złamali rozejm, mógłby im z tej pozycji bardzo zaszkodzić.

Wittich, którego armia zajmowała nadal swe dawne obozy, zdradziecko dokonał trzech prób zdobycia miasta przez zaskoczenie. Pierwszą z tych prób dokonano według tej samej metody, jaką zastosował Belizariusz w Neapolu: wejście przez akwedukt. Goci przekradli się przez suchy przewód Dziewiczej Wody, aż trafili na grubą murowaną ścianę, daleko w głębi miasta, koło łaźni Agrypy, i zaczęli ją przebijać. Lecz przy



Wzgórzu Pincjańskim akwedukt przechodzi na poziomie gruntu i wartownik stojący przy pałacu zauważył przypadkowo światło gockich pochodni migające przez dziury w ścianie. Trajan, obchodząc posterunki, zapytał go:

-Czy podczas twej służby nic się nie zdarzyło? Wartownik odpowiedział:

-Tak, panie, widziałem wilcze oczy połyskujące czerwono w ciemności po tamtej stronie.

Trajan nie mógł zrozumieć, jak wilk mógłby się dostać do Rzymu przez tak pilnie strzeżone bramy. Przyszło mu również do głowy, że oczy wilka połyskują czerwono w ciemności tylko wtedy, gdy padnie na nie światło, podczas gdy wartownik stał w szczególnie ciemnym miejscu. Lecz żołnierz był pewny, że widział coś połyskującego obok akweduktu, a cóż by to mogło być, jak nie wilcze oczy? Trajan przypadkowo wspomniał ten błahy incydent, kiedy jadł z nami śniadanie w kwaterze głównej następnego rana. Pani Antonina, która była przy tym obecna, powiedziała do Belizariusza:

- Gdyby to był wilk, to ogary czekałyby we wszystkich psiarniach. One poczują wilka na milę. Trajanie, dopilnuj, żeby wyjaśniono tę tajemnicę!

Trajan kazał wartownikowi pokazać dokładnie, gdzie widział tego wilka. Znalazł tam dwie dziury, gdzie niegdyś w ścianie znajdował się poprzeczny drąg. Przebito się do wnętrza akweduktu i znaleziono resztki gockich pochodni i znaczne uszkodzenie murywanej przegrody. Wyłom załatwiono znowu, lecz gdy Goci przyszli następnej nocy, by dokończyć dzieła, ujrzeli wielki napis: „Droga zamknięta na rozkaz Belizariusza”. Co siły popędzili z powrotem, bojąc się zaszadzi.

Następnie Wittich spróbował niespodziewanego ataku kawalerii przy Bramie Pincjańskiej któregoś dnia w samo południe. Jego ludzie mieli z sobą drabiny, a także wiele butelek z mieszanką zapalającą, którą chcieli podpalić drewnianą bramę. Jednak obserwator na wieży zasygnalizował niezwykle ruch w obozie nieprzyjaciela. Hildiger, który szedł do nas na obiad, przypadkowo zobaczył sygnał. Natychmiast zaalarmował szwadron kirasjerów, wyjechał z nim przeciwko Gottom i udaremnił zamach w zarodku.

Trzecią i ostatnią próbę Wittich przeprowadził w tej części murów, która przylega do Tybru i nie ma wież obronnych - w tym samym miejscu, gdzie Konstantyn odparł atak podczas walk w mauzoleum. Miał to być teraz nocny atak zaskakujący. Wittich przekupił dwóch rzymskich zakrystianów z katedry Świętego Piotra, by przygotowali dlań drogę. Mieli zaprzyjaźnić się z załogą tego samotnego odcinka wału, następnie wyznaczonej nocy odwiedzić ją z bukłakiem wina, spoić żołnierzy i dosypać im do wina środek nasenny, którego dostarczą Goci. Zakrystianie zasygnalizowaliby pochodnią, że droga jest wolna, Goci przepłynęliby rzekę czołnami, przystawili drabiny na mieliznach i zajęli miasto. Ten plan łatwo mógłby się udać, gdyby jeden z zakrystianów nie zdradził drugiego, który również przyznał się do winy, gdy tylko znaleziono w jego domu fiołkę ze środkiem nasennym. Belizariusz ukarał zdrajcę w tradycyjny sposób, każąc odciąć mu nos i uszy i wsadzić go tyłem na osła. Lecz zamiast wystawić go na obelgi spóśpółstwa na ulicach, jak to się zwykle działo - posłano go do obozu Witticha.

Po tych rażących wypadkach złamania rozejmu Belizariusz napisał do Krwawego Jana:

„Najedź na gockie posiadłości w Picenum; zabierz wszystko, co ma wartość, weź do niewoli gockie kobiety i dzieci, lecz powstrzymaj się od wszelkich gwałtów. Łup ma być podzielony między całą armię, więc trzymaj go nienaruszony. W żadnym wypadku nie zrażaj sobie miejscowych Italczyków. Pozajmuj twierdze, jakiego się uda, i albo obsadź je załogą, albo zburz fortyfikacje, ale nie zostawiaj za sobą żadnej zajętej przez nieprzyjaciela fortecy, gdy będziesz posuwał się naprzód.”

Krwawy Jan uznał to zadanie za bardzo łatwe, gdyż prawie każdy Got zdolny do noszenia broni znajdował się pod Rzymem, a w umocnionych miastach pozostały tylko małe załogi. Zdobył fantastyczny łup. Nie zadowolając się spustoszeniem Picenum ruszył dwieście mil wzdłuż wschodniego wybrzeża. W ten sposób zlekceważył rozkazy Belizariusza, bo pozostawił za sobą ufortyfikowane miasta Urbino i Osimo. Lecz podwładny ma prawo nie słuchać rozkazów, jeśli dokładnie je rozumie i uświadamia sobie okoliczności, które spowodowały, iż rozkazy stały się nieaktualne - a tak właśnie było w tym wypadku. Bowierny gocki garnizon w Rimini usłyszał o zbliżaniu się Jana, uciekł do Rawenny, znajdującej się w odległości jedynie dnia drogi marszu, a ojcowie miasta Rimini zaprosili Jana do wejścia. Krwawy Jan sądził, że gdy tylko Wittich usłyszy, iż Rzymianie zajęli Rimini, przerwie oblężenie Rzymu i pomaszeruje z powrotem, bojąc się stracić również Rawennę - i miał rację w tych przypuszczeniach. Ponadto żona Witticha, Matasonta, która była teraz w Rawennie i nigdy nie przestała nienawidzić małżeństwa, do którego ją zmuszono, wdała się w tajną korespondencję z Krwawym Janem, ofiarując mu wszelką pomoc w każdej akcji, która mogłaby się

przyczynić do porażki i śmierci jej męża. Tak więc miał rację posuwając się do Rimini. Gdyby tylko Wittich potwierdził swą nieudolność przez ustąpienie spod Rzymu, koniec jego panowania byłby bliski.

Należy tu wspomnieć, że Konstantyn szalał z gniewu, iż na dowódcę wyprawy wybrano Krwawego Jana, a nie jego. Konstantyn walczył dzielnie i energicznie podczas oblężenia, lecz coraz bardziej zazdrościł Belizariuszowi, którego zwycięstwa przypisywał jedynie szczęściu. Należy przypomnieć, że trzy lata przedtem był jednym z sygnatariuszy tajnego listu, w którym absurdalnie oskarżano Belizariusza wobec Justyniana o dążenie do władzy w północnej Afryce. Belizariusz nigdy nie powiedział Konstantynowi, że list przejęto, lecz moja pani Antonina ostatnio dała do zrozumienia, iż wie, że odpis listu dotarł do cesarza. Konstantyn był przekonany, że z zemsty za ten list Belizariusz od czasu wylądowania na Sycylii dawał mu najtrudniejsze, najmniej chwalebne i najmniej zyskowe zadania. W związku z tym napisał do Justyniana oskarżając Belizariusza o sfalszowanie dowodów, na podstawie których złożono papieża z tronu, i - co bardziej absurdalne - o przyjęcie łapówki od króla Wit-licha, by podpisać rozejm na korzystniejszych warunkach, niż Goci mieli prawo się spodziewać.

Poprosił o urlop pod pozorem, że chce wyjechać na polowanie w okolice portu rzymskiego i nie pełnić służby przy Bramie Aelijskiej aż do następnego ranka. W porcie dał list kapitanowi statku pocztowego, który tego dnia wyruszał do Konstantynopola, mówiąc, że jest to prywatny list od Belizariusza do cesarza. Lecz następnego dnia, gdy tylko wrócił, wezwano go przed wojskowy sąd Belizariusza w pałacu Pincjańskim. Konstantyn, oczywiście, wyprowadził wniosek, że śledził

go jakiś szpieg i że list znajduje się teraz w ręku Belizariusza. Jednak dumnie wkroczył do pałacu, gotów usprawiedliwić swe postępowanie, jeśli będzie potrzeba. Miał on bowiem tajne upoważnienie, podpisane przez samego Justyniana, by donosił natychmiast, gdyby jakieś działanie Belizariusza wskazywało choćby najmniejszy ślad nielojalności. To upoważnienie przysłano mu do Kartaginy dwa lata temu w odpowiedzi na jego pierwszy raport. Było ono nadal ważne.

Zdarzyło się jednak, że został pozwany w sprawie dotyczącej jedynie dwóch sztyletów z wykładanymi ametystem rękojeściami i podwójną złotą pochwą, należących do italskiego mieszkańca Rawenny imieniem Praesidius. Praesidius, który uciekł do Rzymu po wybuchu wojny, otrzymał te sztylety w spadku, lecz jeden z ordynansów Konstantina zrabował mu je. Sam Konstantin nosił je publicznie. Podczas oblężenia Praesidius wielokrotnie prosił go o zwrot, ale w odpowiedzi obrzucano go jedynie obelgami. Nie wniósł cywilnej skargi przeciwko Konstantinowi, nie spodziewając się, że w takich czasach zwykły cywilny uchodźca może coś wygrać przeciwko zasłużonemu dowódcy kawalerii. Jednak gdy podpisano rozejm, Praesidius wreszcie zwrócił się do pałacu, prosząc, by mu zezwolono wytoczyć Konstantinowi sprawę o kradzież. Teodozjusz, który jako sekretarz Belizariusza miał instrukcję, by jak najwięcej spraw załatwiał polubownie, wyperswadował mu wszczynanie procesu. Niemniej, Konstantin otrzymał od Teodozjusza pismo z prośbą o zwrot sztyletów - jeśli rzeczywiście zostały ukradzione. Konstantin zlekceważył to pismo uważając, że nikt nie będzie naciskał na tę sprawę. W odpowiedzi na drugie pismo sygnowane przez moją panią i utrzymane w ostrzejszym tonie, zaprzeczył po prostu, by coś-

kolwiek o tym wiedział. Praesidius, gdy Teodozjusz pokazał mu ten list, bardzo się rozgniewał. W dzień świętego Antoniego (właśnie gdy Konstantyn pojechał na polowanie w okolice portu rzymskiego) czekał na placu targowym, aż zjawi się Belizariusz jadący na nabożeństwo do kościoła Świętego Antoniego. Wtedy wyskoczywszy z tłumu Praesidius chwycił za cugle konia i zawołał donośnym głosem:

- Czy prawa jego świątobliwego majestatu Justyniana pozwalają, by greccy żołnierze rabowali italskie mu uchodźcy jego pamiątki rodzinne?

Adiutanci Belizariusza zagrozili Praesidiusowi i mówili mu, żeby odstąpił, lecz on krzyczał i wrzeszczał, i nie chciał puścić cugli, póki Belizariusz nie obiecał, że osobiście przeprowadzi dochodzenie zaraz następnego dnia. Konstantyn nic o tym nie wiedząc przybył do pałacu z kwestionowanymi sztyletami u pasa, choć twierdził niedawno, że nic o nich nie wie.

Odczytano skargę. Belizariusz najpierw zbadał dokumenty, włączając w to zaprzeczający list Konstantyna. Następnie wysłuchał oświadczenia Praesidiusa i zeznań jego przyjaciół. Okazało się, że służący Konstantyna, niejaki Maksencjulus, siłą odebrał sztylety Praesidiusowi; że Konstantyn nosił je sam i uporczywie odmawiał ich zwrotu twierdząc, iż kupił je od Maksencjulusa, który je znalazł przy zabitym Gocie.

-Czy to prawda, że złożyłeś takie oświadczenie, szlachetny Konstantynie?

-Tak, wodzu, i podtrzymuję je. Ten zuchwały Praesidius myli się zupełnie twierdząc, że to są jego sztylety.

- Praesidiusie, czy widzisz na sali kogokolwiek z twoimi sztyletami?

Praesidius odpowiedział:

-Jak zwykle, prześwietny Belizariuszu, ma je u pasa generała.

-Czy możesz udowodnić, że to są twoje sztylety?

-Mogę. Imię mojego ojca, Marcusa Praesidiusa, jest ryte złotem na ostrzu każdego z nich.

-Szlachetny Konstantynie, czy takie imiona znajdują się na sztyletach, które masz przy sobie? - zapytał Belizariusz.

Konstantyn wybuchnął wściekłością.

-No to co z tego? - wrzasnął. - Ja je kupiłem. Raczej wyrzucę je do Tybru, niż oddam człowiekowi, który publicznie ogłosił mnie złodziejem.

-Żądam, abyś dał mi te sztylety do zbadania, panie.

-Odmawiam.

Belizariusz klasnął w dłonie. Weszło dziesięciu żołnierzy z jego ochrony osobistej i ustawiło się koło drzwi. Z respektu dla rangi Konstantyna nikogo nie wpuszczono do sali sądowej (prócz dwóch świadków) z wyjątkiem Hildigera, Bessasza i trzech innych generałów równej z nim rangi.

Konstantyn krzyknął:

- Chcesz mnie zamordować, co? - Sumienie go dręczyło w sprawie listu do Justyniana.

- Bynajmniej. Ale zamierzam zobaczyć, jak twój Maksencjulus zwraca temu italskiemu szlachcicowi sztylety, które mu ukradł, jeśli to są te same.

Konstantyn dobył jeden ze sztyletów i z rykiem rzucił się na Belizariusza, który nie miał na sobie żadnej zbroi. Rozpłatałby mu brzuch, lecz Belizariusz zrobił unik jak pięściarz i skrył się za Bessasza, który był ubrany w kolczugę. Konstantyn z furią odepchnął Bessasza i znów rzucił się na Belizariusza. Wtedy Hildiger i generał Walerian chwycili Konstantyna z tyłu i rozbili. Odprowadzono go do aresztu.

Później ten sam Maksencjulus, przesłuchiwany przez moją panią, powiedział jej, że poprzedniego dnia widział, jak Konstantyn wręcza list kapitanowi statku, i słyszał, jak mówi, że jest to list od Belizariusza. Ponieważ pogoda była zła, statek pozostał nadal w porcie i list niebawem znalazł się w rękach mojej pani. Przeczytała go i zdecydowała, że Konstantyn jest zbyt niebezpiecznym wrogiem, by go pozostawiać przy życiu. Nie mówiąc słowa Belizariuszowi wysłała jednego z niewolników domowych, by zabił Konstantyna w pokoju przeznaczonym na areszt, do którego miała klucz. Chciała potem, by ogłoszono to za samobójstwo, lecz Belizariusz, który czuł zarówno udrękę, jak i ulgę, że Konstantyn nie żyje, nie chciał ogłaszać tego rodzaju kłamstw. Wolał wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za egzekucję Konstantyna i usprawiedliwić ją w swym raporcie do Justyniana koniecznością wojskową. Bessasz, Hildiger i Walerian kontrasygnowali jego raport, potwierdzając buntownicze słowa Konstantyna i jego morderczy zamach. Następnie Hildiger na sugestię mojej pani dodał (zgodnie zresztą z prawdą), że Konstantyn ostatnio wypowiadał poglądy o naturze Chrystusa nie tylko w najwyższym stopniu heretyckie, lecz niezgodne z naukami żadnej z ważniejszych sekt -zbyt nielogiczne, by mogły być czymś innym niż produktem jego dzikiego umysłu, wyraźnie zresztą zakłóconego po porażeniu słonecznym w Afryce. Tak więc Justynian aprobował wyrok. Lecz Belizariusz czuł się okropnie zawstydzony, dowiedziawszy się o tajnym upoważnieniu, jakie znaleziono przy martwym Konstantynie, widząc, że Justynian wątpi w jego wierność i wynajmuje agentów, by go szpiegowali. Zgodził się z Antoniną, że choć Konstantyn był dzielnym wojownikiem, jego śmierć wysłała na korzyść publiczną.



Dwudziestego pierwszego marca rozejm się skończył. O brzasku tego dnia król Wittich otrzymawszy od Justyniana jedynie krótką notę tej treści: „Otrzymałem twój list i rozważam, jakie przyjąć działanie” - zwinął obłęzenie i pomaszerował z powrotem przez most Mulwijski z resztkami swej armii. Samochcą ostrzegł Belizariusza o tym zamiarze, podpalając wszystkie szałaszy, maszyny oblężnicze, palisady i inne drewniane urządzenia obozu. Belizariusz miał zasadę nie naciśkać zbyt gwałtownie na ustępującego nieprzyjaciela, lecz te ogniska były wyraźnym wyzwaniem, a gockie dywizje nadal zachowały dobrą dyscyplinę wojskową. Nie było rzeczą właściwą pozwolić im odejść bez ostatniego ciosu. Lecz siły Belizariusza ostatnio tak się zmniejszyły przez obsadzenie garnizonami miast i podjazdy do różnych części Italii, że nie śmiał ryzykować bitwy na równych warunkach. Zwołał więc tylko swe najlepsze oddziały i trzymał je w pogotowiu przy Bramie Pincjańskiej, aż obserwatorzy na murach zameldowali, że prawie pół gockiej armii przeszło przez most. Potem szybko wyprowadził wojsko i zaatakował z tyłu Gotów zgromadzonych w pobliżu mostu i czekających swej kolejki na przeprawę. Padło wielu ludzi po obu stronach, albowiem walczono twarzą w twarz, póki szarża pułku kirasjerów nie złamała gockiej linii. Wtedy cała zmieszana masa popłynęła do mostu i nikt nie myślał o niczym poza przedostaniem się na drugą stronę. Zamieszanie i rzeź w szeregach Gotów trudno nawet opisać, tak były przerażające. Kawaleria Gotów runęła na ich piechotę, a kto się pośliznął i upadł, przeważnie został stratowany na śmierć. Ponadto nasi łuczownicy zaczęli szyc strzałami po moście, na którym rychno potworzyły się stosy ciał, a wielka liczba ubranych w kolczugi Gotów spadła albo została zepchnięta z

mostu do wody, gdzie utonęli wskutek ciężaru zbroi. Dziesięć tysięcy Gotów zginęło tego ranka na moście Mulwijskim.

Tak skończyła się obrona Rzymu, którą Belizariusz zaczął wbrew wszelkim radom w grudniu przeszłego roku. Nie wiem, czy w historii zdarzył się taki przykład, by wielkie miasto utrzymał garnizon o tyle liczebnie słabszy od nieprzyjaciela.

Król Wittich cofał się gwałtownie ku Rawennie, detasując po drodze duże załogi do obrony Osimo, Urbino i innych mniejszych fortec. Belizariusz potrzebował teraz Krwawego Jana i jego dwóch tysięcy kawalerii, posłał więc pośpiesznie Hildigera z rozkazem natychmiastowego powrotu. O wiele skuteczniej mógł bronić Rimini oddział piechoty, która właśnie przybyła z Dalmacji i wylądowała w Ankonie - niezbyt odległym porcie. (Dalmacja była znowu nasza, bowiem Wittich ściągnął do Italii armię oblegającą Spalato i w ten sposób mogliśmy zyskać nowe posiłki.) Lecz Krwawy Jan nie chciał się wycofać.

Tym razem nic nie usprawiedliwiało jego nieposuszeństwa. Faktem było, że w mieście znajdowała się znaczna część gockich skarbów, które chciał zatrzymać dla siebie zamiast dzielić je z resztą armii. Stąd też Hildiger zostawił w Rimini piechotę sprowadzoną z Ankony; lecz udało mu się namówić ośmiuset żołnierzy przybocznego pułku, których Belizariusz wypożyczył Krwawemu Janowi, aby się wycofali. Król Wittich zdecydował się wywalczyć tu zwycięstwo, które uciekło mu w Rzymie, i przystąpił do oblężenia miasta. Rychło Krwawy Jan zaczął żałować, iż nie wykonał rozkazu, albowiem w Rimini było bardzo mało żywności, a Wittich szturmował z wielkim zdecydowaniem.

Ponieważ moim celem nie jest pisanie historii wojen, lecz opowiadanie dziejów Belizariusza, nie mam zamiaru opisywać szczegółowo oblężenia. Wspomnę tylko, że Wittich szturmował wieżami oblężniczymi poruszonymi przez ukrytych wewnątrz ludzi, a nie przez woły; że Krwawy Jan udaremnił ich atak, szybko okopując się rowami i że Wittich postanowił wziąć go głodem.

Sytuacja w Rimini rychło stała się bardziej rozpaczliwa, niż Belizariusz przypuszczał. Ponadto nie mógł maszerować z odsieczą swemu nieposłusznemu podwładnemu, gdyż wysłał uprzednio znaczną część swej armii wraz z flotą do północnej Italii, by zajęła Pawie i Mediolan oprócz ufortyfikowanych miast Todi i Chiusi, które leżały między Rimini a nim i które należało unieszkodliwić w pierwszej kolejności. Mimo to wieść, że Wittich oblega Rimini, wprawiła go w taki niepokój, że pozostawiając jedynie rzymskie pospolite ruszenie, by broniło stolicy, pomaszerował z pomocą, a Todi i Chiusi uległy grozie jego imienia. Gockie załogi tych miast posłał pod eskortą do Neapolu i na Sycylię i kontynuował marsz. Lecz jego cała armia nie liczyła teraz więcej niż trzy tysiące ludzi, podczas gdy król Wittich zwiąszył swe siły do stu tysięcy, zyskawszy posiłki z Dalmacji.

Na szczęście list mojej pani do Teodory odniósł wreszcie skutek. Otrzymaliśmy pożądaną wiadomość, iż siedem tysięcy nowych żołnierzy wylądowało koło Fermo w Picenum, na wschodnim brzegu. I któż dowodził tą armią, jeśli nie eunuch, szambelan Narses!

- Ach - powiedziała ze śmiechem moja pani do Belizariusza - cieszę się, że sympatyzowałam z jego wojskowymi ambicjami podczas naszej wspólnej podróży do Dara. I sądzę, że okaże się zdolnym oficerem mimo swego wieku, jeśli potrafi się nauczyć trochę skromno-

sci. Lecz na dworze przyzwyczał się otrzymywać rozkazy jedynie od cesarza i cesarzowej: musimy więc ob-  
-bodzie się z nim taktownie.

Hildiger przyłączył się do nas w Chiusi i pomaszewaliśmy przez Italię aż do Morza Adriatyckiego. W Fermo (które leży o dzień marszu od Osimo) połączyliśmy się z Narsesem, Belizariusz i moja pani powitali go bardzo serdecznie. Lecz wśród służby i gwardii wygląd Narsesa wzbudzał wielką wesołość. To że był karłem, miał wielki zad, zęza i zaciśnięte usta, nie wyglądało bardzo śmiesznie, gdy przesuwając się korytarzami pałacu zazwyczaj z wielkim rulonem dokumentów w ręku, ubrany w swój szkarłatno-biały jedwabny mundur i złoty łańcuch, stosowny do jego stanowiska, lecz Narses, który już przekroczył najlepsze dni swego życia, kroczył dumnie w płytowej zbroi ostatniej mody (nabijanej rybami, krzyżami i innymi symbolami chrześcijaństwa), w wysokim hełmie ze strusim piórem i w szarowanym purpurowym płaszczu, wlokący za sobą normalnych rozmiarów miecz, który siał płątał mu się między stopami i podbijał nogi... zapewniam was, ten widok mógł wywołać uśmiech na i warzy człowieka konającego na cholerę. Moja pani, choć sama z trudnością powstrzymywała się od śmiechu, ostrzegła nas poufnie, by w żadnym wypadku nie zianie uczuć Narsesa, ponieważ cieszy się on zaufaniem cesarza i może wedle swego uznania bardzo nam pomóc albo bardzo zaszkodzić sprawie Beliza-nusza. A sprawa Belizariusza była naszą sprawą. / Narsesem przybył Justyn, syn Germanusa, stryjecz-i iv wnuczek cesarza.

Król Wittich wysłał dwadzieścia pięć tysięcy ludzi dla uzupełnienia załogi Osimo i ta armia zamknęła nam drogę do Rimini. Natychmiast zwołano radę wo-

jenną, na której Belizariusz poprosił obecnych generałów, by wypowiedzieli swe poglądy kolejno, poczynając od najmłodszego rangą. Pierwsi mówili Walerian i Hildiger, wyrażając zdanie, że ponieważ Krwawy Jan dwukrotnie złamał dyscyplinę, najpierw posuwając się za Osimo, nie zajmując tego miasta, a następnie nie wycofawszy się z Rimini, kiedy otrzymał rozkaz odwrotu, należy go zostawić, by sam wypił piwo, jakiego nawarzył. Jeśli ominęłoby się Osimo, marsz z odsieczą dla dwóch tysięcy ludzi narażał na niebezpieczeństwo całą armię. Między Gotami w Osimo a armią Witticha pod Rimini znajdziemy się jak między młotem i kowadłem. Bessasz poparł to stanowisko i dodał nabożnie, że chciwość Krwawego Jana zasługuje na każdą karę, jaką Bogu podoba się nań zesłać. Lecz Narses przerwał. Mówił w ten sposób, jak by Belizariusz zgodził się już na przyjęcie rady generałów, wołając, że niekarność Krwawego Jana nie usprawiedliwia skazania dzielnych żołnierzy znajdujących się pod jego dowództwem na masakrę albo niewolnictwo.

- Taki postępek zaprawdę zaszkodziłby waszej sprawie i sprawie cesarza. Możecie się ze mnie śmiać jako ze zwykłego teoretyka w sztuce wojennej, lecz nie zgodzę się na żaden plan, który poświęciłby Rimini osobistej zemście - mówił Narses.

Na ten wybuch Belizariusz uniósł brwi i odpowiedział:

- Dostojny szambelanie, czy nie lepiej byłoby po wstrzymać się od potępienia, zanim znajdzie się do niego powód?

Właśnie zamierzał wygłosić swój pogląd we właściwej kolejności, gdy obrady przerwało przybycie dzielnego izauryjskiego żołnierza, który przemycił przez gockie linie list od Krwawego Jana. Jan pisał, że utrzy-

ma Rimini najwyżej przez siedem dni, po czym będzie się musiał poddać ze względu na głód.

Po przeczytaniu listu Belizariusz wypowiedział swe zdanie: Osimo należy szachować niewielkim oddziałem - nie można poświęcić na ten cel więcej niż tysiąc ludzi - który rozłoży się obozem w odległości dwudziestu mil od miasta. Reszta armii musi pośpiesznie maszerować naprzód na odsiecz Krwawemu Janowi. Jest nadzieja, że Wittich porzuci oblężenie, jeżeli uda się go nam oszukać co do naszej liczebności. Dlatego musimy podzielić się na trzy armie i z całym pośpiechem okrążyć Rimini. Jedna armia pod dowództwem przybyłego niedawno generała Marcina pomaszeruje wzdłuż wybrzeża, a flota pod Hildigerem musi dotrzymać jej kroku. Narses i Belizariusz z najlepszą kawalerią pójdą przez urwiska Apeninów w głąbi lądu.

Na ten plan zgodzili się wszyscy i tego samego ranka ruszyliśmy w pochód. Moja pani jechała z Belizariuszem i Narsesem, a ja człapałem na mule za jej wierzchowcem. Droga była ciężka, a przy tym panowało straszliwe gorąco, albowiem mijał lipiec i najmniejszy powiew wiatru nie muskał kamieni i sosen. Przechodziliśmy przez górskie wioski, gdzie mieszkali zagłodzeni dzikusy, którzy nie tylko nie byli chrześcijanami, lecz nigdy nie nawrócono ich nawet na wiarę w olimpijskich bogów i nadal czcili jakieś ponure tubylcze pierwotne bóstwo. Lecz w wąwozach było mnóstwo zwierzyny i nasi zwiadowcy mieli doskonałą rozrywkę. Jeden z nich zastrzelił nawet niedźwiedzia - stworzenie, o którym myśleliśmy, że wyginęło w Italii od czasów cesarza Augusta. Piątego dnia przebywszy jakieś dwieście mil na diecie składającej się głównie z sucharów i solonej wieprzowiny, dotarliśmy do Sarsiny, która leży w odległości zaledwie jednego dnia

drogi od Osimo. Tu nasi zwiadowcy spotkali się niespodzianie z grupą gockich furażerów i przepędzili ich, przy czym kilku Gotów poległo. Belizariusz idący w straży przedniej mógł łatwo wziąć wszystkich do niewoli, lecz wolał, żeby uciekli i rozpowszechnili za-trważające wieści o naszym nadejściu.

Król Wittich, otrzymawszy od uciekinierów ogromnie przesadzone informacje o naszej sile, spodziewał się, że zejdziemy w dół doliną Rubikonu i zaatakujemy go od północnego zachodu. Ale następnego wieczora ujrzął odległą łunę naszych ognisk na zachodzie. Ogniska były bardzo liczne: każdy żołnierz rozpałił jedno i utrzymywał je przez całą noc. Na południowy wschód Wittich dojrzał ogniska również jakiejś pozornie olbrzymiej armii, a faktycznie brygady Marcina. A gdy wstał dzień, morze pokryło się okrętami i zbrojne galery groźnie skierowały się ku portowi. Gocka armia porzuciła obóz w panice. Nikt nie słuchał rozkazów i nie myślał o niczym innym, jak tylko, aby znaleźć się pierwszym na Drodze Emilskiej i w Rawennie. Gdyby Krwawy Jan mógł w owej chwili zrobić wypad, kto wie, czy nie zakończylibyśmy wojny za jednym zamachem. Lecz jego ludzie byli tak osłabieni z głodu, że nie mogli nawet dosiąść koni, które zresztą wyglądały jak worki z kośćmi, bowiem, praktycznie rzecz biorąc, w Rimini nie było paszy.

Hildiger wylądował z batalionem piechoty morskiej i zajął obóz wroga, gdzie znaleziono wielkie skarby i pięciuset ciężko rannych Gotów. Belizariusz przybył dopiero w południe. Hałaśliwy i niedyskretny Uliaris towarzyszący Hildigerowi opowiedział Krwawemu Janowi, że Belizariusz, rozwścieczony na niego za nieposłuszeństwo wobec rozkazu, bardzo grubiańsko zwymyślał Narsesa, który nalegał, by natychmiast wy-

ruszyć z odsieczą pod Rimini. Wedle pojęć Uliarisa miał to być żart, lecz Krwawy Jan wziął wszystko na serio, zwłaszcza że mówił to jeden z najstarszych przyjaciół Belizariusza, i wpadł w wielki gniew.

Belizariusz powitał go z pewną rezerwą, jednak widząc, jak jest blady i wynędzniały, nie zdobył się na żadną poważniejszą wymówkę.

- Zaciągnąłeś wielki dług wdzięczności u Hildigera, dostojny Janie! - powiedział.

Krwawy Jan odparł kwaśno:

- Nie, raczej u Narsesa. - Zasalutował i odwrócił się na pięcie bez słowa.

Jeśli chodzi o skarby Krwawego Jana zmagazynowane w Rimini, to Belizariusz podzielił je równo między wszystkie oddziały, które służyły pod jego dowództwem przed przybyciem Narsesa. To jeszcze bardziej rozgniewało Krwawego Jana. Poszedł do Narsesa, z którym zaznajomił się przed kilku laty, kiedy był dowódcą kompanii ochrony pałacu, i poskarżył się, że Belizariusz potraktował go bardzo podle. Narses współczuł mu i obaj szybko się zaprzyjaźnili, tworząc koalicję przeciwko wodzowi. Narses uważał za rzecz kompromitującą dla tak starego i doświadczonego męża stanu, który dzielił tajemnice cesarza, że musi przyjmować rozkazy *od* człowieka o połowę odeń młodszego, zwykłego generała. A także uważał, że powinien otrzymać rekompensatę za rezygnację ze swego bezpiecznego i wygodnego stanowiska w pałacu przez udział w sławie wojennej Belizariusza. Praktycznie oznaczało to dzielenie z nim dowództwa. Krwawy Jan wskazywał, że prawie wszystkie dawne oddziały Belizariusza są rozlokowane po garnizonach we Włoszech i na Sycylii - dwustu ludzi tam, pięćset tam, tysiąc jeszcze gdzie indziej - i że jego armia polowa



zmniejszyła się do dwóch tysięcy mieczy, zaś Narses i Jan posiadają siły pięć razy większe.

Teraz, gdy Rimini było już wolne, Belizariusz uważał, że może zaatakować Osimo. Jednak Narses zaczął przeciwstawiać się temu i wszelkim innym projektom, jakie Belizariusz wysuwał, usiłując go zmusić do tego, by albo dzielił się z nim dowództwem, albo w ogóle zrezygnował. Zmarnowano w ten sposób wiele cennego czasu, chociaż wiadomości, które napływały z innych części Italii, były bardzo niepokojące i wymagały szybkiej akcji. Wreszcie na propozycję mojej pani Belizariusz zwołał radę generałów i przemówił do nich otwarcie. Powiedział:

- Z przykrością muszę stwierdzić, moi panowie, że nie zgadzamy się w poglądach na właściwe prowadzenie tej wojny. Ziaje się, iż większość z was odnosi wrażenie, że Goci zostali już zupełnie pobici. Tymczasem daleko jest do tego. Król Wittich znajduje się w Rawennie z sześćdziesięcioma tysiącami ludzi. Prawie trzydzieści tysięcy tkwi za murami Osimo. Między nami a Rzymem jest kilka innych ufortyfikowanych miast obsadzonych liczną załogą. Wittich wysłał teraz armię pod dowództwem swego bratanka, Urajasa, przeciwko naszej małej załodze w Mediolanie, a Liguria jest znowu w jego rękach. Gorzej: wielka armia Franków czy przynajmniej Burgundów, którzy są sprzymierzeńcami Franków, właśnie przekroczyła Alpy Liguryjskie i połączyła się z Urajasem. Kilkakrotnie przedstawiałem wam moją głęboko przemyślaną opinię, że powinniśmy bez dalszej zwłoki pomaszerować do Osimo szachując Rawennę niewielką siłą, a również posłać duży oddział z odsieczą do Mediolanu. Gwałtownie przeciwstawiliście się tym planom. Teraz, korzystając z moich uprawnień, zamieniam ten projekt w definitywne rozkazy.

Nikt nie odpowiadał przez pewien czas, wreszcie odezwał się Narses:

- Nie sądzę, by dzielenie naszych sił w ten sposób było rzeczą praktyczną, panie. Najrozsądniejszą strategią byłoby przemaszerować na północ koło Rawenny i zająć całe wybrzeże weneckie, odciągając w ten sposób Urajasa od Mediolanu. Jednocześnie powinniśmy blokować Rawennę od lądu i morza. Atak na Osimo byłby marnowaniem energii, ponieważ Osimo paśnie, jeśli Rawenna padnie. Lecz prowadź swe nieliczne oddziały do Mediolanu, do Osimo czy na księżyc, czy dokąd chcesz. Ja będę robił, co powiedziałem, z ludźmi, których ze sobą sprowadziłem.

Belizariusz zapytał:

- A nasz garnizon mediolański, dostojny szambelanie? Co z nim?

Narses odpowiedział:

- Muszą sami dać sobie radę... jak zresztą byłoby z Krwawym Janem w Rimini, gdyby nie moja interwencja.

Belizariusz panował nad swym wzrastającym oburzeniem.

-Mój panie Narsesie - rzekł naturalnym tonem -zapominasz się i mijasz z prawdą. - Następnie zawołał do swego sekretarza Prokopiusza:

-Gdzie jest to pismo, które ostatnio przysłał mi cesarz?

Prokopiusz znalazł dokument. Justynian podpisał go bez wiedzy Narsesa, zmuszony do tego przez Teodorę. Belizariusz przeczytał spokojnym, równym głosem:

- „Dziś wysłaliśmy naszego szambelana, dostojnego Narsesa, do Picenum z pewnymi naszymi pułkami. Atoli będzie on posiadał komendę nad naszymi armia-

mi w Italii jedynie na zlecenie prześwieanego Belizariusza, który otrzymał i musi nadal sprawować najwyższą władzę pod naszym zwierzchnictwem. Obowiązkiem wszystkich cesarskich oficerów służących w Cesarstwie Zachodnim jest bezwzględne posłuszeństwo rozkazom Belizariusza dla publicznego dobra naszego cesarstwa."

Brzydka twarz Narsesa stała się jeszcze brzydsza, gdy tego słuchał. Kiedy Belizariusz skończył, wyrwał mu list z ręki i przeczytał go sam, mając nadzieję znaleźć w nim jakiś ukryty sens, którego nie było. Miał umysł wyostrzony przez lata drobnych intryg i dlatego bez trudu znalazł skazę w stylizacji.

- Właśnie! - krzyknął triumfalnie wskazując na ostatnie słowa. - Mamy ci być bezwzględnie posłusznymi, ale tylko dla publicznego dobra cesarstwa jego świątobliwego majestatu. Prześwieany Belizariuszu, twoje plany wojskowe są zupełnie nonsensowne i w żadnym wypadku nie dotyczą dobra publicznego. Ja na przykład nie czuję się wcale zobowiązany tym dokumentem do posłuszeństwa wobec ciebie, A ty, dostojny Janie?

Krwawy Jan odpowiedział:

- Ja również uważam, że wysłanie ekspedycji do Mediolanu i atakowanie Osimo ze zmniejszonymi siłami jest planem jak najbardziej niebezpiecznym, zwłaszcza gdy Wittich stoi w Rawennie.

Hildiger wykrzyknął z oburzeniem:

- Jeśli panujemy na morzu, król Wittich będzie się dziać w Rawennie jak w więzieniu. Jedyne dojsie prowadzi przez groblę na bagnach. Tysiąc ludzi zablokuje ją wystarczająco. Jestem za moim panem Belizariuszem.

Lecz partia Narsesa była liczniejsza.

Wtedy moja pani Antonina powiedziała gniewnie do Narsesa:

- Jej wysokość cesarzowa Teodora każe cię wychłostać za dzisiejszy dzień, evmuchu, jeśli będziesz miał tyle szczęścia, żeby wrócić.

## Rozdział XVII

### DIADEM ODRZUCONY

Belizariusz napisał do cesarza powiadamiając sucho o „lojalnych wątpliwościach Narsesa" w sprawie podporządkowania się autorytetowi wojskowemu naczelnego wodza i poprosił o nowe pismo potwierdzające jego uprawnienia jako najwyższego dowódcy armii w Italii. Moja pani napisała do Teodory używając mniej dyplomatycznych określeń na niewdzięczne postępowanie Narsesa. Odpowiedź Justyniana nie nadchodziła długo.

Tymczasem Belizariusz był cierpliwy i nawet udało mu się namówić Narsesa, by się przyłączył do oblężenia Urbino. To miasto wznosi się na stromym wzgórzu i tylko z jednej strony można do niego dojść po równinie, lecz mury są w tym miejscu odpowiednio wyższe. Załoga gocka, ufna w siłę murów i wypełnione spichlerze, odmówiła poddania się. Belizariusz musiał zająć miasto podstępem lub szturmem. Nie było przewodów akweduktu, które można by wykorzystać, a mieszkańcy zaopatrywali się w wodę z wiecznego źródła w mieście. Postanowił więc zrobić wyłom w murach. W tym celu kazał wybudować tak zwany „krużganek" i sam nadzorował postęp robót. Krużganek jest to kilka połączonych szeregiem, krytych szop na kołach. Każda szopa składa się z grubych drewnianych ram, przykrytych dachem z łożinowej plecionki, tak jak

pasterski szałas. Na dach narzuca się z kolei nie wyprawione skóry. Taki krużganek podsunęto do północnej części fortyfikacji, a pod jego osłoną duża grupa żołnierzy podkopywała wały oskardami i szuflami. Zazwyczaj ściany krużganek mają osiem stóp wysokości, lecz Belizariusz podwyższył je o trzy stopy, aby dla większego bezpieczeństwa zyskać miejsce na dodatkowy dach. Dach krużganek jest zazwyczaj zbudowany pod tak ostrym kątem, że kamienie staczają się po nim bez szkody; skóry moczy się stale wodą, żeby nie dały się podpalić. W swym krużganku Belizariusz umieścił dodatkowo sześć taranów.

Mury Urbino były bardzo grube, a grunt ogromnie skalisty, więc brak fosy nie stanowił ułatwienia dla oblegających. Narses i Krwawy Jan już tracili cierpliwość. Krwawy Jan klął, że to miasto jest nie do zdobycia - czyż sam nie próbował go zająć, gdy szedł na Rimini, choć wtedy załoga liczyła zaledwie paru ludzi? Tak więc dziesiątej nocy oblężenia odmaszerowali obaj ze swymi dywizjami, nie informując Belizariusza, dokąd idą. Narses obsadził Rimini, a Krwawy Jan zaczął rozpuszczać zagony po wybrzeżu za Rawenną, żeby się wzbogacić, albowiem na całym północno-wschodnim terytorium Emilii i Wenecji nie było silnych fortec, do których Goci mogliby się bezpiecznie schronić ze swymi skarbami.

Belizariusz pozostał pod Urbino z tysiącem osmiuset ludzi. Dwutysięczna załoga gocka widząc, co zaszło, śmiała się i szydziła z niego. Lecz krużganek szybko wprowadzono na pozycję, zaś najlepsi łucznicy, umieszczeni za osłoną na platformie z tyłu, zestrzelili posterunki z blanków.

Chociaż minierzy pracowali z wigorem, przez trzy dni nie dokopali się nawet do fundamentów muru,

a tarany kujące jednocześnie nadal nie wyrządziły dających się dostrzec szkód. Potem udało się Gotom zważyć całą blankę na dach krużganka. Krużganek załamał się, ale na szczęście nikt nie został zabity, bowiem łucznicy na rusztowaniu w porę ostrzegli obsługę taranów. Belizariusz uznał, że na dokonanie wyłomu trzeba przynajmniej dwóch miesięcy, i nie robił z tego żadnego sekretu wobec oficerów. Wyobraźcie sobie jego i nasze zdumienie, kiedy czwartego dnia, dziwnie spokojnego po dwóch minionych, załoga gocka ukazała się między ambrazurami murów z podniesionymi na znak poddania się rękami! Do południa uzgodniono warunki między Belizariuszem a ich dowódcą, i Urbino było nasze.

To, co się wydarzyło, trzeba przypisać tylko niezwykłemu szczęściu, lecz Belizariusz zasługiwał właśnie na niezwykle szczęście w tego rodzaju sytuacji. Narses oczywiście był innego zdania. W rzeczy samej, gdy dowiedział się o naszym powodzeniu, tak żarła go zazdrość, że przez wiele dni nie jadał przy wspólnym stole ze swymi oficerami w Rimini, bojąc się, iż mógłby zdradzić swe prawdziwe uczucia i wydać się w ten sposób nielojalny wobec cesarza. Nawiasem mówiąc, Narses woził ze sobą w małym pozłacanym ołtarzyku szklany wizerunek Marii Panny, z którym naradzał się przed powzięciem jakiegokolwiek ważnego kroku. Zwykł być mówić do swych oficerów: „Nasza Pani nie kazała mi słuchać projektu, jaki przedstawicie.” Albo: „Nasza Pani zgadza się ze mną, że plan, który wymyśliłem, jest właściwy.” Przy tej okazji „Nasza Pani” nie powiedziała nic. A mogłaby go poinformować, że stały dopływ wody do Urbino nagle się przerwie i że garnizon podda się z pragnienia - gdyż wtedy nie postawiłby się w tak głupiej sytuacji.

A stało się to tak, że kopiąc jak zwykle fosę dookoła swego obozu, Narses natrafił przypadkowo na źródło i za radą Krwawego Jana skierował wodę w wąskie rowy dla łatwiejszego pojenia koni - jak niegdyś Belizariusz zrobił w Kapoudii. Ta zmiana kierunku podziemnego strumienia miała nieprzewidziany związek z ustaniem dopływu wody do miasta. Ironia przypadku polegała na tym, że to właściwie Narses spowodował upadek Urbino - a ponadto nigdy się o tym nie dowiedział! Skierowawszy wodę w jej poprzednie łóżysko, mogliśmy znowu zaspokoić pragnienie miasta. Nikogo nie dopuszczono do tajemnicy poza mną i dwoma innymi służącymi Belizariusza - murarzami z zawodu. Poszedłem z nimi do opuszczonego obozu, gdzie wykonali potrzebną pracę pod moim kierunkiem. Mieliśmy rozkaz ukryć znowu źródło pod rumowiskiem skał, bowiem mogło się zdarzyć, że któregoś dnia Belizariusz będzie sam musiał bronić miasta przed atakiem nieprzyjacielskim.

Przypomniało mi się znowu motto: „Cierpliwość i ubóstwo”, na miseczce świętego Bartymeusza, którą Justynian podarował Belizariuszowi, a Belizariusz wypożyczył mnichom. Nasze siły uszczupliły się jeszcze ze względu na konieczność wysłania Marcina z tysiącem ludzi na odsiecz Mediolanowi. Belizariusz (pani Antonina była zawsze u jego boku) rozpoczął oblężenie Orvieto z zaledwie ośmioma setkami wyćwiczonych żołnierzy i pewną ilością italskich rekrutów; miasto leżało zbyt blisko Rzymu, by można było je pozostawić w gockich rękach.

Marcin nie był bohaterem. Osiągnąwszy prawy brzeg Padu, bał się występować z tak małym oddziałem przeciwko armii Urajasa składającej się z siedemdziesięciu tysięcy Burgundów i Gotów. Uliaris, który



towarzyszył Marcinowi jako dowódca pólswadronu przybocznych Belizariusza, zgodził się, że ryzyko jest zbyt wielkie. Gubernator Mediolanu wysłał gońca do Marcina - goniec w przebraniu przeszedł przez gociekie linie i przepłynął rzekę - błagając, by natychmiast przybywał na pomoc. Mediolan, miasto o trzystu tysiącach mieszkańców, najpiękniejsze i najzamożniejsze poza Rzymem miasto w Italii, był w obliczu głodu. „Musimy jeść psy, szczury, myszy i susły; słyhać już o wielu przypadkach ludożerstwa” - pisał gubernator.

Marcin wykręcał się mówiąc, że nie ma łodzi do przetransportowania swych zapasów przez rzekę. Ale uważał, że oblężenie zostanie zwinięte w ciągu trzech tygodni, jeśli mediolańczycy wytrzymają tak długo. Poleciał gońcowi jechać noc i dzień do Belizariusza pod Orvieto i powierzył mu list, w którym błagał Belizariusza, by przysłał Krwawego Jana drogą lądową z Emilii przez dolinę Padu. „Z pomocą Jana - pisał Marcin - może ocalimy Mediolan.”

Belizariusz wysłał wtedy kuriera do Krwawego Jana, informując go o cierpieniach mediolańczyków i rozkazując, by połączył swe siły z Marcinem i pomógł miastu.

Krwawy Jan odmówił zdecydowanie, stwierdzając, że będzie przyjmował rozkazy jedynie od Narsesa. Dodał również bez współczucia: „Więc mediolańczycy jedzą susły. Czytałem w Historii naairalnej słynnego Plińiusza, że cenzor Katon zabronił dawnym Rzymianom jeść te stworzonka, gdyż uważał je za zbyt kosztowny przysmak.”

Po otrzymaniu tego listu Belizariusz napisał do Narsesa w Rimini. Przypominał mu, że dywizje armii są jak członki ludzkiego ciała i musi kontrolować i kierować nimi jedna głowa. „Porzuciłbym oblężenie Orvie-

to i pośpieszył do Mediolanu z moimi ośmioletnimi kirasjerami, gdyby nie to, że muszę pozostawać w sąsiedztwie Rzymu - nie mogę zdać obrony miasta wyłącznie na rzymskie pospolite ruszenie. Ponadto forsowny trzystumilowy marsz przez Toskanię podczas tak złej pogody zniszczyłby mi konie. Błagam Cię w imię Boga, poślij Twego przyjaciela Jana i Justyna - wnuka cesarza naszego władcy - ze wszystkimi możliwymi siłami na pomoc Marcinowi. Albo idź sam i zyskaj chwałę, jaką tylko pragniesz" - pisał Belizariusz.

Na takie błagania Narses dał Janowi wymagane zezwolenie, lecz było już za późno. Zastanówcie się: poseł Marcina musiał przebyć trzysta mil od Padu do Orvieto; wysłannik Belizariusza - dalsze trzysta mil, zanim dotarł do Krwawego Jana, który znajdował się w Pawii; goniec Krwawego Jana do Belizariusza również przejechał trzysta mil nie spiesząc się zbyt; a potem kurier Belizariusza do Narsesa w Rimini miał do przebycia o prawie dwieście mil więcej. Ponadto nastąpiła dalsza zwłoka spowodowana niespodziewanym atakiem febry malarycznej u Jana. Zanim wyzdrowiał i był gotów wyruszyć do Mediolanu z czterema tysiącami kawalerii i załadowanymi na wozy łodziami do przeprawy przez Pad, Goci zdobyli miasto. Było to właśnie w początku roku 539, roku ogoniastej komety.

Goci i Burgundzi oszczędzili życie tysiącowi żołnierzy garnizonu Belizariusza w Mediolanie, lecz na rozkaz Urajasa wszyscy mężczyźni z ludności cywilnej, w ilości stu tysięcy, zostali wybici przy samych ołtarzach kościołów, gdzie szukali schronienia. Żołnierze robili, co chcieli, z kobietami; te wszystkie, które się do czegoś naciąwały, zabrali jako niewolnice; Burgundom pozwolono wybierać najpierw w uznaniu ich zasług. Stare, brzydkie i chore zostawiono, by wymarły z gło-

du. Goci zabrali wszystkie dzieci. Fortyfikacje Mediolanu zostały zburzone, a kościoły zrównane z ziemią. Katolickie kościoły zburzyli ariańscy Goci, zaś ariańskie - katolicycy Burgundzi. Wybuchły wielkie pożary i szerzyły się nie gaszone przez nikogo, i pół miasta poszło w ruinę.

Marcin i Uliaris wrócili do Orvieto. Gdy Belizariusz usłyszał o losie Mediolanu, był tak wstrząśnięty, że nie chciał ich widzieć na oczy i przez całą tę wojnę nie przemówił słowa do Uliarisa poza wydawaniem mu rozkazów. Mówił, że Uliaris mógłby jednak coś zrobić dla uratowania honoru pułku przybocznego - choćby atakując transporty Gotów.

Wreszcie przybył list od cesarza Justyniana, odwołujący Narsesa na tej podstawie, że cesarz nie może się dłużej obyć bez szambelana dworu, i potwierdzający nominację Belizariusza na najwyższego dowódcę armii we Włoszech. Justynian nie robił wyrzutów Narsesowi, nawet gdy dowiedział się o masakrze w Mediolanie, której Narses mógł zapobiec, lecz nadal zachowywał się w stosunku do niego z wielką serdecznością. Narses zabrał ze sobą z Italii tysiąc ludzi. Ponadto jego wyjazd stał się wymówką dla buntu dwóch tysięcy kawalerii herulskiej, która znajdowała się pod jego bezpośrednim dowództwem. Herulowie odmówili przyjmowania rozkazów od Belizariusza i pomaszerowali do Ligurii plądrując po drodze. Tam zawarli pokój z Urajasem i sprzedali mu wszystkich niewolników i zbędne łupy, za co otrzymali do skolonizowania żyzne ziemie w sąsiedztwie Coma. Lecz zmieniwszy nagle swe zamiary (do czego ci barbarzyńcy są nie mniej skłonni niż miejskie pospólstwo), poczuli skruchę i pomaszerowali przez Macedonię do Konstantynopola, mając nadzieję, że cesarz im przeba-

czy za wstawiennictwem Narsesa (Narses ich nie za-  
wiódł).

W ten sposób Belizariusz istotnie pozostał na naj-  
wyższym dowództwie, lecz z armią polową nie liczącą  
więcej niż sześć tysięcy wyćwiczonych żołnierzy. Jed-  
nak odwołał teraz garnizony z Sycylii i południowej  
Italii, zastępując je pospolitym ruszeniem rzymskim,  
a także wyszkolił jakich takich żołnierzy z italskich  
chłopów, tak że miał dwadzieścia pięć tysięcy ludzi do  
prowadzenia operacji. Pięć tysięcy pod wodzą Justyna  
posłał na oblężenie Fiesole. Trzy tysiące pod dowódz-  
twem Krwawego Jana oraz jeden tysiąc pod innym Ja-  
nem, który miał przydomek „Epikur”, skierował w do-  
linę Padu, by udaremnić wszelkie próby połączenia  
się Urajasa z armią króla Witticha. Sam Belizariusz z je-  
denastoma tysiącami rozpoczął oblężenie Osimo, sto-  
licy Picenum.

W tym miejscu moje opowiadanie musi zatoczyć  
szersze kręgi. Na zachodzie przekraczają one rzekę  
Rodan we Francji, na wschodzie - Eufrat, na północ  
sięgają Dunaju, na południe - pustyni Afryki. Król Wit-  
tich przebywał w Rawennie. Garnizon Osimo prosił te-  
raz o pomoc, lecz otrzymywał jedynie próżne zapew-  
nienia, że Bóg jest po stronie Gotów. Wittich nie  
ośmiał się wyprowadzić wojsk z miasta, ponieważ  
nasze placówki, zajmąwszy stanowiska za mocnymi ba-  
rykadami, strzegły grobli na bagnach. Rimini również  
znajdowało się w naszych rękach; za pomocą sygna-  
łów ogniowych można było szybko wezwać stamtąd  
kawalerię, gdyby król Wittich próbował sforsować ba-  
rykady. Urajasa blokowali pod Mediolanem Krwawy  
Jan i Jan Epikur, a burgundzcy sojusznicy Gotów  
wrócili do swego kraju. Wittich czuł się jak zwierzę w  
klatce.

I wtedy stary kupiec z licznej kolonii syryjskiej w Rawennie przyszedł do króla i powiedział:

- W jaki sposób cesarz Justynian znalazł siły do podboju Afryki i takiej części twoich, panie, posiadłości? Dlatego że najpierw wywalczył pokój z Persami i w ten sposób mógł przerzucić Belizariusza, dowódcę Armii Wschodu, na Zachód. Gdybyś namówił wielkiego króla do przekroczenia Eufratu, wtedy Belizariusz szybko zostałby odwołany na Wschód dla odparcia nowej groźby. Bowiem cesarz ma tylko jednego genialnego generała i musi rzucać nim w tę i w tamtą stronę po swoich posiadłościach jak członkiem po postawie tkackim. Królu Wittichu, pošlij jedno poselstwo do wielkiego króla, a drugie jednocześnie do Teudeberta, króla Franków. Niech każdy z posłów powie każdemu monarsze, że drugi obiecał już zaatakować cesarstwo rzymskie.

Wittich zapytał:-

- Lecz jak my, Goci, przedostaniemy się bezpiecznie przez całe Cesarstwo Wschodnie? Ludzie cesarza z pewnością aresztują naszych posłów. Ponadto żaden z nas nie umie mówić po persku.

Syryjczyk odpowiedział:

- Wyślij księży. Nikt nie będzie ich podejrzewał. Niech podróżują w towarzystwie Syryjczyków, którzy jeżdżą wszędzie, znają każdy język i mają przyjaciół w każdym kraju.

Wittich z zapałem przyjął ten pomysł. Szybko znaleziono chętnych księży i syryjskich przewodników. Ksiądz przeznaczony do Persji przyjął tymczasowo godność biskupa dla większego bezpieczeństwa. Oba poselstwa wyruszyły morzem na dwóch małych łodziach, korzystając z odpływu i bezksiężycowej nocy, i umknęły naszej flocie. Bowiem w okolicy Rawenny

są odpływy - zwykłe zjawisko na brzegach oceanu, lecz nie spotykane nigdzie na Morzu Śródziemnym (ostatnio zaobserwowano, że przyptywy i odpływy są powodowane przez księżyc). Tylko w pewnych godzinach statki mogą przebywać kanał między rozległymi mieliznami i wchodzić do portu, co bardzo chroni Rawnę przeciwko atakowi od strony morza.

W miesiąc później, znowu rozważając sprawę, król Wittich wysłał dwa dalsze poselstwa w podobnym składzie do Maurów w Afryce i Longobardów - germańskiego szczepu przybyłego niedawno na lewy brzeg Dunaju - proponując, żeby uderzyli razem z Persami i Frankami. Cztery poselstwa dotarły szczęśliwie do miejsc przeznaczenia. I wszyscy, z wyjątkiem Longobardów, odpowiedzieli Gotom:

-Dobrze, uderzymy, i to szybko. Longobardzi odparli ostrożnie:

-Nie zrobimy nic, póki nie otrzymamy wiadomości, że armie innych narodów już ruszyły, albowiem jesteśmy teraz sojusznikami cesarza.

Nikt z nas nie podejrzewałby króla Witticha, że wystarczająco rozumie się na polityce światowej, by spowodować kłopoty na odległych granicach naszego cesarstwa, gdyż żaden Germanin nigdy nie zastanawiał się przedtem nad zrobieniem czegoś podobnego. Lecz Wittich znajdował się w bardzo trudnej sytuacji i był gotów przyjmować rady nawet Syryjczyków, którymi w normalnych czasach pogardzał, jako załganymi wschodnimi heretykami.

Nastał nowy rok: już piąty od naszego wylądowania na Sycylii. Zarówno Fiesole, jak i Osimo odmówiły kapitulacji. Gockie załogi były liczne, a fortyfikacje mocne, tak że pozostała nam jedynie nadzieja wzięcia tych fortec głodem. Belizariusz nie pozwolił swej armii na

leniuchowanie i rozłazenie się podczas oblężenia, jak Wittich podczas oblężenia Rzymu. Przeciwnie - wykorzystał te miesiące na ćwiczenia italskich rekrutów, doskonaląc ich w mustrze i marszach. Od osiągniętej zręczności w robieniu bronią i innych sztukach wojskowych uzależniał żołd. Sformował kilka nowych batalionów dając im oficerów ze swego przybocznego pułku - wśród jego weteranów znajdowało się wielu Traków i Iliryjczyków, których ojczysty dialekt był odmianą łaciny. Lecz nowi rekruci nie byli wiele lepsi od rzymskich wojsk miejskich. Gleba italska, niegdyś tak obfitująca w bohaterów, wyczerpała się w ciągu stuleci: Italczyk nie ma serca do walki mimo swej gwałtowności i przechwałek. Belizariusz żałował, iż nie może użyć gockich jeńców, gdyż byli oni silnymi, odważnymi mężczyznami i łatwo ich było szkolić. Zamiast tego wysłano ich na Wschód i do Afryki, by tam walczyli za cesarza.

Z oblężenia Osimo mogę sobie przypomnieć tylko bardzo niewiele wydarzeń godnych upamiętnienia. Starzy żołnierze opowiadali mi, że ich doświadczenie jest zgodne z moim: wypadki z początku kampanii mocno wbijają się w pamięć, lecz gdy wojna ciągnie się latami, człowiek dostrzega coraz mniej i obojętnieje, tak że jego uwagi nie porusza nic poza jakimś nadzwyczajnym wypadkiem.

Tego lata odbywały się częste utarczki na stoku wzgórza między murami miejskimi a naszym obozem. Goci podpełzali o zmroku, by naciąć paszy dla koni, a nasze patrole uganiały się za nimi. W księżycowe noce toczyły się bardzo zacięte utarczki. Właśnie pewnego ranka szedł po tym wzgórzu batalion naszej piechoty, gdy Goci nagle stoczyli z góry ogromną ilość kół od wozów zaopatrzonych w długie noże i sierpy

przywiązane do szprych. Tylko szczęśliwym przypadkiem żaden z naszych ludzi nie został zraniony; Goci źle ocenili kierunek pochyłości i koła zbczyły niewinnie do znajdującego się opodal lasu, skąd je zebraliśmy. Również na tym zbczu, jadąc pewnego ranka z moją panią, byłem świadkiem niezapomnianego widoku. Grupa Gotów poci dowództwem oficera w jasny dzień zajmowała się ścinaniem paszy, a kompania Maurów, zsiadłszy z koni podkradała się do nich, pełząc trawiastym wąwozem. Lecz Goci ścinający trawę byli jedynie przynętą ukrywającą zasadzkę. Gdy Maurowie wynurzyli się z wąwozu ze strasznym wraskiem, zerwała się na ich spotkanie inna grupa Gotów. Rozpoczęła się walka wręcz i wielu ludzi padło po obu stronach. Oficer dowodzący grupą furazową, ubrany w połocistą płatową zbroję, lecz bez hełmu, został zabity ciosem mauryjskiego dziirytu w lędźwie - zbroja płatowa, przeznaczona do użytku z konia, ma swój słaby punkt w tym miejscu. Maur, który zadał cios, krzyknął z triumfem i chwytając trupa za żółte włosy zaczął go ciągnąć na bok. Potem nadleciał gocki dziiryt i przebił obie łydki Maura parę cali nad piętami, jak ktoś przebija skoki zająca gałązką, żeby go było łatwiej nieść do domu. Lecz Maur nie puścił zabitego. Pełznął z wolna po zbczu jak gąsienica, wyginając się i wijąc, i włócił za sobą Gota. Wszystko to pani i ja widzieliśmy na własne oczy zza pnia bukszpanu. Jeden z naszych trębaczy zagrał na alarm i pędzący z pomocą pluton bułgarskich Hunów przegalopował koło nas. Hun jadący na czele podniósł Maura i nie wyciągając mu dziirytu z łydek przerzucił go przez grzbiet swego konia. Maur nadal nie puścił zabitego, który objął się i brzęczał zbroją po ziemi, kiedy jechali w bezpieczne miejsce.



Innym pamiętnym wydarzeniem była walka przy cysternie. Cysterna znajdowała się nad urwiskiem na północ od Osimo, w pobliżu wału. Dla załogi stanowiła ona główne, choć nie jedyne źródło zaopatrzenia w wodę. Napełniał ją niewielki czysty strumyk, a chroniło sklepienie, które utrzymywało wodę w niskiej temperaturze. Nocą Goci napełniali tu swe dzbany, rozstawiając dookoła silną grupę osłonową. Pięciu Izauryjczyków postanowiło na ochotnika zburzyć cysternę, jeśli otrzymają odpowiednie dłuta, młoty i łomy, i ochronę podczas roboty. Następnego dnia Belizariusz podprowadził całą armię i ustawił ją kołem w odstęпах dookoła wału. Trzymano w pogotowiu długie drabiny jak gdyby do eskalady. Kiedy rozległ się sygnał do ataku i odwrócono uwagę Gotów, pięciu Izauryjczyków bez przeszkód wśliznęło się do cysterny i zaczęło dzieło zniszczenia.

Nieprzyjaciel czekał spokojnie na spodziewany atak i wstrzymywał się od strzelania, póki nasi ludzie nie podejść bliżej. Trąbki grały, było wiele krzyku, lecz drabiny posunięto naprzód tylko w jednym miejscu, trzysta kroków od cysterny; tu stłoczyli się Goci, by odeprzeć atak. Mimo tej dywersji Izauryjczyków spostrzeżono, gdy wspinali się po skale i wpełznięli do cysterny. Goci uświadomili sobie, że są ofiarami podstępny, i dokonali wściekłego wypadu z najbliższej bramy, zamierzając chwycić całą tę piątkę. Belizariusz poprowadził natychmiastowy kontratak i zatrzymał nieprzyjaciela. Było to trudne zadanie, albowiem Goci byli liczni i atakowali z góry po stromym pagórku - lecz w orszaku Belizariusza znajdowali się górale Izauryjscy i Armeńscy, którzy lubią tego rodzaju walkę. Podobnie jak oni, Belizariusz walczył na piechotę, ubrany jedynie w kaftan z bawolej skóry, zbrojny

w dwie sulice i krótki miecz. Bez przerwy zachęcał żołnierzy do dalszych wysiłków, choć straty były ciężkie. Mówił, że im dłużej pięciu Izauryczyków będzie mogło spokojnie pracować w cysternie, tym krócej potrwa oblężenie.

Goci zaczęli się cofać koło południa. Gdy Belizariusz rzucił się w pościg, Got na najbliższej baszcie zaczął weń mierzyć dzirytem; cisnął i dziryt poleciał w dół. Belizariusz nie widział tego, ponieważ słońce świeciło mu w oczy od południa, tuż nad krawędzią bastionu. Oszczepnik Unigatus, znajdujący się obok Belizariusza, ocalił mu życie. Będąc o wiele niższego wzrostu od swego pana, znajdował się już w cieniu muru i ujrzał lecący dziryt. Rzucił się naprzód i nieco w bok chwytając go. Długi grot przebił mu dłoń i przeciął wszystkie ścięgna palców, tak że miał tę dłoń bezwładną do końca życia. Lecz Unigatus powiedział:

- By ocalić mego pana Belizariusza, z radością nadstawiłbym własnej piersi.

Belizariusz sam wszedł do cysterny. Choć Izauryczycy z całej mocy tłukli młotami i łomami w ogromne kamienne bloki, nie udało im się odbić nawet jednego okrucza. W dawnych czasach ludzie mieli zwyczaj budować nie na rok ani nawet na całe życie, lecz na wieczność. Kamienie były tak dobrze dopasowane, a odstępy wypełnione twardym jak żelazo cementem, że wydawało się, iż budowla jest wykuta w litej skale. Nie pozostało nic innego do roboty niż to, do czego Belizariusz miał naturalną odrazę: zepsuć dobrą wodę wrzucając do cysterny padlinę końską, niegaszone wapno i trujące rośliny. Goci, którzy już musieli jeść trawę, musieli się teraz ograniczyć do jedynej studni w mieście i deszczówki z dachów, którą chwyтали w kadzie. Ale rok był suchy i deszcz nie padał.

Fiesole uległo z głodu w miesiącu sierpniu, a Belizariusz pokazał wziętych do niewoli przywódców załodze Osimo, mając nadzieję skłonienia jej w ten sposób do kapitulacji. Wreszcie się poddali, albowiem Belizariusz ofiarował im szlachetne warunki. Obiecał, że nie uczyni ich niewolnikami, jeśli się wyrzekną swych związków z królem Wittichem i przysięgną na wierność cesarzowi Justynianowi, a także oddadzą połowę swoich majątków naszym żołnierzom zamiast łupu. Byli wściekli na Witticha, że pozostawił ich swemu losowi, gdy jego armie nadal przewyższały liczbą wojsko Belizariusza, który był żołnierzem wedle ich upodobania. Wszyscy na ochotnika zgłosili się do służby w jego pułku przybocznym. Byli to wszystko ludzie wybrani i Belizariusz z radością ich przyjął. W ten sposób ostatnia forteca na południe od Rawenny dostała się wreszcie w nasze ręce.

Tymczasem obaj Janowie uniemożliwiali siostrzeńcowi króla Witticha, który stał obozem pod Pawią nad górnym Padem, marsz na pomoc swemu wujowi w Rawennie. Pewnego dnia w czerwcu Urajas usłyszał dobre nowiny - poselstwo króla Teudeberta odniosło skutek: sto tysięcy Franków przekroczyło Alpy i marszerowało mu w sukurs przez Ligurie. Ci Frankowie, będąc katolikami jedynie z nazwy, nadal zatrzymują wiele ze swych krwawych obyczajów germańskich; ponadto są osławieni ze swej perfidii bardziej niż jakkolwiek inny szczep w Europie. Nie są jeźdźcami jak ich dalecy krewni - Goci i Wandale - z tym wyjątkiem, że kilku lansjerów towarzyszy każdemu z ich książąt i że każdy gauleiter jeździ konno na znak godności. Walczą na piechotę, są bardzo dzielni i bardzo niezdyscyplinowani. Ich broń stanowią szerokie miecze, tarcze i straszliwe „franciszki”. „Franciszki” to coś w ro-

dzaju siekier o dwóch ostrzach i krótkich trzonach. Podczas ataku Frankowie rzucają je gęstą chmurą, a cios takiej siekiery roztrzaskuje zwykłą tarczę i zabija osłoniętego nią człowieka.

Niebawem armia króla Teudeberta dotarła do mostu nad Padem w Pawii, którą zajmował Urajas, i Goci serdecznie powitali sojuszników. Ale w chwili gdy pierwsze bataliony Franków przeszły przez nikogo nie nagabywane, Urajasa spotkała straszliwa niespodzianka: Frankowie złamali szeregi i zaczęli uganiać się za gockimi kobietami i dziećmi, a następnie jako pierwszą zdobycz wojenną poświęcili je na ofiarę, wrzucając głową w dół do rzeki! Był to stary ich zwyczaj w czasach przedchrześcijańskich, lecz teraz usprawiedliwiali go względami katolickimi: mówili, że tak właśnie należy traktować ariańskich heretyków, którzy przeczą, że Jezus Chrystus jest równy swemu Wszechmocnemu Ojcu. Gotami Urajasa tak wstrząsnął ten widok, że w szalonym popłochu uciekli do swego obozu. Ścigani gradem siekier, nie zatrzymali się dla obrony - rozpoczęli powszechny bieg drogą do Rawenny. Dziesiątki tysięcy Gotów runęło na placówki Krwawego Jana i setki z nich zastrzelono, gdy przebiegali koło jego stanowisk.

Krwawy Jan skrzyknął swą gwardię i pogalopował do gockiego obozu, w przekonaniu, że to Belizariusz niespodziewanie przeszedł przez Toskanię i napędził takiego stracha Gotom. Niezwłocznie przekonał się o swej omyłce widząc rojących się na drodze Franków. Rozegrał z nimi zacięty bój spotkaniowy, lecz został odparty. Porzucając obóz z całym łupem zbieranym w ciągu dwóch lat, cofnął się do Toskanii. Król Teudebert za jednym zamachem zdobył całą zachodnią część Ligurii.

W owym roku panowała susza; ponadto z powodu toczących się walk w całej północnej Italii nie uprawiano ziemi. Ta odrobina zboża, jakie posiano, uschła, zanim doszło do żniw, a zapasy w spichlerzach i stodołach od dawna zostały skonfiskowane przez króla Witicha, przez mediolańczyków, którzy się przeciwko niemu zbuntowali, lub przez Herulów podczas ich grabieżczej wyprawy. W rezultacie, gdy Frankowie zjedli zapasy, jakie znaleźli w dwóch obozach, musieli ograniczyć się do wołowiny gotowanej w wodzie z Padu, który w tym roku miał stan bardzo niski, zaś woda była zakażona ciałami zabitych. Ponadto armia składająca się wyłącznie z piechoty ma o wiele mniejszy zasięg aprowizowania się niż armia konna, a Frankowie są wielkimi żarłokami. Z tego powodu znaleźli się w poważnych kłopotach. Gdy nadszedł sierpień, zaatakowała ich dyzenteria i zmarło nie mniej niż trzydzieści pięć tysięcy ludzi.

Belizariusz napisał do króla Teudeberta list wyrzucający mu złamanie przysięgi wiary wobec jego sojusznika - cesarza Justyniana. Sugerował, że zaraza jest karą boską za zdradę oraz za okrutne wymordowanie gockich kobiet i dzieci. Teudebert nie polemizował z nim i ruszył z powrotem do domu. Lecz zachodnia Liguria zamieniła się w pustynię i oblicza się, że pięćdziesiąt tysięcy włoskich chłopów zmarło z głodu owego lata.

Maurowie afrykańscy również zostali w tym roku pobici przez Salomona, a w związku z tym Longobardzi doszli do wniosku, że wygodniej im będzie ruszać się, chyba że Persowie zaatakują i Justynian zostanie zmuszony do ściągnięcia wszystkich swych zachodnich armii na ratunek Syrii i Azji Mniejszej. Wtedy niespodzianie najechał na cesarstwo potężny naród

z innego rejonu: bułgarscy Hunowie po raz pierwszy od trzydziestu lat zjednoczeni pod wodzą potężnego chana. Z łatwością przeszli przez dolny Dunaj, bo w ubiegłych latach Justynian stopniowo ogałcał z ludzi północne fortece graniczne, by uzupełnić swe armie na Zachodzie, i nie rekrutował ani jednego nowego batalionu czy szwadronu. Ponadto pozwolił, żeby te fortece rozpadły się w ruinę, uważając budowanie nowych kościołów za dzieło o wiele chwalebniejsze od łatania starych wałów. Tu muszę przerwać mój opis wielkiego najazdu Hunów, by przedstawić paradyz, który Justynian ogromnym kosztem założył dla siebie i Teodory na azjatyckim brzegu morza Marmara, niedaleko stolicy, obok świątyni Hery. Letni pałac tego paradyzu, otoczony drzewami, winoroślą i kwiatami, uznano od razu za najpiękniejszą świecą budowlę świata, tak jak katedra Mądrości Bożej uchodziła za najpiękniejszą budowlę sakralną. Trwoniono nań marmur i kosztowne metale, a łącznie i kolumnady połyskiwały przepychem, jakim żadne miasto oprócz Koryntu przed trzęsieniem ziemi nie mogło się pochlubić. Z powodu trudności z prądami w cieśninach Justynian wznosił dwa długie falochrony - zatapiając niezliczone skrzynie cementu w głębokiej wodzie, by zyskać prywatny port. Ta wielka budowa godna jest wzmianki nie tylko dlatego, że spowodowała dodatkowy drenaż skarbcza, ale i dlatego, że stanowiła południową granicę najazdu Hunów.

Bułgarzy zaleli całe Bałkany aż po Przesmyk Koryncki, zdobywając po drodze nie mniej niż trzydzieści dwie fortece i całą diecezję Tracji do samego Konstantynopola, gdzie przerwali długie wały Anastazjusza. Zatrzymał ich jedynie wał wewnętrzny, wzmocniony przez cesarza Teodozjusza, a broniony dzielnie przez

Narsesa. Niektórzy z nich przekroczyli Hellespont na odcinku od Sestos do Abydos i grasowali w Azji Mniejszej, gdzie z trudnością ich odparto u wrót nowego paradyzu Justyniana. Dwieście tysięcy jeńców, pięć tysięcy zabitych, ogromne ilości skarbów, zburzenie pięćdziesięciu zamożnych miast - taką cenę zapłacił Bułgarom Justynian za swą fałszywą oszczędność na wojsku i fortyfikacjach. Bułgarzy wrócili do domu nie niepokojeni przez nikogo.

Belizariusz zbierał wszystkie swe siły, aby forsować oblężenie Rawenny, a z Dalmacji wyruszyła mu z pomocą inna niewielka armia cesarska. Lecz Rawenna ze względu na swe położenie geograficzne jest najtrudniejszym na świecie miastem do zdobycia. Wielki Teoderyk oblegał ją bezskutecznie przez trzy lata: od strony lądu wstrzymywały go bagna, a od morza mieliżny i fortyfikacje - zyskał w końcu zwycięstwo dyplomatyczne, nie wojskowe. Wydawało się prawdopodobne, że Belizariusz też będzie musiał się zadowolić czekaniem przez trzy lata. Król Wittich miał w mieście ogromne zapasy zboża, oliwy i wina, a ponadto na jego żądanie Urajas przysłał mu rzeką Pad dodatkowe transporty z Mantui.

Lecz w parę tygodni później Wittich mimo wszystko znalazł się w bardzo trudnej sytuacji żywnościowej. Po pierwsze, susza tak spłyciła rzekę, że barki ze zbożem Urajasu utykały na mieliżnach przy ujściu Padu i nie mogły posuwać się dalej na południe przez połączone laguny, tworzące tor wodny do Rawenny. Cały transport schwytał Hildiger, którego patrole w tym rejonie były bardzo aktywne i czujne. Drugi cios zadała Wittichowi w Rawennie jego własna żona, Matasonta. Podczas burzy udało jej się potajemnie podpalić dwa największe magazyny zbożowe w mieście. Szkodę

przypisywano uderzeniu piorunów. Wittich wpadł na pomysł, że Bóg go nienawidzi, i mazał sobie twarz kurzem.

Król Franków Teudebert wysłał teraz poselstwo do Witticha w Rawennie. Ponieważ oficjalnie Frankowie byli nadal sojusznikami cesarza, Belizariusz zezwolił im przejść przez nasze linie, ale pod warunkiem, że jego własni posłowie będą im towarzyszyli, wysłuchają ich rozmów z Wittichem i przedstawią stanowisko cesarstwa. Swoim przedstawicielem mianował Teodozjusza, który doskonale wywiązał się z tego zadania.

Posłowie Franków proponowali Gotom traktat zaczepno-odporny, chwając się, że mogą rzucić pół miliona ludzi przez Alpy i pogrzebać „Greków” pod stosem siekier. Powiedzieli, że zadowolą się zaledwie połową Italii w nagrodę za pomoc.

Teodozjusz wskazał wtedy, że Frankowie są całkowicie niegodni zaufania jako sojusznicy, skoro przyjmowali subsydia z dwóch stron i z obiema toczyli wojnę; że tłumy piechoty nie mają szans zwycięstwa przeciwko zdyscyplinowanym oddziałom kawalerii; że ofiarowanie Frankom pół bochenka chleba oznacza praktycznie oddanie im całego bochenka razem z nożem i tacą. Gdyby król Wittich zawarł pokój z cesarzem, mógłby przynajmniej zachować coś niecoś ze swych straconych nadziei. Goccy ambasadorzy, wysłani do Konstantynopola podczas rozejmu przed zakończeniem oblężenia Rzymu, przedstawili warunki, których nie uzasadniała ani sprawiedliwość, ani sytuacja militarna; Wittich postąpiłby najrozsądniej, gdyby zdał się teraz na łaskę cesarza, którego szlachetność wobec obalonego przeciwnika została udowodniona w przypadku króla Geilimera i wielu mniejszych przywódców.



Król Wittich wysłuchał uważnie Teodozjusza, odprawił Franków i posłał nowych ambasadorów do Konstantynopola. Gdy czekał na ich powrót, gockie załogi w Alpach poddały się Belizariuszowi, zaś armia Urajasa maszerująca od Mantui tak stopniała przez dezercje, że nie tylko nie mógł pomóc swemu wujowi, lecz musiał znowu się cofnąć aż do Como.

Obozowaliśmy pod Rawenną, gdy nadciągnęła zima. Nie było walk, ale czujność naszych straży i patroli nie zmniejszyła się. Nie przepuszczano do Rawenny ani jednego worka ze zbożem, ani jeden okręt nie mógł się przedrzeć przez blokadę. W tym okresie moja pani odnowiła swą dawną zażyłość z Teodozjuszem dla urozmaicenia sobie nudnego życia. Ładnie śpiewał i przejawiał talent do kompozycji muzycznych. Śpiewali razem duety i akompaniowali sobie nawzajem na lirze i skrzypcach. Jedna z pieśni Teodozjusza wyliczała, dlaczego Italczyki powinni kochać Greków: ta wojna wyzwolenicza zaprawdę zapewniła im wiele wesołych rozrywek - masakrę, gwałty, pożary, niewolnictwo, głód, zarazę, ludożerstwo. Lecz wiersze te były tak wdzięczne, że nikt nie mógł pomyśleć, iż wyrażały nie-  
lojalne uczucia. Przez ten okres Teodozjusz i pani zachowywali się wobec siebie ze wzorową dyskrecją.

Tego lata szwagier Teodory, Sittas, który dowodził na Wschodzie jako następca Belizariusza, został zabity w zwykłej utarczce granicznej w Armenii. Był to jedyny generał o pewnej reputacji w tych stronach i jego śmierć wywołała wielką radość wśród Persów. Król Khosrou zdecydował się złamać wieczny pokój następnej wiosny. Duchowni posłowie Witticha zapewnili go przez swego syryjskiego tłumacza, że Frankowie i Maurowie będą pomagali Gotom w walkach na Zachodzie. Początkowo Khosrou odpowiedział:

- Jeśli uderzymy ze Wschodu, nasz królewski kuzyn Justynian porzuci swe zdobycze na Zachodzie i sprowadzi Belizariusza ze wszystkimi wojskami przeciwko nam. Bowiem Rzym leży daleko od stolicy Justyniana, ale Antiochia jest blisko. To wyjdzie na korzyść waszym Gotom, lecz nie nam.

Księża nie potrafili znaleźć przekonującej odpowiedzi. Jednak tłumacz dorósł do sytuacji. Muszę tu teraz wyjaśnić okoliczność, o której się dowiedziałem dopiero, gdy ten syryjski spisek dojrzał, lecz której tu nie będę przed wami tuił - ponieważ może to zwiększyć wasze zainteresowanie: tłumaczem był nikt inny, tylko mój dawny pan, Barak! Na prywatnej audiencji u wielkiego króla Barak oznajmił, że nie ma się czego obawiać Belizariusza.

- Jest publiczną tajemnicą - powiedział - iż Belizariusz zamierza pozostać w Italii. W nowym roku zerwie swe związki z Justynianem, ogłosi się sam cesarzem Zachodu i połączy z Gotami i Frankami. Północna Afryka zostanie włączona do jego posiadłości.

- Kiedy otrzymamy wiadomość, że Belizariusz ogłosił się cesarzem, od razu najedziemy na Syrię - powiedział Khosrou, bardzo zadowolony.

Lecz Barak odparł:

- Królu królów, czyż nie byłoby bardziej właściwe dla twojej godności, gdybyś uderzył, zanim Belizariusz zacznie działać? Wtedy będzie wyglądało, że twój najazd na Syrię zachęcił go do przyjęcia diademu, a nie odwrotnie.

Zdaje się, że ten argument zrobił na Khosrou wrażenie. Wezwawszy posłów Witticha dał im obietnicę, że uczyni, o co proszą.

Wróciwszy do Italii, księża dostali się do Rawenny mówiąc, że byli jedynie na pielgrzymce w Ziemi Świę-

tej, i przekazali Wittichowi pomysły wieści, zaś Barak pojechał do Pawii i żartem opowiedział Urajasowi o genialnym kłamstwie, jakie, wymyślił dla zjednania Khosrou.

Justynian miał wszędzie szpiegów, nawet na perskim dworze, i dowiedział się o wszystkim na długo przed Urajasem. Wierząc, że Belizariusz naprawdę zamierza go zdradzić, bardzo się zmartwił. Natychmiast zwołał na radę Narsesa, Jana z Kapadocji i Teodorę.

Teodora powiedziała:

- To jest zwykłe syryjskie gadanie bez żadnych podstaw. Skoro otaczasz się na swym dworze kłamcami, łotrami i oszustami, nie wierzysz już, że taka rzecz jak honor może istnieć wśród oficerów twojej armii.

Lecz Narses rzekł:

-Podejrzywałem to samo, majestacie. Zaś Jan z Kapadocji dodał:

-On to planował od wielu lat. Jeśli nie, dlaczego obarczał waszą cesarską moc odpowiedzialnością za odrzucenie warunków Witticha podczas oblężenia Rzymu? Zrobił to częściowo dlatego, żeby ściągnąć więcej wojsk pod swe sztandary, a częściowo - by zdyskredytować waszą łaskawość: tak więc, gdy wreszcie ogłosi się imperatorem, jego łagodność będzie kontrastowała z surowością waszej cesarskiej mocy.

Narses powiedział:

- Ci italscy rekruci, których werbuje, są dalszym do wodom jego zamiarów.

Jan z Kapadocji:

- On planował tę rewoltę sześć lat temu, kiedy był w Kartaginie, gdy Konstantyn i jego bracia-oficerowie pisali, by przestrzec waszą łaskawość. Odłożył to wtedy ze względów strategicznych, uważając, że jeśli Sycylia i Italia znajdują się w gockich rękach, nie będzie

mógł bezpiecznie utrzymać Afryki. Lecz teraz, gdy Goci są tak bliscy klęski, mierzy wyżej. Justynian zapytał:

- Więc co zrobimy, przyjaciele? Poradźcie nam. Je steśmy w wielkiej obawie.

Narses rzekł:

- Bez zwłoki trzeba ofiarować królowi Wittichowi tak dogodne warunki, by przyjął je z radością. Wtedy Belizariusz nie ośmieli się ogłosić cesarzem, nie mogąc przewyższyć waszego cesarskiego majestatu w szlachetności wobec Gotów. Jeśli chodzi o naszych oficerów w Italii, to są oni zmęczeni wojną. Jest im wszystko jedno, jaki traktat cesarz podpisze z królem Wittichem.

Jan z Kapadocji zgodził się:

- Niech wasza cesarska mość pozwoli królowi Wittichowi zatrzymać połowę jego skarbów i wszystkie jego włoskie posiadłości, które leżą na północ od Padu.

Lecz Teodora powiedziała:

- Zaprawdę, jest dla mnie niespodzianką, że wobec tylu fałszywych przyjaciół i otwartych wrogów na Wschodzie Belizariusz istotnie nie uczyni tego, o co go się bezpodstawnie oskarża. Przed wielu laty komes Bonifacy został zmuszony do zdrady w Afryce przez podobne oszczerstwa na dworze cesarza. W ten sposób straciliśmy Afrykę.

Justynian odpowiedział miękko:

- Najdroższa, prosimy cię, nie mieszaj się do tej sprawy. My się już zdecydowaliśmy.

Dlatego też posłowie przybyli z Konstantynopola z takimi warunkami, że Wittich przyjął je z największą radością. Belizariusz, prowadząc ich do bramy Rawenny, spytał, jakie konkretnie warunki wiozą, lecz odpowiedzieli, że na razie nie mogą udzielić mu tej informacji. Kiedy potem wyszli i pokazali podpisany przez

Witticha traktat, do którego ratyfikacji potrzeba było jedynie podpisu Belizariusza, stanął osłupiały. Pomyślał tylko, że cesarza źle poinformowano o wojskowej sytuacji Gotów. Odmówił podpisu, póki nie nadejdzie pisemne potwierdzenie z Konstantynopola, prawidłowo opieczętowane.

Wtedy Krwawy Jan, Marcin i Jan Epikur, Walerian, a nawet Bessasz zaczęli go krytykować za plecami za niepotrzebne przedłużanie wojny, Belizariusz słysząc o tym wezwał ich na konferencję i poprosił, by mówili otwarcie, czy rzeczywiście uważają warunki za właściwe.

Odpowiedzieli wszyscy:

-Tak, oczywiście że tak. Nie możemy zdobyć Rawnenny, a trudno wymagać od naszych ludzi, by stali nad brzegami tych bagien, nie wiadomo przez ile lat. W każdym razie cesarz najwidoczniej zdecydował zakończyć wojnę, gdy się to tylko stanie możliwe.

-W takim razie nie chcę was wplątywać w pozorowanie nielojalną akcję w związku z tym, że odmówiłem mego podpisu na tym traktacie. Jak wiecie, kodeks traktuje niewykonanie rozkazów przez oficera w czasie wojny za przestępstwo główne, a jego łaskawość cesarz jest moim najwyższym dowódcą. Proszę was, byście wyrazili na piśmie poglądy, którym właśnie daliście wyraz.

Miał na myśli, że jeśli uda mu się zmusić Witticha do podpisania traktatu bardziej dla nas korzystnego, taki dokument z ich podpisami będzie dla Justyniana dowodem trudności, jakie miał ze swym sztabem. Albowiem nadal wyznawał pogląd, że Justynian powierzył mu działalność wedle własnego uznania. Generałowie zgodzili się podpisać. Teraz zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Urajas rozmyślając nad genialnym kłamst-

wem, jakie Barak powiedział królowi Khosrou, zdecydował, że to istotnie byłoby ogromnie szczęśliwe rozwiązanie, gdyby Belizariusz naprawdę proklamował się cesarzem! Nie było odeń szlachetniejszego czy bardziej zdolnego człowieka, a dla Italii nie byłoby korzystne, gdyby rządzono nią nie z Rzymu czy Rawenny, lecz z odległego Konstantynopola; Afryka odczuła już okrutnie, co oznacza stracona niezależność rządu. Gdyby Belizariusz został cesarzem, Goci pozostaliby oczywiście dominującą siłą wojskową (ponieważ Italczycy nie nadawali się do jakiegokolwiek służby poza cywilną) i zyskaliby to, że Belizariusz nauczyłby ich sztuki wygrywania bitew. Urajas przeszmugłował ten projekt do Rawenny, do swej ciotki Matasonty, która, jak wiedział, nie lubiła jego wuja Witticha. Zawiadomił ją, że jeśli gocy arystokraci w mieście poproszą Belizariusza, żeby został ich władcą, to on, Urajas, może się zatroszczyć o pozostałych Gotów. Matasonta zwołała tajną radę, na której przegłosowano propozycje Uraja-sa i przyjęto ogromną większością. Magnaci pogardzali Wittichem, a podziwiali Belizariusza; ponadto Rawenna w żadnym wypadku nie mogła się długo utrzymać z powodu zniszczenia spichlerzy.

Wtedy Belizariusz otrzymał tajne zaproszenie od gockiej rady, by został cesarzem Zachodu. Za posłem rady przybył zaraz poseł Witticha, który usłyszał o głosowaniu. Wittich oświadczył, że z przyjemnością albo zrezygnuje ze swej monarchii, albo będzie płacił trybut Belizariuszowi jako cesarzowi.

Belizariusz nie poinformował o tej ofercie nikogo poza panią Antoniną. Zawołał z oburzeniem:

- Jak oni mogą mnie brać za zdrajcę mego cesarza? Cóż ja zrobiłem, by zasłużyć na taką obelgę?

Antonina roześmiała się i powiedziała:

-Lecz sam cesarz jest tego samego zdania.

-O czym ty mówisz? - Przeczytaj to!

Dała mu list, który tylko co nadszedł od Teodory. Zawierał on kwaśną relację ze spotkania między Justynianem, Narsesem, Janem z Kapadocji i nią. Teodora była ogromnie oburzona, że Justynian w tak grubiański sposób zwrócił się do niej w obecności dwóch radców, i najwidoczniej napisała ten list przez zemstę. List kończył się mniej więcej tymi słowami:

„Moja najdroższa przyjaciółko, Antonino, jeśli mimo wszystko jest prawdą, w co bardzo wątpię, że Twój mąż zastanawia się nad tym odważnym krokiem, przez wierność dla mnie nie odwodź go od tego zamiaru. A jeśli się nad tym nie zastanawiał, przekonaj go, by to zrobił. Albowiem jest on jedynym żyjącym człowiekiem, który potrafiłby przywrócić prawo, porządek i rozkwit w Italii oraz w Afryce i w ten sposób zabezpieczyć naszą zachodnią granicę. Tylko niech odeśle nam swe wschodnie wojska, kiedy mu nie będą potrzebne i niech żyje z nami w pokoju. Zostań moją cesarską kuzynką w Rzymie, myśl o mnie czule, przysyłaj mi częste wiadomości ze względu na dawne czasy, popieraj stronnictwo błękitnych na Waszym hipodromie. Wtedy będę Cię kochała jak zawsze. By to wyjaśnić krótko: mój świątobliwy małżonek jest zazdrosny o zwycięstwa Twego prześwietnego małżonka. Nie mogę obiecać, że pewnego dnia nie zrobi mu wielkiej krzywdy. Gdyby Belizariusz zechciał teraz złamać swe przyrzeczenie wobec niego, byłoby to czynem mądrym, sprawiedliwym i wielce korzystnym dla świata.”

Oczy Belizariusza miały iskry, gdy rzucił list od Teodory na żarzące się węgle piecyka. Nie rzekł słowa, póki pergamin całkowicie się nie spalił. Potem powiedział:

- Honor Belizariusza jest dlań wart więcej niż pięć dziesiąt Italii i sto Afryk.

Potem zawołał swych oficerów.

- Jutro - oznajmił - spokojnie wchodzimy do Rawenny. Ostrzeżcie swoich ludzi.

Wszyscy patrzyli nań ze zdumieniem. Posłowie Justyniana byli również obecni.

-Czy się to wam nie podoba?

-Och, wodzu! Ale Goci? Oni się poddają?

-A jak inaczej moglibyśmy wejść?

Belizariusz sekretnie zapewnił gockich postów, że żaden z obywateli Rawenny nie zostanie ani obrabowany, ani obrócony w niewolnika, i poprzysiągł to na Ewangelię. Lecz powiedział:

- Zaś co do tytułu cesarza, nie chcę go przyjmować, póki nie znajdę się w waszym mieście. Kiedy król Wittich złoży mi hołd, będzie to znak dla trębaczy, by odegrali salut cesarski.

Następnego dnia weszliśmy długą groblą do miasta i zajęliśmy je. Gdy nasi ludzie w zwartym szyku maszerowali ulicami, gockie kobiety, patrząc na nich z progu domów, pluły na swych mężów mówiąc:

- Tak ich mało, tacy nędzni i mali! A wy zawsze po zwalaliście im zwyciężać.

Mężowie odpowiadali:

- Nie, to nie oni! To ten przystojny, wysoki generał, który jechał na ich czele na koniu z łysiną. To on wszytko zrobił. On będzie naszym nowym władcą. To najmądrzejszy, najszlachetniejszy i najodważniejszy z ludzi, jacy kiedykolwiek żyli na świecie. To Belizariusz.

Belizariusz przyjął kapitulację, lecz nie przyjął hołdu Witticha; a choć Goci spodziewali się, że w każdej chwili ogłosi się cesarzem, nie dawał żadnego znaku. Ale czekali z chęcią, ponieważ dotrzymał swej przysię-



gi, że nie będzie brał do niewoli ani plądrował obywateli Rawenny, zajmując jedynie skarby w imię cesarza, i ponieważ sprowadził kilka statków z żywnością.

Ponadto pozwolił opuścić miasto wszystkim Gotom posiadającym ziemie na południe od Padu, aby zaczęli je uprawiać. Nie groziło to niebezpieczeństwem, bo wszystkie ufortyfikowane miasta na południu były obsadzone przez nasze wojska. Przez pierwsze dni pozwalał Gotom wierzyć, że niedługo przyjmie diadem. Moja pani Antonina, mając coraz większą nadzieję, spytała go:

-Czy się zdecydowałeś? Na co on odpowiedział:

-Tak, zdecydowałem się pozostać wierny mej generalskiej przysiędze. Nie byłoby właściwe odrzucać jakkolwiek możliwość obsadzenia stolicy nieprzyjacielskiej bez strat w ludziach.

Pani Antonina była na niego tak oburzona za repektowanie przysięgi złożonej tak dawno i takiemu łajdakowi, że prawie nie odzywała się do męża. Teodozjusz również wyglądał na rozgniewanego, może dlatego, że obiecała mu gubernatorstwo Rzymu, kiedy Belizariusz zostanie cesarzem. Powiedział kiedyś Antoninie:

- Dlatego żeby Belizariusz utrzymał swą wierność w stanie dziewiczym, Italia musi być zniszczona.

Zapytała:

-Jak to zniszczona? Teodozjusz odpowiedział:

-Belizariusz zostanie odwołany, a chciwi poborczy podatkowi, niesprawiedliwe prawa, głupi generałowie, samowolni podoficerowie, rozruchy, bunty, najazdy zniszczą Italię. Zobaczysz.

## Rozdział XVIII

### CHŁODNE PRZYJĘCIE W OJCZYŹNIE

Rawenna jest miastem paradoksów. Zbudowano ją na palach na lagunie. „Żab w Rawennie jest o wiele więcej niż obywateli, a komarów więcej nawet niż aniołów w niebie.” Morze stopniowo cofa się od brzegów, tak że port, który niegdyś wybudował cesarz August, jest teraz sadem. Jabłka rosną na masztach w porcie Rawenny” - powiadają. Dwa albo cztery łokcie pod powierzchnią zawsze występuje woda gruntowa, co jest niewygodne przy wznoszeniu murów i pogrzebach; lecz woda jest zła i obywatele używają tylko deszczówki do picia i gotowania. Mówią: „Tu umarli pływają, a żywi chodzą spragnieni. Tu wody stoją, a mury padają.” W Rawennie znajduje się kolonia byłych syryjskich kupców i wszyscy są bardzo pobożni, natomiast miejscowi księża zajmują się handlem i mają skłonności do lekceważenia kanonicznego prawa. „Tu Syryjczycy się modlą, a księża uprawiają lichwę” - powiadają. W okolicy nie ma terenów myśliwskich i w ogóle trudno uprawiać jakiegokolwiek sporty z wyjątkiem piłki w łaźni; jednak ze względu na wilgoć człowiek musi się porządnie gimnastykować, by utrzymać zdrowie. Wskutek tego wielu bogatych obywateli należy do miejskiej milicji i odbywa ćwiczenia wojskowe na placu defilad na poligonie; natomiast oficerowie garnizonu z samych nudów przyłączają się do klubów literac-

kich, by w ten sposób rozszerzyć swe wykształcenie. „Tu literaci bawią się w żołnierzy, a żołnierze w literatów” - powiadają. Do tych wielu paradoksów należało teraz dodać człowieka, który mógł zostać władcą, lecz nie chciał, i człowieka, który miałby ochotę pozostać władcą, ale nie mógł.

Paradoksem było również odkrycie, że mój były pan, Barak, tak osławiony w relikwiach, teraz adorował nabożnie w miejscowym kościele relikwie świętego Witalisa, które, jak każdy rzeczoznawca mógłby wam powiedzieć, w żadnym wypadku nie mogły być autentyczne: znalazłem w kościele ofiarę wotywną dla upamiętnienia cudownego uleczenia Baraka z kamieni żółciowych za pomocą tych relikwii. A co do Baraka, to powstała cała seria paradoksów. Przybył do Rawnenny spodziewając się wielkiej nagrody za podsuniecie Gotom myśli, że Belizariuszowi powinno się ofiarować tron cesarza Zachodu. Lecz Belizariusz, nie myśląc bynajmniej o wynagradzaniu, aresztował go na moje oświadczenie jako podejrzanego o fałszerstwo przed trzydziestoma laty i odesłał pod strażą na proces do Konstantynopola. Jednak referując tę sprawę Belizariusz nie wspomniał udziału Baraka w spisku mającym na celu obwołanie go cesarzem; na całą tę transakcję patrzył z takim niesmakiem, że wołał nie wspominać niczego, co się z nią łączyło. W Konstantynopolu Barak za pomocą łapówki został honorowo zwolniony, a choć miał teraz siedemdziesiąt lat, podjął na nowo swe na długo przerwane obowiązki nadzorca pamiętek w świętych miejscach. Z przyjemnością odnowił ślady krwi przy palu biczowania i odnowił gąbkę na Golgocie, która przez pobożność pielgrzymów zużyła się prawie całkowicie. Także w Joppie znalazł znaczną ilość wczesnochrześcijańskich zabyt-

ków o ogromnym znaczeniu, zakopanych w starej skrzyni podczas prześladowań za cesarza Nerona i doskonale zachowanych.

Na szczęście opuściliśmy Rawennę przed początkiem sezonu komarów. Krwawy Jan napisał ostrzegawczy list do Justyniana, gdy się tylko dowiedział, że Goci ofiarowali diadem Belizariuszowi. Justynian natychmiast odwołał Belizariusza, chwając go ciepło za jego wspaniałe zasługi i dając do zrozumienia, że niebawem zostanie zatrudniony na o wiele szerszym polu. Belizariusz wolałby najpierw załatwić rachunki z armią Urajasu zredukowaną teraz do zaledwie tysiąca ludzi, lecz nie chciał ryzykować niechęci Justyniana nowym aktem wyraźnego nieposłuszeństwa. Dlatego kazał się nam pakować i przygotować do drogi. Kiedy Urajas w Padwie o tym usłyszał, był zaskoczony i ogromnie rozczarowany, bowiem wierzył, że Belizariusz nadal zamierza ogłosić się cesarzem. Myślał, że Belizariusz oceniając siły nieprzyjanych mu oddziałów cesarskich i armii gockich doszedł do wniosku, że byłby to krok zbyt ryzykowny. Dlatego przekonał gockich wielmożów, by wybrali na króla gockiego niejakiego Hildibalda, który był siostrzeńcem króla hiszpańskich Wizygotów; możliwość sojuszu wojskowego między Gotami włoskimi i Gotami hiszpańskimi z pewnością powinna przeważyć szalę decyzji Belizariusza na korzyść przyjęcia diademu. Hildibald postanowił udać się do Rawenny i natychmiast złożyć hołd Belizariuszowi.

Lecz Belizariusz szyderczo odrzucił tę ponowioną ofertę i wiosną roku pańskiego 540 ruszyliśmy do Konstantynopola pozostawiając Pawie nadal w rękach Gotów. Justynian tymczasem wyznaczył jedenastu generałów równej rangi, włączając Krwawego Jana, by

dowodzili armiami w Italii. Jednoczyła ich tylko zazdrość wobec Belizariusza oraz chciwość pieniędzy i władzy. Po odjeździe Belizariusza okazali się niezdolni do jakiegokolwiek połączonej akcji i nie uczynili nawet poważniejszej próby zdobycia Pawii. Jednak Krwawy Jan postarał się o to, by nowy król Hildibald zamordował Urajasa; śmierć Urajasa została potem pomszczona na Hildibaldzie, a następnie Goci wybrali niejakiego Eraricha, ale niebawem i na niego dokonano zamachu. Wreszcie niebezpieczna korona przeszła na młodego bratanka Hildibalda - Teudela. Tak więc w ciągu siedmiu lat Gotami rządziło sześciu monarchów.

Cywilnym gubernatorem Italii Justynian mianował Aleksandra zwanego „Nożykiem”. Był on niegdyś bankierem i po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę władz konstantynopolitańskich zręcznym obcinaniem złotych monet. Z każdych pięćdziesięciu monet, które przeszły przez jego ręce, potrafił zestrugać równowartość pięciu, a monety wcale nie wydawały się mniejsze. Jan z Kapadocji bynajmniej nie ukarał go za to oszustwo, lecz wykorzystał do powiększenia tą samą metodą skarbcza wojskowego i do wielu innych nieuczciwych transakcji. „Nożyk” okazał niebawem równą genialność przy wyszukiwaniu nowych dróg ściągania podatków, tak że uznano go godnym najwyższych urzędów. Ostatnio działał jako główny poborca podatkowy w Afryce. Problem zdobywania pieniędzy na olbrzymie wydatki Justyniana był teraz bardziej naglący niż kiedykolwiek, skoro najazdy Bułgarów zubożyły tak wielkie obszary kraju. „Nożyk” zaczął swe zwykłe praktyki w Italii, a gdziekolwiek wojna oszczędziła jakieś pieniądze, natychmiast zagarniał je dla swego cesarskiego pana, który pozwalał za-

trzymywał mu pięć procent tych dochodów w charakterze premii. Ponadto nikt nie mógł oskarżać „Nożyka” o stronnictwo: obcinał nie tylko fortuny Gotów i Italczyków, ale także żołąd i zaopatrzenie wojsk cesarskich. Ponura przepowiednia Teodozjusza o przyszłości Italii sprawdzała się w każdym szczególe. Lecz później opowiem o tym obszerniej.

Tuż przed naszym wyjazdem król perski rozpoczął najazd na Syrię. Nie był to najazd całkowicie nieusprawiedliwiony, albowiem Justynian prowadził tajne konspiracyjne z białymi Hunami, żyjącymi za Morzem Kaspijskim, próbując ich przekupić, by najechali Persję od północy, a także namawiał króla Saracenów do zerwania związku z Persją. Niezadowolony z proponowanych im warunków przekazał Khosrou całą korespondencję w tej sprawie. Król perski jeszcze raz wybrał drogę południową. Maszerując prawym brzegiem Eufratu od równin Babilonu, bez przeszkód przekroczył granicę. Ponieważ jego armia składała się wyłącznie z kawalerii, dotarł do Sury po sześciu dniach marszu i zajął ją podstępem podczas rozejmu zawartego na przedyskutowanie warunków kapitulacji. Po konferencji z występującym w imieniu cesarstwa biskupem miasta odprowadził go z honorami do głównej bramy - a wtedy wyskoczyła naprzód grupa Persów z drewnianą belką i zablokowała wrota. Zanim mieszkańcy Sury zdążyli usunąć belkę, szwadron perskiej kawalerii wpadł na główną ulicę. Surę zrabowano i spalono do gruntu, jej mieszkańcy poszli w niewolę do Persji.

Naszym dowódcą w Syrii był ten sam Bouces, który walczył na lewym skrzydle pod Dara. Jego kwatera główna znajdowała się w Hierapolis, o dalsze sześć dni marszu w górę rzeki. Słyszając o zbliżaniu się Persów Bouces zobowiązał obywateli i żołnierzy do zdecydo-

wanej obrony miasta, a następnie zabrawszy swą lekką kawalerię uciekł z największym pośpiechem. Khosrou pomaszerował przeciwko Hierapolis. Widząc, że fortyfikacje są tu mocne, zgodził się odstąpić od oblężenia, jeśli otrzyma okup w wysokości set tysięcy sztuk złota. Obywatele, przerażeni losem Sury, zapłacili pieniądze. Potem Khosrou zawrócił na zachód i dotarł do Beroea, gdzie stwierdził, że fortyfikacje są słabsze niż w Hierapolis, i dlatego wyznaczył okup na dwieście tysięcy sztuk złota. Tu również obywatele zgodzili się na okup, lecz gdy doszło do zbiórki pieniędzy, stwierdzili, że mogą zebrać zaledwie połowę tej sumy cesarscy poborcy podatkowi - szczególnie syn mojej pani, Focjusz, który stał się jednym z najbardziej bezlitosnych agentów Justyniana - działali w tym kraju od dawna. Bojąc się gniewu króla perskiego najważniejsi obywatele i żołnierze garnizonu zdezerterowali z murów Beroea i schronili się do cytadeli. Khosrou zdobył szturmem opuszczone mury, rozwścieczony, że go, jak to ujmował, okpiono, i spalił pół miasta. Jednak przekonawszy się, że pieniędzy nie zapłacono dlatego tylko, że ich nie było, darował dług i ruszył dalej ku Antiochii. Gdy Justyniana doszła wiadomość o najeździe, natychmiast wysłał swego siostrzeńca Germanusa - tego, który pomagał stłumić bunty w Afryce - by przeprowadził inspekcję murów obronnych Antiochii. Były one w dość dobrym stanie z wyjątkiem jednego słabego punktu: wielkiej szerokiej skały zwanej Orocacias, która sterczała w pobliżu wałów, w najwyższym punkcie okolicy. Jeśli mauzoleum Hadriana było stałą groźbą dla murów Rzymu, póki nie włączono go do nich jako bastionu, tak samo było z tą skałą Orocacias. Germanus zdecydował, że natychmiast trzeba ją ufortyfikować. Można było wykopać głęboką fosę, by od-

dzielić mur od skały (która znajdowała się tylko piętnaście stóp poniżej poziomu blanków) i podwyższyć mur. Lecz władze cywilne Antiochii nie chciały w związku z tym nic zrobić. Ich przedstawiciele powiedzieli, że nie ma czasu na podwyższanie wałów czy kopanie fosy przed przybyciem króla perskiego, bo gdyby nadejście Persów przerwało pracę, słaby punkt linii obronnych zostałby od razu odsłonięty. Gdyby nie czuli się na siłach do obrony miasta, spróbują przepłacić Khosrou; istotnie, patriarcha Efraim napisał w tajemnicy do króla perskiego, ofiarując się zebrac rozsądną sumę okupu - proponował sto tysięcy w złocie. Lecz teraz Justynian wysłał okólnik do wszystkich gubernatorów miast, zabraniając im płacenia okupu pod karą śmierci. Patriarcha bał się przyjąć Khosrou z pustymi rękami i uciekł na północ do Cylicji, jak zresztą postąpiła rozsądnie pewna ilość bogatych obywateli. Potem przybyło z Libanu sześć tysięcy kawalerii, by wzmocnić załogę. Dowódcy zamknęli bramy, tak że ucieczka stała się niemożliwa,

Straż przednia króla perskiego szybko znalazła się na przedpolach Antiochii. Jego poseł podszedł do murów i oznajmił żądania perskie - odpowiadały one dokładnie propozycjom patriarchy. Król oświadczył, że za jedyne sto tysięcy oszczędzi miasto i ominie je ze swą armią.

Mieszkańcy Antiochii są bardzo niezrównoważonymi, niepoważnymi ludźmi. Potraktowali posła bez żadnego respektu - obrzucili go błotem i strzelali mu koło głowy. Twierdzili, że jeśli Belizariusz z pięcioma załedwie tysiącami wyszkolonych żołnierzy mógł przez cały rok utrzymać o wiele większe miasto przeciwko stu pięćdziesięciu tysiącom Gotów, dlaczegóż oni z dziewięcioma tysiącami nie mieliby obronić Antiochii



przeciwko pięćdziesięciu tysiącom Persów? Ponadto zniewieściali obywatele rzymscy niewiele pomagali Belizariuszowi, podczas gdy w Antiochii błękitni i zieloni uformowali coś w rodzaju miejscowej milicji: wałki fakcyjne, rozgrywane tu w bardziej otwarty i odważny sposób niż w Konstantynopolu, rozbudziły w nich żołnierskiego ducha. Tak więc dziesięć tysięcy ochotników uzupełniło regularne oddziały, a przynajmniej połowa z nich miała kolczugi i broń. Na nieszczęście, samej skały Orociasias nie obsadzono. Moim zdaniem, gdyby trzystu odważnych mężczyzn wyszło za fortyfikacje i stanęło na tym stromym urwisku, odparłoby każdy atak. Lecz przyjęto inny plan: na linach przerzucano długi drewniany mostek między basztami a skałą, tak że obrońcy mogli walczyć na dwóch poziomach - strzałami i dzirytami z mostka na górze, a mieczami i włóczniami ze znajdujących się poniżej blanków.

Następnego rana po odrzuceniu kapitulacji król Khosrou posłał część swej armii doliną Orontesa, by w różnych punktach przeprowadziła szturm na mury miejskie, a on sam z wybranymi oddziałami ruszył przeciwko skale Orociasias. Drewniany mostek przypięczętował los Antiochii. Gdy łucznicy i oszczepnicy stojący na nim usiłowali nie dopuścić Persów na bliższą odległość, a z baszt zbiegało coraz więcej ludzi do pomocy w walce, liny niespodzianie pękły, a deski i żołnierze runęli ze straszliwym łoskotem na zatłoczony parapet w dole. Setki ludzi zginęło albo zostało ciężko rannych, rozległy się straszne wrzaski, na które Persowie odpowiedzieli rykiem triumfu.

Obrońcy na sąsiednich basztach nie wiedzieli, co się stało, i wyobrazili sobie, że to cały mur runął i że Persowie szturmują przez wyłom. Uciekli z posterunków i popędzili w dół ku miastu; dobiegłszy do bramy

prowadzącej na przedmieście Dafne, zaczęli krzyżeć, że widzieli w oddali Boucesa, który z całą armią przybywa na odsiecz, i muszą się szybko z nim połączyć. Nikt nie wierzył w tę historię, ale natychmiast wielki tłum cywilów rzucił się do ucieczki z Antiochii, póki jeszcze istniała okazja, bo jedynie do bramy Dafne Persowie nie przypuścili dotychczas ataku. Cała kawaleria zbiegła z fortyfikacji i stłoczyła się przy tej pojedynczej bramie, tratując cywilnych i wspinając się po barykadzie zabitych, i konających. W krótkiej chwili z Antiochii zdezerterowało całe wojsko z wyjątkiem niewielkiego oddziału regularnej piechoty i milicji miejskiej. Milicjanci, którzy przeżyli upadek mostku, porzucili mury naprzeciw skały, gdy tylko spostrzegli, że ich flanków nie broni regularne wojsko. Ustawili się u stóp wzgórza, zdecydowani bronić ulic. Persowie przeleźli przez mury po drabinach i bez trudu weszli do miasta.

Milicjanci dali błyskotliwy pokaz walk ulicznych według tradycji hipodromu - kamieniami brukowymi, rapierami i pałkami. Błękitni atakowali ze swym hasłem wojennym: „Precz z zielonymi!” - a zieloni z hasłem; „Precz z błękitnymi!” Persowie musieli się cofnąć. Lecz król Khosrou widząc ze zdobytej baszty, że ma przed sobą tylko pospólstwo uliczne, kazał szwadronowi swych „nieśmiertelnych” przeprowadzić szarżę wzdłuż ulicy. Milicja załamała się i doszło do masakry, w której zginęła ogromna ilość obywateli obu płci. Antiochię złupiono, a w katedrze Khosrou znalazł ogromne zapasy złota i srebra, wystarczające na dwukrotne pokrycie kosztów całej wyprawy. Dla ukarania ludności za walki uliczne rozkazał spalić całe miasto z wyjątkiem katedry - powiedział bowiem, że nie ma żadnych pretensji do patriarchy. Persowie zniszczyli

nawet przedmieścia, i to dokładniej niż trzęsienie ziemi przed trzynastu laty. Pół miliona ludzi pozostało bez dachu nad głową i stanęło w obliczu śmierci głodowej. Król perski wybrał sto tysięcy młodszych i energiczniejszych i pocieszył ich w ten sposób:

- Zaprowadzę was bezpiecznie do mojego kraju i zbuduję wam miasto nad brzegami Eufratu, który jest o wiele ładniejszą rzeką od waszego Orontesa. Będziecie mieli łaźnię, targi, bibliotekę publiczną i hipodrom - wszystko, czego zapragniecie!

Potem pomaszerował do Seleucji - portu antiocheńskiego - i wykąpał się w morzu, wypełniając ślub złożony bogu słońca. Następnie brzegiem Orontesa dotarł do Apamei, gdzie znowu się wzbogacił skarbami kościelnymi. Tu ludność otworzyła mu bramy, tak że nie spalił miasta i nawet pozwolił zatrzymać jego najbardziej cenny zabytek: łokciowej długości listwę z podstawy Krzyża Świętego. Drzewo spróchniało w ciągu stuleci i fosforyzowało w ciemności, co uważano za cud. Księża trzymali je w złotej skrzyni wysadzanej klejnotami. Lecz Khosrou zabrał skrzynię.

W Apamei kazał urządzić wyścigi rydwanów na swoją cześć.

- Uważajcie - rzekł - zielonej barwie należy dać pierwszeństwo, skoro cesarz Justynian i jego cesarzo

wa, jak mi powiadają moi ministrowie, od dawna okazują niesłuszne uprzedzenie na korzyść błękitnych.

W Persji używa się rydwanów jedynie do parad i ceremonialnych procesji, Khosrou nie rozumiał więc, że ten sport polega na współzawodnictwie. Cztery rydwany wypuszczono z „klatek”, woźnice ruszyli z krzykiem i zaczęli walczyć o prowadzenie, a pierwszy błękitny szybko zdobył wewnętrzny tor. Wysforował się na pięćdziesiąt kroków przed drugim błękit-

nym, a obaj zieloni pozostali daleko w tyle. Khosrou bardzo się rozgniewał i widząc na błękitnych rydwanach emblemat cesarza, wykrzyknął:

- Przerwać wyścig! Dość tego, Cezarze! Impertynencko ukradł prowadzenie moim dwóm rydwanom!

Perscy żołnierze zeskoczyli na arenę i zrobili zapórę z włóczni. Błękitni woźnice ściągnęli wodze, gdyż bali się okaleczyć konie, a zielonym rydwanom pozwolono objąć prowadzenie i wygrać. Był to najbardziej „robiony” wyścig, jaki kiedykolwiek widziano na hipodromie (a mógłbym wam sporo opowiedzieć o „robionych” wyścigach). Publiczność ryknęła śmiechem, a Khosrou spoglądał na nią rozpromieniony, nie rozumiejąc, że się ośmieszył. „Dość tego, Cezarze”, stało się popularnym powiedzonkiem w kołach wyścigowych na całym świecie. Khosrou miał usposobienie wybuchowe i sarkastyczne. Na przykład potrafił wyśmiewać się z nieszczęść ludzi, których miasta zburzył, udając, że płacze, i mówiąc: „Niestety, biedni chrześcijanie, to wasza źle skierowana lojalność dla naszego głupawego, chciwego kuzyna z Konstantynopola sprowadziła to na was!” Nie był jednak zupełnie złym człowiekiem.

Z Apamei wrócił do domu, lecz nie tą samą drogą, którą przyszedł, ale przez Edessę, Carrhae, Konstantynę i Dara. Przyjął zaledwie pięć tysięcy w złocie jako wykup od Edessy, choć najpierw zamierzał wziąć ją szturmem, ponieważ magowie odwiedli go od tego zamiaru. Bowiem straż przednia Persów dwukrotnie zmyliła drogę w marszu do tego miasta, a gdy wreszcie ją znalazła, król zaczął niespodziewanie bardzo cierpieć na wrzód pod zębem w dolnej szczęce. Mieszkańcy Edessy nie byli zdziwieni, że im się tak łatwo udało. Twierdzą oni, że ongiś sam Jezus Chrystus przy-

słał list do pewnego obywatela Edessy, który go zaprosił, by zostawił głupich Galilejczyków ich losowi i przybył jako szacowny gość nauczać w Edessie. Podobno Jezus napisał: „Nie mogę przybyć ze względu na pro-roctwa w Piśmie świętym, lecz szczęście będzie ci towarzyszyło, póki żyjesz, i będę zawsze chronił twoje miasto przed atakami Persów." Nie wydaje mi się, żeby ta odpowiedź była bardzo prawdopodobna w ówczesnych okolicznościach: groźba perska nie istniała za czasów Jezusa. Niemniej, mieszkańcy Edessy wypisali te słowa złotymi literami na bramie miejskiej i tylko jeden raz nie poskutkowały jako zaklęcie magiczne.

Gdy król Khosrou znajdował się jeszcze w pobliżu Edessy, przybyło poselstwo od Justyniana. Justynian zgadzał się na warunki odnowienia wiecznego pokoju - mianowicie roczną wpłatę czterystu tysięcy w złocie oprócz tego, co Khosrou już zrabował podczas wyprawy. Jako akt łaski Khosrou proponował teraz sprzedać po cenie nominalnej mieszkańcom Edessy wszystkich jeńców, których zabrał w Antiochii. Edesseńczycy byli znani z dobrego serca. Oprócz pieniędzy na wykup w wysokości pięciu tysięcy sztuk złota zebrali dodatkowo dalsze pięćdziesiąt tysięcy. Ta suma składała się ze srebra i drobnych monet, a nawet była i owiec ofiarowanych dobrowolnie przez rolników. Nawet prostytutki odbyły wiec, na którym zdecydowano, że wszystkie klejnoty należące do członkiń ich cechu należy oddać na wykup jeńców. Na nieszczęście, w tym momencie przybył Bouces i oznajmił, że Edes-sa złamała rozkazy cesarza płacąc królowi perskiemu pięć tysięcy. Nie pozwolił dać mu ani grosza więcej i poinformował Khosrou, że obywatele Edessy rozważyli sprawę i nie dobiją targu. Był zły na króla perskiego, że trzynast lat temu zażądał tak fantastycznej su-

my wykupu za jego brata Kaucesa, że Kauces zmarł w więzieniu. Z zemsty Bouces zatrzymał dla siebie wszystkie zebrane w Edessie pieniądze, a Khosrou zabrał jeńców ze sobą.

Działo się to w początkach lipca. Król Khosrou otrzymał teraz wiadomość, że Belizariusz wrócił do Konstantynopola. Pospieszył do domu, zadowolając się wymuszeniem małych sum od Konstantyny i innych miast, przez które przechodził. Nie przyjął pieniędzy od Carrhae na tej podstawie, że nie było to miasto chrześcijańskie, lecz pozostało wierne starym bogom. Pod Dara przeprowadził demonstrację, a następnie, wzięwszy tu dalsze pięć tysięcy, przeszedł przez perską granicę bardzo z siebie zadowolony. Jeśli chodzi o jeńców, to zbudował im nową Antiochię nad Eufratem i bynajmniej nie byli rozczarowani: wielu z nich wyrzekło się chrześcijaństwa i powróciło do czci starych bogów w świątyniach, które król dla nich zbudował. Ateński filozof Symmachus przybył tu również i otworzył akademię dla studiów nad doktryną zwaną neoplatonizmem - odmianą chrześcijaństwa nie skomplikowaną podaniem o Jezusie Chrystusie ani sporami o Jego naturę. Na hipodromie Nowej Antiochii stronnictwo zielonych cieszyło się szczególną protekcją króla Khosrou i otrzymywało najlepsze konie.

Ale gdy tylko Justynian usłyszał, że Khosrou wrócił do Persji, zerwał nowy traktat.

Ta haniebna historia powitała nas po naszym przybyciu do Konstantynopola; trudno nawet powiedzieć, ile milionów w ciągu trzech miesięcy Khosrou kosztował Justyniana, a przy tym obnażył nie tylko słabość jego twierdz, ale i tchórzostwo jego wojsk. Niewielu oficerów znaczniejszej rangi towarzyszyło Belizariuszowi i mojej pani w drodze do domu, jeśli zaś chodzi o woj-

sko, to wziął z sobą tylko pułk przyboczny, który przez zaciąg Gotów, Maurów i Wandalów wzrósł do siedmiu tysięcy ludzi. Byli to wszystko zuchwali, twardzi mężczyźni, bowiem gdy tylko jakikolwiek wojownik wykazał wybitną odwagę, niezależnie od tego, czy należał do nieprzyjaciół, czy do sił sojuszniczych, Belizariusz zaraz go angażował i zamieniał w pierwszorzędnego żołnierza. Podczas obrony Rzymu jego przyboczny pułk tyle razy odpierał furię gockich ataków, że Rzymianie wykrzykiwali w zdumieniu: „Państwo Teoderyka podminowane przez przyboczny oddział jednego człowieka!”

Przybyła z nami długa kolumna z królem Wittichem, królową Matasoną i dziećmi króla Hildibalda na czele. Przywieźliśmy również skarby publiczne Rawenny. Składały się one z jakichś dziesięciu milionów w sztabach i monetach złotych i srebrnych; starożytnych regaliów Cesarstwa Zachodniego, wielkiej ilości różnych złotych i srebrnych naczyń - w tym również skarby zdobyte przez Teoderyka na wojnach we Francji i skarby Kościoła ariańskiego (który Justynian kazał rozwiązać) oraz rzymskie sztandary zdobyte ongiś przez Gotów w bitwie pod Adrianopolem, wraz z autentycznym diademem, który nieszczęsny cesarz Walens miał na głowie owego dnia.

Gdy zbliżyliśmy się do domu, Belizariusz powiedział w związku z tymi sztandarami i diademem:

- Nareszcie pomściliśmy klęskę adrianopolską. Ach, gdyby mój wuj Modestus dożył tych czasów i zobaczył, co przywożę z powrotem, cóż za klasyczną ucztę by nam wydał!

Moja pani zgodziła się:

- Tak, a jaką klasyczną mowę by przy tym wygłosił! Belizariusz, jak sądzę, porównywał w myśli to przyjęcie, jakie by mu przygotował jego wuj, z przyjęciem,

jakiego w najgorszym wypadku należało oczekiwać od Justyniana z powodu atmosfery oszczerstw i podejrzeń na dworze. Nie to, żeby Belizariusz pożądał zaszczytów czy tytułów: zadowalał się jedynie poczuciem dobrze wykonanego obowiązku. Ponieważ jednak miał z natury ciepłe serce, łatwo go mroziła niewdzięczność innych. Bez wątpienia żywił nadzieję, że dla dobra zarówno Justyniana, jak i jego samego wszystkie podejrzania znikną po jego powrocie, a oszczercy otrzymają należytą odprawę.

Jeśli słusznie przedstawiam w ten sposób jego myśli, to oczekiwało go wielkie rozczarowanie. Sądzę, że nigdy dotąd na całym świecie cesarz nie zgotował tak chłodnego powitania wiernemu i zwycięskiemu generałowi. Tłum miejski szalał wprost wyrażając swe uwielbienie dla Belizariusza, obwołując go jedynym obrońcą przed Persami. Lecz Justynian był tak zazdrosny, iż nie dopuścił do zasłużonego triumfu; nie wystawił także zdobytych na Gotach łupów na widok publiczny. Wyładowano je w porcie cesarskim i zgromadzono w pałacu Porfirowym, gdzie nie pozwolono ich oglądać nikomu poza senatorami. Justynian nie dał Belizariuszowi ani grosza - obawiając się, jak przypuszczam, iż będzie szczerze rozrzucił pieniądze wśród tłumu i w ten sposób zwiększył swą popularność. Lecz Teodora nastawała, aby Belizariusz dostał przynajmniej pół miliona na koszt utrzymania swego przybocznego pułku, ponieważ jego ludzie nie otrzymywali żołdu ani racji żywnościowych z funduszków publicznych, jeśli nie znajdowali się w czynnej służbie. Podczas wszystkich wojen Belizariusz nie tylko dawał swym żołnierzom dodatkowy żołd i racje żywnościowe z własnej sakiewki, lecz pokrywał ich straty w broni i ekwipunku - co nie jest bynajmniej powszechnie



przyjętą praktyką. Więcej, gdy jakiś stary żołnierz przyszedł do niego i powiedział na przykład: „Straciłem rękę podczas twojej pierwszej kampanii perskiej i teraz muszę żebrać” - dawał mu pieniądze, nawet jeśli ten człowiek nie służył pod jego bezpośrednią komendą. Tego rodzaju szlachetność zwiększała oczywiście podejrzliwość Justyniana, który pokrzywdzonych weteranów traktował bardzo nędznie. Obywatele mówili o Belizariuszu:

- On jest w swoim rodzaju dziwowiskiem. Nikt nigdy nie widział, żeby pił, ubiera się tak skromnie, jak tylko jego stanowisko pozwala; jest tak daleki od wszelkiej lubieżności, że nawet nie rzucił okiem na żadną z wziętych do niewoli kobiet, choć większych piękności jak szlachcianki wandalskie i gockie nie ma na świecie; nie jest przy tym nawet zbyt religijny.

W towarzystwie mojej pani i wielkiego orszaku kirasjerów codziennie opuszczał swój dom przy ulicy Wysokiej i szedł piechotą przez całą drogę do placu Augusta, by wykonywać obowiązki w ministerstwie wojny, a następnie spełnić powinność u pary cesarskiej. Tłum nigdy nie przestawał wpatrywać się w jego wysoką postać, szczerą, poważną twarz i żołnierzy marszerujących za nim równym krokiem. Byli tu ciemnoskórzy Persowie o delikatnych rysach i jasności Wandale, i ciężcy Goci o włosach kasztanowatych, krzywonodzy Hunowie ze skośnymi oczami i Maurowie o kędzierzawych czarnych włosach, haczykowatych nosach i grubych wargach. Ludzie przypatrywali się mojej pani i szeptali:

- Ona również jest swego rodzaju dziwowiskiem. Zabiła wielu Gotów celując sama z katapulty i to ona oswobodziła Rzym.

Raz słyszałem, że pewien ksiądz mówił o niej:

- Dobrze powiedział Salomon o tej nierządniccy w Księgach Przypowieści: „Wiele bowiem zraniwszy powaliła i najmocniejsi od niej są pozabijani. Droga do piekła dom jej, przechodząca aż do gmachów śmierci.”

Chociaż tylko zwyrodniała wyobraźnia mogła uznać naairalną skromność Belizariusza za przesadę, Narses i Jan z Kapadocji powiedzieli Justynianowi:

- On planuje bunt. Popatrz tylko, jak zjednuje sobie łaskę tłumu, tak że jego najzwyczajsze przejście przez ulicę staje się czymś w rodzaju uroczystej procesji. Blask chwalebego majestatu waszej wysokości przez kontrast dla pospolitego oka zostaje zaćmiony. Myśli, że teraz będzie mógł zagarnąć oba cesarstwa: przybył do Konstantynopola, by odbyć paradę swych jeńców, i w odpowiednim czasie spróbuje zerwać diadem po święcanej głowy waszej łaskawości. Niech wasza wysokość działa pierwsza.

Justynian, który był tchórzem, odprawił ich mówiąc:

- Nie mam jeszcze dowodów.

Bał się Teodory, zaprzyjaźnionej tak serdecznie z moją panią Antoniną. Ponadto, gdyby Khosrou rozpoczął nowy najazd w przyszłym roku, tylko Belizariusz mógłby go powstrzymać.

Jeśli chodzi o króla Witticha, to złożył hołd Justynianowi i nawet wyrzekł się swoich ariańskich błędów; nadano mu więc godność patrycjusza i otrzymał wielkie posiadłości w Galacji, graniczące z majątkami ofiarowanymi Geilimerowi. Lecz jego małżeństwo z Matasontą zostało rozwiązane na obopólne żądanie. W nagrodę za usługi, jakie oddała spaliwszy spichlerze, pozwolono jej poślubić siostrzeńca Justyniana - Germanusa, który pomógł stłumić bunt Stoca-

sa. Z pozostałych jeńców gockich sformowano jednostki kawalerii i posłano nad granicę Dunaju. Tyle więc o Gotach.

W Konstantynopolu zobaczyliśmy po raz pierwszy wykończony kościół Hagii Sofii, czy Mądrości Bożej. Architektem był Antemiusz z Tralles. Justynian powiedział mu:

- Nie oszczędzaj kosztów. Wzniesij najpiękniejszy i najtrwalszy budynek świata, aby chwalono imię Boga i moje.

Antemiusz dorósł do zadania. Właśnie to jego imię zasługuje na największą chwałę, bowiem Justynian tylko zatwierdził jego rysunki. Jeśli jakiegokolwiek imiona należy jeszcze czcić, to Izydora z Miletu - pomocnika Antemiusza - oraz Belizariusza, którego zwycięstwo nad Wandalami dostarczyło zarówno skarbów, które pokryły koszty budowy, jak i niezbędnej niewolniczej siły roboczej.

Katedra góruje nad wszystkimi sąsiednimi budynkami, choć są tak wysokie. Jeśli zastosujemy pewnego rodzaju pomniejszające porównanie, to wygląda jak ogromny statek handlowy zakotwiczony wśród promów w cieśninie Złotego Rogu. Jednak proporcje są tak pięknie obliczone, że w jej rozmiarach nie ma nic brutalnego albo przytłaczającego. Przeciwnie, posiada wdzięczną, lecz poważną szlachetność, którą mogę określić jedynie w ten sposób: „Gdyby Belizariusz był równie świetnym architektem jak żołnierzem, to zbudowałby właśnie tego rodzaju kościół.”

Hagia Sofia jest szeroka na ponad dwieście stóp, trzysta stóp długa, a sto pięćdziesiąt stóp wysoka. Wieńczy ją olbrzymia kopuła, a gdy ktoś z wnętrza patrzy na sklepienie wykładane szczerym złotem, wydaje mu się, że cała budowla musi runąć w najbliższej

chwili, bowiem nie ma żadnych poprzecznych belek ani głównych filarów, by je podtrzymywały, lecz każda część wysuwa się do wewnątrz i strzela w górę, aż do centralnego punktu kopuły. Obywatele mówią przybyszom ze wsi:

- Na rozkaz cesarza jakiś demon opuścił kopułę z nieba na złotym łańcuchu i trzymał ją, póki nie zostały do niej dolne części kościoła.

Niektórzy wieśniacy biorą ten żart za prawdę.

Są tu dwa wykładane złotem portyki, każdy ze sklepionym dachem - jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet. Czyjeż pióro zdoła opisać piękność rzeźbionych kolumn i mozaik, którymi budowla jest ozdobiona! Wnętrze przypomina zupełnie wiosenną łąkę pod wielkim złotym słońcem, przy czym wielkie filary poprzecznej nawy wyrastają z niej jak drzewa: podłogę i ściany pokrywa różnobarwny marmur: czerwony, zielony, nakrapiany purpurą, koloru słomy, żółty jak masło i czysto biały, a tu i ówdzie migoczą błękitne blaszki lapis-lazuli. Bogate rzeźby, złocenia i malowania czynią każdy szczegół zachwycającym, a liczne okna w ścianach i kopule oblewają wnętrze światłem. Żeby ocenić ten gmach i czcić w nim Mądrość, której jest poświęcony, nie trzeba być prawowiernym chrześcijaninem; świątynia jest zresztą stale otwarta nawet dla biednych wyznawców, o ile nie wykroczyli przeciwko prawom i zachowują się w sposób przyzwoity. Żebrak może wejść do środka i wyobrazić sobie, iż jest cesarzem stojącym pośród tak rozrzutnego przepychu; tylko nieliczne części budowli są dlań niedostępne - takie jak prezbiterium, wyłożone połyskliwymi srebrnymi płytami wagi czterdziestu tysięcy funtów, i niektóre prywatne kaplice. Jeśli chodzi o relikwie świętych i męczenników, zebrano je tu w nadmiarze, a niektóre

z wewnętrznych drzwi są wykonane z drzewa, które, jak powiadają, pochodzi z Arki Noego.

Sądzę, że to po obejrzeniu Hagii Sofii na Teodozjusza spłynęło przekonanie, że prowadzi życie zupełnie pozbawione celu i że chętnie powróciłby znowu do klasztoru. Nie to, żeby stał się teraz bardziej wierzącym chrześcijaninem, lecz w Efezie jego życie było uregulowane surowymi przepisami i nie potrzebował nigdy myśleć, co robić dalej. Teodozjusz nie był złym człowiekiem: zaprawdę, przyjmując zakonne wyrzeczenie się namiętności znosił tyle, że większość ludzi uznałaby to za nieznośne. Uświadamiał sobie również, iż jest przedmiotem stałych plotek w związku z moją panią Antoniną i że nazywają go jej faworytem, zaś moja pani, aby tłumić te plotki, zawsze zwracała się doń publicznie z poniżającą szorstkością, choć prywatnie była dla niego bardzo czuła. Ponadto Teodozjusz bardzo zmęczyła wojna i nie mógł znieść perspektyw nowej wyprawy - szczególnie na Wschodzie, gdzie prawdopodobnie Belizariusz miał wyruszyć; upał zawsze sprowadzał nań złe samopoczucie i odbierał zdolność myślenia. Dlatego też w tajemnicy spakował pewnej nocy swe nieliczne ruchomości, wsiadł na szybki statek handlowy i odpłynął do Efezu, pozostawiając krótką kartkę z przeprosinami i wyrazami pożegnania. Zniknięcie Teodozjusza tak przygnębiło moją panią, że nie mogła wziąć do ust jedzenia ani prowadzić swych codziennych spraw, lecz musiała się położyć do łóżka. Miała teraz czterdzieści lat i trudy włoskich kampanii nadały jej dziki, wynędzniały wygląd, którego nie mogła się pozbyć ani przez użycie kosmetyków, ani przez masaż. Ponadto zaczęła się u niej ostatnio zmiana krwi, tak że stale była podniecona i zirytowana. Wpadła w melancholię, z której Beli-

zariusz, mimo całej swej miłości i cierpliwości, nie mógł jej wyrwać. Wydaje się, że wyjazd Teodozjusza uznała za znak, że jej wielka piękność (którą on tak czczył na dworski sposób pieśniami swego układu) zniknęła wraz z jej szeroko znanym dowcipem i wdziękiem. Sądzę, że Belizariusz okazał prawdziwą wielkoduszność przy tej okazji. Kiedy wyznała, że jedynie obecność Teodozjusza mogłaby ją ożywić, Belizariusz dyskretnie poszedł do Justyniana z pokorną prośbą, ażeby wezwano Teodozjusza.

Justynian zgodził się napisać do opata w Efezie żądając, by zwolnił Teodozjusza z jego ślubów i odesłał go do Konstantynopola. Lecz Teodozjusz twierdził, że żadna ludzka władza, nawet cesarz, nie może mu odmówić prawa do zostania mnichem.

Kiedy wiosną król Khosrou wznowił operacje wojskowe, a Belizariusza wysłano pośpiesznie, by mu się przeciwstawił, moja pani została w mieście mówiąc, że w tak podłym nastroju byłaby dlań tylko przeszkodą.

## Rozdział XIX

### ZWYCIĘSTWO POD KARCZEMISZ

Teraz moja opowieść wchodzi w fazę, w której zupełnie nie znajduję przyjemności, był to bowiem okres bardzo nieszczęśliwy dla mojej pani Antoniny, a bardziej nawet nieszczęśliwy dla Belizariusza, jej męża - i to mimo znacznego zwycięstwa, jakie odniósł nad Persami. Lecz trzeba opowiedzieć wszystko, co złe i co dobre.

Jak już powiedziałem, moja pani pozostała w Konstantynopolu, gdy Belizariusza wysłano przeciwko królowi Khosrou późną wiosną roku pańskiego 541. Przedtem wiele czasu wolnego od obowiązków dworskich spędzał ćwicząc gockich rekrutów przybocznego pułku w użyciu łuków i przyswojeniu sobie naszego dobrze wypróbowanego systemu taktyki kawalerzyjskiej. Lecz na Wschodzie oczekiwał Belizariusza zupełnie inny rodzaj wojska. Po przybyciu do Dara -miejsowości, jak pisał, tym miłszej mu przez pamięć odwiedzin Antoniny - stwierdził w wojskach cesarskich przerażająco niski poziom dyscypliny i wyszkolenia, a jeśli chodzi o odwagę, to żołnierze i oficerowie drżeli na samo słowo „Persja”. Jedynie na siedem tysięcy swoich ludzi mógł liczyć w poważnej walce. Wielu regularnym pułkom, o pełnym stanie wedle wykazów dowództwa armii i pobierającym pełny żołd i racje żywnościowe, brakło po kilkuset ludzi, a wśród tak

zwanych wyszkolonych żołnierzy połowę stanowili nie uzbrojeni robotnicy, zatrudnieni przy rozbudowie fortyfikacji Dara i innych miast - stosownie do planu, jaki Belizariusz sam nakreślił dwanaście lat temu, a którego celowość odkryto dopiero ostatnio.

Król Khosrou różnił się od większości wschodnich monarchów posiadających ambicje wojskowe, którzy w praktyce podejmują osobiście tylko łatwe zadania, natomiast ryzykowne powierzają swym podkomendnym: zawsze brał na siebie najtrudniejsze problemy. Na zaproszenie Kolchów, których bezwstydnie dusili poborcy podatkowi Justyniana (choć ich kraj był jedynie protektoratem, a nie posiadłością rzymską), wyruszył na Kolchidę przez podgórze Kaukazu, gdzie nigdy przedtem nie maszerowała perska armia, zaś drogę tę uważano za niedostępną. Przed sobą wysłał dużą jednostkę saperów, by przez dziewicze lasy i przepaście wyrębywali trakt wystarczająco szeroki i mocny, nadający się nawet do transportu słoń. Nie podejrzewano go o taki plan, ponieważ ogłosił, że wyrusza przeciwko szczepowi Hunów, który napadał na perską Hiberię. Mówiąc pokrótce: przedarł się do brzegów Kolchidy, zdobył główną rzymską fortecę Petra, zabił rzymskiego gubernatora, Kolchowie okrzyknęli go wyzwolicielem - i zajęli kraj.

Belizariusz usłyszał o wyprawie od swych szpiegów na granicy Mezopotamii, lecz nie mógł dowiedzieć się na razie nic o jej wynikach. Zdecydował, że jedyną nadzieję dla Kolchidy może stanowić tylko pośpieszne ściągnięcie Khosrou z powrotem. Można to było osiągnąć przez zdecydowane przeciwuderzenie. Zebrał wszelkie możliwe siły ze wszystkich miast garnizonowych i przemówił bardzo szczerze do swych generałów, wyrzucając im zaniedbanie podległych im



wojsk. Groził, że jeśli oddziały nie zostaną właściwie uzbrojone, wyekwipowane i doprowadzone do pełnego stanu w ciągu dwóch miesięcy, postara się, by wszystkich dowódców zdegradowano. Kładł również nacisk na to, że jako generalissimus spodziewa się bezwarunkowego posłuszeństwa.

- Niemniej - powiedział - byłem przez dziesięć lat w Cesarstwie Zachodnim i trudno wymagać, bym ocenił obecną pozycję strategiczną w każdym szczególe. Cieszyłbym się, gdyby każdy z was powiedział mi swe szczere zdanie, co myśli o skuteczności natychmiastowego zagonu kawalerii przez granicę. Wielki król znajduje się daleko. Chociaż bez wątpienia umieścił silne załogi w swych granicznych fortecach, możliwe, iż ma my doskonałą okazję pomścić Antiochię i wskrzesić ducha bojowego w naszych ludziach. Cesarz przysłał mnie tutaj z wyraźnym celem przywrócenia honoru armii rzymskiej.

Bouces, chcąc, by Belizariusz odzyskał o nim dobrą opinię, zgodził się, że zagon kawaleryjski dałby wyśmienity efekt. To samo powiedział Piotr, gubernator Dara, z tego samego powodu. Lecz dwaj dowódcy wojsk tracich z Libanu - ci sami, którzy zdradzili Antiochię uciekając ze wszystkimi swymi ludźmi - robili trudności. Mówili, że jeśli wyruszą z Belizariuszem, nie pozostanie nikt, kto by podczas ich nieobecności mógł powstrzymać króla Saracenów od najazdu na Syrię i Palestynę.

Belizariusz rzekł:

- Jak już powiedziałem, nie było mnie na Wscho dzie przez dziesięć lat, lecz nie zapomniałem tak wiele, jak się wam wydaje. Saraceni zaczynają niebawem post Ramadanu, kiedy to z respektu dla boga słońca poszczą przez cały dzień i nie prowadzą żadnych walk przez pełne dwa miesiące.

To stwierdzenie uciszyło oponentów. W kilka dni później Belizariusz przeprowadził swą piętnastotysięczną armię przez granicę perską i stanął obozem w odległości około ośmiu mil od Nisibis. Wraz z nim znajdowało się pięć tysięcy Arabów pod tym samym królem Harithem ibn Gabala z Bostry, który opuścił go dziesięć lat przedtem podczas niepotrzebnej bitwy, lecz któremu Justynian wybaczył tę zdradę. Persowie nauczyli się takiej pogardy dla naszych armii, iż było prawdopodobne, że porzucą ochronę silnych fortyfikacji i wyjdą w pole przeciwko Belizariuszowi. Miał nadzieję pobić ich w ten sposób, a następnie, oddawszy główną drogę odwrotu, pozwolić mniej więcej jednemu szwadronowi na uciezkę do Nisibis. Wysyłając grupę ludzi w perskich zbrojach, by zmieszali się z tymi uciekinierami i zostawili bramy otwarte dla naszych wojsk, mógłby zająć miasto. Jednak temu planowi przeciwstawił się Piotr, który myślał, że zastraszy Persów podchodząc bliżej. Stanął obozem w odległości zaledwie półtorej mili od miasta.

Belizariusz wysłał pismo do Piotra, mówiąc, że jego odwaga jest godna pochwały, jednak gdyby walczył i pobił Persów w tym miejscu, gdzie znajduje się teraz jego obóz, będą oni mieli tylko krótki dystans do ucieczki w bezpieczne miejsce; że działa przeciwko rozkazom naczelnego wodza zajmując takie stanowisko.

Piotr odpowiedział: „Służyłem z Tobą parę lat temu nad Eufratem, gdzie, chociaż Persowie znajdowali się w odległości setek mil od jakiejś fortecy, wahałeś się ich zaatakować. Jestem dumny, że nie boję się Persów. Jeśli chodzi o posłuszeństwo, to wiadomo mi, że ostatnio w Rawennie uchyliłeś się od wykonania rozkazów samego cesarza. A jednak nic Ci to nie zaszkodziło.”

Belizariusz odpisał: „Wszystko zależy od okoliczności. Jednak nie chcę się z Tobą sprzeczać. Jeśli wbrew moim rozkazom nadal obstajesz przy swoim zuchwałym planie, proszę Cię, strzeż się przynajmniej niespodziewanego ataku, szczególnie w godzinach obiadowych.”

Ponieważ w południe panował straszny upał, ludzie Piotra pozdejmowali broje, poustawiali w kozły broń i pewna ich część poszła grupkami po dwóch i trzech kraść melony w ogrodach leżących w odległości paru-set kroków od murów Nisibis. Kawaleria perska zrobiła niespodziewany wypad z trzech bram i spędziła ogrodowych złodziei do ich otoczonego palisadą obozu. Warta obozowa porwała za broń i pobiegła na pomoc kolegom, lecz została odpędzona. Niebawem Piotr musiał opuścić obóz tracąc nie tylko pięćdziesięciu ludzi, lecz i sztandar pułkowy. Na szczęście obserwatorzy Belizariusza zobaczyli chmurę pyłu z kierunku Nisibis i zaraz o tym zameldowali. Na rozkaz Belizariusza obiad zawsze podawano na zmianę i tylko jedna trzecia stanu osobowego mogła go w tym samym czasie spożywać. Tak więc w minutę po alarmie kirasjerzy pułku przybocznego gnali ku Nisibis na ratunek Piotrowi. Belizariusz znajdował się na ich czele z gockimi rekrutami na ciężkich koniach i ujrzał, że Persowie szybko ustawiają się w szeregi po pośpiesznym splądrowaniu obozu. Podzieliwszy się na dwie kolumny do podwójnego ataku flankowego przybocznici dopadli nieprzyjaciela strzelając w galopie z siodła i atakując włóczniami. Strzały nieprzyjaciela nie zatrzymały ich, ponieważ, jak już wyjaśniałem, łuki perskie były zbyt lekkie do skutecznego użycia przeciwko ciężkozbrojnej kawalerii. Goci mieli satysfakcję przerwania linii Persów przy pierwszym złożeniu i pę-

dzili przed sobą zmieszany tłum do Nisibis. Pułk Piotra został ocalony, lecz kosztem planów Belizariusza - bowiem Persowie, z których stu pięćdziesięciu padło w potyczce, uświadomili sobie, że Belizariusz wrócił na granicę i nie stracił nic ze swego dawnego wigoru. Nie odważyli się wyjść przeciwko niemu z miasta, natomiast wywiesili na jednej z baszt zdobyty sztandar pułkowy dla kpin przystrajając go w kielbasy.

Teraz Belizariusz nie miał już nadziei na zajęcie Nisibis przez zaskoczenie i zdecydował się ominąć tę twierdzę wiedząc, że zwykłe oblężenie nie może trwać krócej niż dwanaście miesięcy. Następną fortecą było Sisauranum, leżące w odległości jakichś trzydziestu pięciu mil na wschód. Tamtejszy garnizon składał się z czterech tysięcy ludzi, włączając w to miejscową milicję. Belizariusz mógł sobie pozwolić na zostawienie Nisibis z jego sześćtysięczną załogą na swych tyłach, ale nie Sisauranum i Nisibis razem. Zdecydował więc rozpocząć ze swymi głównymi siłami oblężenie Sisauranum, pozostawivszy małe oddziały wiążące nieprzyjaciela pod Nisibis. Natomiast króla Haritha z jego Arabami wysłał za rzekę Tygrys do prowincji Asyrii.

Ta część Asyrii od stuleci nie znała rzymskich najeźdźców. Mieszkańcy uważali się za doskonale bezpiecznych i byli ogromnie bogaci. Ponieważ Khosrou znajdował się w Kolchidzie, zaś perskie siły graniczne zostały unieruchomione w Nisibis i Sisauranum, ludzie króla Haritha mogli cieszyć się tak łatwą grabieżą jak nigdy w życiu. Król Harith doszedł do wniosku, że byłoby rzeczą bardzo przykrą dzielić wedle umowy całe to bogactwo z rzymskimi armiami na tyłach, i w związku z tym zdecydował wrócić na swój dwór w Bostrze inną drogą. Wraz z nim znajdował się szwadron pułku Belizariusza pod dowództwem Trajana oraz szwadron

tracki pod Janem Epikurem. Oddziały te miały wzmocnić Arabów, gdyby natrafili na poważniejszy opór. Lecz Harith oszukał Trajana i Epikura, polecając swym zwiadowcom, by zameldowali, że wielka armia perska przecięła od północy drogę wyprawy i czeka na jej powrót przy moście na Tygrysie. Oznajmił, że zaraz wraca do domu. Obładowany zdobyczą Jan Epikur bał się przeciwstawić samotnie całej armii i postanowił pójść za przykładem Haritha. Trajan, jako młodszy rangą, musiał mu dotrzymywać towarzystwa. Cała ekspedycja pomaszerowała więc brzegiem Tygrysu na południe, aż osiągnęła most pod Niniwą, przez który przeszła na drugi brzeg. Jan Epikur i Trajan wrócili przez pustynię na terytorium rzymskie drogą na Sin-garę i Aborrhhas. Król Harith ze swym łupem po dłuższym marszu dotarł bezpiecznie do Bostry (Justynian jeszcze raz przebaczył temu przewrotnemu Arabowi i parę lat później, gdy armia króla Saracenów została zniszczona, nadał mu godność patrycjusza i przyjął z honorami w Konstantynopolu).

Tymczasem Belizariusz oczekiwał wiadomości od króla Haritha albo przynajmniej od Trajana - jak daleko się przedostali i jakie perskie siły są stacjonowane w Asyrii. Nie otrzymując informacji zaczęł się niepokoić. Lecz udało mu się zająć Sisauranum: miasto było zatłoczone uciekinierami ze wsi i poddało się z głodu po sześciu miesiącach oblężenia. Inaczej niż w miastach granicznych Dara i Nisibis, w tym mieście nie było stałych zapasów żywności na wypadek oblężenia, a niespodziewane zjawienie się Belizariusza nie pozwoliło na zebranie zapasów zboża z okolicy. Warunki Belizariusza były szlachetne: wolność dla wszystkich obywateli, którzy byli chrześcijaninami rzymskiego pochodzenia, albowiem to miasto półtora stulecia temu zo-

stało odstąpione Persji w haniebnym traktacie Jowia-na - a dla ośmiuset kawalerzystów perskiej załogi wybór między zwykłą niewolą a zaciągiem do armii cesarza Justyniana. Persowie woleli służyć pod Justynianem i później przeniesiono ich do Italii, by walczyli przeciwko Gotom - jak Goci w pułku Belizariusza zostali przeniesieni do Mezopotamii, by walczyć przeciwko Persom. Fortyfikacje Sisauranum zburzono do gołej ziemi.

Gdy nadal nie przybywały wieści od króla Haritha, Belizariusz zaczął się bać, że Persowie wciągnęli w zasadzkę i zniszczyli całą grupę ekspedycyjną. Zwołał radę wojenną i nalegał, żeby przekroczyć Tygrys, bo może Harith trzyma się jeszcze w jakimś zdobytym mieście i czeka na odsiecz. Lecz żaden z generałów nie poparł tego projektu. Oficerowie z Libanu chcieli się cofnąć ze swymi oddziałami, gdyż Ramadan Sarace-nów już się skończył, natomiast inni wskazywali, że ich żołnierze strasznie cierpią od gorąca, wskutek czego jedna trzecia stanu osobowego jest niezdolna do walki. Zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego, a refren ich okrzyków brzmiał następująco:

- Cofajmy się! Nie chcemy iść za Tygrys! Nie pójdziemy dalej! Prowadź nas z powrotem!

W ten sposób przez zbędną brawurę Piotra, zdradę króla Haritha, łatwowierność Jana Epikura oraz tchórzostwo innych generałów Belizariusz został pozbawiony, być może, największego swego zwycięstwa. Bowiem gdy król Khosrou usłyszał o arabskim najeździe na Asyrię i o zdobyciu Sisauranum przez Belizariusza, wrócił pośpiesznie drogą prowadzącą na zachód od jeziora Wan i wschodnim brzegiem Tygrysu. Stracił już połowę swej armii wskutek epidemii cholery. Z tej połowy stracił znowu połowę przez załamanie

się dostaw żywności - na przerażającą wieść o cholery jego transporty zawróciły do Hiberii. Dalszą zwłokę w marszu spowodowało trzęsienie ziemi, które zniszczyło nową drogę w najtrudniejszym punkcie, tak że musiał ją wycinać na nowo. Gdyby Belizariusz mógł teraz przekroczyć Tygrys, zaskoczyłby Khosrou, a ponieważ armia perska znajdowała się w żałosnym stanie z powodu głodu i bałaganu, bez wątplenia trzeci wzięty do niewoli król uzupełniłby dary, jakie Belizariusz złożył Justynianowi.

Ale do tego nie doszło: Belizariusz nie mógł namówić swych generałów do pochodu. Załadował więc chorych na wozy i wrócił koło Nisibis do Dara.

W Konstantynopolu zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Zaczę od tego, że pojawił się w mieście nielegalny syn Teodory, którego urodziła w Egipcie w owym nieszczęśliwym roku, kiedy to wyruszyła do Pentapolis. Jego zmarły niedawno ojciec był człowiekiem bez żadnego znaczenia - zwykłym kupcem arabskim; poprzednio zabrał jej chłopca i ochrzcił go imieniem Jan. Teodora powiedziała Justynianowi, że nigdy nie miała dziecka, a gdy nadawał jej godność patrycjuszki, podpisała dokument uroczyste to stwierdzający. Jednak Jan z Kapadocji mógł szantażować Teodorę, bo wiedział, że to dziecko istnieje: jego agenci w Egipcie donieśli mu o tym, choć nie znali żadnych bliższych szczegółów. Lecz Teodora nie była pewna, czy posiada on jakiegokolwiek dowody, które mogłyby zrobić wrażenie na Justynianie, czy nie; ona sama nie mogła wykrzyć, gdzie jej syn się znajduje. Wreszcie umierający ojciec powiedział młodemu człowiekowi, Janowi Bękartowi, sekret jego urodzenia i Jan przybył z Adenu nad Morzem Czerwonym do Konstantynopola. Skomunikował się z Teodorą przez swoją panią Antoninę, której

pierwszego męża znał, będąc współnikiem handlowym swego ojca. Jeśli spodziewał się, że zostanie powitany macierzyńskimi łzami i pocałunkami i że otrzyma wybitne stanowisko na dworze, bardzo się pomylił. Teodora nie traciła czasu, lecz ogłosiła go za wariata i zamknęła w szpitalu dla obłąkanych, gdzie niebawem umarł. Nie kochała jego ojca, dlaczego miałaby kochać syna? Ponadto był to chciwy, próżny, ciemny nieuk.

Teodora powiedziała mojej pani z westchnieniem ulgi:

- Teraz wreszcie, moja droga, możemy załatwić nasze rachunki z Janem z Kapadocji. Nie potrzebuję już go się bać.

Lecz Teodora wiedziała, że póki nie sprowadzi Teodozjusza z Efezu, moja pani nie będzie miała głowy do udziału w jakiegokolwiek intrydze. A więc, chociaż moja pani była przekonana, iż Teodozjusza nie należy kusić, by opuścił swe miejsce ucieczki, Teodora powiadomiła biskupa Efezu, jednego z jej monofizyckich mianowańców, że musi coś zrobić, aby zakonnik Teodozjusz przybył jak najszybciej do Konstantynopola. Biskup kazał opatowi zakonu, w którym panowała bardzo lekka reguła, nałożyć na Teodozjusza tak ciężkie pokuty i ograniczenia, żeby sam zażądał rozwiązania ślubów.

Nadzieje mojej pani ożywiły się nieco na tę wieść zaczęła myśleć o sposobach wciągnięcia w pułapkę i zrujnowania Jana z Kapadocji. Pierwszym jej krokiem było nawiązanie bliższej znajomości z jedyną córką Jana - Eufemią, mądrą dziewczyną, którą bardzo kochał. Teodora wybrała jej męża, którego Eufemia nie miała najmniejszej ochoty zaślubić. Moja pani, grając na rozgoryczeniu Eufemii przeciwko Teodorze, stop-



niowo zdobywała jej sympatię. Eufemia spytała ją pewnego wieczora:

- Prześwietna pani Antonino, droga przyjaciółko, dlaczego jesteś taka smutna ostatnio i prawie wcale się nie uśmiechasz? Czy boisz się o swego dzielnego męża na wojnie?

Moja pani, która oczywiście nie miała zamiaru zwierzać się Eufemii, jak bardzo brak jej Teodozjusza, odpowiedziała krótko:

- Niezbyt się boję o bezpieczeństwo mego męża w polu. - Potem w nagłym natchnieniu ciągnęła dalej:

- Dręczy mnie, że cesarz tak nierozsądnie nie dowierza lojalności mego męża. Boję się o wiele więcej o jego bezpieczeństwo, gdy przebywa w Konstantynopolu.

Eufemia wykrzyknęła:

- Nie dowierza lojalności Belizariusza! Ale przecież nikt w cesarstwie nie jest tak oddany cesarzowi jak on, prawda?

Moja pani wstała, starannie pozamykała wszystkie drzwi, a potem szepnęła:

- Od dawna już pragnęłam zwierzyć się komuś, drogie dziecko, bowiem serce mi pęka z oburzenia na niewdzięczne traktowanie mojego szlachetnego Belizariusza. Powiększył przecież posiadłości cesarza o dziesiątki tysięcy mil kwadratowych, a jego skarby o dziesiątki milionów w złocie, i przyprowadził mu do niewoli dwóch potężnych królów - nie wspominam już o stłumieniu spisku zwycięstwa, kiedy cesarz o mało nie stracił tronu. Lecz ten nędzny Justynian jest za zdrosny i traktuje go jak psa albo przestępcę. Belizariusz powiedział mi przed wyjazdem: „Lepszy jakikolwiek inny cesarz niż ten! Czuję się zwolniony ze ślubów wierności dla niego, skoro od dawna tak źle mnie traktuje.”

Eufemia odpowiedziała:

- To tylko twoja i Belizariusza wina, droga przyja-  
ciółko, bo chociaż macie siłę, wahacie się jej użyć.

Moja pani odparła bez zająknięcia:

- Ależ dziecko, nie możemy rozpocząć wojskowej  
rewolucji, o ile nie otrzymamy pomocy potężnych mi-  
nistrów na dworze cesarskim. Twój prześwietny ojciec  
na przykład nawet na nas nie patrzy. Gdybyśmy mieli  
go po naszej stronie... Mówiąc między nami, jest on je-  
dynym człowiekiem nadającym się na cesarza na miej-  
sce Justyniana. Mój mąż, jak wiesz, nie ma tego rodza-  
ju ambicji: jego interesuje tylko wojsko.

Eufemia, pragnąc z całego serca wyzwolić się z nie-  
pożądanego małżeństwa, ze szczególną elokwencją  
przedstawiła tę sprawę ojcu. Miała jednak łatwe zadanie,  
ponieważ Jan z Kapadocji cieszył się w głębi du-  
szy przekonaniem, że w końcu otrzyma diadem. Stary  
astrolog z hipodromu, może ten sam, który proroko-  
wał tak prawdziwie Teodorze i mojej pani, powiedział  
mu ongiś:

- Mój synu, pewnego dnia pałacowi żołnierze wło-  
żą ci na ramiona togę Augusta i będzie to dzień wiel-  
kiej radości na dworze.

Stąd więc Jan ucieszył się ponad wszelką miarę,  
gdy Eufemia złożyła mu sprawozdanie z rozmowy. Po-  
wiedział Eufemii, by zapewniła moją panią, że może na  
nim absolutnie polegać we wszystkich poczynaniach,  
które przyczynią się do upadku Justyniana. Moja pani  
uścisnęła Eufemię i przysięgła na Ducha Świętego, że  
jej ojciec może polegać na Belizariuszu i na niej i że z  
taką samą jak on energią będą dążyli do celu.

Zanim spiszek się rozwinął, Teodozjusz wrócił ku  
nieopisanej radości mojej pani, zmęczony rygorami,  
jakie opat na niego nałożył. Nie był już teraz mnichem

i niebawem przypomniał sobie swe dawne obyczaje - bogate szaty, pachnidła, śpiew i grę na gitarze, modne dowcipy i żywy śmiech bez powodu. Jak wytłumaczyć taką zmianę usposobienia jak jego nagły przeskok do religijnego życia? No cóż, trafiają się charaktery tego rodzaju, szczególnie wśród Traków, nad których sprzecznościami moglibyśmy bardzo długo dyskutować - ich upodobanie, ażeby o nich mówiono, jest może kluczem do tajemnicy. Tak więc nie zastanawiamy się więcej nad motywami Teodozjusza, zadowolając się sprawozdaniem z jego słów i czynów.

Przypadkowo syn mojej pani, Focjusz, nie był w tym czasie obecny w mieście, choć przebywał z nami od chwili wyjazdu Belizariusza. Przez spekulacje handlowe w Antiochii, a także przez zakłady na wyścigach i walkach niedźwiedzi wpadł w potworne długi. Gdyby szybko nie pokrył swych zobowiązań, zostałby jako bankrut pozbawiony godności patrycjusza. Był jednak pewny, że matka przybędzie mu na pomoc, aby uniknąć rodzinnego skandalu. Może by i tak zrobiła, gdyby Teodozjusz nie opowiedział jej czegoś, co straszliwie ją rozgniewało. Oświadczył, że uciekł do Efezu, bo Focjusz groził, iż zabije jego i ją, o ile Teodozjusz natychmiast nie wyjedzie z miasta. Dlatego też nie chciał wracać na wezwania.

Wybuchła straszliwa awantura. Moja pani oczywiście odmówiła płacenia długów syna, a ponieważ zażądała policyjnej ochrony dla Teodozjusza i siebie, sprawa doszła do wiadomości publicznej. Antonina posłała Belizariuszowi dokładną relację o wszystkim. Focjuszowi groziła surową karą z rąk Teodory.

Focjusz pośpiesznie przepłynął przez Bosfor, wziął kolaskę pocztową do granicy perskiej i oddał się pod ochronę Belizariusza. Nie wiem dokładnie, co opo-

wiedział Belizariuszowi, lecz ogólną treścią tego było, że gdy Teodozjusz drugi raz wyjeżdżał do Efezu, od razu miał zamiar wrócić do mojej pani, gdy tylko Belizariusz zejdzie z drogi; że w myśl tego planu zjawił się obecnie i że oboje zupełnie jawnie żyją teraz w grzechu. Żalił się dalej, że moja pani ukradła mu wielką sumę pieniędzy i oddała kochankowi, a doprowadziwszy swego syna do krawędzi bankructwa, prześladuje go teraz we wszelki możliwy sposób, ponieważ zbyt wiele o niej wie.

Belizariusz usłyszał tę okropną opowieść Focjusza tego samego dnia, gdy odbywał radę wojenną w Sisauranum. Byłoby naturalne przypuszczać, że te informacje wpłynęły na jego decyzję wycofania się z perskiego terytorium, gdyby nie to, że swe obowiązki żołnierskie stawiał zawsze przed wszystkimi względami osobistymi. Przynajmniej wojskowi towarzysze Belizariusza znali tę cechę jego charakteru. Mimo to, tego rodzaju przypuszczenie rozpowszechniło się, zwłaszcza że puścili je w obieg ci sami generałowie, którzy najbardziej się bali przejścia przez Tygrys.

Po radzie wojennej Belizariusz odbył dalszą rozmowę z Focjuszem, który poprzysiągł na Ducha Świętego - jest to najstraszliwsza przysięga, jaką może złożyć chrześcijanin, a jeśli ją złamie, skazuje swą duszę, jak powiadają, na wieczne męki w piekle - że mówi prawdę. By poprzec swe świadectwo, sprowadził jako świadków dwóch niewolników domowych i senatora, który był jednym z jego głównych wierzycieli i sam znajdował się w obliczu bankructwa. Wspólnie z Focjuszem udało im się przekonać Belizariusza. Możliwe, że jego rozczarowanie wyprawą i słaby stan zdrowia po miesiącu dyzenterii grały pewną rolę w zamęczeniu jego zazwyczaj jasnego sądu. Ponadto należy powie-

dzieć na jego obronę, że stosunki mojej pani z Teodo-zjuszem istotnie robiły bardzo dziwne wrażenie. Nawet ja, jak już wspomniałem w poprzedniej części niniejszego dzieła, nie mogłem nigdy się zdecydować co do ich istotnego charakteru. W każdym bądź razie Beliza-riusz wpadł w szal zazdrosnej wściekłości. Wszyscy jego oficerowie byli zdumieni zmianą, jaka w nim zaszła.

Jedyny raz w życiu zapomniał o cierpliwości i szlachetności w postępowaniu ze swymi ludźmi, zachowując się zupełnie tak jak wszyscy inni generałowie z tym wyjątkiem, że w swojej furii wstrzymywał się od bluźnierstw. Ten jego stan nie poprawił się w wyniku listu od mojej pani, która pisała, że Focjusz uciekł z Konstantynopola i szerzy wszędzie oszczerstwa, lecz ona przyjedzie i szybko zamknie mu buzię. Ponadto zawiadamała męża, że Teodozjusz, obawiając się zamachu ze strony przyjaciół Focjusza, wróci do Efezu na czas jej nieobecności.

Jednakowoż przed jej wyjazdem należało zakończyć sprawę Jana z Kapadocji, gdyż spisek mógłby łatwo się obrócić przeciwko niej. Tak więc wysłała mnie do Jana z Kapadocji, bym powiedział, że wyjeżdża natychmiast do Dara w celu przekonania Belizariusza, iż można teraz bezpiecznie obalić Justyniana i zastąpić go innym cesarzem. Umówiłem się, że Jan z Kapadocji spotka się potajemnie z moją panią następnej nocy w sadzie majątku Belizariusza w Rufinianae, przedmieściu Konstantynopola za Bosforem. Nie miała wątpliwości, że wpadnie w jej pułapkę, czyż bowiem nie przysięgła Eufemii na Ducha Świętego, że wraz z Belizariuszem ma poważne zamiary?

Moja pani opowiedziała o moim sukcesie Teodorze, która dopuściła do sekretu Narsesa (będącego teraz w złych stosunkach z Janem) oraz Marcelusa, do-

wódce gwardii cesarskiej. Narses i Marcellus z oddziałem żołnierzy wyruszyli do Rufinianeae w przebraniu i o umówionej godzinie zajęli stanowiska w sadzie. Jedni ukryli się za cysterną, a inni wśród listowia jabłoni. Mówią, że Justynian coś zwietrył, jednak przedstawiono mu to jako prawdziwy spis przeciwko tronowi, i że wysłał następujący list do Jana z Kapadocji: „Wiemy wszystko. Poddaj się albo umrzesz. Twoja współniczka, Antonina, jest w naszej niełasce.” Lecz jeśli to prawda, że Jan z Kapadocji otrzymał tego rodzaju pismo, musiałby dojść do wniosku, że niebezpieczniej jest nań odpowiadać niż kontynuować spisek, i uwagę o mojej pani traktowałby jako oczywisty dowód jej szczerości. Jak tam było, tak było, lecz w każdym razie, gdy Jan wysłiznął się z miasta pod ochroną kilku uzbrojonych pachotków na spotkanie z moją panią, postanowił towarzyszyć jej do Dara.

W sadzie było ciemno jak w piwnicy, a gdy stałem koło mojej pani, zęby mi szczękały ze zdenerwowania, bowiem myślałem o tym, ile ryzykujemy. Podobnie jak ona, miałem kolczugę pod płaszczem. O północy przez bramę ogrodu przeleciała rozpalona głownia; odrzuciłem ją - to był umówiony sygnał. Do środka wpuszczono Jana z jego dwunastu strażnikami.

On i moja pani złożyli ręce jak prawdziwi konspiratorzy, a Jan zaraz zaczął wyklinać Justyniana jako potwora, tyrana i tchórza, tak że pani Antonina nie potrzebowała nawet dodawać słowa. I, dziwna rzecz, kiedy on się tak wściekał, nagle moja pani zorientowała się, że tajemniczy inspektor policji, który ongiś rozmawiał z nią w kościele, gdy wracała z pałacu do swego domu, to był Jan w przebraniu: albowiem teraz znowu źle wymawiał niektóre rzadsze greckie słowa, w ten sam sposób jak tamten człowiek.

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Jan z Kapadocji urwał ogarnięty nagle podejrzeniem i zaczął się rozglądać. Wtedy Narses i Marcelus z krzykiem wyskoczyli z kryjówki i rozpoczęła się dzika wałka. Moja pani podtrzymywała farsę krzycząc: „Och, och, zdradzono nas!”, i udawała, że walczy z Narsesem. Ja uciekłem. Marcelus został powalony na ziemię i poważnie ranny w kark, zanim dwunastu Kapadoków obezwładniono. W zamieszaniu ich pan przełaził przez mur i uciekł.

Gdyby ten głupiec pojechał prosto do pałacu i opowiedział Justynianowi, że pojechał do Rufinianae ze względu na dobro cesarza, próbując fortelem skłonić Antoninę do publicznego wyznania jej winy, możliwe, że udałoby mu się zwalić wszystko na nią. Tymczasem przeraził się tak bardzo, że poprosił o azyl w kościele Świętej Ireny, tak że gdy o świcie Teodora i Narses oskarżyli go przed Justynianem, nie było innej możliwej konkluzji, jak tylko, że jest winien.

Kościół Świętej Ireny, spalony podczas buntów zwycięstwa, został wspaniale odbudowany przez Justyniana i był to przybytek, którego by nigdy nie chciał pogwałcić. W związku z tym Jan z Kapadocji nie otrzymał żadnej surowszej kary, jak tylko konfiskatę wszystkich jego majątków i - dziwna decyzja - został skazany na wykonywanie obowiązków duchownego!

Tak więc Jan został księdzem, choć jak najbardziej wbrew swej woli, bowiem w ten sposób został prawnie pozbawiony możliwości otrzymania świeckiego urzędu. Lecz stare proroctwo się spełniło. Gwardziści pałacowi włożyli nań togę Augusta - to znaczy kapłańską togę archidiacona, który właśnie umarł, a którego imię przypadkowo brzmiało August. I istotnie była wielka radość w pałacu, ponieważ Jana bardzo niena-

widzono. Z kościoła Świętej Ireny odesłano go do kościoła w Cizicus, handlowego miasta na azjatyckim brzegu morza Mannara. Justynian był znękanym, nie tylko dlatego, że Jan z Kapadocji próbował go zdradzić, lecz dlatego, że Teodora odniosła taki triumf: nigdy nie chciał jej uwierzyć, kiedy nazywała Jana zdrajcą. By jej zrobić na złość, zwrócił następnie Janowi większość jego majątku w imię chrześcijańskiego miłosierdzia; Jan żył w spokoju i bezpieczeństwie w Cizicus przez dalsze dwa czy trzy lata. Lecz Justynian nie mógł powstrzymać Teodory, jeśli chciała zaszkodzić swemu wrogowi. Biskup w Cizicus, pod którego władzą Jan z Kapadocji się teraz znajdował, otrzymał od niej instrukcje, że nowemu księdzu nie można pozwolić na łatwe życie. Stąd też Jan musiał skrupulatnie wykonywać wszelkie swe duchowne obowiązki, co go ogromnie złościło.

Jechaliśmy dalej drogą lądową do Dara. Kiedy dotarliśmy do fortecy, moją panią powitał Trajan, który wrócił bezpiecznie z Asyrii z całym swym oddziałem i łupami. Zaprowadził ją do pokoju, gdzie oczekiwał jej mąż. Belizariusz, nie zwracając uwagi na czułe powitanie, pokazał jej od razu zaprzysiężone zeznanie Focjusza o jej cudzołóstwie oraz zeznanie senatora i dwóch domowników. Krzyknął gniewnie:

- To już koniec. Twoje postępowanie jako mojej żony powinno być takie, abym nigdy nie mógł wypominać ci twej przeszłości. Ale teraz muszę to zrobić: przypomniałaś mi, jaką miałaś profesję, kiedy cię poznałem.

Na jego surowość odpowiedziała równą surowością. Wziąwszy mu pergamin z ręki, przeczytała go spokojnie, podarła w kawałki i rzuciła na ziemię. Powiedziała, że nie myśli się poniżyć zaprzeczając tym oskarżeniom, ale w odpowiedzi na jego grubiańskie



wyrzuty powie tylko, że nie czuje wcale żalu czy strachu, czego się zapewne spodziewał, lecz od tej chwili musi go uważać za błazna, niegodnego być mężem takiej kobiety.

Istotnie, zachowanie się mojej pani nie świadczyło bynajmniej o nieczystym sumieniu. Spodziewała się przekonać Belizariusza, że jeszcze raz się pomylił. Lecz chociaż Belizariusz mimo swej straszliwej wściekłości nadal ogromnie ją kochał, nie mógł wrócić do swej prostej wiary w swą żonę tak łatwo jak niegdyś w Syrakuzach. Krzyczał dalej:

- Chcesz mi powiedzieć, kobieto, że twój syn Focjusz przysięgłby na Ducha Świętego, gdyby nie był zupełnie pewny, iż mówi prawdę?

Odpowiedziała pogardliwie:

- Myślisz, że wszyscy traktują przysięgę tak poważnie jak ty... zwłaszcza przysięgę na tak niewyraźną osobistość, jak Duch Święty? Czyż twój pan, Justynian, nie przysięgł kiedyś Witalianowi na Chleb i Wino, a potem nie złamał radośnie tej przysięgi ze względu na ważne racje stanu, przytaczając sofistyczny powód, że Witalian jest heretykiem? Ależ na dzień przed wyjazdem z Konstantynopola ja sama przysięgłam na Ducha Świętego, również z powodu, który można by nazwać ważną racją stanu, a nie mogę się uważać za szczególnie nieuczciwą kobietę.

Opowiedziała mu całą historię spisku przeciwko Janowi z Kapadocji. Gdy Belizariusz usłyszał, że jego ślubna żona, Antonina, uroczyście powołała się na jego honor dla podstępного spisku z zemsty, zakreśliło mu się w głowie i musiał usiąść na stołku. Kiedy wreszcie się uspokoił, zapytał ją:

- Powiedz mi, Antonino, czy służyłem cesarzowi tak niedbale, iż każdego można przekonać, że jestem

zdolny być zdrajcą? Jakich miłosnych czy magicznych sztuczek użyłaś wobec Jana z Kapadocji, by wmówić mu to nieprawdopodobieństwo? Jakie, uważasz, masz do mnie prawo, że ośmielasz się szargać moje imię między łotrami? I co myślisz zyskać przez takie łajdactwo? Czy protekcją cesarzowej dla kazirodczego związku ze swym chrzestnym synem?

Zamiast się bronić zaatakowała go w najczulszym punkcie - jego religii i jego męskości:

- Zdaje się, że wszyscy poza mną korzystają z twojego słynnego chrześcijańskiego przebaczenia. Lecz któż może powiedzieć, czy to pobożność, czy właśnie tchórzostwo kazały ci znosić pogardliwe traktowanie przez Justyniana! Zbił cię, kopnął jak psa, a ty jak pies przyczołgałeś się łasząc do jego stóp. Przypisując ci choćby fikcyjne pragnienie odzyskania straconej godności osobistej przez bunt, uczyniłam ci zaszczyt, na który nie zasługujesz.

Belizariusz nie mógł już dłużej wytrzymać. Wezwał Trajana z przedpokoju.

- Odprowadź panią Antoninę do jej kwatery i po staw straż przy drzwiach. Pozostanie tam pod ścisłym aresztem aż do dalszych rozkazów - powiedział.

Trajan stanął, osłupiały.

Moja pani poczuła wówczas, że jest to Belizariusz, jakiego dotychczas nie znała. Przeraziła się nagłej przepaści, która się między nimi rozwarła, i okropnych rzeczy, jakie mu powiedziała. Lecz była tak oburzona, iż zabroniono jej postępować wedle własnego upodobania, że to podziałało na nią o wiele silniej niż jego zastrzeżenia co do jej wierności. Poszła za Trajanem z kamienną twarzą.

Dzieliłem z nią jej odosobnienie. Przez długi czas nie mówiła do mnie nic poza słowami:

- Kiedy cesarzowa mnie uwolni, nastanie zły dzień dla mego pana Balizariusza.

Udało mi się pościć do cesarzowej wiadomość o tym, co się zdarzyło. W ciągu miesiąca, mianowicie pod koniec września, Belizariusz otrzymał rozkaz zwolnienia mojej pani Antoniny i natychmiastowego powrotu do Konstantynopola. Nasze odosobnienie nie było zbyt uciążliwe i moja pani nie cierpiała żadnych niewygód, ponieważ Belizariusz nie miał mściwej natury.

Focjusz tymczasem pojechał do Efezu, by schwycić Teodozjusza i sprowadzić go do Dara, choć Belizariusz nie dał mu takiego polecenia i w ogóle nie wiedział o jego zamiarach. Udając przed biskupem Efezu, że jest agentem Teodory, zdołał go skłonić do usunięcia Teodozjusza z kościoła Świętego Jana Ewangelisty, dokąd się był schronił. Focjusz zabrał go z sobą do górskiego letniska w Cylicji, dokąd wysyłano na rekonwalescencję chorych żołnierzy z pułku Belizariusza, i tu uwięził go w jakiejś chacie, jakoby na rozkaz Belizariusza. Zrabował też Teodozjuszowi wielki worek z pieniędzmi, który ten miał przy sobie w kościele Świętego Jana. Były to pieniądze, które moja pani Antonina kazała mu zdeponować w banku w Efezie. Miała zwyczaj deponowania pieniędzy w różnych miastach azjatyckich jako zabezpieczenie na czarną godzinę.

Kiedy przybyliśmy do Konstantynopola, Belizariusz odważnie stawiał się przed cesarzową i poprosił o wymierzenie sprawiedliwości mojej pani Antoninie, opowiadając jej wszystko, co się zdarzyło. Lecz cesarzowa wpadła w furję jak tygrysyca i rozkazała mu natychmiast pogodzić się z żoną.

Odpartł:

- Póki mój chrzestny syn, Teodozjusz, żyje, niemożliwe jest jakiegokolwiek pojednanie, bowiem pani Anto-

nina jest przezeń oczarowana i zachowywała się wobec mnie w sposób występny.

Teodora usiłowała złamać jego pewność siebie:

-Przypuszczam, że nigdy przez całe życie nie złamałeś wiary Antoninie?

-Z pewnością mnie o to nie oskarżała? - spytał Belizariusz.

Teodora była prawdziwą kobietą w swym postępowaniu i nie powzięła żadnej konkretnej akcji przeciwko Belizariuszowi. Lecz nie mogła powstrzymać się od zranienia go w osobach jego najbliższych przyjaciół, oskarżając ich o prawdziwe, lecz zapomniane przestępstwa, które były zanotowane w księgach na tego rodzaju przypadek. Niektórych skazano na wygnanie, innych wsadzono do więzienia. Z Focjuszem było gorzej. Teodora posłała za nim do Cylicji i aresztowała go za oszustwo, krzywoprzysięstwo i kradzież, a mimo swej konsularnej rangi został w jej obecności rozebrany do naga, wychłostany i torturowany, póki się nie przyznał do kłamstwa i nie powiedział, gdzie ukrył Teodozjusza.

Jeśli chodzi o senatora, współlnika Focjusza, cesarzowa skonfiskowała mu cały majątek i zamknęła niezszcęśnika w ciemnej stajni w podziemiach, gdzie poddano go dziwnemu traktowaniu. Był przywiązany do żłobu na krótkim kantarze, ze skrępowanymi do tyłu rękami. Tu stał jak osioł, nie mogąc się poruszyć ani położyć, lecz jadł, spał i załatwiał wszystkie inne potrzeby na stojąco. Zastosowano tę nadzwyczajną torturę nie tylko ze względu na moją panią: Teodora żywiła zadawnioną urazę do tego człowieka, który ongiś, jeszcze w dniach klubowych, obraził ją i nazwał oślicą na dwóch nogach. Po kilku miesiącach takiego stajennego życia zwariował i zaczął ryczeć głośno. Wtedy go

wypuściła, lecz prawie zaraz potem umarł. Focjusz był zamknięty w rogu tej samej stajni, choć oszczędzono mu żłobu i kantara. Tutaj mogę opowiedzieć jego dzieje do końca. Dwa razy, przy sekretnej pomocy Justyniana, który zawsze uważał go za użytecznego agenta, Focjusz uciekał z tego więzienia i korzystał z azylu miejskiego; za każdym razem Teodora z pogwałceniem prawa azylu chwytała go i sprowadzała z powrotem do stajni. Po raz trzeci uciekł prosto do Jerozolimy, gdzie przyjął śluby zakonne i uniknął dalszej zemsty.

Agenci Teodory sprowadzili Teodozjusza z Cylicji pod koniec listopada. Teodora nie od razu oznajmiła mojej pani o jego przybyciu, lecz powiedziała do niej wesoło pod koniec najbliższej audiencji:

- Moja najdroższa pani Antonino, wpadła mi w ręce wspaniała perła i chciałabym zasięgnąć twojej opinii. Może pójdziesz ze mną i ją ocenisz?

W pokoju, do którego ją wprowadziła, znajdował się Teodozjusz, który wcale nie wyglądał gorzej po tych wszystkich awanturach, i bawił się na sofie jednym z pałacowych kotów. Moja biedna pani nie mogła wymówić słowa. Nie wierzyła dotychczas, że był bezpieczny w Cylicji, jak Focjusz powiedział. Teodora zostawiła ich samych, obiecawszy wpierw, że w rekompensacie za cierpienia i kalumnie, jakimi go obrzucało, Teodozjusz otrzyma awans na generała, i zaprosiła go, by ze względów bezpieczeństwa mieszkał w jej skrzydle pałacu.

Tak więc zakończył się ów zły rok, a Belizariusz i moja pani nie pojednali się.

Wczesną wiosną roku następnego, a był to rok pański 542, król perski znowu przekroczył naszą granicę, tym razem z największą armią, jaką dotychczas udało mu się zebrać - prawie z dwustu tysiącami ludzi. W je-

go wojskach znajdowało się kilka dywizji białych Hunów, których Justynian bezskutecznie próbował skłonić przekupstwem do wojny przeciwko Persom. Słyszając o powodzeniu wyprawy syryjskiej w ubiegłym roku, na ochotnika przyłączyli się do Khosrou mając nadzieję na duże łupy. Khosrou znowu wybrał drogę południową wzdłuż prawego brzegu Eufratu. Jednak, uświadamiając sobie, że już do czysta wycisnął Syrię z jej srebra i złota, zdecydował się nie marnować tu czasu, lecz pomaszerować do Palestyny. Teraz, gdy Antiochia została zniszczona, Jerozolima była niewątpliwie najbogatszym miastem Wschodu. Świątynie błyszczą tu od skarbów, a pielgrzymki wzbogaciły mieszkańców, zarówno Żydów, jak i chrześcijan, w sposób bajeczny.

Po odwołaniu Belizariusza ze Wschodu dowództwo powierzono Boucesowi. Lecz Bouces zamknął się w fortecy Hierapolis z małą swą armią i bał się nawet wysłać zwiadowców na rozpoznanie marszu króla perskiego. Napisał do Justyniana domagając się posiłków w ilości przynajmniej pięćdziesięciu tysięcy ludzi, chociaż wiedział doskonale, że aby zebrać taką armię, Justynian musiałby ogołocić centralne prowincje ze wszystkich garnizonów - tylko co wysłano do Italii wielką ekspedycję, składającą się ze wszystkich możliwych rezerw regularnych wojsk.

Justynian wezwał Belizariusza i powiedział: - Najwierniejszy i najświetniejszy generale, przebaczymy ci wszelkie zło, jakie nam wyrządziłeś w przeszłości, i pamiętamy jedynie twoje zasługi. Zbierz wszystkich ludzi, jakimi dysponujesz, i natychmiast ruszaj do Syrii, by bronić naszego świętego miasta Jerozolimy przed tym pogańskim królem, który, jak nas informuje nasz generał Bouces, chwalił się, że je zdobę-

dzie przed Wielkanocą. Jeśli to uczynisz, pokochamy cię jeszcze więcej.

Belizariusz był zbyt pełnym szacunku poddanym, by sprzeczać się ze swym cesarzem, iż nigdy nie zrobił mu nic złego, i przełknął jego wyrzuty. Wyznawał pogląd, że póki człowiek postępuje sprawiedliwie i według swego sumienia, takie obelgi nie mogą mu szkodzić. Istnieje chrześcijańskie powiedzonko, że przebaczenie wrogowi i płacenie mu dobrem za złe wygląda zupełnie tak, jak by ktoś rzucał rozpalone węgle na czyjąś głowę. Włosy Justyniana były stale opalone żarem bezprzykładnych służb Belizariusza. Paradoksalne: gdyby przez jakiś mały bunt, jakieś kaprysy obrażonej duszy, jakąś małą porażkę Belizariusz zrównał się z innymi generałami Justyniana i stał się kandydatem do przebaczenia, wszystko byłoby dobrze. Lecz nie ma nic bardziej denerwującego dla władcy o charakterze Justyniana, niż gdy jego sława i tron zależą od człowieka nieskończenie bardziej szlachetnego i bardziej pod każdym względem dostojnego i który ponadto, zdawałoby się, nigdy nie popełnia pomyłek. Raz po raz Belizariusz dokonywał rzeczy pozornie niemożliwych, zaś Justynian coraz bardziej czuł się poniżony, że ma wobec niego tak poważne długi. Napiszę o tym jeszcze obszerniej, zanim skończę.

Belizariusz wyruszył do Hierapolis z dwudziestoma ludźmi używając rozstawnych koni pocztowych i przebywając osiemdziesiąt mil dziennie. Rozkazał swemu pułkowi, by szedł za nim jak najprędzej, a podczas przejazdu przez Cylicję zabrał z Dara swych rekonwalescentów w liczbie tysiąca pięciuset żołnierzy. Goniec, któremu kazano jechać przodem i brać najszybszego konia z każdej poczty, stanął w Hierapolis na trzy dni przed Belizariuszem i oznajmił o jego zbli-

żaniu się. Gdy Belizariusz mijał granicę Cylicji i wjeżdżał do Syrii, ten sam goniec spotkał się z nim i doręczył list od Boucesa. Bouces prosił Belizariusza, by schronił się do Hierapolis i dopomógł w obronie miasta. Jest sprawą zasadniczą - pisał - żebyś znalazł się w bezpiecznym miejscu i nie narażał na schwytanie przez Persów, którzy uważaliby to za większe zwycięstwo niż zdobycie całej prowincji."

Belizariusz odpowiedział w charakterystyczny sposób: „Czy nie uświadamiasz sobie, że król Khosrou grozi zajęciem Jerozolimy? Bądź pewny, że nie rozpocznę bitwy, jeśli będę mógł tego uniknąć, lecz szukanie bezpieczeństwa w Hierapolis, gdy Persowie maszerują do Jerozolimy przez rejon prawie całkowicie pozbawiony wojsk, uważałbym za akt zdrady. Przybywaj do mnie do Karczemisz, ze wszystkimi twymi ludźmi. Lepiej spotkać króla Khosrou na otwartej przestrzeni. Pięćset ludzi starczy do obrony Hierapolis."

Belizariusz stanął obozem pod Karczemisz. Dzięki sygnałom dymnym był już poinformowany, że w skład armii perskiej wchodzi kilka dywizji piechoty. Odgadywał z tego, że Khosrou nie zamierza przechodzić tym razem przez pustynię do Chalchis, lecz posuwa się wzdłuż rzeki aż do Zeugmy, od której prowadzi wygodna i pozbawiona fortec droga do Antiochii. Jednak przed osiągnięciem Zeugmy Khosrou musi przechodzić koło Hierapolis i Karczemisz (Karczemisz leży tylko o jeden dzień marszu od Zeugmy, natomiast Hierapolis znajduje się o trzy dni marszu, nieco na zachód). Spotkanie armii rzymskiej w otwartym polu pod Karczemisz, nie zaś zamkniętej bezpiecznie w Hierapolis, byłoby niewątpliwie niespodzianką dla króla. Do Karczemisz nadciągnęło właśnie pozostałe pięć tysięcy ludzi z pułku Belizariusza i Bouces z Hierapolis z pię-



ciu tysiącami oraz dwa tysiące z Carrhae i Zeugmy. Czyniło to razem trzynaście tysięcy.

Król Khosrou, maszerując wolno ze swymi dwustu tysiącami, spotkał Belizariusza w tym miejscu, gdzie Eufrat skręca pod prostym kątem. Nie wiedział, co robić dalej. Oczekiwał, że sama wieść o jego zbliżaniu się oczyści mu drogę, tymczasem zwiadowcy meldowali o dużej rzymskiej armii pod Karczemisz, dowodzonej przez Belizariusza. Nie mógł teraz ruszyć do Palestyny z samą tylko kawalerią, ponieważ w takim przypadku musiałby pozostawić piechotę z tyłu; pozbawiona pomocy kawalerii i nie chroniona przez wały, stałaby się łatwym łupem dla nieprzyjaciela. Mógłby posuwać się nadal brzegiem rzeki i walczyć z tą armią pod Karczemisz, lecz postępując tak, czy nie należałoby raczej zdobyć w pierw Hierapolis, które groziło jego flance? A kiedyż to Belizariusz przegrał choćby raz bitwę w obronie? Gdyby tylko wiedział, jakimi siłami Belizariusz dowodzi, mógłby zdecydować, czy można ryzykować bitwę. W związku z tym wyprawił posła, oficjalnie dla przedyskutowania warunków pokoju, lecz faktycznie po to, aby się rozejrzał i zorientował w sile cesarskiej armii.

Belizariusz, ostrzeżony, że poseł znajduje się w drodze, odgadł jego zamiary. Wyjechał parę mil za Karczemisz ze swym przybocznym pułkiem i rozłożył obozem na pagórku. Tu poczynił staranne przygotowania na przyjęcie wysłannika. Na rozkaz Belizariusza żaden z żołnierzy nie miał na sobie zbroi, hełmu ani nie nosił tarczy; każdy zbrojny był tylko w jakąś lekką broń - łuk, topór czy lancę, wedle swej narodowości - i ubrany w czystą wełnianą tunikę białego koloru i spodnie.

Gdy mag, sprawujący funkcję posła perskiego, nadjeżdżał tego wieczora drogą nadrzeczną, wyskoczył

nagle zając ścigany przez grupkę ciemnoskórych mężczyzn z haczykowatymi nosami, siedzących na wyścigowych koniach, a gdy zając zakręcał, dowódca oddziału zabił go rzutem dzirytu. Żołnierze nie zwracali uwagi na posta, póki ich nie pozdrowił po persku. Odpowiedzieli w obozowej łacinie, którą mag rozumiał. Dowiedział się, że są Maurami - nie Asyryjczykami, jak przypuszczał - spod Słupów Herkulesa.

-Jakim cudem znaleźliście się tutaj, tak daleko od waszych domów? - spytał zaskoczony poseł.

-Och - odpowiedzieli - Belizariusz zmusił naszych królów do kapitulacji, a my z radością zaciągnęliśmy się do jego służby, ponieważ jest to największy generał, o jakim świat kiedykolwiek słyszał, i uczynił nas bogatymi i sławnymi. Ale kim ty jesteś?

-Jestem posłem wielkiego króla perskiego.

-Ach, tak - odparli grzecznie - tego samego, którego armie nasz wódz Belizariusz pobił pod Dara i Sisauranum. Chcesz się może zobaczyć z naszym panem? On jest bardzo gościnnie. Odprowadzimy cię do jego namiotu.

Jechali przed nim i z kolei natknęli się na dwie grupy jeźdźców na równej płaszczyźnie, godzących w siebie tępyimi lancami. Ludzie z jednej grupy mieli jasne włosy i grube rysy, a z drugiej - przeważnie kasztanowate włosy i delikatny naskórek. Obie grupy składały się z silnych mężczyzn na wielkich koniach. Poseł spytał:

-A to co za ludzie?

-Och, to są Ostrogoci i Wandalowie. Wandalowie pochodzą z północnego wybrzeża Afryki z okolic Kartaginy, które nasz pan Belizariusz zdobył z powrotem dla cesarstwa. Lecz Goci są z Italii, innego podbitego przezeń kraju. Zechcesz obejrzeć sobie tych ludzi dokładnie? To nowi przybysze w tej części świata.

Maurowie gwizdnęli na palcach i mieszana grupa Gotów i Wandalów podjechała bliżej. Poseł powiedział do nich:

- Więc jesteście jeńcami zmuszonymi do służby ce sarzowi Rzymian?

Jeden z Gotów odparł:

- Nie służymy nikomu wbrew naszej woli. Służba u Belizariusza to przyjemność dla nas, ponieważ on uczy nas doskonałości w sztukach wojennych. Kiedy wrócimy do naszych krajów, będziemy znacznymi ludźmi.

Z kolei pluton skośnookich, krótkonogich Hunów przeleciał koło posta z dzikim krzykiem. Poseł dowiedział się, że są to Herulowie zza Morza Czarnego. Oni również bardzo wychwalali Belizariusza. Wszędzie na równinie mag widział drużyny pułku Belizariusza przy zajęciach polowych - fechtunku, strzelaniu do celu, ostrzeniu kołków namiotowych, konnej walce na pięści, grze polegającej na odbijaniu skórzanej piłki zakrzywionymi kijami.

Wtem trąbka zagrała na alarm. W tejże chwili wszystkie gry porzucono: każdy pluton sformował się szybko pod swym godłem i ruszył kłusem na zbiórkę szwadronu. Na drugi sygnał trąbki szwadrony szybko i precyzyjnie sformowały się w dwa długie dwuszeregi tworząc ulicę powitalną dla gościa. Poseł przejechał tamtędy czując się, jak sobie mogę wyobrazić, raczej trochę nieswojo. Kawalerzystów było sześć tysięcy, a Pers nigdy nie widział lepszego wyboru żołnierzy. Wydawało się, że o wiele mniej interesują się nim niż on nimi i chcą jak najprędzej powrócić do swoich zajęć. Na szczycie wzgórza wznosił się namiot ze zwykłego płótna żaglowego. Belizariusz siedział przed nim na pieńku, nawet bez swego generalskiego płaszcza,

ubrany w białą lnianą tunikę, podobnie jak jego ludzie, i wydawało się, że nic na świecie go nie obchodzi. Po wymianie pozdrowień z posłem rozkazał trębaczowi zagrać sygnał na koniec zbiórki. Sześć tysięcy ludzi z radosnym okrzykiem rozproszyło się po równinie. Poseł zapytał:

- Czy naprawdę jesteś Belizariuszem? Spodziewałem się znaleźć męża w pozłacanej zbroi z orszakiem sług w szkarłatnych jedwabnych uniformach. Belizariusz odpowiedział:

- Gdyby twój królewski pan zawiadomił nas o twym zbliżaniu się, przyjęlibyśmy cię w większej gali, a nie w tym negliżu. Jednak jesteśmy żołnierzami, a nie dworzanami i nie nosimy szkarłatu ani złota.

Posel wyjaśnił, z czym go przysłano. Oświadczył, że wielki król znajduje się tuż, jego armie są liczne jak szarańcza i pragnie przedyskutować warunki pokoju.

Belizariusz zaśmiał się cicho:

- Walczyłem w wielu krajach i widziałem wiele dziwnych zwyczajów, ale nigdy nie spotkałem takiego przypadku - króla, który pragnąc przedyskutować warunki pokoju prowadzi z sobą dwieście tysięcy żołnierzy. Powiedz swemu władcy, że nasz kraj, aczkolwiek gościnny, nie może być w tym stopniu rozrzutny, by przyjąć tak wielką liczbę gości. Gdy król rozpuści swe wojsko, jestem gotów do przedyskutowania z nim warunków pokoju w przyjazny sposób. Daję mu pięć dniowy rozejm, ażeby odesłał armię za linię Eufratu. Dziękuję ci, ekscelencjo, za odwiedzenie nas.

Posel wrócił i powiedział do Khosrou:

- Wielki królu, radzę wrócić do domu. Jeżeli ich główna siła przypomina choćby w najmniejszym stopniu ich przednią straż, jesteś całkowicie stracony. Jeśli chodzi o dyscyplinę, wygląd zewnętrzny i zręczność

w robieniu bronią, nigdy nie widziałem im podobnych. Ponadto jest rzeczą niewątpliwą, że posiadają ogromne siły, inaczej nie odważyliby się zatrzymać w nieufortyfikowanym mieście, takim jak Karczemisz, i nie zachowywaliby się z taką pewnością siebie na najbardziej wysuniętej placówce. Co do ich generała Belizariusza, to jako mag jestem przyzwyczajony do czytania w duszach ludzkich i widzę w nim wszystkie wojskowe i moralne cnoty, które wielbili nasi pierwotni przodkowie. Nie możesz ryzykować bitwy z takim człowiekiem. Jeśli popełnisz najmniejszą omyłkę, ani jeden z twoich ludzi nie zobaczy już Babilonu.

Khosrou wierzył postłowi, ponieważ mówił bez pochlebstw. Zdecydował się zawrócić, choć nawet i to wydawało się niebezpiecznym posunięciem, gdy armia Belizariusza grozi jego tyłom. Najbliższa droga do domu prowadziła przez Eufrat i Mezopotamię, ale na przeciwnym brzegu rzeki widział dziesięć czy dwadzieścia plutonów, które, jak się zdawało, bez przerwy nadawały sygnały dymne ku Edessie, jak by były strażą przednią innej armii. Bał się przeprować przez rzekę, by nie zaatakowano go podczas przeprowadzania tego manewru, jakkolwiek ta „druga armia” nie istniała w rzeczywistości - Khosrou widział tylko tysiąc żołnierzy z wojsk Belizariusza w Carrhae, którzy mieli za zadanie wprowadzić go w błąd. Lecz mag wskazał, że Belizariusz dotychczas nigdy nie złamał swego słowa, więc jeśli król przekroczy rzekę w ciągu najbliższych pięciu dni, będzie zupełnie bezpieczny.

Khosrou przeprowił się w pośpiechu bez żadnych trudności. Armie perskie zawsze mają z sobą materiały do budowy mostów (krótkie belki, które można razem składać) i stąd najszerze i najbystrzejsze rzeki nie stanowią dla nich przeszkody. Gdy tylko znalazł się

bezpiecznie na drugim brzegu, posłał do Belizariusza, prosząc go o przedstawiciela, który mógłby przedyskutować warunki pokoju, jak obiecał.

Belizariusz przekroczył Eufrat pod Zeugma ze wszystkimi swymi siłami. Wyprawił swego przedstawiciela, by powiedział królowi, że jeśli armia perska przejdzie przez rzymskie terytorium nie czyniąc żadnych szkód, Justynian zgodzi się, żeby warunki ustalone w poprzednim roku weszły w życie.

Khosrou akceptował tę propozycję i następnego dnia rozpoczął marsz do domu. Lecz bał się przechodzić przez Mezopotamię ze względu na wyimaginowane dywizje rzymskie; wracał więc lewym brzegiem Eufratu obcinając racje żywnościowe swym żołnierzom. Belizariusz jął się posuwać za nim, zawsze w odległości jednego dnia drogi z tyłu, zupełnie tak samo jak za perskim generałem Azarethem przed wielu laty. Jednak gdy osiągnął punkt tuż naprzeciw Barbalisus, musiał przerwać dalszy marsz: jego samego i prawie wszystkich generałów cesarz odwołał nagle do Konstantynopola.

Dalszych działań nie można było bezpiecznie powierzyć żadnemu z pozostałych oficerów. Król Khosrou spostrzegłszy, że nikt już za nim nie idzie, podszedł do miasta Calinicum i zajął je bez trudu. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że Justynian kazał wyreperować wały obronne, a murarze właśnie rozebrali połowę jednej ściany, ażeby ją wzmocnić. Załoga nie mogąc zatkać wyłomu uciekła. Khosrou zdecydował się coś jednak skorzystać na swej wyprawie, złamał obietnicę i zabrał do niewoli całą ludność Calinicum, zburzywszy doszczętnie miasto. W ten sposób biali Hunowie zdobyli spodziewany łup.

Jednak Palestyna ocalała. Belizariusz powiadał później, że czterdzieści tysięcy ludzi mogło wystąpić

przeciwko armiom perskim pod Karczemisz z całą pewnością powodzenia, a on nie miał więcej niż dwanaście tysięcy. Mówił, że Karczemisz jest najmilsze z jego wszystkich zwycięstw. Przepędził dwieście tysięcy Persów z pomocą jedynie swego nie uzbrojonego pułku przybocznego i nie stracił ani jednego żołnierza. Mówił również

- Persowie byli jak szarańcza, lecz odstraszyliśmy ich od naszych pól brzękiem stali i dźwiękiem trąb.

## Rozdział XX

### NIEŁASKA

Niech nikt nie myśli, że Belizariusza odwołano ze Wschodu, by otrzymał od cesarza wielką nagrodę za swe bezkrwawe i chwalebne zwycięstwo pod Karczemisz. Okoliczności, które doprowadziły do jego odwołania, były dalekie od przyjemnych. Opowiem o nich bez zwłoki.

W owym roku szerzyła się dżuma odmiany zwanej dymieniczną. Tak wielkich spustoszeń nie spowodowała od tysiąca lat, kiedy to historyk Tucydides opisywał jej pojawienie się w Atenach. Między wojną i zarazą istnieje ścisły związek. W moim przekonaniu nie tylko zanieczyszczenia spowodowane przez walkę - nie pogrzebane ciała, zrujnowane akwedukty, zaniedbanie higieny publicznej - rozszerzają zarazę, lecz i uczucia, które wojna wznieca, osłabiają umysł i powodują, że ciała są podatne na każdy zły wpływ fizyczny. Dżuma jest chorobą, wobec której doktorzy są bezradni: uderza lub oszczędza bez żadnego wyboru i oznacza się okropnymi objawami.

Zarazę zawleczono z Chin pod koniec ubiegłego roku w beli dywanów nadesłanych do pewnego kupca w Pelusium w Egipcie. Zachorował, lecz nie rozpoznano choroby, bowiem pierwsze symptomy są zawsze lekkie i nie towarzyszy im gorączka. Zaraził innych kupców i swą rodzinę, zanim pojawiły się charaktery-



styczne wrzody, od których pochodzi nazwa choroby. Niebawem w Pelusium liczono już tysiąc przypadków; stąd zaraza rozprzestrzeniła się do Aleksandrii i dalej na południe oraz na północ, do Palestyny. Wiosną statki zbożowe zawlekły dżumę do Konstantynopola, gdzie przebywała moja pani, a ja razem z nią. Bowiem statki zbożowe są zawsze pełne szczurów, a szczury też podlegają zarazie i przenoszą ją w swej sierści. Szczury okrętowe przeniosły chorobę na szczury portowe w Złotym Rogu - bardzo liczną szczurzą kolonię - a te znowu przekazały ją szczurom kanałowym i w ten sposób infekcja rozprzestrzeniła się na całe miasto. Najpierw nie było więcej niż dziesięć przypadków dziennie, lecz niebawem ilość ich doszła do stu, potem do tysiąca, a wreszcie, przy szczytowym nasileniu w lecie - do dziesięciu i dwudziestu tysięcy dziennie.

Wrzody, czyli tak zwane dymienice, formują się zazwyczaj na łądźwiach, ale także pod pachami, a w niektórych przypadkach - za uszami. W późniejszych stadiach choroby występują najróżnorodniejsze symptomy. Niektórzy pacjenci zapadają w głębokie odrętwienie. Jedzą, piją i wykonują inne zwykłe czynności, jeśli ktoś im to nakaże - jeśli mają przyjaciół lub niewolników dość wiernych, by się nimi opiekowali - lecz zachowują się jak lunatycy, nie poznają nikogo, nie dostrzegają nic, pozostają bierni i tracą zupełnie poczucie czasu. Inni natomiast wpadają w gwałtowny szał, trzeba ich przywiązywać do łóżek, gdyż inaczej potrafią wybiec na ulicę wyjąc i wrzeszcząc, że diabeł lub bułgarscy Hunowie wpadli do ich domu - a często zdarzało się, że ci, których nikt nie zatrzymał, pędzili do portu albo do cieśniny, wskakiwali do wody i topili się. W niektórych znowu przypadkach nie występuje ani odrętwienie, ani szał; chorzy zachowują przy-

tomność umysłu, póki wrzód nie stwardnieje, i umierają wyjąć z bólu. W jeszcze innych przypadkach chorzy w ogóle nie odczuwają bólu i śmierć nadchodzi spokojnie jak w głębokiej starości. Często na całym ciele pojawia się czarna wysypka wielkości grochu lub występują krwawe wymioty - jest to niezawodna oznaka nadchodzącego zgonu.

Wielu ludzi zachowywało całkowitą odporność na zarazę, nawet lekarze i przedsiębiorcy pogrzebowi, którzy mieli do czynienia z tysiącami chorych lub zmarłych, pozostali nietknięci, podczas gdy inni, co na pierwszy alarm uciekli na wzgórze Tracji i żyli tam w czystym powietrzu bez żadnego kontaktu z innymi ludźmi, umierali mimo wszystko. Nie można było przewidzieć ani stopnia odporności, ani też możliwych symptomów wedle płci, wieku, klasy społecznej, zawodu, wyznania czy rasy.

Zanim zaraza osiągnęła swą największą gwałtowność, umarłych grzebano według zwykłego rytuału i każda rodzina zajmowała się swymi bliskimi. Lecz taka pobożność rychło okazała się niemożliwa: włamywano się do starych grobowców nocą, by wrzucić do nich nowych lokatorów. Wreszcie w tysiącach domów, nawet bardzo bogatych obywateli, wszyscy albo pomarli, albo uciekli, ciała leżały gnijąc nie pogrzebane. Justynian rozkazał swemu generalnemu registratorowi, by ujął sprawę w swe ręce. Opuszczonych nieboszczyków grzebano w rowach, lecz szybko zabrakło robotników do tej roboty. Potem użyto jako kostnic wież twierdzy Sicae po drugiej stronie Złotego Rogu. Zmarłych rzucano przez dziury w dachu do środka, póki nie zabrakło miejsca. Choć dachy znowu załata-no, upiorny smród przenikał do miasta - szczególnie gdy wiatr powiał od północy.

Przy szczytowym nasileniu zarazy umierało ponad dwadzieścia tysięcy osób dziennie. Wszelki handel i przemysł w mieście zamarty i oczywiście wszelkie zebrania towarzyskie nie wchodziły w rachubę. Jednak nadal odbywały się nabożeństwa w kościołach, które były zatłoczone przerażonymi wyznawcami i stały się głównymi ośrodkami infekcji. Zaopatrzenie miejskie załamało się całkowicie, ponieważ żaden statek ze zbożem nie ośmielał się rzucić kotwicy w porcie, a zaraza rozszerzyła się również do okręgów rolniczych. Tysiące ludzi, którzy uniknęli dżumy, zmarło z głodu. Był to czas różnych znaków nadprzyrodzonych i wizji: upiory paradowały w biały dzień po ulicach, zaś największym ze wszystkich cudem był nagły pokój między stronnictwem błękitnych i zielonych. Skruszeni złoczyńcy okazali teraz więcej szlachetności, cnoty i życzliwości niż kiedykolwiek przedtem czy potem. Teodozjusz powiedział w związku z tym do mojej pani:

- Nasza pani dżuma przemawia o wiele bardziej przekonująco, matko chrzestna, niż nasz Zbawiciel, Pan Jezus.

Zawsze używał pogardliwego tonu w dyskusjach o grozie, jaka nas otaczała, i zachowywał się tak, jak by jego doskonałe zdrowie było raczej sprawą dobrego smaku niż szczęścia. Moja pani i ja również cieszyliśmy się odpornością - czy łączyło się to z częstym kadzeniem siarką w domu, tego nie wiem, lecz tylko bardzo niewielu domowników czuło się słabo. Inne domy, równie szczęśliwe, przypisywały swą odporność albo chrześcijańskim relikwiom, albo pogańskim zaklęciom, albo jakimś lekom, jak twaróg, woda z cytryną oraz marynowane śliwki.

Mniej więcej w tym czasie gdy śmiertelność zaczęła się nieco zmniejszać, po pałacu rozległ się szept: Je-

go świątobliwość cesarz jest chory. Myślano, że to zwykłe przeziębienie, lecz dziś pojawił mu się wrzód w pachwinie. Jest w zupełnym odrętwieniu, nie można go nawet przekonać, by jadł. Doktorzy zgadzają się, że jest rzeczą niemożliwą, aby przeżył." - A potem pozbawiona podstaw plotka zaczęła szybko rozszerzać się po całym państwie: „Umarł!”

Nawet w tym okropnym czasie - bowiem teraz każda prawie diecezja była zarażona - ludzie mieli odwagę dziękować Bogu, że źli giną z dobrymi. I modlili się, żeby następny cesarz był łagodniejszy dla swych poddanych i wierniejszy swemu słowu. Kiedy plotka dotarła do Belizariusza, znajdował się on w Karczemisz - było to właśnie przed pięciodniowym rozejmem. Oficerowie przyszedli do niego jak jeden mąż i spytali:

- Od kogo teraz otrzymujesz rozkazy, prześwietny Belizariuszu?

Odpowiedział od razu, nie chcąc, by myśleli, że się wykręca:

- Wybór należy do senatu. Lecz ja będę głosował za Justynem, siostrzeńcem zmarłego cesarza i najbliższym z krewnych, który posiada najwyższą rangę w całej cesarskiej rodzinie. (Nie był to Justyn, syn Germanusa, lecz inny, syn siostry Justyniana - Wigilancji.)

Powiedzieli:

- Ależ, wodzu, przysięgę wierności, jakiej wymaga no od wszystkich oficerów, składaliśmy Justynianowi jako cesarzowi i Teodorze jako jego żonie razem.

Odpowiedział:

- Możliwe. Przypadkowo ja składałem przysięgę według starego wzoru samemu tylko Justynianowi. Jest sprzeczne z konstytucją, żeby Teodora była samodzielną cesarzową. Chociaż uważam jej łaskawość za najzdolniejszego i najenergiczniejszego administrato-

ra, nie sędzę, żeby trzeba było łamać istniejącą od tysiąca lat zasadę na jej korzyść. Choćby tylko z tego powodu, że Goci, Armeńczycy, Maurowie i wiele innych ludów w cesarstwie nigdy się nie zgodzą, by rządziła nimi kobieta, i państwo znajdowałoby się w ciągłym stanie wrzenia przez całe jej życie. Bouces zgodził się i dodał:

- Z mojej strony, nawet gdyby to nie wchodziło w rachubę, odmówię wykonania rozkazów Teodory, która (mogę mówić teraz otwarcie, skoro cesarz umarł), nie jest wcale mniejszym potworem niż on, tylko jeszcze dzikszym i nawet jeszcze podstępniejszym.

Wszyscy inni myśleli to samo, lecz nie wyrażali się tak otwarcie.

Potem nadeszły wieści, że Justynian mimo wszystko nie umarł. Choć zaczął sześćdziesiąty rok życia, uważany za najbardziej niebezpieczny okres, zbudził się z odrętwienia w tym stopniu, że rozpoznał Teodorę i Narsesa. Ponadto wrzód w pachwinie, nabrzmiawszy do dużych rozmiarów, zaczął z wolna ropieć - znak, że cesarz był na drodze do wyzdrowienia. Wrzód pękł. Cesarz stanął znowu na nogi i cieszył się całkiem niezłym samopoczuciem, z tym wyjątkiem, że mówił trochę niewyraźnie z powodu częściowego paraliżu języka. Podczas odrętwienia widywano jego żywy cień, promieniujący zielonofioletowym światłem. Snuł się po korytarzach pałacu i przechodząc lekko przez drzwi i mury, a niekiedy płynąc nogami naprzód przez okna, przerażał strażę i służbę do utraty przytomności. Dwa czy trzy razy słyszano, że cień mówi. Za każdym razem wypowiadał podobno te same słowa:

- O słodki Belzebubie, zbawicielu monarchów! Nie zabieraj mnie jeszcze, Belzebubie - anioł będzie się wznosił.

Niektórzy tłumaczyli te słowa tak, drudzy inaczej, a niektórzy z nas uważali anioła za Belizariusza, którego skrzydła Justynian tak zazdrośnie podcinał.

Belizariusz jednak nie miał teraz już tylko jednego cesarskiego nieprzyjaciela, lecz dwoje. Bowiem przekreśloną wersję tego, co powiedział swoim generałom pod Karczemisz, natychmiast doniesiono Teodorze. Zrobili to Jan Epikur i Piotr, jego tajemni wrogowie, by wyprzedzić jakiegokolwiek doniesienie, które by mogło ją powiadomić o ich własnym braku entuzjazmu w jej sprawie. Dlatego też wszystkich generałów wezwano do Konstantynopola.

W Konstantynopolu dżuma teraz nieco osłabła i życie w mieście stopniowo wracało do dawnego ożywienia. Wszyscy bardzo interesowali się przyszłym procesem. Gdy tylko Belizariusz i inni generałowie przybyli, powiedziano im, że są aresztowani pod zarzutem zdrady stanu. Belizariusza zwolniono ze stanowiska dowódcy Armii Wschodu, a jego funkcje przekazano Marcinowi.

Belizariusz był zdumiony. Oświadczył, że stanie przed swymi oskarżycielami z czystym sumieniem, bowiem nie powiedział nic nieprawdziwego ani niełojalnego. Oficerom i szeregowcom swego pułku, który z nim przybył, wysłał następujące pismo: „Wydaje się, że zostałem niesłusznie oczerniony przed Jego łaskawością Cesarzem, lecz ufam całkowicie, że niebawem będę wolnym człowiekiem. Zaklinam was na waszą sympatię do mnie, byście powstrzymali się od jakiegokolwiek buntowniczego czy przestępczego działania, które mogłoby ujemnie wpłynąć na uwolnienie mnie od winy. Słuchajcie we wszystkim oficerów Cesarza. Cierpliwości.”

Proces odbył się w pałacu za zamkniętymi drzwiami i żadnego sprawozdania z przebiegu rozprawy -

Teodora sądziła osobiście - nie opublikowano. Belizariusz bronił się sam i zadając oddzielnie pytania Janowi Epikurovi i Piotrowi, doprowadził ich do tego, że przeczylili sobie nawzajem. Usiłował również przekonać sąd, że byli niedołężnymi, kłótliwymi, drapieżnymi, niezdyscyplinowanymi oficerami, a poza tym - niewdzięcznikami. Przyznał, że radził nie wybierać Teodory na jedyną monarchinię, i przedstawił protokół rozmowy, sporządzony przez jego sekretarza, na dowód niewinności swoich uwag; twierdził, że występował jedynie za rzymską konstytucją. Teodora nie mogła mu udowodnić zdrady. Lecz była zdecydowana zaszkodzić mu jak najwięcej za to, że nie polecił jej swym podkomendnym na następczynię Justyniana.

Jana Epikura i Piotra pochwalono za ich lojalność dla tronu i ofiarowano im wynagrodzenie pieniężne i nowe tytuły.

Dwaj czy trzy generałowie włączając w to Boucesa zostali skazani na ścisłe więzienie na termin nieokreślony, do uznania ich cesarskich mości. Boucesa wsadzono do ciemnego lochu, gdzie nie miał nikogo, kto by z nim dzielił jego nędzę, a strażnicy więzienni nie mówili doń ani słowa. Rzucano mu raz dziennie kawałki mięsa i chleba jak dzikiemu zwierzęciu w klatce. Dopiero po dwóch latach i czterech miesiącach wyszedł na wolność. Był wtedy złamany przez chorobę, pełzał na rękach i kolanach, które pokryły się stwardniałą skórą, stracił wszystkie włosy i większość zębów. Ponadto nagły powrót do światła dziennego zaszkodził jego oczom - od tego czasu nie mógł już czytać ani wyraźnie rozróżniać przedmiotów. Tak zostali pomszczeni mieszkańcy Antiochii, których wykup Bouces uniemożliwił kradnąc pieniądze miłosiernych mieszkańców Edessy.

Belizariusz, chociaż nie udowodniono mu zdrady, został uznany za winnego „dawania wiary szkodliwym pogłoskom i rozpowszechniania ich”, nieukarania Boucesa za jego niełojalne oświadczenie oraz zdobycia przez Persów Calinicum! Potwierdzono jego dymisję z dowództwa i cały jego majątek, czy to w posiadłościach ziemskich, ruchomościach czy pieniądzach, został skonfiskowany na rzecz skarbu państwa.

Belizariusz wysłuchał wyroku z godnością i nie apelował przeciwko niemu. Powiedział tylko, że bez funduszków nie będzie mógł ekwipować, opłacać i karmić przybocznego pułku, który wiernie służył cesarzowi w wielu wojnach.

Teodora odparła:

- To są twoi domowi niewolnicy i w związku z tym nie potrzebujesz troszczyć się o ich los. Oni również podlegają konfiskacie.

Na to nie odpowiedział nic, lecz zauważono, że zacisnął pięści, aż kostki zbieleły. Kochał ludzi swego przybocznego pułku i nie mógł prawie znieść, że mu ich odbiorą i oddadzą w ręce niedołęжных generałów.

Teodora wezwała Narsesa i rzekła:

- Niewolnicy byłego dowódcy Armii Wschodu, tego Belizariusza, mają być rozdzieleni wśród generałów i pułkowników pałacowych, a ty masz pierwszy wybór. Jeśli zostaną jacyś, których żaden z oficerów pałacowych nie będzie mógł utrzymać, niech wylosują ich sekretarze stanu. - W ten sposób Belizariusz ku swemu bólowi musiał zobaczyć wielu wspaniałych ludzi, których wydoskonalili w sztuce wojennej, w roli odźwiernych i służących perfumowanych eunuchów.

Belizariusz nie tylko stracił pół szwadronu, który przybył z nim do Konstantynopola, lecz resztę pułku również odwołano. Znowu napisał do nich w tajemni-



cy: „Cierpliwości, koledzy, błagam was! Niebawem wszystko znów będzie dobrze. Wykorzystujcie wasz urlop w mieście, nie przestajcie się ćwiczyć, jak was uczyłem, nie wyrażajcie dla mnie żadnej litości, znieście wszelkie zniewagi. Cierpliwości!” Postłuchali go, chociaż niechętnie.

Pospólstwo miejskie, które, jak wiadomo, jest równie niezdolne do zdrowego sądu jak i niestałe w swych dążeniach, wysłuchało wyroku na Belizariu-sza z ukrytą radością. Ludzie rezonowali w winiarniach: „Bądźcie pewni, że cesarz i cesarzowa sami teraz wreszcie się zniszczyli przez swą niewdzięczność. Nasz Belizariusz nie podda się takiej niesprawiedliwości. On jest na to za odważny i za dumny. Tylko czekajcie: rychło rozejdzie się wiadomość o niespodziewanym powstaniu pułku Belizariusza i o morderstwie w świętych apartamentach pałacu.”

Czekali z wzrastającą niecierpliwością. Nic się nie działo. Burczeli z niezadowoleniem między sobą, że ich dawny bożek, ich okryty chwałą Belizariusz poddaje się pogardzie i niewdzięczności cesarskiej pary z cierpliwością tak poniżającą jak skruszeni mnisi. (Siedzą oni jak ropuchy w swoich celach, gdy biczownik nawiedza ich co tydzień z drucianą dyscypliną i sieka im grzbiety, aż stare blizny otworzą się na nowo.) Kiedy początkowo obywatele tłoczyli się wokół niego na ulicach z okrzykami oburzenia i współczucia, przepędzał ich gniewnie, wołając:

- Panowie, milczcie, to sprawa między mną a cesarzem. Zostawcie mnie, błagam was, i pilnujcie waszych spraw.

Miał nędzny orszak z czterech czy pięciu młodych oficerów, którzy trzymali się go wiernie, chociaż Narses ich ostrzegł, że w ten sposób stają się podejrzani

wobec cesarza i tracą wszelkie szanse awansu. Wszyscy inni jego towarzysze uważali, by mu się nie kłaniać, chociaż gdyby podniósł sztandar rewolucji, większość z nich zbiegłaby się do niego. Wynajął nędzne mieszkanie koło ulicy Byka w domu łączącym się z halą zabaw. Jest to grupa budynków zbudowanych wokół centralnej fontanny, gdzie rodziny, które posiadają mieszkania skromnych rozmiarów, wynajmują sale na uroczystości ślubne, pogrzebowe i tym podobne. Polegał na tych młodych oficerach we wszystkim. Ale dla nich musiał wystąpić o żołądź zwykłego szeregowca. Teodora nie tylko pozbawiła go wszystkich jego bogactw stolicy, posłała również do Edessy, gdzie złożył u bankierów dużą sumę pieniędzy na koszt wojenne, i również przywłaszczyła je sobie.

Codziennie chodził, by złożyć swe uszanowanie w pałacu, jak by to czynił normalnie. Justynian próbował sprowokować go do buntu przez szyderstwa i drwinki, lecz cierpliwość Belizariusza doprowadzała go do rozpacz. Pewnego rana odmówił przyjęcia Belizariusza tłumacząc się nawałem spraw i kazał mu czekać aż do wieczora za bramą pałacową. Belizariusz posłuchał i stał przez cały czas za bramą, bez jedzenia, wydany na ciekawość publiczną. Wreszcie tłum patrząc z obrzydzeniem na to, co uważał za nędzne służalstwo, obrzucił go zgniętymi owocami i błotem, tak że jego patrycjuszowska szata została obrzydliwie poplamiona. Nie wypowiedział ani jednego słowa, a nawet nie próbował unikać pocisków. Ale postąpił surowo z pewnym bezwstydnym młodzieńcem, który podkraść się do niego i usiłował pociągnąć go za brodę. Chwył młodzieńca za spodnie i rzucił go na dużą odległość. Podobno ten młody człowiek odniósł obrażenia, które uczyniły go inwalidą na wiele lat.

O zmierzchu wpuszczono go wreszcie do pałacu i tu powiedział, że chce złożyć cesarzowi pewną prośbę. Justynian zgodził się rozpatrzyć tę prośbę, mając nadzieję, że wreszcie zmusił Belizariusza do otwartego oporu. Był rozczarowany: Belizariusz poprosił go tylko o nowe szaty, żeby mógł wyglądać przyzwoicie przy następnej audiencji.

Justynian odpowiedział cierpko:

- Nie mamy pieniędzy, by cię ubierać, mój panie Belizariuszu. Jeśli nie możesz sobie pozwolić na kupno właściwych szat, lepiej skreślimy twoje imię z rejestru patrycjuszów: w ten sposób będziesz wolny od wszystkich ceremonialnych zobowiązań.

Belizariusz skłonił się nisko i odpowiedział:

- W jakiegokolwiek randze czy stanie będzie mi dozwolone służyć waszej cesarskiej mości, można na mnie polegać, że wiernie wykonam swój obowiązek.

Jego imię zostało usunięte z rejestru i nie przychodził do pałacu przez wiele miesięcy.

Oczywiście przez cały czas moja pani cieszyła się nadal przyjaźnią Teodory i bynajmniej nie została pozbawiona żadnej ze swych posiadłości, lecz wzbogacono ją jeszcze, ofiarując jej znaczną część majątku Belizariusza; między innymi jego dużą posiadłość w Rufiniana. Udawała o wiele większą obojętność na nieszczęścia męża, niż było w istocie, o czym doskonale wiem. Ze swej strony nigdy nie wspominałem o sprawach Belizariusza, jeśli mogłem tego uniknąć. A jeśli sama o nich wspominała, starałem się zachowywać obojętnie. Lecz cały gotowałem się wewnętrznie widząc, jak Teodozjusz pyszni się na koszt Belizariusza. W owych dniach był on ważną osobistością w pałacu i chodził z orszakiem czterystu Traków z pułku Belizariusza, których Teodora mu ofiarowała. Usta-

wicznie konferował z Teodorą, mianowano go bowiem kierownikiem rozrywek pałacowych.

O tym, co się następnie stało, istnieje wiele wersji -niektóre z nich kłamliwe, inne śmieszne, żadna nie jest autentyczna. W każdym bądź razie faktem jest, że Teo-dozjusz umarł na dyzenterię w dzień świętego Szczepana, który następuje po dniu Bożego Narodzenia. Czy to był zwykły przypadek, czy też został otruty na uczcie świątecznej, a jeśli tak, to przez kogo - nigdy nie wyszło na światło historii. Nieliczni, którzy oglądali jego ciało, skłaniali się ku pogładowi, że został otruty

Jedno można powiedzieć z pewnością: tej śmierci nie należy przypisywać Belizariuszowi ani nie był za nią odpowiedzialny żaden z przyjaciół Focjusza. Nieprawdopodobne jest także przypuszczenie, iż pewni domownicy mojej pani Antoniny dokonali zabójstwa, by uprzędzić jej życzenia. Na ten temat nie mogę dyskutować. Nie trzeba również dodawać, że podejrzenie nigdy nie padło na Eugeniusza.

Uczucia mojej pani na wiadomość o śmierci Teo-dozjusza były mieszane. Ostatnio zmienił się jej stosunek do niego, i to z dziwną gwałtownością. Doszła do przekonania, słusznie czy nie, że jej faworyt, używając tych samych dworskich sztuczek, jakie stosował wobec niej, został teraz kochankiem Teodory. Istotnie, traktował moją panią z obojętnością, która musiała ją bardzo irytować, choć starała się ukryć swój ból przed wszystkimi.

Teodora przyjęła tę śmierć lekko, nie interesowała się nawet jej powodem. Jednak okazywała mojej pani pozbawione sztuczności współczucie i wydawała się nie mieć pojęcia, że ta żywiła taką gorzką zazdrość. Niektórzy powiadają, że Teodora udawała taką beztro-

skę, by pozbawić Justyniana satysfakcji przyglądania się jej żalowi: twierdzą bowiem, że to sam cesarz zorganizował morderstwo Teodozjusza z zazdrości, że cesarzowa tak gustowała w jego towarzystwie i że istotnie bardzo ciężko odczuła tę stratę. Ale to są wszystko nonsensy.

Moja pani wpadła teraz w głęboką melancholię. Bezsenna i brak apetytu tak ją wymizerowały, że wyglądała dziesięć lat starzej niż w istocie, a miała teraz czterdziesty drugi rok życia.

Pewnego dnia, kiedy wszedłem do jej buduaru, spojrzała na mnie oczyma zaczerwienionymi od płaczu. Chociaż często widywałem u niej nagłe napady gniewu lub rozpacz, nie widziałem, żeby płakała od czasów dzieciństwa.

Powiedziałem do niej naturalnym tonem-

- Pani, byłem twoim pierwszym niewolnikiem i po zostałem ci wierny przez całe życie. Wielbię cię bardziej niż kogokolwiek innego na świecie i, jak wiesz, mógłbym umrzeć dla twego dobra. Pozwól mi wziąć udział w twojej rozpacz, zdradzając mi jej przyczynę. O, pani Antonino, upada we mnie serce, kiedy cię widzę płaczącą.

Na nowo wybuchnęła płaczem, lecz nie odpowiedziała.

Wtedy spytałem:

- Pani, najdroższa pani, czy rozpaczasz po Teodozjuszu?

Wykrzyknęła:

- Nie, Eugeniuszu, mój wierny przyjacielu, nie! Na Herę i Afrodytę, nie! To nie o nim myślę, lecz o moim mężu, Belizariuszu. Muszę ci znowu zaufać, jak niegdyś w moich dniach klubowych, póki moje milczenie mnie nie pożre. O, drogi Eugeniuszu, oddałabym

wszystko, co posiadam, gdybym nigdy nie widziała na oczy tego fałszywego Teodozjusza. Mój mąż zawsze był moją prawdziwą miłością - a ja, jak idiotka, całkowicie go zrujnowałam. Teraz nie ma żadnego wyjścia z mej głupoty.

Płakałam z nią razem.

- Musimy doprowadzić natychmiast do pojednania! - krzyknęłam impulsywnie. Ale odpowiedziała, że duma Belizariusza i jej wina nie pozwalają na pojednanie. Ponadto Teodora bynajmniej nie przebaczyła Belizariuszowi, a cesarz nienawidzi go najbardziej ze wszystkich ludzi.

Pomyślawszy nieco powiedziałam:

-Sądzę, że rozumiem całą sprawę i potrafię znaleźć wyjście.

-Nie ma wyjścia, Eugeniuszu. Mimo to kontynuowałam odważnie:

-Pani, wydaje mi się, że gdybym poszedł do Belizariusza i powiedział mu, czego, jak sądzę, nigdy mu nie powiedziano, że Focjusz przyznał się do oszczerstwa przeciwko tobie, i jeśli mu przysięgnę, że ty i Teodozjusz nigdy nie byliście kochankami, gdy mu powiem dalej, że przysięgnę wobec Jana z Kapadocji musiałaś złożyć - bo czyż było inaczej? - na rozkaz cesarzowej i że błagałaś Boga o przebaczenie za ten grzech i za twoje inne bluźnierstwa - czyż, najdroższa pani, nie ułagodzisz natychmiast Belizariusza? A ponieważ masz o wiele więcej przyczyn, by czuć się obrażoną przez niego niż on przez ciebie...

-O mądry Eugeniuszu, idź z moim błogostawieństwem. Tak, będę prosiła Boga o przebaczenie... z pewnością nie chcę, by taka drobnostka stała mi na przeszkodzie. Powiedz mu wszystko, co właśnie powiedziałaś, a wtedy, jeśli zapomni o swojej dumie

i gniewie, możesz go zapewnić, że nigdy nie kochałam nikogo poza nim i że nie spocznę, póki nie zostanie mu przywrócona wolność i honor, a potem ja i on nigdy się nie rozdzielimy.

-Będziesz apelować do cesarzowej?

-Oczywiście. Przypomnę jej usługi, jakie oddałam w sprawie Jana z Kapadocji, naszą starą przyjaźń i przyjaźń istniejącą między jej ojcem, niedźwiednikiem, a moim, woźnicą...

Lecz ja powiedziałem:

-Najdroższa pani, mam dalszy pomysł. Sądzę, że mógłbym zrujnować ostatecznie Jana z Kapadocji. Jeśli to zostanie wykonane i pójdzie na twój rachunek, z pewnością cesarzowa da ci wszystko, czego zażadasz.

-Jak? - zapytała z zaciekawieniem. - Jak potrafisz to przeprowadzić?

Odpowiedziałem:

-Dzisiejszego popołudnia wdałem się w winiarni w rozmowę z młodym człowiekiem z Cyzicus, który umiera na nieuleczalną chorobę i nie pozostało mu już wiele życia. On i cała jego rodzina, dwoje dziadków, żona i troje małych dzieci, zostali wypędzeni z domu na rozkaz biskupa Cyzicus. Przyszedł sam piechotą do Konstantynopola, by prosić w pałacu o sprawiedliwość i pomoc. Lecz urzędnicy odpędzili go, ponieważ biskup jest dobrze widziany u dworu. Wyraziłem mu swe współczucie i dałem sztukę srebra mówiąc, by przyszedł jutro w południe na spotkanie ze mną pod posąg słonia Sewerusa. Nie zdradziłem mu swego imienia ani imienia mego mocodawcy, a w tamtej winiarni nikt mnie nie zna.

-No i co?

-Daj mi pięćset sztuk złota, pani, a to wystarczy do zniszczenia Jana z Kapadocji.

-Nie rozumiem.

-Daj pieniądze i zaufaj mi, że doprowadzę całą sprawę do końca.

-Jeśli ci się to uda, Eugeniuszu, dam ci pięćdziesiąt tysięcy i wolność.

- Na co są potrzebne pieniądze, jeśli nie na wygody, które już posiadam? Czym jest „wolność”, jeśli nie dobrym traktowaniem, którego mi już nie brakuje? Nie, pani, wystarczającą nagrodą dla mnie będzie, że ty, mój pan Belizariusz i cesarzowa zostaniecie pozba wieni starego wroga, że śmierć twojego ojca, Damoklesa, mojego dawnego pana, zostanie pomszczona i że będę miał możliwość pogodzenia cesarzowej z moim panem Belizariuszem.

Tego wieczora odszukałem Belizariusza w jego nędznym mieszkaniu. Chociaż osłabiony po nawrocie gorączki malarycznej, wstał z tapczana, by mnie powitać. Z uśmiechem, który ukrywał głębię jego uczuć, zapytał:

- Nie boisz się mnie odwiedzać, Eugeniuszu, stary przyjacielu?

Odpowiedziałem:

-Nie, prześwietny panie. Z wieścią, jaką przynoszę, zaryzykowałbym przejście przez ogień albo przez obóz bułgarskich Hunów. Zaczął się nieco niecierpliwić:

-Nie używaj tyaitów, których mnie pozbawiono. Co to za wiadomość?

Opowiedziałem, jakby sam do siebie, wszystko to, co uzgodniłem z moją panią. Słuchał z największym zainteresowaniem wykrzykując: „Ach!”, kiedy powiedziałem mu, że jego żona prosiła Boga o przebaczenie. Następnie pokazałem mu papiery państwowe, zawierające zeznania Focjusza - przekupiwszy kopistę zastępcy registratora wypożyczyłem je na jeden dzień.



Belizariusz przeczytał je pośpiesznie, potem raz jeszcze z wielką uwagą, a w końcu uderzył się w pierś i powiedział:

- Zasługuję na wszystko, co wycierpiałem, za mój zazdrosny szal i łatwowierność. Lecz niestety, Eugeniuszu, teraz już jest za późno. Twoja pani nigdy mi nie przebaczy tego, co z nią zrobiłem w Dara, nawet gdy ją przeproszę.

Nalegałem, żeby nie tracił odwagi, bo wszystko będzie dobrze. Następnie przekazałem mu słowa mojej pani, w które początkowo nie chciał wierzyć. Powiedział:

- Jeśli twoja pani będzie jeszcze chciała mnie słu chać, powiedz jej, że wina leży całkowicie po mojej stronie... lecz to jedynie wybuch miłości dla niej skłonił mnie do takich szaleństw.

Tej nocy Belizariusz i moja pani spotkali się w tajemnicy w jego mieszkaniu. Nikt poza mną o tym nie wiedział. Oboje mnie ściskali i całowali w policzki, i powiedzieli, że zawdzięczają mi życie.

Następnego dnia spotkałem się pod posągami słońca z młodym mężczyzną z Cyzicus. Zaprowadziłem go w ustronne miejsce i powiedziałem:

- W tym worku jest pięćset sztuk złota. Wystarczy to na przyzwoite utrzymanie twej rodziny do końca życia. Lecz żeby je otrzymać, musisz popełnić czyn de speracki.

Zapytał:

-Cóż to ma być, dobroczyńco?

-Musisz zabić biskupa Cyzicus. Jest on nieprzyjacielem mojego pana, do którego należą te pieniądze.

-Przerażają mnie twoje słowa! - krzyknął.

-Dlaczego, kiedy w każdym wypadku pozostało ci tylko kilka miesięcy życia, a przez ten czyn za jednym

zamachem zemścisz się za twe krzywdy i otrzymasz pieniądze na zapewnienie dobrobytu żyjącej w nędzy rodzinie? Zapytał:

-Kim jest twój pan? Odpowiedziałem:

-Nie będę się wahał z wyznaniem ci tego. Moim panem jest Jan z Kapadocji, teraz ksiądz w katedrze w Cyzicus.

Przekonałem go, że o złocie myślę poważnie. Kiedy dałem mu dziesięć sztuk na zaliczkę, zdecydował się popełnić morderstwo i odszedł uradowany.

Niebawem spodziewane nowiny nadeszły z Cyzicus. Młody człowiek spełnił swe zobowiązanie. Po mszy czekał w portyku katedralnym, a gdy zjawił się biskup, wbił mu w pierś długi sztylet. Aresztowano go i grożono mu torturami, póki nie wyznał motywów tego świętokradczego czynu. Jak się spodziewałem, unikał wspomnienia swych własnych krzywd, mówiąc jedynie policji, że został przekupiony do zabójstwa dziesięcioma sztukami złota przez Jana z Kapadocji. Wrogi stosunek Jana do biskupa był dobrze znany. Aresztowano go, postawiono przed sądem, uznano za współnika w morderstwie i skazano na śmierć. Na interwencję mojej pani u Teodory życie młodego człowieka zostało oszczędzone, a później wysłałem mu pozostałe czterysta dziewięćdziesiąt sztuk złota. Jak długo potem żył, nie wiem.

Justynian darował życie Janowi z Kapadocji pod pozorem, że jego winy nie udowodniono wystarczająco. Niemniej, pozbawiono go sukni duchownej, wychłostano i zmuszono do wyznania jego przeszłych grzechów; chociaż nie chciał przyznać się do morderstwa, reszta jego wyznań była wystarczająco haniebna, by go powiesić ze dwanaście razy. Cały majątek Jana

został skonfiskowany na rzecz skarbu państwa, wsadzono go nago na statek handlowy wyruszający do Egiptu (lecz z litości ktoś mu pożyczył grubą kołdrę). Gdziekolwiek statek się zatrzymał, Jan musiał wychodzić na brzeg i żebrać na chleb i rybę. W ten sposób zemsta dokonana się całkowicie, albowiem moja pani i Teodora ślubowały, że doprowadzą Jana do nagości i żebractwa, natomiast nie ślubowały mu gwałtownej śmierci. Dusza woźnicy Damoklesa, mojego dawnego pana, miała teraz spokój nad brzegami Styksu.

Moja pani mogła więc stanąć przed Teodorą i prosić ją, by znowu przyjęła Belizariusza do swych łask, mówiąc, że sama chce mu przebaczyć i żyć z nim znowu. Mówiła, że jej poświęcenie dla sprawy Teodory zostało jeszcze raz udowodnione, a Belizariusz nie uczyni więcej nic, co mogłoby go narazić na niełaskę cesarzowej - tego jest pewna.

Teodora nie odrzuciła prośby. Posłała do Belizariusza cesarskiego gońca z listem, który brzmiał, jak następuje: „Sam doskonale wiesz, najlepszy z ludzi, jak zaszkodziłeś swoim władcom. Lecz ponieważ mam wielki dług wdzięczności wobec Twojej żony za dane mi usługi, na jej prośbę usunęłam z akt wszystkie oskarżenia przeciwko Tobie i udzielam Ci mojego łaskawego przebaczenia. Więc na przyszłość nie potrzebujesz bać się ani o Twoje bezpieczeństwo, ani o majątek, lecz będziemy sądzić Twoje zachowanie nie tylko według Twoich czynów wobec nas, lecz także po Twoim zachowywaniu się wobec niej.”

Tak więc Belizariusza znowu przywrócono do łask, bowiem nawet Justynian uważał, że jego duma została wystarczająco poniżona. Oddano mu połowę jego skarbcza oraz wszystką ziemię i domy. Justynian zatrzymał połowę skarbcza, która wynosiła jedną czwartą mil-

iona sztuk złota, mówiąc, że posiadanie tylu pieniędzy nie przystoi poddanemu, kiedy skarbiec cesarski tak cierpi na brak funduszków.

Dla przypieczętowania bliskiej przyjaźni między rodziną mojej pani a jej własną Teodora zdecydowała teraz, że Janina, córka mojej pani i Belizariusza, powinna się zaręczyć z jej najbliższym kuzynem, Anastazjuszem „Długonogim”, synem generała Sittasa i jej siostry Anastazji. Temu młodzieńcowi zamierzała oddać diadem po swojej i Justyniana śmierci. Małżeństwo wzmocniłoby bardzo jego pozycję w stolicy. Tak więc odbyły się zaręczyny.

Może się wydawać dziwne, że dotychczas nie wspominałem o Janinie od czasu jej urodzenia, tuż przed wyprawą Belizariusza do Kartaginy. Faktem jest, że nie cieszyła się ona bliskim współżyciem z rodzicami. Pani Antonina nie wzięła ze sobą dziecka na wojnę, lecz oddała pod opiekę Teodory, która traktowała je jak własną córkę. Janina przebywała z Teodorą w świętych apartamentach pałacu, nawet gdy rodzice przypadkowo znaleźli się w mieście. Moja pani była z tego zadowolona: macierzyńskim uczuciem darzyła przede wszystkim Martę, żonę Hildigera - która niestety padła ofiarą dżumy. Lecz Belizariusz martwił się, że jest obcy własnemu dziecku. Przysyłał często listy i podarunki zza morza, przypominając jej czule, że ma ojca. Lecz ilekroć się spotykali podczas jego okazyjnych powrotów z wojny, odbywało się to zawsze w cieniu tronu, a Janina przyjmowała z zakłopotaniem czułości ojca. Wobec Antoniny dziecko było swobodniejsze, traktowało ją jak dobroduszną, mądrą ciotkę.

Wiadomość o zaręczynach Janiny była publicznym przypieczętowaniem zgody między Teodorą i moją panią a Belizariuszem.

Teodora nawet przekonała cesarza, żeby wziął udział w ceremonialnej wymianie darów w domu Belizariusza, a jego obecność wydawała się dobrą wróżbą dla pomyślnego przebiegu prywatnych spraw Belizariusza. Belizariusza i moją panią eskortowały resztki pułku przybocznego - czterystu Traków, którzy przeszli na moją panią po śmierci Teodozjusza, a teraz zwrócono ich dawnemu panu. Ale ich sześć i pół tysiąca kolegów broni nadal pozostawało w obcych rękach.

Odwwołanie Belizariusza ze Wschodu doprowadziło tam do klęski. Justynian nakazał najazd na perską Armenię, wzmocnił armie graniczne do trzydziestu tysięcy ludzi, lecz dowództwo podzielił aż między piętnastu generałów. Każdy generał popierał własny plan kampanii i działał według swego widzimisie. Pod Dubis nad rzeką Arakses ich rozproszone siły zaskoczyła armia składająca się jedynie z czterech tysięcy Persów i wojska cesarskie w dzikiej panice uciekły do domu, porzucając łupy, sztandary i broń. Niektórzy z generałów uciekali, póki im konie nie popadały, chociaż nie było nieprzyjaciela w promieniu trzydziestu mil. Wtedy nasza pani dżuma okazała się nieoczekiwanym sprzymierzeńcem; rozszerzając się gwałtownie na terytorium perskie, które dotychczas oszczędzała, wyniszczyła jedną trzecią ludności w krajach wielkiego króla; gdyby się to nie stało, źle byłoby z cesarstwem rzymskim. Bowiem z trzydziestu tysięcy żołnierzy dziesięć tysięcy poległo pod Dubis, dziesięć tysięcy dostało się do niewoli wraz ze wszystkimi taborami armii, wyładowanymi bagażem i zdobyczą.

Kiedy Belizariusz na ochotnika chciał znowu wyruszyć na Wschód i zebrać niedobitki, Justynian z niechęcią odrzucił jego prośbę. Nie dał mu prawdziwego

uzasadnienia, że nie chce, aby Belizariuszowi jeszcze raz udało się odnieść sukces, gdzie inni zawiedli, by w ten sposób nie wydawał się niezastąpiony; powiedział tylko ze swym zwykłym odrażającym uśmiechem, że pani Antonina od tej pory musi towarzyszyć swemu mężowi w jego kampaniach jako gwarantka jego lojalnego postępowania i że pani Antonina „bez wątpienia nie będzie miała chęci odwiedzić perskiej granicy w związku z jej niemiłymi przeżyciami podczas poprzedniej wizyty”.

Następnie powiedział, że jeśli Belizariusz jest tak bardzo spragniony bitew, może wrócić do Italii, by dokończyć zadania, które zaniedbał. „Było najbardziej nierozsądnie i niezbyt lojalnie, mój panie Belizariuszu, wracać do nas do Konstantynopola, zanim właściwie nie zdusiłeś ostatnich iskiek gockiej rebelii, które od tego czasu tliły się bez przerwy, a ostatnio wybuchnęły groźnym płomieniem.”

Belizariusz odpowiedział mu cierpliwie jak zwykle:

- Proszę mi oddać resztę mojego przybocznego pułku, wasza cesarska mość, a uczynię wszystko, co w mojej mocy.

Justynian parsknął:

- Pewnie na jakąś nową zdradę, co? Nie, nie, generale, ja jestem za stary lis, żeby się nabrać na takie ka wały. Ponadto twoje byłe oddziały przyboczne, z wyjątkiem bardzo nielicznych, zostały ostatnio odebrane

moim oficerom pałacowym i wysłane, jak wiesz, na granicę perską, gdzie są niezbędne. Lecz dlaczego się z nami sprzeczasz, ty, który tak niedawno byłeś żebrakiem? Damy ci zezwolenie na rekrutację nowych oddziałów, gdziekolwiek będziesz miał ochotę w naszych posiadłościach, lecz skoro przewlekane się wojny w Italii jest twoją oczywistą winą ze względu na twą

poprzednią niedbałość, polecamy ci finansować wyprawę samemu. Nie mamy pieniędzy, a ty jeszcze posiadasz znaczną fortunę. Jeśli przyjmiesz to zadanie, obdarzymy cię wielkim zaszczytem: mianujemy cię komesem stajni cesarskich. Zawiadom nas jutro o swej decyzji.

Potem odprawił go.

Belizariusz przyjął warunki - bowiem nie lubił się targować. Niezwłocznie wyruszył do Italii wraz z panią Antoniną, której towarzyszyłem, i czterystoma Trakami. Jego nowy tytuł wprowadził moją panią w wielką wesołość. Mówiła różne rzeczy mniej więcej w tym stylu:

- Mój biedny mężu, zostałeś mianowany komesem stajni Augiasza, lecz zabroniono ci ją oczyścić! - (Oczyszczenie stajni Augiasza w ciągu jednego dnia było piątą pracą Herkulesa. Wykonał ją kierując do stajni wody rzek Alfeus i Peneus.)

Mniej więcej w tym czasie poległ Salomon w bitwie z najazdem Maurów w Afryce. Był on bardzo zdolnym gubernatorem, choć bardzo mu przeszkadzała niewystarczająca ilość wojsk. Rzymscy Afrykanie od dawna żałowali szczęśliwych dni władzy wandalskiej, kiedy Maurowie musieli siedzieć w swych górskich fortecach, a poborcy podatkowi z Konstantynopola jeszcze nie zaczęli wyniszczać kraju. Po śmierci Salomona Maurowie masakrowali, palili i niszczyli bez litości i obawy odwieci. Im bardziej ubożała diecezja, tym bardziej gnębiono ją podatkami, albowiem wymiar podatków dokonany w roku konsulatu Belizariusza nigdy nie został zmodyfikowany. Potem przyszła dżuma. W tych latach powszechnej klęski zmarło pięć milionów mieszkańców, a potem, gdy tyle pól zostało bez uprawy i nawodnienia, zagarnęła je pustynia. Są-

dzę, że ten żyzny kraj nigdy nie podniesie się ze swych  
nieszczęść - przynajmniej dopóty, dopóki pozostanie  
w granicach cesarstwa.



## Rozdział XXI

### WYGNANIE W ITALII

Co teraz nastąpi, jest sprawozdaniem z pięciu lat najbardziej niewdzięcznych walk, jakie kiedykolwiek prowadził generał cieszący się sławą. Rozczarowanie rozgorycza ludzi, nawet gdy się o nim tylko pisze. Będę się więc streszczał i pisał tylko tyle o ostatniej kampanii Belizariusza na Zachodzie, by udowodnić, że trzydzieści lat ciągłych walk nie wpłynęło ujemnie na jego odwagę, pewność siebie i rozmach i że uczynił wszystko, czego można było od niego oczekiwać, a nawet i więcej.

Należy przypomnieć, że korona gocka przeszła na młodego księcia imieniem Teudel, który początkowo miał pod swym dowództwem zaledwie tysiąc kawalerzystów i posiadał tylko jedno ufortyfikowane miasto, mianowicie Pawie. Lecz był pierwszym zdolnym władcą Gotów od śmierci Teoderyka. Dzięki kłótności i bierności cesarskich generałów, którzy z nim walczyli, mógł wzmocnić swe siły do pięciu tysięcy ludzi i zorganizować je w dobrze wyekwipowaną armię. W tym samym roku, kiedy Belizariusz kłócił się z moją panią w Dara, Krwawy Jan, Bessasz i reszta otrzymali od Justyniana rozkazy, by „skruszyć ostatnie resztki Gotów”. Jednak cesarz nie miał chęci powierzyć najwyższego dowództwa któremukolwiek z nich. Dali pole Gotom z dwunastoma tysiącami ludzi, włączając

w to załogę Sisauranum, którą Belizariusz wziął do niewoli i która właśnie przybyła ze Wschodu. Głównie wskutek braku porozumienia co do podziału łupów, jakie zamierzali zdobyć, zostali haniebnie pobici przez Teudela pod Faenza: wiele tysięcy z ich żołnierzy poległo lub dostało się do niewoli i - co szczególnie kompromitujące - porzucono wszystkie sztandary pułkowe co do jednego i wszyscy generałowie uciekli. Jedynie szwadron perski walczył odważnie i z tego powodu poniósł najcięższe straty. Następnie każdy z jedenastu generałów poprowadził resztki podległej mu jednostki do innej fortecy, tak że cała Italia była teraz otwarta dla armii Teudela.

Krwawy Jan otrzymawszy posiłki z Rawenny znowu wdał się w bitwę. Chociaż jego armia przewyższała liczebnie armię Teudela, król gocki rozproszył ją w bitwie pod Florencją i nie tylko zadał ciężkie straty w zabitych i rannych, lecz namówił wielu naszych żołnierzy, by zdezerterowali do Gotów. Aleksander („Nożyk”) doprowadził armię w Italii do stanu krańcowego zniechęcenia, kradnąc żołąd i racje żywnościowe. Żadni żołnierze nie będą długo walczyć bez żołąd i właściwego wyżywienia, chyba w obronie swych własnych domów i pod odważnym dowódcą. Ponadto, gdy panuje niezgoda między oficerami, szeregowcy szybko się o tym dowiadują i tracą zaufanie. Ci, co zdezerterowali do Teudela, oddali się pod protekcję króla, który dotrzymywał słowa - dzielnego, energicznego urodzonego dowódcy, nie dzielącego komendy z rywalami.

Następnej wiosny, kiedy to Belizariusz został wysłany przeciwko królowi Khosrou do Syrii, Teudel, zostawiając cesarskich generałów w ich fortcach w północno-wschodniej Italii, pomaszerował na prawie nie

bronione południe. Zajął je z łatwością, zdobywając fortecę Benevento, gdzie zniszczył fortyfikacje, i Cumae, gdzie znalazł wielkie skarby, i niebawem już oblegał Neapol.

Z Rawenny Krwawy Jan w imieniu wszystkich generałów posłał do Justyniana po posiłki. Z nieoczekiwaną akuracnością Justynian wysłał senatora Maksyminusa z ogromną flotą i wszystkimi wojskami, jakie mógł zebrać z koszar i miast garnizonowych Wschodu. Maksyminusowi powierzył naczelne dowództwo armii w Italii. Był on tchórzem i absolutnie nie miał wojskowego doświadczenia. Większą część życia spędzał na modlitwie i postach. Justynian nie lubił powierzać dużych armii doświadczonym generałom, żeby się nie okazali buntownikami. Uważał prawdopodobnie, iż zwycięstwa odnosi się na kolanach, a nie na siodle.

Jak było do przewidzenia, ekspedycja skończyła się nieszczęśliwie. Najpierw Maksyminus zbałamucił parę miesięcy w Grecji, wysyłając naprzód jednego z generałów z pewną ilością statków z zaopatrzeniem, lecz bez odpowiednich sił, na pomoc Neapolowi. Kawaleria Teudela zaskoczyła tę małą flotę, gdy załoga beztrosko wysiadła na ląd pod Salerno, by nabrać wody i wyprostować nogi. Prawie wszyscy dostali się do niewoli. Następnie Maksyminus sam pożegłował do Syrakuz na Sycylii, skąd wysłał teraz resztę armii i statków na dalszą pomoc Neapolowi. Był to już listopad, zbyt późna pora roku na bezpieczne podróże morskie. Gwałtowny wiatr północno-zachodni zaskoczył wyprawę w pobliżu Neapolu wyrzucając statki na brzeg - i to gdzie, jak nie na tę plażę, na której król Teudel stał obozem ze swymi Gotami? Z żołnierzy, którym udało się ujść wściekłości fal, wiele setek zostało z powrotem spędzonych do morza przez bezlitosnych Go-

tów, którzy nie chcieli się obciążać jeńcami. Jednak rzymskiego generała, dowódcę ekspedycji, oszczędzono. Goci zmusili go, by w jarmie na szyi poszedł namawiać neapolitańczyków do kapitulacji, skoro już nie mogą spodziewać się pomocy i są przyciśnięci głodem. Teudel przyrzekł oszczędzić im życie.

Neapol poddał się. Kiedy Teudel ujrzał, w jakiej nędzy są obywatele, okazał niezwykłą u barbarzyńców ludzkość i zrozumienie. Pilnował, by nie napełniali pustych brzuchów zbyt gwałtownie i nie pomarli w ten sposób, przywracając im siły stopniowym zwiększaniem racji żywnościowych. Nie mścił się również na nich, nawet pozwolił wymaszerować załozde z honorami wojskowymi i dostarczył jej jucznych zwierząt, by mogła się dostać do Rzymu. Ponadto dla przykładu i zjednania miejscowej ludności kazał wykonać egzekucję na gockim żołnierzu, który zgwałcił italską dziewczynę. Cały majątek osobisty żołnierza król ofiarował poszkodowanej jako posag. Lecz zburzył fortyfikacje Neapolu do samej ziemi, tak że nawet po ponownym zdobyciu miasto nie mogło być użyte przeciwko Gotom jako baza operacyjna.

Król Teudel pomaszerowałby z kolei zdobywać Rzym, gdzie dowodził załogą Krwawy Jan. Obywatele byli dobrze usposobieni dla Gotów i powitaliby go chętnie. Lecz dżuma dosięgła teraz Italii, a ulice Rzymu pełne były nie pogrzebanych trupów. Teudel cofnął się pośpiesznie przed zarazą. Część armii wysłał na oblężenie Otranto, natomiast z resztą oblegał Osimo i Tivoli. Tivoli dostało mu się przez zdradę i w ten sposób drogi między Rzymem a Toskanią, któredy szły transporty żywności dla Rzymu, zostały przecięte. Cesarskie wojska degenerowały się coraz bardziej, w miarę jak wojska Teudela wzrastały w siłę. Żołd, który za-

leżał od podatków italskich, przestano w ogóle wypłacać, ponieważ Goci zajmowali prawie cały kraj, a zdolności bojowe żołnierzy zależą głównie od wynagrodzenia.

Tak wyglądała sytuacja w Italii, kiedy Belizariusz sprowadził nas tam z Konstantynopola.

Najpierw ze swymi czterystu kirasjerami dokonał marszu rekrutacyjnego przez Trację. Po raz pierwszy od wielu lat odwiedził Czermen, swe miejsce urodzenia, i Adrianopol, gdzie zaczął swą karierę wojskową. W każdym mieście, do którego przybywał, oczekiwano go uroczyste przyjęcie; marsz stał się prawie triumfem królewskim. Czterystu żołnierzy, wszystko Trący i bohaterzy kampanii gockich, wandalskich i perskich, wyglądało tak wspaniale i marsowo w kolczugach i hełmach z białymi piórami, tak dobrze trzymało się na kasztanowatych koniach i mówiło z takim podziwem i miłością o Belizariuszu, że nie mniej niż cztery tysiące rekrutów zaciągnęło się pod jego sztandary - w tym tysiąc pięćset z samego tylko Adrianopola. Mieszkańcy Tracji nazywali go „szczęśliwym Belizariuszem”, ponieważ nie tylko sam nie był nigdy ranny, lecz i z jego przybocznego pułku, który walczył w tylu słynnych bitwach, padło bardzo niewielu ludzi - przynajmniej gdy służyli pod jego bezpośrednim dowództwem - a bardzo liczni zrobili fortunę. Miał nadzieję otrzymać tu broń i zbroje dla rekrutów, ponieważ te rzeczy znajdowały się w dużej ilości w cesarskiej wytwórni broni w Adrianopolu, lecz odmówiono mu ich nawet za złoto. Bułgarscy Hunowie w ostatniej wyprawie zagarnęli w Tracji mnóstwo koni oprócz stadnin cesarskich, które w porę ewakuowano za mury Salonik, tak że nawet koni nie mógł dostarczyć swym rekrutom. Wyruszył więc bez broni, zbroi, koni -

a przekształcenie surowego rekruta w wyszkolonego kirasjera, nawet gdy już jest przyzwyczajony do koni, wymaga dwóch lat pracy albo więcej.

Z Tracji pożegłował wokół brzegów Grecji do Spalato, gdzie zaopatrzyliśmy się w żywność; znalazła się tu broń dla rekrutów, ale brakło zbroi. Z Spalato Belizariusz posłał na odsiecz Otranto tego Walentyna, który dowodził rzymską milicją na równinie Nerona podczas oblężenia Rzymu; Walentyn wyruszył z dwoma tysiącami ludzi, przeważnie nie wyszkolonych, i zapasem zboża na cały rok. Przybył w samą porę na ratunek Otranto: załoga zdecydowała się skapitulować za cztery dni ze względu na głód. Belizariusz nie mógł próbować lądowania w sąsiedztwie Rzymu, ponieważ nieprzyjaciel na zdobytych okrętach blokował całe zachodnie wybrzeże. Zawiózł nas do Rawenny drogą przez Połę.

W Rawennie zachęcał miejscowych Gotów, by namówili swych rodaków walczących po stronie króla Teudela do wierności cesarzowi. Lecz nawet imię Belizariusza nie ściągnęło choćby jednego człowieka do naszego obozu. Do Emilii, aby przynajmniej ten okręg zabezpieczyć, posłał stu wyszkolonych żołnierzy ze swego pułku i dwustu rekrutów, dla których znalazł konie i zbroję w Rawennie, a ponadto dwa tysiące iliryskiej piechoty. Bolonia poddała się, lecz żywności było mało. Poza tym Iliryjczycy nie otrzymywali żołdu od półtora roku i byli oburzeni, że podczas ich pobytu w Italii pozwolono bułgarskim Hunom spustoszyć Ilirię i zabrać do niewoli żony i dzieci żołnierzy. Oznajmili nagle, że wracają do domu, co też i uczynili, zostawiając czterystu ludzi z pułku Belizariusza własnemu losowi (Justynian początkowo rozgniewał się na tych Iliryjczyków, lecz potem im przebaczył). Tak więc cała

Emilia została wydana nieprzyjacielowi z wyjątkiem fortecy Piacenza. Jedyną szczęśliwą okolicznością ekspedycji był fakt, że ludziom przybocznego pułku Belizariusza, dowodzonym przez pewnego Traka imieniem Turimut, udało się przebić do Rawenny i sprowadzić dwieście koni i trzysta kompletów zbroi należących do Gotów, których zabili w zasadzkach.

Belizariusz posłał następnie Turimuta do Osimo, które oblegał Teudel. Wysłał tysiąc ludzi - było to wszystko, na co mógł sobie pozwolić. Turimutowi udało się prześliznąć przez gockie linie do miasta bez żadnych strat. Szybko jednak, dokonawszy zuchwałego wypadu, uświadomił sobie, że jego tysiąc żołnierzy nie dorówna trzydziestu tysiącom - a do takiej właśnie liczby wzrosła armia gocka przez dezercje z oddziałów cesarskich. Nie mógł też polegać na resztkach załogi, że udzielą mu jakiegokolwiek wojskowej pomocy. Naradziwszy się z dowódcą, który zgodził się z nim, że obecność jego oddziału w mieście będzie raczej przeszkodą niż pomocą ze względu na większą ilość ludzi do wyżywienia, nocą wycofał się z miasta. Jakiś dezertor ostrzegł Gotów o jego planach. Urządzili nań zasadzkę cztery mile za miastem. Stracił dwustu ludzi i wszystkie juczne konie - z resztą udało mu się przeдрzeć prosto do Rimini.

Teudel niszczył wały wszystkich miast, które mu się udało zdobyć. Belizariusz, potrzebując wygodniejszej bazy niż Rawenna, postanowił ufortyfikować ponownie Pesaro, umbryjski port między Rimini i Osimo, gdzie w dolinie rzeki były dobre pastwiska dla koni. Mury Pesaro zostały rozebrane do połowy wysokości, a bramy usunięto. Lecz ze zwykłym zdecydowaniem Belizariusz posłał agentów, by zmierzli bramy, a w Rawennie zbito nowe dębowe, okute żelazem wrota, od-

powiedniej wysokości i szerokości. Turimut przewiózł je łodziami do Pesaro, umocował w odpowiednich miejscach i zapędził mieszczan do pośpiesznej odbudowy murów. Miał z sobą trzy tysiące ludzi, prawie wszyscy byli trackimi rekrutami. Gdy Teudel stanął ze swą armią przed Osimo, mury były wystarczająco wysokie, żeby się zza nich bronić, Belizariusz pilnie ćwiczył rekrutów w łucznictwie, tak że niebawem stali się bardzo użyteczni. Teudel wycofał się, zawiedziony.

Belizariusz napisał do Justyniana w następujących słowach:

„Najpotężniejszy Cesarzu!

Przybyłem do Italii bez koni i zbroi - ponieważ tych nie można dostać w Tracji - i bez pieniędzy, poza tym, co miałem w prywatnej szkatule na opłacenie mych świeżo zaciągniętych trackich rekrutów. Są oni nieliczni, jak dotychczas nie wyszkoleni, źle uzbrojeni i bez koni. Waszej Cesarskiej Mości regularne wojska i milicja, które tu zastałem, nie dorównują nieprzyjacielowi ani liczbą, ani odwagą. Król Teudel ma w swych rękach całą Italię - z wyjątkiem paru miast, którym siłami stojącymi do mej dyspozycji nie jestem w stanie pomóc - a wskutek tego podatki cesarskie nie mogą być ściągane. Faktem jest, że nawet wojskom znajdującym się w Rawennie należy się żołd od Waszej Cesarskiej Mości za tak długi okres, że prawie nie mogę namówić ich do walki. Więcej niż połowa z nich uciekła już do nieprzyjaciela.

Gdyby sama moja obecność w Italii wystarczyła do zwycięskiego zakończenia wojny, wszystko byłoby dobrze: albowiem ogłaszałem swoje przybycie wszystkimi środkami. Lecz Wasza Cesarska Mość raczy rozważyć, że generał bez wojska jest jak głowa odcięta z kar-



ku. Proponuję z szacunkiem, by ludzie mego przybocznego pułku, który Wasza Cesarska Mość wysłała na perską granicę, zostali odwołani i natychmiast skierowani do mnie - a wraz z nimi duża jednostka Herulów czy innych Hunów, jeśli Wasza Cesarska Mość zechce pozyskać ich służby odpowiednią sumą pieniędzy. Jeśli moja prośba nie może być spełniona, niewiele lub nic nie będzie mógł dokonać dla Waszej Cesarskiej Mości najwierniejszy i najposłuszniejszy sługa

Belizariusz, komes królewskich stajni,  
obecnie dowodzący cesarskimi armiami  
w Italii."

Krwawy Jan przekazawszy dowództwo w Rzymie Bessaszowi podjął się dostarczyć ten list do Konstancyjopolu i nalegać na Justyniana, by naprawił rozpaczliwą sytuację, w jakiej się znajdowaliśmy. Jan wyjechał pod koniec tego roku, to jest roku pańskiego 545. Belizariusz tymczasem pozostał w Rawennie szkoląc rekrutów, wykorzystując na zmianę nieliczne konie do ćwiczeń kawaleryjskich. Rekruci uczyli się posługiwania łukiem, lancą, dzirytem, mieczem zarówno pieszo, jak i z konia - kazał jeździć im na drewnianych koniach jak dzieciom.

Osimo poddało się Teudelowi ze względu na głód, a następnie Fermo i Ascoli, które również leżą w Picenum. Potem padły Spoleto i Asyż w Toskanii. Tylko Perugia wytrzymała, chociaż Teudelowi udało się zorganizować morderstwo generała Cypriana, który dowodził garnizonem.

Krwawijan nie doręczył listu cesarzowi, rozmawiając z nim tylko o naszej sytuacji bardzo ogólnikowo.

Miał już dosyć wojny italskiej i nie chciał, by go znowu pozbawiono wygód Konstantynopola, gdzie został dobrze przyjęty, i wysyłano na trudy i znoje wojenne. Poświęcił się zabiegom mającym na celu zawarcie świątynnego małżeństwa i niebawem został mężem córki Germanusa, siostry młodego Justyna i ciotecznej wnuczki cesarza (przez ten krok stał się nieprzyjacielem Teodory, która uznała to za wielką zarozumiałość, prawie za deklarację, że Jan chce zostać kandydatem do tronu po śmierci Justyniana).

Nie otrzymując odpowiedzi, Belizariusz napisał znowu, powtarzając dokładnie poprzedni list z tym wyjątkiem, że dodał wiadomości o nowych sukcesach Teudela. Donosił też, że Rzym, którego bronił Bessasz z trzema tysiącami ludzi, jest zagrożony głodem - flota Teudela mająca swą bazę na Wyspach Liparyjskich zatrzymywała statki ze zbożem - i może wytrzymać tylko kilka miesięcy. Piacenza, ostatnia forteca na północy dochowująca wierności Rzymianom, już się poddała wskutek głodu. Dodał (za namową mej pani), że jeśli jego łaskawość nie wydaje się być zaniepokojony stanem spraw Italii, jak mu przedstawiono w liście powierzonym Janowi, czy też w żadnym wypadku nie może ich naprawić, Belizariusz będzie uważał, iż wolno mu wrócić z żoną i ochroną osobistą do Durazzo na drugim brzegu Morza Adriatyckiego. Klimat jest tu lepszy niż w Rawennie, a komunikacja z Konstantynopolem - gdyby cesarz zechciał nadesłać jakieś dalsze instrukcje - wygodniejsza. Wnuczek cesarza, Justyn, pozostałby jako dowódca w Rawennie.

List był pełen szacunku i właściwy w formie, lecz Justynian uważał, że zawiera ukryty wyrzut. To wpłynęło na niego w ten sposób, że nic nie zdziałał w tej sprawie, szczególnie gdy Krwawy Jan zaprzeczył, iż powie-

rzono mu jakikolwiek list. Jednak moja pani wysłała list do Teodory wraz z tym drugim listem Belizariusza. Pisała ona, że Justynian musi się zdecydować, czy chce zatrzymać Italię, a w takim razie musi zapłacić swym armiom i przysłać posiłki, czy zrezygnować ze swych roszczeń. Teodora przekonała wreszcie Justyniana, by ściągnął trochę wojska znad perskiej granicy, gdzie niebezpieczeństwo najazdu wydawało się nieprawdopodobne wobec wybuchu dżumy, i posłał Narsesa na Krym, by wynajął duży oddział Herulów. Lecz była już późna jesień, zanim te posiłki z Krwawym Janem na czele przybyły do Durazzo, a tymczasem sytuacja w Rzymie pogarszała się coraz bardziej. Belizariusz mógł posłać załogę na pomoc tysiąc ludzi, z których połowa należała do jego pułku. Mieli oni wzmocnić słabą załogę w porcie rzymskim - posiadanie portu było sprawą zasadniczą, gdyby flota cesarska miała przyjść na pomoc Rzymowi. Walentyń dowodzący tym oddziałem otrzymał instrukcję, żeby unikał jakiegokolwiek bitwy, która mogłaby przyprawić go o poważne straty. Wymijając Gotów dotarł bezpiecznie do miejsca przeznaczenia.

Papież Wigiliusz, ten sam, który nastąpił po Sylwesterze, został ostatnio wezwany, by wyjechał z Rzymu na Sycylię i tam oczekiwał wezwania do Konstantynopola. Justynian (pragnąc zdobyć przydomek „Wielkiego” u potomności nie tylko za swe różne przymioty i posty, ale również za swe talenty teologiczne) pracował nad traktatem religijnym i chciał uzyskać dlań aprobatę papieża Wigiliusza. Dotarł do ciekawego punktu w doktrynie o stosunku między pierwszą a drugą osobą Trójcy Świętej i wydawało mu się celowe przedyskutowanie tego z papieżem, zanim ukończy swe dzieło. Celem traktatu miał być kompromis

między tymi, którzy wierzyli w jedną naturę Chrystusa, a tymi, co twierdzili, iż ma on dwie natury. Wielką ilość heretyków można byłoby w ten sposób odzyskać dla prawowiernej wspólnoty. Oszczędzę wam szczegółów tego sporu. Papież Wigiliusz nie mógł brać poważnie cesarskiej teologii, która była mętna i pełna sprzeczności, jednak z drugiej strony nie mógł sobie pozwolić na obrazę monarchy. O wiele więcej interesowały go alarmujące wieści o sytuacji w Rzymie: że buszel zboża sprzedaje się tam za pięć sztuk złota, a wołu za pięćdziesiąt, natomiast biedni jedzą już pokrzywy i trawę jak podczas poprzedniego oblężenia. Będąc człowiekiem szlachetnym i - chociaż kupił sobie papieskie stanowisko - uczciwym chrześcijaninem, pamiętał o trzykrotnie powtórzonym przez Jezusa nakazie dla apostoła Piotra: „Paś baranki moje.” Na własny koszt zorganizował małą flotę statków ze zbożem, by udała się do portu rzymskiego z żywnością dla ludności miasta.

Papież wysłał tę flotę pod wodzą pewnego biskupa, który, wymińawszy wielkim łukiem eskadrę gocką blokującą port pod Wyspami Liparyjskimi, doprowadził statki bezpiecznie do portu rzymskiego. Przybywszy na miejsce stwierdził z ulgą, że cesarski sztandar jeszcze powiewa z wieży, a garnizon dziko wymachuje płaszcami na murach. Źle jednak zrozumiał sygnał, który nie oznaczał wcale radosnego powitania, lecz ostrzeżenie. Ledwie z pomocą dokerów statki przywiązano do nabrzeża, gdy niespodziewanie rozległ się barbarzyński wrzask i dwa szwadrony Gotów Teudeia wyskoczyło z zasadzki za składem. Opanowali okręty i wymordowali całą załogę z wyjątkiem biskupa, którego zaprowadzili do Teudeia. Faktem jest, że Walentyń, nie posłuchawszy zaleceń Belizariusza, ze swym tysią-

cem ludzi zrobić dzień czy dwa dni przedtem wypad przeciwko Gotom, ale poniósł klęskę; sam poległ i prawie wszyscy żołnierze z jego oddziału zostali wybici. Potem oblegający dojrzeli flotę z pagórka, zaś resztki załogi były zbyt słabe, by uniemożliwić Gotom zasadzkę w porcie. Król Teudel wypytywał pilnie wziętego do niewoli biskupa (którego imię przypadkowo również brzmiało Walentyń). Król miał nadzieję, że otrzyma wartościowe informacje wojskowe. Jednak biskup, jako dobry Rzymianin, odpowiadał wymijająco na pytania, chociaż zagrożono mu torturami. Teudel stracił cierpliwość i kazał mu odrębać obie ręce. Ogromnie żałowaliśmy tego dobrego biskupa.

W Rzymie mnożyły się samobójstwa z głodu. Weteran Bessasz, rozgoryczony lekceważeniem przez Justyniana sytuacji w Italii, zajmował się głównie robieniem majątku na koszt obywateli. Rozkazał, by żadnemu zwykłemu obywatelowi nie pozwolono opuszczać miasta, jeśli nie zapłaci za ten przywilej pięciu tysięcy sztuk złota; od patrycjusza żądał stu tysięcy. Większość patrycjuszy uważała, że jest to cena fantastyczna, i wolała zostać mimo wszelkich trudności. Tylko w wojskowych spichlerzach było ziarno. Bessasz sprzedawał je po trochu po coraz wyższych cenach i coraz bardziej zanieczyszczone otrębami - okradając również swe konie. Kiedy zabrakło już złotych monet, przyjmował również zapłatę w starożytnych srebrnych misach i dzbanach - rodzinnym dziedzictwie - lecz tylko na wagę srebra, nie licząc ich antykwarycznej wartości. Sądzę, że miał zamiar rychło skapitulować pod warunkiem, że on i jego żołnierze - którzy się również wzbogacili sprzedając część swych racji żywnościowych - otrzymają pozwolenie na wyjście z honorami wojskowymi i zatrzymanie osobistego majątku.

Pewnego poranka tłum mieszczan z wyciem zebrał się u bramy pałacu Pincjańskiego, gdzie mieściła się kwatery główna Bessasa. Ci ludzie musieli wyglądać okropnie ze swymi wychudłymi, bezbarwnymi twarzami i wzdętymi brzuchami. Bowiem zjedzono wszystko - psy, muły, osły, koty, szczury, myszy - i nie pozostało nic poza pokrzywami, chyba że jedli potajemnie koński nawóz albo mięso pomordowanych dzieci. Strażnicy próbowali odpędzić tych biedaków, lecz gdy ich bito, padali na ziemię i nie mogli się podnieść z osłabienia. Leżeli wijąc się jak osy czy muchy z opalonymi skrzydłami. Ich prośba brzmiała następująco: „Na miłość boską, zrób coś - albo daj nam jeść, albo pozwól nam opuścić miasto bez opłaty, albo nas zabij i wybaw w ten sposób z tej nędzy.” Bessasz odpowiedział:

- Nie mogę was karmić, bo nie mam zboża poza tym, co dla moich ludzi. Nie mogę was zabić, bo byłoby to morderstwo. Nie mogę wam pozwolić wyjść z miasta, bo boję się, że Goci wykorzystaliby otwarcie bram i wdarli się siłą do środka. Odwagi! Niebawem zjawi się tu Belizariusz z wystarczającą ilością żywności dla każdego.

Mimo to dla wszystkich z wyjątkiem patrycjuszy obniżał stopniowo opłatę za wyjście - aż wreszcie znalazła się ona w możliwości najskromniejszych sakiewek. Niebawem miasto opustoszało prawie całkowicie. Większość uciekinierów zmarła po drodze z samego wyczerpania; wielu zabili Goci, których siła wzrosła teraz do jakichś sześćdziesięciu tysięcy ludzi; nieliczni uciekli na południe. Lecz Rzym i port rzymski jeszcze się trzymały, a Belizariusz przybywał na pomoc z Durazzo w Dalmacji, bo właśnie zjawiły się posiłki.

Krwawy Jan chciał, żeby cała armia, która wynosiła teraz dwadzieścia tysięcy ludzi, przepłynęła wąskie

morze do Brindisi i przemaszerowała jedną kolumną przez Italię do Rzymu. Lecz Belizariusz wskazywał, że jeśli nawet nie natrafią na poważny opór, marsz do Rzymu zajmie czterdzieści dni, natomiast podróż morską na galerach jedynie pięć dni, jeśli wiatr będzie pomyslny. Ponieważ w Rzymie panuje głód, każdy dzień jest ważny. Nowe oddziały przyboczne Belizariusza nie były bynajmniej nieużyteczne. Dla połowy stanu osobowego udało mu się kupić zbroje i konie w Durazzo. Wsadził swych przybocznych na najszybsze galery i kazał Krwawemu Janowi ruszać za nim jak najprędzej.

Przez cały czas moja pani zachowywała się z największą delikatnością i szacunkiem wobec Belizariusza i ich wzajemne zaufanie trwało mimo wielu złych dni; nikt też nie rozpowszechniał najmniejszych plotek o prywatnym życiu mojej pani. Oboje traktowali mnie bardzo serdecznie i powierzali mi wiele ważnych tajemnic.

Belizariusz i moja pani, której stale towarzyszyłem, płynęli na okręcie flagowym. Do tej nowej wyprawy przystępowaliśmy bez wielkiego entuzjazmu, lecz skoro już wsiedliśmy na okręt, chcieliśmy jak najprędzej znaleźć się w Italii. Gwałtowny wiatr południowo-wschodni zmusił nas do schronienia się w porcie Otranto. Gocka armia, która nadal oblegała miasto, nie uświadamiając sobie, że nasza obecność jest przypadkowa, uciekła w popłochu do Brindisi, dwa dni drogi na północ. Wiatr zmienił się następnego dnia i poze-glowaliśmy znowu na południe, a potem przez Cieśninę Mesyńską. Goci pogratulowali sobie, że niebezpieczeństwo minęło.

Sześć dni później wylądowaliśmy w porcie rzymskim, który jeszcze się trzymał, lecz nie mogliśmy po-

móc Rzymowi, póki nie zjawi się Krwawy Jan, albowiem siły nasze były zbyt szczupłe. Czekaliśmy kilka dni i nie otrzymując żadnej wiadomości, doszliśmy do wniosku, że jego flota została zatopiona albo rozproszył ją wiatr, któremu się wymigaliśmy. Wreszcie statek handlowy przywiózł depeszę od Jana. Jan oznajmiał, że stosownie do swego pierwotnego planu maszeruje przez Italię. Odniósł już nawet pewien sukces: nie dostrzeżony przez Gotów wylądował w Otranto i zająwszy najpierw wielkie stado koni, zaskoczył nieprzyjaciela pod Brindisi, zdobył jego obóz i zadał Gotom ciężkie straty. Teraz posuwa się na północny zachód w kierunku Rzymu.

Belizariusz krzyknął:

- Czyż żaden generał nigdy mnie nie będzie słuchał? Boję się, że zanim Jan przybędzie, Rzym już padnie.

Lecz przemycił list do Bessasza błagając go, by się jeszcze przez pewien czas trzymał.

Król Teudel nie lekcewał odwagi Belizariusza ani jego sił. Wiedział, że uczyni wszystko, co w jego mocy, by dostarczyć Tybrem żywność miastu, i postanowił mu zablokować drogę. Mniej więcej trzy mile od Rzymu, tam gdzie rzeka się zwęża, zbudował dwie silne drewniane wieże, po jednej na każdym brzegu, połączył je poprzeczną zaporą z ciężkich kłód drzewa i obsadził najlepszymi żołnierzami swej armii. Wittich nigdy nie wpadłby na tak genialny pomysł.

Belizariusz nie przestraszył się zapory i wież. Wysłał na to miejsce dwóch najbardziej zaufanych gwardzistów. Mieli się oni podać za dezertersów i zmierzyć na oko wieże. Gwardziści parlamentowali ze strażą na jednej z wież i udając, że są niezadowoleni z propozycji Gotów, wrócili znowu. Gdy Belizariusz znał już wy-



miary, na dwóch krypach do cementu, związanych razem, skonstruował wieżę o dwadzieścia stóp wyższą od nieprzyjacielskich.

Na jej szczycie pomiędzy wystającymi belkami kazał zawiesić długie czółno. Przygotował również dwieście galer z nadbudowanymi osłonami, wysokimi na sześć stóp, i ambrazurami w tych osłonach, przez które mogli strzelać łucznicy. Galery obsadził najlepszymi żołnierzami i załadował je zbożem, kiełbasami, suszonym mięsem, oliwą, serem, figami i inną żywnością.

Od Krwawego Jana przybyła nowa wiadomość. Przyniósł ją ksiądz przebrany za chłopca. Jan najpierw zawiadamiał szumnie, że miejscowa ludność przyjmuje go z entuzjazmem w drodze z Brindisi, lecz na nieszczęście Teudel obsadził Kapuę i w ten sposób przeciął drogę do Rzymu. Kapui nie daje się zdobyć, a nie można zostawiać na swych tyłach silnie umocnionej fortecy - sam Belizariusz niejednokrotnie na to wskazywał. W związku z tym Jan zawrócił i teraz ściga rozproszone bandy Gotów w Lukanii.

Belizariusz dowiedział się od księdza, że załoga Kapui składa się jedynie z połowy szwadronu lansjerów. Uświadomił sobie, że Krwawy Jan nie troszcząc się zupełnie o los Rzymu - i prawdopodobnie chcąc się pomścić na Bessaszu, który nie okazał żadnego współczucia, gdy parę lat temu Jan był oblegany w Rimini - wolał łatwą robotę i wziął się do plądrowania spokojnego kraju. Wynikało z tego, że jeśli Rzymowi trzeba pomóc, należy dokonać tego własnymi siłami, nie bacząc na ryzyko.

Dowództwo portu rzymskiego Belizariusz powierzył Armeńczykowi imieniem Izaak. Moja pani miała także tu pozostać i służyć radą i pomocą. Po pół szwa-

dronu kawalerii wraz z towarzyszącą piechotą umieszczono na każdym brzegu rzeki i rozkazano im trzymać się do ostatniego człowieka, gdyby port został zaatakowany. Belizariusz objął osobiście dowództwo nad flotą. Posłał list do Bessasza: Jutro, wczesnym popołudniem, oczekuj mego przybycia drogą rzeczną. Mam sposoby przełamania zapory. Spodziewam się, że w samo południe dokonasz wypadu na obóz gocki w celu dywersji. Mam mnóstwo żywności dla Ciebie na moich statkach." Następnego dnia, szóstego grudnia, było świętego biskupa Mikołaja, patrona dzieci. Justynian bardzo popierał kult świętego Mikołaja i zbudował w Konstantynopolu kościół pod jego wezwaniem. Odnoszę wrażenie, że temu świętemu przypisuje się więcej absurdalnych cudów niż jakimkolwiek innym świętym w kalendarzu: podobno ledwie się zdążył urodzić, wstał i podziękował szeptem Wszchemocnemu Bogu za dar życia, a jako dziecko w pieluszkach surowo przestrzegał wszystkich kanonicznych postów w środy i piątki, nie chcąc w te dni ssać piersi swej matki Joanny - ku jej wielkiemu utrapieniu, lecz jeszcze większemu zdumieniu. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu stał się spadkobiercą boga mórz Posejdona, którego prawie wszystkie świątynie teraz mu ofiarowano, jak dziedziczką bogini Wenus jest dziewica Maria, a spadkobiercą psa Cerbera jest apostoł Piotr (sam Jezus został spadkobiercą Orfeusza, który ujarzmił dzikie bestie swymi czarującymi melodiami). Każdy święty uznany przez Kościół ma swój szczególny charakter i cnoty: Mikołaj stał się symbolem dziecinnej prostoduszności. W związku z tym traccy żołnierze, wyznający wiarę ortodoksyjną, uważali dzień za szczególnie pomyślny, albowiem mówi się o Mikołaju, że podczas słynnego soboru w Nicei

dał wyraz swym gorącym religijnym uczuciom i solidnie trzasnął w ucho swego kolegę duchownego Ariusza, twórcę ariańskiej herezji (którą wyznają Goci).

Wczesnym rankiem w dzień świętego Mikołaja Belizariusz był gotów do rozpoczęcia podróży w górę rzeki. Dwa tysiące ludzi z jego przybocznego pułku -ci, dla których nie miał koni - po obu stronach rzeki dotrzymywało kroku statkom, a pozostały szwadron kawalerii działał jako ubezpieczenie. Moja pani uściśnęła Belizariusza, życzyła mu powodzenia i zwycięstwa. On odjechał, a my, pozostawszy na murach, czekaliśmy z niepokojem na dalszy rozwój wypadków.

Koło południa konny poślaniec przybył ze wspianymi wieściami. Flota Belizariusza najpierw natknęła się na sieć z łańcuchów, rozwieszoną w poprzek rzeki, w niewielkiej odległości od zapory - były to te same łańcuchy, których Belizariusz używał dla ochrony młynów wodnych podczas obrony Rzymu - lecz piechota wypuściwszy chmary strzał zaatakowała i rozproszyła straż po obu końcach łańcucha; żołnierze usunęli przeszkodę i ruszyli dalej. Wysoką, pływającą wieżę z czółnem na szczycie holowało kilkanaście mułłów. Następnie, gdy łucznicy na galerach i piechota na brzegu bardzo angażowali Gotów siedzących w bliźniaczych wieżach, pływającą wieżę podciągnięto na pozycję naprzeciwko wieży lądowej. Teraz wyjaśniły się zamiary Belizariusza. Czółno gwałtownie opuszczono na blokach. Spadło między Gotów stłoczonych na wieży i wrzucono do niego dziesięć płonących pochodni. Łódź była wypełniona smołą, olejem, żywicą i innymi łatwopalnymi materiałami, tak że nie minęła minuta, gdy cała gocka wieża stanęła w ogniu. Szwadron Gotów zaatakował wzdłuż ścieżki, lecz zawahał się na widok płonącej wieży i ludzi wrzeszczą-

cych w płomieniach. Korzystając z zamieszania nasza piechota spędziła ten szwadron. Belizariusz zaczął rozbijać zaporę i był gotów płynąć dalej, gdy tylko Besasz dokona wypadu. Dwustu Gotów spaliło się w wieży. Załoga drugiej wieży uciekła.

Kiedy Izaak Armeńczyk usłyszał o tej nowinie, wykrzyknął z radości, jak zresztą wszyscy w porcie. Postanowił również okryć się sławą, prowadząc atak na otoczony ostrokołem obóz Gotów, leżący w odległości pół mili i strzegący Ostii. Zebrawszy stu kawalerzystów wyskoczył z fortecy w deltę rzeki i krzyknął w galopie do mojej pani Antoniny.

- Forteca jest bezpieczna pod twoją strażą, piękna pani. Zaraz wrócę z darami.

Izaak nigdy nie wrócił. Zdobył obóz pierwszym atakiem, rozproszył załogę i zranił śmiertelnie jej dowódcę. Lecz Goci uświadomili sobie, że nie jest to przednia straż wielkiej armii, lecz tylko jeden wariat z setką awanturników. Zawrócili pędem i zaskoczyli ludzi Izaaka zajętych skrupulatnym plądrowaniem szałasów. Izaak poległ i nawet dziesięciu z jego stu żołnierzy nie wróciło do fortu. Jeden żołnierz, widząc, że ma odcięty odwrót, przedarł się galopem do nasady delty. Krzyknął przez wodę do placówki, którą Belizariusz tam zostawił:

- O, koledzy, Izaak zabity, a tylko ja jeden pozostałem z jego ludzi. Jestem ranny w bok. Weźcie mnie za rzekę, błagam! - po czym zemdłał.

Przewieźli go i jego konia na tratwie, a jeden z żołnierzy pogalopował do Belizariusza, by zanieść mu złe wiadomości. Powiedział te słowa:

- Niestety, generale, wszystko stracone w porcie rzymskim. Izaak i cała załoga wybici przez Gotów - tylko jeden człowiek, twój gwardzista Sisifried, uciekł.

Przewieźliśmy go przez rzekę u nasady delty. Jest ranny.

Belizariusz znał Sisifrieda jako odważnego, wiernego i pewnego żołnierza, a goniec był również godnym zaufania człowiekiem, tak że musiał uwierzyć w te wiadomości. Pierwsze pytanie, które zadał jakby z westchnieniem, brzmiało:

-A moja żona, pani Antonina? Goniec odpowiedział:

-Nie wiem. Sisifried powiedział tylko: „Zostałem sam jeden z ludzi Izaaka.”

Na to Belizariusz zachwiał się na nogach. Łzy trysnęły mu z oczu, przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa. Przeżegnał się, mrużąc urywaną modlitwę. Lecz opanował się po chwili: może przypomniał sobie, jak Geilimer, król Wandalów, przegrał bitwę przez żal nad bliską mu osobą.

Była teraz godzina trzecia, Bessasz nie dokonał spodziewanego wypadu, choć wiedział o spaleniu wieży i zniszczeniu zapory. Czy Belizariusz mógł zaangażować sam jeden całą gocką armię? Byłaby to głupota bliska szaleństwa. Zrobiłby to jednak, w nadziei na pomoc Bessasza, gdy tylko galery podciągną bliżej miasta; lecz teraz, gdy port został zdobyty i odcięty od morza - gdyż Ostia również znajdowała się w rękach nieprzyjaciela - porażka stałaby się straszliwą klęską. Jedyna jego nadzieja była w natychmiastowym powrocie i odzyskaniu portu. Rozkazał zrobić zwrot swym galerom, zabierając piechotę na pokład, wezwał swą kawalerię sygnałami trąbek i pośpieszył w dół rzeki. Miał nadzieję, że nie jest jeszcze za późno na odebranie fortecy nieprzyjacielowi i pomszczenie kolegów.

Kiedy zobaczyliśmy w porcie, że statki wracają, byliśmy zdumieni, lecz nie w tym stopniu co Belizariusz,

gdy ujrzał nasze posterunki przy bramach fortecy. W jego duszy ulga zaczęła walczyć z niesmakiem -ulga, że meldunek był błędny, niesmak - że ze względu na głupią łatwowierność zaniechał próby tak dobrze rozpoczętej. Powiedział gorzko:

- Jest to dzień świętego Mikołaja, kiedy dzieci znajdują cukierki w bucikach, a starzy żołnierze zamieniają się w durniów.

Tej nocy wrócił mu atak malarycznej febry. Niepokojny i zgnębiony jego umysł uczynił atak jeszcze cięższym i niebawem Belizariusz zaczął miotać się w delirium. Bez przerwy wzywał moją panią nie poznając jej u swego łoża. Krajało się jej serce, gdy w majaczeniach dawał wyraz swej udręce, jaką cierpiał wierząc, że jego żona została zabita.

- Cóż mi teraz zostaje? - krzyczał bez przerwy. - Antonina nie żyje!

Przy szczytowym nasileniu gorączki musieliśmy wezwać na pomoc ośmiu najsilniejszych gwardzistów, by powstrzymać go od jakiegoś szaleńczego czynu. Raz wyobrażał sobie, że walczy z Gotami za murami Rzymu, to znowu, że są to Persowie pod Dara. Raz wydał swój okrzyk wojenny straszliwym głosem i chwycił dwóch gwardzistów, o mało ich nie dusząc, lecz nagle upadł chwytając ustami powietrze.

## Rozdział XXII

### ODWOŁANIE I PRZEBACZENIE

Przez dziesięć dni Belizariusz leżał chory w swoim pokoju. Jedenastego dnia król Teudel zajął Rzym. Czterech izauryjskich żołnierzy zdradziło i pewnej nocy wpuściło go wraz z całą armią przez Bramę Asynaryjską. Bessasz nie wyznaczał niespodziewanych dyżurów przy bramach ani nie zmieniał zamków jak niegdyś Belizariusz, tak że żołnierze mogli ułożyć się z Teudelem na określoną godzinę, cztery dni naprzód. Do zdrady skłoniło ich oburzenie na kapitana kompanii, który zatrzymywał część ich racji żywnościowych i sprzedawał patrycjuszom. Goci króla Teudela wzięli się natychmiast do plądrowania domów bogatych patrycjuszy, pozwalając Bessaszowi i jego załodze uciec bez przeszkód. Sam Teudel zadowolił się tym, co znalazł w pałacu Pincjańskim - nieprawnie zdobytymi skarbami Bessasza, które wyglądały jak skarbiec królewski czy skarb admirała piratów. W całym Rzymie - mieście liczącym niedawno pół miliona dusz - Goci znaleźli nie więcej niż pięciuset zwykłych obywateli i czterysta osób z rodów patrycjuszowskich - prawie wszystko kobiety i dzieci, ponieważ większość patrycjuszy uciekła wraz z garnizonem. Teudel zaczął rozbierać fortyfikacje i przysięgał, że za niewdzięczną wrogość dla błogostawionych gockich rządów Teoderyka i jego następców miasto zasłużyło na to, by je spalono i zrównano z ziemią.

Belizariusz dowiedział się o tej groźbie i napisał z portu rzymskiego: „Królu Teudelu, jeśli postąpisz tak, jak grozisz, z Rzymem, kolebką cesarstwa, czyż Twoje imię nie będzie napełniało potomności obrzydzeniem? Bądź pewny, że potomni będą mówić i pisać o Tobie: «Co pięćdziesiąt pokoleń Rzymian zbudowało w pocie czoła, gromadząc najszlachetniejsze materiały, najlepszych architektów i rzemieślników z całego świata, germańskie księżątka, obrażając wielkich zmarłych, spaliło jednego dnia w akcie gniewu, i to w tym czasie, kiedy miasto było puste z powodu zarazy i głodu.»”

Teudel zreflektował się i zrezygnował ze zniszczenia miasta. Belizariusz miał słuszność przypuszczając, że domniemany głos potomności będzie miał dla gockiego króla większe znaczenie niż jego naturalne skłonności i najbardziej praktyczne rady jego najmandrzejszych podwładnych. Niemniej, Teudel rozebrał fortyfikacje na przestrzeni trzech mil i usunął wszystkie bramy czyniąc z Rzymu miasto otwarte. Następnie, pozostawiwszy w sąsiedztwie silne oddziały, żeby unieruchomić nasze wojsko w porcie rzymskim, wyruszył przeciwko Krwawemu Janowi, który znajdował się teraz w Tarentum.

Krwawy Jan nie ośmielił się stawić czoła Teudelowi i pośpiesznie wycofał się do Otranto, przez co południowa Italia, która była prawie w jego rękach, znalazła się znowu pod gockim panowaniem. Teudel, uważając, że zajęcie Otranto nie miałyby większego znaczenia, póki Krwawy Jan jest tam unieruchomiony, zdecydował się pomaszerować na brzeg Adriatyku do Rawenny, której mieszkańcy stracili już cały zapał dla sprawy cesarskiej i chętnie otworzyliby mu bramy. Mając w swych rękach Rawennę stałby się bez wątpienia panem Italii.



Król Teudel zaczął już marsz ku brzegowi Adriatyku, gdy zawróciła go z drogi nowina, która napełniła go zdumieniem i oburzeniem. Belizariusz, wierny swej reputacji, że próbuje rzeczy pozornie niemożliwych, znowu obsadził Rzym i był gotów dyskutować prawo do jego posiadania ze wszystkimi Gotami w Italii!

Ale jak - może zapytacie - Belizariusz mógł się nawet ośmielić bronić z tak nędznymi siłami otwartego miasta przeciwko armii, która liczyła teraz około osiemdziesięciu tysięcy ludzi?

Belizariusz niewątpliwie odpowiedziałby na to pytanie: „Musimy mieć odwagę naprawiania naszych dawnych błędów.”

Gdy tylko wyzdrowiał na tyle, że mógł się pewnie trzymać na koniu, wyjechałszy w nocy z portu z tysiącem kawalerzystów przeprowadził rekonesans w mieście. Stwierdził, że miasto jest całkowicie wyludnione (przypuszczam, że po raz pierwszy w ciągu swoich dziejów), i nawet napotkał małe stado wilków włóczących się po Polu Marsowym. Żołnierze nie strzelali do zwierząt, uważając ich obecność za dobrą wróżbę. Bo wiem starożytni Rzymianie czcili wilki, gdyż Romulusa, założyciela Rzymu, wykarmiła wilczyca. Belizariusz starannie objechał wały i wreszcie oznajmił:

- Wszystko w porządku, przyjaciele.

Myśleli, że jeszcze bredzi w gorączce, lecz wytłumaczył:

- Król Teudel, jak to barbarzyńca, niezbyt dokładnie przeprowadził dzieło zniszczenia, tak jak się spodziewałem. Zadowolił się jedynie zwaleniem górnych warstw kamieni i zepchnął gruzy do fosy. Pracując solidnie możemy naprawić to w krótkim czasie.

Gocka armia dowiedziawszy się, że Belizariusz wraca z rekonesansu, zrobiła na niego zasadzkę w czte-

rech punktach. Za każdym razem dzielił swe siły na trzy części: jeden półszwadron stał w miejscu utrzymującym teren, podczas gdy dwa następne naciskały na obu flankach i okrążyły nieprzyjaciela zasypując go strzałami, aż musiał porzucić swe stanowiska. Podczas swego powrotu do portu Belizariusz zabił i wziął do niewoli więcej Gotów, niż wynosił cały jego oddział, tracąc jakichś trzydziestu ludzi, a to z tego powodu, że szwadrony gockie składały się jedynie z lansjerów i nie mogły podejść na bliski dystans, lecz były zasypywane strzałami. Chociaż cała armia gocka liczyła piętnaście tysięcy ludzi, nie ruszyła się więcej z obozu, a Belizariusz, zostawiwszy zaledwie pięciuset żołnierzy na straży portu, mógł przerzucić wszystkie swe siły do Rzymu. Miał z sobą trzy tysiące ludzi Bessasza, którzy schronili się do portu, gdy Rzym został zdobyty, oraz pięciuset żołnierzy z regularnych wojsk, byłych dezertów spod Spoleto, których namówiono do powrotu. Ponadto dysponował jeszcze kilkoma setkami robotników, których zebrano w sąsiednich wioskach, przeważnie uciekinierów z Rzymu. Chętnie zgodzili się dlań pracować, jeśli otrzymają zapłatę w chlebie i mięsie z dodatkiem odrobiny wina.

Komes Belizariusz wkroczył do Rzymu w dzień Trzech Króli. Król Teudel wrócił dopiero pierwszego lutego (roku pańskiego 547). Przez te dwadzieścia pięć dni dokonano cudu. Całą fosę oczyszczono z ziemi i gruzów i umocniono zaostrzonymi palami wykonanymi z wiązań zrujnowanych domów. Ciosowe kamienie wału zebrano i ułożono na miejsce, chociaż bez zaprawy. Mury znów wznosiły się imponująco przeciwko nieprzyjacielowi i w miejscach odbudowanych były zaledwie o parę stóp niższe niż poprzednio. Nie było tylko bram i z powodu braku wykwalifikowa-

nych kowali i cieśli nie zdołano nic zaimprovizować w tak krótkim czasie. Belizariusz musiał więc przyjąć taktykę starożytnych Spartan: zamknął otwory bram wrotami ludzkimi, które składały się z jego najlepszych oszczepników ustawionych w falangę. Wszyscy pracowaliśmy na ośmiogodzinne zmiany przez całą dobę: żołnierze, niewolnicy domowi, cywile włączając kobiety i dzieci - nikomu z nas nie pozwolono na uchylanie się od roboty. Ja, pulchny eunuch, połamam sobie pięknie wypielęgnowane paznokcie na twardych kamieniach i miałem obolałe ramiona od noszenia koszy z ziemią. Belizariusz był wszędzie jak błyskawica podczas burzy.

Pierwszego dnia Belizariusz wysłał mnie do miejskich wapienników, bym sprawdził, czy nie ma tam wapna koniecznego do wyrobu zaprawy murarskiej, tak żeby przynajmniej anguły murów można było umocnić, jednak znalazłem zaledwie kilka worków. W kancelarii dyrektora był przybity do ściany kawałek pergaminu, który, chociaż już od dawna stracił ważność, zabrałem z sobą i zatrzymałem jako wspomnienie o oblężeniu. Zamieszczam poniżej jego odpis jako ciekawostkę. Jest to oficjalna nominacja dyrektora przez Teoderyka, sprzed wielu lat.

„Król Teoderyk znakomitemu Faustulusowi, dyrektorowi wapienników, pozdrowienie!

Zaprawdę chwalebną jest pracą służyć miasai Rzymowi! Któż mógłby wątpić, że wapień, biały jak śnieg w kolorze i miękki jak afrykańska gąbka, oddaje potężne usługi przy wznoszeniu najwspanialszych pałaców? Im bardziej zostaje rozbity i starty dzikim tchnieniem ognia, tym większej mocy użycza masywnym murom. Jest to rozpuszczalny kamień, kamieniejący proszek, piaszczysty krzemień, który (O cudzie!) pali

się najlepiej, gdy został obficie polany wodą, a bez niego kamienie nie mogą stać ani ziarnka żwiru właściwie przylegać do siebie. Dlatego mianujemy cię, nasz skrzętny panie Faustulusie, nadzorcą nad wypalaniem wapienia i jego przyzwoitym rozdziałem; abyśmy mogli zyskać wiele tej substancji zarówno dla publicznych, jak i prywatnych budowli, i żeby w ten sposób obywatele zyskiwali podniecie i zachętę do budowy i rozbudowy naszego ukochanego miasta. Spraw się dobrze, a zostaniesz promowany na jeszcze zaszczytniejsze urzędy!"

Gdy przeczytałem te eleganckie słowa, nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać, tak wydawały się niewłaściwe wobec spustoszonego miasta i barbarzyńskiej łaciny obozowej żołnierzy, którzy stanowili teraz główną jego ludność. W moim umyśle zaczął rozwijać się filozoficzny ciąg myśli o zasadniczo złej naturze wojen, niezależnie od tego, jak sprawiedliwa jest ich przyczyna. Natychmiast, niby chrześcijański mnich, przytłumiłem te myśli jako równie niewłaściwe w obecnej sytuacji jak i sam dokument. Zresztą dość już o tym.

Król Teudel podszedłszy do miasta rozpoczął natchmiastowy szturm z północnego wschodu rzucając skoncentrowane siły przeciwko Bramie Nomentyjskiej, Tyburskiej i Prenestyjskiej. Chyba się spodziewał, że odbudowany mur runie na sam dźwięk jego bojowych rogów niby mury Jerycha, które podobno rozpadły się od trąb Żydów Jozuego. Byłem świadkiem kawaleryjskiej szarży przy Bramie Tyburskiej, gdy zajmowałem się tymi samymi rzeczami co dziesięć lat temu - nakładałem pociski na katapultę, zaś moja pani celowała. Dziesięć tysięcy gockich lansjerów ustawiło się poza zasięgiem naszych strzał i szwadron po szwadronie szarżował z pochylonymi włóczniami na

most, który chronił bramy. Wyglądało to tak, jak by ktoś nalewał wino do butelki z zatkaną szyjką.

Istotnie niewielu Gotów dotarło do bramy przez stosy zabitych i umierających, by nadzieć się na oszcypy falangi, jak indyjski niedźwiedź na kolce jeżozwierza. Nie tylko nasze celne pociski z łuków, katarpult, skorpionów i onagerów zadały Gotom okropne straty, ale także żelazne kolce chroniące dojścia - szatański pomysł nigdy dotychczas nie stosowany przeciwko Gotom. Wspomniałem już, że brakło odpowiednich rzemieślników do zrobienia owych bram miejskich, lecz kowale wojskowi pracowali dzień i noc, zatrudniając wszystkich wykwalifikowanych i półwykwalifikowanych rzemieślników w produkcji tych żelaznych kolców. Kolec składa się z czterech grubych ramion, każde na stopę długości, przytwierdzonych do żelaznej kuli, a wszystkie cztery ostrza znajdują się w jednakowej odległości od siebie. Tak więc, jak by się takiego kolca nie rzuciło na ziemię, zawsze spoczywa on na mocnym trójkącie ostrzy, a jedno ostrze wznosi się groźnie do góry. Niektórzy nazywają to urządzenie „diabelskim trójnogiem”. Kolec był również herbem Belizariusza, a służące mojej pani wyhaftowały go złotem na białym sztandarze przybocznego pułku. Dewiza brzmiała: *Quocumque ieceris, stabit* - „Gdziekolwiek rzucisz, będzie stał.” Kawaleria nie może przebyć odcinka zarzuconego kolcami, jeśli jeźdźcy nie zejną wpierw z koni i nie usuną zapory; w innym przypadku konie zaplątują się w ostrza, potykają i padają nadziewając się na kolce.

Pięć szwadronów szarżowało kolejno na tę straszliwą przeszkodę. Stos zabitych rósł coraz wyżej i wyżej, póki na ostatni kolec nie nadzieł się jakiś człowiek czy koń. Tak więc - jak powiedzieliby retorowie - most

stał się wreszcie dostępny właśnie przez swą niedostępność. Przy bramie toczyły się ciężkie walki, ponieważ weszła teraz do akcji gocka piechota. Z flankujących bramę baszt lała się gorąca woda i sypały belki. Nasi izauryjscy oszczepnicy walczyli na zmianę, lecz ponieważ w grupie było tylko pięćdziesięciu ludzi, a Goci pchali się naprzód całymi setkami, naszych ludzi rychło ogarnęło wyczerpanie. To tylko obecność mojej pani i jej obietnica wielkiej nagrody dla każdego żołnierza, który przeżyje ten dzień, utrzymywała ich na stanowisku. Koło południa nasze katapulty wyczerpały już zapas pocisków, a onagery porzlatywały się od ciągłego strzelania. Chwytiłem za łuk i stwierdziłem, że niezupełnie zapomniałem mojego dawnego strzeleckiego doświadczenia, chociaż ramiona mi osłabły.

Nie było przerwy obiadowej, tylko podczas walki chwytailiśmy garścią chleb i ser, a niewolnicy roznosili dzbany z kwaśnym winem. Po południu zaczął padać gęsty deszcz, potem zmienił się w ulewę, tak że ciężki naszych łuków rozmiękły i były bezużyteczne. Żołnierze, choć zazwyczaj mieli uczciwą przyjemność w walce, zaczęli stękać i kłać w tej sytuacji. Jednak Goci cierpieli bardziej od nas. Podejście do bramy stało się bardzo śliskie. Nasi oszczepnicy, którym moja pani dała kawałki grubego płótna, by obwiązali sobie nogi, mieli wielką przewagę nad nieprzyjacielem, gdyż Goci stale się potykali i ślizgali na mokrych skórzanych podeszwach.

Bitwa skończyła się z zapadnięciem nocy, a Gotów nie wpuszczono do żadnej bramy. Cofnęli się na noc, a my wysłaliśmy grupy robotników z pochodniami, by zbierali pociski i strzały. Dostawali wynagrodzenie za każdą wiązkę składającą się z pięćdziesięciu strzał. My

tymczasem oczyściliśmy mostki ściągnając zabitych z zakrwawionych kołców i obdzierając ich ze złotych naszyjników, pierścieni i kolczug.

O brzasku król Teudel zaatakował znowu i znowu rozegrał się straszliwy dramat rzezi. Nieprzyjacielowi nie udało się zająć ani jednego mostu. Zabiłem jednego Gota drugą strzałą, trafiając go w twarz z bliskiej odległości. Goci ustąpili w południe; kirasjerzy Belizariu-sza ruszyli w pościg z Bramy Penestyjskiej, lecz Goci uciekli na całą milę. Wystano całą naszą kawalerię, by wspomogła szwadrony kirasjerów. W bitwie, jaka się wywiązała, łuk i strzały znowu odniosły przewagę nad włócznią. W ciągu tych dwóch dni poległo piętnaście tysięcy Gotów, a wiele więcej zostało rannych. Dwadzieścia tysięcy zabitych koni leżało na polu bitwy. Nasze łączne straty wynosiły czterystu pięćdziesięciu ludzi, z których dwustu padło w potyczce kawaleryjskiej.

Parę dni później Goci po raz trzeci ponowili szturm, lecz z tak widoczną niechęcią, że Belizariusz -który, jak sądzę, lepiej od jakiegokolwiek innego generała wiedział, kiedy przejść od obrony do ataku -wyskoczył przeciwko nim z całą swą kawalerią. Mówią, że na odległość ćwierć mili Belizariusz celował ze swego najmocniejszego łuku w gockiego chorążego, który jechał przed Unią. Dął wiatr z tyłu, tak że strzała doniosła na tę odległość; spadając z dużej wysokości uderzyła chorążego w lędźwie i przyszpiliła go do siodła, zaś koń, również skaleczony, stanął dęba i zrzucił jeźdźca. Inni, prawdopodobnie zazdroszcząc Belizariuszowi powodzenia, twierdzą, że strzelił nie Belizariusz, tylko Sisifried gwardzista, który przeżył klęskę Izaaka. Gdyby tak było, Sisifried uczynił coś nadzwyczajnego, co nie leżało w jego możliwości. Jest

bardziej prawdopodobne, że trafił Belizariusz, choć może i Sisifried także celował do chorążego.

Sztandar króla Teudela upadł na ziemię, co było najgorszą wróżbą. Od razu nasz czołowy szwadron przeszedł do szarży, by go porwać, strzelając w galopie z siodła. Rozegrała się zacięta walka o sztandar. Dwóch gockich lansjerów ciągnęło za jeden koniec, a dwóch kirasjerów za drugi. Jakiś gocki oficer przeciął drzewce ciosem miecza, tak że nasi ludzie musieli zadowolić się samym kijem. Ten sam oficer uciął lewą rękę chorążemu, ponieważ na przegubie miał on złotą bransoletę wysadzaną rubinami i szmaragdami, której Goci nie chcieli nam zostawić. Potem Goci ustąpili i stracili w pościgu jeszcze trzy tysiące ludzi. Kiedy Belizariusz wrócił nocą, miał już konie dla wszystkich swych Traków i każdego z nich mógł ubrać w kolczugę. Stracił tylko dziewięciu żołnierzy.

Teudel zwinął oblężenie następnego dnia i cofnął się do Tivoli niszcząc na Tybrze wszystkie mosty na północ od Rzymu z wyjątkiem Mulwijskiego, który Belizariusz zdążył już obsadzić. Wielmoże Teudela czynili mu gniewne wyrzuty, że dał się ogłupić listem Belizariusza i uchronił Rzym od całkowitego zniszczenia. Powiadali, że gdyby wykonał swą pierwotną groźbę i zniszczył miasto do gołej ziemi, wojna nie mogłaby przybrać tak niepomysłnego obrotu. Lecz kiedy przyszedł do Tivoli, zapytał ich:

- A przypuścmy, że całe Tivoli zostałoby zrównane z ziemią? Ależ, moi panowie, błąd w Rzymie - jeśli to był błąd - jest waszą zasługą: bowiem każdemu z was kazałem całkowicie zniszczyć odcinek rzymskich murów, lecz byliście za leniwi i zostawiliście za dużo. Na szczęście to samo zrobiliście tutaj; toteż szybką odbudową murów Tivoli możecie się zrehabilitować za nie-



dbalstwo w Rzymie. Do roboty, do roboty, i niech was potomni chwalą!

Belizariusz znalazł teraz potrzebnych rzemieślników do wykonania nowych bram miejskich. Niebawem bramy były już na swoich miejscach. Przed końcem lutego mógł już przesłać Justynianowi komplet kluczy, prosząc w zamian za to o posiłki, które umożliwiłyby odzyskanie Italii, i pieniądze na opłacenie wojska. „Dwa razy daje, kto szybko daje - pisał Belizariusz - i sądzę, że ten wydatek będę mógł szybko pokryć osobą i skarbami kolejnego króla wziętego w niewolę.”

Pisał nie raz, ale trzy razy, a moja pani pisała również do Teodory. Nie przyszła ani odpowiedź, ani posiłki. Kiedy zostawiliśmy konieczne garnizony w Ostii i Civitavecchia, Belizariusz potrzebował armii polowej bardziej niż kiedykolwiek przedtem i opłacał teraz z własnej kieszeni zarówno regularne oddziały, jak i prywatne. Nie było również możliwe, choć czynił takie próby, ściągnąć najmniejszych nawet podatków od zubożałych Italczyków. Nie mieli ani pieniędzy, ani nic, co można by wymienić na pieniądze.

Justynian odpowiedział wreszcie, że już wysłał dużą armię do Italii pod dowództwem Waleriana. Rozkazywał Belizariuszowi i Krwawemu Janowi (którzy nie widzieli się już od trzech lat), żeby się pogodzili. Mieli połączyć swe siły w Tarentum, gdzie armia cesarska powinna niebawem przybyć.

Lecz Walerian pozostawał całymi miesiącami na bałkańskim brzegu Adriatyku, skierowawszy jedynie trzystu ludzi do działań w Italii. Nie była to jego wina: znowu zaczął się najazd na Ilirię - tym razem najeźdźcami nie byli Bułgarzy, lecz olbrzymie niezdyscyplinowane masy Słowian - a Walerian otrzymał rozkaz nie

opuszczania Durazzo, póki nie minie niebezpieczeństwo. Generał dowodzący wojskami cesarskimi w Ilirii nie ośmielał się wystąpić przeciwko hordom Słowian, tylko biernie posuwał się na ich tyłach od okręgu do okręgu. Ta ostrożność wynikała z rebelianckich nastrojów w wojsku, które nie było opłacane od wielu miesięcy, a żeby sobie to powetować, plądrowało już splądrowany kraj. Cała diecezja osiągnęła stan opisany przez żydowskiego proroka Joela: „Ostatek gąsienice zjadła szarańcza, a ostatek szarańczy zjadł chrząszcz, a ostatek chrząszcza zjadła rdza.”

Nie wiedzieliśmy o najeździe Słowian ani o zatrzymaniu Waleriana i wesoło żeglowaliśmy do Tarentum. Z nami płynęli wszyscy żołnierze nie przeznaczeni do służby garnizonowej - zaledwie siedmuset kawalerzystów i dwustu piechurów. Jeśli chodzi o mnie, to nie martwiłem się pożegnawszy Rzym. Gdy w początkach czerwca opuściliśmy port rzymski i niesieni pomyślnym wiatrem płynęliśmy ku Cieśninie Mesyńskiej, wszyscy mieliśmy nadzieję szybkiego i zwycięskiego powrotu do Konstantynopola. Po przejściu cieśniny nasze żaglowce, holowane teraz przez galery, walczyły z przeciwnym wiatrem koło „podeszwy trzewika”, jak nazywają tę część południowej Italii ze względu na jej kształt na mapie. Wzięliśmy kurs na Tarentum, które leży u samej nasady wysokiego obcasa trzewika. Lecz, używając dalej tej geograficznej przenośni, nie minęliśmy jeszcze podbicia stopy, gdy uderzyła na nas straszliwa północno-wschodnia burza i musieliśmy szukać schronienia w Crotone, gdzie znajduje się jedyna bezpieczna przystań na przestrzeni wielu mil. Początkowo sytuacja wyglądała dość groźnie: niewielu żołnierzy, nie ufortyfikowane miasto, niezbyt odległa armia gocka, mało zboża, a w dodatku wiatr dął bez

przerwy z północnego wschodu. Belizariusz namówił wszystkich zdrowych mieszkańców miasta, mężczyzn i kobiety, by pomogli jego piechocie otoczyć miasto wałem wzmocnionym palisadą i fosą. Siedmiuset kawalerzystów wysłał naprzód, by obsadzili dwa wąskie przejścia w łańcuchu górskim (na podbiciu trzewika), które zamykają i chronią okręg Crotone. Lecz im dłużej przypatrywał się sytuacji, tym bardziej mu się podobała. Okręg obfitował w pastwiska i było tu mnóstwo bydła. Belizariusz wskazał swoim oficerom, że góry czynią miasto naturalną fortecą, o wiele wygodniejszą dla koncentracji jego armii niż Tarentum. „To szczęśliwy wiatr nas tu przywiał - rzekł. - Tu będzie punkt zborny naszych armii.”

Kiedy jednak doglądał prac przy oblicowywaniu wału kamieniami i budowie wież czekając nadal, aż wiatr się zmieni, nagle stało się nieszczęście. Jego siedmiuset kawalerzystów ledwie osiągnęło przełęcz górskie, gdy ujrzało duży oddział lansjerów króla Teudela. Goci ciągnęli na oblężenie Rossano - sąsiedniego miasta na brzegu między Crotone i Tarentum. Właśnie w Rossano Krwawy Jan zmagazynował wszystkie swe łupy z ostatnich trzech lat i wielu italskich szlachciców również się tam schroniło. Nasi kawalerzyści przygotowali zasadzkę, przepędzili lansjerów i zabili dwustu z nich. Lecz zwycięstwo dało im fałszywe poczucie bezpieczeństwa, a nie mając z sobą Belizariusza, by ich pilnował, zaniedbali swe obowiązki, nie wystawili placówek na przełęczach i zupełnie zlekceważyli nieprzyjaciela. Małymi grupkami robili wyprawy furazowe albo grali w kości i polowali. Pewnego dnia o zmierzchu zaskoczył ich król Teudel we własnej osobie na czele trzytysięcznego oddziału gwardii przybocznej. Nie byli na to przygotowani i, choć walczyli

dzielnie, ponieśli klęskę. Goci Teudela stratowali wszystkich z wyjątkiem pięćdziesięciu uciekinierów, którzy dotarli z wieścią do Crotone, zaledwie parę minut przez przybyciem Teudela. Fortyfikacje miejskie nie były jeszcze wykończone, ponieważ planowano je na szeroką skalę, i Belizariusz nie miał innego wyboru, jak tylko wsiąść natychmiast na okręty z dwiema setkami piechurów i pięćdziesięciu kawalerzystami, którzy uszli zagładzie. Crotone pozostawiono w rękach Teudela. Sztorm, który wpłynął na zwłokę w naszej podróży, dał nadal i zaniósł nas w ciągu jednego dnia na Sycylię, leżącą w odległości stu mil.

Niewiele mogę dodać do opisu ostatniej kampanii Belizariusza. Ściągnął dwa tysiące żołnierzy z garnizonów na Sycylii, załadował ich na okręty i wyruszyliśmy do Otranto. Dotarliśmy tam bez przeszkód. „Duża armia”, którą obiecywał Justynian, właśnie przybyła pod dowództwem Waleriana ze Spalato, a druga „duża armia” - prosto z Konstantynopola. Sądzę, że miały one służyć tylko do mydlenia oczu. Obie armie liczyły w sumie ledwie trzy tysiące ludzi, przy czym większa ich część składała się z niewyszkolonych rekrutów!

Belizariusz powiedział do mojej pani:

- Najdroższa, te armie są jak trzy krople wody na języku człowieka umierającego z pragnienia. Muszę ci wyznać, że moje prywatne środki już się skończyły.

Cały mój majątek osobisty z wyjątkiem paru tysięcy sztuk złota wydałem na koszt tej wojny. Zastawiłem połowę moich posiadłości w Konstantynopolu i sprzedałem folwarki w Czernienie i Adrianopolu. Ludzie są mi winni dużo pieniędzy, których nie mogę odebrać. Na przykład pewną sprawę ukryłem przed tobą ze wstydu - moje interesy z Herodianem, który dowodził w Spoleto dwa lata temu. Pożyczył ode mnie

pięćdziesiąt tysięcy sztuk złota bez procentu na trzy miesiące. Powiedział mi, zresztą zgodnie z prawdą, że jego wuj zostawił mu duży spadek i że potrzebuje tymczasem pieniędzy na opłacenie i aprowizowanie wojska. Kiedy po sześciu miesiącach zapytałem o zwrot długu, wiedząc, że przysłano mu do Rawenny pieniądze ze spadku, bezczelnie zagroził, że sprzeda Spoletu Gotom, jeśli będę dusił go tak brutalnie, i zwróci mi dług z nagrody, jaką otrzyma za zdradę. Kiedy zwymyślałem go za tę odpowiedź, istotnie sprzedał Spoletu i stał się jednym z towarzyszy hulanki Teudela. Teraz ma moje pieniądze, swój spadek i nagrodę za zdradzieckie wydanie Spoletu, a ja nie mam nic. Sam cesarz jest mi winien olbrzymią sumę za utrzymywanie jego regularnych wojsk. Na to się nie skarzę: poświęcam życie służbie cesarza i to, że jestem jego wierzytelnym, sprawia mi zaszczyt. Lecz bez ludzi i pieniędzy nie można prowadzić żadnej wojny.

Moja pani odpowiedziała:

- Pozwól mi osobiście pojechać do Konstantynopola, mój najdroższy mężu. Zrobię tak, żeby cesarzowa przekonała cesarza, że albo musi wysłać dużą armię i odpowiednią ilość pieniędzy do ponownego zdobycia Italii, albo musi zostawić Italię Gotom. Możesz być pewien, mój kochany, że nie będę zwlekać z tą sprawą.

Wyruszyła więc (a ja z nią) w połowie czerwca. Podróż była uciążliwa z powodu przeciwnych wiatrów. Płynęliśmy koło brzegów Grecji, minąwszy właśnie Salaminę, gdy statek z Salonik zataczając się na wietrze zjawił się po naszej sterburcie. Stałem na dziobie i krzyknąłem po łacinie:

-Jakie dobre nowiny macie, żeglarze? Albowiem na morzu można się pytać tylko o dobre nowiny, a wszystkie inne pytania podobno przynoszą nieszczęście.

Zastępca kapitana odkrzyknął mi ze statku:

- Naprawdę mamy dobre wieści. Bestia nie żyje!

Krzyknąłem:

- Jaka bestia, panie?

W odpowiedzi dosłyszałem niewyraźny okrzyk. Statek był już prawie poza zasięgiem głosu, a ja powtórzyłem przeraźliwie:

- Jaka bestia?

Jakiś żeglarz składając ręce przy ustach ryknął mi w odpowiedzi poprzez szum wiatru:

- *Peñerunt ambo* - co znaczy: „Obie nie żyją.” Po tem usłyszałem donośny śmiech, ale nic więcej. Imię jednej z bestii zgadliśmy właściwie - chodziło o wielo ryba Porfira, ale było wiele domysłów na naszym statku na temat tożsamości drugiej. Więc wreszcie Porfira spotkała śmierć. Relacja, jaką usłyszeliśmy w następnym porcie, była dość absurdalna. Wszyscy wiedzieliśmy doskonale, że Porfir ze względu na konstrukcję przetyku mógł jeść jedynie drobne rybki, teraz zaś przypisywano mu, że gonił stado delfinów aż na płytką wodę koło ujścia rzeki Sangarius (która wpada do Morza Czarnego około stu mil na wschód od Bosforu), że połknął z dziesięć tych delfinów i z zapalem chrupał ich kości, kiedy znaleziono go na mieliźnie koło brzegu. Sądzę, że naprawdę Porfir i delfiny ścigały razem wielką ławicę małych rybek, a Porfir poszedł w ślad za delfinami na płytką wodę. W każdym bądź razie rybacy z najbliższych wsi podpłynęli w łodziach i zaatakowali Porfira siekierami i bosakami. Był tak za grzebany w mule, że nie mógł podnieść ogona, by po rozbijać łodzie. Jednak wydawało się, że żadna broń nie czyni mu szkody, więc rybacy obwinęli go grubymi linami, przymocowali kołowrót do grubego drzewa i wyciągnęli wieloryba na brzeg. Następnie spro-

wadzili żołnierzy z najbliższej placówki, którzy załadowali się z nim długimi włóczniami. Porfir miał czterdzieści pięć stóp długości i piętnaście stóp w najszerszym miejscu. Dostarczył pożywienia całemu okręgowi na wiele miesięcy, albowiem mięso, którego nie zjedzono w stanie świeżym, zostało wysuszone lub zamarynowane. W warstwie mięsa na jego głowie - albo raczej jej głowie, ponieważ Porfir okazał się samicą - znaleziono długą strzałę z białymi piórami, bez wątplenia tę samą, którą Belizariusz kiedyś wystrzelił, lecz w gardle nie było ani śladu pomalowanego na błękitno oszczepu z katapulty.

Druga bestia, o której mówił żeglarz, nie była w ogóle bestią wedle pojęć mojej pani. W rzeczy samej nie mogliśmy otrzymać gorszej nowiny ze stolicy. Teodora umarła. Niespodziewanie na jej piersi pojawił się rak i rozszerzył się szybko na całe ciało. Umarła odważnie po kilku tygodniach choroby i ciężkich bólów.

Nasz żal mieszał się ze zdumieniem. Przypomniano teraz, że pierwsze pojawienie się wieloryba w cieśninach zbiegło się z dniem pierwszego przybycia do stolicy Teodory z jej ojcem Akacjuszem - tak jak jej śmierć co do godziny zgadzała się ze śmiercią wieloryba; ponadto tego dnia, gdy Belizariusz i milicja błękitnych wyruszyła przeciwko Porfirowi i zraniła zwierzę, Teodora dostała napadu straszliwych bólów głowy, które od tego czasu stale ją dręczyły. Czyżby więc Porfir był jej bratnim duchem?

Moja pani natychmiast rozpoczęła żałobę po Teodorze, a później odprawiła pogańskie modły i złożyła jej duchowi ofiarę z czarnego barana. Powiedziała:

- Chrześcijańskiego Boga przebłagały liczne msze. Lecz w tajemnicy Teodora czciła również starych bogów.

Kontynuowaliśmy naszą podróż, gdyż pani przyszła do przekonania, że skoro dotarła już tak daleko, powinna przynajmniej spróbować namówić Justyniana do rozsądnego traktowania wojny w Italii.

Jak się moja pani przekonała, cesarz bynajmniej nie rozpaczał po śmierci Teodory, lecz był w bardzo wesołym nastroju, jak mały chłopiec, którego opiekunka czy matka nagle zachorowała i który teraz może swobodnie płatać brzydkie figle dające mu tyle przyjemności. Usunął z parafii i biskupstw wszystkich duchownych o skłonnościach monofizyckich, których Teodora protegowała. Ponadto, choć miał sześćdziesiąt pięć lat, zaczął oddawać się burzliwym namiętnościom, by nadrobić sobie wszystkie lata wstrzeźliwości pod okiem Teodory. Istotnie, jego męskość służyła mu jeszcze przez piętnaście lat. Jego agenci stale odwiedzali targi niewolników, szukając dla niego przystojnych dziewczyn, a poza tym napastował córki wielu dam Teodory. Do wnuczki pani Chrysmallo, która wyrywała się z jego uścisków, powiedział uprzejmie:

- Twoja babka była zupełnie taka sama, moja droga. Ale zrobiła, czego od niej żądałem, bowiem było to jej obowiązkiem.

Uczył się jedynym spadkobiercą Teodory, skreślając wszelkie jej legaty - łącznie z bardzo dużym zapiskiem dla mojej pani i pięciu tysiącami w złocie przeznaczonymi dla mnie. Cesarzowa bardzo wdzięcznie wspominała mnie w testamencie.

Na audiencji, jakiej udzielił mojej pani bezpośrednio po jej przybyciu, powiedziała mu bardzo wyraźnie i dokładnie, jak wyglądają sprawy w Italii. Słuchał z pozornym zainteresowaniem. Lecz na wiadomość, że Belizariusz dysponuje w Otranto tylko stu pięćdziesięcioma



ludźmi z gwardii przybocznej - bowiem stu ludzi broni Rossano, a reszta albo nie żyje, albo została w okolicach Rzymu - i że znowu jest biednym człowiekiem, ten zły cesarz nie mógł ukryć swego zadowolenia.

Powiedział do mojej pani:

- Więc zwycięski Belizariusz przyznał się wreszcie do nieudolności, he? Lecz nie, nie możemy zwrócić pieniędzy, które głupio roztrwonił w swoich śmiesznych kampaniach. Cóż to za tchórzliwy sposób prowadzenia wojny - żeglować od portu do portu, chociaż się w fortcach, unikać bitwy! He, Narsesie? Powinien wziąć lekcje u naszego dzielnego Jana, który się niczego nie boi. Oczywiście nie możemy mu postać ani więcej wojska, ani więcej pieniędzy. Ten komes Belizariusz stale krzyczy jak te końskie pijawki wspomniane przez króla Salomona: „Daj, daj.” Salomon, ze chciej sobie przypomnieć, uważał, że pięciu rzeczy nie można nigdy zaspokoić: grobu, namiętności, niepełnej kobiety, piaszczystej gleby i ognia. Gdyby mądry Salomon żył teraz, bez wątpienia dodałby do tego imię komesa Belizariusza.

Kiedy skończył, moja pani zapytała spokojnie:

- Ale Italia, wasza łaskawość? Czy wasza cesarska mość jest przygotowana stracić suwerenność nad Italią?

Odpart:

- Nie, zaprawdę, prześwietna pani Antonino, i z tego właśnie powodu odwołamy twojego małżonka z tego kraju i wyznaczymy na jego miejsce odpowiedniejszego dowódcę. Lecz nie chcemy poniżyć starego towarzysza. Postaramy się stwierdzić w liście, że jego służby są znów potrzebne przeciwko Persom, którzy nadal dyskutują z nami sprawę posiadania Kolchidy.

Ukłoniła się.

- Jak się podoba waszej światłości. Poprosiłabym o natychmiastowy rozkaz odwołania. Bez wątpienia wielki szambelan, dzielny Narses, dorosnie do zadania, którego nie udało się rozwiązać mojemu Belizariuszowi.

Nie dostrzegając ironii Justynian odpowiedział:

-Twojej propozycji poświęcimy baczną rozwagę. Zawołał o pergamin i atrament i wyglądało na to, że zabiera się do podpisywania listów, gdy nagle odłożył poplamione purpurą gęsie pióro. Powiedział:

-Zaraz, zaraz! Najpierw wymagamy od ciebie pewnego przyrzeczenia, najlepsza z kobiet.

Moja pani odparła:

-Jeśli tylko będzie leżało w mojej mocy. Rzekł jej z chytrym uśmieszkiem:

-Pragniemy, żebyś podpisała dokument zrywający zaręczyny między twą córką Janiną i Anastazjuszem, wnukiem mojej świętej pamięci cesarzowej.

Pani Antonina zastanowiła się szybko. Wydawało się, że nie ma powodu odmówić temu żądaniu, bo po śmierci Teodory Anastazjusz stał się osobą bez znaczenia. Może Justynian zamierza wydać za mąż dziewczynę za jednego z siostrzeńców czy wnuczków - może za Justyna, syna Germanusa, myśląc, że wniesie mu piękny posag.

Odpowiedziała:

- Zarówno ja, jak i mój mąż z największym zadowoleniem słuchamy waszej jasności we wszystkich sprawach.

Kiedy podpisała dokument, który zaraz potem przygotowano, ktoś - zdaje się młody Justyn - zachichotał. Justynian obejrzał się z zachętą i zaczął chichotać i kręcić się na tronie; jawny śmiech szybko ogarnął wszystkich zebranych w pokoju audiencyjnym. Moja

pani była zakłopotana, zła i zdziwiona. Złożyła kolejny ukłon i cofnęła się.

Istotnie, moją panią okrutnie wyprowadzono w pole. Nie wiedziała zupełnie, co się działo przez cały ten czas z jej wesołą córką Janiną. Janina, teraz w piętnastym roku życia, od dawna wyprzedziła dzień ślubu, który odkładano do powrotu jej rodziców, i za zezwoleniem Teodory aż do niedawna mieszkała razem z Anastazjuszem „Długonogim”, którego dawno kochała, zupełnie jak by była jego żoną. Po śmierci Teodory na dworze przywrócono zwykłe chrześcijańskie obyczaje: Janinie kazano wrócić do jej apartamentów. Lecz choć Justynian nie chciał dopuścić do małżeństwa patrycjusza z kobietą, która niewątpliwie nie była już dziewicą, Anastazjusz chciał dotrzymać umowy, będąc zakochany w tej biednej dziewczynie. Teraz moja pani zerwała umowę bez odwołania, nierozsądnie przekreśliwszy dla Janiny możliwość zaślubienia kiedykolwiek mężczyzny z jej stanu. Był to gorzki wstyd dla mojej pani i dla Belizariusza, kiedy o tym usłyszał. Janina zaklinała się, że Teodora zmusiła ją do tego grzechu, ale on wiedział, że sprawa wcale tak nie wyglądała. Justynian otwarcie zachwycał się tym niegodnym władcy triumfem. Janina, pozostając w stanie bezżennym, wdziaka pokutniczy welon, ze względu na hańbę, jaką sprowadziła na siebie i na swych rodziców.

Tymczasem Belizariusz organizował całą armię. Przyłączył się do niego Krwawy Jan, jednak jego dywizja zmniejszyła się teraz do tysiąca lekkiej kawalerii. Wyruszyli drogą morską z Otranto na odsiecz Rossano, ale huragan rozproszył flotę zatapiając kilka statków. W parę dni później reszta armii zebrała się ponownie w Crotone i jeszcze raz wyruszyła do Rossano. Tym razem jednak król Teudel był na miejscu, gotów

przeszkodzić w lądowaniu. Na wąskiej plaży jego gwardziści ustawili się w zwartym szyku bojowym, umieszczając łuczników na wygodnych stanowiskach; próba desantu byłaby samobójstwem. Ponadto na tym niebezpiecznym brzegu nie było innych miejsc dogodnych do lądowania. Belizariusz z żalem wrócił do Crotone zostawiając załozę wybór między śmiercią a niewolą. Prócz załogi w mieście znajdowało się jego stu Traków.

Na radzie wojennej zdecydowano, że Krwawy Jan i Walerian użyją swych kawalerzystów dla niepokojenia linii komunikacyjnych Teudela, natomiast Belizariusz wróci do Rzymu, żeby umocnić fortyfikacje i dodać odwagi tamtejszej załozę. Wojna nie była jeszcze przegrana.

Wtedy przyszło odwołanie z Konstantynopola. Gdy tylko wieść o odwołaniu Belizariusza dotarła do Rossano, miasto poddało się. Następnie skapitulowała Perugia. Wieści z Rzymu mówiły również o złych konsekwencjach decyzji cesarza. W mieście o mało nie doszło do buntu: żołnierze zabili nowego gubernatora za wyprzedawanie po wysokich cenach zapasów wojskowych cywilom, lecz Diogenes, jeden ze starych i nielicznych już oficerów Belizariusza, przywrócił dyscyplinę. Diogenes przygotowywał się do spodziewanego oblężenia zasiewając wszystkie ogrody, parki i skrawki ziemi w mieście i chociaż król Teudel przybywszy z Rossano zajął port rzymski i przeciął w ten sposób komunikację z morzem, wszystkie jego zamachy na mury miejskie załamały się. Diogenes był trzeci raz oblegany w Rzymie i dobrze znał się na organizacji obrony. Koniec był jednak wiadomy, ponieważ żołnierze załogi stracili wszelką nadzieję na odsiecz, gdy się dowiedzieli, że Belizariusz odjechał.

Nawet żołnierze z pułku przybocznego poddali się złym nastrojom narzekając, że zgłosili się ochotniczo na chwalebłą służbę pod dowództwem Belizariusza, a nie chcą gnić nie opłacani, źle karmieni i pozbawieni dowódcy w zrujnowanym Rzymie. Wszelako to grupa Izauryjczyków, a nie żołnierze Belizariusza, sprzedała miasto Teudelowi i Rzym zmienił panów po raz czwarty w ciągu niewielu lat. Uciekająca załoga wpadła w zasadzkę i jedynie około stu ludzi dotarło bezpiecznie do Civitavecchia, ostatniego bastionu cesarstwa na Zachodzie, gdzie ranny Diogenes objął dowództwo. Niemniej, kilku weteranów z pułku Belizariusza nadal trzymało mauzoleum Hadriana opierając się wszelkim szturmom - aż po wielu dniach skapitulowali również z grozy na myśl, że będą musieli jeść końskie mięso. Zażądali co prawda honorów wojskowych i otrzymali je.

Król Teudel z kolei najechał Sycylię. Nasze wojska pozamykały się tam w portach i pozwoliły mu pustoszyć całą wyspę. Italię z wyjątkiem niektórych małych fortec i Rawenny oddano Gotom.

Kiedy Belizariusz przybył do Konstantynopola, Justynian najpierw uczynił mu łajdackie wyrzuty, a następnie - obelga naprawdę trudna do zniesienia - łaskawie mu przebaczył. Belizariusz, będąc pewny, że uczynił więcej, niż nawet najbardziej chciwy i kapryśny monarcha mógł wymagać od swego poddanego, odpowiedział tylko, że zawsze służył cesarskiej mości. Jego wierność i duma nie pozwoliły mu odpowiedzieć inaczej.

Powrót Belizariusza łączył się z pewnym niebezpieczeństwem. W pałacu rozwijał się spisek kierowany przez zuchwałego i mściwego generała imieniem Artaban. Spisek miał na celu zamordowanie cesarza i osadzenie na tronie jego siostrzeńca Germanusa, którego Justynian traktował bardzo źle. Zamach odto-

żono na kilka dni, aż Belizariusz przybędzie do miasta. Nie chodziło bynajmniej o to, że Artaban i jego kole-dzy-konspiratorzy (wśród nich był Marcellus, dowódca gwardii) uważali, że Belizariusz może się do nich przyłączyć. Przeciwnie - wiedząc o jego niezłomnej wierności, uważali, iż bezpieczniej będzie i jego również zamordować. Miano mu zadać cios, gdy będzie przechodził przez przedmieścia, by złożyć swe uszanowanie w pałacu. Jednak Germanus, gdy wyjawiono mu spisek, odmówił udziału i pośpieszył poinformować o tym Justyniana, istotnie wstrząśnięty tak straszliwą propozycją. Konspiratorów aresztowano w tym samym dniu, kiedy Belizariusz wylądował i dotarł do pałacu bez przeszkód.

W końcu Justynian przebaczył spiskowcom.

Komes Belizariusz stał się teraz biednym człowiekiem i nie mógł rekrutować już żołnierzy nawet dla ochrony osobistej. We wszystkim był zależny od mojej pani Antoniny, włączając w to nawet drobne codzienne wydatki. Ale żaden fałszywy wstyd nie przeszkadzał mu w przyjmowaniu od niej tego rodzaju emerytury. Powiedział:

- Jesteśmy nie tylko małżeństwem, lecz starymi towarzyszami broni, którzy wzajemnie dzielą się swymi pieniędzmi.

Antonina sięgnęła do swych ukrytych rezerw i wykupiła zastawione folwarki męża. Żyli spokojnie w domu koło łuku Honoriusza po zachodniej stronie placu Byka. (Na tym to łuku umieszczono mosiężne wizerunki znanych owadów; podobno umieścić je tam słynny magik Apoloniusz z Tiany jako znaki magiczne przeciwko różnym chorobom.)

Justynian nie wysłał Belizariusza na wojnę w Kolchidzie, woląc trzymać go bez zajęcia w mieście. Przy-

wrócił mu stary tytuł „dowódcy Armii Wschodu”, a także obdarzył go nowym - „dowódca gwardii cesarskich”, lecz nie pozwalał mu odgrywać jakiegokolwiek roli w sprawach wojskowych i nawet ani razu nie pytał go o radę.

Teologiczne broszury Justyniana przyniosły mu mało chwały, a zwołany przez niego sobór wszystkich biskupów chrześcijaństwa (stu osiemdziesięciu czy nawet więcej) przyniósł mało chwały Kościołowi. Choć cesarz zmuszał sobór groźbami do wyklęcia pewnych dzieł przeciwnych monofizytom, których teraz popierał, ci heretycy nie wrócili z wdzięczności do prawowiernej wspólnoty, lecz uporczywie trzymali się oddzielnie. Ponadto papież Wigiliusz całkowicie nie zgadzał się ze swymi prałotami i cesarzem co do właściwości wyklęcia i czynił wszystko, by się w to nie angażować. Wreszcie, w obawie o swe życie, poszukał azylu w kościele apostoła Piotra w Konstantynopolu, by dopiero po dłuższej zwłoce i wielu targach zgodzić się - ponieważ nie należał do gatunku męczenników - na aprobatę odkryć soboru. Po powrocie do Italii stanął w obliczu schizmy, gdyż duchowieństwo prawie całego prawowiernego Kościoła uważało wyklęte dzieła za szłusne. Jednak wszyscy biskupi, których diecezje mogły być kontrolowane przez wojskowe siły Konstantynopola - głównie w Afryce i Ilirii - zostali zmuszeni do zgody albo złożeni ze swych godności i uwięzieni. Biskupi z Italii, Sycylii, Francji i Hiszpanii trwali w swym oporze.

Biskupi Zachodu, chociaż nienawidzili Teodory jako monofizytki, ogromnie żalowali jej śmierci. Mówili: „Gdyby ona żyła, wyśmiałaby teologiczne zapędy cesarza i soboru nigdy by nie zwoływano.”

## Rozdział XXIII TRZYSTU

### WETERANÓW

Zamierzam teraz zakończyć pewną ilość mniej ważnych wątków, a potem powiedzieć o ostatniej bitwie Belizariusza, która będzie pieśnią nad pieśniami, „najświetniejszym klejnotem w diademie jego zwycięstw”, jak powiadali panegiryczni pisarze. Ale potem pozostanie jeszcze jeden rozdział, który tak mnie niepokoi, że drzę na myśl o nim.

Zacznę od spraw na Wschodzie, Król Khosrou nadal żyje w roku pańskim 571, kiedy piszę tę książkę. Skończył najazdy na rzymską Mezopotamię i Syrię od czasu, kiedy Belizariusz zawrócił go spod Karczemisz; jednak Saracenowie, sojusznicy króla perskiego, nadal nękają nasze granice. Natomiast ze zmiennym szczęściem ciągnął nadal wojnę w Kolchidzie. Dopiero dziesięć lat temu, kiedy podpisano kolejny pokój wieczysty, cofnął swe pretensje do władzy nad Kolchidą, a Justynian zgodził się płacić mu niewielką roczną dаниnę. (Kiedy to piszę, również i ten pokój został zerwany - tym razem przez Rzymian. Ponadto odbyła się uwieńczona powodzeniem rewolta chrześcijan w perskiej Armenii, którzy poddali się pod rzymską" protekcję.) Khosrou, jak wszyscy jego poprzednicy, doświadczył największej wrogości ze strony swych najbliższych krewnych, bowiem kobiety perskie nie są darzone żadnym szacunkiem i nie mają mocy po-



wstrzymywać swych mężczyzn od obopólnych mordstw. Jego ulubiony syn, narodzony z chrześcijańskiej kobiety, przyjął chrześcijaństwo, gdy tylko doszedł do pełnoletności, i niedawno rozniecił bunt z wielką częścią armii; Khosrou zmiażdżył go w bitwie i młody człowiek umarł.

Khosrou, chociaż najpierw odnosił się podejrzliwie do filozofii greckiej, w swych dojrzałych latach studiował ją z wielkim zainteresowaniem i przedkładał nad wiarę magów. W ten sposób ognisko starej religii, zduszone w Atenach przez Justyniana, zapłonęło na nowo nie tylko w Nowej Antiochii nad Eufratem, lecz w samej Persji na wielkim uniwersytecie Gondi Sapor koło Suzy Najlepszych z greckich klasyków przetłumaczono na perski wraz z dziełami łacińskimi i sanskryckimi. Natomiast Khosrou nie znosi chrześcijaństwa i prześladuje je jako religię, która prowadzi ludzi do lekceważenia obowiązków w tym życiu w nadziei zbawienia w życiu przyszłym oraz dąży do pohańbienia domu królewskiego Persji, przyznając boskość Żydowi niewyraźnego pochodzenia i buntowniczego ducha. Prześladuje również doktrynę zwaną komunizmem: tę naukę głosił najpierw niejaki Mazdak, który zaczerpnął ją z wczesnych praktyk chrześcijańskich, lecz pragnął, żeby wspólnota posiadania dotyczyła nie tylko dóbr i pieniędzy, ale także kobiet. Khosrou cieszy się dobrym zdrowiem i rządzi energicznie. Nie wiem, czy to magowie, czy greccy filozofowie przekonali go, że potomność podziwia władcę nie tyle za wojny zaczepne przeciwko sąsiadom, ile za jego szlachetność, sprawiedliwość, kulturę, zdecydowaną obronę swego kraju i energiczną dbałość o dobrobyt swych podwładnych w kraju i za granicą. Takie przynajmniej są obecne poglądy króla Khosrou. Od czasu spustoszeń

dokonanych przez dżumę, którą uznał za znak ostrzegawczy z niebios, odnosił się z największą despotyczną pieczołowitością do swego ludu i odbudował, zaludnił i wzbogacił wszystkie te okręgi, które ucierpiały od najazdów Rzymian, Arabów czy Hunów. Już zyskał przydomek Nuszirwan („Szlachetny umysł”), a imię jego będzie czczone długo w historii perskiej. Powiedzą o nim: „Popierał handel, rolnictwo i naukę -to były dobre czasy.” Gdyż Persja jest teraz potężna, zamożna, zadowolona. Gdybyż to samo można było zgodnie z prawdą powiedzieć o naszym cesarstwie po długim panowaniu ambitnego kolegi króla perskiego - Justyniana!

Teraz o królu Teudelu. Cztery lata po milczącej zgodzie (po odwołaniu Belizariusza) na ustąpienie Gottom całej Italii z wyjątkiem Rawenny, Justynian uznał za stosowne wznowić wojnę; dla jego polityki religijnej było niewygodne, że biskupi północnej Italii wypowiadają posłuszeństwo papieżowi Wigiliuszowi i że arianizm nie został jeszcze zdruzgotany. Postanowił wznowić wojnę, tylko nie mógł się zdecydować, żeby rzucić na nią odpowiednie siły i wybrać odpowiedniego generała, by nimi dowodził. Tylko pod jednym względem był zdecydowany: że nigdy nie da Belizariuszowi jakiegokolwiek możliwości wyróżnienia się. Teraz, gdy byliśmy bezpieczni w Konstantynopolu, dla mnie i dla mojej pani było istną komedią patrzeć na kapryśne sztuczki Justyniana, które niegdyś sprawiały nam tyle trudności w Italii. Belizariusz nic nam nie mówił na te tematy i przypuszczam, że nawet w duszy powstrzymywał się od wszelkiego krytykowania polityki cesarskiej.

Najpierw Justynian wysłał Germanusa z pięcioma tysiącami ludzi na Sycylię. Potem się zaczął zasta-

nawiać, że to właśnie Germanusa spiskowcy wybrali niedawno na cesarza i że jest blisko spokrewniony z Gotami - ożenił się z Matasonką, dawną żoną króla Witticha, a syn, którego z nią miał, był jedynym żyjącym męskim potomkiem wielkiego Teoderyka. Odwołując raptownie Germanusa, Justynian powierzył dowództwo niejakiemu Liberiuszowi, staremu, Bogu ducha winnemu patrycjuszowi, który nie miał pojęcia o wojsku.

Wtedy ktoś szepnął, że poglądy Liberiusza na wcielenie nie są całkiem prawowierne. Odwołał więc Liberiusza i (jak by nie mógł już nikogo lepszego wybrać) mianował wodzem Artabana, któremu teraz darował zamach na swe życie i awansował go nawet!

Lecz zastanowiwszy się, znowu doszedł do wniosku, że Artaban mimo wszystko może się okazać ambitny i sam mieć ochotę na godność cesarza Zachodu. Znowu więc mianował Germanusa przypominając sobie, że to przez jego niedbałość w fortyfikowaniu skały Orociasias padła Antiochia - człowiek z tak czarną plamą na swej przeszłości nie może być przecież uważany za rywala Justyniana.

W drodze do Italii Germanus zmarł nagle, jakimś sposobem otruty przez Matasonkę. Dowództwo objęli razem dwaj jego zastępcy - Krwawy Jan i starszy syn Germanusa, imiennik Justyniana. Justynian nie chciał dać wyłącznego dowództwa Krwawemu Janowi i czynić w ten sposób wstyd swemu wnuczce i imiennikowi; z drugiej strony nie chciał, by ktokolwiek o imieniu Justynian zyskał sławę. Więc odwołał obu oficerów.

- Co dalej? - pytaliśmy się nawzajem z moją panią.  
-Jaki będzie piąty akt sztuki pod tytułem „Podejrzliwy żartok”?

Wówczas pewnego dnia przyszedł do mnie zaufany służący Narsesa i powiedział:

- Przyjacielu Eugeniuszu, jeśli mogę rozmawiać z tobą nieoficjalnie jak jeden służący z drugim, czy byłoby możliwe, żeby twoja pani, prześwietna Antonina, zamieniła w cztery oczy parę słów z moim panem?

Odpowiedziałem:

- Jeśli twój pan, znakomity Narses, ma przyjemne wiadomości dla mojej pani, to ona oczywiście chętnie ich wysłucha, a przynajmniej nie potraktuje twojego pana z takim brakiem respektu, jaki on raz okazał jej i jej mężowi, komesowi Belizariuszowi, w Italii. Ponad to moja pani i twój pan pracowali harmonijnie razem, przynajmniej w jednym przypadku, kiedy zorganizowano zasadzkę na Jana z Kapadocji. Z pewnością spotkanie może się odbyć.

Po tym wstępie Narses oficjalnie poprosił o audiencję i udzielono mu jej. Stary Narses prosił moją panią o przebaczenie za zło, jakie wyrządził jej i Belizariuszowi dwanaście lat temu. Pragnął wiedzieć, czy Belizariusz przebaczy mu do tego stopnia, by mógł udzielić rady w ważnej sprawie państwowej.

Moja pani, która nie lekceważyła wpływów Narsesa, zmiękczona jego przeprosinami, zgodziła się na mediację między nim a Belizariuszem. Doszło więc do drugiego spotkania. To również było jak najbardziej przyjazne. Narses wyrażał żal za to, że dawniej sprzeciwiał się rozkazom Belizariusza i żywił podejrzenia co do jego lojalności. Belizariusz odpowiedział w sposób naturalny ujmując prawą dłoń Narsesa i ściskając go.

Mówiąc krótko, Narses miał następujące pytanie:

- Drogi przyjacielu, czy radzisz przyjąć zaszczyt, który cesarz mi narzuca, żebym dowodził wyprawą przeciwko Gotom? A jeśli tak, na jakich warunkach

mam go przyjąć? Nie potrafię ocenić wojskowej sytuacji w Italii, a tylko twoja ocena ma dla mnie znaczenie. Szlachetność Belizariusza nigdy nie przejawiała się jaśniej niż w jego odpowiedzi:

- Drogi przyjacielu, przyjmij ten zaszczyt. Wiem, że nikt nie ma większych możliwości niż ty, by wykonać to zadanie, które należy wypełnić dla dobra cesarstwa, a trzeba działać, zanim Goci odzyskają swą dawną siłę. Sądzę, że chodzi ci, ażebym oszacował liczebność i skład wojsk, bez których żaden generał, jakkolwiek energiczny, nie powinien próbować ponownego zdobycia Italii. Uważam, że potrzeba trzydzieści tysięcy ludzi, w tym przynajmniej dwadzieścia tysięcy kawalerii na dobrych koniach. W armii powinien znaleźć się kwiat wojsk rzymskich - rozproszone obecnie szwadrony mojego przybocznego pułku, które wyszkoliłem i wypróbowałem przeciwko Gotom. Potrzeba ponadto obfitości pieniędzy, nie tylko żeby opłacić do brzo armię, lecz także by pozyskać na nowo żołnierzy w Italii, którzy nie otrzymując żołdu zdezerterowali do Gotów.

Narses doskonale znał się na ludziach. Wiedział, że Belizariusz jest człowiekiem niezdolnym do podstępów i całkowicie oddanym cesarzowi. Odczekał chwilę, a potem powiedział:

- Dziękuję ci, Belizariuszu, nie tylko za twoją radę, lecz za oszczędzenie mi wspomnień o moim uporze. Gdyby tego nie było, Mediolan nie zostałby zniszczony.

Belizariusz odpowiedział:

- Narsesie, bardzo cenię twą otwartość i moje możliwości. Będą ci towarzyszyły.

Narses przyjął zlecenie Justyniana, jednak nastawał na warunki - nie wspominając, że to Belizariusz je

określił. Ludzie i pieniądze znalazły się natychmiast! Narses przyszedł znowu do Belizariusza i z pokorą poprosił go w imieniu ich nowej przyjaźni o radę, jakimi wojskowymi środkami najpewniej można pobić Gotów.

Belizariusz odpowiedział:

- Wydadz królowi Teudelowi regularną bitwę, gdy tylko wylądujesz, zanim zdąży pościągać załogi z fortec. Żaden gocki król nie może się uchylić od regularnej bitwy, nawet gdy ma wojska o wiele słabsze liczebnie od nieprzyjaciela. Stój w obronie, tak jak to robiliśmy pod Dara, wysuwając naprzód pieszych łuczników na każdej flance, frontem do środka. Na przynętę pošlij pancernych oszczepników. Król Teudel ma podstawy do pogardzania rzymską piechotą, która rzadko potrafi wytrzymać szarżę kawalerii.

Narses miał zastrzeżenia-

- Lecz jeśli postąpię według twojej rady, czy król Teudel połykając przynętę nie rozbije jednocześnie całej pułapki?

Belizariusz odpowiedział:

-Istnieje to niebezpieczeństwo i właśnie miałem zamiar powiedzieć, że oszczepnicy powinni się składać ze spieszonych kawalerzystów, którzy są odważniejsi.

-Dobrze. A przypuszczam, że lekką kawalerię muszę wysunąć naprzód na flankach?

-Tak. Wysuń ją sporo do przodu, nie tak blisko, żeby prowokować atak, lecz wystarczająco blisko, żeby była groźna. Mój pułk i inną ciężką kawalerię trzymaj w rezerwie.

Narses zapytał:

- Lecz jeśli Teudel zaatakuje najpierw pieszych łuczników?

- Byłoby to przeciw zasadom królewskiego honoru gockiego. Pancerny jeździec pogardza ubranym w skórzany kaftan pieszym łuczniakiem.

Tak więc słynna bitwa pod Taginae została łatwo wygrana w Spiżowym Domu w Konstantynopolu, i to przez Belizariusza, chociaż Narses nigdy nie przyznał się do tego ani też Belizariusz nigdy nie próbował pomniejszyć sławy Narsesa przypominając ten fakt. Bitwa, którą król Teudel z największą ochotą przyjął, zaczęła się szarżą jego lansjerów na esplanadę stworzoną dla nich przez nasze oddziały. Lansjerzy wpadli pod flankowy grad strzał z ośmiu tysięcy kusz i łuków. Zamieszanie spowodowane przez ogromną ilość rozszalałych rannych koni oraz wyłączenie z akcji większości przywódców, wyróżniających się przez swe zbroje i bogate rzędy, spowodowało, że szarża z galopu przeszła w kłus, a z kłusa w stępa. Szarżująca kawaleria, kiedy straci właściwy moment, nie jest równorzędnym przeciwnikiem dla odważnych, ubranych w kolczugi oszczepników, a konie stanowią doskonały cel. Prowadzący szwadron Teudela nie mógł przełamać zapory włóczni, tylne szwadrony nie mogły nic zrobić, żeby mu pomóc, i ponosiły ciężkie straty od strzał. Wreszcie sam Teudel został ranny. Goci zachwiali się. Wtedy rzymscy oszczepnicy rozstąpili się i pułk przyboczny uderzył przez lukę. Okrzyk bojowy „Belizariusz” zepchnął gockich lansjerów do tyłu na ich piechotę, która rzuciła się do ucieczki i rozproszyła we wszystkich kierunkach.

Króla Teudela doścignięto i zabito kilka mil od pola bitwy. Jego pokrwawione ubranie i wysadzaną klejnotami czapkę Narses wysłał jako trofea zwycięstwa do cesarza w Konstantynopolu.

Zburzenie przez Gotów fortyfikacji tyłu miast przypieczętowało ich koniec: nic nie mogło się przeciwsta-

wić zwycięskiemu marszowi Narsesa. Jeden z jego generałów zajął Rzym za pierwszym zamachem. Potem poddała mu się flota gocka. W ciągu dwóch miesięcy po ostatniej potyczce na brzegach Sarno, w sąsiedztwie Wezuwiusza, wojna została wygrana. Resztki Gotów całkowicie upadły na duchu. Goci zgodzili się opuścić Italię albo poddać się Justynianowi.

Na krótko przed tym porozumieniem niespodziewany koniec spotkał pewną czcigodną instytucję. Bowiem senatorowie rzymscy i ich rodziny, trzysta osób, które Teudel trzymał jako zakładników za rzeką Pad, zostali wymordowani z zemsty za jego śmierć. Reszta, która śpieszyła z Sycylii do Rzymu na wieść o jego zdołaniu, została schwytana przez Gotów w pobliżu Wezuwiusza i podobnie wymordowana bez litości. Senatu już nie wskrzeszono i sądzę, że nigdy to nie nastąpi. Jedynym uzasadnieniem jego istnienia w ciągu ostatnich kilku saileci były jego bogactwa i starożytne tradycje kulturalne. Justynian odziedziczył bogactwa, tradycji nigdy nie można wskrzesić czy odnowić.

Tyle o senacie zachodnim, o królu Teudelu i Gotach, których nazwa zaginęła w Italii, chociaż są jeszcze królowie wizygoccy, panujący w Hiszpanii.

Koniec Bessasza: Bessasz okupił swe niepowodzenia w Rzymie przez sukces w Kolchidzie, gdzie zdobył na Persach jej stolicę Petrę i umarł w zaszczytach w Konstantynopolu niedługo potem. Lecz Persowie jeszcze raz zajęli Petrę. Dziwny zbieg okoliczności -Dagisteus, rzymski dowódca Petry, okupił stratę tego miasta powodzeniem w Italii, on to bowiem zdobył dla Narsesa Rzym stracony przez Bessasza.

Narses, który pozostał w Italii jako gubernator, wygrał drugą wielką bitwę, tym razem samodzielnie, tak że zasługę przypisać należy jego własnym studiom nad



sztuką wojenną. Olbrzymia armia Franków maszerowała na południową Italię. Narses zaskoczył ich główne siły pod Casilinum w Kampanii, kiedy (jak za czasów Belizariusza) stracili połowę swego stanu osobowego z powodu dyzenterii. Armia frankońska składała się wyłącznie z piechoty zbrojnej w miecze, włócznicze, siekiery i czekany. Narses zastąpił im drogę ze swą piechotą, lecz gdy Frankowie zaatakowali całą kolumnę, związał ich flanki szwadronami kawalerii i wystrzelał ich do nogi z odległości stu kroków, poza zasięgiem ich czekanów. Frankowie bali się ruszyć naprzód, żeby ich nie zaatakowano na obu flankach, ani nie ośmielali się złamać swej kolumny i zaatakować kawalerii - ich sztuka wojenna wymaga, żeby walczyli w szyku zwartym przy wszystkich okazjach. Zostali wybici i jedynie pięciu ludzi z trzydziestu tysięcy zdołało uciec. Narses, prawdopodobnie pragnąc uniknąć zazdrości Justyniana, przypisywał to zwycięstwo wyłącznie cudownemu obrazowi Marii Panny, który miał przy sobie i który ostrzegał go we wszystkich ważnych przypadkach.

Kiedy Justynian dowiedział się o Taginae i Casilinum, wielbił Boga i był ogromnie uszczęśliwiony.

- Ach - powiedział podobno - dlaczego już dawno temu nie pomyśleliśmy o wystaniu do Italii naszego dzielnego Narsesa? Dlaczego odwołaliśmy go z poprzedniej kampanii na zazdrosną skargę komesa Belizariusza? Można było oszczędzić wielu ludzi i wiele skarbów, gdybyśmy tylko wierzyli naszemu Narsesowi. Musimy zganić samych siebie za zwracanie zbyt wielkiej uwagi na nastroje Belizariusza, tchórzliwego i głupiego oficera. Ale może władcy należy przebaczyć taki nadmiar szlachetności.

Potem wrócił do swych studiów teologicznych, przekonany, że Italia jest bezpieczna, że król Khosrou

nie zamierza szkodzić naszej wschodniej granicy, a barbarzyńców z Północy można przekupić albo wygrywać wzajemnie przeciwko sobie. Lekceważył swe armie i fortyfikacje bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Belizariusz jako dowódca Armii Wschodu i gwardii cesarskiej występował trzy razy, prosząc cesarza, by wziął pod uwagę niebezpieczeństwa grożące państwu. Po trzeciej próbie przyszedł rozkaz cesarski: Jego łaskawość zakazuje ponownego poruszania tej sprawy. Bóg obroni mocarną dłońią swój lud, który w Niego wierzy."

Pewnego dnia, jesienią roku pańskiego 553 -w tym to roku zginął Krwawy Jan wskutek wypadku na polowaniu; przedtem służył posłusznie Narsesowi i jego italskiej kampanii - a dziesiątego roku od naszego powrotu do Konstantynopola, kapitan czarnomorskiego statku handlowego doręczył Belizariuszowi jakiś list. Był napisany drżącą dłońią starego człowieka na brudnym skrawku pergaminu.

„Prześwietny Belizariuszu, który ocaliłeś mi życie przed Janem z Kapadocji pięćdziesiąt przeszło lat temu w karczmie koło Adrianopola, kiedy byłeś jedynie małym chłopcem: nadszedł czas, by pokazać, że mieszczanin Szymon nie zapomina swych długów wdzięczności. Przed wielu laty Hu nowie bułgarscy wprowadzili mnie do niewoli podczas swego najazdu na Trację, lecz traktowali mnie dobrze ze względu na moje umiejętności jako siodlarza. Nauczyłem się ich barbarzyńskiego języka, biorę udział w ich radach i przyznaję, że pod wielu względami mam się teraz lepiej niż wtedy, gdy byłem niewolnikiem bandyckich poborców podatkowych. Brak mi tylko dobrego trackiego wina i mojego ciepłego, doskonale zbudowane-

go domu. Wiedz jednak, że tej zimy, kiedy Dunaj zamrze znowu, jak przepowiadają prorocy od pogody, horda Bułgarów napadnie na Trację. Chwalą się, że zaatakują sam Konstantynopol i wezmą taki łup jak nigdy od początku świata. Prowadzi ich Zabergan, bardzo zdolny chan. Ma z sobą dwadzieścia tysięcy jeźdźców. Ostrzeż cesarza. Żegnaj."

Belizariusz zaniósł ten list do cesarza. Justynian zapytał:

-A cóż to za postrzępiony świstek pergaminu, śmierdzący dokami? Czyż jest to właściwy dokument, żeby go pokazywać cesarzowi?

-Brudny żebrak, wasza wysokość - rzekł Belizariusz - kiedy zobaczy dym wychodzący z górnych okien wielkiego domu, ma przywilej wpaść do sieni z krzykiem: „Ogień!" Mieszkańcy dziękują mu za jego rychłe ostrzeżenie i wybaczą mu łachmany i ordynarny sposób bycia.

Justynian powiedział:

- To, prześwietny Belizariuszu, jest z pewnością je den z tych forteli wojskowych, z których tak słusznie jesteś sławny? Przez fałszerstwo chcesz nas zastraszyć, abyśmy zwiększyli nasze armie i odbudowali fortyfikacje miejskie, wiedząc, że kategorycznie zabroniliśmy ci poruszać tę sprawę. Nie daliśmy się oszukać, lecz przebaczymy ci twoje błędy. A więc postaraj się, mój panie, aby wszelka nielojalność została wygnana z twego serca. Albowiem w dawnych czasach bywali generałowie na tym dworze, którzy namawiali cesarzy do gromadzenia nowych armii udając, że grozi niebezpieczeństwo, lecz planując użyć je przeciwko państwu. Zbadaj swe serce, mój panie, a jeśli znajdziesz tam grzech, wyrwij go z pomocą Chrystusa, albowiem On udzieli ci si-

Wspomnę tu, że na placu Augusta, naprzeciw senatu, Justynian umieścił kolosalny posąg konny samego siebie: stoi tam na bardzo wysokim piedestale wykładanym najświetniejszym jasnym mosiądzem. Przedstawiony jest w zbroi starożytnego typu i w hełmie z niezwykle długim piórem. W lewej ręce trzyma kulę ziemską ozdobioną krzyżem. Prawą dłoń ma wzniesioną w geście, który miał oznaczać: „Odejdźcie, nieprzyjaciele!” Lecz nie ma przy sobie broni, nawet sztyletu, jak gdyby gest i wyraz twarzy wystarczały do odstraszenia wrogów. I rzeczywiście, w ostatnich latach swego panowania traktował swe armie tak, jak by nie były mu na nic potrzebne. Faktem jest, że Justynian, spragniony wielkości, postępował jak ów anonimowy bogacz, wspomniany w przypowieści Jezusa Chrystusa, który zaczął budować dla siebie dom bez obliczenia kosztów i w ten sposób wpadł w długi i śmieszność. W mieście mówiono, że oko Justyniana było dręczycielem jego żołądka: trwonił swój majątek na próżne luksusy religijne, lekceważąc praktyczne wojskowe potrzeby.

Wszyscy zgadzali się, że przede wszystkim nie powinien nigdy próbować zdobywania i okupacji Afryki i Italii z tak szczupłymi siłami, jakie miał do dyspozycji. Mimo prawie cudownego sukcesu Belizariusza podwójne zadanie okazało się zbyt ciężkie dla armii cesarskiej. Prawda, że nadal trzymał Kartaginę i Rawennę, lecz przewlekłe walki doprowadziły te zamożne i doskonale administrowane kraje do prawie zupełnej ruiny. Tymczasem granice północne i wschodnie były osłabione wskutek nieobecności garnizonów i rezerw i wielokrotnie przerywane najazdami, tak że tylko o mały włos uniknięto powszechnej katastrofy. Ceną zdobycia Zachodniego Cesarstwa była, mówiąc krótko,

jego dewastacja, a także dewastacja Syrii, Kolchidy, rzymskiej Mezopotamii, Ilirii oraz Tracji. Dochody z tych krain zmniejszyły się żałośnie. Justynian musiał teraz prowadzić politykę oszczędności i - rzecz charakterystyczna - w ministerstwie obrony cesarstwa, a nie w urzędzie fundacji kościelnych. Miał nadzieję, że budową i upiększaniem coraz to nowych klasztorów męskich i żeńskich oraz kościołów przekupi anielskie zastępy, aby mu pomagały, tak jak tyle razy przekupywał Franków, Słowian i Hunów darami w złocie i ekwipunku wojskowym. Publicznie usprawiedliwiał swe zaboronne zaufanie słowami wypowiedzianymi przez Jezusa do apostoła Piotra, który opierał się służbie najwyższego kapłana żydowskiego i odciął ucho jednego z napastników: „Schowaj ten miecz. Bowiem kto mieczem wojuje, od miecza ginie.” W tym pacyfizmie umacniało go jeszcze to, że nie bał się o swe osobiste bezpieczeństwo: jasnowidze, których się w tajemnicy radził, zapewniali go, że umrze naturalną śmiercią w swym własnym łóżku w świętych apartamentach pałacu.

W dzień Bożego Narodzenia Hunowie przeszli przez zamrznięty Dunaj. Kiedy wieść o tym dotarła na dwór, cesarz rozkazał, by we wszystkich najważniejszych kościołach odprawiano msze, i spędził całą noc na modlitwie w kościele Świętej Ireny, nie podjął jednak żadnej innej akcji. Hunowie podzielili się na dwa zagony. Jeden wyruszył pustoszyć Grecję, drugi, pod wodzą chana Zabergana - na zdobycie stolicy. Bez żadnych przeszkód posuwali się przez Trację. Będąc poganami nie mieli żadnego szacunku dla kościołów czy klasztorów: rabowali i gwałcili bez przeszkód, wysyłając wozami skarby i gromady jeńców za Dunaj. Eskorta tych transportów składała się z dzikich koniu-

chów, którzy zmuszali jeńców do pośpiechu batami i ostrzem mieczy; każdy z jeńców, który upadł i nie podniósł się natychmiast, był zabijany bez litości, nawet rodzące kobiety. Hunowie, chociaż między sobą na ogół zachowują się przyzwoicie, uważają cały świat chrześcijan za swój naturalny łup i nadzianie ochrzczonego dziecka na dzidę nie znaczy dla nich więcej niż ubicie jelonka na polowaniu.

Zabergan szedł naprzód. Długie wały Anastazjusza, zbudowane w poprzek półwyspu w odległości trzydziestu dwóch mil od miasta, nie stanowiły żadnej przeszkody dla jego jeźdźców, ponieważ w wielu miejscach rozpadły się w gruzy i nie było żołnierzy, którzy by je obsadzili, ani katapult czy innych nadających się do użytku machin na basztach. W dzień święta Trzech Króli Zabergan rozłożył się obozem nad rzeką Athyras, dwadzieścia mil od miasta, a konstantynopolitańczyków ogarnęła nagła panika. Place publiczne zapchane były nieszczęśliwymi uciekinierami ze wsi, ludźmi o szarych twarzach, dźwigającymi małe tobołki, którzy krzyczeli:

- Idą, idą Hunowie jak rozwścieczone stado dzikich byków! Niszczą wszystko po drodze! O Boże, zmiłuj się nad nami!

Ten krzyk rozprzestrzenił się po wszystkich ulicach: „Boże, zmiłuj się nad nami!” Obywatele zaczęli pytać się wzajemnie: „Gdzie jest gwardia cesarska? Gdzie milicja miejska? Czyż nikt nie przeciwstawi się tym bułgarskim diabłom i pozwolą im zdobyć wewnętrzne mury, spalić miasto i pozabijać nas wszystkich?”

Całe gromady wynajmowały statki i uciekały za Bosfor do Azji Mniejszej, pięćdziesiąt tysięcy ludzi dziennie.

Cesarz Justynian spędzał większą część czasu kłęząc w swej prywatnej kaplicy. Powtarzał stale: „Pan

jest silny. On nas wybawi." Jedynym krokiem praktycznym, jaki uczynił, był rozkaz, że ze wszystkich kościołów na przedmieściach i ze wszystkich jego willi należy natychmiast zabrać wszelkie skarby, przewieźć je do portu cesarskiego i załadować tam na barki. Wreszcie posłał po Belizariusza i zapytał:

- Jak to się dzieje, prześwietny Belizariuszu, kome sie naszych stajni i dowódco naszych gwardii, że nie wysłałeś żołnierzy, żeby przepędzili tych pogańskich dzikusów?

Belizariusz odpowiedział:

-Wasza świętobliwa mość daje mi zaszczytne tytuły, lecz nie daje mi władzy, która się z nimi łączy, i zabroniła mi wspominać o nieprzygotowaniu i niedyscyplinowaniu naszych wojsk. Trzy razy po moim powrocie z Italii przedstawiałem waszej cesarskiej mości ten sam raport, wskazując, że ministrowie waszej cesarskiej mości sprzedają oficerskie stopnie w gwardii nie wyszkolonym cywilom, że żołnierze nie odbywają żadnych ćwiczeń i nie mają broni, że w stajniach brak kawaleryjskich wierzchowców. Wasza cesarska mość rozkazała mi nie obawiać się o bezpieczeństwo stolicy.

-Kłamiesz, kłamiesz - wrzasnął Justynian. - Jeśli Bóg da nam łaskę przeżycia tej próby naszej wiary, poniesiesz straszną karę za twoje lekceważenie armii i fortyfikacji i wszystkie twoje rozdmuchane zwycięstwa nie ocalą cię przed powrozem.

Belizariusz zapytał:

-Ale jakie są tymczasem rozkazy, wasza cesarska mość?

-Idź i umrzyj jak dzielny człowiek, chociaż żyłeś jak tchórz. Zbierz, jakie możesz, siły i spotkaj Bułgarów w polu na wzór mojego bohaterskiego Narsesa, a nie

chowaj się za murami, jak masz zwyczaj. Tylko w ten sposób możesz odpokutować za twoje głupstwa.

Belizariusz uklonił się i opuścił jego świątobliwą wysokość. Natychmiast Justynian wezwał admirała i zapytał go w cztery oczy:

- Czy moja flota jest odpowiednio zaopatrzona? Ja kiej pogody możemy się spodziewać na Morzu Śródziemnym, jeśli będziemy zmuszeni wyruszyć w drogę?

Belizariusz wysłał na ulicę herolda, który krzyczał, jak następuje:

- Komes Belizariusz, na rozkaz jego świątobliwego majestatu cesarza, poprowadzi armię przeciwko najeźdźcom. Milicja miejska wedle swych barw niech zajmie stanowiska na wale Teodozjusza i niech uzbroi się w broń, jaką może znaleźć. Gwardie cesarskie stawią się do przeglądu pod dowództwem oficerów, których obowiązkiem jest dopilnowanie, żeby ludzie mieli konie i całkowite uzbrojenie, i wymaszeruje do Złotej Bramy, gdzie ma oczekiwać dalszych rozkazów. Wszyscy weterani wojenni, obecni teraz w mieście, którzy kiedykolwiek służyli jako kirasjerzy pod wodzą rzeczonoego komesa Belizariusza, wezwani są do natychmiastowej zbiórki na placu Defilad. Belizariusz stanie na ich czele i zaopatrzy ich w broń i konie.

Belizariusz poszedł do tancmistrzów obu stronnictw.

- W imieniu cesarza rozkazuję wydać wszelkie pancerze, oszczepy i tarcze, używane na widowiskach i w sztukach scenicznych.

Poszedł również do kierownictwa wyścigów obu facji.

- W imieniu cesarza konfiskuję wszystkie konie w stajniach hipodromu.



W pałacu znalazł wystarczającą ilość łuków i strzał, a w stajniach cesarskich pewną ilość koni pociągowych i parę wierzchowców. W ten sposób zdobył ekwipunek dla swych weteranów.

Plac Defilad jest słynny w historii, ponieważ Aleksander Wielki dokonał tu przeglądu swoich wojsk przed wyprawą na Wschód. Tu zbiegli się weterani Belizariusza ze wszystkich części miasta - ludzie, których czas potraktował w najróżnorodniejszy sposób. Niektórzy byli doskonale ubrani i tężdzi, inni w łachmanach i chudzi, jedni powłóczyli nogami, inni kroczyli dumnie. Ale w każdej twarzy malowała się radość. Krzyczeli do siebie nawzajem:

- Witaj, kolego! To dobry znak, kiedy starzy żołnierze się spotykają.

Było wiele burzliwych powitań między dawnymi towarzyszami broni, którzy nie widzieli się od lat, ponieważ miasto jest tak wielkie. Dały się słyszeć okrzyki: „Ty jeszcze żyjesz, stary Sisifriedzie? Myślałem, że zginąłeś razem z Diogenesem podczas odwrotu z Rzymu!” - „Ależ, kolego Unigatusie, widziałem cię ostatni raz podczas oblężenia Osimo, kiedy dziryt przebił ci dłoń.” - „Hej kolego, nie poznajesz mnie? Biwakowaliśmy razem w paradyzie króla Wandalów pod drzewami owocowymi, dwadzieścia cztery lata temu, parę dni przed bitwą przy dziesiątym kamieniu milowym!”

Stawiłem się na zbiórkę z moją panią Antoniną i wielu starych towarzyszy pozdrawiało mnie z takim uczuciem, że ciepło robiło mi się na sercu.

Było tu paru ludzi, którzy mieli więcej wspomnień wojennych ode mnie: dwaj z obecnych brali udział w wyprawach Belizariusza przeciwko Gepidom i tym samym Bułgarom, kiedy był jeszcze młodym oficerem, gotowąsem.

Ze szkoły zapaśniczej na przedmieściu przybył białowłosy Andrzej, dawniej niewolnik Belizariusza do noszenia książek i łaźnienny, który wycofał się z wojska po dwóch wielkich zwycięstwach pod Dara. Powiedział:

- W mojej szkole zapaśniczej zachowałem wigor i siłę, panie mój, Belizariuszu, chociaż mam już sześć dziesiąt pięć lat. Patrz - mam ten sam hełm z białym piórem, który mi dałeś w nagrodę pod Dara. Stale szorowałem go piaskiem. Pozwól mi zostać twoim chorążym!

Kiedy zebrali się wszyscy, a nie było ich wiele więcej niż trzystu, pojawiła się wysoka postać, wychudzona od postów i ubrana w zakonny habit. Przybyły chwycił Belizariusza za cugle jego konia i rzekł: -o bracie mój, Belizariuszu, na ten jeden dzień zdejmuję habit, odkładam dyscyplinę i wdziwam kolczugę. A chociaż wierzę, że przebłagałem Boga za me grzechy i szaleństwa, a szczególnie za zabicie mojego drogiego towarzysza, Jana Armeńczyka, nie umrę spokojnie, póki nie odzyskam twego zaufania i uczucia, które straciłem przez moją niedbałość

Belizariusz zsiadł z konia, uściskał zakonnika i odpart:

- Uliarisie, będziesz dowodził stoma ludźmi z tego oddziału. Słyszałem o twojej świętości i dobrych czynach wśród zebrzących braci i przyjmuję cię jako dar boski.

Trajan (który pozbył się już grotu strzały w twarzy) dowodził drugą setką. Zdobył on wielką chwałę pod wodzą Narsesa w Italii. Teraz prowadził tawernę koło portu. Turimut, ten sam, co walczył tak dobrze w drugiej kompanii italskiej Belizariusza, dowodził resztą wojska. Przyszły na niego złe dni i długo trzymano go

w więzieniu, ale nie przypominam sobie, czy został aresztowany za jakieś przestępstwo, czy za herezję. Belizariusz podzielił weteranów na wspomniane trzy oddziały. Zauważono, że pamięta imię każdego z żołnierzy i jego przeszłość. Następnie dał im konie, zbroje i broń. Wszyscy cieszyli się bardzo.

- Niech żyje Belizariusz! - krzykali. - Prowadź nas na wroga!

Belizariusz był wzruszony. Odpowiedział jednak:

- Koledzy, pamiętając o sławnych bitwach z dawnej przeszłości, nie zapominajcie, jak je wygrywaliśmy. Ważna jest nie tylko dzielność i zręczność w robieniu bronią, ale i rozwaga.

Z wielkim tętentem przejechali w kolumnie przez ulicę Wysoką. Ludzie radowali się i wołali:

- Najwidoczniej Bóg nas nie opuścił, bo oto jedzie Belizariusz!

Moja pani podnosząc głowę jak młoda narzeczona, jechała na wierzchowcu obok męża, a ja tuż za nią na dzianecie. Miała piękną czerwoną perukę, twarz pociągniętą różem i bielidłem, a jej zwiędłe piersi były dobrze wypchane. Tylko z bliska ktoś mógłby poznać jej wiek po pomarszczonych dłoniach, pożółkłych oczach, wpadniętych policzkach i pomarszczonej szyi.

Przez przedmieście Deuteron dotarliśmy do Złotej Bramy, gdzie panowało straszliwe zamieszanie - wszyscy wykrzykiwali rozkazy, lecz nikt nie słuchał. Nie więcej niż pięćdziesięciu z dwóch tysięcy gwardzistów, którzy odpowiedzieli na wezwanie, otrzymało konie. Poza kilkoma oficerami nie widziałem ani jednego żołnierza w zbroi z właściwą bronią. Było rzeczą pewną, że nie dałoby się z nich wybrać nawet jednej kompanii, gdyby chciano wybierać ludzi, którzy

kiedykolwiek brali udział w musztrze. Nawet miejska milicja stała wyżej pod względem wojskowym, gdyż paruset członków obu stronnictw praktykowało łucznictwo na strzelnicach miejskich (strzelając w dni świąteczne o nagrodę do gęsi, prosiaka czy flaszki wina). Jeszcze liczniejsi brali nocami udział w bijatykach między falcjami.

Belizariusz włączyłby tych łuczników do swej małej armii, lecz odmówili mu powiadając, że mają obowiązek bronić tylko murów miasta i że wyprowadzenie ich ze stolicy byłoby sprzeczne z prawem.

Z baszty koło bramy usłyszeliśmy demarcha błękitnych (albowiem zieloni obsadzili drugą połowę murów), który wołał:

- Czy nie ma wśród was jakiegoś żołnierza, który umie obchodzić się z katapultą? Są tu katapulty na każdej wieży i spory zapas pocisków.

Moja pani Antonina krzyknęła wesoło w odpowiedzi:

- Nie ma żołnierza, tylko stara kobieta w czerwonej peruce, weteranka dwóch oblężeń Rzymu! - Do mnie powiedziała: - Chodź, Eugeniuszu, stary druhu, naszymi tych rekrutów ich obowiązku.

Zsiedliśmy oboje z koni i wdrapaliśmy się na basztę, gdzie wymieniliśmy spróchniałe liny katapult i naoliwiliśmy korby. Potem szliśmy od baszty do baszty ucząc ludzi przy katapultach i skorpionach, jak mają naprawiać te maszyny, posługiwać się nimi i jak celować. Jeśli który nie był dość uważny albo wydawał się niezdarny, moja pani nazywała go „bękartem zielonego heretyka” i trzaskała go po ramionach szpicrutą, zawstydzając go w ten sposób przed jego kolegami.

Tymczasem Belizariusz zebrał razem nie mających broni gwardzistów i przyłączył do nich tysiąc zdro-

wych trackich chłopów, wybranych spośród uciekinierów. Powiedział oficerom:

- Naprzeciwko jest park cesarza ogrodzony ostrymi prętami. Zaprowadźcie tam swoich ludzi i niech każdy z nich weźmie po dwa pręty. Zastąpią wam one miecze i oszczepy. Zamiast tarcz pozbierajcie metalo we przykrywy i misy w prywatnych domach.

Później ta niepodobna do wojska zbieranina ruszyła przez ulicę, a Belizariusz jechał na czele ze swymi trzystu weteranami. Moja pani i ja patrzyliśmy nań z dumą, pełni jednak złych przeczuc. Powiedziała miękko, nie zwracając uwagi na pułk cywilów, który z nieszczęśliwymi minami włókł się z tyłu jak gromada jeńców:

- Według starej pieśni trzystu Greków było pod Termopilami. Ani jeden z nich nie wrócił, lecz imię ich będzie żyło wiecznie.

Odpowiedziałem z uśmiechem, żeby ją pocieszyć:

- Nieszczęśliwcy, nie mieli Belizariusza, żeby nimi dowodził!

Lecz ona na to:

- Przeciwko dziesięciu czy dwudziestu tysiącom Hunów, cóż znaczy tych kilkuset steranych ludzi, którzy mają się z nimi spotkać w otwartym polu we dług rozkazów cesarza? Czy oczekujesz cudu, Eugeniuszu?

Odpowiedziałem:

- Oczekuję, bowiem widziałem wiele cudów.

Pod wsią Chettos, dwie mile od Melantias, gdzie stał obozem chan Zabergan, Belizariusz kazał wykopać rów i usypać wał. Dla utworzenia palisady żołnierze wbił w ziemię jeden z prętów, a drugi zatrzymał jako oszczep. Belizariusz wysłał swych weteranów na przód, by udawali pikiety olbrzymiej, rozciągniętej

szeroko armii. Za nimi, na przestrzeni pięciu mil, piechota rozpałała liczne ogniska, a w dzień (ponieważ pogoda była sucha) ciągała krzaki po drodze, wzbijając w ten sposób olbrzymie chmury pyłu.

Następnej nocy jakiś miejski chłopiec przyniósł bardzo ważny list. Stary Szymon, którego Hunowie zabrali z sobą jako przewodnika i tłumacza, znowu dawał znać o sobie. Szymon donosił, że siły Zabergana wynoszą nie więcej niż siedem tysięcy wybranych konnych wojowników, bo reszta wyruszyła do Grecji, i że chan zaatakuje obóz za trzy dni, ponieważ akurat wtedy wypada szczęśliwy dzień w kalendarzu Hunów.

- I w moim również - krzyknął Belizariusz - są to bowiem urodziny mojej żony.

Obóz pod Chettos wzmocniono dalej zaporą z krzaków cierni, przed bramami rozsypano lemiesz pługów i motyki zamiast kolców. Weterani żartobliwie ponazywali bramy, tę - Bramą Pincjańską, tamtą - Bramą Flamińską, a kopiec na południu - Mauzoleum Hadriana.

Zabergan dowiedział się w końcu, że nie ma przed sobą armii godnej tej nazwy, tylko starego Belizariusza z garstką straceńców. W związku z tym doszedł do wniosku, że dwa tysiące Hunów pod dowództwem jego brata wystarczy do zdobycia obozu cesarskiego. Ich droga prowadziła przez wąski przesmyk wśród rozległego gęstego lasu. Miejsce to było osławioną kryjówką bandytów, którzy kryli się tu i czekali na łup wśród gęstych krzaków obrastających trakt. Na tej drodze Belizariusz przygotował zasadzkę. Po jednej stronie traktu ukrył oddział Trajana, po drugiej - Turimuta, a za nimi na pochyłości wąwozu umieścił armię „obserwatorów”, jak nazywał swą uzbrojoną w sztachety piechotę.

Nie będę niepotrzebnie przedłużał opowiadania. Hunowie wjechali w zasadzkę nie myśląc o niebezpieczeństwie. Na sygnał trąbki Belizariusz i Uliaris zaatakowali ich gwałtownie z pozostałym oddziałem, Andrzej wysunąwszy się na czoło dzierżył sztandar. Po lancach przyszło do mieczy; Belizariusz walczył w pierwszym szeregu, tnąc i bodąc ze swą dawną precyzją. Przez chwilę sztandar był w niebezpieczeństwie, ale Andrzej wbił sztylet w brzuch Huna, który próbował mu wyrwać chorągiew. Następnie Trajan i Turimut zaatakowali z tyłu, podczas gdy „obserwatorzy” ryczeli dziko jak publiczność na wyścigach, wałąc prętami w swe mniemane tarcze, jak by niecierpiwili się w oczekiwaniu na rozkaz ataku. Bułgarzy byli przeżeni. Nie mogli użyć łuków w tak wąskim przejściu ani wykazać swej zręczności w manewrach kawaleryjskich. Mieli na sobie tylko bawole kaftany, przez co trudniej było im wytrzymać szaleńczy atak pancernych weteranów. Nagle załamali się i jeden przez drugiego zaczęli uciekać.

Belizariusz ścigał ich, nie zwracając uwagi na strzały, jakie miotali w ucieczce: jego konie niełatwo można było zranić, ponieważ zaimprovizował dla nich metalowe kropierze. Jego weterani strzelali lepiej od Hunów. Poległo czterystu nieprzyjaciół, włączając w to brata Zabergana, którego Uliaris przebił lancą w pierwszym starciu. Reszta uciekła do obozu w Melantias, krzycząc przeraźliwie:

- Uciekajmy, bracia, do domu! Ścigają nas duchy zmarłych: starcy z dzikimi oczami i rozwianym białym włosiem! - Hunowie drapali sobie policzki paznokciami na znak rozpaczny.

Chan Zabergan zwinął obóz i cofnął się z całą armią. Belizariusz szedł za nim krok w krok. Szedł do bi-

ty zaledwie z trzystoma uzbrojonymi ludźmi, lecz skończył ją z pięcioma setkami. Dopełnienie składało się z trackich chłopów wybranych spośród rekrutów, ludzi przyzwyczajonych do koni i użycia lekkiego łuku na polowaniu: otrzymali oni konie i broń zabitych Bułgarów, Belizariusz miał jedynie trzech zabitych, choć wielu było rannych; Unigatus, który walczył dzielnie swą jedyną dobrą ręką, zmarł z ran w kilka dni później.

Belizariusz wysłał depezę do Justyniana: „Stosownie do świątobliwych rozkazów waszej cesarskiej mości pobiliśmy nieprzyjaciela i ścigamy go.”

Na ulicach panował szal radości i bez przerwy wielbiono Belizariusza:

- To jego zwycięstwo zaćmiewa wszystkie poprzednie! - wołali obywatele. Natomiast w pałacu nastroje były ponure.

Justynian powiedział admirałowi:

- Rozładuj statki. Nie odpłyniemy.

Jego szambelan (teraz już inny, bowiem Narses był nadal w Italii) krzyczał w udanym oburzeniu:

- Czyż ci ludzie poszaleli, że dziękują za oswoobdzenie nie waszej chwalebnej łaskawości, która naka

zała bitwę, lecz Belizariuszowi, przez którego lekceważenie Tracja została spustoszona i o mało nie stracili śmy stolicy?

Justynian wysłał pismo do Belizariusza: „Wystarczy. Niech Hunowie odejdą w spokoju, nie trzeba marnować ludzi w niepotrzebnych bitwach. Możemy ich potrzebować w wojnach przeciwko innym naszym nieprzyjaciołom. Jeśli będziesz nadal ich ścigał, wpadniesz w naszą niełaskę.”

Belizariusz posłuchał. Potem posłowie Justyniana pojechali do obozu Hunów. „Poselstwo cesarza. Idąc za przykładem pełnego chwały Clirystusa, który ongiś,



kiedy żył na ziemi, rozkazał słudze swemu Piotrowi schować miecz, gdy ten dzielnie zaatakował żydowskiego oficera i zranił go - podobnie odwołaliśmy nasze armie. Lecz zaklinamy was w imię Chrystusa, żebyście odeszli w pokój."

Chan Zabergan był zdumiony tym poselstwem, lecz zrozumiał żeń przynajmniej tyle, że Belizariusz został odwołany. Odzyskawszy odwagę, pozostał w Tracji przez całe lato paląc i grabiąc. Jesienią Justynian zaproponował mu okup, a Zabergan obawiając się, że flota Morza Czarnego wypłynąwszy na Dunaj może przeciąć odwrót Hunom, podpisał traktat i wycofał się. Justynian wziął się teraz gorączkowo do odbudowy długiego wału Anastazjusza, choć nie robił nic, by wyćwiczyć odpowiednie oddziały do obrony fortyfikacji. Dworacy krzyczeli:

- Patrzcie, jak ojciec swego ludu zawstydzą niedbanych oficerów.

Kiedy Belizariusz wraz ze swymi trzystoma weteranami wracał przez Bramę Fontanny, a za nim gwardziści i chłopcy śpiewający hymn zwycięstwa, zostali powitani kwiatami i całusami przez rozentuzjasmowanych obywateli. Natomiast z pałacu przybyło tylko jedno krótkie pismo: „Komes Belizariusz przekroczył swe pełnomocnictwa rozbierając ogrodzenie naszego parku przy Złotej Bramie bez pisemnego upoważnienia nadzorca parków. Należy natychmiast zwrócić sztachety." Ostatnie zdanie stało się przysłowiem w winiarniach; jeśli ktoś oddał swemu sąsiadowi ważną przysługę, a następnie został przez niego ostro zwymyślany za jakieś drobne uchybienie, obrażony dobroczyńca krzyczał: „Ależ, ależ, drogi panie, należy natychmiast zwrócić sztachety!"

Bitwa pod Chettos była ostatnią bitwą Belizariusza i niech nikt nie wątpi, że moja relacja jest prawdziwa, ponieważ wszystko to nie działo się gdzieś na odległej granicy, lecz w pobliżu, nawet nie o jeden dzień drogi od milionowego miasta. Ktoś może wyjechać sobie dla przyjemności obejrzeć po południu wąwóz i oba obozy - chana Zabergana pod Melantias i komesa Belizariusza pod Chettos - i wrócić do miasta, zanim zapadnie wieczór.

## Rozdział XXIV

### OSTATNIA NIEŁASKA

Czy potrafię opowiedzieć o ostatnim okrucieństwie, nie posiadając cierpliwości i wielkości ducha tego, który je wycierpiał? Moja opowieść doszła do roku pańskiego 564, kiedy Justynian ukończył osiemdziesiąty rok życia i trzydziesty siódmy swego panowania. W cesarstwie panował spokój, ale był to taki spokój, jakiego doznaje chory człowiek po przesileniu gwałtownej gorączki i nikt nie może powiedzieć, czy zdrowieje, czy umrze.

Cesarz stał się teraz powolny w ruchach i mowie i -co dziwne - ten waleczny bojownik o prawowierność, ten surowy prześladowca heretyków, sam popadł w skandaliczną herezję dotyczącą natury Chrystusa.

To Teodora wyznawała pogląd, że ciało Jezusa Chrystusa nie podlegało cielesnym namiętnościom i słabościom i że faktycznie było ciałem nie niszczalnym, a więc nie ludzkim, gdyż cechą każdego zwykłego ciała jest uleganie rozkładowi, o ile nie zostało zabalsamowane na sposób egipski albo zamrożone przez przypadek w wielkiej bryle lodu. Natomiast prawowierny pogląd głosił, że Jezus aż do zmartwychwstania posiadał podlegające rozkładowi ciało ludzkie, zaś zaprzeczanie temu było uważane za monofizyzyzm i pomniejszanie wielkości ofiary Jezusa dla rodu ludzkiego.

Justynian wyciągnął teraz ten pogląd Teodory (któremu za jej życia zawsze się przeciwstawiał) jako własne odkrycie, mając świeżo w pamięci wszystkie jej argumenty. W specjalnym edykcie piętnował tych, co wyznawali pogląd przeciwny, jako „czcicieli rozkładu”. Domagał się od wszystkich patriarchów i biskupów, żeby przyjęli ten nowy artykuł wiary. W trwodze prosili o zwłokę, aby mogli rozważyć tę sprawę. Jednak patriarcha Konstantynopola, który był wybitnym uczonym i bardzo uczciwym człowiekiem, rozerwał swe szaty, posypał sobie głowę popiołem wykrzykując między innymi takie rzeczy: „To jest nawet gorsze niż herezja monofizytów - to opiera się na bluźnierstwie odrażających manichejczyków, którzy głoszą, że obie natury Syna Bożego są sprzeczne. Bowiem, moi drodzy bracia, gdyby Jezus Chrystus żyjąc na tej ziemi istotnie był niedostępny namiętnościom i słabościom (jak jego łaskawość każe nam wierzyć), cóż powiedzielibyśmy o jego słynnych łzach nad łazarzem i o tych protestach przed ukrzyżowaniem, żeby oddalono od niego ten kielich goryczy? Tego rodzaju czyny, poświadczone przez świętych ewangelistów, należałoby uznać za szaleństwo albo fałszywe udawanie, gdyby ciało Jezusa było nie podlegającym ranom ciałem Boga.”

Klerycy katedralni donieśli na patriarchę i został on złożony ze swej godności.

Belizariusz nie wyrażał swego zdania w tych sprawach. Kiedy Sergiusz, pierwszy senator, zadawał mu pytania na ten temat, Belizariusz odpowiedział:

-Jest już dość trudno żyć według wskazań Chrystusa, nie mieszając się nawet do filozoficznych dociekań nad Jego naturą. Wolałbym zająć się krytycznymi studiami nad osobistym charakterem cesarza.

Sergiusz popatrzył na niego uważnie, chcąc wymiarkować, czy w jego słowach kryje się ostra satyra, lecz odpowiedział:

- Najlepszy z ludzi, czyż tego rodzaju studia nie byłyby najbardziej chwalebne i pouczające?

Każdego dnia Belizariusz odwiedzał cesarza w pałacu, chyba że dwór miał wakacje - kiedy cesarz wyjeżdżał na polowanie do swych posiadłości. Pozostał skromny w swych obyczajach, szczodroblivy dla biednych, kochany przez przyjaciół, a między nimi przez moją drogą panią Antoninę i nie było innych stów między nimi, jak tylko słowa miłości i zrozumienia. Moja pani dostosowała się do chrześcijańskiego kodeksu obyczajów i w tym czasie porzuciła wszystkie swe pogańskie sztuczki - z tym wyjątkiem, że nadal używała czasami pewnych niewinnych zaklęć przeciwko bólom zębów i głowy oraz czarom. Schyłek ich życia był tak łagodny i spokojny, jak gdyby razem ręką w rękę spacerowali wolno ku grobowi i jak by żadna przeszkoda nie miała już się pojawić na ich drodze ani żadne nieszczęście ich zaskoczyć.

Ale Justynian nienawidził Belizariusza nieprzejechaną nienawiścią i szalał na myśl, że mógłby umrzeć przed swym wrogiem i pozostawić mu radość nieskazitelnej sławy i dostatki. „On skradł nam naszą sławę - wołał Justynian. - Nasi niewdzięczni poddani mają dla niego większy szacunek niż dla uświęconej osoby ich cesarza.”

Infamis Prokopiusz, który był wojskowym sekretarzem Belizariusza na wszystkich jego wyprawach, spędził wiele lat na pisaniu długiej historii wojen. Będąc człowiekiem otwartym i zgryźliwym, nieskłonny do pochlebstw, pisał gorzką prawdę, ukrywając niewiele albo w ogóle nic na temat zdrady tego generała czy

nieudolności innego, i przypisywał Belizariuszowi należną zasługę za tak liczne zwycięstwa, uzyskane mimo wielkiej nierówności sił. Nie ganił bezpośrednio Justyniana za jego kaprysy, niekompetencję, okrucieństwo, przewlekanie spraw, podłość i niewdzięczność, tylko przedstawiał fakty historyczne w sposób tak jasny, że żaden czytelnik o zdrowym rozsądku nie mógłby nie zrobić sobie najbardziej niekorzystnej opinii o monarsze i nie otaczać największym podziwem generała. Tę historię wysłał potem do szkoły kopistów w Aleksandrii, gdzie została opublikowana. Rozpowszechniła się szeroko, zanim Justynian dowiedział się o jej istnieniu, na jakieś pięć lat przed bitwą pod Chettos.

Kiedy Prokopiusz usłyszał, że cesarz jest rozgniewany, i uświadomił sobie, że grozi mu niebezpieczeństwo śmierci, napisał poniżającą apologię. Błagał swego pana, by wierzył, że jeśli napisał źle, należy zganić Belizariusza, ponieważ dał mu fałszywe informacje. Zobowiązał się również nie tylko wycofać wszystkie egzemplarze książki, lecz napisać nowe historyczne dzieło ku chwale wspaniałych czynów samego Justyniana. Justynian wybaczył mu, dał mu pensję i podniósł go do godności patrycjusza. Prokopiusz starał się jak najrzadziej wspominać swego dawnego patrona, któremu już nie kłaniał się na ulicy, ażeby utrzymać się w łaskach cesarza. Jednak Justynian był bardzo niezadowolony, gdy wreszcie dostarczono mu nowe panegyryczne dzieło Prokopiusza. Okazało się, że autor opisuje tylko wstrzemięźliwość cesarza, jego wykształcenie i pobożność, budowę kościołów i fortyfikacji. Justynian oczekiwał, że poprzednia historia zostanie napisana w innym stylu, tak żeby jemu samemu, a nie jego podwładnemu Belizariuszowi przypadła zasługa

zdobycia Afryki i Italii. Wstrzymał pensję Prokopiuszowi.

Wtedy rozgoryczony Prokopiusz napisał książkę pełną oszczerstw nie tylko na Belizariusza i moją panią Antoninę, lecz także na samego cesarza i zmarłą Teodorę. Czasem mówił prawdę, niekiedy przekręcał fakty, innym razem kłamał - stosownie do mściwych celów. Nawet mnie, Eugeniusza, wprowadził do tej mieszaniny: na przykład podobno pomagałem mojej pani w zamordowaniu służącej Macedonii, której język, jak napisał Prokopiusz, mieliśmy pokroić na kawałki i wyrzucić do morza. (Prokopiusz chwalił się swoim przyjaciółom: „Napisałem książkę, przyćmi nieco imiona pewnych wielkich ludzi, którzy mi zrobili krzywdę.”) Jednak nikomu nie pokazywał swego dzieła na oczy, przeznaczając je dla przyszłych pokoleń.

Jesienią po bitwie pod Chettos grupa senatorów z Sergiuszem i Marcellusem na czele (tymi samymi, którym cesarz przebaczył ich udział w spisku Artabana) zawiązała nowy spisek mający na celu zamordowanie cesarza. Spisek został przypadkowo wykryty, a przywódców zmuszono do wydania imion współników. Wśród przywódców znajdował się Herodian, generał, który niegdyś z zawiści wobec Belizariusza wydał Teudelowi Spoletu, a potem zdezerterował do Gotów; po śmierci Teudela wydał Cumae Narsesowi i Justynian wybaczył mu poprzednią zradę. Po powrocie Herodiana do Konstantynopola Belizariusz wystąpił przeciwko niemu na drogę sądową i odzyskał dług w wysokości pięćdziesięciu tysięcy sztuk złota, który miał pewien związek z historią poddania Spoletu. Teraz Herodian, żeby ująć pewnej karze śmierci, wykupił się oskarżając fałszywie Belizariusza, że to on zorganizował spisek na życie Justyniana. Za jego poduszczeniem

oskarżyciel publiczny Apion wystąpił swych agentów, żeby się włamali do domu Prokopiusza i poszukali dokumentów obciążających starego wodza. Znaleźli zamkniętą w skrzyni książkę pełną mściwych anegdot. Apion przeczytał to, po czym zagroził Prokopiuszowi, że zostanie uduszony za te obelgi majestatu cesarza, jeśli nie zgodzi się dostarczyć takich dowodów, które umożliwiłyby skazanie Belizariusza za zdradę stanu. Prokopiusz zgodził się i książkę mu zwrócono. Teraz rozumiecie, dlaczego nazwałem go infamisem.

Apion przybył do domu Belizariusza wczesnym rankiem z dwoma stenografami koronnymi i oddziałem żołnierzy. Zastali Belizariusza przy grze w piłkę przed kąpielą w basenie. Ja również znajdowałem się wśród grających i stałem na bramce. Belizariusz pozdrowił Apiona wesoło i powiedział:

- To ty jesteś nowo mianowanym oskarżycielem publicznym? To zaiste wczesna wizyta. Czy zjesz z nami śniadanie, potem jak się wykąpie?

Apion odpowiedział ponuro:

- Sprawy jego świątobliwej wysokości nie mogą czekać na twoje czy moje śniadanie ani na czyjąkolwiek kąpiel. Włóż natychmiast ubranie, komesie Belizariuszu, bowiem mam nakaz aresztować cię pod zarzutem zdrady stanu. Żołnierze, zatrzymajcie tych do

mowników, ich zeznania będą potrzebne.

Belizariusz powiedział do mnie:

- Eugeniuszu, zanotuj ilość punktów. Dokończymy gry innym razem. Potem poproś swą panią Antoninę, by zeszła na dół, gdy tylko będzie mogła.

Ale zabronili mi sprowadzić panią. Apion powiedział:

- Domownicy przeświątej Antoniny zostają również zatrzymani.



Belizariusz ubrał się i zaprosił Apiona oraz żołnierzy, by weszli do tepidarium, ponieważ dzień był chłodny. Tu Apion przeczytał rozkaz aresztowania, który brzmiał następująco:

„Prześwietnemu patrycjuszowi Belizariuszowi, komesowi Stajni Cesarskich, dowódcy Cesarskiej Gwardii Osobistej i dowódcy Armii Wschodu, pozdrowienie!

Wiedz niniejszym, Belizariuszu, że my, Justynian, twój cesarz, jesteśmy z ciebie niezadowoleni i żądamy, byś spokojnie poddał się naszemu funkcjonariuszowi - dostojnemu oskarżycielowi publicznemu Apionowi, kiedy przybędzie z żołnierzami, żeby cię aresztować.

Wielokrotnie w przeciągu długiego okresu czasu okazałeś się nielojalnym i złośliwym poddanym, troszcząc się więcej o swe własne bezpieczeństwo, bogactwo i sławę niż o uświęcone interesy twego Pana, jak wynika z następującego zestawienia:

Najpierw, w piętnastym roku naszego panowania, pozwoliłeś, by fakcyjna tłuszcza splądrowała i spaliła połowę naszego miasta Konstantynopola, zanim dokonałeś jakiegokolwiek akcji przeciwko jej przywódcom, zdrajcom Hypacjuszowi i Pompejuszowi.

*Item*, kiedy zostałeś wysłany przeciwko Wandalom w Afryce, w szóstym roku naszego panowania, spiskowałeś i zamierzałeś uzurpować sobie naszą władzę w tej diecezji, lecz pewni lojalni generałowie ostrzegli nas o twojej winie i odwołaliśmy cię, zanim zdążyłeś wykonać ten niecnny czyn.

*Item*, kiedy wysłaliśmy cię przeciwko Gotom do Italii, w ósmym roku naszego panowania, świadomie zlekceważyłeś nasze pisemne instrukcje i zawarłeś pokój z nieprzyjacielem na innych warunkach, niż cię upoważniliśmy. Ponadto wdałeś się w tajną korespon-

dencję z Gotami i ofiarowałeś się im jako kandydat na cesarza Zachodu, znowu zamierzając uzurpować sobie naszą suwerenność; atoli jeszcze raz przeszkodziłśmy ci. Wróciłeś do stolicy nie pokonawszy Gotów, co stanowiło dla nas wielką niegodność.

*Item*, kiedy wysłałśmy cię przeciwko Persom, w trzynastym roku naszego panowania, unikałeś z nimi bitwy i pozwoliłeś im wrócić do domu bez przeszkód i zniszczyć nasze wielkie miasto Calinicum.

*Item*, w czternastym roku naszego panowania, kiedy posłałśmy cię znowu przeciwko Persom, nie wykorzystasteś nieobecności ich króla, który pustoszył nasze terytorium w Kolchidzie; nie wszedłeś do Asyrii, nie spustoszyłeś kraju i nie wyzwoliłeś jeńców wziętych w Antiocliii, choć było to łatwym zadaniem; nie przeciąłeś także drogi odwrotu króla z rzezonego rejonu Kolchidy.

*Item*, w tym samym roku użyłś również zdradzieckich słów przeciwko naszej ukochanej cesarzowej Teodorze, teraz w Bogu spoczywającej.

*Item*, w siedemnastym roku naszego panowania, kiedy wysłałśmy cię przeciwko Gotom do Italii, nie dokonałeś nic godnego uwagi, roztrwońiłeś nasze skarby i wojska i wróciłeś do domu po pięciu latach, a Gotów musiał pokonać dopiero nasz wierny szambelan Narses. Z Italii pisywałeś uparcie listy z pogroźkami do nas, a po swym powrocie brałeś udział w spisku Armeńczyka Artabana na nasze życie.

*Item*, w trzydziestym drugim roku naszego panowania, zaniedbawszy nasze fortyfikacje i wojska znajdujące się pod twoją komendą, zachęciłeś w ten sposób barbarzyńców do napadu, po czym uzurpowałeś sobie sławę wygnania tych Hunów, jaka należała przecie wszystkim Bogu Wszchemogącemu, a następ-

nie nam samym, podobnie jak w dawniejszych czasach usiłowałeś przypisywać sobie sławę, którą my zdobyliśmy, ze zwycięstwa nad Persami, Wandalami, Maurami, Gotami, Frankami i innymi narodami, robiąc z siebie widowisko dla miejskiego pospółstwa i zdobywając sobie jego łaski rozrzucaniem pieniędzy.

Jakąż cierpliwość i wytrzymałość okazywaliśmy, ileż razy przebaczyliśmy ci twe bezwstydne czyny i słowa!

Teraz, w trzydziestym siódmym roku naszego panowania, doszło do naszej wiadomości, że znowu wzięłeś udział w spisku na nasze życie. Nasi generałowie Herodian i Jan (*vulgo* „Epikur”) zeznają, że próbowałeś odwieść ich od wierności wobec nas, a dostojny patrycjusz, pan Prokopiusz, który poprzednio był twoim sekretarzem wojskowym, oskarżył cię wobec nas o tę samą ohydłą zbrodnię. Zeznają oni, że ustaliłeś z nimi dzień, kiedy miał być dokonany zamach mieczami na naszą osobę w naszej sali radnej, kiedy siedzimy na tronie i mamy na sobie święte szaty cesarskie. Udali, że się zgadzają, lecz byli pełni lęku i powtórzyli twe słowa naszym funkcjonariuszom.

Wiedz tedy, zdrajco, że nasze cesarskie przebaczenie, tak często i wielkodusznie udzielane, musi mieć wreszcie swoje granice: gdyż wybaczenie przestępcy, który grzeszył stale, gdy jego włosy były jeszcze czarne i grzeszy nadal mając już włosy siwe, nie jest cnotą godną pochwały. Okazalibyśmy słabość, gdybyśmy przebaczali ponad ustaloną w Piśmie granicę siedemdziesięciu siedmiu kroków.

Bądź posłuszny!"

Gdy Apion skończył, Belizariusz zapytał go:

- Kto przygotowywał to pismo do podpisu jego łaskawości?

Apion odpowiedział:

-Ja sam.

-Sądząc z twego akcentu, jesteś Trakiem z okolic Adrianopola. Zdaje się, że poznaję cię po tylu latach? Czyż nie byliśmy kolegami szkolnymi u uczonego Maltusa?

Apion poczerwieniał na twarzy, bowiem nie mógł zapomnieć, jak lichą postacią był w oczach swych kolegów szkolnych. Odpowiedział, że to nie ma nic do rzeczy.

Nas, domowników, odprowadzono do więzienia i jednego po drugim poddano torturom - zarówno niewolników, jak i wolnych, od najmłodszego pazia do Andrzeja i mnie, którzy mieliśmy prawie po siedemdziesiąt lat. Naciągano nas na kole i chłostano, skręcano nam sznury na czołach i przypalano stopy na węglach. Niektórych męczono gorzej niż innych. Zanim wzięto nas na tortury, byłem przykuty w celi z Andrzejem. Był on świadkiem aresztowania Belizariusza i szalał z wściekłości na Apiona:

- Ten oskarżyciel publiczny wspinał się po szczeblach najbardziej chwalebnej kariery, gdy jego kolega szkolny dowodził armiami cesarza - gęsie pióra, atrament, pergamin, podlizywanie się, łapówki! Po dwudziestu latach jako kancelista otrzymuje godność koronnego stenografa; jeszcze dwadzieścia lat i zostaje zastępcą sekretarza generalnego. Mija dalsze pięć lat i jest już oskarżycielem publicznym, czczonym służącymi przez cały szczebel pisarzy, posłańców, woźnych sądowych, strażników więziennych, policjantów. Mały pisarczyk chwali się przed swymi kolegami: „Dostojny Apion zaszczycił mnie dziś uśmiechem i przypomniał sobie moje imię.” Teraz już bierze łapówki, nie potrzebuje ich dawać; skończyło się z po-

korą. Jest straszliwym mistrzem tortur - panem łańcuchów, korbaczy, kół, żelaz do piętnowania, których smak nas teraz oczekuje. - Andrzej powiedział również - Ten zasmarkany, mały Apion! Jeszcze go widzę, jak się kuli w rogu klasy spoglądając na nas ponuro: nie dostał ciastka, gdyż uciekł z bitwy przeciwko uczniom zakonnym. O ciastko niezgody! Sądzę, że powinniśmy namówić burmistrza, żeby usunął słońca z jego piedestału i umieścić tam posąg dostojnego Apiona.

Andrzej umarł na torturach, ale żeby podrażnić Apiona, nie wydał nawet jednego jęku. Ja wrzeszczałem i wyłem bez przerwy. Wiedziałem, że to albo zadowoli komendanta izby tortur, albo też mu się znudzi, tak że powie do niewolnika:

- Starczy na razie, człowieku. Rozluźnij sznury, od kręć!

Wszystkie moje okrzyki brzmiały: „Niech żyje jego cesarska łaskawość!” - i: „Nie wiem nic, nic.” Tak mi się i udało. O obrażeniach cielesnych, jakie owego dnia odniosłem, nie będę wspominał, żeby wam nie sprawiać przykrości. Jestem osobą bez znaczenia.

Inkwizytorzy pytali mnie bez przerwy:

- Czy naprawdę nie słyszałeś rozmowy zdrajcy Belizariusza z patrycjuszem Marcelusem... czy użył on zdradzieckich wyrażień? Patrz, tu mamy zapisane słowo twoich współdomowników, którzy pewnego wieciora słyszeli jego rozmowę z twoją panią. Jesteś pewny, że nie słyszałeś tych słów? Wszyscy przysięgają, że byłeś przy tym obecny.

Zaprzeczałem wszystkiemu i twierdziłem, że Belizariusz jest najlepszym, najzyczliwszym i najlojalniejszym z ludzi. Jednak inni z powodu tortur zeznali, co było potrzebne.

Nie byłem obecny na procesie, który odbył się przy drzwiach zamkniętych w miesiącu styczniu. Podobno Belizariusz zaprzeczył tylko oskarżeniom, ale odmówił jakichkolwiek wyjaśnień. Wysuwano jeszcze dziksze oskarżenia niż zarzut zdrady: Belizariusz został ponad to oskarżony o sodomie ze swym adoptowanym synem Teodozjuszem i kazirodztwo ze swą przyrodnią córką, Martą. Prosił, by mu pozwolono zadawać pytania świadkom oskarżenia - Herodianowi, Janowi Epi kurowi i Prokopiuszowi, lecz Justynian, który sądził sprawę osobiście, odmówił. Powiadają także, że Justynian drażnił go, udając, że proces odbywa się uczciwie, i zadał takie pytanie:

- Czy istnieją jacyś godni wiary świadkowie, których chciałbyś, panie, wezwać, by poświadczyli, że nie jesteś zdrajcą?

Belizariusz odpowiedział:

-Mam czterech świadków.

-A jakich? Czy są oni obecni w stolicy? - Nie, wasza łaskawość.

-Wymień ich mimo wszystko.

-Geilimer, były król Wandalów; Wittich, były król Gotów; Khosrou, wielki król Persów; Zabergan, wielki chan bułgarskich Hunów. Oni poznali na własnej skórze, że nie jestem zdrajcą.

Moją panią Antoninę oskarżono o współudział w spisku. Powiadają, że kiedy wprowadzono ją na salę sądową, mówiła bez związku, jak by zupełnie dziecinna, i opowiadała skandaliczne fakty z życia Justyniana, zanim stał się cesarzem. Podobno mówiła z wielką fantazją i sarkastycznie. Powiedziała:

- Moja przyjaciółka, Teodora, z klubu błękitnych miała pokojowego pieska bardzo żarłocznego i lubieżnego.

Po całych nocach opowiadała mu teologiczne brednie i karmiła go kawałkami surowego mięsa, a on łaśił się, ciekawy piesek, i lizał wszystkie nogi w mieście, i węszył przy każdym rogu ulicy. Nazywałyśmy go Cezarem, lecz przedtem miał jakieś barbarzyńskie gockie imię. Powiedziała również

- Wasza wysokość, znałam małego, uśmiechniętego człowieka o różowych policzkach, który popełnił cudzołóstwo z trzema pokoleniami kobiet. (Miała na myśli panią Clirysomallo, jej córkę i wnuczkę.) Modlił się do Belzebuba i nigdy nie nauczył się dobrze mówić po grecku. Ale żałowałam go i byłam grzeczna dla tego małego człowieczka o różanych policzkach.

Justynian zdenerwował się. W pośpiechu zamknął jej sprawę.

- Ta szlachetna pani straciła zmysły - rzekł. - Należy powierzyć ją opiece lekarzy. Nie jest zdolna odpowiadać przed sądem.

Jednak moja pani kontynuowała:

-Piękne dziewczyny z błękitnego klubu wszystkie skarżyły się jednakowo na Fagona żarłoka. Mówiły, że stawia im przeciwne naturze żądania; że jest skąpy; że miesza ekstazę duchową z cielesną, czcząc to, co się rozkłada. I że śmierdzi kozłem.

-Wyprowadźcie ją, wyprowadźcie ją! - krzyknął Justynian przeraźliwie.

-Kozłem i kadzidłem jednocześnie. Moczy się również do łóżka i ma brodawki na biodrach.

Następnie ogłoszono wyrok. Kary były różne. Niektórzy mieli ponieść śmierć od topora, inni od szubienicy, jeszcze innych skazano na dożywotnie więzienie. Herodianowi i Janowi Epikurowi cesarz wybaczył.

Moją panią zamknięto w Zamku Skruchy, który Teodora zbudowała pod Hieronem, a jej majątność od-

dano Kościołowi, życie Belizariusza zostało oszczędzone. Lecz pozbawiono go wszystkich zaszczytów i wszystkich posiadłości i nie pozwolono mu nawet pobierać żołdu szeregowca. Ponadto Justynian wywarł na nim jeszcze inną strasliwą zemstę. Niestety, muszę to powiedzieć! Pozwólcie mi napisać szybko: tego samego wieczora światło jego oczu zgasło pod rozpalonymi do czerwoności igłami.

Moja pani, leżąc na sienniku w izbie chorych Zamku Skruchy, zawołała mnie o północy i powiedziała:

-Eugeniuszu, czy boisz się cesarza więcej, niż kochasz mnie i mojego drogiego męża?

-Dlaczego pytasz, pani? Jestem na twoje rozkazy.

-Eugeniuszu, przepłyń łodzią przez Bosfor i stań koło Spiżowego Domu, lecz tak, by cię nikt nie widział. Bądź gotów służyć za przewodnika Belizariuszowi, kiedy go jutro wypuszczą na wolność. Zwolnię go bardzo wcześnie, zanim zacznie się ruch na ulicach.

Przez wiele godzin czekałem na placu Augusta w pobliżu Spiżowego Domu. O świcie zobaczyłem, jak dwóch pijanych żołnierzy brutalnie wyrzuca Belizariusza z bramy. Jeden krzyknął:

-Idź i szukaj teraz szczęścia, stary człowieku. Jesteś wolny jak powietrze.

-Ej - krzyknął drugi - ani pieniędzy, ani domu, ani oczu, ani sławy!

Lecz nadszedł młody kapral i zwymyślał ich:

- Wy złośliwe bydlaki, nigdy nie unieśliście łbów znad waszego koryta pomyj. Idźcie natychmiast, rozkazuję wam, i połóżcie się na grzbietach na posadzce Spiżowego Domu. Popatrzcie na mozaiki na suficie i przypatrzcie się wymalowanym tam bitwom. Zobačycie wielkie zwycięstwa przy dziesiątym kamieniu



milowym i Tricameron, zdobycie Neapolu, obronę Rzymu i zwycięstwo przy moście Mulwijskim. Od kogo cesarz na tych obrazach przyjmuje dary zwycięstwa - królów, królestwa i wszystko to, co najbardziej cenią monarchowie? Właśnie od tego Belizariusza, którego teraz znieważacie jako ślepcę zaprzeczając, że pozostała mu jakakolwiek sława!

Belizariusz, obracając swą niewidzącą twarz ku kapralowi, powiedział:

- Cicho, najlepszy z ludzi! Czyż tego, kogo nienawidzi cesarz, powinni chwalić jego żołnierze?

Kapral odparł:

- Mój ojciec walczył w Persji i w Afryce w twoim przybocznym szwadronie i zginął w Rzymie, broniąc mauzoleum Hadriana. Jeśli te gbury zaprzeczają ci sławę, hańbią pamięć mojego ojca. Przyjmij, bohaterze, to złamane drzewce oszczepu, by wzmocniło twe niepewne kroki. Nie obchodzi mnie, czy kto słyszy, jak mówię: „Sławy nie można zgasić igłą.”

Ulice były puste, tu i ówdzie kręcili się tylko zamiatacze ulic i bezdomni żebracy. Belizariusz, trzymając kij w ręku, zatrzymując się często, szedł ulicą Wysoką przez kolorowe płyty bruku. Szedłem w niewielkiej odległości za nim. Kiedy dotarł do posągu słonia, zatrzymał się, by pomacać zniszczone nogi zwierzęcia. Słyszałem, jak od niechcienia mruczy do siebie:

- „Oto Behemot, któregoś uczynił z tobą, będzie jadł siano jako wół. Kostki jego jako piszczelę miedziane, chrząstki jego jako blachy żelazne. On jest początkiem dróg bożych.”

Po chwili zacytował znowu bardziej na temat z tej samej księgi:

- „Oto wołać będę cierpiąc gwałt, a żaden nie usłyszy: krzyzczyć będę, a nie masz, kto by sądził. Drogę

moją ogrodził, i przejść nie mogę: a na ścieżce mojej ciemności położył. Złupił mię z sławy mojej." Wtedy cicho podszedłem z tyłu i powiedziałem:

- Panie mój, to ja, eunuch Eugeniusz. Moja droga pani Antonina przysłała mnie tutaj, żebym ci służył za przewodnika.

Odwrócił się, ujął moją rękę, przyciągnął mnie do siebie i uściskał. Potem, spytał z obawą o moją panią, a ja przekazałem mu jej pełne troski wyrazy miłości. Kiedy poszliśmy dalej, on jadł biały chleb i owoce, które przyniosłem mu na śniadanie.

Belizariusz kazał mi prowadzić się na przedmieście Blachernae. Szedł tak wielkimi krokami przez puste place i ulice, że wydawało się raczej, iż to on jest przewodnikiem, a nie ja. Nikt nas nie śledził. Wschodni wiatr przyniósł zapach świeżego chleba z piekarni miejskiej, co Belizariusz natychmiast zauważył; a gdy przechodziliśmy przez doki w dzielnicy Zeugma, pociągnął nosem i powiedział:

- Czuję cynamon, drzewo sandałowe i żeglarzy. Przez tę ślepotę mani teraz węch jak pies.

Wreszcie przyszliśmy do klasztoru Świętego Bartymeusza w Blachernae. Tu Belizariusz zastukał laską w bramę, a świecki brat otworzył.

Belizariusz powiedział, że chce się zobaczyć z opatem, lecz odźwierny odparł:

- Zajmuje się teraz rachunkami, nie mogę mu przeszkadzać dla takiego jak ty.

Belizariusz rzekł:

- Powiedz mu, proszę, że przyszedł Belizariusz.

Zakonnik roześmiał się myśląc, że to żart, gdyż Belizariusz ubrany był w tunikę szeregowca, zabrudzoną w więzieniu, a oczy miał obwiązane brudną szmatą.

Odźwierny zażartował:

- A ja się nazywam apostoł Piotr.

Przez drzwi ujrzałem zakonnika Uliarisa, idącego krążankiem z jakimś poleceniem. Zawołałem do niego:

- Bracie Uliarisie, na pomoc!

Uliaris pośpieszył do drzwi. Kiedy pojął, jaki los spotkał Belizariusza, zapłakał gorzko i zaczął wołać:

- O drogi przyjacielu! O drogi przyjacielu! - nie znajdując innych słów.

Belizariusz powiedział:

- Uliarisie, kochany towarzyszu, idź, proszę cię, do twego wielebnego opata i weź od niego pewien należący do mnie przedmiot, jaki niegdyś pożyczyłem po przedniemu przełożonemu waszego zgromadzenia. Jest to miseczka żebracza świętego Bartymeusza, waszego patrona. Pożyczyłem ją do czasu, póki mi nie będzie potrzebna. Teraz jej potrzebuję.

Uliaris poszedł do opata, który początkowo nie chciał oddać miseczki. Twierdził, że jest to święta relikwia i nie mogą jej dotykać świeckie ręce, a ponadto - wielkie źródło dochodów dla klasztoru. Zresztą cesarz rozgniewa się, jeśli okażą litość Belizariuszowi.

Uliaris powiedział opatowi:

- Bóg z pewnością przeklnie nasz dom, jeśli zatrzymamy tę miseczkę i nie oddamy jej prawemu właścicielowi, ze szlachetności którego korzystaliśmy przez trzydzieści lat.

Wtedy opat zgodził się, chociaż niechętnie, i dał Uliarisowi klucz do wysadzanej klejnotami skrzyni, gdzie przechowywano miseczkę. Uliaris zjawił się znowu i oddał mu żądany przedmiot.

Belizariusz wymacał palcem rzeźbiony napis i powtórzył głośno słowa: „Ubóstwo i cierpliwość.” Uliaris był nadal tak zgnębiony żałością i zdumieniem, że nie

znalazł słów pożegnania. Uścisnął Belizariusza i znowu wszedł do klasztoru.

Belizariusz i ja poszliśmy teraz na przedmieście Deuteron koło Złotej Bramy. Tu zatrzymaliśmy się koło portyku kościoła Najświętszej Dziewicy. Belizariusz usiadł, żeby żebrac na schodach, lecz zakrystian nie znał go i przepędził brutalnie. Tak samo został potraktowany pod kościołem Świętej Anny, Świętego Jerzego, Świętego Pawła i Męczennicy Zoi. Albowiem zakrystianie rezerwują stopnie kościołów dla zawodowych żebraków, którzy za ten przywilej płacą im część swych dochodów. Wreszcie poprosił mnie, bym go zaprowadził do niezbyt odległego klasztoru Proroka Hioba, gdzie wreszcie przyjęto go życzliwie. Żebrak, który już tam stał, poznał go i zapłakał: był to Turimut, gwardzista, na którego znowu przyszły złe czasy.

Belizariusz usiadł pod murem klasztoru krzyżując nogi. W tym czasie ulice zaczęły się już napełniać ludźmi. Trzymając miseczkę na kolanach wołał jasnym, dumnym głosem:

- Dajcie jałmużnę! Dajcie miedziaka Belizariuszowi! Rzućcie miedziaka Belizariuszowi, który ongiś rzucał złoto na tych ulicach. Dajcie miedziaka Belizariuszowi, dobrzy konstantynopolitańczycy! Dajcie jałmużnę!

Na ten dziwny okrzyk, który wydawał się raczej rozkazem niż prośbą, zaczął się zbierać wielki tłum i ogólne zdumienie ustąpiło miejsca powszechnemu oburzeniu, kiedy ludzie rozpoznali w ślepych żebrakach ich dawnego bohatera i zbawcę. Niebawem do miseczki posypały się pieniądze, szaki srebra i złota pomieszane z miedzią. Chociaż niektórzy dając pieniądze zasłaniali twarze płaszczami, wiele osób wysokiego stanu i znanych z bogactwa, a również wiele kobiet nie kryło się wcale.

Potem na wieść, co się dzieje, zaczęli się zbierać weterani Belizariusza. Utworzyli oni rodzaj szpaleru, by ludzie nie cisnęli się zbyt, tak że każdy przechodził pojedynczo, spłacając swój dług wdzięczności wobec Belizariusza za uwolnienie miasta od Hunów. Turimut przyniósł worek. Gdy tylko miseczka była pełna, wysypywał monety do worka i znowu oddawał miseczkę Belizariuszowi. Do wieczora przewinęło się czterdzieści tysięcy ludzi i wiele worków napełniono pieniędzmi. Jednak Belizariusz wołał nadal:

- Dajcie miedziaka, Belizariuszowi, dobrzy konstantynopolitańczycy! Dajcie jałmużnę!

Wszyscy dawali według swych możliwości: stare biedne kobiety przynosiły miedziaki, a dzieci - grosze. Nawet prostytutki przyniosły srebro ze swych nocnych zarobków. Jakiś człowiek pokazał wielki złoty medal i zapytał:

- Czyj to jest wizerunek i opis?

Był to medal wybitny po zdobyciu Afryki, nazywający Belizariusza „Chwałą Rzymian”.

Kiedy Justynian usłyszał o wszystkim, rozgniewał się bardzo i jednocześnie przestraszył. Wzburzenie wśród ludu rosło i na ulicy dały się słyszeć buntownicze okrzyki, a przed pałacem odbyły się demonstracje. Na ścianach budynków publicznych wypisywano kretdę tego rodzaju zdania: po łacinie Justinianus ab iniustitiis" (Justynian zwany tak od swych niesprawiedliwości"), oraz po grecku: „Ślepy Samson zniszczył króla i jego dwór."

Justynian posłał szybko po swego szambelana i rozkazał mu przygotować akt ułaskawienia, który następnie podpisał przywracając Belizariuszowi wszystkie jego tytuły i majątek. Wierni weterani z honorami odprowadzili niewidomego do jego domu. Rozdzielił

wśród nich pieniądze, które zebrał - wypadło po dwieście sztuk złota na każdego. Miseczkę natomiast zwrócił opatowi.

Moja pani Antonina została wypuszczona z Zamku Skruchy. Przez te nieliczne tygodnie, jakie pozostały Belizariuszowi do końca życia, cieszył się całkowitym spokojem. Moja pani Antonina była stale u jego boku, każdego dnia odwiedzało go po kilku jego weteranów, by pogadać o dawnych czasach. Wyzaczyli między sobą kolejkę odwiedzin. Nie wolno mu było wychodzić za bramę swego domu, bowiem Justynian bał się ludu. Jednak okazywano mu takie względy i tylu ludzi chciało go odwiedzać, że wydawało się raczej, iż Belizariusz urządza dworskie przyjęcia, niż że jest człowiekiem skazanym na odosobnienie.

Belizariusz umarł we śnie, trzynastego marca roku pańskiego 565. Kiedy przygotowywano jego ciało do pogrzebu, wszyscy uważali za coś szczególnego, że nie ma na sobie blizn, mimo że walczył w tylu krwawych bitwach na całym świecie. Moja pani Antonina, która przyjęła jego śmierć spokojnie, jak tego pragnął, powiedziała:

- Ach, jedyne rany poniósł tylko z rąk swego cesarza.

Zanim upłynął rok, dnia trzynastego listopada Justynian umarł również, na gangrenę. Dokąd poszły dusze ich obu, niech dyskutują chrześcijanie. Lecz powiadają, że koniec Justyniana był żałosny i niesamowity: że gdy wreszcie oddał ducha, wrzeszcząc ze zgrozy, przez sale pałacowe zabrzmiał głos Lucypera w ponurej parodii Pisma świętego: „Oto jest syn mój miły, któregoś sobie upodobał.”

Justynian pragnął przeżyć swego wroga Belizariusza. Jednak z czterech osób tak blisko związanych w tej

opowieści - Justyniana, Teodory, Belizariusza i Antoniny - najdłużej żyła moja kochana pani. Po śmierci Belizariusza stała się bardzo milcząca i ja byłem jedynym człowiekiem, do którego się jeszcze czasem odzywała. Wreszcie kazała mi, żebym odprowadził ją do konwentu, gdzie jej córka Janina była teraz przeoryszą. Tam, w krótki czas po pojednaniu się z Janiną, zmarła. Wszystkie swe pieniądze zapisała na konwent z wyjątkiem dożywocia wystarczającego na moje potrzeby.

Przeżyłem nawet Narsesa. Opowiem o ostatnich latach jego życia i potem skończę. Po śmierci Justyniana na tron cesarski wstąpił Justyn - nie cioteczny wnuczek cesarza, syn Germanusa, lecz starszy siostrzeniec, syn siostry Justyniana, Wigilancji. Wtedy deputacja Italczyków, przybywszy do Konstantynopola, złożyła skargę na Narsesa. Narses rządził dobrze i energicznie, ale ubóstwo kraju było tak wielkie, że ściąganie przez niego podatków mogło wyglądać na ucisk ludności. Justyn zgodził się usunąć Narsesa, pisząc doń, że zwalnia go z dalszych obowiązków ze względu na podeszły wiek. Narses ustąpił swą władzę i tytuł niejakiemu Longinusowi, opuścił pałac w Rawennie i zamieszkał w swej willi pod Neapolem. Tu otrzymał obraźliwy prywatny list od Zofii, wnuczki Anastazji, siostry Teodory, a obecnej cesarzowej. W liście tym Zofia stwierdzała okrutnie, że dobrze uczynił pozostawiając zawód żołnierski mężczyznom, i cieszyła się, że będzie mógł podjąć swe dawniejsze zajęcia przędąc wełnę wraz ze służącymi pałacowymi. Powodem tego szyderstwa był fakt, że Narses obraził ją niegdyś, kiedy był szambelanem.

Kiedy Narses przeczytał ten list, krzyknął głośno: - Uprzędę jej łaskawości taką nitką, że nie rozplacie jej przez całe życie.

Po czym zaczął pruć nić intrygi z nieprzyjacielem za północną granicą. (Choć możecie nie wierzyć, Narses miał dziewięćdziesiąt pięć lat, ale był żwawy fizycznie i umysłowo jak mężczyzna pięćdziesięcioletni. Mając lat dziewięćdziesiąt jeden odniósł wielkie zwycięstwo na północy przeciwko zbuntowanemu komesowi Vaudinusowi oraz Frankom i Alemanom, którzy go wspomagali.)

Justyn wiedział, że dzicy Longobardowie zamyślają najazd na Italię, i pragnął, żeby jego przyjaciel Longinus, nowy gubernator Italii, zdobył chwałę zwyciężając ich. Atoli Narses, postanowiwszy zemścić się na cesarzowej Zofii, wysłał gońca do króla Longobardów Alboina z następującym oświadczeniem: „Cesarz usunął mnie z dowództwa i otworzył żyzne pola Italii dla waszych dzielnych wojowników.”

Germanie napadli na północną Italię przez przełęcz Brenneru. Narses napisał do Justyna obiecując przepędzić Alboina, jeśli z powrotem otrzyma dowództwo. Lecz Justyn nie zwracał na niego uwagi. Wtedy Longobardzi, którym Longinus nie potrafił się zdecydowanie przeciwstawić, zajęli Italię na północ od rzeki Pad i trzymają ją do dziś dnia.

Narses zmarł ze zgrzyoty.

Cóż można teraz powiedzieć o cierpliwym poddaniu się Belizariusza okrucieństwu i kaprysom Justyniana, jego cesarza? Niektórzy mówią w związku z tym, że o wiele górował charakterem nad zwykłymi ludźmi; inni twierdzą przeciwnie - że stał od nich znacznie niżej, i nazywają go tchórzem. Nad tym problemem można by dyskutować bez końca. Dla mnie większą wagę niż próżne filozoficzne spory ma moja znajomość poglądów Belizariusza. Albowiem tak jak nie zgadzał się z donatystami w Afryce, którzy nie



chcą przyjmować sakramentów z rąk prowadzących złe życie księży, lecz uznają tylko kapłanów cieszących się nieskazitelną reputacją - tak samo nie trzymał z politycznymi donatystami, którzy sami mianują się krytykami swych zwierzchników i rujną wszystko przez swe nieposłuszeństwo i ignorancję. Ze swej strony, jako służący, uważam, że najpewniejszym sprawdzianem charakteru człowieka jest jego stosunek do służby: w tym odbija się godność, z jaką dany człowiek odnosi się do swych zwierzchników. Belizariusz był najlepszym panem, jakiego, moim zdaniem, miał kiedykolwiek jakiś niewolnik.

Warto zwrócić uwagę na jedną sprawę: chociaż Justynian traktował Belizariusza jak najgorzej, nigdy nie kazał mu dokonać takiego czynu, który byłby wyraźnie sprzeczny z prawami boskimi, bowiem, bądźcie pewni, Belizariusz nie posłuchałby takiego rozkazu uważając, że prawa boskie są wyższe od wszelkich nakazów ludzkich.

I jeszcze jedna sprawa: Justynian, mimo wszystkich swych rzekomych konszachtów z Belzebubem był bardzo gorliwym chrześcijaninem. Modlił się, pościł, budował i wzbogacał klasztory i kościoły, zwalczał niewiarę, zwiększał doczesną moc biskupów - i z całą powagą wykonywał ironiczne wezwanie Jezusa, żeby bijącemu nadstawiać drugi policzek. A więc płacił pieniądze chanowi Zaberganowi, który spustoszył Trację, nadał godność patrycjusza spiskowcowi Artabanowi, honorował tak niewątpliwych zdrajców, jak Herodian i Jan Epikur. Po śmierci Teodory sprowadził nawet do stolicy Jana z Kapadocji i zwrócił mu majątki. Tak, jeśli chodzi o złoczyńców, to cesarz był niezwykle pobłażliwy. Lecz ludzie uczciwi wprowadzali go w zakłopotanie, ponieważ doktryna chrześcijańska uczy głównie,

jak obchodzić się z grzesznikami, ciemiężycielami, oszczercami i zdrajcami, natomiast daje mało wskazówek, jak nagradzać naturalną cnotę (jest większym błogosławieństwem dawać niż przyjmować, przebaczać niż zyskiwać przebaczenie). Tak więc Justynian „wynagrodził” śmiercią prawe postępowanie Hypacjusza podczas buntów zwycięstwa. Szlachetnego Germanusa traktował podejrzliwie i pogardał nim, a Belizariuszowi okazywał jawną wrogość. Moim zdaniem, Belizariuszowi żal było Justyniana, że elice być chrześcijaninem, a jednak nie wie, jak się do tego zabrać.

Wedle ewangelistów Jezus Chrystus opowiedział kiedyś przypowieść o zaginionej owcy, znalezionej w końcu przez pasterza, i wyciągnął morał, że „więcej jest radości w niebie nad jednym grzesznikiem opamiętującym się niż nad dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwymi”, którzy nie potrzebowali się opamiętywać. Tu bez wątpienia Jezus mówił ironicznie, nazywając „sprawiedliwymi” podłych i zadowolonych z siebie. Ale na starość Justynian, absurdalnie udoskonalał tę przypowieść, jak by uznał, że pasterz musi obrażać i torturować jedyną owcę, która wiernie pozostała w stadzie zamiast iść ze swymi dziewięćdziesięcioma dziewięcioma zdeprawowanymi towarzyszkami; i wyciągnął morał, że w niebie panuje wielkie oburzenie, jeśli ktokolwiek (poza Synem samego Boga) postępuje z niezłomną prawością. Tego rodzaju pogląd nie jest czymś niezwykłym wśród wybitnych teologów, uświadamiających sobie doskonale swe grzeszne zapędy.

„Za dawnych bogów - zwykł był mówić mój pan Damokles, choć niewątpliwie nieco w tym przesadzał - cnotę zawsze czczono, podłość potępiano. Krzyż łotra nie był pozłacany i wysadzany klejnotami, a czo-

wiek nie znajdował przyjemności w poniżaniu samego siebie." Lecz niechaj każdy wierzy, w co mu się podoba.

A jeśli przypadkowo ktoś jest prostym czcicielem cnoty, a nie walczącym z logiką, zakłamanym teologiem czy perwersyjnym ascetą, moja opowieść nie urazi go, lecz przeciwnie - wzmocni w jego zasadach. Bowiem komes Belizariusz miał właśnie proste nabożeństwo dla cnoty i nigdy od niego nie odstąpił. Ci z was, dla których opowieść ewangeliczna posiada historyczne znaczenie, może powiedzą, że Belizariusz na swym procesie przed Justynianem zachowywał się bardzo podobnie jak jego Pan przed Poncjuszem Piłatem, gubernatorem Judei, gdy niesprawiedliwie został oskarżony o tę samą zbrodnię - mianowicie zdradę przeciwko cesarstwu - i że zniósł to nie mniej cierpliwie. I to byłoby już wszystko.

## SPIS TREŚCI

Przedmowa.....	5
ICłapiące lata.....	9
IIUczta Modesta.....	39
IIISfinks megarejski.....	64
IVUlepszona kawaleria.....	87
VWojna z Persją.....	109
VITajemnica jedwabiu.....	131
VIIBitwa pod Dara.....	154
VIIINiepotrzebna bitwa.....	177
IXBunty zwycięstwa.....	203
XWyprawa przeciwko Kartaginie.....	232
XIPorażka Wandalów.....	259
XIIKonsulat Belizariusza.....	286
XIIIKłopoty w Afryce i na Sycylii.....	313
XIVObłężenie Neapolu.....	334
XVObrona Rzymu.....	358
XVIOdwrót Gotów.....	387
XVII Diadem odrzucony.....	416
XVIIIChłodne przyjęcie w ojczyźnie.....	445
XIXZwycięstwo pod Karczeniisz.....	466
XXNiełaska.....	499
XXIWygnanie w Italii.....	524
XXIIOdwołanie i przebaczenie.....	546
XXIIITrzystu weteranów.....	571
XXIVOstatnia niełaska.....	598